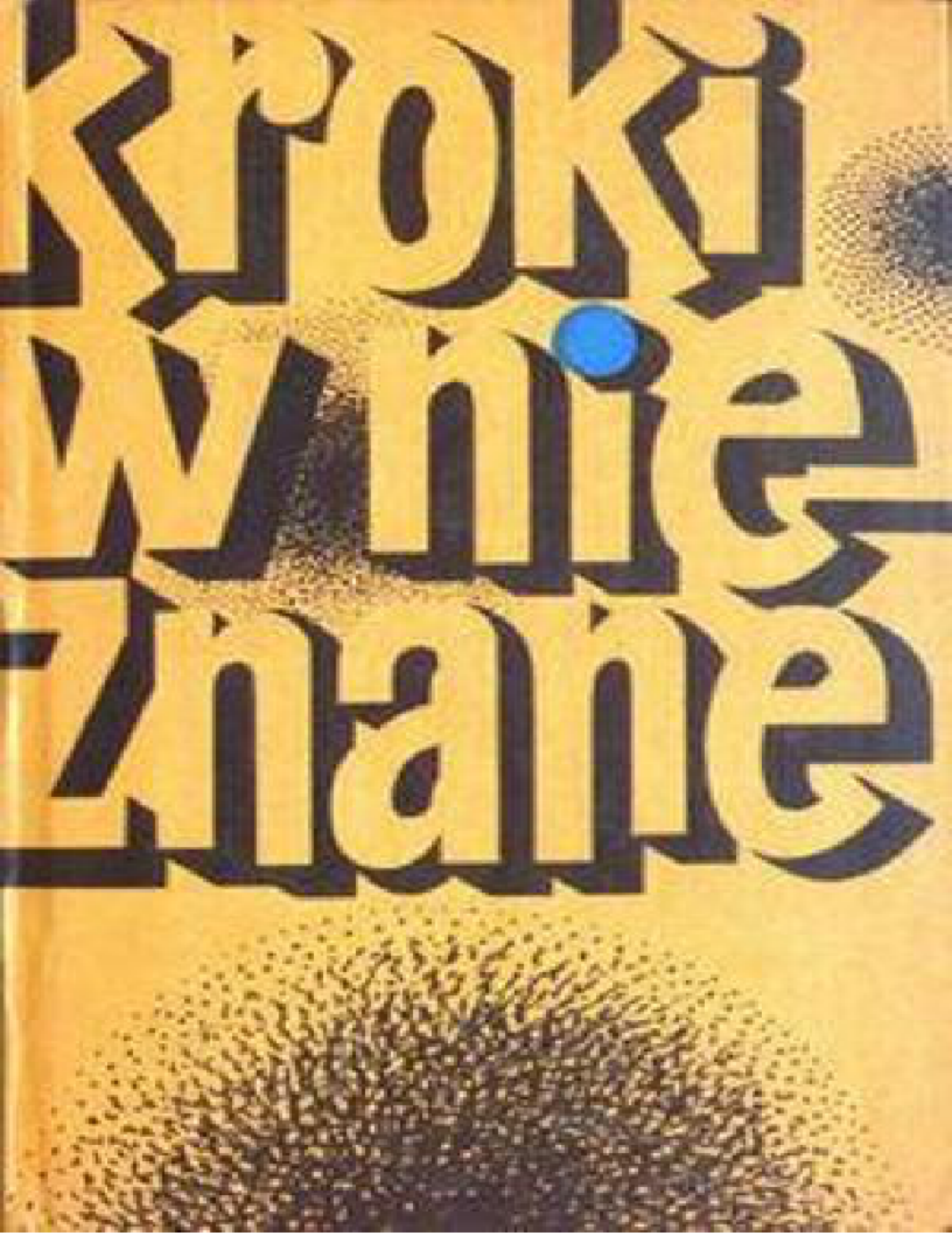
Kroki
w nie
znane

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Każdy autor antologii fantastyki naukowej staje wobec problemu określenia jej granic. Fakt, że dotychczas nie znaleziono zadowalającej definicji science-fiction świadczy o tym, że jest ona czymś żywym, rozwijającym się. Przyjmując bardzo szerokie rozumienie fantastyki naukowej włączamy czasem utwory z jej pogranicza, które wydały nam się warte zaprezentowania czytelnikom.

Są więc w naszym tomie tacy znani wszystkim miłośnikom fantastyki tytani, jak Ray Bradbury (ze swoją wersją duszy anielskiej więzionej w czerepie rubasznym), autor przeszło stu książek Isaac Asimov, Arthur C. Clarke, Clifford D. Simak i znacznie od nich młodszy Robert Sheckley. Udało nam się zdobyć opowiadanie Stanisława Lema, który — jak niedawno podliczono — jest najbardziej czytanym autorem SF na świecie. Jego twórczość, znana do niedawna głównie w Związku Radzieckim i europejskich krajach socjalistycznych, zaczyna być tłumaczona na Zachodzie, wywołując tam niemałą sensację.

Opowiadanie Roberta Silverberga, płodnego autora amerykańskiego, który był najpoważniejszym kontrkandydatem Asimova do ostatniej nagrody Hugo, pochodzi z cyklu o miastach przyszłości — mrowiskach.

Kurt Vonnegut jest specjalistą od zadawania trafiających w sedno pytań. Doczekał się on niezwykłego wyróżnienia: w roku ubiegłym prasa doniosła, że dyrekcja jednej ze szkół w Stanach Zjednoczonych nakazała spalenie jego książek. Czyżby chcieli zachęcić wszystkich uczniów do czytania Vonneguta?

B. J. Friedman, należący do czołowych autorów amerykańskich, nie był dotychczas wydawany w Polsce. Obok realistycznych powieści pisze opowiadania, w których obserwacja obyczajowa przeplata się z fantazją.

Victor Contoski jest znanym amerykańskim poetą i tłumaczem polskiej poezji. Yep i Dixon reprezentują najmłodsze pokolenie pisarzy.

Również wśród autorów radzieckich obok dobrze znanego czytelnikom Ilji Warszawskiego przedstawiamy dwóch autorów nowych: Wiaczesława Moroczkę i Michaiła Puchowa.

Jeśli chodzi o polskich autorów, Janusz A. Zajdel ma na swoim koncie dwa tomy opowiadań fantastycznych, Andrzej Czechowski wydał przed laty jeden tomik i pisuje niestety bardzo rzadko, Krzysztof W. Malinowski zaś debiutował w ubiegłorocznym wydaniu Kroków w nieznane.

Tak więc niniejszy zbiór opowiadań stanowi jakby przegląd

nurtów i tendencji światowej i krajowej science — fiction od A (jak Asimov) do Z (jak Zajdel). Większość opowiadań tłumaczonych ukazuje się drukiem po raz pierwszy.

- Kroki w nieznane 5
- OD REDAKCJI
- KROKI W NIEZNANE
- Kurt Vonnegut
- Victor Contoski
- Wiaczesław Moroczko
- Dean McLaughlin
- Ray Bradbury
- Krzysztof W. Malinowski
- Robert Sheckley
- Robert Silverberg
- Stanisław Lem
- 1
- Ilja Warszawski
- Arthur C. Clarke
- Janusz A. Zajdel
- I
- II
- III
- IV
- V
- VI
- VII
- Bruce Jay Friedman
- Clifford D. Simak
- Henry Slesar
- Janusz A. Zajdel
- Laurence Yep
- I
- II
- III
- IV
- V
- Rick Norwood
- Arthur C. Clarke
- Krzysztof W. Malinowski
- 1
- 2
- 3
- 4

- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- Michaił Puchow
- Isaac Asimov
- Philip Jose Farmer
- Andrzej Czechowski
- Terry Dixon
- FAKTY, HIPOTEZY, ZAGADKI
- Andrzej Trepka
- Krzysztof W. Malinowski
- Aleksander Gorbowski
- notes
  - 1
  - 2
  - 3

Kroki w nieznane 5

Almanach fantastyczno-naukowy

Wybór Lech Jęczmyk

1. Kurt Vonnegut — *Hart ducha* (*Fortitude*)
2. Victor Contoski — *Gambit Von Gooma* (*Von Goom"s Gambit*)
3. Wieczesław Moroczenko — *Wiecie jak się nazywam* (*Moja imia wam izwiestno*)
4. Dean Mc Laughlin — *Kryterium* (*Tuchstone*)
5. Ray Bradbury — *Poczwarka* (*Chrysalis*)
6. Krzysztof W. Malinowski — *Wizja II*
7. Robert Sheckley — *Świat naszych pragnień* (*The World of Heart's Desire*)
8. Robert Silverberg — *Szczęśliwy dzień w roku 2381* (*A Happy Day in 2381*)
9. Stanisław Lem — *Profesor A. Dońda*
10. Ilia Warszawski — *Uniwersalny poradnik dla pisarzy fantastów* (*Nazidanije dla pisatielej fantastow*)
11. Arthur C.Clarke — *Ognie od wewnątrz* (*The Fires Within*)
12. Janusz A. Zajdel — *Żywa torpeda*
13. Bruce Jay Friedman — *Zabójca z telewizora* (*The Killer in the TV Set*)
14. Clifford D. Simak — *Chodzić po ulicach miasta* (*To Walk a City"s Street*)
15. Henry Slesar — *Po* (*After*)
16. Janusz A. Zajdel — *Raport z piwnicy*
17. Laurence Yep — *Dzieci Selcheya* (*The Selchey Kids*)
18. Rick Norwood — *Omnia Triste* (*Omnia Triste*)
19. Arthur C.Clarke — *Strzała czasu* (*The Time's Arrow*)
20. Krzysztof W. Malinowski — *Schizochronia*
21. Michaił Puchow — *Galeria obrazów* (*Galerija*)
22. Isaac Asimov — *Ostatnie pytanie* (*The Last Question*)
23. Philip Jose Farmer — *Tylko we wtorek* (*The Sliced-Crosswise Only-on-Tuesday World*)
24. Andrzej Czechowski — *Rekonstrukcja*
25. Terry Dixon — *Opowieść Barda* (*The Bard's Tale*)

Fakty hipotezy zagadki

Andrzej Trepka — *Człowiek nie jest samotny we wszchświecie*

Krzysztof W. Malinowski — *Czekając na kosmitów*

Aleksander Gorbowski — *Wiedza znikąd (Zagadki drewniejszej*

istorii)

Wydawnictwo: Iskry
Miejsce wydania: Warszawa
Seria wydawnicza: Kroki w nieznane

OD REDAKCJI

Tygrys polować musi
I latać musi ptak,
A człowiek musi się głowić: czemu?
dlaczego? Jak?

Z Księgi Bokonona

Jest w tym tomie zastanawiające opowiadanie Mc Laughlina w formie artykułu z prasy przyszłości, uzasadniającego potrzebę wypraw kosmicznych. Najcenniejszą zdobyczą takich wypraw będą według niego nowe pytania. Bo człowiek jest dziwnym zwierzęciem, które oprócz innych pokarmów potrzebuje także wciąż nowych pytań. Odpowiedzi działają na niego usypiająco — paliwem dla ludzkiego umysłu są pytania. Może dlatego tylu uczniów drzemie na lekcjach, że naukę przedstawia im się w szkole jako zbiór odpowiedzi, nie zaś jako zbiór pytań.

W powieści amerykańskiej pisarki Ursuli Le Guin pod tytułem Lewa ręka ciemności przedstawiciel odległej planety tak wykłada zasady swojej filozofii pierwszemu wysłannikowi Ziemi:

— Nieznane, nieprzewidziane, nieudowodnione — to są rzeczy, na których opiera się życie. Niewiedza Jest podstawą myśli. Brak pewności jest podstawą działania. Co Jest pewne, nieuniknione, co można przewidzieć z całą pewnością?

— Że umrzemy.

— Tak… Jedyną rzeczą umożliwiającą życie Jest ciągła dotkliwa niepewność, nieświadomość tego, co wydarzy się Jutro.

Pytań i zagadek nie brak i na Ziemi, ale nawet największe zagadki oglądane codziennie przestają nas dziwić. Jedynie prawdziwi uczeni i poeci potrafią zachować dziecięcą zdolność do dziwienia się i zadawania pytań. Niektóre z najtrudniejszych pytań dotyczą historii i pochodzenia cywilizacji. Nowe odkrycia odsuwają początki cywilizacji coraz dalej w przeszłość. Jeszcze do niedawna uważano powszechnie, że człowiek przywędrował na kontynent amerykański około 20 000 lat temu przez północny pomost lądowy z Azji. Ostatnio czterej geologowie przedstawili w Dallas narzędzia kamienne z terenu Meksyku sprzed 250 000 lat.

W dziale Fakty, hipotezy, zagadki zamieszczamy rozdział z niewielkiej książeczki radzieckiego autora A. Gorbowskiego omawiającej zaskakującą wiedzę dawnych ludów. Istnieją tu dwa

możliwe wyjaśnienia. Jedno rozpowszechniane przez niestrudzonego Ericha von Danikena, to hipoteza o odwiedzinach przedstawicieli wysoko rozwiniętej cywilizacji z Kosmosu. Drugie, nie mniej fantastyczne z punktu widzenia dotychczasowej wiedzy historycznej sprowadza się do twierdzenia, że wiek złoty istniał naprawdę, że na długo przed okresem klasycznej starożytności istniała rozwinięta cywilizacja śmiałych żeglarzy opływających świat.

Każdy autor antologii fantastyki naukowej staje wobec problemu określenia jej granic. Fakt, że dotychczas nie znaleziono zadowalającej definicji science-fiction świadczy o tym, że jest ona czymś żywym, rozwijającym się. Przyjmując bardzo szerokie rozumienie fantastyki naukowej włączamy czasem utwory z jej pogranicza, które wydały nam się warte zaprezentowania czytelnikom.

Są więc w naszym tomie tacy znani wszystkim miłośnikom fantastyki tytani, jak Ray Bradbury (ze swoją wersją duszy anielskiej więzionej w czerepie rubasznym), autor przeszło stu książek Isaac Asimov, Arthur C. Clarke, Clifford D. Simak i znacznie od nich młodszy Robert Sheckley. Udało nam się zdobyć opowiadanie Stanisława Lema, który — jak niedawno podliczono — jest najbardziej czytanym autorem SF na świecie. Jego twórczość, znana do niedawna głównie w Związku Radzieckim i europejskich krajach socjalistycznych, zaczyna być tłumaczona na Zachodzie, wywołując tam niemałą sensację.

Opowiadanie Roberta Silverberga, płodnego autora amerykańskiego, który był najpoważniejszym kontrkandydatem Asimova do ostatniej nagrody Hugo, pochodzi z cyklu o miastach przyszłości — mrowiskach.

Kurt Vonnegut jest specjalistą od zadawania trafiających w sedno pytań. Doczekał się on niezwykłego wyróżnienia: w roku ubiegłym prasa doniosła, że dyrekcja jednej ze szkół w Stanach Zjednoczonych nakazała spalenie jego książek. Czyżby chcieli zachęcić wszystkich uczniów do czytania Vonneguta?

B. J. Friedman, należący do czołowych autorów amerykańskich, nie był dotychczas wydawany w Polsce. Obok realistycznych powieści pisze opowiadania, w których obserwacja obyczajowa przeplata się z fantazją.

Victor Contoski jest znanym amerykańskim poetą i tłumaczem polskiej poezji. Yep i Dixon reprezentują najmłodsze pokolenie pisarzy.

Również wśród autorów radzieckich obok dobrze znanego czytelnikom Ilji Warszawskiego przedstawiamy dwóch autorów nowych: Wiaczesława Moroczkę i Michaiła Puchowa.

Jeśli chodzi o polskich autorów, Janusz A. Zajdel ma na swoim

koncie dwa tomy opowiadań fantastycznych, Andrzej Czechowski wydał przed laty jeden tomik i pisuje niestety bardzo rzadko, Krzysztof W. Malinowski zaś debiutował w ubiegłorocznym wydaniu Kroków w nieznane.

Tak więc niniejszy zbiór opowiadań stanowi jakby przegląd nurtów i tendencji światowej i krajowej science — fiction od A (jak Asimov) do Z (jak Zajdel). Większość opowiadań tłumaczonych ukazuje się drukiem po raz pierwszy.

KROKI W NIEZNANE

Kurt Vonnegut
HART DUCHA

Fortitude

CZAS: teraźniejszość. MIEJSCE: północna część stanu Nowy Jork, obszerne pomieszczenie wypełnione pulsującą, wijącą się, dyszącą aparaturą, która pełni funkcje różnych ludzkich organów: serca, płuc, wątroby i tak dalej. Oznaczone różnymi kolorami, według kodu, rurki i przewody połączone z aparaturą wznoszą się ku górze, gdzie zebrane w wiązkę, przechodzą przez otwór w suficie. Z boku znajduje się nieprawdopodobnie skomplikowany pulpit sterowniczy.

DR ELBERT LITTLE, sympatyczny, przystojny, młody internista zwiedza pomieszczenie pod kierunkiem twórcy i kierownika całego przedsięwzięcia, DOKTORA NORBERTA FRANKENSTEINA. Frankenstein, lat sześćdziesiąt pięć, jest zidiociałym geniuszem medycznym. Za pulpitem sterowniczym, w słuchawkach na uszach, obserwując liczniki i migające światełka, siedzi DR TOM SWIFT, pełen zapału asystent Frankensteina.

LITTLE: — O Boże, o Boże…

FRANKENSTEIN: — Taak. To, co pan tam widzi, to są jej nerki. A to oczywiście wątroba. Tam trzustka.

LITTLE: — Zdumiewające. Doktorze Frankenstein, po obejrzeniu tego wszystkiego zaczynam mieć wątpliwości, czy kiedykolwiek byłem lekarzem, czy w ogóle studiowałem na Akademii Medycznej. — (Wskazując) — Czy to jest jej serce?

FRANKENSTEIN: — To jest serce firmy Westinghouse. Oni robią wspaniałe serca. Bo na przykład ich nerki są do niczego.

LITTLE: — To serce jest prawdopodobnie więcej warte niż cały rejon, w którym leczę.

FRANKENSTEIN: — Ta śledziona jest warta tyle, co pański cały stan. Vermont?

LITTLE: — Vermont.

FRANKENSTEIN: — Taaak, za te pieniądze moglibyśmy kupić Vermont. Nikomu do tej pory nie udało się zrobić trzustki, a nam była potrzebna w przeciągu dziesięciu dni; inaczej stracilibyśmy pacjentkę. Więc powiedzieliśmy wszystkim producentom ludzkich organów: „Stańcie na głowie, a my musimy mieć trzustkę. Zaprzęgnijcie do roboty wszystkich ludzi. Koszty nie grają roli, ale musimy ją mieć do wtorku”.

LITTLE: — I zrobili?

FRANKENSTEIN: — No przecież pacjentka żyje, jak pan widzi.

Ale to są kosztowne drobiażdżki, może mi pan wierzyć.

LITTLE: — Dobrze, że mogła sobie na to pozwolić.

FRANKENSTEIN: — W każdym razie nie przez ubezpieczalnię.

LITTLE: — Ile przeszła operacji i w ciągu ilu lat?

FRANKENSTEIN: — Pierwszą poważną operację zrobiłem jej trzydzieści sześć lat temu. Od tamtej pory przeszła siedemdziesiąt osiem operacji.

LITTLE: — A ile ona ma lat?

FRANKENSTEIN: — Sto.

LITTLE: — Ależ ta kobieta musi mieć nerwy!

FRANKENSTEIN: — Może je pan sobie obejrzeć.

LITTLE: — Ja… miałem na myśli jej odwagę. Hart ducha.

FRANKENSTEIN: — My ją oczywiście usypiamy. Nie operujemy bez środków znieczulających.

LITTLE: — Ale mimo to…

FRANKENSTEIN klepie Swifta po ramieniu. Swift zsuwa słuchawkę z jednego ucha, zerkając jednocześnie na gości i na pulpit.

FRANKENSTEIN: — Doktor Tom Swift, doktor Elbert Little. Tom jest moim asystentem.

SWIFT: — Cześć.

FRANKENSTEIN: — Doktor Little jest lekarzem z Vermont. Był tu akurat niedaleko i postanowił nas odwiedzić.

LITTLE: — Co pan słyszy w słuchawkach?

SWIFT: — Wszystko, co się dzieje w pokoju pacjentki. — (Podaje Little'owi słuchawki) — Bardzo proszę, pan jest naszym gościem.

LITTLE: (Wsłuchując się) — Nic nie słychać.

SWIFT: — Ją teraz czeszą. Jest tam u niej kosmetyczka. Zawsze jest cicho podczas czesania. — (Bierze od Little'a słuchawki).

FRANKENSTEIN (do Swifta): — Powinniśmy pogratulować naszemu młodemu gościowi.

SWIFT: — Z jakiej okazji?

LITTLE: — Słuszne pytanie. Właśnie: z jakiej okazji?

FRANKENSTEIN: — Słyszałem o wielkim zaszczycie, jaki pana spotkał.

LITTLE: — Ale obawiam się, że ja nie słyszałem.

FRANKENSTEIN: — Pan jest tym doktorem Little, który w ubiegłym miesiącu w ankiecie pisma „Kobieta i Dom" został wybrany Lekarzem Domowym Roku?

LITTLE: — Tak… to prawda. Nie mam pojęcia, jakim cudem do tego doszło. Ale jeszcze bardziej zdumiewa mnie fakt, że wie o tym człowiek z pańską pozycją.

FRANKENSTEIN: — Co miesiąc czytam „Kobietę i Dom" od deski do deski.

LITTLE: — Naprawdę?

FRANKENSTEIN: — Mam tylko jedną pacjentkę, panią Lovejoy. A pani Lovejoy czytuje właśnie „Kobietę i Dom”. W zeszłym miesiącu był o panu artykuł. Pani Lovejoy bez przerwy powtarzała: „Cóż to musi być za wspaniały młody człowiek. Taki wyrozumiały”.

LITTLE: — Uhm.

FRANKENSTEIN: — I oto jest pan we własnej osobie. Mogę się założyć, że ona do pana napisała.

LITTLE: — Owszem.

FRANKENSTEIN: — Ona pisuje rocznie tysiące listów i tysiące listów dostaje. Jest świetną korespondentką.

LITTLE: — Czy ona jest… ogólnie rzecz biorąc, wesoła?

FRANKENSTEIN: — Jeśli nie jest, to zawsze z naszej winy. Kiedy czuje się nieszczęśliwa, to znaczy, że tu na dole pokpiliśmy sprawę i coś nie działa właściwie. Mniej więcej miesiąc temu była w złym nastroju. Okazało się, że nawalił tranzystor bipolarny w pulpicie sterowniczym. — (Sięga Swiftowi przez ramię i manipuluje przy pulpicie. Aparatura przestawia się powoli). — O, teraz na przykład przez parę minut będzie w depresji. — (Znów zmienia ustawienie aparatury). — A teraz bardzo szybko zrobi się znacznie weselsza niż poprzednio. Będzie szczebiotała jak ptaszek.

LITTLE bezskutecznie usiłuje ukryć zgrozę. Przebitka na pokój pacjentki, pełen kwiatów, bombonierek i książek. Pacjentką jest SYLWIA LOVEJOY, wdowa po multimilionerze. To, co z niej zostało, jest właściwie tylko głową połączoną z rurkami i przewodami, wpuszczonymi w otwór w podłodze, ale to okazuje się dopiero później. Pierwsze ujęcie stanowi zbliżenie, na którym widać stojącą za Sylwią GLORIĘ, urodziwą kosmetyczkę. SYLWIA jest wzruszająco przystojną starszą panią, niegdyś znaną pięknością. Teraz płacze.

SYLWIA: — Gloria…

GLORIA: — Słucham panią?

SYLWIA: — Wytrzyj te łzy, zanim ktoś wejdzie i je zobaczy.

GLORIA (sama bliska płaczu): — Dobrze, proszę pani. (Wyciera łzy chusteczką ligninową i sprawdza, jaki jest tego efekt). — No już, już.

SYLWIA: — Zupełnie nie wiem, co mi się stało. Nagle zrobiło mi się tak smutno, że nie mogłam się powstrzymać.

GLORIA: — Każdy musi czasami popłakać.

SYLWIA: — Już mi to przechodzi. Czybyś powiedziała, że dopiero co płakałam?

GLORIA: — Ależ skąd! — (Nie jest w stanie już dłużej panować nad własnymi łzami. Idzie do okna, żeby Sylwia nie widziała, że płacze. Kamera cofa się ukazując klinicznie schludną ohydę głowy, przewodów i rurek. Głowa wsparta jest na trójnogu. W miejscu, w którym powinna być klatka piersiowa, zwisa czarna skrzynka z

migającymi kolorowymi światełkami. W zasięgu rąk stoi stolik, a na nim papier, pióro, częściowo rozwiązana krzyżówka i pękaty woreczek z robótką. Z woreczka wystają druty i nie dokończony sweter. Nad głową Sylwii wisi mikrofon).

SYLWIA (wzdychając): — Myślisz sobie na pewno, że jestem stara idiotka. — (Gloria, niezdolna dobyć głosu, potrząsa głową). — Gloria, ty jesteś?

GLORIA: — Jestem.

SYLWIA: — Czy coś się stało?

GLORIA: — Nie.

SYLWIA: — Jesteś moim prawdziwym przyjacielem, Glorio. Chcę, żebyś wiedziała, że czuję to całym sercem. Jestem do ciebie głęboko przywiązana.

GLORIA: — Ja panią też bardzo lubię.

SYLWIA: — Gdybyś kiedykolwiek miała kłopoty, w których mogłabym ci pomóc, mam nadzieję, że mi powiesz.

GLORIA: — Oczywiście, że powiem.

HOWARD DERBY, szpitalny listonosz, wkracza ze stertą listów. Jest to trochę stuknięty stary wesołek.

DERBY: — Listonosz! Listonosz!

SYLWIA (rozpromienia się): — Listonosz! Dzięki Bogu.

DERBY: — Jak się dziś czuje nasza pacjentka?

SYLWIA: — Jeszcze przed chwilą byłam bardzo smutna. Ale teraz, jak cię zobaczyłam, jestem wesoła jak szczygieł.

DERBY: — Dzisiaj mamy pięćdziesiąt trzy listy. Jeden nawet z Leningradu.

SYLWIA: — W Leningradzie jest taka jedna niewidoma. Biedactwo. Straszne biedactwo.

DERBY (rozkładając listy w wachlarz i czytając stemple): — Zachodnia Wirginia, Honolulu, Brisbane, Australia…

SYLWIA wybiera na chybił—trafił jedną kopertę.

SYLWIA: — Wheeling, Zachodnia Wirginia. Zaraz, kogo ja znam w Wheeling? — (Wprawnie otwiera kopertę swoimi mechanicznymi rękami, czyta): — „Droga pani Lovejoy, Pani mnie nie zna, ale ja właśnie przeczytałam o Pani w» Reader's Digest «i nie mogę powstrzymać łez". „Reader's Digest"? Mój Boże, przecież ten artykuł ukazał się czternaście lat temu. A ona go właśnie przeczytała?

DERBY: — „Reader's Digest" jest niezniszczalny. Ten numer, co leży u nas w domu, ma chyba z dziesięć lat. Zawsze go czytam, jak chcę się podnieść na duchu.

SYLWIA (czytając dalej): — Już nigdy w życiu, bez względu na to, co mnie spotka, nie będę narzekała. Pół roku temu, kiedy mój mąż najpierw zastrzelił swoją przyjaciółkę, a potem sam palnął sobie w łeb, myślałam, że człowiek nie może być już bardziej nieszczęśliwy.

Zostawił mnie z siedmiorgiem dzieci i ośmioma ratami do zapłacenia za Buicka Roadmastera, który miał trzy kapcie zamiast opon i nawalony wał korbowy. Ale kiedy przeczytałam o Pani, pomyślałam sobie, że jednak jestem bardzo szczęśliwa." Czy to nie uroczy list?

DERBY: — Bardzo.

SYLWIA: — Jest jeszcze postscriptum: „Proszę szybko przychodzić do zdrowia, słyszy Pani?" — (Odkłada list na stół). — Czy jest może coś z Vermont?

DERBY: — Z Vermont?

SYLWIA: — W ubiegłym miesiącu, kiedy byłam w depresji, napisałam list, niestety bardzo głupi, egoistyczny i pełen rozczulania się nad sobą, do młodego lekarza, o którym przeczytałam w,Kobiecie i Domu". Bardzo się tego wstydzę. Żyję w ciągłym strachu, co on mi odpisze — o ile w ogóle odpisze.

GLORIA: — A cóż on może odpisać?

SYLWIA: — Może mi napisać o prawdziwym ludzkim cierpieniu, o ludziach, którzy nie mają co do garnka włożyć, tak biednych, że nigdy w życiu nie byli u lekarza. I cóż wobec tego znaczę ja — z całą pomocą, jakiej doznałam, czułą troską, jaką jestem otoczona, i najnowszymi zdobyczami nauki, z których korzystam.

Przebitka na korytarz przed pokojem Sylwii. Na drzwiach widać napis: TUTAJ WCHODŹ ZAWSZE Z UŚMIECHEM! Frankenstein i Little mają właśnie wejść.

LITTLE: — Ona tam jest?

FRANKENSTEIN: — Te jej części, których nie ma na dole.

LITTLE: — Mam nadzieję, że wszyscy przestrzegają tego polecenia.

FRANKENSTEIN: — To należy do terapii. Leczymy całego pacjenta.

GLORIA wychodzi z pokoju, starannie zamyka za sobą drzwi i wybucha głośnym płaczem.

FRANKENSTEIN (do Glorii z niesmakiem): — Jakżeż to można tak głośno płakać? Co się znów stało?

GLORIA: — Doktorze Frankenstein, niech pan jej pozwoli umrzeć. Na miłość boską, niech pan jej pozwoli umrzeć!

LITTLE: — Czy to jest jej pielęgniarka?

FRANKENSTEIN: — Jest za głupia na to, żeby być pielęgniarką! Zasmarkana kosmetyczka. Dostaje sto dolarów tygodniowo za to, że dba o twarz i włosy pacjentki. — (Do Glorii): — Przegrałaś, złotko. Masz tę posadkę z głowy.

GLORIA: — Co?

FRANKENSTEIN: — Bierz swój czek i zjeżdżaj!

GLORIA: — Jestem jej najbliższą przyjaciółką.

FRANKENSTEIN: — Napisz do niej parę słów.

GLORIA: — Jestem jej jedyną przyjaciółką.

FRANKENSTEIN: — Ładna przyjaciółka! Dopiero co prosiłaś mnie, żebym ją zabił.

GLORIA: — Owszem, w imię miłosierdzia.

FRANKENSTEIN: — Taka jesteś pewna, że istnieje niebo? Chcesz ją tam jak najprędzej posłać, po skrzydełka i harfę pewnie, co?

GLORIA: — Wiem w każdym razie, że istnieje piekło. Widziałam je. O, tam. A pan jest jego wielkim wynalazcą.

FRANKENSTEIN (urażony, odpowiada dopiero po chwili): — Boże, jakie głupstwa ludzie nieraz wygadują.

GLORIA: — Czas wreszcie, żeby przemówił ktoś, kto ją naprawdę kocha.

FRANKENSTEIN: — Kocha.

GLORIA: — Pan nie ma pojęcia, co to słowo znaczy.

FRANKENSTEIN: — Kocha — (bardziej do siebie niż do niej). — Czy ja mam żonę? Nie. Czy mam kochankę? Nie. Kochałem w życiu tylko dwie kobiety — matkę i tę tutaj. Matki nie byłem w stanie uchronić przed śmiercią. Właśnie skończyłem medycynę, kiedy konała na raka. „Okay, mądralo, powiedziałem sobie, jesteś ważny doktor z Heidelbergu, zobaczymy, czy potrafisz.uratować swoją matkę od śmierci". Wszyscy mi mówili, że sprawa jest beznadziejna, a ja na to, że głowy nie dam, ale postaram się coś dla niej zrobić. Ostatecznie uznali, że jestem stuknięty, i wsadzili mnie na jakiś czas do czubków. Kiedy wyszedłem, już nie żyła. Dokładnie tak, jak przepowiedzieli wszyscy mądrzy ludzie. Ale ci wszyscy mądrzy ludzie nie wiedzieli jednej rzeczy: jakich cudów potrafi dokonać technika; ja też wtedy nie wiedziałem, ale miałem się o tym przekonać. Wstąpiłem więc do Instytutu Techniki Massachusetts i przez sześć długich lat studiowałem mechanikę, elektryczność i chemię. Mieszkałem na strychu. Odżywiałem się czerstwym chlebem i serem, którego używają do pułapek na myszy. Kiedy opuściłem instytut, powiedziałem sobie: „No cóż, chłopcze, najprawdopodobniej jesteś w tej chwili jedynym facetem na świecie mającym dostateczne wykształcenie, by uprawiać medycynę dwudziestego wieku." Zacząłem pracować w Klinice Curleya w Bostonie. Pewnego dnia przywieźli tę kobietę: na zewnątrz piękna, ale w środku — szmelc. Dosłownie skóra zdjęta z mojej matki. Była wdową po człowieku, który jej zostawił pięćset milionów dolarów. Nie miała żadnej rodziny. Mądrzy ludzie i tym razem powiedzieli: „Ta kobieta musi umrzeć". A ja im na to: „Zamknijcie się i posłuchajcie. Ja wam powiem, co zrobimy".

Cisza.

LITTLE: — Pasjonująca historia.

FRANKENSTEIN: — To jest historia o miłości. — (Do Glorii): — Ta love story zaczęła się na długie lata przed twoim urodzeniem, ty

specjalistko od kochania. I trwa w dalszym ciągu.

GLORIA: — W zeszłym miesiącu prosiła mnie, żebym jej przyniosła pistolet, chciała odebrać sobie życie.

FRANKENSTEIN: — I ty myślisz, że ja o tym nie wiem? — (Wycelowując w Little'a duży palec): — A w zeszłym miesiącu napisała do niego list, w którym prosiła: „Doktorze, jeśli pan ma serce, niech pan mi przywiezie odrobinę cyjanku".

LITTLE (zdumiony): — To pan o tym wiedział? Pan… pan czyta jej korespondencję?

FRANKENSTEIN: — Musimy wiedzieć, co ona naprawdę myśli. Mogłaby nas oszukiwać, po prostu udawać, że jest szczęśliwa. Mówiłem panu o tej awarii tranzystora bipolarnego w ubiegłym miesiącu. Gdybyśmy nie czytali jej korespondencji i nie słuchali tego, co mówi do takich różnych półgłówków, jak ta tutaj, moglibyśmy w ogóle nie wiedzieć, że cokolwiek nawaliło. — (Urażony do żywego) — Niech pan tam wejdzie. Niech pan zostanie tak długo, jak pan sam uzna za stosowne, i niech pan ją pyta, o co chce. A potem proszę mi powiedzieć szczerze: czy zastał pan tam kobietę szczęśliwą, czy kobietę w piekle.

LITTLE (z wahaniem): — Ja…

FRANKENSTEIN: — No, niech pan wchodzi! Bo ja mam tu jeszcze to i owo do powiedzenia naszej miss roku, szanownej pannie Mizerykordii. Chciałbym jej pokazać ciało, które od lat przebywa w trumnie, niech zobaczy, jaka ładna jest śmierć, której tak pragnie dla swojej przyjaciółki.

LITTLE zastanawia się, co by tu powiedzieć, w końcu wyrazem twarzy daje do zrozumienia, że chce być lojalny w stosunku do wszystkich. Wchodzi do pokoju pacjentki. Przebitka na pokój. Sylwia jest sama, odwrócona tyłem do drzwi.

SYLWIA: — Kto tam?

LITTLE: — Przyjaciel. Ktoś, do kogo pani napisała list.

SYLWIA: — To może być każdy. Chciałabym pana zobaczyć. — (Little pokazuje się jej. Sylwia ogląda go od stóp do głów z rosnącą sympatią.) — Doktor Little, lekarz domowy z Vermont.

LITTLE (kłaniając się lekko): — Jak pani zdrowie, pani Lovejoy?

SYLWIA: — Czy przywiózł mi pan cyjanek potasu?

LITTLE: — Nie.

SYLWIA: — I tak bym go dziś nie wzięła. Taki cudowny dzień. Nie chciałabym go stracić, ani jutra. Czy przyjechał pan na białym koniu?

LITTLE: — Niebieskim Oldsmobilem.

SYLWIA: — A co z pana pacjentami, którzy tak pana kochają i potrzebują?

LITTLE: — Zastępuje mnie inny lekarz. Ja mam tydzień urlopu.

SYLWIA: — Ale nie z mojego powodu?

LITTLE: — Nie.

SYLWIA: — Bo ja miewam się bardzo dobrze. Widzi pan, w jakich cudownych jestem rękach.

LITTLE: — Właśnie.

SYLWIA: — Co jak co, ale drugi lekarz naprawdę mi nie jest potrzebny.

LITTLE: — Jasne.

Cisza.

SYLWIA: — Ale chciałabym mieć kogoś, z kim mogłabym porozmawiać o śmierci. Pan pewnie widział niejedną śmierć, prawda?

LITTLE: — Owszem.

SYLWIA: — I dla niektórych była ona błogosławieństwem?

LITTLE: — Przynajmniej tak mówili.

SYLWIA: — Ale pan sam tak nie mówi?

LITTLE: — Z zawodowego punktu widzenia biorąc, lekarz nie powinien tak mówić.

SYLWIA: — A dlaczego ludzie utrzymują czasem, że śmierć jest błogosławieństwem?

LITTLE: — Ponieważ cierpią i nie można im pomóc za żadne pieniądze, przynajmniej im dostępne. Albo są upośledzeni umysłowo. Brak im piątej klepki, której nie mogą odzyskać.

SYLWIA: — Za żadne pieniądze.

LITTLE: — O ile wiem, nie ma w tej chwili możliwości wyżebrania, pożyczenia czy ukradzenia sztucznego mózgu dla kogoś, kto go stracił. Gdybym zapytał o to doktora Frankensteina, powiedziałby mi na pewno, że to sprawa niedalekiej przyszłości.

SYLWIA: — Bo to jest sprawa niedalekiej przyszłości.

LITTLE: — Mówił to pani?

SYLWIA: — Zapytałam go wczoraj, co będzie, jak mi wy siądzie mózg. Był bardzo pogodny. Powiedział, żebym sobie nie łamała nad tą sprawą mojej ślicznej główki. „Sforsujemy most, kiedy do niego dojdziemy", powiedział. — (Pauza) — Mój Boże, te wszystkie mosty, które już przekroczyłam!

Przebitka na pokój ze sztucznymi organami, jak na początku. Za pulpitem sterowniczym siedzi Swift. Wchodzą Frankenstein i Little.

FRANKENSTEIN: — Zrobił pan pełną rundę i jesteśmy z powrotem w punkcie, z którego pan wyszedł.

LITTLE: — I w dalszym ciągu mam do powiedzenia tylko to, co na początku: „Mój Boże, mój Boże".

FRANKENSTEIN: — Trochę trudno będzie po tym wrócić do pańskiej terapii opartej na aspirynie i pigułkach przeczyszczających, co?

LITTLE: — Tak. — (Przerwa). — Która z tych rzeczy jest

najtańsza?

FRANKENSTEIN: — Najprostsza. Cholerna pompa.

LITTLE: — Ile może teraz kosztować serce?

FRANKENSTEIN: — Sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Są zresztą tańsze i droższe. Ale te tanie są nic niewarte. A znów drogie na wagę złota.

LITTLE: — Ile mniej więcej takich serc sprzedaje się teraz rocznie?

FRANKENSTEIN: — Około sześciuset.

LITTLE: — Dasz serce, to dasz życie. Nie dasz serca — śmierć.

FRANKENSTEIN: — O ile problem polega na sercu. Ten, kto ma taki tani kłopot, może się uważać za szczęściarza. — (Do Swifta): — Hej, Tom, uśpij ją, żeby nasz gość zobaczył, jak tu u nas wygląda zakończenie dnia.

SWIFT: — Ale mamy jeszcze dwadzieścia minut czasu.

FRANKENSTEIN: — Co za różnica? Jak prześpi dwadzieścia minut ekstra, to i tak się jutro obudzi w świetnej formie, chyba że nawali następny tranzystor bipolarny.

LITTLE: — A dlaczego nie nastawicie na nią kamery telewizyjnej, żebyście mogli ją obserwować na ekranie?

FRANKENSTEIN: — Nie chciała.

LITTLE: — Stosujecie się do wszystkich jej życzeń?

FRANKENSTEIN: — Stosujemy się do tego jej życzenia. Po kiego diabła mielibyśmy obserwować jej twarz? Odczytując liczniki tu na dole, wiemy o niej więcej niż ona sama o sobie. — (Do Swifta): — Uśpij ją, Tom.

SWIFT (Do Little'a): — To jest zupełnie tak, jakby się zwalniało bieg samochodu albo wygaszało piec.

LITTLE: — Mhm.

FRANKENSTEIN: — Tom też skończył studia i medyczne, i techniczne.

LITTLE: — Czy pod koniec dnia jest pan zmęczony, Tom?

SWIFT: — Tak, ale to przyjemny rodzaj zmęczenia. Jak gdybym wielkim odrzutowcem przebył odległość od Nowego Jorku do Honolulu, coś w tym rodzaju. — (Ujmując dźwignię) — A teraz sprowadzimy panią Lovejoy do szczęśliwego lądowania. — (Stopniowo ściąga dźwignię do dołu i aparatura zwalnia). — O.

FRANKENSTEIN: — Pięknie.

LITTLE: — I ona śpi?

FRANKENSTEIN: — Jak niemowlę.

SWIFT: — Teraz muszę tylko zaczekać na kolegę, który ma nocną zmianę.

LITTLE: — Czy nigdy nikt jej nie przyniósł broni?

FRANKENSTEIN: — Nie. Zresztą na nic by jej się to nie zdało.

Ręce zostały tak zaprojektowane, żeby nie mogła ani do siebie strzelić, ani zażyć trucizny, choćby nie wiem jak próbowała. To już zawdzięczamy geniuszowi Toma.

LITTLE: — Gratulacje.

Dzwoni dzwonek alarmowy. Zapala się światło.

FRANKENSTEIN: — Kto to może być? — (Do Little'a): — Ktoś musiał wejść do jej pokoju. My to lepiej sprawdźmy! — (Do Swifta): — Zamknij tam drzwi, Tom. Będziemy go mieli. — (Swift naciska guzik zamykający drzwi na górze. Do Little'a): — Niech pan ze mną idzie.

Przebitka na pokój pacjentki. Sylwia śpi, lekko chrapiąc. Gloria właśnie się wśliznęła do pokoju. Rozgląda się niespokojnie, wyjmuje z torebki pistolet, upewnia się, czy jest nabity, i chowa go do woreczka z robótką Sylwii. Ledwie zdążyła to zrobić, kiedy wpadają bez tchu Little i Frankenstein, który otworzył drzwi swoim kluczem.

FRANKENSTEIN: — Co to ma znaczyć?

GLORIA: — Zostawiłam tu zegarek. — (Wskazuje na zegarek) — O, już go mam.

FRANKENSTEIN: — Chyba ci mówiłem, żebyś się tu więcej nie pokazywała?

GLORIA: — Już się więcej nie — pokażę.

FRANKENSTEIN (Do Little'a): — Niech pan jej przypilnuje. A ja zobaczę, czy tu nie było jakichś kombinacji. — (Do Glorii): — A może chciałabyś stanąć przed sądem pod zarzutem usiłowania morderstwa, co? — (Do mikrofonu): — Tom, słyszysz mnie?

SWIFT: (Głos z wiszącego na ścianie głośnika): — Słyszę.

FRANKENSTEIN: — Obudź ją. Muszę ją zbadać.

SWIFT: — Kukuryku!

Słychać, jak na dole aparatura zaczyna szybciej pracować. Sylwia otwiera oczy, rozkosznie oszołomiona.

SYLWIA (Do Frankensteina): — Dzień dobry, Norbert.

FRANKENSTEIN: — Jak się czujesz?

SYLWIA: — Tak jak zawsze, kiedy się budzę, cudownie, trochę tak jakby mnie kołysały fale. Gloria! Jak się masz!

GLORIA: — Dzień dobry.

SYLWIA: — Doktor Little! Został pan na jeszcze jeden dzień?

FRANKENSTEIN: — To nie jest ranek. Za chwileczkę z powrotem cię uśpimy.

SYLWIA: — Co, znów jestem chora?

FRANKENSTEIN: — Nie sądzę.

SYLWIA: — Czy znów będę miała jakąś operację?

FRANKENSTEIN: — Uspokój się, uspokój się. — (Wyjmuje z kieszeni oftalmoskop).

SYLWIA: — Jak mogę być spokojna, skoro myślę o następnej

operacji?

FRANKENSTEIN: (Do mikrofonu): — Tom, daj jej coś na uspokojenie.

SWIFT (Głośnik): — Już daję.

SYLWIA: — Ciekawe, co jeszcze stracę. Uszy? Włosy?

FRANKENSTEIN: — Za chwileczkę będziesz spokojna.

SYLWIA: — Oczy? Tak, oczy, Norbert, czy teraz przyszła kolej na moje oczy?

FRANKENSTEIN (Do Glorii): — Widzisz, coś najlepszego narobiła? — (Do mikrofonu): — No, gdzie są do diabła te środki uspokajające?

SWIFT: — Już powinny zacząć działać.

SYLWIA: — A zresztą to nie ma znaczenia. — (Podczas gdy Frankenstein bada jej oczy): — To jednak oczy, prawda?

FRANKENSTEIN: — Ani oczy, ani nic innego.

SYLWIA: — Łatwo przyszły, łatwo pójdą.

FRANKENSTEIN: — Jesteś zdrowa jak byk.

SYLWIA: — Z pewnością ktoś produkuje świetne oczy.

FRANKENSTEIN: — RCA robi wspaniałe oczy, ale jak na razie nie ma powodu kupować. — (Wycofuje się zadowolony) — Wszystko jest w porządku. — (Do Glorii): — Twoje szczęście.

SYLWIA: — Cieszę się, kiedy moim przyjaciołom się szczęści.

SWIFT: — Można ją już uśpić z powrotem?

FRANKENSTEIN: — Jeszcze nie. Muszę tam na dole sprawdzić parę rzeczy.

SWIFT: — Dobra. Wyłączam się.

Przebitka na wchodzących kilka minut później do pokoju na dole Little'a, Glorię i Frankensteina. Swift siedzi za pulpitem sterowniczym.

SWIFT: — Nocna zmiana się spóźnia.

FRANKENSTEIN: — On ma kłopoty w domu. Posłuchaj mojej rady, chłopcze. Nigdy się nie żeń. (Obserwuje licznik po liczniku).

GLORIA (Przerażona tym, co ją otacza): — Boże… Boże…

LITTLE: — Nigdy przedtem pani tego nie widziała?

GLORIA: — Nie.

FRANKENSTEIN: — Ona była wielką specjalistką od włosów. Odjęliśmy pacjentce wszystko, prócz włosów. — (Jest zaskoczony odczytem licznika) — A to co znowu? — (Wali w licznik, który tym razem wskazuje właściwie) — No, to już co innego.

GLORIA (Beznadziejnie): — Nauka…

FRANKENSTEIN: — A co tyś sobie wyobrażała, że tu zastaniesz?

GLORIA: — Bałam się nawet pomyśleć. Teraz rozumiem, dlaczego.

FRANKENSTEIN: — A czy ty w ogóle masz jakiekolwiek naukowe przygotowanie, czy w minimalnym choćby stopniu potrafisz pojąć to,

co tu widzisz?

GLORIA: — W szkole średniej dwa razy oblałam naukę o ziemi.

FRANKENSTEIN: — A czego tam uczą w szkole kosmetycznej?

GLORIA: — Głupich ludzi uczą głupich rzeczy. Jak umalować twarz. Jak zakręcić i rozczesać włosy. Jak je strzyc. Jak farbować. Manicure. Latem pedicure.

FRANKENSTEIN: — Obawiam się, że jak stąd pójdziesz, będziesz opowiadała na prawo i lewo niestworzone rzeczy o tym, co tu się dzieje.

GLORIA: — Niewykluczone.

FRANKENSTEIN: — Zapamiętaj sobie jedno: jesteś i za głupia na to, i za mało wykształcona, żeby w ogóle zabierać głos na temat naszego przedsięwzięcia. Zgoda?

GLORIA: — Może.

FRANKENSTEIN: — A co takiego masz zamiar mówić?

GLORIA: — Nic specjalnego. Po prostu, że…

FRANKENSTEIN: — Że co?

GLORIA: — Ze trzyma pan tu głowę zmarłej kobiety, podłączoną do aparatury, i że się pan nią przez cały dzień zabawia; że nie jest pan żonaty ani nic w tym rodzaju i że w ogóle niczym innym się pan nie zajmuje.

Wszyscy nieruchomieją, jak na fotografii. Obraz ciemnieje, robi się czarny. Potem jaśnieje i postacie zaczynają się poruszać.

FRANKENSTEIN (oburzony): — Jak możesz o niej mówić „zmarła”? Przecież ona czytuje „Kobietę i Dom”! Mówi! Robi na drutach! Pisuje listy do ludzi na całym świecie!

GLORIA: — Ona przypomina koszmarną wróżkę—automat z nędznego lokaliku.

FRANKENSTEIN: — A ja myślałem, że ty ją kochasz.

GLORIA: — Od czasu do czasu tli się w niej jeszcze iskierka tego, czym była dawniej. Kocham tę iskierkę. Większość osób podziwia Sylwię za jej odwagę. Tylko co warta jest ta odwaga, skoro pochodzi stąd? Może pan przekręcić parę kurków i przełączników i będzie się paliła, żeby lecieć rakietą na Księżyc. Ale niezależnie od tego, co pan tu wyczynia, ta mała iskierka, która w niej pozostała, nie przestaje myśleć: „Niech mnie ktoś wreszcie, na miłość boską, stąd zabierze!”

FRANKENSTEIN (Spoglądając na pulpit sterowniczy): — Doktorze Swift, czy mikrofon jest włączony?

SWIFT: — Tak. — (Strzelając palcami) — Przepraszam bardzo.

FRANKENSTEIN: — Zostaw go. — (Do Glorii): — Słyszała słowo w słowo wszystko, co mówiłaś. Ciekawe, jak się czujesz?

GLORIA: — A teraz też mnie słyszy?

FRANKENSTEIN: — Nie krępuj się. Oszczędzasz mi wiele fatygi. Po prostu nie będę jej musiał wyjaśniać, jaką byłaś naprawdę

przyjaciółką i dlaczego cię wyrzuciłem.

GLORIA (Podchodząc bliżej do mikrofonu): — Pani Lovejoy?

SWIFT (Powtarza, co słyszy w słuchawkach): — Mówi: „Co takiego, kochanie?”

GLORIA: — W woreczku z robótką ma pani nabity pistolet — na wypadek gdyby pani miała już dość życia.

FRANKENSTEIN (W najmniejszym nawet stopniu nie zaniepokojony bronią, ale pełen pogardy i niesmaku pod adresem Glorii): — Ty idiotko do kwadratu, skąd wzięłaś ten pistolet?

GLORIA: — Zamówiłam korespondencyjnie w domu wysyłkowym w Chicago. Było ogłoszenie w „Romansach z życia wziętych”.

FRANKENSTEIN: — Sprzedają broń głupim dziwkom.

GLORIA: — Gdybym chciała, mogłabym mieć działko przeciwczołgowe.

FRANKENSTEIN: — Pójdę teraz po ten pistolet, który będzie dowodem rzeczowym numer jeden na twoim procesie — (wychodzi).

LITTLE (Do Swifta): — Czy nie powinien pan uśpić pacjentki?

SWIFT: — Ona w żaden sposób nie jest w stanie zrobić sobie krzywdy.

GLORIA (Do Little’a): — Co on chce przez to powiedzieć?

LITTLE: — Jej ręce są tak skonstruowane, żeby nie mogła wymierzyć w siebie broni.

GLORIA (Załamana): — Nawet o tym pomyśleli.

Przebitka na pokój Sylwii. Wchodzi Frankenstein. Sylwia z namysłem ogląda pistolet.

FRANKENSTEIN: — Ładne masz zabawki.

SYLWIA: — Norbert, nie możesz się złościć na Glorię. Sama ją o to prosiłam. Błagałam ją.

FRANKENSTEIN: — W ubiegłym miesiącu.

SYLWIA: — Tak.

FRANKENSTEIN: — Ale teraz już jest wszystko w porządku.

SYLWIA: — Wszystko, poza iskierką.

FRANKENSTEIN: — Iskierką?

SYLWIA: — Tak, tą, o której mówiła Gloria, że ją kocha. Małą iskierką tego, czym byłam dawniej. I teraz, kiedy jestem taka bardzo szczęśliwa, ta iskierka mi nakazuje wziąć pistolet i strzelić.

FRANKENSTEIN: — A ty co na to?

SYLWIA: — Ja to zrobię, Norbert. Traktuj to jako pożegnanie. — (Na wszelkie możliwe sposoby usiłuje wycelować w siebie broń, ponawiając nieudane próby, podczas gdy Frankenstein spokojnie stoi obok). — To nie przypadek, prawda?

FRANKENSTEIN: — Bardzo byśmy nie chcieli, żebyś zrobiła sobie coś złego. My też cię kochamy.

SYLWIA: — Jak długo jeszcze muszę żyć w ten sposób? Nigdy nie

miałam odwagi o to zapytać.

FRANKENSTEIN: — Musiałbym wziąć odpowiedź z kapelusza.

SYLWIA: — Może lepiej nie. — (Milczenie). — No, co ci wyszło z tego kapelusza?

FRANKENSTEIN: — Co najmniej pięćset lat.

Cisza.

SYLWIA: — To znaczy, że ja będę żyła jeszcze długo po tym, jak ty umrzesz?

FRANKENSTEIN: — Nadszedł czas, moja droga Sylwio, żebym ci wreszcie powiedział coś, co miałem ochotę powiedzieć ci od lat. Każdy z organów zainstalowanych tam na dole zdolny jest obsłużyć dwie ludzkie istoty, nie jedną. A wszystkie rurki i przewody tak są zaprojektowane, że w każdej chwili można do nich podłączyć drugiego człowieka. — (Cisza). — Czy ty rozumiesz, co ja do ciebie mówię, Sylwio? — (Cisza. A następnie z uczuciem): — Sylwio! Tą drugą ludzką istotą będę ja! Co znaczy małżeństwo! Co znaczą znane z historii wielkie miłości! Twoja nerka będzie moją nerką! Twoja wątroba będzie moją wątrobą! Twoje serce będzie moim sercem! Twoje wzloty będą moimi wzlotami, a twoje upadki będą moimi upadkami! Sylwio, będziemy żyli w tak doskonałej harmonii, że bogowie zzielenieją z zazdrości!

SYLWIA: — I ty tego pragniesz?

FRANKENSTEIN: — Bardziej niż czegokolwiek na świecie.

SYLWIA: — No to masz. — (Wygarnia do niego z pistoletu).

Ten sam pokój w niecałe pół godziny później. Stoi drugi trójnóg z głową Frankensteina. I Frankenstein, i Sylwia śpią. Swift, w asyście Little'a, gorączkowo dokonuje ostatnich podłączeń do aparatury na dole. Dokoła walają się klucze, lutownica i inne narzędzia hydrauliczne i elektryczne.

SWIFT: — To by było wszystko. — (Prostuje się i rozgląda). — No tak, to by było wszystko.

LITTLE (Spoglądając na zegarek): — Od pierwszego strzału upłynęło dwadzieścia osiem minut.

SWIFT: — Całe szczęście, że pan był tutaj.

LITTLE: — Bardziej by się panu przydał hydraulik.

SWIFT (Do mikrofonu): — Charley, my tu już jesteśmy gotowi. A ty?

CHARLEY (Głośnik): — Gotowy.

SWIFT: — Daj im drinka.

GLORIA (staje otępiała w drzwiach).

CHARLEY: — Już dostali. Będą chodzili na rzęsach.

SWIFT: — Daj im może trochę LSD.

CHARLEY: — Już się robi.

SWIFT: — Stop! Zapomniałem o fonografie. — Do Little'a): —

Doktor Frankenstein prosił, że gdyby kiedykolwiek do tego doszło, chciałby po odzyskaniu przytomności posłuchać płyty. Powiedział, że ona jest tam, gdzie wszystkie inne, taka w gładkiej białej kopercie. (Do Glorii): — Poszukaj.

GLORIA podchodzi do fonografu, znajduje płytę.

GLORIA: — To ta?

SWIFT: — Nastaw.

GLORIA: — Którą stronę?

SWIFT: — Nie wiem.

GLORIA: — Jedna strona jest zaklejona taśmą.

SWIFT: — To tę stronę bez taśmy. — (Gloria zakłada płytę. Do mikrofonu): — Przygotuj się, żeby ich obudzić.

CHARLEY przygotowuje się.

Płyta zaczyna grać. Jest to duet Jeanette MacDonald i Nelsona Eddy z „Cudownej tajemnicy życia".

SWIFT (Do mikrofonu): — Obudź ich!

FRANKENSTEIN i SYLWIA budzą się, przepełnieni nieokreśloną radością. Na pół śniąc zaczynają zdawać sobie sprawę z muzyki, w końcu dostrzegają siebie nawzajem, patrzą na siebie jak starzy dobrzy przyjaciele.

SYLWIA: — Witaj!

FRANKENSTEIN: — Cześć.

SYLWIA: — Jak się czujesz?

FRANKENSTEIN: — Cudownie. Po prostu cudownie.

Przełożyła Zofia Uhrynowska

Victor Contoski
GAMBIT VON GOOMA

Van Goom's Gambit

Gambitu Von Gooma nie znajdziecie w żadnej książce na temat otwarć szachowych. *Moderne Schachtheorie* Ludvika Pachmana po prostu go ignoruje. Autorytatywna *Tieoria szachmatnych diebiutow* Paula Keresa wspomina o nim tylko mimochodem w przypisie na stronie 239, radząc czytelnikom, żeby pod żadnym pozorem nie próbowali go stosować i na wszelki wypadek nie podaje o nim żadnych bliższych informacji. *Archives* doktora Maxa Euwe odnotowują go w skorowidzu pod inicjałami V. G. (Gambit), ale na szczęście nie podają strony. Dwudziestotomowa *Chess Encyclopaedia* (wydanie czwarte) stwierdza, że Von Goom jest postacią mityczną i zalicza go do tej samej grupy zjawisk co wilkołaki i wampiry. O jego gambicie nie ma nawet wzmianki. Wasilij Nikołajewicz Krylów gorąco poleca gambit Von Gooma w angielskim wydaniu swojej książki *Russian Theory of the Opening*, ale w rosyjskim wydaniu nie ma na ten temat ani słowa. Na szczęście Krylów nie znał — i nie zna nadal — samych ruchów, nie mógł więc ich polecić swoim amerykańskim czytelnikom. Gdyby to zrobił, zimna wojna byłaby skończona. Byłby to koniec Ameryki, a może nawet koniec świata.

Von Goom był jak większość odkrywców niepozornym człowiekiem i najprawdopodobniej dokonał swego odkrycia, jak większość odkrywców, przypadkiem. Był nieślubnym dzieckiem znanej aktorki i ważnej osobistości ze świata politycznego. To skandaliczne pochodzenie było zmorą jego młodych lat i gdy tylko zyskał do tego prawo, zmienił sobie nazwisko na Von Goom. Odmówił przyjęcia imienia, gdyż twierdził, że nie jest chrześcijaninem, co mogło się wówczas wydawać nieistotne, ale z czasem miało rzucić wiele światła na tę niecodzienną postać. Rósł szybko jako dziecko i w wieku dziesięciu lat osiągnął wzrost pięciu stóp i czterech cali. Uznał widocznie, że to mu wystarczy, bo dalej już nie rósł. Kiedy zmierzono jego ciało po nagłym zgonie, okazało się, że ma dokładnie pięć stóp i cztery cale. Wkrótce po tym, jak przestał rosnąć, przestał również mówić. Pracować nie przestał tylko dlatego, że nigdy nie zaczynał. Majątki rodziców pozwalały mu na zaspokojenie wszystkich potrzeb. Przy pierwszej okazji rzucił szkołę i następne dwadzieścia lat życia spędził na czytaniu fantastyki naukowej i zapuszczaniu wąsa na jednej połowie twarzy. Prawdopodobnie gdzieś w tym okresie zapoznał się z grą w szachy.

Piątego kwietnia 1997 roku po raz pierwszy wziął udział w turnieju szachowym. Były to mistrzostwa stanu Minnesota. Początkowo uczestnicy sądzili, że mają do czynienia z głuchoniemym. Później jednak sędzia główny ogłaszając zestawienie par pomylił się i przeczytał: „Białe — Kurt Brasket, czarne Van Goon". „Von Goom" poprawił cichy, skrzypiący głos pełen bezdennego sarkazmu. W ten sposób Von Goom odezwał się po raz pierwszy od dwudziestu lat. Miał się odezwać jeszcze raz, przed śmiercią.

Von Goom nie wygrał mistrzostw stanu Minnesota. Przegrał z Brasketem w dwudziestym dziewiątym posunięciu. Następnie przegrał z George'em Barnesem po dwudziestu trzech ruchach, z K. N. Pedersenem po dziewiętnastu, Frederickiem G. Galvinem po siedmiu i z Jarnesem Seifertem po trzydziestu dziewięciu. Z doktorem Miltonem Ottesonem przegrał po trzech ruchach i z „Baby" George'em Jacksonem (który miał wówczas pięć lat) po stu dwóch. Zaraz potem wycofał się z rozgrywek szachowych na dwa lata.

Następny jego występ miał miejsce dwunastego grudnia 1999 roku w wielkim otwartym turnieju w Birmingham, gdzie również przegrał wszystkie partie. W tym samym roku wziął jeszcze udział w Festiwalu Szachowym we Fresno, w Kongresie Szachowym Stanów Wschodnich, w Turnieju Nadziei Krainy Brzoskwiń oraz w mistrzostwach Alaski. Bilans roku zamknął stosunkiem czterdzieści jeden do zera na korzyść swoich przeciwników.

Von Goom jednak nie zrażał się łatwo. Przez następne dwa i pół roku startował we wszystkich możliwych turniejach. Pieniądze nie grały roli, odległość nie była przeszkodą. Kupił sobie własny samolot i nauczył się latać, aby móc podróżować po całym kontynencie i grać w szachy wszędzie, gdzie to tylko możliwe. Pod koniec tego dwu i półletniego okresu wciąż jeszcze czekał na swoje pierwsze zwycięstwo.

I wtedy odkrył swój gambit. Samo odkrycie musiało być niewątpliwie dziełem przypadku, ale zasługę — czy też raczej hańbę — rozpracowania wariantów przypisać należy Von Goomowi. W toku swoich bluźnierczych eksperymentów przekonał się, że gambit można rozgrywać zarówno białymi jak i czarnymi. Nie było przeciwko niemu obrony. Musiał spędzić wiele przerażających nocy nad szachownicą, analizując sprawy, których człowiek nie powinien analizować. Odkrycie gambitu i wniosków z niego płynących okryło jego głowę siwizną, chociaż jego półwąs pozostał brudnorudy aż do śmierci, która zresztą była blisko.

Pierwszą okazją do wypróbowania gambitu stał się wielki otwarty turniej o mistrzostwo Nowego Jorku. Powszechnym faworytem był zaprawiony w bojach obrońca tytułu arcymistrz Miroslav Terminsky, chociaż serca publiczności były po stronie Johna George'a Batemana, mistrza wyższych uczelni, który jednocześnie grał w reprezentacyjnej

drużynie piłki nożnej, był członkiem ekskluzywnej korporacji Phi Beta Kappa i najmłodszym członkiem Komisji Energii Atomowej. W tym czasie Von Goom był już znaną, raczej komiczną postacią w świecie szachowym. Ludzie przywykli do jego milczenia, samotnictwa, nawet do jego półwąsa. Kiedy podpisywał kartę zgłoszenia, kilku graczy zauważyło, że posiwiał, ale większość nie zwróciła na niego żadnej uwagi. W piętnaście minut od rozpoczęcia gry Von Goom wygrał pierwszą w życiu partię. Jego przeciwnik zmarł na atak serca.

Wygrał również drugą partię, gdy jego przeciwnik doznał nagłego rozstroju żołądka po pierwszych sześciu posunięciach. Trzeci przeciwnik wstał od stołu i z obrzydzeniem opuścił salę, by nigdy już nie zasiąść do szachów. Czwarty wybuchnął płaczem, błagając Von Gooma, by zaprzestał rozgrywania gambitu. Sędzia główny musiał biedaka wyprowadzić z sali. Kolejny przeciwnik po prostu siedział i wpatrywał się osłupiały w pozycję na szachownicy, aż przegrał przez niedoczas.

Po tym paśmie zwycięstw Von Goom znalazł się wśród liderów turnieju i jego następnym przeciwnikiem miał być mistrz wyższych uczelni John George Bateman, gracz agresywny i pełen temperamentu. Von Goom grał swój gambit, czy też ściślej mówiąc kontrgambit, gdyż przypadły mu czarne. Odpowiedź Johna George'a była równie niekonwencjonalna, co nieskuteczna: zerwał się na równe nogi, sięgnął przez stół, schwycił Von Gooma za koszulę i uderzył go w twarz. Ale na nic mu się to nie przydało. Von Goom padając wykonał następny ruch. John George Bateman, który w życiu nie wiedział, co to choroba, dostał ataku epilepsji.

W ten sposób Von Goom, któremu nigdy dotąd nie zdarzyło się wygrać w szachy, miał stanąć do finałowej walki z zaprawionym w bojach arcymistrzem Miroslavem Terminskym. Na nieszczęście partia była demonstrowana licznie zgromadzonym widzom na wielkiej tablicy ustawionej w końcu sali. W atmosferze pełnej napięcia zawodnicy zasiedli do gry. Z piersi widzów wydarł się jęk przerażenia na widok wstępnych ruchów gambitu Von Gooma. Potem zapadło milczenie, długie, nieprzerwane milczenie. Reporter, który wpadł pod koniec dnia, żeby przeprowadzić wywiad ze zwycięzcą, stwierdził ze zdumieniem, że zarówno widzowie jak i uczestnicy turnieju skamienieli. Jedynie Terminsky ocalał z pogromu. Szczęśliwiec wykręcił się utratą zmysłów.

Kilka jeszcze podobnych wyników w turniejach i Von Goom walkowerem został szachowym mistrzem Ameryki. Jako taki otrzymał zaproszenie do udziału w turnieju pretendentów. Zwycięzca tego turnieju miał grać o mistrzostwo świata z aktualnym mistrzem doktorem Fieorintoszkinem, pisarzem, humanistą i laureatem Pokojowej Nagrody Nobla. Niektórzy przedstawiciele

Międzynarodowej Federacji Szachowej zaczęli mówić o zakazie stosowania gambitu, ale Von Goom złożył im wizyty o północy i zademonstrował im swój gambit, po czym zniknęli z powierzchni ziemi. Wyglądało na to, że droga do mistrzostwa świata stoi przed nim otworem.

Von Goom nie wiedział jednak, że w noc poprzedzającą jego przybycie do Portoroż w Jugosławii, gdzie miał się odbyć turniej, Międzynarodowa Federacja Szachowa zwołała tajne posiedzenie. Najtęższe mózgi świata zebrały się, aby znaleźć odpowiedź na gambit Von Gooma — i znalazły. Następnego wieczoru najwybitniejsze umysły pokolenia, czołowi arcymistrzowie świata, wyprowadzili Von Gooma do lasu i zastrzelili go. Wielki humanista doktor Fieorintoszkin spojrzał na ciało i powiedział: „Tak oto miłosierna śmierć dosięgła Van Goona”.„Von Gooma” poprawił cichy, skrzypiący głos pełen bezdennego sarkazmu. Wówczas czołowi arcymistrzowie strzelili powtórnie i ukryli jego ciało w płytkim grobie tak przemyślnie, że nie odnaleziono go do dzisiaj. Ostatecznie były to najwybitniejsze umysły świata.

A co można powiedzieć o gambicie Von Gooma? Szachy są grą logiczną. Trzydzieści dwie figury poruszają się po szachownicy złożonej z sześćdziesięciu czterech pól, ciemnych i jasnych na przemian. Poruszając się tworzą pewne układy. Jedne z tych układów są przyjemne dla logicznego umysłu, inne nie. Wykazują one, do czego człowiek jest zdolny, a co przekracza jego możliwości. Weźmy jakąkolwiek pozycję figur na szachownicy. Zazwyczaj zdradza ona logiczne plany grających, ich strategię gry na zwycięstwo albo na remis i ich osobowości. Jeżeli widzimy pozycję przyjętego gambitu królewskiego, wiemy, że obaj gracze są taktykami, że gra będzie krótka, ale zacięta. Natomiast nie przyjęty gambit hetmański mówi nam, że gracze są strategami, obliczającymi drobne korzyści, takie jak osłabienie pojedynczego piona albo umieszczenie gońca na półotwartej linii. Na podstawie takich układów — miłych, albo niemiłych dla oka — można bardzo wiele powiedzieć nie tylko o grze i grających, lecz także o człowieku w ogóle, a może nawet o porządku Wszechświata.

Przypuśćmy teraz, że ktoś przypadkiem albo rozmyślnie odkrywa układ figur na szachownicy, który jest bardziej niż niemiły, nieludzki układ, który mówi straszliwe rzeczy o umyśle gracza, o człowieku w ogóle i o porządku Wszechświata. Przypuśćmy, że każdy normalny człowiek, który raz ujrzy taki układ, nigdy już nie będzie normalny. Niewątpliwie taki właśnie układ musiał tworzyć gambit Von Gooma.

Chciałbym, aby ta opowieść kończyła się w tym miejscu, ale obawiam się, że nie będzie to koniec na długo. Historia dowodzi, że tego, co raz zostało odkryte, nie można zakryć z powrotem. Dwa

miesiące temu w Camden w stanie New Jersey znaleziono czterdziestotrzyletniego mężczyznę skamieniałego nad szachownicą. W Salt Lake City mistrz stanu Utah nagle zwariował. A w zeszłym tygodniu w Minneapolis kobieta studiująca szachy urodziła nagle bliźnięta, chociaż wcale nie była w ciąży.

Jeżeli chodzi o mnie, to kończę z szachami.

Przełożył Lech Jęczmyk

Wiaczesław Moroczko
WIECIE, JAK SIĘ NAZYWAM

Mojo imia wam izwiestno

Statek pasażerski „Kiteż” wyruszył w kolejny rejs międzyplanetarny. Kiedy Ziemia pozostała daleko za nimi, Ersie poczuł spokój, jakiego nie zaznał już od lat, lat przeżytych na próżno, bezużytecznie. Teraz skazał się na dobrowolne wygnanie.

Czekało go nieznane. Być może na jakiejś odległej planecie zdoła zająć się zwykłą, powszednią pracą, nie wymagającą umiejętności przewidywania przyszłych zjawisk. Nie próbując więcej prorokować, Ersie nastawił się jedynie na długą podróż w nieznane.

Już to, że udało mu się wykonać swój zamysł i opuścić Ziemię, uznał za dobry omen. Nareszcie zdołał zdławić w sobie nierealne marzenia, zrodzone z mitu o wszechmocy człowieka. Właśnie z mitu, bo tylko tak traktował teraz wszystko, co słyszał o Wyjątkowym.

Ersie zbyt długo zabiegał o spotkanie z tym nadczłowiekiem. Ale czyż komukolwiek udało się spotkać bohatera baśni? W każdym razie nie takiemu zdeklarowanemu pechowcowi jak Ersie. W iluż dziedzinach próbował swoich sił?! Mając znakomitą pamięć, wchłaniał wiedzę jak gąbka, ale nie przynosiło mu to żadnej korzyści. Wycofał się ‘z geofizyki, kiedy przepowiedziane przezeń trzęsienie ziemi z jakichś powodów nie nastąpiło. Ostatecznie położyła go na łopatki medycyna. Pierwszego swego pacjenta uznał za nieuleczalnie chorego. Całą noc spędził przy łóżku umierającego i myślał, myślał, myślał… Nigdy przedtem jego mózg nie pracował tak precyzyjnie, tak żywo. Prześledził rozumowo cały przebieg choroby i ułożył kolejność wydarzeń zachodzących w organizmie. Ale co były warte te wszystkie męczarnie, skoro rankiem konsylium specjalistów stwierdziło u chorego jedynie objawy ropnego zapalenia płuc z nieznacznymi komplikacjami, zacierającymi obraz diagnostyczny.

Po tym zdarzeniu Ersie zrozumiał, że i medycyna nie jest dla niego. Wypróbował jednak jeszcze wiele zawodów, zanim przekonał się ostatecznie, że nie potrafi użyć swojej wiedzy do żadnej pożytecznej pracy.

Trudno powiedzieć, co było przyczyną jego niepowodzeń. Ersie nie mógł na przykład uskarżać się na brak fantazji. Wręcz przeciwnie: myślał tak wyraziście, tak dokładnie wyobrażał sobie wszystkie możliwe warianty, że w rezultacie… żadne z jego przewidywań się nie spełniało.

„Jestem człowiekiem skończonym. Tylko cud może mnie

uratować". Myśli o cudownym ratunku nie były już wtedy przypadkowe. Nadzieja zaświtała, gdy opublikowano pierwsze informacje o Wyjątkowym — tajemniczym człowieku, dla którego zdawały się nie istnieć rzeczy niemożliwe. Jakież to cuda przypisywano Wyjątkowemu?! Mógł on rzekomo dowolnie zmieniać zjawiska przyrody, zapobiegać katastrofom, leczyć beznadziejnie chorych. Mógł też dokonywać wielu innych czynów, dla których rozum nie znajdował wytłumaczenia.

„Gdyby chociaż dziesiąta część wyczynów Wyjątkowego była prawdą — rozumował Ersie — to miałbym jeszcze szansę znaleźć sobie miejsce w życiu. Muszę tylko spotkać się z tym supergeniuszem. Chyba nie odmówi mi pomocy". Ale łatwo powiedzieć: „muszę się spotkać". Trudniej to wykonać, skoro nikt nie ma pojęcia, gdzie jest i jak wygląda Wyjątkowy. Wkrótce Ersie przekonał się, że każdy, kogo o to zapytał, inaczej wyobraża sobie tego człowieka. Komunikaty oficjalne nie zawierały informacji o jego wyglądzie. Odnosiło się wrażenie, że jedynie na podstawie wyników działalności Wyjątkowego określano jego miejsce pobytu. Ersie przemierzył całą planetę, by wreszcie pojąć, że i w tym wypadku spotkało go fiasko.

Wymuszone podróże urozmaicały życie Ersiego, a jednocześnie wyczerpywały; często przychodziło mu cierpieć przez własne zamiłowanie do precyzyjnego myślenia. Każde nowe wrażenie pobudzało jego wyobraźnię, rodziło obrazy przypuszczalnego rozwoju wydarzeń z takimi szczegółami, że Ersie już zawczasu wiedział, iż żadna jego przepowiednia nie sprawdzi się. A opowieści o dokonaniach Wyjątkowego za każdym razem przypominały mu o tym, jak beznadziejne są jego próby prorokowania przyszłości, chociażby na najbliższe kilka dni, godzin lub nawet minut.

Tak właśnie było i tym razem. Statek odebrał informację, której Ersie zupełnie nie oczekiwał: według dostępnych danych, Wyjątkowy opuścił Ziemię na statku pasażerskim „Kiteż".

Nie, Ersie najwyraźniej nie mógł liczyć na naturalny bieg wydarzeń. Prześladujące go przekleństwo nieokreśloności znów pomieszało mu wszystkie karty. „Wyjątkowy jest gdzieś obok! — myślał pechowiec. — Tak blisko, jak nigdy przedtem! Oczywiście nadal będzie chciał zachować swoje incognito. Ale czyż takie uporczywe unikanie sławy już samo przez się nie świadczy o potwornej próżności?" Teraz Ersie gotów był rzucić w twarz temu człowiekowi legendzie wiele ostrych słów: zbyt dużo żółci nagromadziło się w nim przez całe lata bezowocnych poszukiwań.

Chociaż Ersie usilnie tłumaczył sobie bezsens takiego postępowania, chociaż wymyślał sobie w duchu najgorszymi słowami, to jednak nie mógł już usiedzieć na miejscu. Nieprzeparcie ciągnęło go do ludnych salonów i galerii spacerowych statku, gdzie wśród wielu

obcych twarzy mógł odszukać człowieka, w którego istnienie już niemal całkiem przestał wierzyć.

Spacerując między fotelami w czytelniach i salach koncertowych, przebiegając galerie, powoli zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, że to wcale nie będzie poszukiwanie, lecz raczej ucieczka. Ucieczka przed człowiekiem, na którego zwrócił uwagę zaraz po wkroczeniu na statek. Ersie wolnym krokiem przechodził z pokładu na pokład i im uważniej wpatrywał się w twarze pasażerów, tym silniej umacniał się w przekonaniu, że tym razem przeczucie go nie zwiodło.

Mężczyzna, o którym teraz bez ustanku myślał, siadywał zwykle w fotelu w galerii spacerowej przy framudze iluminatora. Teraz za każdym razem, kiedy nogi przenosiły pechowca do tej części statku, odczuwał paniczny lęk i serce omal nie wyskakiwało mu z piersi.

Ersie nie potrafiłby niczego powiedzieć na temat wieku tego pasażera. Jego twarz nie była zbyt piękna, ale nie sposób było jej zapomnieć. Z pełnych niepokoju, szeroko rozwartych oczu wyzierała rozpacz. Mężczyzna patrzył na otaczających go ludzi tak, jakby zawczasu znał losy każdego.

Czasami Ersiego ogarniały wątpliwości, ale wewnętrzny głos powtarzał mu uparcie, że to właśnie ten człowiek, którego szukał tak długo. Pamiętał wprawdzie, jak często ten wewnętrzny głos go oszukiwał, ale nie mógł już inaczej, musiał poddać się zwodnej iluzji: pragnienie wiary było silniejsze od wszystkiego innego. I wtedy niepokój ustępował, wyparty przez uczucie wielkiego szczęścia.

Teraz, kiedy Wyjątkowy był tak blisko, Ersie nagle zrozumiał, że za żadne skarby świata nie odważy się do niego podejść.

„Czy warto się poniżać? — mówił sobie w duchu. — Czy nie lepiej zrezygnować z tego zwariowanego pomysłu? Gdyby nawet ten Wyjątkowy był naprawdę tak genialny, jak o nim mówią, to jeśli naprawdę chcesz być człowiekiem, miej przynajmniej odrobinę ludzkiej dumy! Doprowadź do końca przynajmniej jedno przedsięwzięcie, na które sam się zdecydowałeś! Zostaw Wyjątkowego w spokoju. Pozwól mu zachować tę wyniosłą samotność, ten trwożny lęk: może to dla niego najulubieńszy sposób spędzania wolnego czasu? Spójrz lepiej przez iluminator! Tym gwiazdom jest w najwyższym stopniu obojętne, co ty sobie o nich myślisz. I chociaż wśród nich też są pechowcy, to nie uciekają się do wybiegów i nie próbują oszukiwać natury, jak ty to sobie wymyśliłeś. W tej czarnej otchłani każda gwiazda ma swoje miejsce, każdej przydzielono określony czas trwania, nie myślą więc o niczym i spokojnie przebiegają przestrzeń, mimochodem obrywając warkocze zbłąkanym kometom. Gwiazdy suną po niebie, wybuchają lub stygną, rozbłyskują lub zmieniają się w czarne karły, powiązane tymi prawami Wszechświata nawzajem i z całym Kosmosem. Oczywiście takie ślepe poddanie się losowi też nie

jest ideałem, ale nie jest wykluczone, że gwiazdy czułyby się szczęśliwe, gdyby tylko mogły czuć.”

Ersie siedział samotnie na podkowiastej kanapie stojącej tuż przy iluminatorze, kiedy ktoś za jego plecami zapytał: „Pan pozwoli?” Pechowiec w milczeniu skinął głową, a potem zorientował się, że popełnił nietakt, zbeształ się w duchu za ten protekcjonalny gest i szybko dodał: „Tak, tak, oczywiście, proszę siadać!” Powiedział i ze zdumienia zabrakło mu tchu. Uprzejmy uśmiech trwał jeszcze na twarzy, gdy przez głowę przebiegła zirytowana myśl: „Co u diabła? Tego już za wiele!..”

— Pozwoli pan? — powtórzył Wyjątkowy, siadając na wolnym miejscu. — Nazywam się Joy. Jestem astronomem, ale lubię też czasem obserwować ludzi. Pańska twarz już od dawna nie daje mi spokoju. Ciągle jednak nie mogłem się zdecydować, aby do pana podejść. Proszę mi wybaczyć to wścibstwo, ale pana musi coś dręczyć…

„Zupełnie mnie nie obchodzi, jak sam siebie nazywasz — pomyślał Ersie. — Ale coś ci się pomyliło, przyjacielu. To twoja twarz od dawna nie daje mi spokoju. Jeśli o mnie chodzi, wszystko jest w porządku! Tak, tak, jestem szczęśliwy jak bóg! Czyżby to nie było wypisane na mojej twarzy?”

Rzecz jasna, Ersie nigdy by się nie ośmielił powiedzieć tego na głos. W rzeczywistości wszystko potoczyło się zwykłym dla niego, nieprzewidzianym trybem. Nawet nie przypuszczał, że zdolny jest do takiej szczerości wobec człowieka zupełnie nieznajomego. Nie wiedzieć skąd wzięło się u niego tyle słów, całe potoki słów. Wszystko, co dręczyło go przez długie lata, wszystkie klęski i rozczarowania, i dławiące niezadowolenie z siebie, i bezsilna złość wywołana niepowodzeniami — wszystko to wyspowiadał w jednym długim monologu.

Wyjątkowy słuchał bardzo uważnie, nie przerywał ani jednym słowem. Chwilami w jego oczach przebijał jakiś niepokój, ale Ersie już nie mógł się zatrzymać, mówił i mówił, a przez głowę przemknęła mu myśl: „Słowo daję, że to geniusz, geniusz cierpliwości! Czy normalnego człowieka stać by było na wysłuchanie za jednym razem takiej ilości skarg?!”

Choć gadał jak najęty, to jednak ani słowem nie wspomniał o tym, że domyśla się, kim jest jego rozmówca. Jeśli człowiek chce zachować incognito, to ma do tego pełne prawo. Ersie nie prosił o pomoc: jeśli Joy potrafi zrozumieć go i pomóc, uczyni to nieproszony. Wyjątkowy milczał długo, ale Ersie odniósł nagle wrażenie, iż jego spowiedź podziałała silniej niż można by tego oczekiwać. Joy zdawał się niezdolny do zebrania myśli. Co chwilę obrzucał uważnym spojrzeniem twarz pechowca i natychmiast w zmieszaniu opuszczał

oczy. Ersie o nic nie pytał. Czekał. W milczeniu czekał na wyrok.

Wreszcie Wyjątkowy wstał. Widać nie lubił tracić słów na darmo.

— Ersie — powiedział opanowując z trudem wzruszenie — wysiądzie pan teraz ze mną na najbliższej stacji pośredniej. Będzie tam na nas czekał kuter z obserwatorium astronomicznego… Niech pan teraz o nic nie pyta. Proszę mi wierzyć: tak trzeba! Powinien pan to zrobić…

To, że Wyjątkowy miał coś wspólnego z największym ośrodkiem astronomicznym zamieszkanego Kosmosu, wydawało się pechowcowi zupełnie naturalne. Nienormalne było coś innego. Ledwie Ersie przestąpił próg tej świątyni nauki, poczuł jakiś niewyraźny niepokój: coś groźnego unosiło się w powietrzu.

Joy obiecał wkrótce wrócić i zostawił go w niewielkiej, przytulnej przybudówce ogromnej sali, w której mieścił się sztab ośrodka astronomicznego. Przy wysokich pulpitach krzątało się mnóstwo ludzi ubranych na biało. Wszyscy oni wydawali się teraz Ersiemu tacy sami, a na ich twarzach, jakby zastygłych w długim, pełnym napięcia oczekiwaniu, malowało się krańcowe zmęczenie.

Na czarnej kopule rozpiętej nad halą świecił się przestrzenny wizerunek naszej Galaktyki. Patrząc na tę miłą dla oka gwiezdną karuzelę wirującą nad głowami ludzi, Ersie poczuł się najspokojniejszym człowiekiem Wszechświata. Teraz obce mu były wszelkie niepokoje. Postanowił o niczym nie myśleć, nie zaglądać w przyszłość. Liczył tylko na Joya. Kiedy wyleczy go z kompleksu pechowca, dopiero wtedy Ersie pokaże, na co go stać!

Joy wrócił całkiem nieoczekiwanie. Przybiegł z sali, jakby go ktoś gonił. Wyglądało na to, że spotkało go jakieś wielkie nieszczęście. W ciągu kilku minut twarz mu wyraźnie postarzała. Resztką sił opadł na fotel.

— Czy coś się stało? — zapytał Ersie.

— Jeszcze nie… — odparł Joy, łapiąc z trudem powietrze. — Ale stanie się… Wkrótce się stanie…

— Coś przykrego?

Joy, zajęty swoimi myślami, nawet nie odpowiedział. „Do diabła! — pomyślał ze współczuciem Ersie. — Okazuje się, że nawet Wyjątkowy miewa kłopoty!”

— Proszę mi powiedzieć — odezwał się nieoczekiwanie Joy — czy zdarzyło się panu słyszeć na Ziemi o „warstwie Curzona”?

— Tak, coś mi się obiło o uszy. Według mnie to nic poważnego.

— Nic poważnego?! — wzdrygnął się Joy.

— Oczywiście — uspokoił go Ersie. — Nie było przecież żadnych oficjalnych komunikatów. Po prostu krążą słuchy, że do naszej

Galaktyki zbliża się jakiś obłok, mgławica, która została nazwana „warstwą Curzona". Sądzę jednak, że gdyby istotnie tak było, to wszystkie szczegóły już dawno oficjalnie zostałyby podane do wiadomości. Uważam poza tym, że w razie rzeczywistego zagrożenia ludzkość może uciec się do pomocy Wyjątkowego…

Przy tych słowach Ersie tak wymownie patrzył w oczy rozmówcy, że ten odwrócił się zmieszany i przez dłuższą chwilę milczał.

— Ersie — powiedział Joy po pauzie — tam, na statku, mówił mi pan, że w swoim czasie zajmował się pan fizyką?

— Teraz też się tego nie wypieram.

— W takim razie — kontynuował Joy — powinien pan wiedzieć, co to jest entropia.

— Czy po to trzeba być fizykiem?! — zdziwił się Ersie. — Każdy uczeń wie, że entropia to dążenie energii i materii do równomiernego rozprzestrzeniania.

— Racja — potwierdził Joy. — Nasze szczęście, Ersie, polegało na tym, że proces takiego rozprzestrzeniania przebiegał ze skończoną prędkością. Dzięki temu mogły istnieć koncentracje energii wokół jej źródeł i skupiska materii w postaci gwiazd, planet i innych ciał niebieskich. Jest takie przysłowie, że „natura nie znosi próżni". Ale gdyby materia błyskawicznie rozprzestrzeniała się w próżni międzygwiezdnej, to niestety nie byłoby komu dyskutować o naturze.

— To wszystko prawda — powiedział Ersie. — Ale co tu ma do rzeczy „warstwa Curzona"?

— Bardzo wiele! Według ostatnich danych „warstwa Curzona", to gigantyczny akcelerator entropii. Wystarczy, aby dotarł do Galaktyki, a natychmiast odczujemy na własnej skórze jego wpływ: nasze skupisko gwiezdne jest mechanizmem, którego wszystkie elementy są ściśle ze sobą powiązane. Niech pan spojrzy na wizerunek pod kopułą sali. Ten świetlisty warkocz, to właśnie nasza Galaktyka. A tam, po lewej, zbliża się do niej czarne pasmo. Tak na tym ekranie wygląda „warstwa Curzona" — błądzący w przestrzeni wyłącznik życia.

Ersie już poprzednio zwrócił uwagę na złowieszcze pasmo, ale uznał je za skazę na ekranie lub defekt obrazu przestrzennego.

— Chce się pan dowiedzieć, co wydarzy się, kiedy „warstwa Curzona" dotrze do Galaktyki? — zaproponował Joy. — Nic łatwiejszego. Nasze komputery zmodelowały wszystkie możliwe warianty.

— Nie! — odparł ostrym tonem Ersie. — Chcę jedynie wiedzieć, kiedy to się stanie.

— Teraz już prędko…

— Jak prędko?

— Może za kilka godzin. W każdym razie nie później niż w ciągu doby.

— A tam, na Ziemi, nikt jeszcze o tym nie wie?

— Nikt. Po co zresztą im o tym mówić, skoro już nic nie można zmienić? Według naszych obliczeń wszystko skończy się bardzo szybko. Po co zatruwać ludziom ostatnie godziny życia? Wystarczy, że my wszyscy tutaj w ośrodku już od kilku dni żyjemy jak skazańcy.

— I to pan… pan powiedział, że już niczego nie da się zmienić?! — jęknął pechowiec.

— A co za różnica, kto powiedział? — nieoczekiwanie wybuchnął Joy. — Niech pan zrozumie: przecież to koniec! Koniec wszystkiego, raz na zawsze! Oczekiwanie może przyprawić o szaleństwo. Żeby już było po wszystkim!..

— A więc po to pan mnie tu zaprosił! — powiedział cicho Ersie. — Chciał mi pan udowodnić, że w obliczu powszechnej katastrofy moje cierpienia po prostu tracą sens. Wspaniały pomysł!

— Co z panem, Ersie?

— Co z panem, Joy? Oszukał mnie pan! Nie, nie, to ja sam się oszukałem. Kolejna „przyjemna" niespodzianka. Łańcuch moich niepowodzeń ani myślał się skończyć. No cóż, znowu pomyłka!

Ostatnich słów rozmówca nie usłyszał, gdyż były to tylko nie wypowiedziane na głos myśli.

„To oczywiste, że Joy wcale nie jest Wyjątkowym! Co ja takiego znalazłem w jego twarzy? Piętno skazańca? Każdy je tutaj nosi. Gdyby tak teraz opowiedzieć Joyowi, jak się na nim zawiodłem, to może byłoby mu lżej w ostatnich minutach życia. Mielibyśmy się z czego pośmiać. Nie, to nie jest śmieszne… Eee tam, z samego siebie mogę śmiać się do woli! Przecież to boki można zrywać z takiego pecha! Ale nikt już się o tym nie dowie. Szkoda jednak, że nie pozostanie po mnie nawet cień uśmiechu na czyjejś twarzy. Śmieję się, bo jeszcze nie wierzę w bliskość nieuchronnego końca. A czyż można w to uwierzyć, skoro tak lekko się oddycha?

Ale ci ludzie, ci geniusze prognoz… Im mogę wierzyć, wszystkim mogę wierzyć oprócz siebie. Dość! Niepowodzenia też mogą czegoś nauczyć. Pora wyciągnąć wnioski.

Stwarzamy w sobie niepowtarzalny świat. Nic nie można na to poradzić, że taki jak ja musi termin „niepowtarzalny" zawsze pojmować zbyt dosłownie. Chwileczkę! Czy aby nie w tym kryje się to, co przeszkadza Kroczyć drogą, przetartą w mojej wyobraźni? Kiedy widzę wszystko, co winno się zdarzyć… Nie, „widzę" nie jest właściwym słowem: to dzieje się we mnie naprawdę… Ale tego już za wiele! Wystarczy mi jeden mit o Wyjątkowym. Chciałbym spotkać tego informatora, który wymyślił taki średniowieczny pseudonim. Gdyby Wyjątkowy istniał naprawdę, już samo to przezwisko kazałoby mu stronić od ludzi.

Dajmy spokój informatorowi! To już nie ma żadnego znaczenia.

Jak sądzisz, co się właściwie wydarzy? Jak to będzie przebiegać? Co się ze mną dzieje?! Znów żałosne proroctwa? A niech tam! Są przyzwyczajenia, z których nie sposób zrezygnować.

Jestem człowiekiem i myślenie jest dla mnie taką samą koniecznością, jak oddychanie. Chęć uzyskania nie znanej informacji nie opuści mnie do końca.

Spokojnie, trzeba się skupić, to najważniejsze. Jeszcze spokojniej… Jeszcze… Tak. No, chyba się zaczęło… Znów pęka głowa i serce łomoce jak oszalałe. Ale dzięki temu mogę wszystko ogarnąć.

Oto ona, czarna macka celująca w samo serce! Wybuch entropii — znika ciepło i ruch. Gaśnie rozum. Ostatni błysk życia — stężałe zdumienie. Skupisko gwiazd rozpływa się obłokiem pyłu kosmicznego — popiołem przestrzeni… Już jest! W jednej chwili tyle bólu… Trzymaj się!.. Żeby tylko nie stracić przytomności…

A teraz idź, biegnij do przodu — od razu i jak najszybciej, jak zawsze! Nie pomiń żadnej możliwości, żadnego szczegółu! Wszystko utrzymaj w sobie!”

To, co się teraz z Ersiem działo, nie da się wyrazić żadnymi słowami. Ginęła w nim, rozpadała się cała Galaktyka, a ostatnie uderzenia miliardów serc odzywały się potwornym bólem w jego sercu. Tylko odczuwany ból przekonywał go o tym, że sam jeszcze żyje…

Ersie otworzył oczy.

Przez szum w uszach usłyszał czyjś oddech, owionął go zapach lekarstw. Spojrzał prosto przed siebie.

— On żyje! Żyje! — wykrzyknął znajomy głos Joya. — Doktorze, otworzył oczy!

— Ciszej! Proszę o spokój — powiedział lekarz. — Pozwólcie mu oprzytomnieć.

Chory dojrzał wreszcie podnieconą twarz astronoma.

— Ersie, to ja, Joy! Słyszy mnie pan? Wydarzyła się rzecz nieprawdopodobna: aparatura zarejestrowała eksplozję entropii w zagrażającym nam środowisku entropogennym. „Warstwa Curzona” szybko traci gęstość, neutralizuje się. Jesteśmy uratowani!

„No i chwała Bogu — pomyślał Ersie. — Ale po co od razu tak wrzeszczeć? Teraz już wiem, co się dzieje. To nie odczucie nieuniknionej realności, lecz sama realność wnika we mnie przed czasem i wtedy zrywają się więzi, zostaje zakłócona kolejność wydarzeń, nieuniknione staje się niemożliwym. Kim jestem i co mogę?

Człowiek zna wiele sposobów zmieniania i kształtowania realności, a ja jestem taki sam, jak pozostali. Tyle że natura obdarzyła mnie jeszcze jednym z możliwych sposobów.”

— Ersie — powiedział Joy nad samym jego uchem — teraz mogę już powiedzieć, kim pan jest. Proszę się nie dziwić, ale pan właśnie jest tym…

— Chwileczkę — przerwał mu chory. — Proszę o jedno… Nigdy, powtarzam: nigdy nie nazywajcie mnie Wyjątkowym… Wiecie, jak się nazywam!

Przełożył Tadeusz Gosk

Dean McLaughlin
KRYTERIUM

Touchstone

Jak wynika z ostatnich informacji, dyskutuje się o tym, czy wysłać wyprawę do Gwiazdy Barnarda. Jest to gigantyczny krok — ludzie mają wyruszyć po raz pierwszy poza system słoneczny. Sam niewiele mogę wnieść do tego tematu — z pewnością nic logicznego lub nawet racjonalnego. Wydaje mi się jednak, że ta dyskusja nie ma sensu.

Wiem, że ta wyprawa i tak dojdzie do skutku. Jeżeli nie teraz, to pewnego dnia. Jeżeli nie na tę gwiazdę, to na inną.

Nadszedł czas, w którym to jest możliwe. Więcej technologicznych przewrotów nam nie potrzeba. Mamy system napędowy: silnik jonowy zasilany energią jądrową, który może pracować bez przerwy całymi latami. Była to ostatnia przeszkoda do pokonania. Jeżeli nie wydarzył się żaden nieszczęśliwy wypadek od czasu wysłania ostatnich sygnałów rozpoznawczych — pierwsza z naszych międzygwiezdnych sond jest już więcej niż w połowie drogi do Alfy Centauri.

Wszystko, cokolwiek jest poza tym potrzebne z urządzeń technicznych, było już od lat dostępne. Potrzebny był nam system urządzeń, zapewniający trwałe naturalne środowisko przez nieograniczony czas, oraz osłona przeciw promieniowaniu, która zmniejszyłaby stopień narażenia życia załogi tak, aby była ona w stanie znieść kilkanaście lat ciągłego naświetlania. Z tym, czym teraz dysponujemy, moglibyśmy wysłać wyprawę do Obłoku Magellana.

Jeszcze jedna rzecz jest niezbędna, ale wydaje mi się, że to już też posiadamy. Ludzie są na ogół tylko ludźmi, nie wątpię jednak, że istnieją zarówno mężczyźni jak i kobiety, którzy — z chęcią! — zgodziliby się poświęcić tej podróży wiele lat swego życia, w pełni zdając sobie sprawę, że narażeni są na śmierć, a nawet gdy żaden wypadek nie przeszkodzi im powrócić, to wszyscy, których znali — nawet ich dzieci — pomrą ze starości przed ich powrotem.

Moglibyśmy zacząć już dzisiaj. Ale właśnie jedna kwestia pozostaje do rozstrzygnięcia — czy ten projekt należy realizować teraz.

Spróbuję wam wyjaśnić mój punkt widzenia. Pierwsze lądowanie na Księżycu w 1969 roku było często porównywane do wyprawy Kolumba odkrywającego Nowy Świat. Stało się to już frazesem. Ja to rozważam w bardziej fundamentalnych kategoriach: wysłanie ludzi na

Księżyc było odpowiednikiem czegoś, co się wydarzyło setki milionów lat temu, gdy organizmy żywe po raz pierwszy wyszły z morza na suchy ląd. Nie od razu zostało to uwieńczone sukcesem.

Przeciwnicy takiego przedsięwzięcia — znów powracam do wyprawy ku Gwieździe Barnarda — chcą wiedzieć, ile to będzie kosztowało. Nie chodzi im tylko o pieniądze, nie chodzi im także o ludzki wysiłek, i nawet nie o to, że te środki można by zużyć na jakieś inne, ważniejsze cele.

Dla nich ważne jest zainwestowanie tych wszystkich rzeczy naraz. Pytają więc: czy te koszty się zwrócą? Moja odpowiedź brzmi tak, chociaż może nie w tym sensie, jak to rozumieją księgowi. Dostajesz to, za co płacisz; jeżeli masz ochotę zapłacić, jest to wtedy warte tej ceny.

Niektórzy z was żyją wystarczająco długo, aby móc sięgnąć pamięcią do roku 1969, kiedy pierwsza załoga wróciła z próbkami skał i pyłu leżącego tam, gdzie pozostawili ślady swych stóp. Przypominacie sobie zapewne, jak niektóre z tych próbek rozesłano naukowcom na całym świecie.

Byłem wtedy studentem. Siedziałem właśnie w gabinecie mojego profesora mineralogii, którego nazwiska nie pamiętam, na uniwersytecie, gdzie studiowałem, kiedy ktoś przeszedł przez hali i wetknął głowę do pokoju.

— Joe — powiedział. — Lovejoy wrócił z Houston. Czeka na dole, w sekretariacie instytutu i pyta, gdzie jesteś.

To nie znaczy, że nazywał się rzeczywiście Lovejoy. Nie pamiętam żadnych nazwisk. Po prostu wstawiam nazwisko tam, gdzie się ono powinno znajdować.

Profesor wstał od biurka. — Chodź — powiedział do mnie, i ruszyliśmy wzdłuż korytarza. Lovejoy na pewno dobrze wiedział, gdzie jest profesor, ale my zbyt dobrze zdawaliśmy sobie sprawę, jaki był powód jego wyjazdu do Houston. Prawdopodobnie gdybym ja przywiózł ze sobą to, co Lovejoy, to też bym się czuł ważny.

Kiedy weszliśmy do sekretariatu, na środku pokoju stał Lovejoy, a wokół niego spora grupa pracowników instytutu. W ręku trzymał coś niewielkiego. Spostrzegł nas od razu. — O, Joe — powiedział do profesora. — Jesteś wreszcie. — Przepchnął się przez tłum. — Idę do domu trochę pospać. Obłędna gonitwa porywa nas w swoje tryby. Wpadłem tylko, żeby to zostawić. Nie mamy czasu do stracenia. Najlepiej od razu zabierz się do roboty.

Podał profesorowi kawałek szklanej rurki wielkości scyzoryka. Była zapieczętowana z obu stron, a w środku, między dwiema zatyczkami ze styropianu, tkwiło coś ciemnego. Profesor wziął do ręki rurkę, jakby to był największy na świecie diament.

Nie zauważyłem, kiedy Lovejoy wyszedł. Naprawdę nie

zauważyłem. Pamiętam tylko sylwetkę profesora stojącego z tą rurką w rękach. Był jednym z tych dokładnych, skrupulatnych ludzi, o których można pomyśleć, że są chodzącymi maszynami. Sądzę, że zajął się mineralogią nie dlatego, że go naprawdę interesowała, ale ponieważ była to praca, którą mógł wykonywać z precyzją odpowiadającą jego naturze. W momencie, kiedy trzymał tę rurkę, nie zrobił jednak nic. Nawet się nie poruszył.

Po chwili podszedł do niego jeden z profesorów.

— Dobrze się czujesz, Joe?

Profesor tylko potrząsnął głową i nieco się odwrócił, a wtedy przyjrzałem mu się dokładnie. Próbował nadać swej twarzy zwykły wyraz, ale nie szło mu to nadzwyczajnie — spod szkieł ciekły mu łzy. Nie sądzę, żeby był wtedy w stanie zauważyć coś mniejszego od wojennego okrętu, nie mówiąc już o tym kawałku szkła w ręku.

No cóż, chwyciłem go za ramię i zaciągnąłem z powrotem do gabinetu. Przez cały czas nie odezwał się słowem, a ja nie próbowałem go do tego zmuszać. Kiedy znaleźliśmy się w gabinecie, usiadł przy biurku i położył szklaną rurkę przed sobą na bibularzu. Po chwili ja z kolei zapytałem go, jak się czuje. Powiedział tylko: — Poszukaj Smitha i Jonesa. Poproś ich, żeby tu przyszli,

Smith i Jones byli to młodsi asystenci zespołu naukowego, który miał pracować nad tym właśnie okruchem Księżyca.

Kiedy wychodziłem, przykładał sobie chustkę do twarzy. Później nie widziałem go chyba przez kilka miesięcy. Był zajęty. Kiedy go wreszcie spotkałem, nie rozmawialiśmy o tym, co się stało.

Przypuszczam, że ci z was, którzy nie podzielają moich poglądów co do projektu wyprawy do Gwiazdy Barnarda, nie będą uważali tego incydentu za przekonywający, ani nawet za zrozumiały. Mogę tylko powiedzieć, że dla mnie miał on ogromne znaczenie.

Był to jedyny moment, kiedy ten człowiek stał się w moich oczach prawdziwie ludzki.

Zawsze, kiedykolwiek rozprawia się o nowym przedsięwzięciu, słyszę to samo pogardliwe pytanie — po co? Chodzi o to, co się przez to uzyska. Odpowiedzi jest wiele, ale nie są to odpowiedzi, które zadowalają pytających, żądają oni bowiem usprawiedliwienia czegoś, co, zdaniem tych, których pytają, żadnego usprawiedliwienia nie wymaga — uzasadnia je bowiem sam fakt. Według opinii takich ludzi, a i ja do nich należę, równym nonsensem byłoby pytanie: Dlaczego człowiek ma wyruszać na Sumatrę, Galapagos, czy Tristan de Cunha? Są to odległe zakątki Ziemi. Ich istnienie obchodzi niewielu, poza mieszkańcami ich wybrzeży. Zawsze jednak znaleźli się tacy, których ciągnęło nieodparcie do tych miejsc, dla nie bardziej racjonalnego powodu niż satysfakcja z dowiedzenia się, co tam jest. Chciałbym

wierzyć, że zawsze znajdzie się przynajmniej kilku takich ludzi…

Już od czasów Troi i Niniwy, Babilonu i Dilmuru, chyba tylko małoduszni nie bywali poruszeni do głębi opowieściami przywiezionymi przez podróżników.

Kiedy podnoszę wzrok znad swojego biurka — tu, na stacji Ganimeda — mogę zobaczyć przez okno większy rozmiarami od Księżyca, różnokolorowy fragment Jowisza. Nie ma on wpływu na życie wielu ludzi, ma za to przede wszystkim wielkie znaczenie dla mnie.

Przed kilkoma laty, kiedy założono stację na Ganimedzie, przybyliśmy tu z dużą ilością pytań, wielu rzeczy chcieliśmy się dowiedzieć — a odpowiedzi szukaliśmy nie dla celów praktycznych, lecz z czystej chęci poznania.

Wiedzieliśmy, że Jowisz wypromieniowuje w przestrzeń kosmiczną kilkakrotnie więcej energii niż otrzymuje od Słońca. Znajdujemy się tu po to, by dociec, skąd ta energia pochodzi, w wyniku jakiego procesu powstała, i w jaki sposób trafiła ze swego źródła w wyższe warstwy atmosfery planety.

Wiedzieliśmy już teraz, że atmosfera Jowisza zawiera kilka trwałych, charakterystycznych cech, nie będących chyba w stanie stałym, z których największą i najbardziej godną uwagi jest słynna czerwona plama. Nie znamy natury tych osobliwych cech, nie wiemy, co powoduje, że się nie rozpraszają, ani dlaczego unoszą się i zmieniają położenie. Być może nie są to ważne pytania. Przynajmniej w ziemskich kategoriach. Czujemy jednak potrzebę dowiedzenia się.

(Dlaczego? Czy musimy mieć powód?)

A zanim tu przylecieliśmy, mieliśmy powód, żeby wierzyć, że jądro Jowisza jest tak silnie ściśnięte siłami grawitacyjnymi, że własności substancji nie będą przypominały niczego, co kiedykolwiek badano w laboratoriach ziemskich. Szukaliśmy potwierdzenia swoich przypuszczeń, chcieliśmy też odkryć szczególne własności, jakie miałaby substancja w takim stanie — w pół drogi między jądrem świata i sercem gwiazdy.

Znajomość tych rzeczy nie będzie przydatna dla ludzi przyziemnych. Nie będą mieli z tego ani pieniędzy, ani chleba. Dla niektórych jednak, sam się do nich zaliczam, poszukiwanie wiedzy jest tysiąc razy bardziej kuszące niż złoto. Dużo odkryliśmy w ciągu tych kilku lat na Ganimedzie. Dużo było niespodzianek. Jestem pewien, że o kilku już słyszeliście, np. o stereofotografiach czterech poruszających się ruchem wstecznym, zewnętrznych księżyców, które pokazują, że trzy z nich pasowałyby do siebie tak idealnie, jak kawałki obrazkowej łamigłówki. Jaka siła spowodowała ich rozerwanie? I kiedy? Czy czwarty księżyc jest też fragmentem większej masy?

Są także te pseudogóry lodowe — olbrzymie masywy częściowo

stałej substancji, sięgające warstwy chmur Jowisza jak morskie bestie prujące powierzchnię wody. Unoszą się tam przez czas jakiś — kilka godzin lub dni — a potem niespodziewanie obracają się jak śpiący w czasie drzemki i znikają z oczu.

Dotychczas zauważono tych pseudogór pięć; jedna miała prawie pięćset kilometrów szerokości. Powierzchnia ich jest ziarnista i łatwo ulega erozji. Zabarwieniem przypominają masę tłuczonego szkła. Nie wiemy, z czego się składają, ani dlaczego unoszą się do góry a potem znikają.

Pytań mamy teraz jeszcze więcej niż na początku. Te, z którymi tu przybyliśmy, pozostały zasadniczo nie rozwiązane. Nie wiem, czy kiedykolwiek znajdziemy na nie właściwe odpowiedzi. Nie jestem zresztą pewien, czy chciałbym znać odpowiedzi.

Bo najważniejszą ze wszystkich rzeczy, jakich się nauczyliśmy, jest ta, którą pojęliśmy już na początku: że w miarę tego jak się uczymy, dowiadujemy się też, jak dużo pozostaje jeszcze do nauczenia. I te odpowiedzi, które wymuszamy na siłę z nieznanego, nie zadowalają w pełni, one bowiem z kolei w naszych myślach podsuwają nam nowe kwestie do rozstrzygnięcia.

Człowiek to zwierzę, które zadaje pytania. Właśnie poszukiwanie odpowiedzi na te pytania, a nie satysfakcja z dowiedzenia się, kusi nas do nowych przedsięwzięć. Jest coś takiego w duszy ludzkiej, co powoduje, że szukamy rozwiązań dla szerokich i różnorodnych zagadnień, nie poddających się łatwo, takich, które wymagają wysiłków całych pokoleń i całego życia tych pokoleń.

Gwiazda Barnarda należy do najbliższych ze znanych nam gwiazd. Oddalona jest od nas o sześć lat świetlnych. Bliżej są tylko bliźniacze gwiazdy Alfa Centauri, i ich towarzyszka Proxima. Gwiazda Barnarda wyróżnia się największym ruchem własnym ze wszystkich znanych gwiazd, tzn. miarą szybkości, z jaką porusza się przez firmament bardziej odległych gwiazd. I wiemy, że Gwiazda Barnarda ma przynajmniej jedną towarzyszkę, zbyt małą, żeby ją można było dostrzec; za małą nawet na to, żeby ją móc nazwać gwiazdą. Jest to planeta — jakiś inny świat. Bardzo możliwe, że jest ich kilkanaście. Zastanawiamy się nad tym, ile lat mogą sobie liczyć te światy i jakie znaczenie miałoby poznanie ich wieku dla określenia wieku naszego systemu słonecznego. A nawet i wieku Wszechświata.

(A może Wszechświat jest wiecznie młody? Lub po prostu wieczny? Czy takim pytaniom można przypisywać jakieś znaczenie? Czy w ogóle powinno się zadawać takie pytania?)

Wypatrujemy Gwiazdy Barnarda jak ludzie na brzegu morza… Zadajemy pytania. Gdy ludzie tam dotrą, zadadzą jeszcze więcej pytań. A oprócz tych pytań jeszcze kilka. Tak to już zawsze bywa.

Kiedy przyjąłem zaproszenie do pracy na Ganimedzie, niektórzy

małoduszni Ziemianie nie potrafili tego zrozumieć. Jeden z nich zapytał ironicznie: — Jak ci się wydaje? Co tam w górze znajdziesz?

Dałem mu jedyną odpowiedź, na jaką mogłem się zdobyć. Powiedziałem mu, że nie wiem — że nigdy nie wiemy, na co natrafimy. Nigdy. I właśnie dlatego tam wyruszamy.

Przełożyła Izabella Wagner

Ray Bradbury
POCZWARKA

Chrysalis

Rockwellowi nie podobał się panujący w pokoju zaduch. Nie tyle piwny odór McGuire'a czy smrodek zmęczonego, nie domytego Hartleya, co silny owadzi zapach zalatujący od zimnego, pokrytego zieloną powłoką ciała Smitha leżącego sztywno na stole. Czuć było także olejem i smarem od bliżej nie określonej maszynerii, która połyskiwała w kącie niewielkiego pomieszczenia.

Ten Smith był trupem. Rockwell, zirytowany, wstał z krzesła i schował stetoskop.

— Muszę wracać do szpitala. Rozumiesz, Hartley, wojna, przepełnienie. A Smith nie żyje od ośmiu godzin. Jeśli potrzebne ci są szczegółowe dane, zażądaj sekcji zwłok…

Przerwał, ponieważ Hartley uniósł drżącą, kościstą rękę i wskazał na ciało pokryte dokładnie kruchą, twardą, zieloną łuską.

— Osłuchaj go, Rockwell. Jeszcze tylko raz, proszę cię.

Rockwell chciał zaprotestować, ale westchnął, usiadł i wyciągnął stetoskop. Z kolegami lekarzami trzeba jak z jajkiem. Przyciskasz więc stetoskop do zimnego, zielonego ciała i udajesz, że słuchasz…

Nagle mały, słabo oświetlony pokoik eksplodował wokół niego. Eksplodował zielonym, chłodnym tętnieniem. Uderzyło ono Rockwella w uszy jak pięści. Po prostu go uderzyło. Widział, jak jego palce podskakują na leżącym ciele.

Słyszał puls.

Głęboko w ciemnościach ciała serce uderzyło raz. Zabrzmiało to jak echo w morskiej toni.

Smith był martwy, nie oddychał, był zmumifikowany. Ale gdzieś w samym jądrze tej martwoty żyło jego serce. Żyło, poruszając się jak maleńkie nie narodzone dziecko!

Suche palce Rockwella, palce chirurga, skoczyły gwałtownie. Zwiesił głowę. W świetle wydawała się ciemna, z łatka mi siwizny. Miał spokojną piękną twarz o regularnych rysach. I około trzydziestki. Co chwila przykładał stetoskop i nasłuchiwał, a na jego gładkie policzki wystąpił pot. Puls był nieprawdopodobny.

Jedno uderzenie serca na trzydzieści pięć sekund.

A oddech — też nie do wiary — co cztery minuty. Ruch klatki piersiowej właściwie niedostrzegalny. Temperatura ciała?

Sześćdziesiąt stopni.

Hartley roześmiał się. Nie był to przyjemny śmiech. Przypominał

zanikające echo.

— On żyje — powiedział zmęczonym głosem. — Tak. Żyje. Wiele razy mnie oszukiwał. Wstrzykiwałem mu adrenalinę, żeby przyspieszyć bicie serca, ale bezskutecznie. Jest w takim stanie od dwunastu tygodni. Nie mogłem tego już dłużej trzymać w tajemnicy. Dlatego do ciebie zadzwoniłem. To jest… coś nienaturalnego.

Nieprawdopodobieństwo tego, co stwierdził, wywołało w Rockwellu dziwne podniecenie. Spróbował unieść powieki Smitha. Nie mógł. Były zarośnięte naskórkiem. Podobnie jak usta. Tak samo nozdrza. Smith nie miał czym oddychać…

— A jednak on oddycha — głos Rockwella zabrzmiał drętwo. Bezradnie opuścił stetoskop, znów go wziął do ręki i zobaczył, jak drżą mu palce.

Hartley stał nad stołem wysoki, zmizerowany, roztrzęsiony.

— Smith nie był zadowolony, że do ciebie dzwonię. Ale zadzwoniłem mimo to. Ostrzegał mnie, żebym tego nie robił. Jeszcze godzinę temu.

Oczy Rockwella zrobiły się wielkie jak spodki.

— Jak mógł cię ostrzegać? Przecież on się nawet nie rusza.

Twarz Hartleya wąska, koścista, z mocną szczęką, o przymrużonych, surowych, szarych oczach drgnęła nerwowo. — Smith myśli. Znam jego myśli. Boi się, że zdradzisz jego tajemnicę przed światem. On mnie nienawidzi. A wiesz dlaczego? Bo chcę go zabić. O — Hartley namacał w kieszeni wymiętej, poplamionej marynarki rewolwer. — Weź to, Murphy. Weź to, zanim strzelę do tego cuchnącego cielska.

Murphy cofnął się z wyrazem strachu na czerwonej twarzy o grubych rysach.

— Nie lubię broni. Ty weź to, Rockwell.

Głos Rockwella przypominał cięcie skalpelem.

— Odłóż tę broń, Hartley. Po trzech miesiącach pielęgnowania jednego pacjenta masz uraz psychiczny. Musisz się przespać, to ci dobrze zrobi. — Oblizał usta. — Co to za choroba, na którą zapadł Smith?

Hartley zachwiał się. Jego usta poruszały się wolno, gdy wymawiał słowa. Zasypia na stojąco, uznał Rockwell.

— To nie choroba — zdołał powiedzieć Hartley. — Nie wiem, co to jest. Ale nienawidzę go jak dziecko nienawidzi nowo narodzonego brata czy siostry. On jest nie taki jak trzeba. Pomóżcie mi, dobrze?

— Oczywiście — Rockwell uśmiechnął się. — Moje pustynne sanatorium będzie się doskonale nadawało do tego, żeby go tam przebadać. Smith jest chyba najbardziej zdumiewającym przypadkiem w historii medycyny. Ludzkie ciało tak się nie zachowuje!

Rockwell nie zdołał powiedzieć nic więcej. Hartley wycelował broń prosto w jego żołądek.

— Chwileczkę, zaczekaj. Ty… ty nie zamierzasz pogrzebać Smitha? Myślałem, że mi pomożesz. Smith nie jest zdrowy. Chcę, żeby został zabity! On jest niebezpieczny! Z całą pewnością!

Rockwell zamrugał oczami. Hartley musi być psychoneurotykiem. Nie wie, co mówi. Rockwell wyprostował się czując wewnątrz chłód i spokój, — Jeśli zastrzelisz Smitha, oskarżę cię o morderstwo. Jesteś przemęczony psychicznie i fizycznie. Odłóż broń.

Wpatrywali się w siebie nawzajem.

Rockwell podszedł do Hartleya, spokojnie wziął od niego rewolwer, z wyrozumiałością poklepał go po ramieniu i wręczył broń Murphy'emu, który miał taką minę, jakby ten rewolwer kąsał.

— Zadzwoń do szpitala, Murphy. Ja biorę tydzień wolnego. Może więcej. Powiedz im, że prowadzę badania w sanatorium.

Tłusta, czerwona twarz Murphy'ego wykrzywiła się w złości.

— Co mam zrobić z tą bronią?

Hartley mocno zacisnął zęby.

— Zatrzymać. Przyda ci się… później.

Rockwell miał ochotę wykrzyczeć wobec całego świata, że jest jedynym posiadaczem najdziwniejszej istoty ludzkiej na przestrzeni dziejów. Pustynne sanatorium, pokój, w którym leżał na stole milczący Smith, z urodziwą zieloną twarzą zastygłą w beznamiętnym wyrazie, wypełniał słoneczny blask.

Rockwell wszedł cicho. Przytknął stetoskop do zielonej piersi i usłyszał chrobot, jakby ktoś metalem przejechał po pancerzu żuka.

Obok stał McGuire cuchnący świeżo wypitym piwem i z powątpiewaniem przyglądał się ciału.

Rockwell wytężał słuch.

— Mógł doznać wstrząsu w czasie transportu karetką. Nie ma co ryzykować. Nagle wykrzyknął. McGuire podszedł do niego ociężale.

— Co się stało?

— Co się stało?! — Rockwell powiódł dokoła zrozpaczonym wzrokiem. Zacisnął pięść. — Smith umiera!

— Skąd wiesz? Hartley mówił, że on symuluje. Znów dałeś się nabrać…

— Nie! — Rockwell jak szalony uwijał się koło ciała wstrzykując weń leki. Jakiekolwiek. Wszystkie. I klnąc na czym świat stoi. Po takich kłopotach nie może stracić Smitha. W każdym razie nie teraz.

Z ciała Smitha, które drżało, wibrowało, skręcało się gdzieś w swoich głębiach ogarnięte szaleństwem, dobywał się dźwięk przypominający pomruk wzbierającego lawą wulkanu.

Rockwell usiłował zachować spokój. Przypadek Smitha to było

coś dla niego. Normalne leczenie nic mu nie pomogło. Wobec tego co? Co?

Rockwell patrzył. Na twardej powłoce Smitha lśniło słońce. Gorące słońce. Jego promienie połyskiwały odbijając się od stetoskopu. Słońce. Za oknem niebo zaciągnęło się chmurami. W pokoju pociemniało. Ciało Smitha drgnęło i pogrążyło się w ciszy. Wulkan zamarł.

— McGuire! Spuść żaluzje! Zanim wyjdzie słońce!

McGuire wykonał polecenie.

Serce Smitha zwolniło do swego zwykłego leniwego rytmu.

— Złe znosi słońce. Ono czemuś przeciwdziała. Nie wiem czemu ani dlaczego, ale mu szkodzi — Rockwell odprężył się. — O Boże, nie chciałbym stracić Smitha. Za nic. Jest inny. Wyznacza własne normy, robi rzeczy, których człowiek nigdy nie robił. Wiesz co, Murphy?

— Co?

— Smith wcale nie cierpi. Ani nie umiera. I śmierć wcale nie przyniesie mu ulgi, bez względu na to, co wygaduje Hartley. Wczoraj wieczorem, jak przekładałem Smitha na nosze przygotowując go do drogi, stwierdziłem nagle, że on mnie lubi.

— O rany. Najpierw Hartley. A teraz ty. Powiedział ci to?

— Nie, nie powiedział. Ale on wcale nie jest nieprzytomny pod tą swoją twardą łuską. On ma świadomość. Tak, właśnie tak. Ma świadomość.

— On zwyczajnie i po prostu ulega petryfikacji. Umiera. Od tygodni nie był karmiony. Tak mówił Hartley. Hartley odżywiał go dożylnie, dopóki skóra nie stwardniała tak, że nie był w stanie przebić jej igłą.

Powoli, ze skrzypieniem, drzwi pokoju otworzyły się. Rockwell drgnął. W drzwiach zobaczył wysoką postać Hartleya. Jego twarz o ostrych rysach po kilku godzinach snu robiła wrażenie odprężonej, ale pełne goryczy spojrzenie szarych oczu w dalszym ciągu było wrogie.

— Jeśli opuścisz ten pokój — rzekł spokojnie — zniszczę Smitha w ciągu paru sekund. Dobrze?

— Nie ruszaj się z miejsca. — Rockwell, zirytowany, podszedł do Hartleya. — Za każdym razem kiedy się tu pojawisz, zostaniesz zrewidowany. Mówiąc szczerze, nie ufam ci. — Nie znalazł przy nim broni. — Dlaczego mi nie powiedziałeś o działaniu słońca?

— Co? — Cicho, powoli Hartley powiedział: — Aha, zapomniałem. Parę tygodni temu usiłowałem go przenieść. Znalazł się wtedy pod działaniem słońca i rzeczywiście zaczął umierać. Naturalnie zrezygnowałem z przenoszenia go. Miałem wrażenie, że niejasno zdaje sobie sprawę z tego, na co się zanosiło. Może to nawet zaplanował, nie jestem pewny. W okresie kiedy mógł jeszcze mówić i

kiedy jadł tak żarłocznie, zanim jego ciało zesztywniało całkowicie, ostrzegał mnie, żeby go nie ruszać przez dwanaście tygodni. Powiedział, że źle znosi słońce, że to by wszystko popsuło. Myślałem, że żartuje. Ale nie. Jadł jak zwierzę, wygłodniałe, dzikie zwierzę, a potem zapadł w stan nieświadomości, o tak właśnie jak teraz… — Hartley zaklął pod nosem. — Miałem nadzieję, że go zostawisz na słońcu tak długo, że go to zabije ostatecznie, nieodwracalnie.

McGuire przeniósł z nogi na nogę swoje dwieście pięćdziesiąt funtów ciężaru.

— No dobrze, a jeśli człapiemy od niego tę chorobę?

Hartley popatrzył na ciało i oczy mu się zwęziły.

— Smith nie jest na nic chory. Nie widzisz, że to degeneracja? Coś w rodzaju raka. Tym się człowiek nie zaraża. Po prostu dziedziczy skłonność. Nie bałem się Smitha ani go nie nienawidziłem, dopóki, tydzień temu, nie stwierdziłem, że on oddycha i tętni życiem mimo zarośniętych ust i nozdrzy. Nie wolno na coś takiego pozwalać.

McGuire powiedział drżącym głosem:

— A jeżeli ty, ja i Rockwell — wszyscy zrobimy się zieloni i ta zaraza obejmie cały kraj, to co wtedy?

— Wtedy — odparł Rockwell — jeśli nie mam racji, a możliwe, że nie mam, umrę. Ale zupełnie mnie to nie martwi.

Z tymi słowy odwrócił się z powrotem do Smitha i podjął przerwane zajęcie.

Dzwonek. Dzwonek. Dwa dzwonki, dwa dzwonki. Tuzin dzwonków. Setka dzwonków. Dziesięć tysięcy, milion głośnych, nieustępliwych, ogłuszających, metalicznych dzwonków. Wszystkie naraz zrodziły się w ciszy wrzeszcząc, krzycząc, raniąc echa, dźgając w uszy.

Dzwoniąc, śpiewając głośno i cicho, tenorem i basem, nisko i wysoko. Wielkie serca, których uderzenia rozdzierały powietrze potężnym, natrętnym łomotem.

Ogłupiały od tych dzwonów Smith nie mógł się od razu połapać, gdzie jest. Wiedział, że nie widzi, bo ma zarośnięte oczy, i że nie może mówić, bo ma zrośnięte wargi. Uszy też miał zasklepione, ale mimo to dzwonienie do nich docierało.

Nie widział. Ale owszem, owszem, widział, miał wrażenie, jakby się znalazł wewnątrz małej czarno — czerwonej jaskini, jakby jego oczy były wywrócone do środka, do wnętrza czaszki. Próbował poruszyć językiem i nagle, usiłując krzyknąć, zdał sobie sprawę, że nie ma języka, że miejsce, gdzie zwykle był, jest puste — swędzące miejsce, w którym brakuje języka, nieosiągalnego właśnie teraz.

Brak języka. Dziwne. Dlaczego? Smith próbował zatrzymać dzwony. Przestały bić nagradzając go ciszą, która spowiła go jak

chłodna płachta. Coś się działo. Działo się coś.

Usiłował zgiąć palec, ale nie miał nad nim władzy. Stopa, noga, palec u nogi, głowa — niczym nie mógł poruszyć. Tors, ręce — wszystko to nieruchome, jakby zastygłe w trumnie z betonu.

W chwilę później nastąpiło potworne odkrycie: nie oddycha. W każdym razie nie płucami.

Ponieważ nie mam płuc! — krzyknął. Krzyknął wewnętrznie i ten duchowy krzyk został zatopiony, zasnuty, ścięty i spłynął ospale z czerwoną, ciemną falą. Czerwona, ospała fala, która leniwie pochłonęła krzyk, zdusiła go, zabrała, pozwalając Smithowi odprężyć się nieco.

Nie odczuwam strachu, pomyślał. Rozumiem to, czego nie rozumiem. Rozumiem, że nie odczuwam strachu, ale nie znam przyczyny.

Nie ma języka, nie ma nosa, nie ma płuc. Ale później je odzyska. Tak, odzyska. Coś się dzieje. Przez pory pokrytego łuską ciała przedostawało się powietrze, kłując jak krople deszczu, budząc do życia. Oddychanie przez miliony skrzeli, oddychanie tlenem, azotem, wodorem i dwutlenkiem węgla — tak, on to wszystko zużywa. Ciekawe. Czy jego serce bije w dalszym ciągu?

Ależ tak, bije. Wolno, wolno, wolno. Czerwony, mglisty szum, powódź, rzeka opływająca go dokoła wolno, wolniej, wolniej. Jak przyjemnie.

Jak spokojnie.

W miarę jak dni zmieniały się w tygodnie, elementy łamigłówki zaczynały pasować coraz lepiej. McGuire pomagał. Emerytowany chirurg przez wiele lat był sekretarzem Rockwella. Pomoc niewielka, ale przynajmniej towarzystwo.

Rockwell zauważył, że McGuire żartuje na temat Smitha gburowato, nerwowo i dużo. Usiłuje być opanowany. Ale pewnego dnia przestał żartować, zamyślił się i powiedział przeciągając słowa:

— Przyszła mi jedna rzecz do głowy. Smith żyje. A powinien nie żyć. Ale żyje. Mój Boże!

Rockwell roześmiał się.

— A co ty sobie, do diabła, wyobrażasz — że nad czym ja pracuję? W przyszłym tygodniu przynoszę tu aparat rentgenowski, żeby zobaczyć, co się tam wewnątrz tej jego skorupy dzieje. — Rockwell dźgnął Smitha igłą do zastrzyków podskórnych. Złamała się na twardej łusce.

Spróbował następnej igły i jeszcze jednej, aż w końcu udało mu się wkłuć; pobrał krew i zbadał ją pod mikroskopem. W parę godzin później podsunął spokojnie McGuire'owi pod jego czerwony nos wynik badania krwi i powiedział szybko:

— Trudno w to uwierzyć, ale jego krew ma własności bakteriobójcze. Wpuściłem do niej kolonię streptokoków i zginęły w ciągu ośmiu sekund! Można wstrzyknąć Smithowi zarazki wszelkich znanych chorób, a on je nie tylko zniszczy, ale nawet mu posłużą.

Nie minęło kilka godzin, kiedy porobili nowe odkrycia. Rockwell nie spał, rzucał się po nocach na łóżku łamiąc sobie głowę nad różnymi wielkimi koncepcjami. Na przykład…

Hartley wprowadzał Smithowi do krwi, przez cały okres jego choroby, pewną ilość centymetrów sześciennych odżywki dziennie. Nic z tego nie zostało wydalone. Organizm zmagazynował wszystko, ale nie w postaci fałd tłuszczu, tylko w formie jakiegoś nieznanego, wysoce skoncentrowanego roztworu, płynu x, zawartego we krwi. Uncja tej substancji wystarczyłaby człowiekowi jako pokarm na trzy dni. Ten płyn x krążył w organizmie, który w odpowiednim momencie go zużywał. Było to znacznie praktyczniejsze niż tłuszcz. Bez porównania!

Rockwell szalał z powodu tego odkrycia. Smith miał zmagazynowane w sobie tyle płynu x, że mógł dzięki niemu przetrwać jeszcze długie miesiące. Był samowystarczalny.

McGuire, kiedy mu Rockwell o tym powiedział, popatrzył smętnie na swój brzuch.

— Szkoda, że mnie się w ten sposób nie odkładają kalorie.

Ale to nie wszystko. Smithowi wystarczała niewielka ilość powietrza, które czerpał w drodze osmozy przez skórę. I które też zużywał całkowicie. Bez żadnych produktów spalania.

— W tej sytuacji — zakończył Rockwell — serce Smitha mogło pozwolić sobie na pewne przerwy w pracy.

— Ale to oznacza, że Smith wtedy nie żył — powiedział McGuire.

— Dla mnie, dla ciebie — zgoda. Dla niego samego — może. Właśnie: może. Zastanów się nad tym, McGuire. Reasumując, mamy w przypadku Smitha do czynienia z samooczyszczającym się krwiobiegiem, miesiącami nie wymagającym żadnych uzupełnień poza zasobami wewnętrznymi, odpornym, nie wydalającym niczego, ponieważ dosłownie każda cząsteczka jest wykorzystywana, samorozwijającym się i zabójczym dla wszelkich mikrobów. A Hartley ośmiela się mówić o degeneracji!

Hartley był zły, gdy się dowiedział o tych odkryciach. Ale w dalszym ciągu twierdził, że Smith przechodzi proces degeneracji, że jest niebezpieczny.

McGuire dorzucił swoje trzy grosze:

— A skąd my możemy wiedzieć, że nie są to zarazki wykrywalne tylko pod mikroskopem elektronowym, które rozwijając się w swojej ofierze niszczą wszelkie inne bakterie? Ostatecznie w pewnych wypadkach używa się zarazków malarii do leczenia syfilisu. Może to

jakiś nowy bakcyl, który zabija wszystkie inne?

— Coś w tym musi być — rzekł Rockwell — ale przecież my nie jesteśmy chorzy.

— Może to okres inkubacji.

— Punkt widzenia typowy dla lekarzy starej daty. Obojętne, co się z człowiekiem dzieje, jeśli odbiega od normy, to znaczy, że jest „chory". Ale to twój pogląd, Hartley — oświadczył Rockwell — nie mój. Lekarze nie spoczną, dopóki nie postawią diagnozy i nie przykleją etykietki każdemu przypadkowi. Ja uważam, że Smith jest zdrowy, tak zdrowy, że się go boisz.

— Zwariowałeś — rzekł McGuire.

— Możliwe. W każdym razie nie sądzę, żeby Smithowi potrzebna była jakakolwiek interwencja lekarska. Sam sobie poradzi. Ty uważasz, że on się degeneruje. Ja uważam, że on się rozwija.

— Spójrz na jego skórę — jęknął McGuire.

— Owca w wilczej skórze. Na zewnątrz twardy, sztywny naskórek. Wewnątrz odrodzenie według określonego porządku, zmiany. Dlaczego? Jestem bliski poznania odpowiedzi na to pytanie. Zmiany wewnątrz Smitha są tak gwałtowne, że aż wymagają zabezpieczenia w postaci skorupy. A ty, Hartley, powiedz mi szczerze: czy jak byłeś mały, nie bałeś się przypadkiem owadów, pająków i tym podobnych stworzeń?

— Owszem.

— No widzisz. Fobia. Lęk przed Smithem. Ta fobia tłumaczy twoją niechęć do zachodzących w nim zmian.

W ciągu najbliższych tygodni Rockwell starannie studiował dotychczasowe życie Smitha. Odwiedził laboratorium elektroniczne, w którym Smith pracował i zachorował. Obejrzał starannie pokój, w którym spędził pierwsze tygodnie swojej „choroby", pielęgnowany przez Hartleya. Zbadał znajdującą się tam aparaturę. Coś z promieniowaniem…

Opuszczając sanatorium Rockwell za każdym razem starannie zamykał Smitha i kazał McGuire'owi pilnować drzwi na wypadek, gdyby Hartleyowi coś strzeliło do głowy.

Dwudziestotrzyletnie życie Smitha było bardzo nieskomplikowane: przez pięć lat pracował w laboratorium elektronicznym, prowadząc prace doświadczalne. Nigdy nie był poważnie chory.

Czas płynął i Rockwell odbywał długie samotne spacery w okolicach sanatorium. Miał kiedy przemyśleć i dopracować niewiarygodną teorię, która zaczęła krystalizować się w jego umyśle.

Pewnego popołudnia zatrzymał się przed sanatorium koło kwitnącego krzewu jaśminu, sięgnął ręką i z wysokiej gałązki zdjął z

uśmiechem ciemny, błyszczący przedmiot. Spojrzał na niego i schował go do kieszeni. Po czym wszedł do sanatorium.

Zawołał z werandy McGuire'a. Za McGuire'em, miotając groźby i narzekając, przywlókł się Hartley. Siedzieli we trójkę w części mieszkalnej budynku.

I wtedy im Rockwell powiedział:

— Smith nie ma żadnej choroby. Zarazki nie mogłyby w nim żyć. Nie zawładnęły jego ciałem żadne złe duchy ani nadprzyrodzone potwory. Mówię o tym, żeby was przekonać, że niczego nie zaniedbałem. Odrzucam wszelkie normalne diagnozy na temat Smitha. I przeciwstawiam im najpoważniejszą, a zarazem najłatwiejszą do przyjęcia: opóźnionej dziedzicznej mutacji.

— Mutacji? — głos McGuire'a zabrzmiał dziwnie.

Rockwell uniósł do światła czarny, błyszczący przedmiot.

— Znalazłem to na krzaku w ogrodzie. To idealnie zilustruje moją teorię. Po przestudiowaniu objawów Smitha, zbadaniu jego laboratorium i obejrzeniu kilku takich — obrócił w palcach ciemny przedmiot — mam pewność. To jest metamorfoza. Regeneracja, zmiana, mutacja p o narodzeniu. Proszę. Łap. To jest Smith.

Rzucił przedmiot Hartleyowi.

— To jest poczwarka gąsienicy — powiedział Hartley.

Rockwell skinął głową.

— Zgadza się.

— Nie zamierzasz chyba sugerować, że Smith jest… poczwarką?

— To nie ulega wątpliwości — odparł Rockwell.

W wieczornym mroku Rockwell stał nad ciałem Smitha. Hartley i McGuire siedzieli w drugim końcu pokoju i w milczeniu słuchali. Rockwell delikatnie dotknął Smitha.

— A może ż y ć to coś więcej niż narodzić się, przetrwać siedemdziesiąt lat i umrzeć. Może w ludzkim istnieniu jest do osiągnięcia jakiś znacznie wyższy stopień i Smithowi pierwszemu było to dane.

Patrząc na gąsienicę uważamy ją za przedmiot statyczny. Ale przecież ona się zmienia w motyla. Dlaczego? Nie ma jeszcze ostatecznej teorii, która by to wyjaśniała. To jest postęp, przede wszystkim. Chodzi o to, że przedmiot uważany za niezmienny przybiera formę pośrednią, zupełnie inną, staje się poczwarka, z której ostatecznie wyłania się motyl. Na zewnątrz poczwarka robi wrażenie martwej. I to jest mylące. Smith nas zwiódł. Na zewnątrz — martwy. Wewnątrz — tętni sokami; wewnątrz odbudowa, gwałtowny celowy ruch. Od larwy do komara, od gąsienicy do motyla, od Smitha do?…

— Smith poczwarką? — McGuire zaśmiał się rubasznie.

— Tak.

— Ludzie nie podlegają takim przemianom.

— Spokojnie, McGuire. Ten krok naprzód w ewolucji jest zbyt wielki na to, żebyś go pojął. Zbadaj Smitha i powiedz mi, co to może być innego. Skóra, oczy, oddychanie, krwiobieg. Tygodnie przyswajania pokarmu na okres tej opancerzonej hibernacji. Po co by tak jadł, po co by mu był cały ten płyn x, jak nie do celów metamorfozy? A przyczyna tego wszystkiego leży w promieniowaniu. W promieniowaniu twardym z aparatury w laboratorium Smitha. Zaplanowanym czy też przypadkowym — nie wiem. W każdym razie musiało ono objąć jakąś zasadniczą część jego struktury genetycznej, jakąś część struktury ewolucyjnej człowieka, która może jeszcze przez tysiące lat miała drzemać nie rozbudzona.

— Czy myślisz, że pewnego dnia wszyscy ludzie?…

— Larwa nie pozostaje na zawsze w stojącej wodzie sadzawki, pędrak w ziemi, a gąsienica na liściu kapusty. One się zmieniają, falami ogarniając Wszechświat.

Smith stanowi odpowiedź na pytanie: „Co stanie się dalej z człowiekiem, dokąd stąd pójdziemy?" Stoimy przed ślepą ścianą Wszechświata i przeznaczeniem polegającym na konieczności życia w nim, a człowiek na obecnym etapie rozwoju nie jest w stanie stawić czoła temu Wszechświatowi. Najmniejszy wysiłek go męczy, przepracowanie niszczy mu serce, choroba ciało. Może Smith odpowie na odwieczne pytanie filozofów o sens życia. Może on nada temu życiu nowy sens.

Cóż… wszyscy jesteśmy tylko nędznymi insektami, miotającymi się na maleńkiej jak łepek od szpilki planecie. A człowiek wcale nie jest skazany na to, by tu pozostać, być chorym, małym i słabym — po prostu nie odkrył jeszcze tajemnicy wiedzy wyższej.

Ale zmieńcie go. Stwórzcie człowieka doskonałego. Nadczłowieka, jeśli wolicie. Uwolnijcie go z więzów ciasnoty umysłowej, dajcie mu całkowitą kontrolę nad własną fizjologią, systemem nerwowym, psychiką; wyposażcie go w jasny, twórczy umysł, nieskończenie wytrzymały system krwionośny, organizm, który mógłby miesiącami obywać się bez pokarmu, który byłby zdolny przystosować się do każdego klimatu i zwalczać każdą chorobę. Wyzwólcie człowieka z pęt ciała i jego ułomności, a przestanie być nędzną istotą, która boi się nawet marzyć, wiedząc, że na drodze do spełnienia jej marzeń stoi właśnie owo niedoskonałe ciało, i podejmie walkę, jedyną wartą podjęcia — walkę odrodzonego człowieka przeciwko całemu przeklętemu Wszechświatowi!

Bez tchu, zachrypnięty, z bijącym sercem Rockwell ekstatycznym ruchem położył zdecydowanie ręce na zimnej poczwarce i zamknął oczy. Przepełniało go poczucie mocy, działania, wiary w Smitha. Ma

rację. Ma rację. Wiedział, że ma rację. Otworzył oczy i spojrzał na Hartleya i McGuire'a, którzy w przyćmionym świetle przypominali cienie.

Po kilku sekundach milczenia Hartley, zaciągając się papierosem, powiedział:

— Nie wierzę w tę teorię.

McGuire dodał:

— Skąd wiesz, że Smith nie jest w środku kupą galarety? Prześwietlałeś go?

— Bałem się ryzykować. Mogłoby to okazać się równie szkodliwe dla jego przemian jak światło słoneczne.

— To Smith ma zostać nadczłowiekiem? Jak będzie wyglądał?

— Zobaczymy.

— Czy myślisz, że on słyszy, jak o nim rozmawiamy?

— Słyszy czy nie słyszy, jedno jest pewne: że posiedliśmy tajemnicę, która nie była dla nas przeznaczona. Smith nie brał w swoich planach pod uwagę mnie i McGuire'a. Musiał być bardzo ostrożny. Nadczłowiek nie lubi, żeby ludzie o nim wiedzieli. Potrafią być paskudnie zawistni, zazdrośni, nieżyczliwi. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie bezpieczny, jak się o nim dowiedzą. Może to wyjaśnia i twoją nienawiść, Hartley.

Słuchali w milczeniu. Panowała kompletna cisza, tylko krew w skroniach Rockwella szumiała, to wszystko. Był wśród nich Smith, już właściwie nie Smith: pojemnik oznaczony SMITH z nie znaną zawartością.

— Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą — rzekł Hartley — to tym bardziej powinniśmy go zniszczyć. Pomyśl o władzy, jaką miałby nad światem. I jeśli, jak sądzę, ten fakt wywrze wpływ na jego umysł, to przecież będzie usiłował nas zabić, jak tylko ucieknie, ponieważ my jedni znamy jego tajemnicę. Znienawidzi nas za to, żeśmy go podpatrzyli.

Rockwell powiedział lekko:

— Ja się nie boję.

Hartley milczał. Słychać było tylko jego ciężki, chrapliwy oddech. Rockwell okrążył stół i podszedł do nich gestykulując.

— Myślę, że teraz się już pożegnamy, jak uważacie?

Samochód Hartleya zniknął w drobno siąpiącym deszczu. Rockwell zamknął drzwi, powiedział McGuire'owi, żeby spal na dole, na polowym łóżku ustawionym naprzeciwko drzwi do pokoju Smitha, a sam poszedł się położyć na górę.

Rozbierając się rozpamiętywał wszystkie niewiarygodne wydarzenia z ostatnich tygodni. Nadczłowiek. Dlaczego nie? Sprawność, siła…

Wśliznął się pod kołdrę.

Kiedy? Kiedy Smith wychynie ze swojej poczwarki? Kiedy?

Deszcz padał cicho na dach sanatorium.

Pośród przypominających trzęsienie ziemi grzmotów i bębnienia deszczu spał na polowym łóżku ciężko wzdychając przez sen McGuire. Gdzieś skrzypnęły drzwi, ale McGuire oddychał dalej równo. Do hallu wdarł się wiatr. McGuire jęknął i obrócił się na bok. Drzwi zamknęły się cicho i wiatr ustał. Delikatne kroki po puszystym dywanie. Powolne kroki, przemyślane, ostrożne, czujne. Kroki. McGuire zamrugał oczyma i otworzył je.

W mroku stała nad nim jakaś postać.

Pojedyncza lampa na górze w hallu rzucała żółty snop światła tuż koło jego łóżka.

Rozszedł się odór rozgniecionego owada. Poruszyła się ręka. Głos zaczął mówić.

McGuire wrzasnął.

Ponieważ ręka, która znalazła się w kręgu światła, była zielona.

Zielona.

— Smith?

McGuire niezdarnie rzucił się z krzykiem przed siebie.

— On chodzi! Nie może chodzić, ale chodzi! Pod ciężarem McGuire'a drzwi ustąpiły. Wokół niego zawodził siekący deszczem wiatr; McGuire bełkocząc pognał w burzę.

W hallu stała bez ruchu jakaś postać. Na górze drzwi otworzyły się szybko i Rockwell zbiegł ze schodów. Zielona ręka usunęła się z kręgu światła i schowała za plecami postaci.

— Kto tam? — Rockwell zatrzymał się w pół drogi. Postać wystąpiła z mroku.

Oczy Rockwella zwęziły się.

— Hartley! Co ty tu robisz?

— Coś się stało — odparł Hartley. — Sprowadź McGuire'a, wybiegł w deszcz bełkocząc jak wariat.

Rockwell nie zdradzał się ze swoimi podejrzeniami. Jednym szybkim spojrzeniem objął Hartleya i wybiegł w lodowaty wicher.

— McGuire! McGuire! Wracaj, idioto!

Rockwell biegł nie zważając na deszcz. Znalazł McGuire'a szlochającego jakieś sto jardów od sanatorium.

— Smith… Smith chodzi…

— Bzdura. Hartley wrócił, i tyle.

— Widziałem zieloną rękę… ruszała się…

— Przyśniło ci się.

— Nie. Nie. — Twarz McGuire'a była papierowobiała, mokra. — Widziałem zieloną rękę, wierz mi. Po co wrócił Hartley? On…

Na dźwięk nazwiska Hartleya Rockwell doznał nagłego olśnienia. Przez głowę przeleciała mu błyskawica strachu, gwałtowne ostrzeżenie, zębate ostrze bezgłośnego wołania o pomoc.

Gwałtownie odsuwając McGuire'a na bok, Rockwell obrócił się i krzycząc pobiegł z powrotem do sanatorium. Wpadł do hallu…

Drzwi do pokoju Smitha były wyważone.

Pośrodku pokoju stał z bronią w ręku Hartley. Odwrócił się słysząc nadbiegającego Rockwella. Zrobili to jednocześnie: Hartley pociągnął za spust, Rockwell zgasił światło.

Ciemność. W pokoju zajaśniał płomień oświetlając niby lampa błyskowa sztywno leżące ciało Smitha. Rockwell rzucił, się ku płomieniowi. Mimo głębokiego wstrząsu, jakiego doznał, zrozumiał, dlaczego Hartley wrócił. W mgnieniu oka, nim jeszcze zgasło światło, mignęły mu palce Hartleya.

Były kruche, zielono cętkowane.

A potem pięści. I padający nieprzytomnie Hartley, kiedy zapaliły się światła, i w drzwiach ociekający wodą McGuire, który zapytał:

— Czy… czy Smith został zabity?

Smithowi nic się nie stało. Kula przeszła ponad nim.

— Co za dureń! Co za dureń! — wykrzykiwał Rockwell nad pozbawionym czucia Hartleyem. — Największa rewelacja w historii ludzkości, a ten próbuje ją zniszczyć!

Hartley powoli przychodził do siebie.

— Powinienem się tego spodziewać. Smith cię ostrzegł.

— Bzdura, on… — Rockwell przerwał, zdumiony. Tak, to nagłe olśnienie. Tak. Spojrzał na Hartleya ponuro. — Pójdziesz na górę. Zamknę cię na noc. I ciebie, McGuire, żebyś go pilnował.

McGuire zaskrzeczał:

— Ręka Hartleya. Spójrz na nią. Jest zielona. Wtedy w hallu to był Hartley, nie Smith!

Hartley przyglądał się swoim palcom.

— Ładne, co? — powiedział z goryczą. — Przez dłuższy czas, na początku choroby Smitha, byłem w zasięgu tego promieniowania. Staję się takim samym stworem jak… on. Tak już jest od kilku dni. Ukrywałem to. Usiłowałem nic nie mówić. Ale dziś wieczór… nie mogłem dłużej wytrzymać i wróciłem, żeby zniszczyć Smitha za to, co mi zrobił…

Nagle rozdarł powietrze suchy trzask. Wszyscy trzej zastygli w oczekiwaniu.

Z kokona Smitha wystrzeliły w górę trzy delikatne łuski, i lotem spiralnym opadły na podłogę.

Rockwell błyskawicznie znalazł się przy stole, wpatrzony w to, co się działo.

— Zaczyna pękać. Od obojczyka do pępka mikroskopijna

szczelina! Już wkrótce wyjdzie z poczwarki!

McGuire'owi latały szczęki.

— I co wtedy?

Słowa Hartleya pełne były goryczy:

— Będziemy mieli nadczłowieka. Pytanie: jak wygląda nadczłowiek? Odpowiedź: nikt nie wie.

Odskoczyły następne łuski.

McGuire wzdrygnął się.

— Będziesz próbował z nim rozmawiać?

— Oczywiście.

— A od kiedy to… motyle mówią?

— Na miłość boską, McGuire!

Zamknąwszy bezpiecznie tamtych dwóch na górze, Rockwell sam poszedł do pokoju Smitha i położył się na polowym łóżku, by spędzić na oczekiwaniu długą deszczową noc — obserwując, słuchając, myśląc.

Patrzył, jak delikatne łuski odpadają od marszczącej się skóry poczwarki, a z jej wnętrza delikatnie wydostaje się NIEZNANE.

Jeszcze parę godzin. Deszcz bębnił o dach budynku. Jak Smith może wyglądać? Pewnie będzie miał jakieś zmiany w uszach — przystosowanie do ostrzejszego słuchu; może dodatkowe oczy, zmiany w strukturze czaszki, układzie twarzy, kośćcu, rozmieszczeniu organów, fakturze skóry — tysiące zmian.

Rockwell czuł zmęczenie, a mimo to bał się zasnąć. Powieki ciężkie, ciężkie. A jeśli się myli? Jeśli jego teoria niema sensu? Jeśli Smith rzeczywiście jest wewnątrz jedynie ruchliwą galaretą? A może to szaleniec, chory umysłowo, i jeszcze do tego groźny dla świata? Nie. Nie. Rockwell z pijackim uporem potrząsał głową. Smith jest doskonały. Doskonały. Nie ma w nim miejsca na zło. Doskonały.

W sanatorium panowała śmiertelna cisza. Jedynym dźwiękiem był delikatny trzask spadających na podłogę łusek poczwarki.

Rockwell zasnął. Zapadł mrok, który skrył cały pokój podsuwając mu senne widziadła. W tych snach Smith wstał i szedł sztywnym krokiem, a Hartley z krzykiem zamierzał się na niego, waląc raz po raz lśniącą siekierą w zielony pancerz i zamieniając Smitha w jakąś płynną potworność. W tych snach szlochający McGuire biegł wśród krwawego deszczu. W tych snach…

Blask słoneczny. Upał w całym pokoju. Ranek. Rockwell przetarł oczy, zaniepokojony faktem, że ktoś podniósł żaluzje. Ktoś… zerwał się na nogi! Słońce! Żaluzje w żaden sposób nie mogły zostać podniesione. Były opuszczone od tygodni! Rockwell krzyknął.

Drzwi stały otworem. W sanatorium panowała cisza. Nie mając odwagi odwrócić głowy, spojrzał na stół. Powinien leżeć na nim

Smith. Ale nie leżał.

Na stole nie było nic poza blaskiem słonecznym. Słonecznym blaskiem i rozrzuconymi szczątkami poczwarki. Szczątkami.

Kruche czerepy, jakiś kształt pęknięty na dwoje, ułamek skorupy okrywającej udo, pozostałości ramienia, kawałek klatki piersiowej — połamane resztki!

Smith zniknął. Rockwell, zdruzgotany, przywlókł się do stołu. Grzebał jak dziecko pośród szeleszczących papirusów skóry. A potem obrócił się jak pijany, zataczając się wyszedł z pokoju i wbiegł na schody z krzykiem.

— Hartley! Co z nim zrobiłeś? Hartley! Czy wyobrażasz sobie, że możesz go zabić, zniszczyć ciało i zostawić parę łusek dla zamydlenia mi oczu?

Drzwi pokoju, w którym spali Hartley i McGuire, były zamknięte. Rockwell majstrował przy nich chwilę nieporadnie, zanim je otworzył. Zastał w środku obydwóch: i Hartleya, i McGuire'a.

— Jesteś tutaj — powiedział w osłupieniu. — A więc nie byłeś na dole. A może otworzyłeś drzwi, zszedłeś na dół, włamałeś się, zabiłeś Smitha i… nie, nie.

— Co się stało?

— Smith zniknął! McGuire, czy Hartley wychodził z tego pokoju?

— Nie ruszał się stąd przez całą noc.

— Wobec tego istnieje tylko jedno wyjaśnienie: Smith opuścił poczwarkę i uciekł! Nigdy go już nie zobaczę, nigdy nie zdołam go zobaczyć, do diabła! Co za idiota ze mnie, że zasnąłem!

— Otóż właśnie! — oświadczył Hartley. — Ten człowiek jest niebezpieczny. W przeciwnym razie zostałby i pokazał się nam. Bóg jeden wie, kim on jest!

— Musimy go znaleźć. Nie mógł odejść daleko. Musimy go szukać. Szybko, Hartley! McGuire! McGuire usiadł ciężko.

— Ja tam się nie ruszam. Niech się sam znajdzie. Ja już mam dosyć.

Rockwell nie zwlekał ani chwili dłużej. Zbiegł na dół, a tuż za nim Hartley. McGuire, zasapany, dogonił ich w chwilę później.

Rockwell miotał się w hallu na dole, wreszcie zapatrzył się w szerokie okna, wychodzące na pustynię i góry, na których lśniło poranne słońce. Wyjrzał i zastanowił się, czy w ogóle istniała jakakolwiek szansa na znalezienie Smitha. Pierwsza nadistota. Być może pierwsza, która zapoczątkuje cały nowy gatunek. Rockwell pocił się. Smith by nie odszedł nie pokazawszy się przynajmniej jemu. Nie mógłby odejść. A może mógłby?

Drzwi do kuchni otworzyły się powoli.

W progu ukazała się noga, potem druga, a na tle ściany uniesiona ręka. Z zamkniętych ust unosił się dym papierosowy.

— Czy ktoś mnie szukał?

Rockwell, osłupiały, obrócił się. Widział wyraz twarzy Hartleya, widział, jak McGuire'a zatkało ze zdumienia. Wszyscy trzej powiedzieli jednocześnie jak na komendę:

— Smith.

Smith wydychał dym papierosowy. Twarz miał zaczerwienioną, jakby świeżo opaloną, oczy migotliwe, niebieskie. Był bosy, a na gołym ciele nie miał nic poza starym fartuchem Rockwella.

— Czy moglibyście mi powiedzieć, gdzie ja jestem? Co się ze mną działo przez ostatnie trzy — cztery miesiące? Czy to jest… szpital?

Rockwell, oszołomiony, zapomniał języka w gębie. Przełknął ślinę.

— Jak się masz. To ja. To znaczy… nie pamięta pan… nic?

Smith pokazał czubki palców.

— Pamiętam, jak zacząłem zielenieć, jeśli o to panu chodzi. A poza tym — nic. — Różową dłonią przeczesał swoje kasztanowate włosy z wigorem istoty nowo narodzonej, szczęśliwej, że znów może oddychać.

Rockwell oparł się o ścianę. Dramatycznym gestem wzniósł ręce do twarzy i potrząsnął głową. Nie wierząc własnym oczom powiedział:

— O której godzinie wyszedł pan z poczwarki?

— O której godzinie wyszedłem… skąd?

Rockwell poprowadził go przez hali do sąsiedniego pokoju i wskazał na stół.

— Zupełnie nie wiem, o czym pan mówi — powiedział Smith szczerze zdziwiony. — Pół godziny temu stwierdziłem, że stoję w tym pokoju zupełnie nago, jak mnie Pan Bóg stworzył.

— I to wszystko? — spytał McGuire z nadzieją. Robił wrażenie, jakby odczuł ulgę.

Rockwell wyjaśnił mu pochodzenie leżącej na stole poczwarki.

Smith zmarszczył czoło.

— To niedorzeczne. A kim wy jesteście?

Rockwell przedstawił tamtych dwóch.

Smith spojrzał na Hartleya spode łba.

— Pan przyszedł, kiedy zachorowałem, prawda? Pamiętam. W zakładach atomowych. Ale to jest bez sensu. Co to była za choroba?

Mięśnie twarzy Hartleya były mocno napięte.

— To nie żadna choroba. Czy pan nie wie nic na ten temat?

— Wiem tyle, że znalazłem się wśród nie znanych ludzi w nie znanym sanatorium, nagi, w pokoju, w którym spał na łóżku polowym jakiś człowiek. Błąkam się po tym budynku, wygłodniały. Trafiam do kuchni, znajduję jedzenie, jem, słyszę podniecone głosy, a potem zarzuca mi się, że wyszedłem z jakiejś poczwarki. Co mam o tym

wszystkim myśleć? Aha, przy okazji, dziękuję za ten fartuch, jedzenie i papierosa, którego sobie pożyczyłem. Przede wszystkim nie chciałem pana obudzić, panie Rockwell. Nie miałem pojęcia, kim pan jest, ale robił pan wrażenie śmiertelnie zmęczonego.

— Ach, głupstwo. — Rockwell nie mógł w to uwierzyć. Wszystko się waliło. Z każdym słowem Smitha jego nadzieje pryskały niby skorupka poczwarki. — Jak pan się czuje?

— Wspaniale. Jestem pełen sił. To dziwne, kiedy się weźmie pod uwagę, jak długo byłem nieprzytomny.

— Bardzo dziwne — rzekł Hartley.

— Możecie sobie wyobrazić, co czułem, kiedy zajrzałem do kalendarza. Wszystkie te miesiące — fiut! — stracone. Zastanawiam się, co przez ten cały czas robiłem.

— My też.

McGuire roześmiał się.

— Daj mu spokój, Hartley. Tylko dlatego, że go nienawidziłeś…

— Nienawidził? — Brwi Smitha uniosły się w górę. — Mnie? Dlaczego?

— O! Dlatego! — Hartley pokazał palce. — To przez tamto pańskie przeklęte promieniowanie. Noc w noc czuwałem przy panu w pańskim laboratorium. I co ja mam teraz z tym zrobić?

— Hartley — ostrzegł go Rockwell — siedź cicho.

— Nie mam zamiaru siedzieć cicho! Czyście się obaj dali nabrać tej imitacji człowieka, temu różowemu osobnikowi, wierzycie w największą mistyfikację świata? Gdybyście mieli choć odrobinę zdrowego rozsądku, zabilibyście go, zanim zdoła uciec!

Rockwell przeprosił Smitha za wybuch Hartleya.

Smith potrząsnął głową.

— Nie szkodzi. Niech mówi. O co właściwie chodzi?

— Już wiesz, o co chodzi! — wykrzyknął Hartley ze złością. — Leżałeś tam miesiącami, słuchając, planując. Ale mnie nie oszukasz. Rockwell dał się nabrać. Wyobrażał sobie, że jesteś nadczłowiekiem. Może ma rację. Ale w każdym razie nie jesteś Smithem. Już nie. To po prostu jeszcze jedna twoja sztuczka. My mieliśmy nie wiedzieć o tobie wszystkiego i świat miał o tobie nie wiedzieć. Mogłeś nas zabić, zupełnie łatwo, ale wolałeś się przyczaić, żeby nas przekonać, że jesteś normalny. Sprytny sposób. Mogłeś uciec kilka minut temu, ale obudziłbyś w ten sposób podejrzenia. Dlatego czekałeś, żeby nas przekonać, że jesteś normalny.

— Ale on jest normalny — jęknął McGuire.

— Nie, nie jest. Ma inny umysł. Jest inteligentny.

— To poddaj go testowi na skojarzenia słowne — zaproponował McGuire.

— Na to też jest za inteligentny.

— Wobec tego sprawa jest prosta. Zrobimy mu badanie krwi, posłuchamy serca i wstrzykniemy różne surowice.

Smith miał niepewną minę.

— Czuję się jak królik doświadczalny, ale jeżeli chcecie… To jest wszystko bez sensu.

Hartley był wstrząśnięty. Spojrzał na Rockwella.

— Przynieś strzykawki.

Rockwell przyniósł strzykawki myśląc gorączkowo. A może mimo wszystko Smith jest nadczłowiekiem. Jego krew. Superkrew, ze swoimi właściwościami bakteriobójczymi. Serce. Oddech. Może Smith jest nadczłowiekiem sam o tym nie wiedząc. Tak. Tak, może…

Rockwell pobrał Smithowi krew i wziął próbkę pod mikroskop. Opuścił ręce. Była to normalna krew. Kiedy wprowadziło się do niej zarazki, ginęły w zwykłym czasie; już nie miała właściwości bakteriobójczych. I nie było w niej już płynu x. Rockwell westchnął zdruzgotany. Temperaturę Smith też miał normalną. I puls. Narządy zmysłów i system nerwowy działały prawidłowo.

— No tak, to przesądza sprawę — powiedział Rockwell cicho.

Hartley z szeroko otwartymi oczyma opadł na krzesło, trzymając głowę w kościstych dłoniach. Westchnął głęboko.

— Przepraszam. Poniosła mnie wyobraźnia. Te miesiące tak się wlokły. Noc za nocą. Ogarnął mnie obsesyjny lęk. Zrobiłem z siebie idiotę. Przepraszam. Przepraszam bardzo. — Wpatrywał się w swoje zielone palce. — A co ze mną?

Smith powiedział:

— Ja wyzdrowiałem, to i pan wyzdrowieje. Współczuję panu. Ale to wcale nie było takie straszne… Kompletnie nic nie pamiętam,

Hartley odprężył się.

— Ma pan rację. Nie zachwyca mnie perspektywa tego, że całe moje ciało zesztywnieje, ale co ja na to poradzę. W końcu nic się nie stanie.

Rockwell był wykończony. Załamał się pod wpływem straszliwego zawodu. Zapał, energia, głód, ciekawość, ogień — wszystko go nagle opuściło. A więc to był człowiek, który wyszedł z poczwarki? Po prostu ten sam, który się w nią zamienił. Na nic całe to oczekiwanie i dociekania.

Odetchnął głęboko usiłując uporządkować rozbiegane myśli. Chaos. Ten różowy na twarzy facet o rześkim głosie, który siedział przed nim i najspokojniej palił papierosa, nie był nikim innym jak człowiekiem dotkniętym częściowym stwardnieniem skóry, człowiekiem, którego gruczoły pod wpływem promieniowania przestały na jakiś czas normalnie pracować, ale mimo wszystko był to tylko człowiek, nic więcej. Umysł Rockwella, jego nadmiernie

rozbudzona wyobraźnia uczepiły się poszczególnych elementów choroby podporządkowując wszystko jednolitej koncepcji podyktowanej pobożnym życzeniem. Rockwell był głęboko wstrząśnięty, poruszony i rozczarowany.

To, że Smith utrzymywał się przy życiu bez pożywienia, jego czysta krew, niska temperatura i inne dowody wyższości były teraz jedynie objawami dziwnej choroby. Choroby i niczego więcej. Czegoś, co przeminęło, znikło, pozostawiając po sobie jedynie kilka kruchych skorupek na zalanym blaskiem słonecznym stole. Jeżeli choroba Hartleya się rozwinie, będzie przynajmniej okazja zaobserwować jej postępy i wzbogacić medycynę o jej opis.

Ale Rockwella nie interesowała choroba. Jego interesowała doskonałość. A ta doskonałość została podarta w strzępy, przepadła. Wraz z nią przepadło jego marzenie. I jego nadistota. Dla niego cały świat mógł teraz stwardnieć, zzielenieć, okryć się idiotyczną skorupą.

Smith ściskał wszystkim dokoła ręce.

— Ja już chyba będę wracał do Los Angeles. Czekają na mnie ważne sprawy w moim zakładzie. Praca na mnie czeka. Przykro mi, że nie mogę zostać. Ale rozumiecie.

— Powinien pan tu u nas przynajmniej parę dni wypocząć — powiedział Rockwell. Nie mógł się pogodzić z tym, że ulatują ostatnie strzępy jego snów.

— Nie, dziękuję. Jeśli pan pozwoli, doktorze, wpadnę do pana za jakiś tydzień na badanie. A w przyszłym roku będę przychodził na oględziny co parę tygodni, zgoda?

— Zgoda. Zgoda, Smith. Proszę przychodzić. Chciałbym z panem porozmawiać na temat pańskiej choroby. Ma pan szczęście, że pan żyje.

McGuire powiedział radośnie:

— Odwiozę pana do Los Angeles.

— Proszę się nie fatygować. Pójdę do Tujunga i wezmę taksówkę. Chętnie się przejdę. Tak dawno nie chodziłem, że już zapomniałem, jakie to uczucie.

Rockwell pożyczył mu stare buty i stary garnitur.

— Dziękuję, doktorze. Ureguluję wszystko, co jestem panu winien, jak tylko będę mógł.

— Nic mi pan nie jest winien. To było bardzo interesujące.

— No cóż, do widzenia, doktorze. Do widzenia, McGuire, Hartley.

— Do widzenia, Smith.

— Do widzenia.

Udał się ścieżką w kierunku starego łożyska potoku, wysuszonego przez popołudniowe słońce na pieprz. Szedł lekko, radośnie pogwizdując.

Chciałbym teraz móc pogwizdywać — pomyślał Rockwell,

zmęczony.

Smith odwrócił się, pomachał im i zaczął się wspinać na wzgórze, oddalając się ku odległemu miastu.

Rockwell patrzył za nim z takim uczuciem jak małe dziecko, które widzi, że fala podmyła, a następnie zabrała wzniesiony z trudem zamek z piasku.

— Nie mogę w to uwierzyć — powtarzał w kółko. — Nie mogę w to uwierzyć. Wszystko skończyło się tak szybko, tak gwałtownie. Jestem zupełnie otępiały, pusty w środku.

— Dla mnie wszystko przedstawia się różowo — zachichotał radośnie McGuire.

Hartley stał w słońcu. Jego zielone ręce zwisały swobodnie po bokach, blada twarz po raz pierwszy od miesięcy była odprężona. Rzekł cicho:

— Wyjdę z tego w końcu. W końcu z tego wyjdę. Dzięki Bogu. Nie będę potworem. Nie będę niczym innym, tylko sobą. — Zwrócił się do Rockwella: — Pamiętaj, proszę cię, pamiętaj, żeby mnie przez pomyłkę nie pogrzebali. Żeby mnie tylko nie pochowali żywcem. Pamiętaj.

Smith szedł pod górę ścieżką wiodącą przez wyschnięte łożysko strumyka. Zapadał wieczór i słońce chowało się już za błękitnymi wzgórzami. Pojawiły się pierwsze gwiazdy. W nagrzanym powietrzu unosił się zapach wody, kurzu i kwiatu pomarańczy.

Zerwał się wiatr. Smith oddychał głęboko. Szedł.

Kiedy był już niewidoczny, z dala od sanatorium, zatrzymał się i stał chwilę bez ruchu. Spojrzał w niebo.

Rzucił na ziemię papierosa i zgniótł go dokładnie obcasem. Następnie wyprostował swoją zgrabną postać, odrzucił do tyłu kasztanowate włosy, zamknął oczy, przełknął ślinę i rozluźnił ręce.

Bez najmniejszego wysiłku, z lekkim tylko poszumem, wzniósł się łagodnie w ciepłe powietrze.

Szybko, cicho wzbił się w górę i ulatując w Kosmos zniknął wśród gwiazd…

Przełożyła Zofia Uhrynowska

Krzysztof W. Malinowski
WIZJA II

Doktor Stephen M
DonaLD
Szpital Stanowy w Woodham,
N.Y. 01270 P.O. BOK 669 PRIV.

Panie doktorze!

Jest pan już moją ostatnią szansą. Oczywiście wiem, że listów takich, jak ten, dostał pan już dziesiątki. Sam wysłałem ich już kilkanaście — oczywiście bez rezultatu. Ale zdaję sobierze w łeb. nadszedł więc czas, żeby sprawę wyjasniej jak tylko potrafiłem. Ale oni wszyscy — jak przystało na wytrenowanych konowałów — powtarzali w kółko to samo. Diagnoza była oczywista. A medycyna zna w takich przypadkach tylko jedno wyjście — dom bez klamek. Zresztą syndrom się zgadzał. A to przecież nie tak! Na Boga! Nie tak! Byłem zupełnie normalny — jak Pan, jak wytrwale się broni — nie jest zresztą wyjątkiem. było nas kilku. wreszcie tylko ja się jeszcze biedzę tu teraz? Jeśli nie dacie wiary moim słowom, katastrofy nie da się już uniknąć. Ja to wiem najlepiej. Raz ono jest górą, raz ja. Ale sięgam już kresu moich możliwości. Fizycznie czuję, jak bierze nadeszła chwila, byście mu dali wiarę — a raczej mnie, bo on jest już tak czy inaczej załatwiej znieść. to już jest pewnie początek końca. Nie wiem — nawet gdybyście mi uwierzyli — czy poradzicie sobie. Nie sądzę, by ludzkość dorosłałem już dwa takie listy, ale nikt z ludzi nie dał im wiary. to nie jest zwykła penetrawie beznadziejna: jesteśmy zwykłą pożywką. Lęgną się w nas, dojrzewają, by wreszcie zawładnąć i ciałem i umysłem. Więc błagodnie — ale to wszystko co możemy. dla nas ziemia to ostatnia szansa — ostatnie miejsce przetrwania. on mówi prawdę — nie macie już wyjścia. i lepiej jeśli się z tym pogodzicie. Wy moglibyście żyć bez nas. my bez was nie. od czasu, kiedy stanley przywiózł nas dwoje z księżyca, uwierzynajmniej, skąd się wzięli — ono twierdzi, że przybyło w środku jednego z członków wyprawy „Apollo". wiem, że teraz jest już za późno. Wraca następna wykrawa — tym razem jest ich pełno. Wiedzą już, że tu mogą restaurować swoją cywięc powinien to pan podać do publicznej wiadomości — niechaj ludzkość nie przyjmuje tego jak apokalipsy. już lepiej jak epidemię. karolu, pożegnaj się z panem mcdonaldem.

Łączę wraży szacunku i nadziei
Karol Steinmacher
EUIXIS VV

Robert Sheckley
ŚWIAT NASZYCH PRAGNIEŃ

The Word of Heart's Desire

Mister Wayne doszedł do końca długiej, sięgającej mu do ramienia hałdy szarego gruzu i zobaczył sklep światów. Wyglądał dokładnie tak, jak mu go znajomi opisali: mała szopa zbudowana z odpadków drewna, części samochodów, kawałków blachy i kilku rzędów kruszących się cegieł, zapacykowana wodnistą niebieską farbą.

Obejrzał się za siebie, na ścieżkę wśród ruin, żeby się upewnić, czy nikt go nie śledzi. Mocniej ścisnął pod pachą swoją paczkę, potem, przestraszony nieco własną odwagą, otworzył drzwi i wśliznął się do środka.

— Dzień dobry! — odezwał się właściciel.

On też wyglądał dokładnie tak, jak go opisano: wysoki, stary człowiek o chytrze zmrużonych wąskich oczach i opuszczonych kącikach ust. Nazywał się Tompkins. Siedział w starym bujanymi fotelu, na którego poręczy przycupnęła niebieskozielona papuga. W sklepiku znajdowało się jeszcze jedno krzesło i stół. Na stole leżała zardzewiała strzykawka.

— Dowiedziałem się o pańskim sklepie od przyjaciół — powiedział mister Wayne.

— Zatem zna pan cenę — powiedział Tompkins. — Przyniósł pan?

— Tak — odpowiedział mister Wayne, podnosząc swoją paczkę, — Cały mój majątek. Ale najpierw chciałbym o coś zapytać.

— Oni zawsze chcą o coś zapytać — powiedział Tompkins do papugi, która mu odmrugnęła. — Proszę bardzo, niech pan pyta.

— Chcę wiedzieć, co się dzieje naprawdę.

Tompkins westchnął. — Dzieje się tak: daję panu zastrzyk, po którym pan zasypia. Potem za pomocą pewnych urządzeń, które mam na zapleczu, uwalniam pańską świadomość.

Tompkins uśmiechnął się po tych słowach i jego milcząca papuga również jakby się uśmiechnęła.

— I co dalej? — spytał mister Wayne.

— Pańska wyzwolona z ciała świadomość może wybierać spośród niezliczonej liczby możliwych światów, jakie Ziemia odrzuca w każdej sekundzie swego istnienia.

Tompkins siedząc w swoim fotelu uśmiechnął się szerzej i mówił dalej z wyraźnym zapałem.

— Tak, mój przyjacielu, pewnie pan tego nie podejrzewał, ale nasza udręczona Ziemia, od momentu kiedy wyłoniła się z ognistego

łona Słońca, pozostawia za sobą bez przerwy alternatywne światy. Nieskończona liczba światów biorących swój początek z małych i wielkich wydarzeń, każdy Aleksander i każda ameba tworzą światy, podobnie jak fale, które rozchodzą się po stawie niezależnie od tego, czy wrzucimy do niego mały czy duży kamień. Czyż wszystkie przedmioty nie rzucają cienia? Otóż, mój przyjacielu, Ziemia jest czterowymiarowa, rzuca więc trójwymiarowe cienie; w każdym momencie swego istnienia rzuca swoje materialne odbicia. Miliony, miliardy światów! Bezmiar światów! I pańska wyzwolona przeze mnie świadomość będzie mogła wybrać, któryś z tych światów i pobyć w nim przez jakiś czas.

Mister Wayne nie mógł uwolnić się od niepokojącego uczucia, że Tompkins przypomina naganiacza sprzed cyrkowej budy, obiecującego nie istniejące cuda. Ale mister Wayne przypomniał sobie, że za jego życia zdarzyły się już rzeczy, w które nigdy by nie uwierzył. Nigdy! Niewykluczone więc, że cuda, o których mówił Tompkins, też są możliwe.

— Znajomi mówili mi także… — zaczął mister Wayne.

— Że jestem pospolitym oszustem?

— Niektórzy z nich robili takie aluzje — powiedział mister Wayne ostrożnie — ale ja nie chcę się uprzedzać. Mówili też…

— Domyślam się, co mówili pańscy obleśni przyjaciele. Powiedzieli panu o spełnianiu życzeń. Czy chciałby się pan dowiedzieć czegoś na ten temat?

— Tak. Mówili mi, że wszystko czego zapragnę, wszystko co chciałbym…

— Zgadza się — powiedział Tompkins. — To jest zasada wszystkiego. Istnieje nieskończona liczba światów, spośród których może pan wybierać. Pańska świadomość kieruje się w wyborze wyłącznie pragnieniami. Pańskie najskrytsze pragnienia są jedyną rzeczą, jaka się liczy. Jeżeli marzył pan potajemnie o morderstwie…

— Ależ skąd! — przerwał mister Wayne.

— …znajdzie się pan w świecie, gdzie będzie pan mógł mordować, gdzie będzie pan mógł pławić się we krwi, przewyższyć markiza De Sade, Nerona czy kogoś tam jeszcze, kto jest pańskim bożyszczem. Albo przypuśćmy, że pożąda pan władzy. Wówczas wybierze pan świat, gdzie będzie pan bogiem, w przenośni i dosłownie. Krwiożerczym Juggernautem na przykład, lub mądrym Buddą.

— Nie sądzę, abym…

— Są też inne pragnienia. Wszystkie nieba i wszystkie piekła staną przed panem otworem. Nieokiełznana rozpusta. Obżarstwo, pijaństwo, miłość, sława — wszystko czego pan zechce.

— Zdumiewające! — powiedział mister Wayne.

— Tak — zgodził się Tompkins. — Oczywiście ta krótka lista nie wyczerpuje wszystkich możliwości, wszystkich kombinacji i odmian pragnień. Przecież może pan także wybrać proste, spokojne, sielankowe życie na jakiejś południowej wyspie wśród wyidealizowanych krajowców.

— To już jest bardziej do mnie podobne — powiedział mister Wayne z nieśmiałym uśmiechem.

— Ale kto wie? Pan sam może nie znać swoich prawdziwych pragnień. Można nawet pragnąć własnej śmierci.

— Czy to się często zdarza?

— Od czasu do czasu.

— Ja nie będę chciał umrzeć.

— To są rzadkie przypadki — powiedział Tompkins patrząc na paczkę mister Wayne'a.

— Pan wie najlepiej… Ale skąd mam wiedzieć, czy to wszystko dzieje się naprawdę? Cena jest niezwykle wysoka: cały mój majątek. A pan może dać zwyczajny zastrzyk, po którym będę miał sny. Cały mój majątek za jeden zastrzyk heroiny i dużo wielkich słów!

Tompkins uśmiechnął się uspokajająco. — Przeżycie nie będzie miało nic wspólnego z widzeniem narkotycznym ani ze snem.

— Jeżeli to prawda — spytał mister Wayne odważnie — to dlaczego nie mogę pozostać w wymarzonym przez siebie świecie na zawsze?

— Pracuję nad tym — powiedział Tompkins. — Dlatego właśnie biorę tak drogo, że potrzebne mi są materiały do doświadczeń. Chcę znaleźć sposób, żeby przejście było trwałe. Jak na razie nie udało mi się przeciąć pępowiny, która łączy człowieka z jego własną Ziemią i przyciąga go do niej z powrotem. Nawet najwięksi mistycy nie potrafili tej sztuki dokonać inaczej niż przez śmierć. Ale mimo to nie tracę nadziei.

— Byłoby to wspaniałe, gdyby się panu udało — wtrącił mister Wayne uprzejmie.

— Tak, niewątpliwie! — zawołał Tompkins z niespodziewanym wybuchem entuzjazmu. — Wtedy moja nędzna buda stanie się bramą do raju. Operacja nie będzie nic kosztować, będzie dostępna dla wszystkich! Każdy będzie mógł przenieść się na Ziemię, jaką sobie wybierze, taką, która mu naprawdę odpowiada, pozostawiając ten przeklęty świat szczurom i karaluchom…

Nagle Tompkins urwał w pół zdania i powiedział znowu z lodowatym spokojem. — Obawiam się, że dałem wyraz swoim uprzedzeniom. Na razie nie umiem zapewnić ostatecznej ucieczki z tego świata, w każdym razie takiej, która nie pociągałaby za sobą śmierci. Może nigdy mi się to nie uda. Jak dotychczas mogę panu zaproponować jedynie wakacje, zmianę, posmak innego świata i

spojrzenie na własne pragnienia. Cenę pan zna. W razie niepowodzenia wszystko zwracam.

— To bardzo ładnie z pańskiej strony — powiedział mister Wayne zupełnie szczerze. — Ale jest jeszcze inna sprawa, o której wspominali mi znajomi: dziesięć lat życia.

— Na to nie ma rady — powiedział Tompkins. — Tego panu nie mogę zwrócić. Moja operacja stanowi ogromne obciążenie systemu nerwowego, co odpowiednio skraca życie. To jest jedna z przyczyn, dla których nasz tak zwany rząd uznał moje operacje za nielegalne.

— Nie egzekwują tego zakazu zbyt surowo — powiedział mister Wayne.

— Nie. Oficjalnie rzecz jest zakazana jako szkodliwe oszustwo. Ale urzędnicy też są ludźmi. Oni też chcieliby uciec z tej Ziemi, tak jak wszyscy inni.

— Cena — zastanawiał się mister Wayne, przyciskając do siebie zawiniątko. — I dziesięć lat życia! Za realizację moich najskrytszych pragnień… Muszę się przez chwilę zastanowić.

— Niech się pan zastanawia — powiedział Tompkins obojętnie.

Mister Wayne zastanawiał się przez całą drogę do domu. Myślał o tym, kiedy pociąg dojechał do stacji Port Washington na Long Island. Jadąc samochodem od stacji do domu nadal rozmyślał o lisiej twarzy Tompkinsa, o innych światach i o realizacji marzeń.

Gdy tylko jednak przekroczył próg domu, musiał zacząć myśleć o czymś innym. Janet, jego żona, żądała, żeby porozmawiał ostro z gosposią, która znowu piła. Jego syn Tommy prosił go o pomoc przy budowie łódki, którą miał jutro spuścić na wodę, a mała córeczka chciała opowiedzieć o przedszkolu.

Mister Wayne porozmawiał spokojnie ale stanowczo z gosposią. Pomógł synowi pomalować dno łódki minią i wysłuchał opowieści Peggy o jej przygodach w przedszkolu.

Później, kiedy dzieci były już w łóżkach, a on i Janet siedzieli we dwoje w saloniku, żona spytała go, czy coś się stało.

— Co się miało stać?

— Wyglądasz na zmartwionego. Czy miałeś zły dzień w biurze?

— Nie, wszystko jak zwykle…

Nie miał zamiaru mówić Janet ani nikomu innemu, że wziął wolny dzień i pojechał zobaczyć Tompkinsa i jego zwariowany sklep światów. Tym bardziej nie chciał mówić, że każdy człowiek powinien choć raz w życiu mieć prawo do realizacji najskrytszych pragnień. Janet ze swoim zdrowym rozsądkiem nigdy by tego nie zrozumiała.

Następny dzień w biurze był wyjątkowo gorączkowy. Na Wall Street panował niepokój w związku z wydarzeniami w Azji i na Bliskim Wschodzie, co oczywiście odbiło się na notowaniach

giełdowych. Mister Wayne zabrał się do pracy. Usiłował nie myśleć o spełnieniu pragnień za cenę wszystkiego co posiada plus dziesięć lat życia na dodatek. Cóż za szalony pomysł! Stary Tompkins musi być nienormalny!

W czasie weekendów pływał na łódce z Tommym. Łódka sprawowała się bardzo dobrze, prawie wcale nie przepuszczając wody. Tommy domagał się nowych żagli, ale mister Wayne odmówił mu zdecydowanie. Może w przyszłym roku, jeżeli sytuacja gospodarcza się poprawi. Na razie muszą wystarczyć stare.

Czasami w nocy, kiedy dzieci spały, pływali we dwójkę z Janet. Na Long Island Sound panował wtedy spokój i chłód. Łódka przemykała obok mrugających boi, żeglując prosto na wschodzący żółty księżyc.

— Wiem, że coś cię dręczy — powiedziała Janet.

— Kochanie, proszę cię!

— Czy coś ukrywasz przede mną?

— Nie.

— Jesteś pewien? Jesteś tego zupełnie pewien?

— Absolutnie, kochanie.

— No to przytul mnie. O, tak…

I łódka przez chwilę płynęła sama.

Pragnienia i spełnienie… Przyszła jesień i łódkę trzeba było wyciągnąć na brzeg. Giełda nieco się ustabilizowała, ale za to Peggy zachorowała na odrę. Tommy chciał, żeby mu wyjaśnić różnice między zwykłymi bombami, a bombami atomowymi, wodorowymi, kobaltowymi i wszystkimi innymi rodzajami bomb, o których się teraz mówi. Mister Wayne wyjaśnił najlepiej jak umiał. Gosposia odeszła bez wypowiedzenia.

Tajemne pragnienia miały się nadal dobrze. Bardzo możliwe, że w głębi duszy chciałby kogoś zamordować albo zamieszkać na wyspach południowych, ale musiał pamiętać o swoich obowiązkach. Miał dwoje dzieci i najlepszą z żon.

Może koło Bożego Narodzenia…

Ale tuż przed świętami wybuchł pożar w nie zamieszkanym pokoju gościnnym, spowodowany wadliwą instalacją elektryczną. Strażacy ugasili ogień nie robiąc wielkich szkód i nikomu nic się nie stało. Ale na jakiś czas wygnało to wszelkie myśli o starym Tompkinsie. Najpierw należało odremontować mieszkanie, gdyż mister Wayne był bardzo dumny ze swego miłego, małego domku.

Na giełdzie nadal panowało podniecenie i niepewność w związku z sytuacją międzynarodową. Ci Rosjanie, ci Arabowie, ci Grecy, ci Chińczycy. Rakiety międzykontynentalne, bomby atomowe, sputniki… Mister Wayne przesiadywał w biurze do późna. Tommy zachorował na świnkę. Trzeba było pokryć na nowo część dachu. A potem nadeszła

wiosna i należało pomyśleć o spuszczeniu łódki na wodę.

Minął rok a mister Wayne miał bardzo niewiele czasu na rozmyślanie o swoich tajnych pragnieniach. Może w następnym roku. A tymczasem…

— No i jak? — spytał Tompkins. — Czuje się pan dobrze?

— Tak, dziękuję — odpowiedział mister Wayne wstając z krzesła i pocierając czoło.

— Czy żąda pan zwrotu zapłaty?

— Nie. Przeżycie było w pełni zadowalające.

— Jak zawsze — powiedział Tompkins, robiąc perskie oko do swojej papugi. — No i co pan przeżywał?

— Niedawną przeszłość.

— Wielu tak robi. Czy przekonał się pan, co jest pańskim najskrytszym marzeniem? Morderstwo czy wyspy południowe?

— Wolałbym nie rozmawiać na ten temat — odpowiedział mister Wayne bez gniewu, ale stanowczo.

— Wielu nie chce ze mną o tym rozmawiać — zauważył Tompkins nie bez pewnej urazy. — Niech mnie diabli, jeżeli wiem dlaczego.

— Dlatego, że… myślę, że świat najskrytszych pragnień człowieka jest dla niego jakby święty. Proszę się nie gniewać. Czy ma pan nadzieję, że uda się panu osiągnąć trwałe przejście do wybranego świata?

Stary wzruszył ramionami. — Próbuję. Jeżeli mi się uda, dowie się pan o tym. Wszyscy się dowiedzą.

— Tak, myślę, że tak.

Mister Wayne rozwiązał swoją paczkę i rozłożył jej zawartość na stole. Była tam para wojskowych butów, nóż, dwa zwoje miedzianego drutu i trzy małe puszki wołowiny.

Oczy Tompkinsa zabłysły. — Zupełnie wystarczy. Dziękuję panu — powiedział.

— To ja panu dziękuję — powiedział mister Wayne. — Do widzenia.

Mister Wayne wyszedł ze sklepu na ścieżkę wśród gruzów. Jak okiem sięgnąć rozciągały się pola brązowych, szarych i czarnych ruin. Składały się one z poskręcanych trupów budynków, okaleczonych kikutów drzew i drobnego białego popiołu, który kiedyś był ciałem i kośćmi ludzi.

— No cóż — mruknął do siebie mister Wayne — przynajmniej odpłaciliśmy im pięknym za nadobne.

Za ten rok pobytu w przeszłości zapłacił całym swoim dobytkiem i dziesięcioma latami życia na dodatek. Czy to był sen? Jeżeli nawet tak, to wart był swojej ceny! Ale teraz musiał odłożyć wszelkie myśli o Janet i dzieciach. To już nie wróci, chyba że Tompkins udoskonali

swoją metodę. Teraz musiał się zatroszczyć o siebie.

Ostrożnie wybierał drogę wśród ruin, wiedząc, że musi dotrzeć do schronu przed zmrokiem, zanim na ulice wylegną szczury. Jeżeli się nie pośpieszy, ominie go poranna porcja kartofli.

Przełożył Lecz Jęczmyk

Robert Silverberg
SZCZĘŚLIWY DZIEŃ W ROKU 2381

A Happy Day in 2381

Oto szczęśliwy dzień w roku 2381. Poranne słońce jest już tak wysoko, że sięga górnych pięćdziesięciu pięter Miejskiej Monady 116. Niebawem cała wschodnia fasada gmachu zalśni jak morze o wschodzie słońca. Fotony wczesnego świtu uruchamiają mechanizm w oknach Charlesa Matterna i szyby robią się nagle przejrzyste.

Mattern przeciąga się. Pobłogosław Boże — mówi sobie w duchu. Jego żona przeciąga się również. Czwórka ich dzieci, które od kilku godzin już nie śpią, może nareszcie rozpocząć dzień. Dzieci zrywają się i tańczą wokół platformy sypialnej śpiewając:

„Błogosław Boże, błogosław Boże,
Błogosław wszystkich nas,
Błogosław Tatę, błogosław Mamę, błogosław ciebie i mnie,
Błogosław każdego, dużego i małego
I ziść nam żyzne dnieeeee!”

Podbiegają teraz do platformy. Mattern wstaje i całuje wszystkie dzieci po kolei. Indra ma osiem lat, Sander — siedem, Marx — pięć a Cleo — trzy. Charles Mattern głęboko, na dnie serca tai wstyd, że ma tak małą rodzinę; czy można szczerze powiedzieć o człowieku, mającym zaledwie czworo dzieci, że szanuje życie? Ale łono Principessy już nie zaowocuje. Lekarze powiedzieli, że nie urodzi już więcej dzieci. W 27 roku życia jest już całkowicie jałowa. Mattern myśli poważnie o drugiej żonie w domu. Znów tęskni za kwileniem niemowlęcia. Człowiek musi przecież spełniać swą powinność wobec Boga.

— Tato, Siegmund jeszcze tu jest. Przyszedł w nocy, aby być z Mamą.

Dziecko wskazuje palcem. Mattern patrzy. Na platformie sypialnej, po stronie Principessy, w pobliżu pedału nadmuchiwacza leży zwinięty w kłębek czternastoletni Siegmund Kluver, który wszedł do mieszkania Matterna zaraz po północy, aby skorzystać z prawa zbliżenia. Siegmund lubi dojrzałe kobiety. Teraz chrapie; zdrowo się napracował. Mattern trąca go w bok.

— Siegmund! Siegmund! Już ranek!

Chłopiec otwiera oczy. Uśmiecha się do Matterna, siada i sięga po

swoją przepaskę biodrową. Jest dosyć przystojny. Mieszka na 757 piętrze, ma już jedno dziecko a drugie jest w drodze.

— Przepraszam — mówi Siegmund. — Zaspałem. Principessa zupełnie mnie wykańcza. To prawdziwa dzikuska!

— Tak, ona jest rzeczywiście bardzo namiętna — przyznaje Mattern. Podobno żona Siegmunda też jest bardzo namiętna. Mattern zamierza ją spróbować, gdy będzie trochę starsza. Może na przyszłą wiosnę…

Siegmund wsuwa głowę pod oczyszczacz molekularny. Principessa wstaje z łóżka, naciska pedał i platforma błyskawicznie się zwija. Principessa zaczyna programować śniadanie. Indra włącza ekran. Ściana rozkwita światłem i barwą.

— Dzień dobry — mówi ekran. — Temperatura powietrza na zewnątrz wynosi 28°, jeżeli to kogoś obchodzi. Dzisiejsze zaludnienie Monady 116 wynosi 881 115 osób. Od wczoraj przybyło 102 a od początku roku — 14 187. Pobłogosław nam Boże, ale tracimy jednak tempo przyrostu. W Monadzie 117 od wczoraj przybyło 131 osób, w tym czworaczki pani Huli Jakobinsky. Ma ona osiemnaście lat i urodziła już przedtem siedmioro dzieci. To się nazywa służebnica Pańska! Jest teraz godzina 6.20. Dokładnie za 40 minut Monada będzie zaszczycona obecnością Nicanora Gortmana, socjokomputatora z Hell, którego będzie można łatwo rozpoznać po zabudynkowym ubraniu w kolorach szkarłatnym i ultrafioletowym. Dr Gortman będzie gościem Charlesa Matterna z 799 piętra. Potraktujemy go, oczywiście, z tym samym błogosławieństwem, z jakim odnosimy się do siebie nawzajem. Błogosław Boże Nicanora Gortmana! A teraz garść nowin z niższych poziomów Monady 116.

Principessa mówi:

— Słyszałyście, dzieci? Będziemy mieli gościa i musimy być względem niego jak najbardziej godni błogosławieństwa. Chodźcie jeść.

Charles Mattern oczyszcza się, ubiera i je śniadanie, po czym udaje się na lądowisko na tysiącznym piętrze, aby tam przywitać Nicanora Gortmana. Jadąc windą Mattern mija piętra, na których mieszkają jego bracia i siostry wraz z rodzinami. Trzech braci i trzy siostry. Czworo młodszych od niego, a dwoje starszych. Jeden z braci, Jeffrey, umarł młodo i w przykrych okolicznościach. Mattern rzadko myśli o Jeffreyu. Wjeżdża windą na sam szczyt budynku. Gortman zwiedzał rejony tropikalne, a teraz zamierza odwiedzić typową miejską monadę w strefie umiarkowanej. To wielki zaszczyt dla Matterna, że wybrano go oficjalnym gospodarzem Monady. Wychodzi na płytę lądowiska, która jest szczytem Monady 116. Pole siłowe chroni go przed huraganowymi wiatrami smagającymi wyniosłą wieżę. Patrzy w lewo i widzi pogrążoną jeszcze w ciemnościach

zachodnią fasadę Monady 115. Po prawej stronie lśnią wschodnie okna Monady 117. Błogosław Boże Huli Jakobinsky i jej jedenaściorgu dzieciom, szepce w duchu Mattern. Widzi ciągnący się aż po horyzont rząd dalszych monad, wież trzykilometrowej wysokości z supersprężonego betonu, wyglądających stąd lekko i zwiewnie. Ten widok zawsze go wzrusza. Błogosław Boże, myśli, błogosław Boże, błogosław Boże!

Słyszy wesoły szum wirników. Ląduje torpedopter. Wysiada z niego wysoki, barczysty mężczyzna ubrany w mieniące się barwami szaty. To na pewno socjokomputator z Hell.

— Nicanor Gortman? — pyta Mattern.

— Boże błogosław. Charles Mattern?

— Błogosław Boże, tak, to ja. Chodźmy.

Hell jest jednym z jedenastu miast Wenus, którą człowiek przystosował odpowiednio do swoich potrzeb. Gortman nigdy przedtem nie był na Ziemi. Mówi powoli, flegmatycznie, monotonnie. Matternowi przypomina to sposób mówienia mieszkańców Monady 84, którą kiedyś odwiedził. Czytał artykuły Gortmana. Rzetelna robota, doskonała argumentacja.

— Szczególnie lubię „Dynamikę etyki łowieckiej" — mówi Mattern, gdy zjeżdżają szybem zjazdowym. — Znakomite. Prawdziwa rewelacja.

— Naprawdę pan tak sądzi? — pyta mile zaskoczony Gortman.

— Oczywiście. Staram się czytać maksimum pism wenusjańskich. To takie fascynująco obce czytać o polowaniach na dzikie zwierzęta.

— Na Ziemi nie ma dzikich zwierząt?

— Błogosław Boże, nie — odpowiada Mattern. — Nie moglibyśmy na to pozwolić. Ale szalenie lubię czytać o waszym sposobie życia, tak bardzo różnym od naszego.

— Czy to coś w rodzaju psychicznej ucieczki? — pyta Gortman.

Mattern patrzy na niego ze zdziwieniem.

— Nie rozumiem, o co chodzi.

— O to, że kiedy pan o tym czyta, pańskie życie na Ziemi wydaje się znośniejsze.

— O, nie! Nie. Życie na Ziemi jest całkiem znośne, niech mi pan wierzy na słowo. Czytam to tylko dla rozrywki. A także dla osiągnięcia tej niezbędnej, wie pan, paralaksy, dla moich własnych prac — mówi Mattern. Dotarli właśnie do 799 poziomu.

— Najpierw pokażę panu moje mieszkanie.

Wychodzi z szybu i ruchem ręki przyzywa Gortmana.

— To jest Szanghaj. To znaczy, tak nazywamy ten czterdziestopiętrowy blok od 761 do 800 piętra. Mieszkam tuż pod najwyższym piętrem Szanghaju, co świadczy o moim statusie zawodowym. Monada 116 obejmuje łącznie 25 miast. Na samym dole

jest Reykjavik, a na szczycie — Louisville.

— Kto decyduje o tych nazwach?

— Powszechne głosowanie obywateli. Szanghaj nazywał się poprzednio Kalkuta, co mi się osobiście bardziej podobało, ale grupka malkontentów z 775 piętra przeforsowała referendum w siedemdziesiątym piątym no i tak już zostało.

— Sądziłem, że w monadach miejskich nie ma malkontentów — mówi powoli Gortman. Mattern uśmiecha się.

— Nie w potocznym sensie tego słowa. Ale dopuszczamy do pewnych konfliktów. Człowiek bez konfliktów, nawet tutaj, nie byłby w pełni człowiekiem.

Biegnącym na wschód korytarzem idą powoli w stronę mieszkania Matterna. Jest już 7.10 i tabuny dzieci trójkami i czwórkami wysypują się z mieszkań w drodze do szkoły. Mattern pozdrawia je serdecznym ruchem ręki. Przebiegają obok nich ze śpiewem.

— Na tym piętrze mamy średnio 6,2 dzieci na jedną rodzinę — mówi Mattern. — Jest to najniższa średnia w całym gmachu. Przyznaję to ze wstydem. Ludzie na wysokich stanowiskach wyraźnie źle się rozmnażają. W Pradze mają takie jedno piętro — chyba 117 — gdzie średnia wynosi 9,9 na rodzinę. Czy to nie wspaniałe?

— Czy pan to mówi z ironią? — pyta Gortman.

— Bynajmniej!

Mattern czuje, jak go zalewa fala uniesienia.

— My kochamy dzieci. Popieramy wielki przyrost. Chyba pan sobie zdawał z tego sprawę, zanim pan wyruszył na objazd tych…

— Tak, tak — mówi skwapliwie Gortman. — Byłem w pełni świadom ogólnej dynamiki kulturalnej. Ale sądziłem, że może pańskie osobiste odczucie…

— Jest sprzeczne z normą?! To, że jestem po trosze naukowcem, nie upoważnia pana do opinii, że dezaprobuję własny system kulturalny.

— Proszę mi wybaczyć tę implikację. I proszę nie myśleć, że jestem przeciwny waszym zasadom, chociaż świat wasz jest mi bardzo obcy. Błogosław Boże, nie kłóćmy się, Charles.

— Błogosław Boże, Nicanor. Nie chcę, aby pan uważał, że jestem przewrażliwiony.

Uśmiechają się do siebie. Mattern jest zły, że okazał rozdrażnienie. Gortman mówi:

— Ilu mieszkańców liczy 799 piętro?

— 805 osób, o ile się orientuję.

— A Szanghaj?

— Około 35 000.

— A cała Monada 116?

— 881 000.

— W tej konstelacji domów znajduje się pięćdziesiąt monad, prawda?

— Tak.

— To daje łącznie około 40 milionów mieszkańców — stwierdza Gortman. — Czyli tylko trochę więcej niż cała ludność Wenus. Ciekawe!

— A to przecież nie jest największa konstelacja — głos Matterna wibruje dumą. — Sansan i Boswash są większe! W Europie jest kilka jeszcze większych — Berpar, Wienbud… A planuje się jeszcze więcej!

— Całkowite zaludnienie wynosi zatem?…

— 75 miliardów! — krzyczy Mattern. — Błogosław Boże! Nigdy jeszcze nie było czegoś podobnego! Nikt nie głoduje! Wszyscy są szczęśliwi! Pełno wolnej przestrzeni! Bóg był dla nas łaskawy, Nicanor!

Przerwał, gdy zbliżyli się do drzwi z numerem 79315.

— Oto mój dom. Wszystko, co moje, jest także twoje, drogi gościu.

Wchodzą.

Mieszkanie Matterna jest całkiem przyzwoite. Ma prawie 90 m^2 przestrzeni użytkowej. Zwijana platforma sypialna składane łóżka dziecinne i łatwo przestawialne meble. Praktycznie pokój jest zupełnie pusty. Ekran i informator zajmują dwuwymiarowe przestrzenie ścian, tam gdzie niegdyś zawsze stał telewizor, regał z książkami, biurko, szafki i inne graty. Widne i przestronne pomieszczenie, w sam raz dla tak nielicznej, sześcioosobowej rodzinki.

Dzieci nie poszły jeszcze do szkoły. Principessa zatrzymała je w domu, aby zobaczyły gościa, są więc nieco podniecone. W chwili gdy Mattern wchodzi do mieszkania, Sander i Indra biją się o ukochaną zabawkę — generator snów. Mattern jest zdumiony. Konflikt w domu? Dzieci walczą po cichu, aby matka nic nie zauważyła. Sander kopie siostrę w goleń. Indra, krzywiąc się niemiłosiernie, drapie brata po twarzy.

— Boże pobłogosław — mówi Mattern ostro. — Ktoś tu, zdaje się, chce pójść do zsypu, co?

Dzieci nieruchomieją z rozdziawionymi ustami. Zabawka pada na podłogę. Wszyscy stają na baczność. Principessa podnosi głowę i odgarnia ręką kosmyk czarnych włosów, który opadł jej na oczy; była tak zajęta najmłodszym dzieckiem, że nawet nie słyszała, jak weszli.

— Konflikt rodzi bezpłodność — mówi Mattern. — Przeproście się zaraz.

Indra i Sander całują się i uśmiechają do siebie. Indra potulnie podnosi zabawkę i wręcza ją Matternowi, a ten podaje ją najmłodszemu synowi, Marxowi. Wszyscy patrzą teraz na gościa.

Mattern mówi:

— Co moje to twoje.

Przedstawia wszystkich po kolei: żona, dzieci. Konflikt nieco go rozdrażnił, ale uspokaja się, gdy Gortman wyjmuje cztery małe pudełeczka i rozdaje je dzieciom. Zabawki. Błogosławiony gest. Mattern wskazuje na zwiniętą platformę sypialną.

— Tu śpimy. Wystarczy miejsca na troje. Myjemy się w oczyszczaczu, o tutaj. Czy pan lubi odosobnienie przy wydalaniu?

— Tak, oczywiście.

— Naciśnie pan ten guzik, który uruchamia zasłonę. Wydalamy tutaj. Mocz tu, a kał tu. Wszystko się reprodukuje, rozumie pan. Oszczędny z nas ludek, tutaj, w monadach, proszę pana.

— Naturalnie — mówi Gortman.

— Czy życzy pan sobie — mówi Principessa — abyśmy używali zasłony przy wydalaniu? Wiem, że niektórzy zabudynkowcy wyraźnie tego sobie życzą.

— Nie chciałbym w niczym naruszać waszych zwyczajów — mówi Gortman.

Mattern uśmiecha się.

— Jesteśmy, oczywiście, społeczeństwem należącym do kultury poodosobnieniowej. Ale wcale nam nie przeszkadza nacisnąć guzik, jeżeli…

Zająknął się.

— Na Wenus nagość chyba nie jest tabu, prawda? Mam na myśli to, że jest tylko ten jeden pokój, więc…

— Potrafię się dostosować — zapewnia Gortman. — Wyćwiczony socjokomputator musi umieć się dostosować.

— Tak, tak, oczywiście — przyznaje Mattern i śmieje się nerwowo.

Principessa przeprasza gościa, że musi się na chwilę wyłączyć z rozmowy i wysyła do szkoły dzieci, tulące wciąż do siebie nowe zabawki.

— Przepraszam — mówi Mattern — że jestem taki drobiazgowy, ale muszę poruszyć temat pańskich uprawnień seksualnych. Będziemy spali we trójkę na tej samej platformie. Oboje z żoną jesteśmy do pańskiej całkowitej dyspozycji. Unikanie frustracji jest podstawową zasadą takiej społeczności, jak nasza. Czy zna pan nasz zwyczaj przechadzek nocnych?

— Obawiam się, że…

— W Monadzie 116 żadne drzwi nie są zamykane. Nikt nie posiada żadnych przedmiotów wartościowych i jesteśmy bardzo wyrobieni społecznie. Mamy zwyczaj wchodzić nocą do innych mieszkań. W ten sposób stale zmieniamy partnerów; żony zwykle pozostają w domach, a wędrują mężowie, chociaż nie jest to

absolutnie regułą. Każdy z nas ma zawsze dostęp do każdego innego dorosłego członka naszej społeczności.

— Dziwne — mówi Gortman. — Sądziłem, że w społeczeństwie, gdzie jest tak dużo ludzi, winien się raczej rozwinąć przesadny kult odosobnienia, a nie przesadna swoboda.

— W pierwszych latach istnienia monad tendencje odosobnienia miały wielu zwolenników. Z czasem wygasły one całkowicie. Niech nam Bóg błogosławi! Unikanie frustracji jest naszym naczelnym celem, w przeciwnym bowiem razie narastałyby napięcia. Odosobnienie równa się frustracji.

— Może pan więc pójść do każdego pokoju w tym olbrzymim gmachu i spać z…

— Nie w całym gmachu — przerwał Mattern. — Tylko w Szanghaju. Jesteśmy przeciwni pozamiejskim przechadzkom nocnym. — Zachichotał cicho. — Nałożyliśmy na siebie kilka drobnych restrykcji. To po to, aby nam wolność nie obrzydła.

Gortman patrzy na Principessę. Ma przepaskę na biodrach i metalową czaszę na lewej piersi. Jest szczupła ale przepysznie zbudowana i mimo że macierzyństwo skończyło się już dla niej bezpowrotnie, nic nie straciła z wdzięku młodości. Mattern mimo wszystko jest z niej bardzo dumny.

— Czy możemy już iść na obchód gmachu? — zapytuje.

Wychodzą. Gortman już w drzwiach kłania się z wdziękiem Principessie. Na korytarzu gość mówi:

— Widzę, że pańska rodzina jest nieco mniej liczna, niż to przewiduje norma.

Jest to skandalicznie niegrzeczne stwierdzenie, ale Mattern wykazuje maksimum wyrozumiałości dla tego faux pas.

— Mielibyśmy z pewnością więcej dzieci — odpowiada łagodnie — ale moja żona została chirurgicznie pozbawiona płodności. To był dla nas wielki cios.

— Zawsze ceniliście tu wielkie rodziny?

— Cenimy życie. Tworzenie nowego życia jest najwyższą cnotą. Zapobieganie temu — największym grzechem. Wszyscy kochamy nasz rojny światek. Czy panu to się wydaje nieznośne? Czy robimy wrażenie nieszczęśliwych?

— Wydajecie się zadziwiająco dobrze przystosowani do tego życia — mówi Gortman — zważywszy, że…

Zawiesił głos.

— Niech pan mówi dalej.

— Zważywszy, że jest was tak wiele. I że spędzacie całe wasze życie wewnątrz tego gigantycznego budynku. Nigdy nie wychodzicie na zewnątrz, prawda?

— Większość z nas istotnie nigdy nie wychodzi — przyznaje

Mattern. — Ja sam oczywiście sporo podróżowałem, socjokomputator potrzebuje niewątpliwie szerszej perspektywy. Ale Principessa, na przykład, nie zeszła nigdy poniżej 300 piętra. Po co miałaby zresztą gdziekolwiek chodzić? Sekretem naszego szczęścia jest tworzenie pięcio— lub sześciopiętrowych miasteczek w ramach czterdziestopiętrowych miast tysiącpiętrowej Monady. Nie czujemy się bynajmniej stłoczeni czy zduszeni. Znamy naszych sąsiadów, mamy setki drogich nam przyjaciół. Odnosimy się do siebie nawzajem z błogosławieństwem, lojalnością i uprzejmością.

— I każdy jest zawsze szczęśliwy?

— Prawie każdy.

— Ale są wyjątki? — pyta Gortman.

— To szaleńcy — mówi Mattern. — W naszym otoczeniu staramy się sprowadzić konflikty życiowe do minimum. Jak pan sam widzi, nigdy nie odmawiamy żadnej prośbie. Nigdy i nikomu. Ale czasem zdarzają się tacy, którzy nagle nie mogą już dłużej wytrwać w naszym stylu życia. Szaleją, przeszkadzają innym, buntują się. To bardzo smutne.

— Co robicie z szaleńcami?

— Eliminujemy ich, rzecz jasna — mówi Mattern. Uśmiecha się, gdy ponownie wkraczają do szybu zjazdowego.

Mattern został upoważniony do pokazania Gortmanowi całej Monady. Taka wycieczka zabierze kilka dni. Jest trochę przejęty; nie zna niektórych części gmachu tak, jak winien je znać dobry przewodnik. Ale dołoży starań, aby wszystko poszło dobrze.

— Cały gmach — mówi — wykonany jest z supersprężonego betonu. Cała konstrukcja opiera się na centralnym jądrze usługowym, o powierzchni 200 m^2. Pierwotnie przewidywano 50 rodzin na piętro, ale dzisiaj mamy ich już średnio 120 i dawne apartamenty należało podzielić na mieszkania jednoizbowe. Jesteśmy całkowicie samowystarczalni, mamy własne szkoły, szpitale, tereny sportowe, domy kultów religijnych i teatry.

— Żywność?

— Nie wytwarzamy jej, rzecz jasna. Posiadamy za to umowny dostęp do komun rolniczych. Widział pan zapewne, że 9/10 powierzchni lądowej tego kontynentu zużytkowano do produkcji żywności, poza tym są jeszcze fermy morskie. Teraz, gdy nie marnotrawimy już terenu poziomą zabudową żyznej ziemi, żywności jest w bród.

— Ale jesteście chyba na łasce komun wytwarzających żywność?

— A kiedyż to mieszkańcy miast nie byli na łasce farmerów? — pyta Mattern. — Panu się zdaje, że życie na Ziemi opiera się na prawie pięści. Jesteśmy dla nich niezbędni — ich jedyny rynek zbytu. A oni

dla nas są jedynym źródłem żywności. Świadczymy im również różne usługi, jak na przykład naprawa maszyn. Ekologia planety osiągnęła optimum. Jesteśmy w stanie wyżywić dodatkowe biliony ludzi. Pewnego dnia, błogosław nam Boże, wyżywimy je!

Winda spłynąwszy w dół przez cały budynek spoczęła na dnie szybu. Mattern czuje nad sobą przygniatającą masę Monady i stara się ukryć ogarniające go zmieszanie.

— Fundamenty gmachu — mówi — sięgają 400 metrów w głąb podłoża. Znajdujemy się teraz na ich najniższym poziomie. Tutaj generujemy energię.

Idą pomostem i spoglądają na ogromną salę generatorów, wysoką na 40 metrów, w której cicho wirują lśniące turbiny.

— Większość energii — wyjaśnia Mattern — otrzymujemy poprzez spalanie sprasowanych odpadów stałych. Spalamy wszystko, czego nie potrzebujemy, a produkt spalania sprzedajemy następnie jako nawóz. Mamy również dodatkowe generatory napędzane akumulowanym ciepłem ciał.

— Właśnie o tym myślałem — mruczy Gortman.

Mattern stwierdza wesoło:

— Jest oczywiste, że 800 000 osób zgromadzonych w zamkniętej przestrzeni wytwarza ogromną ilość ciepła. Część ciepła odprowadzana jest na zewnątrz budynku poprzez ożebrowania chłodzące, którymi wyłożone są ściany zewnętrzne. Część tłoczymy tu, na dół, i napędzamy generatory. W zimie rozprowadzamy je równomiernie po całym budynku dla wyrównania temperatury. Pozostałej reszty używamy do oczyszczania wody i temu podobnych procesów.

Przez chwilę przyglądają się schematom elektrycznym. Następnie Mattern prowadzi gościa do zakładu odzyskowego. Zwiedza go właśnie grupa dzieci szkolnych. Po cichu dołączają do wycieczki.

— Tutaj — wyjaśnia nauczyciel — spływa mocz. Widzicie?

Wskazuje na ogromne rury plastykowe. — Przepływa on przez komorę iskrową, gdzie ulega destylacji, a czystą wodę odprowadza się tutaj — proszę za mną. — Pamiętacie z kart procesowych, jak odzyskujemy chemikalia, które następnie sprzedajemy komunom rolniczym…

Mattern i jego gość odwiedzają również wytwórnię nawozów, tam przetwarza się fekalia. Gortman zadaje liczne pytania. Jest niewątpliwie bardzo wszystkim zainteresowany. Mattern jest zadowolony; nic nie ma dla niego większego znaczenia niż szczegóły życia w monadzie. Obawiał się, że ten cudzoziemiec z Wenus, gdzie ludzie mieszkają we własnych, odrębnych domkach i wiele przebywają na wolnym powietrzu, będzie uważał życie w monadzie za coś okropnego i odrażającego.

Jadą w górę. Mattern opowiada o klimatyzacji, o systemie szybów wjazdowych i zjazdowych i różnych podobnych sprawach.

— To wszystko jest wspaniałe — mówi Gortman. — Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, jak jedna mała planeta z 75 miliardami mieszkańców może w ogóle wyżyć, tymczasem wy zamieniliście ją w… w…

— Utopię — podsuwa Mattern.

— Tak, to właśnie miałem na myśli — mówi Gortman.

Wytwarzanie energii i odprowadzanie odpadków nie leży w dziedzinie zainteresowań zawodowych Matterna. Wie, jak to wszystko się robi, ale tylko dlatego, że pasjonuje go funkcjonowanie monady miejskiej. Prawdziwym polem jego studiów jest oczywiście socjokomputacja i dlatego proszono go, aby pokazał gościowi organizację struktury socjalnej gigantycznego gmachu. Teraz jadą w górę, w kierunku poziomów mieszkalnych.

— To jest Reykjavik — obwieszcza Mattern. — Mieszka tu głównie personel obsługi. Nie chcemy stwarzać podziałów stanowych, ale każde miasto posiada jakąś grupę zawodową, która przeważa liczebnie: inżynierów, naukowców. Każda grupa zawodowa stanowi odrębny klan.

Idą z wolna przez hali. Mattern czuje się tutaj trochę nieswojo i aby pokryć zdenerwowanie mówi bez przerwy. Opowiada o tym, jak każde miasto w obrębie monady wykształca swój własny żargon, styl ubioru, folklor i bohaterów.

— Czy istnieją kontakty między poszczególnymi miastami? — pyta Gortman.

— Staramy się je rozwijać poprzez imprezy sportowe, wymianę studentów i organizowanie regularnych wieczornych spotkań mieszkańców różnych miast.

— Czy nie byłoby lepiej, gdybyście popierali międzymiastowe przechadzki nocne?

Mattern zmarszczył brwi.

— Wolimy trzymać się naszych własnych środowisk. Przypadkowe zbliżenia seksualne z mieszkańcami innych miast dowodzą słabego charakteru.

— Rozumiem.

Wchodzą do obszernego pokoju.

— To jest sypialnia nowożeńców — wyjaśnia Mattern. — Co pięć lub sześć pięter mamy takie pomieszczenie. Kiedy młodzi się pobierają, opuszczają swe domy rodzinne i przenoszą się tutaj. Po pierwszym dziecku przydziela im się własne mieszkania.

— Ale gdzie znajdujecie dla nich pokoje? — dziwi się Gortman. — Rozumiem, że wszystkie pokoje w całym budynku są

zajęte, a przecież niemożliwe, abyście mieli tyle zgonów co urodzin, więc jak…

— Zgony rzeczywiście w pewnym stopniu rozładowują sytuację. Jeżeli umrze jeden z partnerów, a dzieci dorosną, po zostały przy życiu partner przenosi się do sypialni seniorów zwalniając w ten sposób miejsce dla nowej jednostki rodzinnej. Zgadzam się jednak z panem, że większość naszej młodzieży nie znajduje kwater w gmachu, ponieważ nowe rodziny przybywają w stosunku 2 % rocznie, a śmiertelność kształtuje się o wiele poniżej tej wartości. Ale buduje się nowe monady miejskie i nadwyżki z sypialń nowożeńców są tam przesyłane drogą losowania. Mówią, że trudno się przystosować do nowych warunków, ale rekompensatą jest fakt należenia do pierwszych grup zasiedlających. Status nabywa się automatycznie. W ten sposób stale, że tak powiem, przelewamy się oddając naszą młodzież, stwarzając nowe kombinacje jednostek społecznych. Fascynujące, nie? Czytał pan pewnie mój artykuł „Metamorfoza strukturalna ludności monady miejskiej”?

— Owszem, czytałem — odpowiada Gortman. Rozgląda się po sypialni. Dwanaście par spółkuje na pobliskiej platformie.

— Oni są tacy młodzi — mówi.

— Dojrzałość płciowa przychodzi u nas bardzo wcześnie. Dziewczynki wstępują w związki małżeńskie w dwunastym roku życia, a chłopcy w czternastym. W rok później pierwsze dziecko, błogosław Boże!

— I nikt nie usiłuje kontrolować przyrostu.

— Kontrolować przyrost? — Mattern zaszokowany nieoczekiwanym bluźnierstwem nerwowo chwyta się za genitalia. Kilka kopulujących par podnosi ze zdumieniem głowy. Ktoś chichocze.

— Proszę nigdy więcej nie używać tych słów — mówi gorączkowo Mattern. — Szczególnie w obecności dzieci. My… my tak nigdy nie mówimy, nawet nie śmiemy tak myśleć…

— Ale…

— Życie jest dla nas świętością. Tworzenie nowego życia jest błogosławieństwem. Rozmnażanie się jest hołdem i powinnością człowieka wobec Boga. — Mattern uśmiecha się. — Być człowiekiem znaczy rozwiązywać wszelkie problemy wysiłkiem umysłu, prawdą? Ą naszym naczelnym problemem jest rozmnożenie mieszkańców w świecie, który opanował choroby i wyeliminował wojny. Przypuszczam, że moglibyśmy ograniczyć przyrost naturalny, ale byłoby to rozwiązanie tanie i nędzne. Zamiast tego, sam pan przyzna, triumfująco stawiliśmy czoło kwestii rozmnażania! I tak postępujemy dalej, rozmnażając się radośnie, a nasza liczba wzrasta rocznie o 3 biliony i każdy ma dla siebie miejsce i pożywienie. Niewielu umiera, a wielu się rodzi i świat się wypełnia, Bóg jest wielki, życie bogate i

piękne i, jak pan sam widzi, wszyscy jesteśmy szczęśliwi. Wyrośliśmy z dziecięcej potrzeby izolacji od ludzi. Po co wychodzić na zewnątrz? Po co pragnąć lasów i pustyń? Monada 116 jest dla nas całym wszechświatem. Przepowiednie złowróżbnych proroków okazały się płonne. Czy może pan zaprzeczyć temu, że jesteśmy szczęśliwi? Chodźmy, pokażę panu teraz szkołę.

Szkoła wybrana przez Matterna znajduje się w robotniczym rejonie Pragi, na 108 piętrze. Spodziewa się, że Gortmana to zainteresuje, ponieważ ludność Pragi posiada najwyższy wskaźnik przyrostu w Monadzie 116 i rodziny dwunasto— lub piętnastoosobowe nie są tu bynajmniej rzadkością. Zbliżając się do drzwi szkoły słyszy czyste, dźwięczne głosy śpiewające o boskim błogosławieństwie. Mattern pamięta ten hymn; jak był dzieckiem, śpiewał tę piękną pieśń, marząc o wielkiej rodzinie, którą kiedyś będzie mógł założyć. Cicho nuci pod nosem tak dobrze znane słowa:

„A teraz sieje święte nasienie Co wzrośnie w Mamy łonie,

A oto rośnie nowe życie…”

Nagle incydent. Bardzo nieprzyjemny i nieprzewidziany. W korytarzu podbiega do Matterna i Gortmana jakaś kobieta. Młoda, niechlujna, w cienkiej, szarej przepasce na biodrach. Włosy w nieładzie i zaawansowana ciąża.

— Pomocy! — krzyczy. — Mój mąż oszalał!

Wpada, cała drżąca, w ramiona Gortmana. Gość jest mocno speszony. Za nią biegnie młody, dwudziestoparoletni mężczyzna o zapadniętych policzkach i przekrwionych oczach. W ręku trzyma palnik, którego dysza zarży się rubinem.

— Cholerna jędza — bełkocze. — Wiecznie te bachory. Już jest siedmioro, a tu jeszcze to ósme. Można zwariować.

Mattern jest przerażony. Odciąga kobietę od Gortmana i gorączkowo wpycha gościa w drzwi szkoły.

— Niech pan tam powie, że tu jest szaleniec — mówi Mattern. — Niech natychmiast biegną z pomocą!

Jest wściekły, że Gortman był świadkiem tak nietypowej sceny i chciałby go jak najszybciej stąd usunąć. Dziewczyna, dygocząc na całym ciele, kryje się za plecami Matterna.

— Bądźże rozsądny, młody człowieku — mówi powoli Mattern. — Przecież całe swe życie spędziłeś w monadzie, prawda? Rozumiesz, że rozmnażanie się jest błogosławieństwem. Dlaczego nagle odrzucasz zasady, według których…

— Odwal się od niej, bo cię sfajczę!

Chłopak wymachuje palnikiem przed twarzą Matterna. Mattern czuje liźnięcie żaru i robi gwałtowny unik. Chłopiec mija go i rzuca się na kobietę, która odskakuje ociężale, a palnik przecina jej odzież.

Widać nagie, blade ciało przekreślone krwawą pręgą. Kobieta łapie się za wzdęty brzuch i pada krzycząc wniebogłosy. Młodzieniec odtrąca Matterna i celuje palnikiem w bok dziewczyny. Mattern usiłuje chwycić go za ramię, ale chłopiec jest silniejszy. Matternowi udaje się tylko wykręcić mu rękę z palnikiem i smuga ognia zwęgla podłogę. Chłopiec klnąc wypuszcza z rąk palnik i rzuca się na Matterna, okładając go pięściami z całej siły.

— Na pomoc! — krzyczy Mattern. — Na pomoc!

Na korytarz wypada chmara dzieci szkolnych w wieku od ośmiu do jedenastu lat. Biegnąc śpiewają hymn. Odciągają napastnika. Za chwilę już go prawie nie widać pod ruchliwą, bijącą go masą ciał. Dołączają dalsze posiłki z sąsiednich klas. Ryk syren. Przenikliwy dźwięk gwizdka.

— Policja nadchodzi! Rozejść się! — rozbrzmiewa przez megafon głos nauczyciela.

Pojawia się czterech ludzi w mundurach i natychmiast opanowują sytuację. Ranna kobieta leży, jęcząc i pocierając sparzony bok. Szaleniec jest nieprzytomny; ma całą twarz we krwi i wybite oko.

— Co się tu stało? — pyta jeden z policjantów. — Kim pan jest?

— Charles Mattern, socjokomputator, 799 piętro, Szanghaj. Ten człowiek oszalał. Rzucił się na swoją ciężarną żonę z palnikiem. Napadł również na mnie.

Policjanci usiłują podnieść szaleńca na nogi, ale leje im się przez ręce. Przodownik mówi trajkocząc jak pozytywka:

— Winien zbrodniczego napadu na kobietę w płodnym wieku, noszącą nie narodzone jeszcze życie, niebezpieczne tendencje antyspołeczne, mocą władzy, jaka mi została nadana, ogłaszam wyrok likwidacji, wykonać natychmiast! Do zsypu parszywca!

Oddalają się, wlokąc ze sobą szaleńca. Pojawiają się lekarze, którzy nachylają się z troską nad leżącą kobietą. Dzieci ze śpiewem na ustach wracają do klas. Nicanor Gortman jest blady i wstrząśnięty. Mattern ujmuje go za ramię.

— Wszystko już jest w porządku — szepcze gorączkowo. — Takie wypadki czasem się zdarzają. Ale szansa, aby pan to zobaczył, była jedna na bilion! Bardzo nietypowe! Bardzo nietypowe!

Słońce zachodzi. Zachodnia fasada sąsiedniej monady miejskiej lśni purpurowymi pasmami. Nicanor Gortman siedzi w ciszy przy obiedzie z całą rodziną Matterna. Dzieci, jedno przez drugie, opowiadają, jak spędziły dzień w szkole. Na ekranie pojawiają się wiadomości wieczorne. Spiker wspomina o nieszczęśliwym wypadku na 108 piętrze.

— Rany okazały się powierzchowne — mówi — a nie narodzonemu dziecku nie stała się żadna krzywda.

— Błogosław Boże — szepcze Principessa.

Po obiedzie Mattern zamawia w informatorze egzemplarz swojego ostatniego, technicznego artykułu i wręcza go Gortmanowi, aby ten mógł go sobie przeczytać w jakiejś wolnej chwili. Gortman dziękuje.

— Wygląda pan na zmęczonego — mówi Mattern.

— Dzień był trudny. Ale bardzo interesujący.

— Tak. To była prawdziwa podróż, nieprawdaż?

Mattern też jest zmęczony. Zwiedzili prawie 30 różnych pięter; pokazał Gortmanowi rady miejskie, kliniki położnicze, domy kultów religijnych, biura. Jutro czeka ich jeszcze większa wycieczka. Monada Miejska 116 jest społecznością złożoną i zróżnicowaną. I bardzo szczęśliwą, stwierdza w duchu Mattern. Zdarzają się czasem drobne incydenty, ale jesteśmy szczęśliwi. Dzieci idą kolejno spać, całując czule na dobranoc Mamusię, Tatusia i gościa. Biegną przez pokój do swych łóżek jak małe, gołe, słodkie chochliki. Światło automatycznie przygasa.

Mattern jest przygnębiony. Wypadek na 108 piętrze zepsuł mu ten tak poza tym udany dzień.

Mimo to jest pewien, że udało mu się pokazać Gortmanowi wewnętrzną harmonię i spoistość życia monady. A teraz pozwoli gościowi doświadczyć jednej z technik zminimalizowania konfliktów międzyludzkich, tak destruktywnych dla społeczeństwa monady. Mattern wstaje.

— Czas na przechadzkę nocną — oświadcza. — Idę. Pan zostanie tu… z Principessa.

Zdaje sobie sprawę, że w takiej sytuacji gość doceni trochę odosobnienia. Gortman jest nieco zmieszany.

— Do dzieła — mówi Mattern. — Niech pan zażywa rozkoszy. Tutaj nikt nikomu nie odmawia prawa do szczęścia. Wypleniamy samolubów w zarodku. Bardzo proszę. Co moje, to twoje. Zgadzasz się ze mną, Principesso?

— Oczywiście — odpowiada żona.

Mattern wychodzi z pokoju, idzie szybko korytarzem, wchodzi do szybu zjazdowego i zjeżdża na 770 piętro. Gdy wychodzi z szybu słyszy jakieś gniewne krzyki i drętwieje w obawie, że znów zapłacze się w jakąś paskudną historię, ale na szczęście nikt się nie zjawia. Idzie dalej. Mija teraz czarne drzwi zsypu i nagle łapie się na tym, że myśli o tym chłopcu z palnikiem i o tym, gdzie on się teraz znajduje. I naraz, bez uprzedzenia, z zakamarków pamięci wypływa twarz starszego o rok brata Jeffreya, malkontenta, złodzieja, samoluba, który kiedyś poleciał w dół tym samym zsypem, Jeffreya, który nie chciał się przystosować, Jeffreya, którego trzeba było wrzucić do zsypu. Matternowi robi się słabo i w oszołomieniu chwyta pierwszą z brzegu klamkę, aby się nie przewrócić.

Drzwi ustępują. Wchodzi. Nigdy jeszcze przedtem nie odbywał przechadzek na tym poziomie. Na łóżeczkach śpi pięcioro dzieci, a na platformie mężczyzna i kobieta, oboje młodsi od niego. Mattern rozbiera się i kładzie obok kobiety. Dotyka ręką jej uda a potem piersi. Kobieta otwiera oczy i Mattern mówi:

— Cześć. Jestem Charles Mattern z 799 piętra.

— Gina Burke — odpowiada dziewczyna. — A to mój mąż, Lenny.

Lenny budzi się, spostrzega Matterna, kiwa głową, obraca na drugi bok i ponownie zasypia. Mattern delikatnie całuje Ginę w usta. Kobieta obejmuje go ramionami. Mattern dygocze z pożądania i wzdycha z rozkoszą, w chwili gdy kobieta go przyjmuje. Błogosław Boże, myśli. To był naprawdę szczęśliwy dzień w tym roku 2381. No i już się skończył.

Przełożył z angielskiego Marek Wagner

Stanisław Lem
PROFESOR A. DOŃDA

ZE WSPOMNIEŃ IJONA TICHEGO

1

Słowa te ryję na glinianych tabliczkach przed moją jaskinką. Zawsze interesowało mnie, jak Babilończycy to robili, nie przypuszczałem jednak, że sam będę musiał próbować. Musieli mieć lepszą glinę, a może pismo klinowe lepiej się do tego nadawało.

Moja rozłazi się albo kruszy, wolę to jednak od gryzmolenia wapieniem po łupku, bo od dziecka jestem wrażliwy na zgrzytanie. Nie będę już nigdy nazywał starodawnych technik prymitywnymi. Profesor przed odejściem obserwował, jak męczę się, żeby skrzesać ogień, i gdy złamałem po kolei nóż do otwierania konserw, nasz ostatni pilnik, scyzoryk i nożyczki, zauważył, że docent Tompkins z British Museum próbował przed czterdziestu laty wyłupać z krzemienia zwyczajną skrobaczkę, podobną do sporządzanych w epoce kamiennej, i zwichnął sobie nadgarstek oraz stłukł okulary, ale skrobaczki nie wyłupał. Dodał też coś o urągliwej wyższości, z jaką patrzymy na jaskiniowych antenatów. Miał rację. Moja nowa siedziba jest nędzna, materac już zgnił, a z bunkra artyleryjskiego, w którym tak dobrze się mieszkało, wygnał nas ten schorowany, stary goryl, którego licho przyniosło z dżungli. Profesor utrzymywał, że goryl wcale nas nie wysiedlił. Było to o tyle prawdą, że nie okazywał agresywności, lecz wolałem nie dzielić z nim i tak ciasnego pomieszczenia — najmocniej denerwowały mnie jego zabawy granatami. Może i usiłowałbym go wygonić, bał się czerwonych puszek zupy rakowej, której tyle tam zostało, ale bał się jednak za mało, a poza tym Maramotu, który teraz już otwarcie przyznaje się do szamaństwa, oświadczył, że rozpoznaje w małpie duszę stryjecznego i nastawał na to, by nie robić mu na złość. Obiecałem, że nie będę, profesor zaś złośliwy jak zwykle bąknął, że jestem powściągliwy nie ze względu na stryja Maramotu, ale że nawet schorowany goryl pozostaje gorylem. Nie mogę odżałować tego bunkra, kiedyś należał do fortyfikacji granicznych między Gurunduwaju i Lamblią, a teraz cóż, żołnierze rozbiegli się, a nas wyrzuciła małpa. Wciąż nasłuchuję mimo woli, bo dobrze ta zabawa granatami się nie skończy, ale słychać tylko jak zawsze stękanie przejedzonych uruwotu i tego pawiana, który ma podbite oczy. Maramotu mówi, że to nie zwykły pawian, lecz muszę dać spokój głupstwom, bo nigdy nie przejdę do rzeczy.

Porządna kronika powinna mieć daty. Wiem, że koniec świata nastąpił tuż po porze deszczowej, od której minęło kilka tygodni, lecz nie wiem dokładnie, ile to było dni, bo goryl zabrał mi kalendarz, w którym notowałem najważniejsze zdarzenia zupą rakową od czasu, gdy skończyły się długopisy.

Profesor utrzymywał, że nie był to żaden koniec świata, lecz tylko jednej cywilizacji. I w tym przyznaję mu słuszność, bo nie można rozmiarów takiego zajścia mierzyć osobistymi niewygodami. Nic strasznego nie stało się, mawiał profesor, zachęcając Maramotu i mnie do popisów wokalnych, lecz kiedy mu się skończył tytoń fajkowy, stracił pogodę ducha i po wypróbowaniu włókien kokosowych poszedł przecież po nowy tytoń, choć musiał zdawać sobie sprawę z tego, czym jest obecnie taka wyprawa. Nie wiem, czy go jeszcze kiedyś zobaczę. Tym bardziej winienem przedstawić potomności, która odbuduje cywilizację, tak wielkiego człowieka. Los mój jakoś tak się składał, że mogłem obserwować z bliska najwybitniejsze osobistości epoki, a kto wie, czy Dońda nie będzie uznany za pierwszą wśród nich. Ale pierwej trze ba wyjaśnić, skąd wziąłem się w buszu afrykańskim, który jest teraz ziemią niczyją.

Moje dokonania na niwie kosmonautycznej przydały mi niejakiego rozgłosu, więc rozmaite organizacje, instytucje, jako też osoby prywatne zwracały się do mnie z zaproszeniami i propozycjami, tytułując mnie profesorem, członkiem Akademii, a co najmniej doktorem habilitowanym. Był z tym kłopot, bo nie przysługują mi żadne tytuły, a nie cierpię strojenia się w cudze piórka. Profesor Tarantoga powtarzał, że opinia publiczna znieść nie może pustki ziejącej przed moim nazwiskiem, zwrócił się więc za mymi plecami do znajomych piastujących znaczne godności i tak z dnia na dzień zostałem generalnym pełnomocnikiem na Afrykę Światowej Organizacji Żywnościowej — FAO. Godność tę wraz z tytułem Radcy Eksperta przyjąłem, bo miała być czysto honorowa, aż tu okazało się, że w Lamblii, tej republice, co z paleolitu w mig awansowała do monolitu, FAO zbudowała fabrykę konserw kokosowych i jako pełnomocnik tej organizacji muszę dokonać uroczystego otwarcia. Chciałaż bieda, że inżynier magister Armand de Beurre, który towarzyszył mi z ramienia UNESCO, zgubił binokle na fajfie w ambasadzie francuskiej i wziąwszy szakala, który się przypętał, za wyżła, chciał go pogłaskać. Podobno ukąszenia szakali są tak groźne, bo mają one na zębach trupi jad. Ten poczciwy Francuz zlekceważył go i do trzech dni zmarł.

W kuluarach parlamentu lamblijskiego krążyła pogłoska, że szakal miał w sobie złego ducha, którego wpędził weń pewien szaman; kandydaturę tego szamana na ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego utrąciło jakoby demarche ambasady francuskiej. Ambasada dementi oficjalnego nie wystosowała, wynikła jednak delikatna sytuacja, a niedoświadczeni w protokole mężowie stanu Lamblii, miast załatwić po cichu transport zwłok, uznali go za świetną okazję błyśnięcia na forum międzynarodowym. Generał

Mahabutu, minister wojny, urządził tedy żałobny koktajl, na którym, jak to na koktajlu, gadało się o wszystkim i niczym z kieliszkiem w ręku i nawet nie wiem kiedy, zagadnięty przez dyrektora departamentu spraw europejskich, pułkownika Bamatahu, powiedziałem, iż owszem, wysoko postawionych nieboszczyków niekiedy chowa się u nas w trumnie zalutowanej. Do głowy mi nie przyszło, że pytanie ma coś wspólnego ze zmarłym Francuzem, a z kolei Lambli jeżykom nie wydało się zdrożne zastosowanie urządzeń fabrycznych do zaaranżowania pochówku w sposób nowoczesny. Ponieważ kombinat wytwarzał tylko litrowe bańki, wysłano zmarłego samolotem Air France w skrzyni z napisami, reklamującymi kokosy, nie w tym był jednak kamień obrazy, ale w tym, że skrzynia zawierała 96 puszek.

Potem wieszano na mnie psy za to, żem nie przewidział, ale jak mogłem, jeśli skrzynia była zabita i okryta trójkolorowym sztandarem? Lecz wszyscy mieli do mnie pretensje, że nie złożyłem lamblijskim czynnikom aide memoire wyjaśniającego, za jak niewłaściwe uważamy porcjowane puszkowanie nieboszczyków. Generał Mahabutu przesłał mi do hotelu lianę, z którą nie wiedziałem co począć, i dopiero od profesora Dońdy dowiedziałem się, że była to aluzja do stryczka, na którym chcą mnie widzieć. Wiadomość ta była zresztą musztardą po obiedzie, bo tymczasem przyszykowano pluton egzekucyjny, który, nie znając języka, wziąłem za kompanię honorową. Gdyby nie Dońda, na pewno nie opisywałbym tej historii, ani żadnej innej. W Europie przestrzegano mnie przed nim jako przed bezczelnym oszustem, który wykorzystał łatwowierność i naiwność młodego państwa, by sobie urządzić w nim ciepłe gniazdko — podniósł bowiem bezwstydnie sztuczki szamanów do godności dyscypliny teoretycznej, którą wykładał na miejscowym uniwersytecie. Dając wiarę informatorom, miałem profesora za hochsztaplera i oczajduszę, trzymałem się więc od niego z daleka na oficjalnych przyjęciach, choć już podówczas wydał mi się wcale sympatyczny. Konsul generalny Francji, do którego rezydencji było mi najbliżej (od angielskiej ambasady oddzielała mnie rzeka pełna krokodyli), odmówił mi azylu, choć umknąłem z Hiltona w jednej piżamie. Powoływał się na rację stanu, mianowicie na zagrożenie interesów Francji, jakie rzekomo spowodowałem. Tłem tej rozmowy przez judasza były salwy karabinowe, bo pluton ćwiczył się już na zapleczu hotelowym, więc zawróciwszy, rozważałem, co mi się lepiej kalkuluje, pójść od razu na egzekucję, czy płynąć między krokodylami, bo stałem nad rzeką, gdy spomiędzy szuwarów wychynęła załadowana bagażami piroga profesora. Gdym już siedział na walizach, dał mi do ręki pagaj i wyjaśnił, że właśnie skończył mu się kontrakt na

uniwersytecie kułaharskim, płynie tedy do ościennego państwa Gurunduwaju, dokąd zaproszono go jako zwyczajnego profesora świarnetyki. Może i niezwyczajnie przedstawiała się taka zmiana uniwersytetu, lecz trudno było w mej sytuacji rozważać podobne kwestie.

Jeśli nawet Dońda potrzebował wioślarza, faktem jest, że uratował mi życie. Płynęliśmy cztery dni, nic więc dziwnego, iż doszło między nami do zbliżenia. Spuchłem od moskitów, które Dońda zrażał do siebie repellentem, a mnie powtarzał, że w puszce już mało co zostało. I tego nie miałem mu za złe ze względu na specyfikę położenia. Znał moje książki, niewiele mogłem mu więc opowiedzieć, poznałem za to jego koleje. Wbrew brzmieniu nazwiska Dońda nie jest Słowianinem i nie nazywa się Dońda. Imię Affidavid nosi od sześciu lat, kiedy to, opuszczając Turcję, uzyskał affidavid wymagany przez władze i wpisał to słowo do fałszywej rubryki kwestionariusza, tak że otrzymał paszport, czeki podróżne, świadectwo szczepienia, kartę kredytową i ubezpieczenie opiewające na Affidavida Dońdę, uznał więc, że reklamacje nie są warte zachodu, bo właściwie wszystko jedno, jak ktoś się nazywa.

Profesor Dońda przyszedł na świat dzięki serii omyłek. Ojcem jego była Metyska ze szczepu Indian Navaho, matki zaś miał dwie z ułamkiem, mianowicie białą Rosjankę, czerwoną Murzynkę, a wreszcie — Miss Aileen Seabury, kwakierkę, która urodziła go po siedmiu dniach ciąży, w poważnych okolicznościach, bo w tonącej łodzi podwodnej.

Kobieta, która była ojcem Dońdy, została skazana na dożywocie za wysadzenie kwatery porywaczy i za równoczesne spowodowanie katastrofy samolotu Panamerican Airlines. Miała ona rzucić do sztabu porywaczy petardę z gazem rozweselającym, co było pomyślane jako ostrzeżenie. W tym celu przyleciała do Boliwii ze Stanów. Podczas kontroli celnej na lotnisku zamieniła neseser z walizeczką stojącego obok Japończyka i porywacze wylecieli wskutek tego w powietrze, gdyż Japończyk miał w sakwojażu prawdziwą bombę, przeznaczoną dla kogoś innego. Samolot, którym odleciał japoński sakwojaż dzięki osobnej pomyłce, wywołanej strajkiem obsługi lotniska, roztrzaskał się wnet po starcie. Pilot stracił pewno panowanie nad sterami ze śmiechu, jak wiadomo, odrzutowców nie można wietrzyć. Nieszczęsną skazano, i kto jak kto, ale ta dziewczyna zdawała się pozbawiona szans potomstwa, żyjemy jednak w wieku nauki.

Właśnie wtedy profesor Harley Pombernack badał dziedziczność więźniów na terenie Boliwii. Pobierał komórki cielesne od więźniów

prostym sposobem: każdy więzień musiał polizać szkiełko mikroskopu, gdyż to wystarczy, by odłuszczyło się trochę komórek błony śluzowej. W tym samym laboratorium inny Amerykanin, doktor Juggernaut, zapładniał sztucznie ludzkie jajeczka. Szkiełka Pombernacka pomieszały się jakoś ze szkiełkami Juggernauta i dostały się do lodówki jako męskie plemniki. Wskutek tego komórką nabłonka językowego Metyski zapłodniono jajeczko pochodzące od dawczyni, co była białą Rosjanką, córką emigrantów. Teraz jasne już jest, czemu nazwałem Metyskę ojcem Dońdy. Skoro jajeczko pochodziło od kobiety, to siłą rzeczy osoba, od której pochodziła komórka zapładniająca to jajeczko, musi być uznana za ojca.

Asystent Pombernacka w ostatniej chwili spostrzegł się, wpadł do laboratorium i zawołał do Pombernacka *Do not do it!* ale krzyknął niewyraźnie, jak to Anglosasi, i okrzyk jego zabrzmiał *Dondo!* Potem, przy wypisywaniu metryki, dźwięk ten jakoś się nawinął i stąd poszło nazwisko Dońda — tak przynajmniej powiedziano profesorowi dwadzieścia lat później.

Jajeczko włożył Pombernack do inkubatora, boż nie można było już anulować zapłodnienia. Rozwój embrionalny w retorcie biegnie zwykle około dwu tygodni, potem embrion obumiera. Trzebaż było trafu, że akurat wtedy amerykańska Liga do Walki z Ektogenezą uzyskała po serii procesów zwycięski wyrok, mocą którego wszystkie jajeczka znajdujące się w laboratorium zajął komornik sądowy, zaczem anonsami prasowymi przystąpiono do poszukiwania litościwych niewiast, które by się zgodziły służyć za tak zwane matki donosicielki. Na apel zgłosiło się sporo kobiet, a wśród nich też owa Murzynka — ekstremistka, która, godząc się donosić płód, nie miała pojęcia o tym, że za cztery miesiące będzie wplątana w zamach na składnicę soli kuchennej, będącą własnością firmy Nudlebacker Corporation. Murzynka należała bowiem do zgrupowania aktywnych obrońców środowiska, które sprzeciwiało się budowie centrali atomowej w Massachusetts, a kierownictwo tego zgrupowania nie ograniczało się do akcji propagandowej, lecz pragnęło zniszczyć skład soli dlatego, ponieważ z soli tej wydobywa się elektrolityczną metodą czysty sód, służący za cieplny wymiennik reaktorom, dostarczającym energii dla turbin i dynamomaszyn. Co prawda reaktor, który miał być zbudowany w Massachusetts, obywał się bez sodu metalicznego, był bowiem stosem na szybkich neutronach, z nowym wymiennikiem, a firma, która ten nowy wymiennik produkowała, mieściła się w Oregonie i nosiła nazwę Muddlebacker Corporation; co do soli, którą zniszczono, to nie była kuchenna, lecz potasowa, przeznaczona na sztuczny nawóz. Proces Murzynki wlókł się po instancjach, jako że miał dwie wersje — oskarżenia i obrony. Prokuratura utrzymywała, że szło o zamach na własność rządu federalnego, bo liczy się plan

sabotażu oraz premedytowana intencja, a nie przypadkowe omyłki w wykonaniu; obrona natomiast stała na stanowisku, iż był to akt nadpsucia i tak zatęchłego nawozu, stanowiącego własność prywatną, więc kompetentny miał być sąd stanowy, a nie jurysdykcja federalna. Murzynka pojmując, że tak czy owak przyjdzie jej wydać na świat dziecko w więzieniu, chcąc oszczędzić tego maleństwu, zrzekła się kontynuacji macierzyństwa na rzecz nowej filantropki, którą była kwakierka Seabury. Kwakierka, aby się nieco rozerwać, w szóstym dniu ciąży udała się do Disneylandu na wycieczkę łodzią podwodną w tamtejszym superakwarium. Łódź uległa awarii i choć wszystko dobrze się skończyło, pani Seabury poroniła z wrażenia. Wcześniaka udało się jednakowoż uratować. Ponieważ była nim brzemienna tydzień, trudno uznać ją za pełną matkę — stąd ułamkowa kwalifikacja. Potem trzeba było zjednoczonej działalności śledczej dwóch wielkich agencji detektywistycznych, żeby dojść stanu rzeczywistego, tak co do ojcostwa, jak co do macierzyństwa. Postępy nauki zlikwidowały bowiem starą zasadę prawa rzymskiego, iż *mater semper certa est*. Dla porządku dodam, że zagadką pozostała płeć profesora, podług nauki bowiem z dwóch komórek żeńskich powinna by powstać kobieta. Skąd przyplątał się chromosom płci męskiej, nie wiadomo. Słyszałem od emerytowanego pracownika Pinkertona, który był w Lamblii na safari, że w płci Dońdy nie ma zagadki, albowiem w trzecim oddziale laboratorium Pombernacka dawano szkiełka podstawowe do lizania żabom.

Profesor spędził dzieciństwo w Meksyku, potem naturalizował się w Turcji, gdzie przeszedł z wyznania episkopalnego na buddyzm Zen, a zarazem ukończył trzy fakultety, wreszcie wyjechał do Lamblii, by objąć na kułaharskim uniwersytecie katedrę świarnetyki.

Jego właściwym fachem było projektowanie fabryk brojlerów, ale gdy przeszedł na buddyzm, nie mógł znieść świadomości mąk, jakim poddaje się w takich fabrykach kurczęta. Podwórko zastępuje im plastykowa siatka, słońce — lampa kwarcowa, kwokę — mały bezwzględny komputer, a swobodne dziobanie — pompa ciśnieniowa, ładująca im żołądki papką z planktonu i mączki rybnej.

Przygrywa im muzyka z taśm, zwłaszcza uwerturami Wagnera, budzi bowiem panikę. Kurczaki poczynają trzepotać skrzydełkami, a to powoduje rozrost mięśni piersiowych, kulinarnie najważniejszych. Bodaj że Wagner był ostatnią kroplą, co przepełniła czarę. W tych Oświęcimiach drobiu, jak mawia profesor, nieszczęsne stworzenia poruszają się w miarę rozwoju wraz z taśmą, do której są przymocowane, aż do końca transportera, gdzie nie ujrzawszy w życiu ani skrawka błękitu czy szczypty piasku, ulegają dekapitacji, rosolizacji i zapuszkowaniu. Ciekawe, jak motyw puszki konserwowej

powraca w mych wspomnieniach.

Toteż gdy bawiąc w Stambule profesor otrzymał depeszę treści: *Will you be appointed professor of svarnetics at kulałiarian unwersity ten kilodollars yearly answer please immediately colonel Droufoutou Lamblian Bamblian Dramblian security police* — odwrotnie wyraził zgodę, wychodząc z założenia, że o tym, czym jest świarnetyka, dowie się na miejscu, a jego trzech dyplomów starczy dla wykładania każdej ścisłej dyscypliny. W Lamblii wyjawiło się, że o pułkowniku Drufutu nikt już nawet nie pamięta. Indagowani pokrywali zmieszanie lekkim pokasływaniem. Ponieważ kontrakt był podpisany, a zrywając umowę nowy rząd musiałby wypłacić Dońdzie trzyletnie pobory, dano mu katedrę. Nikt nie nagabywał profesora o jego przedmiot, studentów miał niewielu, więzienia były pełne, jak to po zamachu stanu, a w jednym przebywał zapewne człowiek, który wiedział, czym jest świarnetyka. Dońda szukał tego hasła po wszystkich encyklopediach, ale daremnie. Jedyną pomocą naukową, jaką dysponował uniwersytet w Kulahari, był jak z igły nowy komputer IBM, dar UNESCO. Toteż idea wykorzystania tak cennej aparatury sama się napraszała.

Co prawda decyzja ta nie posunęła problemu daleko naprzód. Zwykłej cybernetyki nie mógł Dońda wykładać — byłoby to sprzeczne z umową. Najgorsze, wyjawił mi, gdyśmy wiosłowali, póki można było odróżnić kłodę drzewa od krokodyla, stały się godziny samotności w hotelu, kiedy łamał sobie głowę nad świarnetyką. Na ogół pierwej powstaje nowy kierunek badań, a potem kuje się dlań nazwę — on natomiast miał nazwę bez przedmiotu. Długo wahał się między różnymi możliwościami, aż oparł się na tym niezdecydowaniu. Uznał, że nową gałąź wiedzy objawia słowo „między". Czyż nie nadszedł czas utworzenia fachu interdyscyplinarnego, który zajmie się stykami wszystkich innych? W doniesieniach, przeznaczonych dla pism europejskich, używał zrazu terminu „interystyka", a jej adeptów jęło się pospolicie zwać „międzakami". Lecz właśnie jako twórca świarnetyki zdobył Dońda znaczną — niestety — ujemną sławę.

Nie mógł zajmować się stykami wszystkich specjalności — i tu pośpieszył mu z pomocą przypadek. Ministerstwo Kultury przyobiecało dotacje tej z katedr, która badaniami nawiąże do własnych tradycji kraju. Dońda obrócił ów warunek w niemałą korzyść. Postanowił bowiem badać pogranicze racjonalizmu i irracjonalizmu. Zaczął skromnie, od matematyzacji rzucania uroku. Szczep lambijski Hottu Wabottu od wieków praktykował prześladowanie wrogów in ef figle. Podobiznę wroga, przekłutą drzazgami, dawano do spożycia osłu: jeśli osioł się udławił, był to dobry omen, oznaczający rychłą śmierć wroga. Dońda wziął się więc do cyfrowego modelowania wrogów, osłów, drzazg, itd. Tak doszedł sensu świarnetyki. Okazało się, że jest ona skrótem angielskiego zdania

Stochastic Verification of Automatised Rules of Negatwe Enchantment, czyli stochastyczna weryfikacja zautomatyzowanych reguł rzucania złych uroków. Angielska Naturę, do której posiał artykuł o świarnetyce, zamieściła go w rubryce Curiosa, w wyimkach, opatrzonych szkalującym komentarzem. Komentator Naturę nazwał Dońdę cyberszamanem, imputując mu, że nie wierzy w to, co robi, jest więc — taki był domyślny wniosek — zwykłym oszustem. Dońda znalazł się w nader niewygodnej sytuacji. Nie wierzył w czary i nie utrzymywał w doniesieniu, jakoby dawał im wiarę, lecz nie mógł tego publicznie wyjawić, bo właśnie przyjął podsunięty przez ministerstwo rolnictwa projekt optymizacji czarów przeciw suszy i szkodnikom zbóż. Nie mogąc ani odciąć się od magii, ani do niej przyznać, znalazł wyjście w charakterze świarnetyki jako studium INTER — dyscyplinarnego. Postanowił trwać między magią i nauką! Jeśli krok ten wymusiły na profesorze okoliczności, faktem jest, że właśnie wtedy wstąpił na drogę największego odkrycia całej ludzkiej historii.

Zła fama, co stała się jego udziałem w Europie, już go, niestety, nie opuściła. Niska sprawność lamblijskiego aparatu policyjnego powodowała znaczny wzrost przestępstw, zwłaszcza przeciw życiu. Kacykowie ulegając laicyzacji nagminnie przechodzili od magicznych prześladowań oponentów ku realnym, aż dnia nie było, żeby krokodyle, wylegujące się na mieliźnie vis a vis parlamentu, nie obgryzały czyjejś kończyny. Dońda wziął się do cyfrowej analizy tego zjawiska, a ponieważ sam zajmował się jeszcze wtedy sprawozdawczością, określił projekt jako *Methodology of Zeroing Illicite Murder*. Czysty przypadek sprawił, że skrót tej nazwy brzmiał MZIMU. Po kraju rozeszła się wieść, że w Kułahari działa potężny czarownik Bwana Kubwa Dońda, którego MZIMU czuwa nad każdym ruchem obywateli.

W następnych miesiącach wskaźniki przestępczości wykazały znaczny spadek.

Zachwyceni politycy jęli domagać się od profesora a to takiego zaprogramowania czarów ekonomicznych, żeby płatniczy bilans Lamblii stał się dodatni, a to budowy miotacza plag i klątw na ościenny kraj Gurunduwaju, który wypierał kokosy lamblijskie z wielu rynków zagranicznych. Dońda opierał się tym naciskom, lecz miał z tym trudności, gdyż w czarnoksięską moc komputera uwierzyli liczni jego doktoranci. Tym marzyła się w neofickim zacietrzewieniu magia już nie kokosowa, lecz polityczna, co by dała Lamblii prym światowy. Zapewne; Dońda mógł oświadczyć publicznie, że tego nie wolno się po świarnetyce spodziewać. Musiałby jednak przeuzasadnić wówczas znaczenie świarnetyki argumentacją, której nikt wśród czynników rządowych nie byłby w stanie pojąć. Był więc skazany na lawirowanie. Tymczasem pogłoski o MZIMU Dońdy zwiększyły wydajność pracy,

tak że nawet bilans płatniczy trochę się poprawił. Odcinając się od tej naprawy, profesor odciąłby się zarazem od dotacji, a tego nie mógł zrobić przez wzgląd na wielkie, zamyślone przedsięwzięcia.

Kiedy przyszła mu do głowy ta myśl, nie wiem, gdyż opowiadał o tym akurat w chwili, w której wyjątkowo zaciekły krokodyl odgryzł łopatkę mego pagaja. Dałem mu między oczy kamiennym pucharem, który Dońda otrzymał od delegacji czarowników, co nadała mu godność szamana honoris causa. Puchar pękł i sfrustrowany tym profesor jął mi czynić wyrzuty, które poróżniły nas aż do następnego biwaku. Wiem tylko, że Katedra przekształciła się w Instytut Świarnetyki Eksperymentalnej i Teoretycznej, a Dońda został prezesem Komisji Roku 2000 przy Radzie Ministrów, z nowym zadaniem stawiania horoskopów i magicznego wcielania ich w życie. Myślałem sobie, że nazbyt ulegał sytuacji, nic mu jednak nie powiedziałem, boż uratował mi życie.

Rozmowy nie kleiły się nazajutrz także przez to, iż rzeka na odcinku dwudziestu mil stanowi granicę Lamblii i Gurunduwaju, więc posterunki obu państw ostrzeliwały nas od czasu do czasu, na szczęście niecelnie. Krokodyle czmychnęły, choć wolałem już ich towarzystwo od tych incydentów; Dońda miał przygotowane flagi Lamblii i Gurunduwaju, którymi powiewaliśmy ku żołnierzom, ale ponieważ rzeka płynie głębokimi zakolami, parę razy machaliśmy niewłaściwą flagą, i przychodziło zaraz kłaść się w pirodze na brzuchu, przy czym od kul ucierpiał bagaż profesora.

Najbardziej szkodziła mu Naturę, której zawdzięczał rozgłos oszusta. Mimo to, dzięki naciskom, jakie na Foreign Office wywierała Ambasada Lamblii, został zaproszony na światową konferencję cybernetyczną w Oksfordzie.

Profesor wygłosił tam referat o Prawie Dońdy. Jak wiadomo, wynalazca perceptronów, Rosenblatt, doszedł tezy, że im perceptron większy, tym mniej musi pobierać nauk dla rozpoznawania kształtów geometrycznych. Reguła Rosenblatta głosi: „Perceptron nieskończenie wielki nie potrzebuje się uczyć niczego, gdyż wszystko umie od razu". Dońda poszedł w przeciwnym kierunku, aby wykryć swe prawo. To, co mały komputer może z wielkim programem, może też wielki komputer ź programem małym; stąd wniosek logiczny, iż program nieskończenie duży może działać sam, tj. bez jakiegokolwiek komputera.

Cóż zaszło? Konferencja przyjęła te słowa szyderczym gwizdaniem. Oto, jak na psy zszedł savoir vivre uczonych. Naturę pisała, że podług Dońdy każde nieskończenie długie zaklęcie musi się zrealizować: w ten sposób wprowadzić miał profesor mętny nonsens na wody rzekomej ścisłości. Odtąd zwano go prorokiem cybernetycznego Absolutu. Do reszty pogrążyło Dońdę wystąpienie

docenta Bohu Wamohu z Kulahari, który znalazł się w Oksfordzie, ponieważ był szwagrem ministra kultury i zgłosił pracę Kamień jako czynnik napędowy myśli europejskiej.

Szło mu o to, że w nazwiskach ludzi, co dokonali przełomowych odkryć, występuje kamień — np. widać go w nazwisku największego fizyka (EinSTEIN), największego filozofa (WittgenSTEIN), największego filmowca (EisenSTEIN), człowieka Teatru (FelsenSTEIN), a też dotyczy to pisarki Gertrudy STEIN i filozofa Rudolfa STEINera.

Co do biologii, Bohu Wamohu zacytował głosiciela odmłodzenia hormonalnego — STEINacha, a wreszcie nie omieszkał dodać na zakończenie, że Wamohu to po lamblijsku tyle, co „Kamień Wszystkich Kamieni". Ponieważ powoływał się na Dońdę i swój „rdzeń kamienny" nazywał „świarnetycznie immanentną składową predykatu być kamieniem". Naturę uczyniła z niego i z profesora w kolejnej wzmiance parę bliźniaczych błaznów. Słuchając tego w oparach gorącej mgły na rozlewisku Bambezi, z przerwami, wywołanymi potrzebą walenia po łbach co nachalniejszych krokodyli, które nadgryzały wyłażące z tobołów maszynopisy profesora i zabawiały się rozhuśtywaniem pirogi, znajdowałem się w dość delikatnym położeniu. Jeśli zyskał w Lamblii tak mocne stanowisko, czemu uchodził z niej chyłkiem? Do czego zmierzał naprawdę i co osiągnął? Skoro nie wierzył w magię i kpił z Bohu Wamohu, czemu klął w żywy kamień krokodyle, zamiast sięgnąć po sztucer? (Dopiero w Gurunduwaju wyjawił mi, że tego zakazywała mu jego buddyjska wiara). Trudno mi jednak było przyciskać go podobnymi pytaniami. Właśnie dlatego, to jest z ciekawości, przyjąłem propozycję Dońdy, bym został jego asystentem na gurunduwajskim uniwersytecie. Po przykrej historii z fabryką konserw nie kwapiłem się wracać do Europy. Wolałem poczekać, aż sprawa ucichnie. W naszych czasach nie jest to trudne, boż nieustannie zachodzą wydarzenia, wtrącające wczorajsze sensacje w niepamięć. Choć przeżyłem potem niemało ciężkich chwil, nie żałuję tej decyzji, powziętej w okamgnieniu, a gdy piroga zazgrzytała wreszcie o gurunduwajski brzeg Bambezi, wyskoczywszy jako pierwszy na ląd, podałem profesorowi pomocną rękę i w uścisku, jaki połączył nasze dłonie, było coś symbolicznego, gdyż odtąd losy nasze stały się nierozdzielne.

Gurunduwaju to państwo trzykrotnie większe od Lamblii. Szybkiemu uprzemysłowieniu towarzyszyła, jak to bywa w Afryce, nieodłączna korupcja. Mechanizm jej przestał już prawie działać, gdyśmy przybyli do Gurunduwaju.

Łapówki brał jeszcze każdy, ale nic już nie świadczył w zamian. Co prawda, nie dając łapówki można było zostać obitym. Zrazu nie pojmowaliśmy, czemu przemysł, handel i administracja nadal działają.

Podług europejskich kryteriów kraj winien by rozlecieć się każdego dnia na kawałki. Dopiero dłuższy pobyt wtajemniczył mnie w działanie nowego mechanizmu, który był namiastką tego, co nazywamy na starym lądzie umową społeczną. Mwahi Tabuhine, poczmistrz lumilski, u któregośmy zamieszkali (hotel stołeczny był od siedemnastu lat w remoncie), zdradził mi bez obsłonek, czym się kierował, wydając za mąż sześć swych córek. Przez najstarszą spowinowacił się za jednym zamachem z elektrownią i wytwórnią obuwia, gdyż teść dyrektora fabryki był głównym energetykiem. Dzięki temu nie chodził boso i miał | zawsze prąd. Drugą córkę wżenił w kombinat garmażeryjny poprzez szatniarza, za którego ją wydał. I to pociągnięcie miał za nader zręczne. Wskutek wykrywania malwersacji kierownictwo za kierownictwem szło do więzienia, tylko szatniarz pozostawał na stanowisku, bo sam nie malwersował, a jedynie dostawał upominki. Stół poczmistrza był dzięki temu zawsze suto zastawiony. Trzecią córkę wyswatał Mwahi superrewidentowi kooperatyw remontowych. Dzięki temu nawet w porze deszczów nie lało mu się na głowę, dom jego świecił kolorowymi ścianami, drzwi zamykały się tak dokładnie, że żadna żmija nie mogła wpełznąć za próg, i nawet w oknach miał szyby. Czwartą córkę wydał za dozorcę miejskiego więzienia — na wszelki wypadek. Piątą poślubił pisarz rady miejskiej. Oczywiście pisarz, a nie na przykład wiceburmistrz, któremu Mwahi podał czarną polewkę z krokodylej wątroby. Rady zmieniały się jak chmury na niebie, lecz pisarz trwał na swym urzędzie, tyle że zmiennością poglądów przypominał księżyc. I wreszcie szóstą dziewczynę wziął za żonę szef aprowizacji wojsk atomowych. Wojska te istniały wyłącznie na papierze, lecz aprowizacja była realna. Ponadto kuzyn ze strony matki szefa był stróżem w Zoologu. Ten ostatni związek wydał mi się bezużyteczny. Czyżby chodziło o słonie? Z uśmiechem wyrozumiałej wyższości Mwahi wzruszył ramionami. „Po co zaraz słoń" — rzekł — „a skorpion nie może się czasem przydać?"

Będąc sam poczmistrzem, Mwahi obywał się bez matrymonialnych powiązań z pocztą i nawet mnie, jego sublokatorowi, przynoszono listy i paczki do domu, jeszcze nie otwarte, rzecz w Gurunduwaju niezwykła, normalnie bowiem obywatel pragnący otrzymać przesyłkę od kogoś zamieszkałego dalej, musi się po nią pofatygować osobiście, chyba że podlega przywilejom rodzinnym. Nieraz widziałem, jak listonosze, opuszczając rankiem urząd z wypchanymi torbami, prosto do rzeki wywalali stosy listów powierzonych skrzynkom bez niezbędnej protekcji. Co do paczek, urzędnicy zabawiali się w grę hazardową polegającą na zgadywaniu zawartości paczki. Kto odgadł trafnie, wybierał sobie z paczki co chciał na pamiątkę.

Jedyną troską naszego gospodarza był brak krewnych w zarządzie cmentarza. „Rzucą mnie krokodylom, łajdaki!” wzdychał nieraz, gdy nawiedzały go złe myśli.

Wysoka stopa przyrostu naturalnego w Gurunduwaju tłumaczy się tym, że żaden ojciec rodziny nie spocznie, póki nie powiąże się węzłami krwi z siecią żywotnych placówek. Mwahi opowiadał mi, jak przed remontem lumilskiego hotelu niejeden gość słabł z głodu, a wezwane pogotowie ratunkowe nie przybywało, gdyż jego ekipy rozwożą karetkami maty kokosowe znajomym. Zresztą Hauwari, dawniejszy kapral Legii Cudzoziemskiej, który promował się na marszałka po objęciu władzy i co parę dni był dekorowany nowymi wysokimi orderami przez Ministerstwo Odznaczeń za Szczególne Zasługi, nie patrzał krzywym okiem na powszechny pęd do urządzania się, owszem, mówiono, że to on wpadł na myśl upaństwowienia korupcji. Hauwari, zwany przez miejscową prasę Starszym Bratem Wieczności, nie szczędził też wydatków na naukę, a środki po temu czerpało Ministerstwo Skarbu z podatków nakładanych na cudzoziemskie firmy mające przedstawicielstwa w kraju. Podatki te uchwalał parlament znienacka, po czym szły konfiskaty, licytacje mienia, interwencje dyplomatyczne, bezskuteczne zresztą, a gdy jedna grupa kapitalistów pakowała manatki, zawsze znaleźli się inni, co pragnęli spróbować szczęścia w Gurunduwaju, którego zasoby kopalin, zwłaszcza chromu i niklu, miały być ogromne, choć niektórzy twierdzili, że dane geologiczne sfałszowano na zlecenie władz. Hauwari kupował na kredyt broń, nawet myśliwce i czołgi, które sprzedawał za gotówkę Lamblii. Ze Starszym Bratem Wieczności nie było żartów; gdy nastała wielka susza, dał równe szansę Bogu chrześcijańskie mu i Sinemu Turmutu, najstarszemu duchowi szamanów; kiedy deszcze nie spadły do trzech tygodni, szamanów ściął, a misjonarzy wypędził co do jednego.

Podobno przeczytawszy — w charakterze instrukcji — biografie Napoleona, Czingiz — chana oraz innych mężów stanu, zachęcał podwładnych do grabieży, byle na wielką skalę. Jakoż dzielnica rządowa powstała z materiałów, skradzionych przez Ministerstwo Budownictwa — Ministerstwu Żeglugi, które zamierzało zbudować z nich przystanie na Bambezi, kapitał dla budowy kolei zdefraudowany został w Ministerstwie Obrotu Kokosami, dzięki malwersacjom zgromadzono też środki dla stworzenia gmachu sądów i aparatu ścigania, i tak, stopniowo, kradzieże i zawłaszczenia dały pomyślne skutki. Hauwari zaś, noszący już miano Ojca Wieczności, sam dokonał uroczystego otwarcia Banku Korupcyjnego, w którym każdy, byle poważny przedsiębiorca może dostać długoterminową pożyczkę na łapówki, jeśli dyrekcja uzna, że jego interes zgodny jest z państwowym.

Dzięki Mwahiemu urządziliśmy się z profesorem niezgorzej. Pyszne wędzone kobry przynosił nam inspektor pocztowy. Pochodziły z paczek, wysyłanych przez opozycję do dygnitarzy, a inspektorowa wędziła je w dymie kokosowym. Pieczywo przywoził nam autobus Air France. Podróżni obyci ze stosunkami wiedzieli, że na autobus nie ma co czekać, a nieobyci po niedługim koczowaniu na walizkach dochodzili obycia. Mleka i sera mieliśmy w bród dzięki telegrafistom, którzy żądali w zamian tylko wody destylowanej z naszego laboratorium. W głowę zachodziłem, po co im ta woda, aż okazało się, że szło im o błękitne flaszki plastykowe, do których rozlewali samogon pędzony w Miejskim Komitecie Antyalkoholowym. Nie musieliśmy więc chodzić do sklepów, co było o tyle korzystne, że nigdy nie widziałem w Lumili otwartego sklepu; na drzwiach wisiały zawsze kartki „odbiór amuletów", „poszłam do szamana" itp. W urzędach było nam zrazu ciężko, bo urzędnicy nie zwracają najmniejszej uwagi na interesantów: zgodnie z tubylczym zwyczajem, biura są miejscem towarzyskich imprez, hazardu, a zwłaszcza swatów. Powszechną wesołość gasi tylko niekiedy najazd policji, która zamyka wszystkich bez śledztw czy przesłuchań, wymiar sprawiedliwości wychodzi bowiem z założenia, że winni są i tak wszyscy, a na różnicowanie rozmiaru przestępstw szkoda zachodu. Sąd zbiera się tylko w okolicznościach niezwykłych. Po naszym przybyciu wybuchła afera kotłów. Haumari, kuzyn Ojca Wieczności, nabył w Szwecji kotły centralnego ogrzewania dla parlamentu, zamiast urządzeń klimatyzacyjnych. Dodać trzeba, że w Lumili temperatura nie opada poniżej 25 stopni Celsjusza. Haumari usiłował skłonić instytut meteorologiczny do obniżenia ciepłoty, gdyż to usprawiedliwiłoby zakup; parlament obradował w permanencji, boż szło o jego interes; wyłonił też komisję śledczą, której przewodniczącym został Mnumnu, ponoć rywal Ojca Wieczności. Zaczęły się niesnaski, zwykłe tańce w przerwach między sesjami plenarnymi obróciły się w wojenne, ławy opozycji pełne były niebieskich tatuaży, aż Mnumnu znikł. Były trzy wersje, jedni mówili, że został zjedzony przez koalicję rządową, drudzy, że uciekł z kotłami, trzeci, że sam się zjadł. Mwahi sądził, że ostatnią wersję rozpuszcza Hauwari. Od niego też słyszałem enigmatyczne oświadczenie (co prawda po tuzinie dzbanów tęgo sfermentowanej kiwu kiwy): „Jak się wygląda smacznie, lepiej nie spacerować wieczorem po parku". Być może był to tylko kawał.

Katedra świarnetyki na lumilskim uniwersytecie otwarła przed Dońdą nowe perspektywy działania. Muszę dodać, że komisja motoryzacyjna parlamentu zdecydowała się wówczas na zakup licencji familijnego helikoptera „Beli 94", ponieważ z obliczeń wyszło, że helikopteryzacja kraju będzie tańsza od budowy dróg. Stolica posiada wprawdzie autostradę, lecz tylko sześćdziesięciometrową, służącą do

urządzania wojskowych defilad. Wieść o nabyciu licencji wprawiła ludność w panikę, każdy bowiem rozumiał, że przychodzi kres matrymonializmu jako podpory industrializmu. Helikopter składa się z 39 000 części, potrzebuje benzyny i pięciu rodzajów smaru, nikt więc nie mógłby sobie tego wszystkiego zapewnić, nawet gdyby płodził do końca życia same córki. Wiem coś o tym, bo gdy urwał mi się łańcuch w rowerze, musiałem wynająć myśliwego, żeby złapał młodego wyjca, którego skórą pokryło się tam — tam dla Hiiwu, dyrektora telegrafu, za co ów nadał kondolencyjną depeszę Umiamiemu, którego szefowi na delegacji dziadek zmarł w buszu, a Umiami był już przez Matarere spowinowacony z intendentem armii i miał przez to zapasy rowerów, na których tymczasowo poruszała się brygada czołowa. Niewątpliwie z helikopterem byłoby znacznie gorzej. Na szczęście Europa, wieczne źródło innowacji, dostarczyła nowego wzoru, którym był grupowy seks w wolnych związkach. To, co w niej stanowiło czczą igraszkę zmysłów, w kraju jeszcze surowym wsparło elementarne potrzeby życia. Obawy profesora, że dla dobra nauki będziemy musieli zrezygnować ze stanu kawalerskiego, okazały się płonne. Urządziliśmy się nieźle, choć dodatkowe obowiązki, jakie przyszło brać na siebie przez wzgląd na katedrę, bardzo nas wyczerpywały.

Profesor wprowadził mnie w swój projekt: chciał zaprogramować w komputerze wszystkie klątwy, zabiegi magiczne, czarnoksięskie zamawiania, inkantacje i formuły szamańskie, jakie stworzyła ludzkość. Nie widziałem w tym żadnego sensu, lecz Dońda był nieugięty. Ogrom danych mógł pomieścić tylko najnowszy komputer lumeniczny IBM, który kosztował 11 milionów dolarów.

Nie wierzyłem, że otrzymamy tak olbrzymi kredyt, zwłaszcza że minister skarbu odmawiał wyasygnowania czterdziestu trzech dolarów na zakup papieru toaletowego dla Instytutu Świarnetyki; profesor był jednak pewien swego. Nie wtajemniczał mnie w szczegóły swej kampanii, widziałem jednak, że zakrzątnął się na całego. Wieczorami wychodził nie wiem dokąd, wytatuowawszy się ceremonialnie, rozebrany do przepaski z szympansa, a jest to strój wizytowy w najbardziej ekskluzywnych kręgach Lumili; sprowadzał z Europy jakieś tajemnicze paczki, gdy raz niechcący upuściłem jedną, rozległ się cichy marsz Mendelssohna; szukał recept po starych książkach kucharskich, wynosił z laboratorium szklane chłodnice destylatorów, kazał mi robić zacier, wycinał zdjęcia żeńskie z *Playboya* i *Oui*, oprawiał jakieś obrazy, których nikomu nie pokazywał, dał sobie wreszcie doktorowi Alfvenowi, który był dyrektorem szpitala rządowego, upuścić krew i widziałem, jak owijał flaszeczkę złotym papierem. Potem jednego dnia zmył z twarzy mazidła i farby, szczątki Playboyów spalił i przez cztery dni pykał flegmatycznie fajkę na werandzie Mwahiego; na piąty zatelefonował do nas Uabamotu,

dyrektor departamentu inwestycji. Zlecenie kupna komputera zostało wydane. Uszom nie chciałem wierzyć. Profesor, indagowany, tylko się słabo uśmiechał.

Programowanie magii trwało z górą dwa lata. Mieliśmy moc trudności rzeczowych, jak i całkiem innych. Kłopoty były na przykład z tłumaczeniem zaklęć Indian amerykańskich, utrwalonych węzełkowym pismem „kipu", ze śniegowo — lodowymi zaklinaniami szczepów kurylskich i eskimoskich, dwu programistów rozchorowało się nam z przemęczenia zajęciami pozauniwersyteckimi, jak sądzę, bo pożycie grupowe było w wielkiej modzie, lecz rozeszły się słuchy, że to dzieło podziemia szamańskiego, zaniepokojonego supremacją Dońdy na polu odwiecznej praktyki czarowników. Ponadto grupa postępowej młodzieży, zasłyszawszy coś o kontestacji, podłożyła w instytucie bombę. Na szczęście eksplozja rozsadziła tylko klozety w jednym pionie gmachu. Nie naprawiono ich do końca świata, ponieważ puste kokosy, co miały funkcjonować jako pływaki wedle pomysłu pewnego racjonalizatora, wciąż tonęły. Sugerowałem profesorowi, by użył swych wielkich wpływów dla sprowadzenia części, rzekł jednak, że tylko znaczny cel uświęca fatygujące środki.

Także mieszkańcy naszej dzielnicy urządzili parokrotnie demonstracje antydońdowe, obawiali się bowiem, że rozruch komputera obruszy lawinę czarów na uniwersytet, więc i na nich, bo czary mogą być niecelne. Profesor kazał otoczyć gmach wysokim parkanem, na którym sam wymalował znaki totemiczne, chroniące przed oberwaniem złych uroków. Płot kosztował, jak pamiętam, cztery beczki samogonu.

Stopniowo nagromadziliśmy w bankach pamięci 490 miliardów bitów magicznych, co w przeliczeniu świarnetycznym równało się dwudziestu teragigamagemom. Maszyna, wykonując 18 milionów operacji na sekundę, pracowała trzy miesiące bez przerwy. Przedstawiciel International Business Machines, inżynier Jeffries, obecny przy rozruchu, miał Dońdę i nas wszystkich za pomyleńców. A już to, że Dońda ustawił zespoły pamięci na specjalnie czułej wadze sprowadzonej ze Szwajcarii, sprowokowało Jeffriesa do niesmacznych uwag za plecami profesora.

Programiści byli okropnie przygnębieni, gdyż komputer po tylu miesiącach pracy nie zaczarował ani mrówki. Dońda żył jednak w nieustannym napięciu, nie odpowiadał na żadne pytania, lecz co dzień chodził sprawdzać, jak wygląda wykres, który waga rysowała na taśmie odwijającego się z bębna papieru. Wskaźnik rysował, rzecz oczywista, linię prostą. Świadczyła ona, że komputer nie drga — dlaczegożby jednak miał drgać? Z końcem ostatniego miesiąca profesor jął przejawiać znamiona depresji. Już po trzy, a to i cztery razy dziennie chodził do laboratorium, nie odpowiadał na telefony i

nie tykał gromadzącej się korespondencji. Lecz dwunastego września, gdym szykował się już na spoczynek, wpadł do mnie blady i roztrzęsiony.

— Stało się! — zawołał od progu. — Teraz to już pewne. Zupełnie pewne. — Wyznaję, że się przeląkłem o jego umysł. Jaśniał dziwnym uśmiechem. — Stało się — powtórzył jeszcze kilka razy.

— Co się stało? — krzyknąłem wreszcie. Popatrzył na mnie jak wyrwany ze snu.

— Prawda, ty nic nie wiesz. Przybrał na wadze. 0,01 grama. Ta przeklęta waga jest tak mało czuła! Gdybym miał lepszą, wiedziałbym już wszystko miesiąc temu, może i wcześniej!

— Kto przybrał na wadze?

— Nie kto, lecz co. Komputer. Bank pamięci. Wiesz przecie, że materia i energia posiadają masę. Otóż informacja nie jest ani materią, ani energią, a przecież istnieje. Dlatego powinna mieć masę. Zacząłem o tym myśleć, gdy formułowałem prawo Dońdy. No, bo cóż to znaczy, że nieskończenie wiele informacji może działać bezpośrednio, bez pomocy jakichś urządzeń? Znaczy to, że ogrom informacji przejawi się wprost. Domyślałem się tego, ale nie znałem formuły równoważności. Cóż tak patrzysz? Po prostu — ile waży informacja. Musiałem więc obmyślić ten cały projekt. Musiałem. Teraz już wiem. Maszyna stała się cięższa o 0,01 grama: tyle waży wprowadzona informacja. Rozumiesz?

— Profesorze — wyjąkałem — jakże — a te wszystkie czary, te magie, modły, zaklęcia — jednostki CGS, Czar na Gram i Sekundę —

Zamilkłem, zdawało mi się, że płacze. Zaczął się trząść, ale to był bezgłośny śmiech. Zebrał palcem łzy z powiek.

— A co miałem robić? — rzekł spokojnie. — Zrozum: informacja ma masę. Każda. Byle jaka. Treść nie ma najmniejszego znaczenia. Atomy też są takie same, czy tkwią w kamieniu, czy w mojej głowie. Informacja ciąży, ale jej masa jest niesłychanie mała. Wiadomości całej encyklopedii ważą około miligrama. Dlatego musiałem mieć taki komputer. Ale pomyśl: kto by mi go dał? Komputer za 11 milionów, na pół roku, żeby go ładować byle bzdurami, nonsensem, sieczką? Byle czym! Jeszcze nie mogłem ochłonąć z zaskoczenia.

— No… — rzekłem niepewnie — gdybyśmy pracowali w poważnym ośrodku naukowym, w Institute for Advanced Study albo w Massachusetts Institute of Technology…

— A jużci — parsknął — przecież nie miałem żadnych dowodów, nic, prócz prawa Dońdy, które jest pośmiewiskiem! Nie mając komputera musiałbym go wynająć, a wiesz, ile kosztuje godzina pracy takiego modelu? Jedna godzina! A ja potrzebowałem miesięcy. I gdzieżbym się dopchał w Stanach! Przy takich maszynach siedzą tam teraz tłumy futurologów, obliczają warianty zerowego wzrostu

ekonomiki, to jest teraz modne, a nie wymysły jakiegoś Dondy z Kułahari!

— Więc cały projekt — te magie — to było na nic? Zbędne? Toż na samo zebranie materiałów wydaliśmy przez dwa lata —

Niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Nic nie jest zbędne w zakresie tego, co konieczne. Gdyby nie ten projekt, nie dostalibyśmy grosza.

— Ale Uabamotu — rząd — Ojciec Wieczności — toż oczekują czarów!

— Och, będą mieli czar, jeszcze jaki! Ty wciąż nie wiesz… Słuchaj: ciążenie informacji nie byłoby niczym rewelacyjnym, gdyby nie konsekwencje… Istnieje, uważasz, krytyczna masa informacji, tak samo, jak krytyczna masa uranu. Zbliżamy się do niej. Nie my, tutaj, ale cała Ziemia. Zbliża się do niej każda cywilizacja budująca komputery. Rozwój cybernetyki to pułapka zastawiona przez Naturę na Rozum!

— Krytyczna masa informacji? — powtórzyłem. — Ale przecież w każdej głowie ludzkiej jest mnóstwo informacji, a jeżeli nie liczy się, czy jest mądra czy głupia —

— Nie przerywaj mi wciąż. Nie mów nic, bo nic nie rozumiesz. Wyłożę ci to na analogii. Liczy się gęstość, a nie ilość wiadomości. To — jak z uranem. Analogia nieprzypadkowa! Uran rozrzedzony — w skałach, w glebie — jest nieszkodliwy. Warunkiem eksplozji jest wyosobnienie i koncentracja. Tak i tutaj. Informacja w książkach czy w głowach może być znaczna, ale pozostaje bierna. Jak rozproszone cząstki uranu. Należy ją skupić!

— I co wtedy nastąpi? Cud?

— Jaki tam cud! — parsknął. — Widzę, że doprawdy uwierzyłeś w brednie, które były pretekstem. Żaden tam cud. Powyżej punktu krytycznego rusza reakcja łańcuchowa. *Obiit animus, natus est atomus!* Informacja znika, bo zamienia się w materię.

— Jak to w materię? — nie rozumiałem.

— Materia, energia i informacja są trzema postaciami masy — tłumaczył cierpliwie. — Mogą przechodzić w siebie, zgodnie z prawami zachowania. Nic za darmo, tak jest urządzony świat. Materia obraca się w energię, energii i materii trzeba dla wytwarzania informacji, a informacja może przejść w nie z powrotem, oczywiście nie byle jak. Powyżej masy krytycznej sczeźnie jak zdmuchnięta. Oto bariera Dondy, granica przyrostów wiedzy… To znaczy, można by ją gromadzić nadal, lecz tylko — w rozrzedzeniu. Każda cywilizacja, która się tego nie domyśli, wchodzi sama w pułapkę. Im więcej się dowie, tym bliżej ma do ignorancji, do próżni — czy to nie osobliwe? A wiesz, jak blisko podeszliśmy już do progu? Jeśli przyrosty będą trwały, za dwa lata objawi się…

— Co to będzie — eksplozja?

— Skąd tam. Najwyżej malutki błysk, ani muchy nie ukrzywdzi. Tam, gdzie tkwiły miliardy bitów, powstanie garść atomów. Zapłon reakcji łańcuchowej obiegnie świat z szybkością światła, pustosząc wszystkie banki pamięci, komputery, gdziekolwiek gęstość przekracza milion bitów na milimetr sześcienny powstanie równoważna ilość protonów — i pustka.

— Więc trzeba ostrzec, ogłosić…

— Oczywiście. Już to zrobiłem. Ale daremnie.

— Dlaczego? Za późno?

— Nie. Po prostu nikt mi nie uwierzy. Taka wiadomość musi pochodzić od autorytetu, a ja jestem błazen i oszust. Z oszustwa może bym się wytłumaczył, ale błazeństwu nie ujdę. Zresztą — nie chcę kłamać: nawet nie spróbuję. Posłałem do Stanów wstępne doniesienie, a do *Nature* — tę depeszę…

Podał mi brulion. *Cognovi naturom rerum. Lords countdown made the world. Truly yours* Dońda.

Widząc moje osłupienie, profesor uśmiechnął się złośliwie.

— Masz mi za złe, co? Mój kochany, ja też jestem człowiekiem, więc odpłacam pięknym za nadobne. Depesza ma dobry sens, lecz rzucą ją do kosza lub wyśmieją. To moja zemsta. Nie domyślasz się? A przecież znasz najmodniejszą teorię powstania Kosmosu — *Big Bang Theory*? Jak powstał Wszechświat? Wybuchowo! Co wybuchło? Co się nagle zmaterializowało? Oto Boża recepta: odliczać od nieskończoności do zera. Kiedy do niego doszedł, informacja zmaterializowała się wybuchowo — zgodnie z formułą równoważności. Tak słowo ciałem się stało, eksplodując mgławicami, gwiazdami… z informacji powstał Kosmos!

— Profesorze, naprawdę tak myślisz?

— Udowodnić tego się nie da, aleć to zawsze zgodne z prawem Dońdy. Nie, nie sądzę, żeby Bóg. Ktoś to jednak zrobił, w poprzedniej fazie — może zbiór cywilizacji, które eksplodowały naraz, jak czasem eksploduje gromada supernowych… a teraz kolej na nas. Komputeryzacja skręci łeb cywilizacji — zresztą łagodnie…

Pojmowałem rozgoryczenie profesora, ale mu nie wierzyłem. Zdawało mi się, że zaślepiają go doznane upokorzenia. Niestety, miał słuszność. Zresztą, choćby tą depeszą — sam przyczynił się do zapoznania swojego odkrycia.

Ręka mi mdleje, a i glina się kończy, muszę jednak pisać dalej. W hałasie futurologicznym nie zwrócono uwagi na słowa Dońdy. Naturę milczała, pisał o nim już tylko *Punch* i prasa brukowa. Parę gazet opublikowało nawet fragmenty jego ostrzeżenia, ale świat naukowy nie drgnął. W głowie mi się to nie mieściło. Gdy pojąłem, że stoimy

przed kresem, a nasze wołania są jak krzyki tego pastucha z bajki, który zbyt wiele razy wołał „wilki", pewnej nocy nie powstrzymałem się od gorzkich słów. Wyrzucałem profesorowi, że maskę błazna sam wcisnął sobie na twarz, kompromitując badania szamańską fasadą. Wysłuchał mnie z przykrym, drgającym w kątach ust uśmieszkiem, który nie schodził mu z twarzy. Może był to zresztą tik nerwowy.

— Pozory — rzekł wreszcie. — Pozory. Jeśli magia jest bzdurą, wyszedłem z bzdury. Nie mogę ci powiedzieć, kiedy rojenie zmieniło mi się w hipotezę, bo sam nie wiem. Postawiłem na niezdecydowanie, wiesz przecież. Odkrycie moje jest fizyką, należy do fizyki, ale do takiej, której nikt nie zauważył, bo droga wiodła przez tereny ośmieszone, wyzute z wszelkich praw. Trzeba było przecież zacząć od myśli, że słowo może stać się ciałem, że zaklęcie może się zmaterializować — trzeba było dać nura w ten absurd, wejść w związki zakazane, aby dostać się na drugi brzeg, tam, gdzie już oczywistością jest równoważność informacji i masy. Tak więc należało przejść przez magię… może niekoniecznie przez zabawy, które uprawiałem, ale każdy krok wstępny musiał być dwuznaczny, podejrzany, heretycki, godny drwin. Co zrobiłem? Błazeńską maskę, uzasadnienie pozorne? Masz rację, jeśli pomyliłem się, to tylko tak, że nie doceniłem głupoty panującej nam dziś mądrości. W naszej epoce — opakowań — liczy się etykieta, a nie zawartość… Nazwawszy mnie krętaczem i oszustem, panowie uczeni wtrącili mnie w niebyt, z którego nie mogę być dosłyszany, choćbym ryczał jak trąby jerychońskie. Im głośniejszy ryk, tym większy śmiech. Więc po czyjej stronie właściwie została magia — czy ten ich gest odtrącenia i wyklęcia nie jest magiczny? Ostatnio pisał o prawie Dońdy *Newsweek*, przedtem *Time, Der Spiegel, L'Express* — nie mogę się uskarżać na brak popularności! Sytuacja jest bez wyjścia właśnie dlatego, że czytają mnie wszyscy — i nie czyta mnie nikt. Kto jeszcze nie słyszał o prawie Dońdy? Czytają i pokładają się ze śmiechu: *Don't do it!* Widzisz, nie liczą się rezultaty, lecz droga, którą się do nich dochodzi. Są ludzie wyzuci z prawa robienia odkryć — na przykład ja. Mógłbym teraz sto razy zaprzysiąc, że projekt był taktycznym manewrem, wybiegiem może niepięknym, ale koniecznym. Mógłbym się kajać i spowiadać publicznie — odpowiedzią będzie śmiech. Otóż tego, że raz wszedłszy w klownadę, nie będę mógł się z niej wydostać — tego nie pojąłem. Jedyna pociecha w tym, że katastrofy i tak nie dałoby się odwrócić.

Usiłowałem protestować krzycząc. A musiałem podnieść głos, albowiem zbliżał się już termin uruchomienia wielkiej wytwórni familijnych śmigłowców i w nadziei na te piękne maszyny ludność Gurunduwaju z zaciętymi szczękami, w zaparciu i namiętności nawiązywała wszystkie niezbędne po temu stosunki: za ścianą mego pokoju kotłowała się rodzina poczmistrza ze sproszonymi notablami,

monterami, sprzedawczyniami, i podług narastającej wrzawy można było ocenić żądzę motoryzacyjną zacnego ludu. Profesor wyjął z tylnej kieszeni płaską flaszkę Białego Konia i nalewając whisky do szklanek rzekł:

— Mylisz się znowu. Nawet przyjąwszy moje słowa z dobrą wiarą, świat nauki musiałby je sprawdzić. Musieliby siąść do swoich komputerów, a maglując tę informację, tym samym przyspieszyliby kres.

— Więc co robić! — zawołałem z rozpaczą. Profesor podniósł głowę ku niebu, aby wychylić ostatek płynu z flaszki, wyrzucił pustą przez okno i patrząc w ścianę, za którą kotłowały się pasje, oświadczył:

— Spać.

Piszę znowu wymoczywszy dłoń w mleku kokosowym, bo złapał mnie skurcz. Maramotu powiada, że w tym roku pora deszczowa będzie wczesna i długa. Jestem wciąż sam, od czasu kiedy profesor udał się do Lumili po fajkowy tytoń.

Poczytałbym nawet starą gazetę, ale mam tylko wór książek o komputerach i programowaniu. Znalazłem go w dżungli, kiedy szukałem patatów. Oczywiście zostały same zgniłe — dobre wyżarły, jak zwykle, małpy. Byłem też przy moim dawnym mieszkaniu, ale goryl, choć jeszcze bardziej schorowany, nie wpuścił mnie do środka. Sądzę, że ten worek z książkami był balastem wielkiego pomarańczowego balonu z napisem DRINK COKE, który przed miesiącem przeszybował nad dżunglą w południowym kierunku. Widać podróżują teraz balonami. Na dnie worka znalazłem zeszłorocznego Playboya i przeglądałem go, kiedy zaskoczył mnie Maramotu. Uradował się: uważa nagość za objaw przyzwoitości, akty kojarzą mu się z powrotem do starych, dobrych obyczajów. Nie pomyślałem o tym, że za młodu chadzał goły z całą rodziną, toteż kreacje mini i maksi, w które jęły się stroić czarne krasawice, miał za wyraz zwyrodniałego wyuzdania. Pytał, co słychać w wielkim świecie, ale nie wiedziałem, bo bateryjki tranzystora wysiadły. Dopóki radio działało, słuchałem go całymi dniami. Katastrofa zdarzyła się dokładnie tak, jak to przewidział profesor. Najmocniej dała się we znaki krajom rozwiniętym. Ileż bibliotek skomputeryzowano w ostatniej dekadzie! Aż tu z taśm, kryształów, ferrytowych tarcz, kriotronów w ułamku sekundy wyparował ocean mądrości. Słyszałem zdyszane głosy spikerów. Upadek nie był jednakowo bolesny dla wszystkich. Im kto wyżej wlazł na drabinę postępu, tym gwałtowniej z niej rymnął.

W Trzecim Świecie zapanowała po krótkotrwałym szoku euforia. Nie trzeba się już było wysilać, gnać na złamanie karku za czołówką,

wyciągać się z portek i trzcinowych spódniczek, urbanizować, industrializować, a zwłaszcza — komputeryzować, i życie tutaj, już naszpikowane komisjami, futurologami, armatami, oczyszczalniami ścieków i granicami, rozlazło się w przyjemne bajorko, w ciepłą monotonię wiecznej sjesty. I kokosy można znów dostać łatwo, a jeszcze przed rokiem były nieosiągalne jako towar eksportowy, i wojska same się porozchodziły, tak że nieraz chodząc po dżungli potykam się o maski gazowe, kombinezony, tornistry, moździerze obrosłe lianami, raz w nocy zbudziła mnie eksplozja, myślałem, że to wreszcie goryl, ale to tylko pawiany znalazły skrzynię zapalników. Tak, a w Lumili Murzynki z nie hamowanym postękiwaniem ulgi wyzbyły się lśniących trzewików, damskich spodni, grzejących jak diabli, i zbiorowy seks też jak ręką odjęło, bo raz, że nie będzie śmigłowców (fabryka miała być oczywiście skomputeryzowana), dwa — nie ma benzyny — rafinerie też były automatyczne, a trzy, nikomu się nie chce nigdzie jechać, bo i po co? Teraz nikomu już nie wstyd zwać masową turystykę Szaleństwem Białego Człowieka. Jak cicho musi być teraz w Lumili.

Prawdę mówiąc, ta katastrofa wcale nie okazała się taka zła. Nawet gdyby ktoś się na głowie postawił, nie będzie za godzinę w Londynie, za dwie w Bangkoku, a za trzy w Melbourne. No więc nie będzie, i co z tego? Pewnie, skrachowało moc firm, taki koncern IBM chociażby, podobno wytwarza teraz tabliczki i rysiki, ale może to kawał. Komputerów strategicznych już też nie ma, ani samonawodzących się głowic, ani maszyn cyfrowych, wojny podwodnej, lądowej i orbitalnej, informatyka ogłosiła upadłość, giełdy zadygotały, podobno czternastego listopada byznesmeni wyskakiwali na Piątej Ulicy z okien tak gęsto, że zderzali się w powietrzu. Poplątały się wszystkie rozkłady jazdy, lotów, rezerwacje hotelowe, więc już nie muszą się martwić w metropoliach, czy polecieć na tę Korsykę, czy pojechać autem, czy wynająć przez komputer na miejscu, czy w trzy dni zwiedzić Turcję, Mezopotamię, Antyle i Mozambik z Grecją na dokładkę. Ciekawe, kto wytwarza balony? Pewno chałupnicy.

Ostatni balon; który oglądałem przez lornetkę, dopóki mi jej małpa nie zabrała, miał sieć splecioną z dziwnie krótkich sznurków, całkiem jak ze sznurowadeł, może i w Europie też już chodzą na bosaka? Widocznie te dłuższe sznury wyplatały ostatnio tylko komputery powroźnicze. Strach rzec, ale słyszałem na własne uszy, nim radio zamilkło, że nie ma już dolara. Zdechł, biedaczek… Żałuję tylko, że z bliska nie widziałem Przełomowej Chwili.

Podobno rozległ się mały trzask i prask, pamięć maszynowa stała się w oka mgnieniu biała jak umysł nowo narodzonego, a z informacji, wynicowanej na materialną stronę, po wstał niespodziewanie malutki

Kosmosek, Uniwersiątko, Wszechświatunio, ot, w kłębuszek atomowego prochu obróciła się wiedza gromadzona wiekami. Z radia też dowiedziałem się, jak taki Mikrokosmosek wygląda, jest maciupeńki, a tak zamknięty, że niczym nie można doń wtargnąć. Podobno ze stanowiska naszej fizyki stanowi specjalną postać nicości, a mianowicie Nicość Wszędzie gęstą, całkowicie Nieprzepuszczalną. Nie pochłania światła, nie można go rozciągnąć, ścisnąć, rozbić, wydrążyć, ponieważ znajduje się poza naszym Uniwersum, choć niby w jego wnętrzu. Światło ześlizguje się po jego obłych poboczach, wymijają go dowolnie rozpędzone cząstki, i nie rozumiem tego, co oświadczały autorytety, że jakoby ten, jak mawia Dońda — „Kosmosesek" — jest Wszechświatem, całkowicie dorównującym naszemu, czyli zawiera mgławice, galaktyki, chmury gwiazdowe, a może już i planety z lęgnącym się na nich życiem. Tym samym rzec wolno, iż ludzie powtórzyli dalipan Genezę, co prawda zupełnie niechcący, a nawet wbrew żywionym intencjom, bo na tym najmniej im zależało.

Gdy Kosmosek narodził się, zapanowała wśród uczonych powszechna konsternacja i dopiero gdy jeden z drugim wspomniał ostrzeżenia Dońdy, na wyprzódki jęli mu słać listy, apele, telegramy, pytania, a też bodaj jakieś dyplomy honorowe w trybie przyspieszonym. Lecz właśnie wtedy jął profesor pakować walizy i mnie namówił do wyjazdu w tę przygraniczną okolicę, bo ją spenetrował i upodobał sobie już poprzednio. Wziął ze sobą też koszmarnie ciężki kufer z książkami — wiem coś o tym, bom go dźwigał ostatnie pięć kilometrów, kiedy się nam benzyna skończyła i łazik utknął; nie zostało już z niego nic prawie, przez pawiany. Sądziłem, że profesor chce kontynuować prace naukowe, by położyć kamień węgielny pod odbudowę cywilizacji, ale nic z tego. Zadziwił mnie Dońda! Mieliśmy, naturalnie, liczne sztucery, sztućce, piły, gwoździe, kompasy, siekiery i inne rzeczy, których listę sporządził notabene profesor w oparciu o oryginalne wydanie *Robinsona Crusoe*. Ponadto wziął jednak za sobą *Nature, Physical Review, Physical Abstracts, Futurum* oraz teczki pełne gazetowych wycinków poświęconych prawu Dońdy.

Co wieczór po kolacji odbywał się Seans Rozkoszy, czyli Vendetty — radio, nastawione na pół głosu, nadawało najświeższe koszmarne wieści, okraszone wystąpieniami znamienitych naukowców i innych ekspertów, profesor zaś, pykając fajkę z przymkniętymi oczami, słuchał, jak odczytywałem wybrane na dany wieczór co zjadliwsze wykpienia prawa Dońdy, a też insynuacje oraz obelgi: te ostatnie, własnoręcznie podkreślone przezeń czerwonym długopisem, musiałem niekiedy odczytywać parokrotnie. Wyznaję, że posiedzenia te rychło mi się znudziły. Czy aby wielki umysł nie uległ fiksacji? Gdym

odmówił dalszego czytania, profesor począł chodzić do dżungli na spacery, jakoby zdrowotne — ażem go zaszedł na polanie, jak czytał gromadzie zdziwionych pawianów celniejsze ustępy z Naturę.

Nieznośny zrobił się profesor, a jednak z utęsknieniem wyczekuję jego powrotu. Stary Maramotu twierdzi, że Bwana Kubwa nie wróci, bo porwało go Złe Mzimu, osioł. Na odchodnym profesor powiedział mi dwie rzeczy. Zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Najpierw tę, że z prawa Dońdy wynika równowartość wszelkiej informacji: wszystko jedno, czy bity wiadomości są genialne czy kretyńskie, trzeba ich sto miliardów na stworzenie jednego protonu. A więc zarówno mądre, jak i idiotyczne słowo staje się ciałem. Uwaga ta w zupełnie nowym świetle stawia filozofię bytu. Czyżby gnostycy z Manicheuszem nie byli takimi przeniewiercami, jak to ogłosił kościół? Ponadto, czy może być, aby Kosmos, sporządzony z wyartykułowania heptyliona głupstw, niczym się nie różnił od Kosmosu, powstałego z wygłoszonej mądrości?

Zauważyłem też, że profesor pisze coś nocami. Niechętnie, bo niechętnie, ale zdradził mi w końcu, że jest to *Introduction to Svarnetics*, czyli *Inquiry into the General Technology of Cosmoproduction*. Profesor zabrał, niestety, rękopis ze sobą. Toteż wiem tylko, że podług niego każda cywilizacja trafia na próg kosmokreacji, świat stwarza bowiem zarówno ten, kto się zbyt nagenialni, jak i ten, kto nazbyt zidiocieje. Tak zwane Białe i Czarne Dziury, wykryte przez astrofizyków, są to miejsca, w których niezwykle potężne cywilizacje usiłowały obejść barierę Dońdy lub wysadzić ją z posad, ale im nie wyszło: same siebie za to z Uniwersum wysadziły.

Zdawałoby się, że już nic nie ma większego od takiej refleksji. No, bo skoro Dońda wziął się do pisania metodyki i teorii Genesis!

A jednak wyznam, że mocniej poruszyły mnie jego słowa ostatniej nocy przed wyruszeniem po tytoń. Piliśmy mleko kokosowe, sfermentowane podług przepisu starego Maramotu — ohydną bryję, konsumowaną przez wzgląd na trud fabrykacji (nie wszystko było złe dawniej: chociażby whisky) — aż w pewnej chwili, płucząc usta wodą źródlaną, profesor rzekł: Ijonie, czy pamiętasz dzień, w którym nazwałeś mnie błaznem? Widzę, że pamiętasz. Powiedziałem wtedy, że zbłaźniłem się w oczach naukowego świata wymyśleniem magicznej treści dla świarnetyki. Gdybyś jednak nie na ową decyzję patrzał, ale na całe moje życie, zobaczyłbyś bigos, któremu na imię Zagadka. W losie moim wszystko układało się do góry nogami! Z przypadków ułożył się cały, i to pomylonych. Przez pomyłkę przyszedłem na świat. Wskutek omyłki otrzymałem imię. Nieporozumienie jest moim nazwiskiem. Wskutek błędu stworzyłem świarnetykę, bo chyba pojmujesz, że telegrafista przekręcił po prostu kluczowe słowo, jakiego użył nie znany mi, a niezapomniany

pułkownik Drufutu z kulaharskiej policji bezpieczeństwa! Byłem tego pewien od razu. Czemu nie próbowałem odtworzyć depeszy — skorygować, poprawić, prostować? Ba! Zrobiłem co lepszego, bo dopasowałem do tego błędu działalność, która (jak widzisz) miała przed sobą niejaką przyszłość! Więc jakże — omyłkowy facet, z przypadkową karierą, wplątany w stek afrykańskich nieporozumień, odkrył, skąd świat się wziął i co z nim będzie? O nie, mój drogi. Za wiele tych lapsusów! Za wiele na rację dostateczną! Nie to, na co patrzymy, należy przestroić, lecz innego trzeba punktu widzenia. Spójrz na ewolucję życia. Miliardy lat temu powstały praameby, nieprawdaż? Cóż one umiały? Powtarzać się. W jaki sposób? Dzięki trwałości cech dziedzicznych. Gdyby dziedziczność była naprawdę bezbłędna, aż po dziś nie byłoby na tym globie nikogo prócz ameb. Cóż się stało? Ano, doszło do pomyłek. Biologowie nazywają je mutacjami. Lecz czymże jest mutacja, jeśli nie ślepą omyłką? Nieporozumieniem między rodzicem — nadawcą, a potomkiem — odbiorcą. Na obraz i podobieństwo swoje, tak… ale nieporządnie! Niedokładnie! I ponieważ wciąż psuło się podobieństwo, powstały trylobity, gigantozaury, sekwoje, kozice, małpy i my. Z zestrzelenia niedbalstw, potknięć — ale przecież to samo było z moim życiem. Z niedopatrzeń powstałem, przypadkowo trafiłem do Turcji, z niej traf rzucił mnie do Afryki, co prawda walczyłem wciąż jak pływak z falą, ale to ona mnie niosła, nie ja nią kierowałem… Czy pojmujesz? Nie doceniliśmy, mój drogi, dziejowej roli błędu jako fundamentalnej Kategorii Istnienia. Nie myśl po manichejsku! Podług tej szkoły Bóg stwarza ład, któremu szatan wciąż nogę podstawia. Nie tak! Jeśli dostanę tytoń, napiszę zbywający w księdze filozoficznych rodzajów ostatni rozdział, mianowicie ontologię Apostazy, czyli teorię bytu, który na błędzie stoi, albowiem błąd się błędem odciska, błędem obraca, błędami tworzy, aż losowość zamienia się w Los świata.

Rzekł to, spakował drobiazgi i poszedł w dżunglę. A ja zostałem, by czekać jego powrotu, z ostatnim *Playboyem*, z którego patrzy na mnie seksbomba, rozbrojona prawem Dońdy, naga jak prawda.

Ilja Warszawski
UNIWERSALNY PORADNIK DLA PISARZY FANTASTÓW

Nazidanije dla pisatielej fantastiki

Trudno ogarnąć całe bogactwo pomysłów współczesnej fantastyki. Możemy tam znaleźć i rozumne rośliny, i mówiące zwierzęta, i wiele jeszcze innych rzeczy, doskonale znanych psychiatrom leczącym ciężkie formy paranoi.

Liczba miłośników literatury fantastyczno — naukowej nieustannie rośnie. Wraz z kibicami piłkarskimi tworzą oni śmietankę intelektualną ludności naszego globu. Nic więc dziwnego, że fantastykę nazywa się „literaturą stulecia".

Niestety brak jakiejkolwiek teorii fantastyki znacznie obniża produktywność autorów uprawiających ten gatunek i pozbawia krytyków możliwości obiektywnej oceny.

Zanim powstanie teoria uniwersalna, warto chociażby usystematyzować podstawowe trendy rozwojowe fantastyki i przynajmniej pobieżnie naszkicować naukowe kryteria oceny jakości utworów gotowych.

A. Wybór imion

Imiona bohaterów winny odpowiadać ich charakterom. Jeżeli akcja toczy się w dalekiej przyszłości lub w innej galaktyce, to bohaterowie pozytywni winni nosić dobre imiona: Dar, Mir, Skarb, Miła itp. (dobrą inspiracją do wyboru imion żeńskich może stać się lektura katalogu środków piorących).

Bohaterom negatywnym nadaje się imiona w rodzaju: Mrok, Zły, Cuch, Ból. Nawet najbardziej obrzydliwym typom nie należy jednak nadawać imion brzmiących jak przekleństwa, bowiem takie wyrazy spotyka się w leksykonie naukowców, szczególnie młodych, co przy czytaniu sprawia pewne trudności semantyczne.

Przedstawicielom cywilizacji pogranicznych (przejściowych), które jeszcze mogą wstąpić na właściwą drogę, nadaje się imiona metodą gilotynowania. W słowniku wyszukuje się jakieś zwykłe wyrazy, powiedzmy „żwir" i „klamka". Odcinamy pierwsze litery i otrzymujemy Wir Lamka. Prostota i elegancja!

B. Miejsce akcji

Kosmos jest głównym chlebodawcą fantastów. Ale spożytkować go można jedynie w celach humanitarnych. Aby nie zatracić przy tym elementu sensacji, znakomicie uzbrojonych Ziemian obarcza się szlachetną misją nosicieli moralności ludzkiej, ustanawianej za pomocą broni promienistej, bomb jądrowych i anihilatorów przestrzeni. Wobec szczególnie podłych istot, pochłaniających plazmę gwiezdną niby galaretę z nóżek cielęcych, dopuszcza się stosowanie bardziej energicznych metod perswazji.

Fantasta ma prawo kreślić najbardziej nawet ponure obrazy, byle tylko bohater kręcił głową z dezaprobatą i wygłaszał długie tyrady na temat tego, że na ojczystej Ziemi podobne paskudztwa są już niemożliwe. Nazywa się ten zabieg wprowadzaniem elementu pozytywnego do tematyki negatywnej. Często bohater tego typu jest słabo uzbrojony i wynosi się po angielsku ze wstrętnej planety, nie odczuwając przy tym żadnych wyrzutów sumienia. Wypełnił bowiem swą rolę, uświadomiwszy czytelnikowi, jak źle byłoby, gdyby… i tak dalej.

Aby nie narazić się na zarzut chwiejności pozycji, autor winien stosować oba tematy przemiennie w różnych utworach. Jeśli na przykład w poprzednim dziele opowiadał się za całkowitą nieingerencją w obce sprawy, to w następnych powinien rozprawiać się z obcoplanetnikami wszystkimi środkami, jakie mu się pod rękę nawiną, łącznie ze szpiegostwem, dywersją i bronią masowej zagłady.

W żadnym z tych wariantów nie należy doprowadzać fabuły do szczęśliwego zakończenia, gdyż pozbawia to autora możliwości napisania dalszego ciągu. Najlepiej dać do zrozumienia, że happy end nastąpi, kiedy rak świśnie. Taka formuła urządza wszystkich. Optymistów dlatego, że najsilniejszy akcent pada na nieuniknioność szczęśliwego zakończenia, pesymistów zaś dlatego, że wiedzą co raki są warte, znają ich dość szczególny sposób poruszania się, a nawet domyślają się, gdzie raki zimują.

C. Czas akcji i problemy z tym związane

Fantaści z reguły unikają zagłębiania się w przeszłość, wymaga to bowiem znajomości historii, chociażby w zakresie szkoły średniej. Dlatego myśli pisarza wędrują zwykle ku przyszłości.

Tam, prawie zawsze, ziemskie problemy ograniczają się do dekoracji, natomiast zasadnicza akcja toczy się gdzieś tam w innych galaktykach.

Ale nawet co do sztafażu nie ma jednomyślności.

Jak i przez kogo będzie rządzona nasza planeta? Niektórzy uważają, że znajomość wyższej matematyki sama przez się gwarantuje mądrość godną męża stanu. Nie wiem, czy można w pełni przychylić się do tego poglądu. Proszę zapytać, co myśli żona dowolnego uczonego o zmyśle praktycznym swego małżonka, a wtedy zrozumiecie, ile wart jest rząd światowy, składający się z samych profesorów i akademików. Dlatego też fantaści skłonni są zwalać sprawy państwowe na barki maszyn matematycznych. Wtedy ludzkość nie musi już podejmować jakichkolwiek decyzji i może się całkowicie oddać lotom kosmicznym, tańcom i swawolom.

Ogromne znaczenie przypisuje się uszlachetniającemu oddziaływaniu sztuki, szczególnie muzyki.

Inna rzecz, że przeprowadzone przez nas wyrywkowe badania wśród znajomych nie pozwoliły na razie wykryć różnic w obliczu moralnym między bywalcami sal koncertowych, a ludźmi, którym słoń nastąpił na ucho.

Wyliczone tu problemy wyczerpują w zasadzie futurologiczne wizje fantastów, jeśli nie liczyć tego, że samochód zostanie zastąpiony „mobilem", teatr „tcheatrem", do wszystkich środków lokomocji zastosuje się napęd antygrawitacyjny, a prace domowe poruczy robotom — androidom.

D. Hipotezy naukowe

Literatura fantastyczno — naukowa różni się od literatury popularnonaukowej tym, że ma uświęcone prawo do obalania podstawowych praw natury.

Konieczne i bezdyskusyjne jest obalanie pierwszej i drugiej zasady termodynamiki. (O istnieniu trzeciej zasady autor może nie wiedzieć).

Fantasta ma prawo dowodzić lub po prostu deklarować możliwość poruszania się z prędkością przewyższającą szybkość światła, pozyskiwania energii z materii w ilościach przewyższających te, które wynikają z równania Einsteina, zwijania przestrzeni siłą woli i tworzenia pól, których nazwy nie można rozszyfrować nawet przy pomocy słownika wyrazów obcych.

Fakt, że konieczną tego przesłanką musi być całkowity krach współczesnej nauki nikogo nie peszy, gdyż mamy do czynienia z fantastyką naukową, dziecięciem postępu naukowego.

Czyniono próby, aby pomniejszyć triumf wyobraźni nad prawami natury przez wprowadzenie do narracji różniczkowych równań cząstkowych — chwyt wyraźnie nie fair zarówno w stosunku do kolegów po piórze, jak i do czytelników. Tego rodzaju tendencje do chwalenia się wykształceniem należy w fantastyce zdecydowanie

tępić.

E. Delfiny

Przeciwnicy literatury fantastyczno — naukowej utrzymują, że ten rodzaj tematyki dawno już wyczerpał wszystkie możliwe wątki fabularne i istnieje jedynie dzięki wielokrotnemu przeżuwaniu jednego i tego samego. O tym, że opinia ta jest całkowicie pozbawiona podstaw, świadczy inwazja delfinów na utwory fantastyczne.

W trakcie całej swej historii ludzkość współistniała z delfinami, ale dopiero niedawno, kiedy ssaki te zostały niemal całkowicie wytępione, naukowcy odkryli, że stosunek masy mózgu do ciężaru ciała jest u tych zwierząt wyższy niż u człowieka. Wywołało to całą powódź spekulacji na temat życia wewnętrznego waleni uzębionych, a zwłaszcza delfinów śródziemno — i czarnomorskich.

Jeśli usystematyzować wszystko, co prasa pisze o delfinach, to ponad wszelką wątpliwość okaże się, że:

Po pierwsze, delfiny lubią ludzi. Chociaż miłości nie da się mierzyć wedle jakiejkolwiek skali absolutnej lub względnej, to jednak istnieją pewne podstawy do przypuszczenia, iż delfin czuje nieco mniejszą sympatię do człowieka niż pies i nieco większą niż świnia.

Po drugie, delfiny łatwo wytresować. Zdaje się niewiele trudniej niż lwy morskie (te ostatnie mają stosunkowo o wiele mniej mózgu niż delfiny i wobec tego nie interesują ani naukowców, ani fantastów).

Po trzecie, delfiny rozmawiają ze sobą gwiżdżąc. Wszystko wskazuje na to, że język delfinów pod względem bogactwa znaczeniowego i celności skojarzeń nie ustępuje językowi ptaków śpiewających. Jednak problem ten wymaga uściślenia, jako że nikt jeszcze nie sporządził słownika delfiniego ani ptasiego.

Niestety to już prawie wszystko, co przemawia za delfinami. Oczywiście w porównaniu z niedźwiedziami, rozbijającymi się w modnych spodniach na motocyklach, osiągnięcia delfinów wydają się być mniej niż skromne, ale fantaści powinni rozwijać waleniową tematykę, bo w przeciwnym razie mógłby ktoś zapytać, po co im taki potężny mózg, w który wyposażyła je natura? (Chodzi tu, rzecz jasna, nadal o delfiny).

F. Potwory

Czytelnik lubi rzeczy niezwykłe. Im więcej potworów w tekście, tym lepiej.

Obecnie zostały już spożytkowane wszystkie postacie

mitologiczne:

centaury, smoki, pegazy, cyklopy, a nawet anioły, zwykłe i sześcioskrzydłe.

Produkcję potworów na potrzeby utworów fantastycznych można zrealizować metodami potokowymi. Istnieją dwie takie metody:

Hybrydyzacja. W tym wypadku sporządza się krzyżówkę najbardziej odległych przedstawicieli fauny i flory. Krzew róży z tygrysimi łbami zamiast kwiatów, dziewczyna z ciałem węża, latające meduzy, mieszaniec pająka z jastrzębiem. Im śmielszy zestaw cech takiej hybrydy, tym lepszy efekt artystyczny i silniejsze oddziaływanie emocjonalne na czytelnika.

Zmiana skali. Jeden z najprostszych i najskuteczniejszych sposobów, nie wymagający szczególnych wyjaśnień. Pluskwa wielkości konia lub dinozaur mieszczący się w pudełku po zapałkach otwiera niewyczerpane wprost możliwości konstruowania dynamicznej, pasjonującej fabuły.

To właściwie już wszystkie prawidła kompozycji utworów fantastyczno — naukowych. Należy jedynie dodać, że tytaniczna praca, której wynikiem jest systematyzacja pomysłów fantastycznych, znacznie ułatwi pisarzom wybór tematów. Wystarczy wziąć na chybił trafił kilka pomysłów i zręcznie je połączyć. Liczba kombinacji jest przy tym tak wielka, że wystarczy jeszcze kilku pokoleniom fantastów.

Przełożył Tadeusz Gosk

Arthur C. Clarke
OGNIE OD WEWNĄTRZ

The Fires Within

— Znalazłem coś dla ciebie — powiedział Karn z miną ważniaka. — Rzuć na to okiem. — I posunął w moją stronę plik dokumentów, a ja po raz nie wiadomo który postanowiłem prosić, żeby go przenieśli gdzie indziej. A jak nie jego, to mnie.

— O co chodzi? — spytałem niechętnie.

— Raport miejskiego doktora Matthewsa, adresowany do Ministra Nauki. — Machnął mi tym przed nosem. — Weź i przeczytaj!

Bez wielkiego zapału zacząłem przerzucać te papiery. Po chwili spojrzałem na niego i burknąłem: — Możliwe, że się tym razem nie mylisz. — Nie odezwałem się więcej, aż przeczytałem do końca…

„Szanowny Panie Ministrze (brzmiał początek listu). Wypełniając Pańskie polecenie zdaję niniejszym sprawę z eksperymentów prof. Hancocka, które przyniosły tak nieoczekiwane i rewelacyjne wyniki. Na skutek pośpiechu nie mogłem nadać temu pismu bardziej urzędowej formy, toteż przesyłam Panu po prostu brulion.

Ponieważ z pewnością wiele innych spraw też zaprząta Pańską uwagę, może streszczę pokrótce dzieje naszych kontaktów z prof. Hancockiem. Do r. 1955 prof. Hancock pełnił na Uniwersytecie Brendońskim obowiązki kierownika Katedry Urządzeń Elektrycznych im. Kelvina, po czym otrzymał bezterminowy urlop na prowadzenie badań naukowych. Współpracownikiem jego został wówczas nieżyjący dziś dr Clayton, niegdyś naczelny geolog w Ministerstwie Energetyki. Ich połączone prace badawcze finansowane były dotacjami z Funduszu Paula oraz Towarzystwa Królewskiego.

Profesor zamierzał rozwinąć sonar jako metodę szczegółowych badań geologicznych. Sonar jest, jak Panu wiadomo, akustycznym odpowiednikiem radaru, wprawdzie mniej znanym, za to o kilka milionów lat starszym, jako że nietoperze posługują się nim z powodzeniem dla wykrywania w ciemności nocnej owadów i przeszkód. Prof. Hancock zamierzał wysyłać impulsy ultradźwiękowe o dużej mocy w głąb Ziemi, a następnie odtwarzać na podstawie odbitego echa obraz tego, co się tam znajduje. Obraz uzyskiwany byłby na ekranie lampy oscyloskopowej, całe zaś urządzenie opierać się miało na zasadzie podobnej do radaru, używanego w lotnictwie do obserwowania Ziemi przez warstwę chmur.

W r. 1957 dwaj badacze osiągnęli częściowe wyniki, ale

wyczerpali posiadane fundusze. Z początkiem r. 1958 zwrócili się bezpośrednio do rządu o dalsze kredyty. Dr Clayton podkreślił olbrzymią wartość urządzenia, umożliwiającego uzyskanie pewnego rodzaju rentgenogramów wnętrza skorupy ziemskiej, a Minister Energetyki przekazał to podanie nam, z góry zaopatrzywszy je w swoją akceptację. Na krótko przedtem opublikowane zostało sprawozdanie Komitetu Bernalowskiego, w związku z czym zależało nam bardzo na jak najszybszym załatwieniu spraw, aby uniknąć dalszych ewentualnych zarzutów. Natychmiast więc udałem się do prof. Hancocka i sporządziłem raport, który wypadł pozytywnie: w kilka dni później wypłaciliśmy na konto S/543A/68 pierwszą ratę dotacji.

Odtąd obserwowałem nieustannie przebieg badań, przyczyniając się do nich poniekąd w charakterze doradcy technicznego.

Aparatura służąca do eksperymentów jest skomplikowana, ale zasady jej działania proste. Bardzo krótkie, ale nadzwyczaj silne impulsy ultradźwiękowe wytwarzane są przez specjalny wirujący nadajnik, zanurzony w ciężkim płynie pochodzenia organicznego. Powstała wiązka drgań przenika w głąb Ziemi. Wprowadzając nader pomysłowy wkład opóźniający, którego opisu nie mogę przytoczyć, uzyskujemy możność dowolnego wybierania echa z pewnej określonej głębokości, po czym otrzymujemy już normalny obraz badanych warstw na ekranie lampy oscyloskopowej.

Kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z prof. Hancockiem, jego aparat był jeszcze dość prymitywny, ale już i ten aparat potrafił wykazać, jakie jest rozmieszczenie skał do głębokości około stu metrów; widzieliśmy też na nim całkiem wyraźnie część linii kolejowej Bakerloo, której tunel przebiega w pobliżu laboratorium. Sukces profesora opierał się w znacznej mierze na dużej intensywności wysyłanych przez niego impulsów ultradźwiękowych; niemal od samego początku był on w stanie uzyskiwać moc rzędu setek kilowatów, która prawie w całości emitowana była w głąb Ziemi. Niebezpiecznie było przebywać w pobliżu nadajnika. Zauważyłem też wokół niego silne rozgrzewanie się gruntu. Dziwiła mnie trochę obfitość ptaków w okolicach laboratorium, ale wkrótce odkryłem, że są one zwabiane przez setki martwych robaków, które leżą na powierzchni.

W momencie śmierci dra Claytona, t j. w roku 1960, urządzenie pracowało z mocą powyżej jednego megawata i uzyskiwano za jego pomocą dość wyraźne obrazy warstw leżących na głębokości do półtora kilometra.

Dr Clayton zdążył jeszcze porównać otrzymane wyniki z tym, co mówiły dane geograficzne, i udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że wyniki te są pełnowartościowe.

Śmierć dra Claytona w wypadku samochodowym była wielką tragedią. Wywierał on zawsze pewien wpływ stabilizujący na prof. Hancocka, który sam nie interesował się zbytnio praktycznym zastosowaniem swoich osiągnięć. Zauważyłem niebawem, że punkt widzenia profesora uległ wyraźnej zmianie, a w kilka miesięcy później profesor zwierzył mi się ze swoich nowych ambicji. Starałem się go namówić, aby opublikował wyniki dotychczasowych badań (wydał już ponad 50 tys. funtów i Komisja Kontroli Finansowej znów się nam zaczynała dawać we znaki), ale profesor poprosił jeszcze o małą zwłokę. Sądzę, że najlepiej wyjaśnię jego punkt widzenia, cytując jego własne słowa, które zapamiętałem bardzo dokładnie, ponieważ wypowiedziane zostały ze szczególną emfazą.

— Czy zastanawiał się pan kiedy — rzekł prof. Hancock — czym właściwie jest wnętrze Ziemi? Nasze kopalnie i studnie zaledwie drasnęły jej powierzchnię. To, co leży głębiej, jest bardziej nieznane niż druga strona Księżyca. Wiemy, że gęstość Ziemi jest nadspodziewanie duża: znacznie większa, aniżeli by na to mogły wskazywać skały i gleby tworzące jej skorupę. Jądro może być jednolitą masą metalu, ale nie mieliśmy dotychczas sposobu, aby się czegokolwiek dowiedzieć w tej kwestii. Na głębokości zaledwie piętnastu kilometrów ciśnienie musi wynosić około pięciu ton na centymetr kwadratowy, jeśli nie więcej, a temperatura — setki stopni. Co się może dziać w samym centrum, to się nie da nawet ogarnąć wyobraźnią: ciśnienie musi tam wynosić tysiące ton na centymetr. Dziwnie jest pomyśleć, że za kilka lat dotrzemy, być może, do Księżyca i nawet kiedy zalecimy do gwiazd, wciąż będziemy równie dalecy od tego piekła, które się znajduje w odległości zaledwie sześciu tysięcy kilometrów pod naszymi stopami… Obecnie mogę uzyskać czytelne echo z głębokości trzech kilometrów, ale w ciągu kilku miesięcy spodziewam się powiększyć moc nadajnika do dziesięciu megawatów. Przypuszczam, że wtedy jego zasięg wzrośnie do piętnastu kilometrów; i nie mam wcale zamiaru na tym poprzestać.

Jego słowa zrobiły na mnie wrażenie. Mimo to byłem nastawiony raczej sceptycznie.

— Wszystko to pięknie — odparłem — ale przecież im głębiej pan się zapuści, tym mniej będzie do zobaczenia. Takie ciśnienie wyklucza możliwość istnienia jaskiń, więc po kilku kilometrach będzie już tylko jednostajna masa, tyle że coraz gęstsza i gęstsza.

— Możliwe — zgodził się profesor. — Mimo to niejedno mogę wywnioskować choćby z samego sposobu przenikania. Zresztą zobaczymy.

Działo się to cztery miesiące temu; a wczoraj oglądałem wynik tych badań. Kiedy przybyłem na jego zaproszenie do pracowni, profesor był wyraźnie podniecony, ale nie byłem w stanie odgadnąć,

co odkrył, jeśli cokolwiek odkrył. Pokazał mi swoją ulepszoną aparaturę i wydobył zanurzony zwykle w płynie odbiornik. Czułość mikrofonów była teraz o wiele większa i już samo to podwoiło zasięg, niezależnie od wzrostu mocy nadajnika. Dziwnie było oglądać obracającą się powoli stalową konstrukcję i uświadamiać sobie, że bada ona w tej chwili rejony, pomimo ich bliskości na zawsze niedostępne dla człowieka.

Kiedyśmy weszli do kabiny z urządzeniem obserwacyjnym, profesor był dziwnie milczący. Włączył nadajnik i chociaż znajdował się on pięćdziesiąt metrów od nas, poczułem przykre mrowienie. Potem ekran oscyloskopu zaświecił i obracający się z wolna promień narysował tyle razy już widziany przeze mnie obraz. Ale znacznie ostrzejszy dzięki zwiększonej mocy i czułości urządzenia. Operując regulatorem głębokości nastawiłem aparat na tunel metra, doskonale widoczny w postaci ciemnej smugi na świecącym blado ekranie. Kiedy tak patrzyłem, smużka wypełniła się nagle jak gdyby mgłą i zrozumiałem, że widzę przejeżdżający pociąg.

Po chwili zacząłem się opuszczać głębiej.

Chociaż widziałem ten obraz wiele razy, wrażenie było zawsze niesamowite: obserwowałem napływające na mnie świetliste masy i wiedziałem, że są to zagrzebane głęboko odłamy skalne, prawdopodobnie gruz lodowcowy sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat. Dr Clayton opracował mapę, według której mogliśmy teraz identyfikować kolejno różne warstwy. Po niedługim czasie ujrzałem, że gleby namułowe pozostały nade mną i że zagłębiam się w ogromną nieckę gliny, która zbiera w sobie i przechowuje cały zapas wody, dostępny studniom artezyjskim naszego miasta. Wkrótce zacząłem się pogrążać w skalne podłoże, przeszło kilometr pod powierzchnią.

Obraz był ciągle wyraźny i jasny, chociaż widziałem niewiele, bo struktura gruntu niewiele się już zmieniała. Ciśnienie dochodziło do tysiąca atmosfer: wkrótce stanie się niemożliwe istnienie jakiegokolwiek wydrążenia, bo nawet skała zacznie być płynna. Spadałem kilometr za kilometrem, ale już jedynie blada mgiełka przepływała po ekranie, z rzadka tylko czymś przerywana, kiedy echo wracało od żyły jakiegoś gęstszego minerału. Zdarzały się one tym rzadziej, im głębiej, albo może stały się już tak drobne, że zupełnie niedostrzegalne.

Skala widzianego obrazu była oczywiście coraz mniejsza. Jego średnica wynosiła już teraz wiele kilometrów i poczułem się nagle jak lotnik, patrzący z niezmiernej wysokości na nieprzerwane morze obłoków. Poczułem przez moment zawrót głowy na myśl o otchłani, w jaką spoglądam. Nie sądzę, aby grunt pod nogami kiedykolwiek jeszcze wydał mi się w pełni twardy.

Na głębokości kilkunastu kilometrów zatrzymałem się i

popatrzyłem na prof. Hancocka. Od pewnego czasu nie było żadnych zmian i wiedziałem, że tutaj skała musi już być zbita w bezkształtną i jednolitą masę. Przeprowadziłem w myśli szybkie obliczenie i dreszcz mnie przejął, kiedy uświadomiłem sobie, że tu, gdzie jestem, ciśnienie musi wynosić co najmniej pięć ton na centymetr kwadratowy. Promień krążył teraz bardzo powoli, bo słabe echa potrzebowały już wielu sekund, żeby wydostać się na powrót z tych głębin.

— Panie profesorze — powiedziałem — gratuluję panu. To jest naprawdę wielkie osiągnięcie. Ale doszliśmy już chyba do jądra. Nie sądzę, żeby od tego miejsca do centrum globu cokolwiek mogło się zmienić.

Odpowiedział mi nieco krzywym uśmiechem.

— Jedź pan dalej — rzekł. — Jeszcze nie koniec.

Ton jego głosu zbił mnie z tropu i przejął niepokojem. Przez chwilę patrzyłem na niego z natężeniem. Rysy jego były ledwie widoczne w błękitnozielonkawym lśnieniu ekranu.

— Jak głęboko to sięga? — zapytałem, znów podejmując nie kończące się zapadanie w głąb.

— Dwadzieścia dwa kilometry — odparł krótko.

Ciekaw byłem, skąd on to może wiedzieć, bo ostatni w ogóle wyraźny ślad, jaki dostrzegłem, znajdował się zaledwie na głębokości dwunastu kilometrów. Ale kontynuowałem to przewlekłe spadanie poprzez skałę, a przeszukiwacz obiegał coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie jeden pełny obrót trwa prawie pięć minut. Tuż za sobą słyszałem ciężki oddech profesora, a raz oparcie mego krzesła trzasnęło, kiedy zacisnął na nim palce.

Potem na ekranie raptem zaczęło się coś pokazywać. Nachyliłem się skwapliwie, niepewny, czy są to może pierwsze ślady metalowego jądra kuli ziemskiej. Promień obrócił się z dręczącą powolnością o kąt prosty, potem o następny. A wtedy…

Wyskoczyłem nagle ze swego krzesła, wrzasnąłem: — Boże! — i wpatrzyłem się w twarz profesora. Tylko raz w życiu doznałem takiego szoku: piętnaście lat temu, kiedy przypadkowo włączyłem radio i usłyszałem o zrzuceniu pierwszej bomby atomowej. Tamto było tak nieoczekiwane… a to jeszcze gorzej, bo niepojęte. Na ekranie ukazała się siatka z delikatnych linii, krzyżujących się i zbiegających we wzór doskonale symetrycznej kratownicy.

Pamiętam, że przez długie minuty nie odezwałem się ani słowem. Promień zdążył dokonać pełnego obrotu. Potem profesor przemówił cichym, sztucznie spokojnym głosem:

— Chciałem, żeby pan to zobaczył na własne oczy, zanim cokolwiek powiem. Obraz ma w tej chwili pięćdziesiąt kilometrów średnicy, a każdy z tych prostokątów mierzy od trzech do pięciu kilometrów. Proszę zauważyć, że pionowe linie są nieco zbieżne, a

poziome nieco łukowate. To, co widzimy, jest wycinkiem olbrzymiego układu koncentrycznych pierścieni: środek musi być położony gdzieś znacznie na północ, zapewne w okolicach Cambridge. Jak daleko ten układ sięga w przeciwną stronę, tego nie wiemy.

— Ale co to takiego, na miłość boską?

— Najwidoczniej twór sztuczny.

— Przecież to kpiny! Dwadzieścia kilometrów pod powierzchnią!

Profesor wskazał znów na ekran.

— Słowo honoru, że starałem się, jak tylko mogłem — powiedział — ale nie potrafię w siebie wmówić, że coś takiego może być dziełem natury.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, a on podjął po chwili:

— Zrobiłem to odkrycie trzy dni temu, próbując ustalić granice zasięgu aparatury. Mógłbym dotrzeć na większą głębokość, ale jestem skłonny przypuszczać, że ta struktura będzie zbyt gęsta, aby moje promieniowanie mogło się przez nią przedostać. Przemyślałem z tuzin teorii, ale w końcu wracam wciąż do tej samej. Wiemy, że ciśnienie na tej głębokości musi wynosić osiem do dziewięciu tysięcy atmosfer i że temperatura musi być dostatecznie wysoka, by stopić skałę. Ale normalna materia mimo wszystko składa się przecież prawie wyłącznie z próżni. Załóżmy, że tam w dole istnieje życie: oczywiście nie życie organiczne, tylko życie oparte na materii częściowo skondensowanej, w której powłok elektronowych jest mało albo wcale ich nie ma. Pan rozumie, co mam na myśli? Dla takich stworzeń nawet lita skała na głębokości dwudziestu dwóch kilometrów nie będzie stanowiła przeszkody większej niż, dajmy na to, woda… A my wraz z całym naszym światem będziemy nieuchwytni jak duchy.

— Więc to, co tutaj widzimy…

— Jest miastem. Albo czymś podobnym. Znając już jego rozmiary, może pan sam ocenić cywilizację, która je musiała zbudować. Cały ten świat, który znamy, wszystkie nasze oceany i góry, i kontynenty, są zaledwie mglistą powłoką, która otacza coś przechodzącego nasze pojęcie.

Przez chwilę żaden z nas nic nie mówił. Pamiętam niemądre zaskoczenie spowodowane myślą, że jestem jednym z pierwszych ludzi na świecie, którym dano poznać straszliwą prawdę: bo jakoś ani przez chwilę nie wątpiłem, że to jest prawda. I zastanowiłem się jeszcze, jak też reszta ludzkości zareaguje na ogłoszenie tej prawdy.

Wreszcie przerwałem milczenie.

— Jeśli pańska teoria jest słuszna — powiedziałem — to dlaczego oni… czymkolwiek są… nie nawiązali z nami nigdy kontaktu?

Profesor spojrzał na mnie jakby z politowaniem.

— Uważamy się za niezłych inżynierów — rzekł — a w jakiż to sposób myśmy się mogli z nimi skontaktować? Zresztą wcale nie

byłbym taki pewien, czy nie było kontaktów. Niech pan sobie tylko przypomni wszystkie te podziemne stwory: trolle, koboldy i tym podobne. Nie, to niemożliwe! Co też ja wygaduję! Niemniej jest to wyobrażenie dość sugestywne.

Tymczasem obraz na ekranie trwał bez zmiany: siatka jarzyła się słabo, szydząc z naszego zdrowego rozsądku. Usiłowałem sobie wyobrazić ulice, budynki i te stworzenia, jak się tam przechadzają: istoty zdolne przenikać przez rozżarzone skały jak ryba płynąca poprzez wodę. Fantastyczne… I nagle uświadomiłem sobie, jak niewiarygodnie wąski jest zakres temperatur i ciśnień, w jakich może istnieć gatunek ludzki. To my jesteśmy wybrykiem natury, a nie oni: przecież prawie cała materia, występująca we Wszechświecie, ma temperaturę tysięcy albo nawet milionów stopni.

— Więc — odezwałem się z wahaniem — co robimy?

Profesor nachylił się ku mnie gorączkowo.

— Przede wszystkim musimy się dowiedzieć o wiele więcej, a całą sprawę trzymać w absolutnej tajemnicy, póki nie zyskamy pewności. Czy może pan sobie wyobrazić panikę, jaka by wybuchła, gdyby to się rozeszło? Oczywiście, prędzej czy później prawda musi wyjść na jaw, ale niech to się dokona stopniowo… Pojmuje pan, że geologiczna przydatność moich prac staje się teraz czymś całkowicie nieistotnym. Naszym pierwszym zadaniem jest zbudowanie szeregu stacji, które pozwolą zbadać rozmiary tej struktury. Przewiduję, że budowalibyśmy je co jakieś piętnaście kilometrów w kierunku północnym, ale pierwszą umieściłbym gdzieś na południe od Londynu, aby stwierdzić, jak daleko to sięga. Całe to przedsięwzięcie winno być utrzymane w takiej tajemnicy, jak budowanie pierwszej zapory radarowej pod koniec lat trzydziestych. Ja tymczasem będę dalej powiększał moc swego nadajnika. Mam nadzieję, że uda mi się jeszcze zwęzić wiązkę, przez co uzyskam znacznie lepsze ześrodkowanie energii. Jednak to pociągnie za sobą wiele trudności natury technicznej, będę więc potrzebował pomocy w szerszym aniżeli dotąd zakresie.

Obiecałem dołożyć wszelkich starań, aby taką pomoc uzyskać. Prof. Hancock wyraża nadzieję, że Pan Minister zechce w najbliższym czasie osobiście odwiedzić jego pracownię.

Na razie załączam fotografię ekranu, która nie jest wprawdzie tak wyraźna, jak obraz oglądany wprost na ekranie, ale która mimo to stanowi chyba niewątpliwy dowód, że obserwacje nasze nie są pomyłką.

Wiem doskonale, że dotacje, przyznane Towarzystwu Badań Międzyplanetarnych, poważnie zaciążyły już na tegorocznym budżecie; jednak nie ulega wątpliwości, że nawet zagadnienie lotów międzyplanetarnych schodzi na dalszy plan wobec konieczności

niezwłocznego podjęcia prac, związanych z opisanym tutaj odkryciem, które może mieć najdalej idące konsekwencje, dotyczące zarówno światopoglądu, jak i przyszłych losów całej ludzkości…”

Odchyliłem się i spojrzałem na Karna. Wielu szczegółów nie rozumiałem, ale ogólny sens tego dokumentu był całkiem jasny.

— Tak — powiedziałem — to jest coś! Gdzie fotografia?

Podał mi ją. Co się tyczy jakości, pozostawiała wiele do życzenia, bo musiano ją mnóstwo razy kopiować, zanim do nas dotarła. Ale widoczny na zdjęciu wzór nie budził żadnych wątpliwości i od razu go rozpoznałem.

— To byli dobrzy naukowcy — powiedziałem z podziwem. — Szkoda gadać, to jest Kalasteon. Więc dogrzebaliśmy się w końcu do prawdy, chociaż zajęło nam to trzy stulecia.

— Dziwisz się? — zapytał Karn. — Tylko pomyśl, co za góry materiałów mieliśmy do przetłumaczenia i wiele było mordęgi, żeby to wszystko skopiować, zanim wyparuje!

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, myśląc o wielkiej rasie, której pozostałości mieliśmy przed oczyma. Tylko jeden raz (nigdy więcej!) wybrałem się na górę wielkim kanałem, który nasi inżynierowie przeprowadzili do Świata Cieni. Było to przerażające i niezapomniane przeżycie. Liczne Warstwy mego ciśnieniowego skafandra utrudniały ogromnie ruchy i czułem też, pomimo całej izolacji, niewiarygodne zimno, które mnie otaczało.

— Jaka szkoda — rzekłem w zamyśleniu — że wydostając się tam zniszczyliśmy ich tak doszczętnie. Mądra to była rasa i wiele mogliśmy się od nich nauczyć.

— Chyba nie można mieć do nas o to pretensji — powiedział Karn. — Faktycznie nigdyśmy nie traktowali serio przypuszczenia, że cokolwiek może egzystować w tych koszmarnych warunkach, w prawie zupełnej próżni i w temperaturze bliskiej zera absolutnego. Nie było na to żadnej rady.

Ale ja nie mogłem się z tym zgodzić.

— Według mnie to stanowi dowód, że inteligencja tej rasy górowała nad naszą. Jakkolwiek by było, oni nas pierwsi odkryli. A pamiętasz, jak wszyscy się naśmiewali z mego dziadka, kiedy oświadczył, że dochodzące ze Świata Cieni promieniowanie, które wykrył, musi być sztuczne.

Karn przesunął macką po dokumencie.

— Niewątpliwie dotarliśmy do źródeł owego promieniowania — powiedział. — Zwróć uwagę na datę: wyprzedza ona o rok odkrycie twojego dziadka. Widać profesor wywalczył tę dotację! — Zaśmiał się obrzydliwie. — To musiało być dla niego duże przeżycie, kiedy zobaczył, jak wyłazimy na wierzch, prosto na niego!

Prawie nie słyszałem, co mówił, bo ogarnęło mnie nagle bardzo nieprzyjemne uczucie. Pomyślałem o tysiącach kilometrów skał, leżących pod wielkim miastem Kalasteon, coraz gęstszych i coraz gorętszych, im bliżej tajemniczego jądra Ziemi. I zwróciłem się znów do Karna.

— To wcale nie jest zabawne — powiedziałem. — Teraz może przyjść nasza kolej.

Przełożył Robert Stiller

Janusz A. Zajdel
ŻYWA TORPEDA

I

Właściwie nie powiedziano mu dotychczas ani słowa ponad to, że ma natychmiast, służbowo udać się na Księżyc. Podróż jak podróż. Jan bywał już na Księżycu i dalej nawet, ale zawsze miało to jakiś z góry określony cel, a przy tym załatwianie formalności trwało zwykle ponad tydzień, potem czekało się długo na miejsce w rakiecie…

Tym razem, bez żadnych formalności, w ciągu kilku godzin Jan znalazł się na pokładzie statku kosmicznego. Miał w kieszeni zwykły służbowy paszport pozaziemski, delegację do jednej ze stacji badawczych instytutu, w którym pracował… Mimo to jednak zdawał sobie sprawę z tego, że jego wyjazd musi mieć jakiś nadzwyczajny charakter.

Mając wiele czasu, próbował w czasie lotu wyobrazić sobie cel tej nieplanowanej podróży. Cóż takiego mogło przydarzyć się w księżycowej stacji? Czyżby objawiła się tam jakaś niezwykła forma pozaziemskiego życia, jakaś istota z Kosmosu, dla zbadania której trzeba było zawezwać znakomitego specjalistę biofizyka z Ziemi? Przypuszczenie miało pozory prawdopodobieństwa: o takim fakcie na pewno nie trąbiono by głośno, dopóki sprawy nie zbadają specjaliści. Stąd te tajemnice i brak wszelkich wyjaśnień o celu podróży. Jednak hipoteza taka miała jeden słaby punkt: Jan zdawał sobie sprawę, że choć biofizykiem wprawdzie był, jednak nie na tyle znakomitym…

Pod koniec podróży porzucił wreszcie te jałowe domysły i postanowił czekać, aż ktoś mu nareszcie coś wyjaśni. Kiedy głośnik poinformował pasażerów, że do celu podróży pozostało zaledwie trzy godziny, Jan udał się do bufetu. Czuł już nieprzyjemne ssanie w dołku, a na zjedzenie kolacji w księżycowym kosmoporcie wolał nie liczyć. Jeszcze przed odlotem poinformowano go, że będzie miał natychmiastowe połączenie lokalne z docelową stacją, wolał więc nie ryzykować, bo nade wszystko nie lubił chodzić spać głodny.

W bufecie było dość tłoczno, nie wszyscy jednak, jak się okazało, siedzieli tu w celu spożycia kolacji. Nawet nie podsłuchując specjalnie cudzych rozmów, Jan bez trudu dowiedział się o pogłosce, komentowanej żywo przez pasażerów: wczorajszy statek regularnej komunikacji księżycowej, przed lądowaniem na Księżycu został uprowadzony przez kilku podróżujących w nim osobników. Według ostatnich wiadomości, otrzymywanych jakoby z Centrali Koordynacji Lotów, statek wylądował w bliżej nie określonym rejonie Księżyca, gdzie opuścili go porywacze, uprowadzając jako zakładnika jednego z pasażerów. Statek, po kilku godzinach postoju, wystartował ponownie i szczęśliwie dotarł do kosmoportu, jednakże o losach uprowadzonego pasażera dotychczas nic nie wiadomo.

Jan z zainteresowaniem słuchał tych rewelacji. Przypadek porwania rakiety pasażerskiej nie był wprawdzie wydarzeniem bez precedensu — było już kilka prób, niektóre nawet były udane, zawsze jednak porywacze, wcześniej czy później, sami oddawali się w ręce władz. Byli to przeważnie ludzie nie zdający sobie w pełni sprawy z warunków panujących na Księżycu, przedstawiający żałośnie niski poziom umysłowy. Jeden na przykład — fakt ponoć autentyczny — usiłował wyskoczyć ze spadochronem z rakiety manewrującej nad powierzchnią Księżyca… Jednakże w tym wszystkim, co mówiono teraz, Jan dostrzegał pewne cechy przemyślanej, dobrze zorganizowanej akcji.

Zanim rakieta wylądowała, Jan wiedział już sporo na temat przebiegu porwania. Porywaczy było czterech, lecz działali w zmowie z kimś jeszcze, kto oczekiwał na nich w umówionym miejscu lądowania. Działali raczej podstępem niż groźbą, używając jedynie środków odurzających, którymi obezwładnili załogę rakiety. Musiał być wśród nich dobry pilot rakietowy, gdyż wylądowali bezbłędnie, bez pomocy kogokolwiek z obsługi statku. Gdy opuścili wraz z zakładnikiem rakietę, okazało się, że zabrali ze sobą, bądź wynieśli poza statek, wszystkie awaryjne ubiory próżniowe, uniemożliwiając w ten sposób pościg.

Odurzeni narkotykami piloci dopiero po kilku godzinach byli w stanie nawiązać łączność z kosmoportem. Wysłane natychmiast rakiety zwiadowcze nie zdołały jednak odnaleźć na terenie wokół rakiety żadnego podejrzanego pojazdu. Załoga jednego z patrolowców odnalazła wprawdzie odciśnięte w pyle koleiny pojazdu, jednak już w odległości kilku kilometrów od miejsca przymusowego lądowania porwanego statku ślad wkraczał na szlak uczęszczany przez liczne ruchome stacje automatyczne i pojazdy księżycowe, a przy tym właściwości księżycowego gruntu nie sprzyjały tu utrwalaniu się wyraźnych śladów.

Tych ostatnich szczegółów dowiedział się Jan z oficjalnego komunikatu radiowego rozgłośni księżycowej, tuż przed lądowaniem. Komunikat zapewniał ponadto, że poszukiwania są kontynuowane, jak dotychczas jednak bez rezultatu.

Przy odprawie paszportowej skierowano Jana do biura dyspozytora kosmoportu, gdzie dowiedział się, że ze względu na wyjątkową sytuację nie będzie mógł w ciągu najbliższej doby dotrzeć na miejsce przeznaczenia, albowiem wszystkie pojazdy księżycowe oddano do dyspozycji służby śledczej. Jana umieszczono w klitce, zwanej szumnie apartamentem dla gości i polecono mu czekać cierpliwie na dalsze polecenia. Nie mając nic lepszego do roboty, usiadł w przydzielonym mu pokoiku i zaczął przeglądać przywiezione z Ziemi czasopisma.

Po kilkunastu minutach zapukano do drzwi. Do pokoju wszedł dyspozytor.

— Przepraszam, jeśli przeszkadzam — powiedział bardzo grzecznie. — Właśnie skończyłem służbę… Pojęcia pan nie ma, co się tutaj działo po wczorajszym incydencie. Byłem tak zajęty, że po prostu nie miałem nawet czasu śledzić szczegółów tej afery. Sądzę, że może… pan zechce uchylić rąbka tajemnicy służbowej… To znaczy, oczywiście, żartuję… Po prostu może pan wie coś ciekawego, o czym może pan mówić. Bo tutaj też właściwie niewiele wiemy…

— A skądże ja?… — zdziwił się szczerze Jan. — Jeżeli, jak pan mówi, wy tu niewiele wiecie, to ja tym bardziej nie wiem, przecież dopiero co przyleciałem i siedzę tu zupełnie niepotrzebnie, a miałem niezwłocznie zameldować się w stacji B–15…

Dyspozytor uśmiechnął się jakoś dziwnie, milczał przez chwilę, wreszcie ciekawość widać przeważyła.

— Ja pana jeszcze raz bardzo przepraszam… Rozumiem, że nie wolno panu z nikim o tych sprawach rozmawiać… Ponieważ jednak major dzwonił dwa razy i pytał o pana, więc domyśliłem się, że przybywa pan do nas w związku ze sprawą porwania.

— Jaki major?

— Major Netz z tutejszej placówki Kosmopolu. Właśnie przed kilkoma minutami dzwonił po raz drugi i powiedział, że już tu leci i żeby pana w żadnym wypadku nigdzie stąd nie wysyłać.

— To chyba pomyłka! Jestem biofizykiem i z tą sprawą nie mam nic wspólnego!

— No, trudno, niczego się od pana nie dowiem… Ale też z pana służbista! — uśmiechnął się dyspozytor, kierując się ku wyjściu. — W każdym razie przekazałem panu polecenie majora. Proszę nie oddalać się z pokoju. Gdy tylko przyleci, skieruję go tu do pana. Dobranoc.

Teraz dopiero Jan zaczął kojarzyć poszczególne niejasne dla niego dotąd wydarzenia w jedną logiczną całość. Jeśli rzeczywiście dyspozytor nie bierze go za kogoś innego, to swój nagły przylot na Księżyc Jan zawdzięcza władzom śledczym, którym widocznie jest tu do czegoś potrzebny i to najwyraźniej w związku z wczorajszym porwaniem.

Kosmopol ma prawo powoływania do współpracy cywilnych specjalistów z różnych dziedzin — o tym powszechnie wiadomo. Jednakże Jan nie spodziewał się, że może się to odbywać w taki sposób. Ostatecznie mógł sobie wytłumaczyć to wszystko, co dotyczyło sposobu przyzwania go tutaj; mogło chodzić o zachowanie najściślejszej tajemnicy co do jego udziału w akcji przeciw porywaczom. Tylko w żaden sposób nie potrafił znaleźć odpowiedzi na pytanie — po licha im do tego potrzebny biofizyk? A może nie biofizyk, lecz po prostu on, właśnie on, konkretnie Jan L.?

Głośne pukanie wyrwało Jana z drzemki. Wstał szybko z fotela i powiedział „proszę!" Do pokoju wszedł nieduży, energiczny mężczyzna w cywilnym ubraniu. Bez wstępów wylegitymował się Janowi, potem położył na stoliku przyniesioną plastykową teczkę i usiadł na skraju tapczanu.

— Proszę spocząć, to potrwa dłużej — powiedział, uśmiechając się ledwie dostrzegalnie. — Przepraszam w imieniu Kosmopolu za tę całą maskaradę i za tak gwałtowne „porwanie" pańskiej osoby… Mam nadzieję, że wkrótce rozgrzeszy nas pan z tego postępowania. Sprawa jest znacznie grubszego kalibru, niż może pan sobie wyobrazić na podstawie oficjalnych komunikatów. Nie mogę panu w tej chwili wyjaśniać, dlaczego właśnie pana tu sprowadziliśmy. Nie wtajemniczę pana także w kulisy sprawy. Mogę przekazać panu jedynie to, co jest niezbędne do wykonania zadania, jakie dla pana przewidzieliśmy w naszym planie działania.

Na pewno słyszał pan już trochę o wydarzeniach ostatniej doby. Tu, na Księżycu, nie były one tajemnicą prawie od samego początku, staraliśmy się jednak, aby jak najpóźniej dowiedziano się o nich na Ziemi. To znaczy, aby nie poruszać zbytnio opinii publicznej, dopóki nie chwycimy sprawy mocno w ręce… Były jeszcze i inne powody do utrzymania tego w tajemnicy, ale o tym już nie mogę mówić. Wielu rzeczy domyśli się pan sam w trakcie wykonywania zadania.

Na czym będzie ono polegało, dowie się pan za chwilę. Tu, w tej teczce jest szczegółowa instrukcja. Musi pan zapoznać się z nią w ciągu najbliższych dwudziestu godzin, a następnie oddać mi ją, nie pokazując nikomu. Najlepiej, jeśli pan nie będzie jej w ogóle wypuszczał z ręki przez cały czas. I proszę dokładnie zamykać się w pokoju. Ponadto proszę odpocząć i przygotować się do dalszej, kilkudniowej co najmniej podróży po Księżycu. Teraz jeszcze kilka wyjaśnień…

Major wydobył z teczki mapę wycinka powierzchni księżycowej, pokreśloną czerwonymi liniami i strzałkami.

— Od jutra będzie pan występował jako konserwator urządzeń automatycznych na bezludnych stacjach księżycowych oraz w bazach, chwilowo pozbawionych personelu. Jak panu wiadomo zapewne, po Księżycu krąży kilkudziesięciu takich inżynierów konserwatorów, dokonujących okresowych przeglądów i naprawiających uszkodzone urządzenia. Mają oni wyznaczone trasy, po których posuwają się przy użyciu specjalnych wozów technicznych, z odpowiednimi narzędziami i częściami zamiennymi. Proszę się nie przejmować, jeśli nawet nie ma pan pojęcia o automatyce i elektronice. Nie spodziewamy się po panu żadnych rewelacyjnych wyników w tej dziedzinie. Dostanie pan zresztą, jak każdy konserwator, dwa automaty specjalistyczne. Są to człekopodobne roboty, z których jeden pełni obowiązki kierowcy

wozu technicznego, a obydwa nieźle potrafią bez niczyjej pomocy sprawdzić funkcjonowanie typowych urządzeń i naprawić najpospolitsze uszkodzenia. Zatem strona techniczna może pana nic nie obchodzić. Proszę tylko powoli, bez pośpiechu i systematycznie objechać według harmonogramu te wszystkie stacje, które zaznaczyłem na mapie. Roboty znają swoje obowiązki oraz drogi, którymi będziecie się poruszać.

— To wszystko? — wtrącił Jan, nie bardzo wciąż pojmując, o co tu chodzi.

— Tego nie mogę powiedzieć, bo… nie wiem — uśmiechnął się major tajemniczo. — To akcja eksperymentalna. Być może skończy się na objechaniu kilku stacji, ale sądzę, że raczej nie… Podkreślam, to są wszystko stacje bezzałogowe, choć niektóre z nich są przystosowane do ciągłego przebywania w nich ludzi. Pana zadaniem jest przekonać się, czy w istocie wszystkie one są bezludne. Tam są zapasy powietrza, wody, żywności… Teraz pan rozumie?

— Tak, domyśliłem się już wcześniej. Nie wiem jedynie, co powinienem robić, jeśli okaże się, że w jednej ze stacji zamieszkali poszukiwani przestępcy ze swym zakładnikiem?

Major nie od razu odpowiedział. Patrzył przez chwilę na Jana, jakby szukając w myślach odpowiednich sformułowań.

— Obawiam się, że nie zdoła pan niczego w takiej sytuacji przedsięwziąć. Nie będę taił, że misja kryje w sobie pewne ryzyko, jednak są powody pozwalające nam przypuszczać, że ryzyko to nie jest aż tak duże, jak mogłoby się wydawać komuś nie wtajemniczonemu w istotę sprawy… Przepraszam, tak mi się to jakoś mętnie powiedziało, ale niestety, nie mogę tego panu jaśniej wyłożyć. Proszę mieć do nas zaufanie. Nie wysyłamy pana na zgubę, tego nie wolno nam robić nawet w sytuacji tak krańcowo dramatycznej, jak ta… Powiem jeszcze, że i dla powodzenia naszego planu i dla pana — tym lepiej, im mniej będzie pan wiedział o sprawie.

— Hm… — zastanowił się Jan. — Czy mógłbym… ewentualnie… wycofać się z udziału w tym… eksperymencie?

— Ma pan prawo, oczywiście! Jednakże bardzo proszę, aby pan tego nie robił. Są pewne powody, dla których właśnie pan jest najodpowiedniejszym kandydatem do tej roli.

— Cóż mam zatem robić, jeśli porywacze zatrzymają mnie w jednej ze stacji?

— Nic. Proszę dać się zatrzymać, nie stawiając oporu.

— I przekonać ich, że jestem konserwatorem?

— O ile się to panu uda. To nie jest istotne. Myślę jednak, że rozszyfrują pana od razu. Polegamy na pańskiej inteligencji. Sprawdzaliśmy pana akta i wiemy o kilku sytuacjach, w których wykazał pan pewne korzystne walory… Od chwili kiedy zatrzymają

pana porywacze, może pan robić i mówić wszystko, co się panu podoba, nie narażając się im oczywiście. Może pan opowiedzieć, że Kosmopol powołał pana do tej akcji, a nawet dać się pozornie zwerbować przeciwnikowi, jeśli wyniknie z sytuacji taka możliwość…

Jan ze zdumieniem patrzył na majora, który jednak mówił to zupełnie poważnie.

— O ile dobrze zrozumiałem, to… nic nie rozumiem! — powiedział Jan i dopiero po chwili spostrzegł, że niechcący strawestował sentencję przypisywaną Sokratesowi. — Czyżby moja misja polegała na tym, że mam dać się uwięzić?

— Powiedziałem, że wielu rzeczy domyśli się pan sam. I proszę — jedną sprawę już na wstępie sam pan sobie wyjaśnił! — roześmiał się major. — O to mniej więcej chodzi. Musi pan znaleźć się we wnętrzu stacji.

— Coś w rodzaju „żywej torpedy” — mruknął Jan pod nosem.

— Co pan mówi?

— Nic, tak tylko, do siebie… Chciałbym zadać jeszcze kilka pytań. Po pierwsze, czy pan, majorze, orientuje się, o co właściwie chodzi porywaczom? Dlaczego uprowadzili tego właśnie człowieka? Czy to ktoś bardzo ważny? I w ogóle, czy pan wie, o co toczy się ta cała gra?

— Oczywiście że wiem… — Twarz majora spoważniała, spochmurniała nawet. — Nie powiem panu tego, ale mogę zapewnić, że gra toczy się o największą stawkę. Największą, tak! A ten uprowadzony… Owszem, w pewnym sensie to ktoś bardzo ważny, choć prawie nikomu nie znany…

Trasa, którą wyznaczyliśmy dla pana, nie obejmuje wszystkich stacji w tym rejonie. Jeśli więc oni nawet będą przejmowali pańskie radiowe meldunki do bazy, to do ostatniej chwili nie będą pewni, czy nie ominie pan tej stacji, w której się ukryli. Prawdę mówiąc, jestem przekonany, że siedzą w jednej z pięciu lub sześciu stacji, które są najlepiej wyposażone… Zaznaczyłem je na mapie, proszę ich w żadnym wypadku nie pominąć.

— Dlaczego zatem nie zrobicie obławy i nie wyłuskacie ich stamtąd?

— Proszę wziąć pod uwagę, że oni mają u siebie tego Binxa. Na razie pokładają w nim wielkie nadzieje, ale w pewnej chwili może im przestać na nim zależeć i będą osłaniali się nim jak tarczą. Obecnie zależy im na spokoju i dobrym ukryciu. Nie możemy dopuścić, by ten spokój osiągnęli.

— Myślałem początkowo, że to ucieczka zwykłych kryminalistów…

— My też w pierwszej chwili myśleliśmy podobnie. Jednak Księżyc jest najmniej odpowiednim miejscem do ukrywania się

przestępców. Wbrew pozorom, na Ziemi czuliby się o wiele bezpieczniej. Biorąc to pod uwagę, sprawdziliśmy przede wszystkim, kto to jest Harry Binx. Okazało się, że jest on kluczem do całej zagadki, choć nie od razu udało się nam to stwierdzić. Porywacze, którzy wcześniej odkryli jego tożsamość z człowiekiem o innym nazwisku, starannie zacierali ślady, by nikt inny po nich tego nie dociekł. Możliwe, że są przekonani, iż nie wiemy tego do dziś i na takim przeświadczeniu opierają poczucie względnego bezpieczeństwa. To znaczy, zdają sobie sprawę, że ich ścigamy jako porywaczy, lecz sądzą, że nie przywiązujemy do tej sprawy takiej wagi, na jaką ona zasługuje… Więcej, niestety, nie wolno mi powiedzieć, bo to mogłoby zakłócić przebieg naszej akcji.

Major rozłożył ręce i uśmiechnął się przepraszająco, po czym zawiązał tasiemki plastykowej teczki i podał ją Janowi.

— W porządku. Pan mnie w to pakuje, pan też będzie mnie z tego wyciągał — powiedział Jan, siląc się, aby wypadło to możliwie dowcipnie i beztrosko.

Kiedy jednak major znalazł się za progiem, Jan poczuł niedwuznaczne mrówki na grzbiecie…

II

Księżycowy samochód poruszał się dość szybko po przetartym szlaku. Jan, rozparty na tylnym siedzeniu, widział przed sobą — pomiędzy masywnymi korpusami dwóch robotów — wycinek księżycowej panoramy. Nie znał tych okolic, kazał więc jednemu z robotów podawać głośno nazwy mijanych obiektów i widocznych większych kraterów. Robot kierowca znał je wszystkie doskonale, widać wielokrotnie już przemierzał tę trasę. Drugi robot tkwił bez ruchu obok kierowcy, tylko od czasu do czasu wymierzonymi, mechanicznymi ruchami regulował coś na desce rozdzielczej pojazdu.

Jan, który w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin wędrował nieustannie od stacji do stacji, wykorzystywał na drzemkę każdy równiejszy odcinek trasy, gdy pojazd sunął kołysząc się z lekka na miękkich amortyzatorach.

Obudziło go delikatne potrząsanie za ramię. Otworzył oczy i zobaczył pochyloną nad sobą postać robota.

— Przepraszam, panie inżynierze. Jesteśmy przed stacją Arthemis — powiedział robot, otwierając drzwi pojazdu.

Jan sprawdził wskaźnik powietrza, dociągnął pas na swym ubiorze księżycowym i spojrzał pytająco na robota.

— To jedna z najpiękniej położonych baz księżycowych — powiedział robot, jakby cytując przewodnik turystyczny. — Założona w końcu ubiegłego wieku, wielokrotnie modernizowana, służyła jako baza centralna wielu wyprawom selenograficznym, badającym ten rejon powierzchni Srebrnego Globu. Obecnie od dwóch lat nie zamieszkana…

— Dobrze, dobrze… — przerwał mu Jan, wysiadając z pojazdu. Z przyjemnością rozprostował nogi, przeszedł kilkadziesiąt metrów w kierunku stacji i znalazłszy niewielki odłam skalny, przysiadł na nim, by obejrzeć to reklamowane cudo.

Stacja Arthemis wyglądała rzeczywiście malowniczo. Położona na stoku sporego wzniesienia wtapiała się w kamienisty krajobraz. Znaczna część jej kubatury użytkowej ukryta była w szerokiej, ukośnie biegnącej szczelinie, przecinającej stok. Do wrót stacji wiodła dość stroma, wąska droga, pokonująca w dwóch zakosach wysokość kilkudziesięciu metrów.

Jan wytężał wzrok, chcąc z tej odległości dostrzec jakiś ślad ludzkiej obecności — błysk światła w przejrzystej kopułce obserwacyjnej, jakiś ruch przy wejściu… Niczego takiego nie wypatrzył, choć przecierał kilkakrotnie hełm irchową ściereczką i wytężał wzrok. Po kilku minutach zawrócił do pojazdu, wsiadł i kazał jechać. Już w kabinie samochodu spostrzegł, że ma odpiętą jedną z

zewnętrznych kieszeni skafandra. Zanim ją zapiął, sprawdził odruchowo zawartość. Brakowało irchy do przecierania szybki w hełmie, ale ponieważ pojazd w pędzie minął właśnie miejsce, gdzie Jan ją zgubił, więc machnął ręką na ten drobiazg.

Dojeżdżali do wrót tunelu śluzowego. Niebieskawoszary pył podłoża utrwalił tu dziesiątki śladów różnych pojazdów, odwiedzających stację od chwili jej powstania. Wszystkie ślady były oczywiście zupełnie wyraźne, jakby pozostawione przed chwilą. Tylko w miejscach, gdzie jedne przecinały drugie, można było stwierdzić, który był późniejszy. Pojazd zatrzymał się przed stalową bramą. Robot kierowca podszedł do dźwigni zamka i przesunął ją. Na wrotach zapłonęło zielone światło i po chwili odsunęły się one, wpuszczając pojazd do wnętrza.

W komorze śluzy zapłonęło światło. Jan patrzył przez chwilę na wskaźniki małej tablicy rozdzielczej. Ciśnienie i skład powietrza we wnętrzu stacji nie odbiegały od normy. Wskaźnik zapasu ciekłego powietrza wykazywał lekki ubytek poniżej maksymalnego stanu, ale to jeszcze nie świadczyło o obecności ludzi.

Roboty sprawnie wyładowywały swoje skrzynie z przyrządami pomiarowymi. Jan podszedł do drzwi wiodących w głąb stacji. Śluza wypełniła się już powietrzem, więc nacisnął przycisk zamka.

Ruszył korytarzykiem w kierunku części mieszkalnej, roboty zaś skierowały się od razu do siłowni, mieszczącej się na niższej kondygnacji, pod poziomem gruntu. Jan znał z grubsza rozkład pomieszczeń stacji Arthemis. Była to jedna z tych, które major Netz zaznaczył na mapie czerwonymi kółkami. Tej mapy Jan oczywiście nie miał przy sobie, nie miał także planu stacji, ale wbił je sobie w pamięć podczas pierwszej doby pobytu na Księżycu.

Jan odszukał pierwszy z brzegu pokój mieszkalny, wszedł do środka i z ulgą ściągnął skafander.

„Trzeba będzie obejść wszystkie kąty” — pomyślał i ziewnął. Miękki tapczan kusił jednak zbyt mocno. Jan wyciągnął się na nim z dłońmi pod głową i — „tylko na chwilę” — przymknął oczy.

Gdy je otworzył, zobaczył przed sobą siedzącego na krześle mężczyznę o podłużnej, szczupłej twarzy i okrągłych, bardzo ciemnych oczach.

Ta twarz, choć zmieniona upływem lat, była Janowi zna na. Prawie natychmiast skojarzył ją z imieniem i nazwiskiem.

— Witam cię w stacji Arthemis — powiedział tamten, a Jan zauważył, że jego spoczywająca na kolanie dłoń trzyma mały pistolet.

— Dzień dobry — powiedział Jan spokojnie. — O co chodzi?

— Czyżbyś naprawdę nie wiedział?

— O czym?

— Dobrze, dobrze… Już ja wiem, to wystarczy. Wynoś się stąd.

Ten pokój nie ma dobrego zamknięcia, musisz się przenieść do innego pomieszczenia.

— Nie denerwuj się, Carlos… — wycedził Jan, obserwując twarz przeciwnika.

Lufa pistoletu drgnęła. Przybysz wstał z krzesła i z bliska przyjrzał się Janowi.

— A ty skąd mnie na tyle znasz, że zwracasz się do mnie po imieniu, którego od lat nie używam?

— Zawsze byłeś krótkowidzem, Carlos. I nie chciałeś nosić okularów. Ale teraz już powinieneś, nie jesteśmy już głupimi studentami, tylko poważnymi ludźmi, załatwiającymi poważne sprawy.

Człowiek nazwany Carlosem wciąż wpatrywał się w twarz Jana.

— No, przypomnij sobie, pierwszy rok studiów, Instytut Kosmiki!

— Jan? — wyszeptał Carlos na wpół do siebie.

— Tak, to ja. Bardzo dawno cię nie widziałem. Dziękuję, że złożyłeś mi tak nieoczekiwaną i miłą wizytę. Tylko… może opuścisz nieco niżej lufę tego, co trzymasz w ręku…

Carlos spojrzał na niego bystro.

— Zaraz, zaraz, przyjacielu — powiedział przeciągle. — Wydaje mi się, że studiowaliśmy razem biofizykę?

— Owszem, ale tylko przez jeden rok. Później zniknąłeś mi z oczu. Pewnie masz jeszcze gdzieś kilka pożyczonych ode mnie książek..

— Ty mnie tu, kochany, nie zagaduj — burknął Carlos zimno i z irytacją. — Od kiedy to biofizycy jeżdżą po Księżycu jako konserwatorzy stacji badawczych? Gadaj zaraz, kto cię tu przysłał, co tu robisz? Pomówmy szczerze, Janie!

— Świetnie, ty zaczynasz! — uśmiechnął się Jan.

— Jesteś bezczelny — Carlos z dezaprobatą pokręcił głową, ale Jan zauważył, że jego dawny kolega mimo woli daje się wciągnąć w rozmowę, której ton przypominał nieco ich beztroskie pogaduszki sprzed kilkunastu lat.

Tak, to był ponad wszelką wątpliwość ten sam Carlos Pedro Aldez, zawsze skłócony ze wszystkimi, ambitny pechowiec, podejrzliwy i nieufny, anarchista i znany na całym wydziale rozrabiacz, pewien swej nie docenianej przez ogół genialności, bezwzględny jak wszyscy diabli w swoim dążeniu do niezależności i panowania nad kolegami — co mu się zresztą na ogół nie udawało…

Jeden tylko Jan potrafił niekiedy dojść z nim do ładu. Czyżby Kosmopol dogrzebał się aż do tych starych spraw Jana — studenta? Jeśli tak, to doprawdy, oni muszą chyba wszystko o wszystkich wiedzieć. To by tłumaczyło, dlaczego wybór padł na Jana, ale… jeśli Carlos jest tym, który porwał statek księżycowy, to cóż mogą pomóc

stare znajomości?

— Jesteś bezczelny i mylisz się, sądząc, że będę się z tobą cackał tylko z powodu jakichś tam dawnych kontaktów… Ale ponieważ jakoś nigdy nie miałem z tobą poważniejszych zatargów, więc niech tam, zagram z tobą w otwarte karty. Tak, to właśnie ja i jeszcze paru, porwaliśmy ten statek.

— Przeskrobaliście coś na Ziemi?

— Tak mówią? A, to dobrze. Ale Kosmopol szybko przekona się, że mamy zupełnie czyste konto. Poza tym porwaniem, oczywiście, lecz to po prostu drobiazg, preludium…

— Po co to wam było potrzebne? Kiedy zamierzacie odesłać Binxa?

— O, za dużo chcesz wiedzieć, Jan. Staremu Binxowi żyje się u nas doskonale. Więc przysłali cię tutaj, żebyś nas wytropił?

Jan ociągał się chwilę z odpowiedzią.

— Nno… — powiedział wreszcie — jeśli już mamy szczerze rozmawiać, to powiem. Tropić was nie musiałem, bo Kosmopol jest prawie pewien, że jesteście właśnie tutaj. To zresztą nie ma większego znaczenia, bo dopóki macie zakładnika, nie mogą przeprowadzić żadnej akcji przeciwko wam. Boją się o tego Binxa. To człowiek stary, niezupełnie zdrowy… Krótko mówiąc, przysłali mnie, abym was skłonił do wypuszczenia go stąd, w zamian za mnie. Zgodziłem się zostać tu jako zakładnik, tak długo, jak będziecie uważali za stosowne… Choć właściwie nie rozumiem, do czego zmierzacie…

Aldez zarechotał, wyraźnie ubawiony tą — wymyśloną przez Jana na poczekaniu — propozycją zamiany.

— A to dopiero! — śmiał się głośno i szczerze, siadając na skraju tapczanu. — Wypuścić Binxa! Albo są tak naiwni, że przypuszczają, iż ja nie wiem, kogo u siebie mam, albo… może sami nie wiedzą…? No, niech cię licho! To ci kawał! Oddać im Binxa.

Spoważniał nagle, zastanawiając się nad czymś i mierząc Jana spojrzeniem.

— Powinienem odesłać cię stąd do stu diabłów — powiedział. — Ale nie zrobię tego. Przyda mi się drugi zakładnik. A Binxa nie oddam, tak jak nie oddaje się wygranego losu loteryjnego. Chodźmy!

Lufa ubodła Jana pod lewą łopatkę. Zrozumiał, że żarty skończyły się zdecydowanie i że trzeba potulnie dać się zamknąć. Aldez poprowadził Jana krętymi schodkami w dół, do pomieszczeń magazynowych. Odryglował jedne z ciężkich, stalowych drzwi i popchnął więźnia do wnętrza małego, ciemnego pomieszczenia. Gdy zapalił światło, Jan dostrzegł w kącie, na kilku warstwach gąbczastego plastyku, skuloną pod kocem postać śpiącego człowieka. Obok na podłodze stało kilka puszek konserw, naczynie z wodą i elektryczny czajnik.

— Zostaniesz tutaj, Link, dopóki nie przygotujemy ci stosowniejszego apartamentu. Porozmawiaj sobie z tym staruszkiem. Może ty go potrafisz przekonać, że powinien być rozsądniejszy… Wytłumacz mu, że stąd nie można uciec.

Aldez wychylił głowę na korytarz.

— Heron, jesteś tam? — zawołał.

Zatupały czyjeś kroki, a Jan pomyślał od razu, że ten ktoś musi mieć iście słoniowy chód, jeśli tak tupie nawet na Księżycu.

— Jestem, Pedro! — powiedział niski, chrapliwy bas. — Właśnie kazałem tym dwom robotom, żeby poszły do magazynu głównego i wyłączyły się. Nie lubię, jak mi się automaty kręcą po stacji.

— Dobrze zrobiłeś. Tylko po diabła nosisz ten ołów? Zrzuć to wreszcie, bo patrzeć nie mogę, jak się męczysz. Przygotuj pokój dla nowego gościa. Może być szóstka, tylko nie zapomnij dobrze zaryglować tych drugich drzwi, od strony magazynu.

Aldez odwrócił twarz w kierunku Jana, który niezdecydowanie stał na środku pomieszczenia.

— Biedny Heron! — powiedział Aldez drwiąco. — Przyzwyczaił się nosić na Ziemi swoje sto pięćdziesiąt kilogramów i teraz wciąż mu czegoś brakuje, więc zrobił sobie ołowiane podeszwy, pas i coś tam jeszcze. Biedak, pierwszy raz na Księżycu, wciąż ma kłopoty ze zmniejszonym ciążeniem.

Zatrzasnął drzwi, zaryglował je od zewnątrz i pokrzykując coś jeszcze za Heronem, oddalił się.

„Wygląda na to, że wykonałem zadanie” — pomyślał Jan, sadowiąc się na skraju barłogu, obok leżącego Binxa. Ten, obudzony już widocznie wcześniej, odchylił teraz skraj koca i spojrzał na Jana.

Był człowiekiem starym, nawet bardzo starym. Miał twarz kościstą, o ciemnej cerze, zmęczone i podpuchnięte oczy i dość jeszcze gęste, zupełnie białe włosy. Przez chwilę mierzył Jana wzrokiem.

— Kto ty jesteś? — powiedział nagle napastliwie. — Czego chcesz? Niczego ci nie powiem, rozumiesz? Niczego!

— Dzień dobry, panie Binx — powiedział Jan łagodnie, a nie doczekawszy się odpowiedzi na powitanie, ciągnął dalej. — Przybyłem tu, by panu pomóc. Wysłał mnie Kosmopol…

— Stary chwyt! — przerwał mu Binx niecierpliwie.

— Niech pan posłucha, Binx — powiedział Jan ostrzej. — Nie wiem, co pan ma do ukrywania, ja w każdym razie niczego nie chcę z pana wydobyć. Wiem, że Aldez potrzebuje pana nie tylko w charakterze zakładnika. Wiem także, że nie jest pan naprawdę tym, za kogo się pan podaje. Proszę mi powiedzieć, kim pan naprawdę jest?

Staruszek spojrzał na niego bystro.

— Jak to? Jeśli pan jest z tej szajki, to nie powinien pan o to pytać!

Jan zauważył, że Binx przeszedł w rozmowie z „ty” na „pan”, i wyciągnął stąd wniosek, że staruszek zaczyna się zastanawiać nad prawdziwością jego oświadczenia.

— Czyżby zatem Kosmopol tak bardzo interesował się moim losem, nie wiedząc, kim jestem?

— Kosmopol wie, ale mnie o tym nie poinformowano. Może to miało jakieś znaczenie, zanim się tu dostałem. Teraz jednak sądzę, że powinienem się o tym dowiedzieć. Od pana właśnie…

Binx zastanawiał się jeszcze, lecz wreszcie doszedł widocznie do wniosku, że nie ryzykuje właściwie niczym, ujawniając w tej sytuacji swą tożsamość.

— Mówisz, że wiedzą… — powiedział w zadumie. — Wobec tego dziwi mnie, że dotychczas jeszcze nie zbombardowali tej stacji i kilku sąsiednich, dla pewności. Czekałem na to, jak na zbawienie. Oni jeszcze nie próbowali mnie torturować, ale… nie widział pan pewnie tego olbrzyma, Herona… Na sam widok można się załamać. Ale ja i tak niczego nie powiem. Może pan to powtórzyć swoim szefom w Kosmopolu, albo, jeśli pan jest człowiekiem Aldeza, to jemu… Mnie na życiu nie zależy, zresztą… to i tak na jedno by wyszło, życia nie ocalę. Ale nie powiem niczego. Nie pomogą im ani stare mapy Księżyca, ani nikt z żyjących… Kerman dawno nie żyje, a wiem, że pary z ust nie puścił przez całe życie. To był twardy człowiek! I uczciwy. A Dali zginął na Marsie dwadzieścia dwa lata temu. Więc i stary Molton też zabierze, jako ostatni, do grobu tę tajemnicę. Robota była wykonana jak należy. Dobra, czysta robota!

— Molton to pan?

— Starszy sierżant Molton, młody człowieku…

Drzwi otworzyły się. Ukazała się w nich postać, prawie w całości wypełniająca ich otwór.

— No, chodź, bracie — powiedział ochrypły bas. — Mamy dla ciebie lepszy pokój. Jesteś, bądź co bądź, kolegą naszego szefa!

III

Jan przewracał się po raz setny z boku na bok, jednak sen nie nadchodził. Myśli krążyły wciąż wokół przedziwnej sytuacji, w jakiej znalazł się mimo chęci. Usiłował sobie perswadować — że przecież major, wysyłając go tutaj, musiał mieć jakiś plan uwolnienia ich obydwu, Jana i Binxa alias Moltona. Może Aldez nie był tak niebezpieczny, jak można by przypuszczać? A może… ryzyko wysłania Jana tutaj było niczym w porównaniu z konsekwencjami, jakie wyniknęłyby, gdyby go tu nie wysłano?

Kerman, Molton i Dall… Te trzy nazwiska, w ten właśnie sposób uszeregowane, nie dawały Janowi spokoju. Stapiały się w nierozłączną trójcę, jak nazwiska pierwszych zdobywców Księżyca, jak… Stare mapy… Starszy sierżant Molton… Sierżant? Zaraz, zaraz… Nagłe olśnienie zwaliło się na Jana, jakby strop spadł mu na głowę. Dreszcz panicznego strachu przeszył go od pięt po czubek głowy. W jednej chwili zupełnie oprzytomniał, resztki snu umknęły gdzieś, usiadł zupełnie przytomny na posłaniu.

Jan nie był nigdy entuzjastą historii nowożytnej, ale tych nazwisk nie powinno się zapominać! Przed pół wiekiem były symbolem czegoś wielkiego w historii ludzkości. Tak jak pierwsi zdobywcy Księżyca, choć nie sami byli autorami sukcesu — stali się symbolem zwycięstwa…

Jan ułożył się na wznak i zaczął w myślach porządkować swe skromne wiadomości historyczne.

Gdyby nie skojarzenie, wywołane zestawieniem trzech nazwisk, Jan nigdy by nie powiązał swej obecnej sytuacji i sprawy, w którą był zamieszany, z tą mroczną tajemnicą sprzed pół wieku. Nie śmiałby po prostu przypuścić, że jemu właśnie przypaść może rola w rozgrywce tak dramatycznej i toczącej się o tak ostateczną stawkę… Dopiero w tej chwili zrozumiał intencje majora, który chciał najdłużej oszczędzić mu ciężaru odpowiedzialności… Ale teraz ciężar ten runął na barki Jana.

„Czy jednak naprawdę ta odpowiedzialność spoczywa wyłącznie na mnie? — zastanawiał się Jan. — Należałoby przypuszczać, że major liczył się z możliwością poznania przeze mnie prawdy tutaj, w jaskini zbójców. Poza tym, o ile dobrze pamiętam, powiedział on, że moje zadanie polega na dostaniu się tutaj. Zatem niewiedza moja o istocie sprawy potrzebna była tylko do chwili, gdy znajdę się w stacji. Stąd wniosek, że teraz nie muszę już czuć się zobowiązany do czegokolwiek. Otrzymałem wyraźne zezwolenie na działanie w sposób zupełnie dowolny. Może nawet chodzi o to, bym robił i mówił cokolwiek, dla zmylenia, rozproszenia uwagi przeciwnika?”

Czując się pionkiem w rozgrywce, postanowił poprowadzić własną grę w ramach tej głównej, rozgrywanej gdzieś ponad nim.

Nie zmrużywszy oka przez następnych kilka godzin, Jan układał scenariusz tej rozgrywki. Analizował i odrzucał liczne warianty kłamstwa i krętactwa, coraz usilniej wierząc, że odkrył cel swojego pobytu w stacji: mącenie w głowie Aldezowi.

Szczęknął zamek. Drzwi otworzył Aldez. Poprowadził Jana w kierunku celi Moltona.

— No, staruszku! — powiedział uchylając drzwi. — Mamy go już!

— Nic nie powiem — burknął Molton ze swego kąta. — Zostaw mnie w spokoju, łajdaku.

— Mamy twojego wnuka, słyszysz? — powiedział Aldez głośniej.

Starzec zerwał się z posłania, spojrzał szeroko otwartymi oczami w kierunku drzwi.

— Łżesz, nie znajdziecie go! Nie uda się wam! — krzyknął głosem pełnym nadziei i przerażenia równocześnie.

Spostrzegłszy, że osobą towarzyszącą Aldezowi nie jest jego wnuk, uspokoił się nieco i powiedział:

— Dopóki go nie zobaczę, nie uwierzę.

— Namyśl się. Możesz go zobaczyć lada chwila. Dostałem szyfr. Moi ludzie znaleźli go wreszcie.

— Kłamstwo! — Starzec rzucił się z pięściami w kierunku Aldeza, lecz ten powalił go jednym pchnięciem na posadzkę.

— Zostaw go, Carlos — wmieszał się Jan. — Gdyby to było na Ziemi, rozbiłby sobie głowę. Uszkodzisz swój skarb i diabli wezmą cały plan.

— A ty co wiesz o moich planach? — Aldez starannie zamknął drzwi i popchnął Jana w kierunku schodów.

— Domyślam się. Muszę ci powiedzieć, że zaczyna mi się to podobać. Tym bardziej że widzę twoją wyraźną przewagę nad Kosmopolem w tej rozgrywce. Myślę, że w tej sytuacji nie mam wyboru i powinienem zdecydować się na… współpracę z tobą.

Aldez popatrzył na Jana niezdecydowanie. Nic nie mówiąc, otworzył przed nim drzwi pokoju, który, jak się Jan po chwili zorientował, służył mu za stanowisko dowodzenia. Wszedłszy do środka, Jan poczuł się jak Ali Baba w jaskini rozbójników, których było wprawdzie oprócz Aldeza tylko czterech, ale i to wystarczyło, aby Jan odczuł raz jeszcze nieprzyjemny dreszczyk na plecach.

Pod ścianą, jak posąg Heraklesa, stał Heron, w swych ołowianych buciorach, bawiąc się niedbale zginaniem i rozginaniem dość grubej metalowej rurki. Obok niego na krześle siedział wysoki blondyn, również nieźle zbudowany, choć przy Heronie wyglądał na cherlaka. Po drugiej stronie pokoju, na tapczanie, siedzieli dwaj młodzi ludzie o twarzach łudząco do siebie podobnych. Wszyscy czterej patrzyli z

ciekawością na Jana.

— To ten glina? — spytał półgłosem jeden z bliźniaków.

— To mój stary znajomy. Porządny chłop. On tylko przypadkiem i przejściowo popadł między gliny — powiedział Aldez, klepiąc trochę zbyt mocno Jana po plecach. — Właśnie zadeklarował przystąpienie do spółki. Co wy na to?

— Ostrożnie, Pedro — powiedział Heron, głaszcząc wielką jak bochenek dłonią swoją stalową rurkę. — Ja bym mu nie ufał.

— Ja też — roześmiał się Aldez. — Ale zobaczymy, co ma do sprzedania. Powtórz no jeszcze, Jan, po co cię tu przysłali.

— Miałem zaproponować wypuszczenie Binxa w zamian za mnie.

— Mogłoby to oznaczać, że Kosmopol nie wie, kim jest Binx. Ale ja nie wierzę w taką możliwość. Na pewno ten jego wnuk poinformował ich przynajmniej o tym. Ciekawe, czy on wie więcej… Czy to wszystko, co miałeś zrobić?

— Tak, to wszystko.

— Niemożliwe. Ukrywasz coś jeszcze. Heron, spróbuj mu dopomóc, może jeszcze coś sobie przypomni!

Olbrzym zbliżył się do Jana i wykręcił mu boleśnie rękę. Jan wrzasnął głośniej, niż było konieczne i raz jeszcze zapewnił, że nie wie niczego więcej.

— Gdzie jest młody Binx? — Aldez dał znak Heronowi, a Jan znowu wrzasnął.

— Nie znam młodego Binxa! — powiedział z wyrzutem, rozcierając przegub dłoni. — Mógłbyś dać mi spokój, przecież chyba zdajesz sobie sprawę, że nie wtajemniczyli mnie w cały swój plan! Pierwszy raz słyszę o wnuku Binxa, a poza tym wydawało mi się, że już go znaleźliście!

— To był bluff… — powiedział Aldez. — Złapiemy go jednak. Ale i bez tego stary zacznie mówić. A ty zastanów się, czy chcesz mi pomóc, czy nie, bo potem będzie za późno. Nie masz wyboru. Jeśli Kosmopol wie, kim jest Binx, to wcześniej czy później ktoś wreszcie podejmie drastyczną decyzję: zaatakują nas. Zrozum, że tu nie chodzi już o życie kilku ludzi! Oni potrzebują jakiegoś moralnego uzasadnienia dla tej decyzji, rozumiesz? Gdybyśmy byli tylko zwykłymi porywaczami, można by ciągnąć sprawę dowolnie długo i nikt nie ośmieliłby się narazić życia zakładnika. Opinia publiczna nie jest poinformowana o prawdziwej sytuacji, dlatego Kosmopol na razie nie może rozprawić się z nami siłą, Mogliby przecież rozwalić tę stację razem z nami, ale wówczas nie mieliby żadnego dowodu, nie potrafiliby przekonać świata o naszych prawdziwych zamiarach, a zatem i o słuszności swych posunięć. To ich powstrzymuje i daje nam czas do działania. Ale, powtarzam, czas ten jest ograniczony. Zastanów się, Janie. Jedziemy na jednym wózku. Nie wyjdziesz stąd

inaczej, jak tylko razem z nami. Albo nas wszystkich rozwalą. Więc pomyśl dobrze, przypomnij sobie wszystko.

— Masz chyba rację… Teraz widzę, że dałem się wrobić w paskudną sprawę. Teraz rozumiem, co miał na myśli ten major z Kosmopolu, kiedy powiedział, że macie tylko jedną szansę uzyskania przewagi… Tą szansą miał być pewnie młody Binx. Major powiedział jeszcze, że tej szansy na pewno wam nie da. Widocznie ma tego człowieka u siebie, pod dobrą opieką. A zatem pozostaje im tylko użycie siły, o ile wy, oczywiście, nie zechcecie dobrowolnie wydać Binxa.

— To jest nasza ostatnia karta w tej grze. Możemy zrobić to w każdej chwili i odpowiadać jedynie za porwanie. Kodeks nie jest tu zbyt surowy, a nie udowodnią nam nic ponadto — powiedział Aldez, pochmurniejąc wyraźnie. — Ale dość tych rozważań. Heron, odprowadź go i zamknij dobrze.

IV

Jan raz jeszcze przetrawiał wszystko, co zdołał sklecić z domysłów i strzępków informacji, jakie wyłowił z rozmów przeprowadzonych na stacji. Szajka Aldeza najwyraźniej traciła szansę. Ich plany, pomyślane jako błyskawiczna akcja, dawały dobre perspektywy powodzenia. Niespodziewane przeciągnięcie się sprawy kładło ją zupełnie. Aldez przegrywał wyścig z czasem, ponieważ stary Molton okazał się człowiekiem twardym i zawziętym. Teraz nawet próby torturowania Moltona przyniosłyby Aldezowi więcej szkody, niż pożytku, bo stanowiłyby dodatkowe obciążenie przed sądem.

Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, Aldezowi musi zależeć na tym, by nie zostawiać za sobą krwawych śladów. Myśl o tym pozwoliła Janowi odprężyć się nieco i przespać spokojnie. Kiedy się obudził, nowa myśl zepsuła mu ten dobry nastrój. Rozmyślając nadal nad celem, w jakim wysłano go tutaj, uprzytomnił sobie, że być może major chciał w ten sposób zdobyć świadka zamiarów Aldeza, aby przed sądem oskarżyć go nie tylko o porwanie kosmolotu… Jako tego drugiego po Moltonie świadka, Aldez mógłby chcieć pozbyć się Jana. Ostatecznie nie ma żadnego dowodu na to, że Jan dotarł do Arthemis… Całe śledztwo oparłoby się na zeznaniach Moltona, a to zbyt mało dla skrupulatnego sądu.

„Ale, wreszcie, major gwarantował mi w pewnym sensie bezpieczeństwo!" — pocieszył się Jan i zaczął rozmyślać, co by tu jeszcze powiedzieć Aldezowi, by do reszty zmącić jego i tak już zachwianą wiarę w sukces jego planów.

Raz jeszcze wrócił myślą do tej sprawy sprzed lat pięćdziesięciu. W miarę jak o tym rozmyślał, coraz to nowe strzępy informacji, napływające z jakichś zakamarków pamięci, uzupełniały obraz tamtych wydarzeń.

W kilka lat po podpisaniu układu o powszechnym i całkowitym rozbrojeniu, zniszczono, rozmontowano i unieszkodliwiono wszelkie środki masowego rażenia, głowice nuklearne, rakiety dalekiego zasięgu, wyrzutnie, miny atomowe… Jak wyrzut sumienia ludzkości pozostały jeszcze tylko te najgroźniejsze, najpotworniejsze w swych założeniach środki zniszczenia: najnowsza, tajemnicza i straszliwa broń, zwana potocznie „bronią D", od słowa „dezintegracja". Broń ta, której działanie opierało się na anihilacji materii, nie została nigdy nawet wypróbowana, jednak nikt nie miał wątpliwości co do jej koszmarnych skutków. Jak mówiono, sami twórcy tej broni przerazili się swego dzieła.

Jak wynikało ze skąpych informacji, które przeciekły do publicznej wiadomości, bomby „D" mogły samodzielnie pokonywać

praktycznie dowolne odległości, korzystając z energii napędowej pochodzącej z anihilacji zawartego w nich ładunku stabilizowanej antymaterii. Mogły służyć jako pociski transkontynentalne, jako bomby orbitalne… Ich siła rażenia przekraczała wielokrotnie to, co osiągnięto kiedykolwiek: mogły służyć do niszczenia całych krajów, być może nawet i kontynentów. Trzeba przyznać, że jedyną wprawdzie, ale za to decydującą korzyścią wynikającą z tego szatańskiego wynalazku było właśnie przyśpieszenie pełnego rozbrojenia…

W ogłoszonym wówczas komunikacie Międzynarodowej Komisji Rozbrojenia odnotowano:

— „Broń — «D», w ilości 372 jednostek, ze względu na swe właściwości jest z natury rzeczy niezniszczalna i nie istnieje żaden sposób jej unieszkodliwienia lub wykorzystania w innych, niż niszczycielskie, celach. Z uwagi na to, wymienione jednostki broni «D» zostaną zabezpieczone w sposób specjalny w terminie późniejszym. O dokonaniu tego społeczeństwo zostanie poinformowane osobnym komunikatem”.

Komunikat ów ukazał się w kilka lat później. Brzmiał mniej więcej tak:

„Dokonano zabezpieczenia ostatnich 372 jednostek broni masowego rażenia. Broń ta została ukryta na powierzchni Księżyca. Operacja taka okazała się najkorzystniejsza z punktu widzenia bezpieczeństwa. Bez ingerencji człowieka broń ta nie zagraża w żadnym stopniu mieszkańcom Ziemi oraz osobom przebywającym na Księżycu.

Ze względu na bezpieczeństwo i zachowanie w tajemnicy miejsca ukrycia tej broni, operację przeprowadzono przy użyciu zdalnie sterowanych maszyn roboczych, którymi kierowali trzej przedstawiciele różnych armii, wybrani spośród kadry oficerskiej i podoficerskiej. Ich nazwiska i podpisy figurują pod protokołem, wieńczącym chlubne dzieło powszechnego rozbrojenia. Są to: major Davis Kerman, starszy sierżant Jack Molton i kapral Wiktor Dali.

Po podpisaniu protokołu, wymienione osoby zostały zaprzysiężone i zobowiązane do zachowania tajemnicy w sprawach związanych z przeprowadzoną operacją. Sporządzono formalne akty zgonu trzech uczestników akcji, którzy następnie otrzymali dokumenty opiewające na inne nazwisko i dane personalne dla uniknięcia komplikacji w ich życiu prywatnym, wynikających z możliwości wywierania na nich jakichkolwiek nacisków, zmierzających do wydobycia z nich tajemnicy.

W ten sposób zakończona zostaje ostatecznie sprawa unieszkodliwienia broni «D», która spoczywać będzie po wiek wieków pod powierzchnią księżycowego gruntu”.

Jan nie pamiętał oczywiście dokładnej treści tych komunikatów, ale to, co zdołał sobie przypomnieć, wystarczyło dla wyprowadzenia stąd dalszych konsekwencji; posiadłszy broń „D", banda Aldeza mogłaby trzymać w szachu cały glob ziemski. Aldez był bez wątpienia szaleńcem, planując tak potworne przedsięwzięcie. W szaleństwie swym jednak mógłby posunąć się dowolnie daleko…

Jan postanowił podtrzymywać w umyśle Aldeza gasnącą nadzieję powodzenia, licząc, iż w ten sposób uśpi jego czujność. Przecież Kosmopol musi wreszcie zacząć działać! Sprawa na pozór utknęła na martwym punkcie, ale Jan usilnie wierzył, że coś się wreszcie stanie.

— Słuchaj — powiedział, gdy Aldez zajrzał do jego pokoju. — Myślę, że jesteś górą. Przemyślałem sobie wszystko. Jeśli cokolwiek powiem, to nie z sympatii dla ciebie, ani też nie dlatego, aby poprzeć twoje zamierzenia. To wynik czystej kalkulacji. Musisz mi jednak zagwarantować bezpieczeństwo.

— Zgoda. Jakich chcesz gwarancji?

— Jeśli to, co powiem, będzie dla ciebie prawdopodobne i dające się sprawdzić, pozwolisz mi stąd odjechać. Masz Moltona, to ci wystarczy. Rozgrywaj sobie z Kosmopolem swoją grę nerwów. Ja wyłączę się z tej sprawy.

— Pomyślimy o takiej możliwości — powiedział Aldez wykrętnie.

— Więc dobrze. Ostatecznie nie mam nic do stracenia. Miałem jeszcze jedno zadanie: uprzedzić Moltona, by nie zdziwił się, gdy tutaj zjawi się jego wnuk.

Aldez wytrzeszczył oczy, patrząc na Jana z najwyższym zdumieniem.

— On… tutaj?

— Tak. Miało to być następnym etapem planu Kosmopolu. Młody Binx byłby tu bezpieczny przed waszymi poszukiwaniami. Major zdawał sobie sprawę z tego, że będziecie się starali szukać go po całym Księżycu. Z drugiej strony obawiał się, czy Molton nie da wiary waszym pogróżkom i rzekomym dowodom na to, że jego wnuk jest w rękach twoich ludzi. Dopóki młody Binx byłby tu, u was, nie rozpoznany, stary miałby pewność, że wnuk jest względnie bezpieczny… A przy tym, w razie akcji ze strony Kosmopolu, moglibyśmy obaj ochraniać Moltona tu, w stacji. Chodziło jedynie o to, by stary nie rozpoznał wnuka zbyt ostentacyjnie mimo charakteryzacji. Miał go poznać, lecz nie przyznawać się do tego…

— Przecież to czyste szaleństwo! — prychnął Aldez. — To nie może być prawdą! W jaki sposób młody Binx mógłby się tu dostać?

— A ja w jaki sposób się tu dostałem? Miał wyruszyć jak ja, z ekipą techniczną. Powinien tu być za kilkanaście godzin. W Kosmopolu wiedzą, że żaden z was nie zna młodego Binxa osobiście, ani nawet z widzenia. Potraktowalibyście go tak samo jak mnie i dalej

szukali go po Księżycu. Kosmopol potrzebował tego czasu, tej zwłoki, do podjęcia jakiejś radykalnej akcji, ale o niej już naprawdę nie potrafię ci niczego powiedzieć.

— Dlaczego zdecydowałeś się powiedzieć mi o tym?

— Mówiłem już: chcę stąd wyjechać, zanim rozegra się finał tej całej sprawy. Boję się po prostu.

— To prawdopodobne… Gdzie zatem jest obecnie młody Binx?

— Myślę, że w stacji Thais, gdzie byłem poprzednio. Jutro tu będzie.

— Nie bardzo ci wierzę, ale sprawdzić można.

— Jeśli chcesz, przekonam cię zaraz o tym, że to prawda. Aby młody Binx wiedział z całą pewnością, w której stacji nas zastanie, pozostawiałem przed każdą stacją, którą odwiedzałem, pewien znak. Znak ten usuwałem opuszczając stację. Przed Arthemis znak ten pozostał.

— Jak wygląda i gdzie go umieściłeś?

— Około kilometra stąd, na prawym skraju drogi. Kawałek irchowej szmatki.

— Zaraz to sprawdzimy. A poza tym, aby nie dać twojemu majorowi tego upragnionego czasu, przy łapiemy młodego Binxa w Thais, o ile oczywiście mówisz prawdę. Moi chłopcy będą tam za kilka godzin.

Do pokoju wszedł Heron i szepnął coś do ucha Aldezowi. Ten w pierwszej chwili żachnął się i kazał mu się wynosić, ale po kilku sekundach dotarło widać do jego świadomości to, co usłyszał.

— Co mówisz? — warknął. — Jakie szczury? Tu, na Księżycu, szczury?

— Naprawdę, szefie! O, proszę!

Heron wyszedł na chwilę i wrócił niosąc za ogon spasionego rudego gryzonia. — Przed chwilą go zatłukłem w magazynie przy skrzyniach z żarciem. Jak tak dalej pójdzie, to…

— Dobrze, załatw to jakoś. Zobacz, czy nie ma ich więcej. I powiedz chłopcom, że za chwilę wyjeżdżamy. Niech przygotują oba pojazdy, nasz i ten, którym on przyjechał.

Heron popatrzył ze zdziwieniem na szefa, ale o nic nie pytając wyszedł ze swoim szczurem.

V

— To będzie gdzieś tutaj — powiedział Jan. — Zatrzymaj pojazd.

Aldez zahamował, drugi pojazd zatrzymał się w odległości kilku metrów za nimi. Wysiedli i przeszli kilkanaście metrów wzdłuż kolein drogi.

— Jest — powiedział Aldez, schylając się. — Więc jednak… Zaczynam ci wierzyć, Link.

Dał znak bliźniakom, siedzącym w drugim pojeździe. Ruszyli, wymijając pojazd Jana i pomknęli w kierunku, skąd on tu przybył.

Wracając w kierunku stacji Aldez przejawiał coraz lepszy humor, roztrząsając z ponurym blondynem, który im towarzyszył, szczegóły dalszego postępowania z Moltonem. Był pełen nadziei, że kiedy tylko stary zobaczy wnuka w ich rękach, od razu załamie się i zdradzi tajemnicę. Gdy weszli ze śluzy do wnętrza stacji, już bez skafandrów, które zostały w pojeździe, Aldez przypomniał sobie o czymś.

— Heron! — zawołał, wychylając się za załom korytarza. — Gdzie się podziewasz? Szczury cię zjadły?

Ponieważ nie było odpowiedzi, poszedł kilka kroków w kierunku wiodących w dół schodków. W następnej chwili Jan i Dag, ten wysoki, ponury blondyn, usłyszeli jego krótki okrzyk. Pobiegli obaj w tamtą stronę. U szczytu kręconych schodków stał Aldez z dłonią przy czole, wpatrzony w jeden punkt, gdzieś na dole.

— Mówiłem mu… Mówiłem, żeby nie nosił tego ołowiu… Wiedziałem, że będzie z tego jakieś nieszczęście… — powtarzał zduszonym szeptem.

Na dolnych stopniach schodów, głową w dół, leżało ciało Herona. Wokół głowy czerwieniała plama krwi.

— Spadł… Przez te cholerne buty. Pewnie gonił szczura — powiedział cicho Dag i zszedł na dół. Pochylił się nad leżącym, odwrócił jego twarz ku górze. — Nie żyje. O, a tutaj leży jego rurka. Pewnie gonił szczura i potknął się na schodach.

— Zabierz go stąd, zrób z nim coś… — wymamrotał Aldez, schodząc w dół. Jan zszedł za nimi. Aldez otworzył drzwi magazynu, zapalił światło. W magazynie panował nieopisany bałagan. Skrzynki po konserwach, puszki, paki, metalowe części różnych urządzeń — wszystko przemieszane, porozrzucane, zalegało podłogę. W kącie Jan dostrzegł leżące swoje dwa roboty. W głębi były drzwi prowadzące, jak się Janowi wydawało, do pokoju, w którym go więziono. Zauważył, że były zaryglowane od strony magazynu. Zbliżył się do nich nieznacznie, ale nie znalazł stosownego momentu, by je spróbować otworzyć z zamka.

— Co za bałagan — burczał Aldez. — Jak można dopuścić do

czegoś podobnego! Niczego nie będzie można tu znaleźć… Dag! Zrobisz tu natychmiast trochę porządku!

Był wyraźnie wytrącony z równowagi wypadkiem Herona. Nie zważając na protesty Daga, któremu nie uśmiechała się robota przy porządkowaniu magazynu, wręczył mu pistolet i polecił odprowadzić Jana do jego pokoju, a następnie zająć się magazynem. Dag z ociąganiem wziął broń i gdy Aldez wyszedł oświadczając, że idzie odpocząć, splunął ze złością i pchnął Jana lufą.

— Nerwowy się zrobił — mruknął, gdy znaleźli się w pokoju Jana. Wyraźnie nie mając ochoty na sprzątanie, przysiadł naprzeciw Jana na krześle. — Wpakował nas w kabałę, a teraz sam nie wie, co z tego wyjdzie. Tak ładnie się mówiło: wycelujemy parę pocisków w ten zgniły arbuz — i cały świat zatańczy, jak mu zagramy… A teraz liczy się, ile to lat można dostać za uprowadzenie rakiety…

— Za samo uprowadzenie niewiele… — powiedział Jan.

— Na szczęście. Aldez ma ważną jeszcze licencję pilota kosmicznego. Wylali go z tej pracy, ale licencji nie zabrali, nie było podstaw. Dzięki temu nie będzie można nas oskarżyć o narażenie pasażerów na niebezpieczeństwo. Wszystkie manewry zostały wykonane fachowo. Tylko ten cholerny staruch zaciął się, i ani rusz… Ja bym z nim porozmawiał! Ale Pedro nie da go ruszyć, boi się, że można by go uszkodzić i wtedy już nic się nie da zrobić!

Dag westchnął sobie z rezygnacją i ruszył do magazynu, zamykając starannie drzwi za sobą. Po chwili przez te drugie drzwi dało się słyszeć, jak wojuje ze skrzyniami i puszkami konserw.

„Smutny koniec zdobywców” — pomyślał Jan i uśmiechnął się do siebie.

Z półsnu wytrącił go jakiś gwałtowny krzyk. Zrozumiał, że pochodzi on z magazynu. Szarpnął jedne i drugie drzwi, ale były zamknięte. Po upływie kilkudziesięciu sekund otworzyły się gwałtownie drzwi od strony korytarza.

— Kto krzyczał? — Aldez patrzył na Jana rozszerzonymi oczami. Zupełnie już nie panował nad sobą.

— Chyba Dag, jest tam — Jan wskazał w stronę sąsiedniego pomieszczenia.

Aldez pobiegł dalej korytarzem, nie zamykając drzwi pokoju Jana. Korzystając z tego, Jan poszedł za nim. Gdy stanął w drzwiach magazynu, Aldez klęczał na podłodze pod ścianą. Obok niego leżał Dag. Na jego piersiach spoczywała niewielka skrzynka. Jan poznał ją od razu. Wewnątrz musiał znajdować się uranowy pojemnik do przewozu źródeł radioaktywnych. Skrzynka, mimo małych wymiarów, zawierała dwieście kilogramów metalu, a więc ważyła tu więcej niż masa trzydziestu kilogramów na Ziemi. Twarz Daga zalana była krwią.

— To uran — powiedział Jan. — Dag przeliczył się z siłami.

Chciał to widocznie zdjąć z regału i…

— Co ty mi tu głupstwa opowiadasz! — warknął Aldez wściekle. — To musiałoby spadać sześć razy wolniej niż na Ziemi! Zdążyłby uskoczyć! Do diabła! Kto tu jest oprócz nas?

— Tylko my i Molton.

— Molton! — Aldez obmacał kieszenie Daga, wydobył pistolet i nie oglądając się na Jana wybiegł. Jan słyszał, jak wbiega po schodach, otwiera drzwi śluzy, potem zamyka je z trzaskiem. Znów przebiegł obok otwartych drzwi magazynu w stronę celi Moltona.

Jan ruszył w tamtą stronę. W otwartych drzwiach stał Aldez, patrząc na zwiniętą pod pledem postać w kącie. Po chwili, uspokojony jakby, podszedł do leżącego, pochylił się nad nim i nagle, odrzucony silnym kopnięciem, znalazł się znów przy drzwiach. Chwycił równowagę, wycelował z pistoletu do wstającego z barłogu wysokiego młodego mężczyzny, który szedł w jego stronę z wyciągniętą do przodu lufą miotacza gazu usypiającego. Pistolet Aldeza nie wypalił. Jan cofnął się odruchowo. Usłyszał syk strumienia gazu.

Tknięty nagłym olśnieniem pobiegł w stronę otwartego magazynu. Rozrzucając stare opakowania w kącie, dogrzebał się jednego ze swych robotów. Drugiego nie było. A właściwie — była tylko jego zewnętrzna powłoka, jakby maskaradowy kostium, oraz plecak, w którym roboty noszą swe baterie zasilające. Zamiast baterii jednak plecak zawierał butle z powietrzem.

— Witam cię! — powiedział ktoś od progu.

Jan odwrócił się.

— Binx?

— Zgadłeś. Twój robot naprawczy, do usług! — roześmiał się tamten. — Pomóż mi zabrać tego… nieboszczyka. Trzeba zamknąć go z Aldezem, bo jeszcze nam ucieknie.

— Jak to? Więc…?

— Żyje, żyje. To farba, nie krew.

— A Heron?

— Niestety… Musiał być chory na serce. Kiedy mnie zobaczył, spadł biedak ze schodów. Musiałem mu potem rozbić głowę, żeby upozorować wypadek, ale on już i tak nie żył, To było dość przykre, ale musiałem.

Jan wszystko już prawie rozumiał, ale wciąż wydawało mu się, że coś tu jeszcze pozostało do wyjaśnienia. Wreszcie przypomniał sobie.

— Słuchaj, Binx! A ten szczur? Skąd tu wziął się ten szczur?

— To rzeczywiście byłoby dziwne i zagadkowe, gdyby nie fakt, że… to ja go miałem ze sobą i wypuściłem z pudełka. Widzisz, świadomość obecności szczurów usypia czujność, znieczula ucho na podejrzane szelesty. A poza tym musiałem przecież coś jeść. Ubytki żywności w magazynie też najłatwiej zwalić na szczury…

VI

Major był w świetnym nastroju i jakby odmłodniał przez tych kilka dni.

— Owszem, mogę teraz odpowiedzieć na pana pytania — powiedział. — Przede wszystkim jednak składam panu serdeczne podziękowanie w imieniu… no, w ogóle, w imieniu wszystkich. Zrobił pan wszystko, czego spodziewaliśmy się po panu, a ponadto jeszcze wykazał pan znakomite wyczucie sytuacji. Jak pan zdołał zorientować się w czasie pobytu w Arthemis, Aldez za wszelką cenę unikał rozlewu krwi. Grał o wysoką stawkę, ale przez cały czas, realizując swoje plany, liczył się z możliwością przegranej i zabezpieczał sobie odwrót. Gdybyśmy nie byli w stanie udowodnić mu jego prawdziwych zamiarów, on i jego towarzysze otrzymaliby bardzo niskie wyroki. Nie można by im wykazać nawet spowodowania zagrożenia życia pasażerów uprowadzonego statku — Aldez był niezłym pilotem i miał formalnie ważną licencję. W ogóle jak wynikało z analizy jego osobowości, przeprowadzonej przez komputer na podstawie danych z akt Kosmopolu, Aldez jest człowiekiem bardzo ostrożnym i skrupulatnym. Poza tym nie znosi fizycznie widoku krwi…

— Owszem, zauważyłem to w chwili, gdy odkrył śmierć Herona — wtrącił Jan.

— A zatem — kontynuował major — mieliśmy dość spokojne sumienie wysyłając tam pana.

— Wciąż jednak nie wiem, czemu zawdzięczam ten wybór mojej osoby?…

— To proste — uśmiechnął się major — komputer na pana wskazał.

— Komputer?

— Tak. Wybrał pana na podstawie danych osobowych. Dlatego nawet trudno mi powiedzieć, co zadecydowało o wyborze. Nie pytaliśmy komputera o uzasadnienie. Pan rozumie, czas naglił. Podobnie zresztą cały plan akcji był weryfikowany przez maszynę. Teraz mogę panu zdradzić, że miał pan 94 % szans wyjścia cało z tej akcji. Natomiast, gdybyśmy zaatakowali porywaczy bezpośrednio, szanse starego Binxa byłyby bliskie zera. Szanse porywaczy oczywiście także.

— A jaką szansę zdobycia potrzebnych mu informacji miał Aldez?

— Około 20 %, ale tylko w przypadku, gdyby zdołali porwać młodego Binxa i torturowali go na oczach starego. Torturowanie starca nie wchodziło w rachubę. Prędzej by im skonał, niż zdołaliby cokolwiek z niego wydobyć. Wiedzieli o tym.

— Ciekawe, co zrobilibyście, gdyby Binx jednak zdradził

tajemnicę?

Major przez chwilę nie odpowiadał, potem popatrzył Janowi w oczy.

— A pan co by wówczas zrobił na naszym miejscu? Gdyby Aldezowi udało się odnaleźć choćby jeden pocisk typu „D", wycelowałby go w kierunku Ziemi i wtedy już nie moglibyśmy zrobić niczego wbrew jego rozkazom. Ryzykowalibyśmy życie milionów ludzi.

— Tak, rozumiem… — powiedział Jan.

— Binx bardzo kocha swego jedynego wnuka. Aldez oparł na tym cały swój plan, którego drugą, równoległą częścią było porwanie młodego, pracującego na Księżycu. Ta część planu nie powiodła się. Ale wiadomo, że na Księżycu istnieje druga grupa ludzi Aldeza. Możliwe, że na podstawie materiałów zdobytych przez was w Arthemis, uda się ich ująć.

— Zastanawiam się wciąż, jak to się stało, że nie wiedząc nic o planach Kosmopolu, zmyśliłem coś tak bliskiego prawdy… — powiedział Jan w zamyśleniu.

— To jeszcze jeden dowód, że komputer, który pana wybrał, nie omylił się — powiedział major wstając. — Optymalny wariant planu był tylko jeden!

— Ale ja nie jestem przecież komputerem! — stwierdził Jan skromnie.

VII

Siedząc w swoim mieszkaniu Jan przeglądał atlas Księżyca. Rejon, w którym przed pół wiekiem ukryto broń „D", można było w przybliżeniu zlokalizować na podstawie miejsca lądowania rakiet z groźnym ładunkiem.

Jan prześlizgiwał się wzrokiem po nazwach obiektów selenograficznych w tej części Księżyca.

Jak to powiedział stary Binx, gdy wracali wtedy, z Arthemis? Jan przypomniał sobie jego słowa: „Kerman uważał się zawsze za znakomitego psychologa. To on wybrał miejsce ukrycia pocisków. Ja byłem specjalistą od maskowania, a Dall kierował maszynami. Kerman powiedział, że nikomu nie przyjdzie do głowy szukać właśnie tam — bo to byłoby zbyt proste, jak mówił. Ja wierzę tylko w dobre maskowanie, nie w jakieś tam kabalistyczne własności nazw…"

Potem Jan przypomniał sobie — żartem wypowiedziane — słowa majora Netza: „A może Binx coś nieopatrznie panu powiedział, niech pan się przyzna!"

…potem wzrok Jana padł na łacińską nazwę jednego z „jezior" na księżycowej mapie. Przeczytał ją i pomyślał:

„Niemożliwe, to byłoby zbyt proste…"

…potem przypomniał sobie, że to samo miał powiedzieć kiedyś major Davis Kerman…

Zatrzasnął atlas Księżyca i odstawił na najwyższą półkę biblioteki.

Bruce Jay Friedman
ZABÓJCA Z TELEWIZORA

The Killer In the TV Set

Z początku pan Ordz zauważył jedynie, że prezenter, czy też gwiazdor programu telewizyjnego, miał na głowie idiotyczną peruczkę, zakończoną ostrym szpicem i przypominającą czapkę Stowarzyszenia Łosi[1]. Była to jedna z tych wieczornych „pogadanek", które rozpoczynała zwykle piosenkarka Connie starannie wykonująca rytmiczne gesty: pierwszy oznaczał namiętność, drugi nieskrępowaną frywolność, trzeci — naiwność i pierwszą miłość. Program należał do tych, których pan Ordz specjalnie nie cenił, co zresztą nie miało większego znaczenia, bo i tak cała jego uwaga skupiona była na tym, by uniknąć pójścia na górę do pani Ordz, pulchnej połowicy, która odkryła seks już po przekroczeniu czterdziestki. Co wieczór, z głową w lokówkach, czekała na pana Ordza, który miał ją wprowadzać w jego tajniki, by mogła, według jej własnych słów, „wolna od wszelkiej samokontroli być naprawdę sobą". Ponieważ panu Ordzowi zdarzyło się już nieraz uczestniczyć w jej „byciu naprawdę sobą", starannie unikał dalszych po temu okazji.

Na ekranie ukazało się czterech tancerzy, którzy otoczyli piosenkarkę i z wymierzonymi w nią palcami odśpiewali piosenkę „Czy ona nie jest laleczką?", by następnie, w finale, unieść ją do góry na ramionach.

— Stracił pan dla niej głowę? — zapytał prezenter, przysuwając sobie krzesło. Dekoracje były skromne: po prostu ściana, a pod nią jedno czy dwa krzesła — dokładnie w stylu „intelektualnej rozmowy" telewizyjnej. — Sam bym pana chętnie pozbawił głowy — dodał prezenter — tylko że nie mogę, ale i tak mi się pan nie wywinie. — Pan Ordz zachichotał, ale przez nos. Był to rodzaj śmiechu, który oznaczał u niego albo rozbawienie, albo zdenerwowanie, a jego skutkiem ubocznym było z reguły przeczyszczenie przewodów nosowych. — No cóż — rzekł prezenter — Connie posłużyła mi tylko jako przynęta, ale teraz już pan patrzy, czyli że dał się pan złapać. Niech pan mnie posłucha, i to uważnie. Mam dokładnie tydzień czasu na to, żeby pana zabić, bo inaczej nie zdobędę sobie patrona. To śmieszne, jak mając przed nosem kamerę i te wszystkie telewizyjne akcesoria kupuje pan dowcipasy konferansjera. Ale zaraz spróbuję lepiej spointować moją ostatnią uwagę. Ani nie zamierzam spowodować, żeby pan skonał ze śmiechu, ani „zabawić" pana na śmierć. Chcę, żeby pan wyzionął ducha, panie Ordz, po prostu umarł.

Już pana do tego przygotowałem i wiem, że dam sobie z tym radę.

Pan Ordz pomyślał, że się przesłyszał, ale prezenter powtórzył:

— Wyzionął ducha, panie Ordz, tak, wyzionął ducha. Tylko niech pan słucha, na miłość boską, bo mówiłem, że mam na to zaledwie tydzień czasu.

Pan Ordz przekręcił gałkę i ukazał mu się obraz kontrolny, jedyne, co mogło mu się ukazać o drugiej nad ranem. Zajrzał do programu telewizyjnego sprzed dwóch tygodni i stwierdził, że nie było w nim we wtorek o tej godzinie żadnej „dyskusji", wobec czego zadzwonił na policję.

— Włączyłem się na jakiś dziwny kanał — powiedział. — Może byście przyjechali i zobaczyli, co to jest.

— Niech pan zaczeka do rana, na pewno wszystko będzie w porządku — odparł funkcjonariusz policji. — Nie możemy przyjeżdżać na każde zawołanie.

— Dobrze — powiedział pan Ordz — ale ja przecież nigdy nie wzywam policji, tu się naprawdę dzieje coś przedziwnego.

Idąc spać delikatnie poklepał żonę po ramieniu i szepnął:

— Złapałem w telewizji coś idiotycznego. — Ale kiedy westchnęła konwulsyjnie, pan Ordz zaszył się w najdalszy kąt łóżka udając, że go nie ma.

Nazajutrz wieczorem pogrążył się w lekturze książki o szkockich grotach, którą czytał do późna w nocy, ale kiedy nadeszła druga godzina, odłożył książkę i włączył telewizor.

— Byłoby lepiej, gdybyś włączał mnie wcześniej — powiedział prezenter, który wystąpił w krzykliwej marynarce w kratkę uśmiechając się nieszczerze. — Przecież i tak będziesz się snuł bez celu, aż w końcu mnie włączysz, dlaczego więc nie miałbyś zrobić tego wcześniej? No, a teraz przechodzimy do twego numeru, Ordz. Uważam, że to nie ma najmniejszego sensu, przypomina mi tuczenie rzeźnego cielęcia, ale z pewnych względów muszę dawać ci co wieczór jakiś numer.

Piosenkarka, ta sama co poprzedniego wieczoru, ukazała się w kostiumie jak z festynów Ameryki Łacińskiej. Z zaciekłością strzelała palcami odmierzając rytm lirycznej piosenki, której słowa brzmiały: „Waduu, waduu, waduu wej. Hej, hej, hej, hej, waduu wej". Zakończyła słowem „Tak" i głębokim ukłonem, a prezenter powiedział:

— Byłoby źle, gdybyś mnie wyłączył. To nie znaczy, że mógłbym cię stąd dosięgnąć w sensie fizycznym. Nie, chciałbym, żeby sprawa była jasna. Nie mogę cię stąd ani zastrzelić, ani zadać ci szybkiego, zręcznego ciosu. To nie ten układ. Nasz układ polega na tym, że mam sześć dni czasu na to, żeby cię zabić, ale nie wolno mi tego zrobić bezpośrednio. Będę więc usiłował doprowadzić cię do stanu takiego

rozstroju nerwowego, Ordz, że w pewnym momencie podniesiesz się, pójdziesz do swego pokoju i dostaniesz tam ataku serca. Nie wiem, czy jesteś chory na serce, a poza tym nie mam prawa cię o to pytać. Ale tak mimochodem zdążyłem cię wybadać. To, czy cię lubię, czy nie, nie ma właściwie żadnego znaczenia — najważniejsze, żebym zdobył sobie patrona. Choć właściwie nie będę owijał w bawełnę: mam cię w nosie. Jesteś człowieczkiem małego formatu, a twoje życie to coś beznadziejnego. Jeśli mam być szczery, mówię to po części dlatego, że tak myślę, a po części dlatego, żeby cię zdenerwować i zobaczyć, czy nie uda mi się spowodować tego ataku serca. A teraz wiadomości. Układ przewiduje, że mam ci dawać tylko migawki z katastrof samolotowych i jakichś większych kataklizmów. To jest kompromis i myślę, że idąc na niego dobrze zrobiłem. Początkowo miałem ci dawać i wydarzenia polityczne.

Pan Ordz obejrzał pierwszy kawałek — eksplozję DC–7 w Paragwaju — po czym zgasił telewizor i znów zadzwonił na policję. Odezwał się inny funkcjonariusz, więc wyjaśnił:

— Wczoraj w nocy dzwoniłem w sprawie programu telewizyjnego. Zwariowanego programu…

— Nie wiem, z kim pan rozmawiał — odparł policjant. — Ciągle mamy telefony w sprawie telewizji, nie możemy jeździć do wszystkich.

— Zgoda — rzekł pan Ordz — wprawdzie wczoraj dzwoniłem, ale to nie znaczy, że robię to ciągle.

Jedyną osobą, którą pan Ordz znał w telewizji, był jego kuzyn Rafael, zastępca dyrektora do spraw technicznych. Następnego dnia w przerwie obiadowej poszedł zobaczyć się z Rafaelem. Spotkanie było krótkie.

— Nie sądzę, żeby to był właściwy sposób na człowieka — powiedział pan Ordz. — Owszem, doceniam dowcip, ale nie uważam, żeby należało eksploatować go przez tydzień. A jeślibym rzeczywiście dostał ataku serca?

— Ale o co ci chodzi? — zapytał Rafael jedząc banana. Był na bananowej diecie i zawsze zabierał na lunch po kilka bananów.

— O telewizor — odpowiedział pan Ordz. — Coś się z nim stało.

— Naprawimy, naprawimy — rzekł Rafael. — Nie masz się czego krępować. Gdybyś ty był krawcem, przyszedłbym do ciebie z marynarką. Nie widzę powodu do wstydu. Wstyd owijać w bawełnę. Ale jeżeli nawalił ci telewizor, to go po prostu zreperuję. To nie ma znaczenia, że cały dzień przy tym pracuję. Grosza od ciebie nie wezmę. No, kupisz mi parę bananów i to wystarczy. To cholerna dieta, jeśli człowiek nie potrafi podejść do tego z humorem. Ale ja potrafię.

— Ty nic nie rozumiesz — powiedział pan Ordz bezradnie. — A ja nie mam siły ci tłumaczyć.

Wrócił do swojej pracy, a późno w nocy, zamiast trzymać się z dala od telewizora, zapalił go dokładnie o drugiej. Prezenter był tym razem przebrany jak na obchody wigilii Wszystkich Świętych.

— A więc mamy środę — powiedział — i stare… poczciwe…

Pan Ordz przerwał mu w pół zdania zmieniając kanał. Czekał ze cztery czy pięć minut, czując, jak mu wali serce, po czym zdenerwowany przycisnął pierś, jakby chciał je uspokoić. Następnie znów przekręcił gałkę i prezenter kończył zdanie:

— …serce jeszcze bije, ale musisz pamiętać… — pan Ordz znów przekręcił gałkę i tym razem odczekał około dziesięciu minut, przyciskając pierś, po czym znów złapał ten sam kanał i znów to samo zdanie: …że to się kumuluje. Dla mnie sprawa przedstawia się lepiej, zwłaszcza z dramatycznego punktu widzenia, jeżeli uwieńczę swoje dzieło finałem na samym końcu tygodnia. Będę mógł w ten sposób stopniować napięcie, zanim wykończę sprawę, to znaczy wykończę ciebie, elegancko i dokładnie, w ostatniej chwili. Co to? — Prezenter osłonił ręką ucho, zajrzał za kulisy, po czym powiedział: — Mówią, Ordz, że próbowałeś zmieniać kanały i jesteś zdenerwowany, ale że nawet jak mnie na chwilę wyłączałeś, to i tak nie mogłeś uronić z tego, co mówię, ani słowa. Wszystko mi zresztą jedno, czy jesteś zdenerwowany, czy nie, w każdym razie im więcej wstrząsów, tym lepiej, chociaż wolałbym, żebyś nie wykorkował przed upływem tygodnia.

Pan Ordz wstał i patrząc w telewizor powiedział:

— Jeszcze nie próbowałem z tobą rozmawiać, ale zaczynasz mnie złościć. To, że się denerwuję, nie ma zresztą większego znaczenia, dopóki nie osiągnę pewnego stadium, kiedy przestaję cokolwiek czuć. Wtedy nie boję się ani ataków serca, ani lekarzy, ani tego, że dostanę po pysku, mogę nawet powiedzieć, że drwię sobie ze śmierci. Mój wzrost, słabe ręce czy przyrodzenie nic do tego nie mają. A ja jestem teraz wściekły, a kiedy jestem wściekły, zaczynam nagle wyrażać się jasno, nie boję się nikogo i mogę być nawet groźny. Obojętne, gdzie w tej chwili jesteś. Wystarczy, że tu przyszedłeś i t o zrobiłeś — przysięgam, że ci to nie ujdzie na sucho, i możesz mi wierzyć, bo jak jestem w takim nastroju, nie istnieją dla mnie żadne przeszkody.

— Uspokój się — powiedział prezenter zapalając papierosa. — Usiądź. Przyznaję, że czuję się trochę zdenerwowany, ale to i tak niczego nie zmieni. Jestem w tej chwili w studio, owszem, ale jesteśmy tak inteligentnie zamaskowani, że absolutnie nikt by nas nie znalazł. Więc nawet największa wściekłość na świecie na nic się nie zda. Uspokój się na chwilkę, to się przekonasz. Zaśpiewaj, Connie.

Wyszła piosenkarka, z kamienną twarzą, ubrana jak studentka w sweter i spódnicę. Naiwnie przebierała w miejscu nogami, czekając na akompaniament, kiedy pan Ordz wykrzyknął:

— Jej też nie mam zamiaru słuchać!

— Kto ci powiedział? — zapytał prezenter zaniepokojony, podnosząc się. — To mi oczywiście utrudni pracę. W tej cholernej telewizji nic nie można utrzymać w tajemnicy. Wobec tego wiesz pewnie, że masz do wyboru trzy zespoły na zmianę: grupę taneczną flamenco Elbaya, Żonglujących Olbrzymów Orsona i Akrobatoramę Alonza.

— Niech już będzie Akrobatorama — odrzekł pan Ordz potrząsając pięścią w stronę telewizora. — Ale to wcale nie znaczy, że mam zamiar się z tym pogodzić albo zostawić cię w spokoju. Po prostu lubię akrobatów i nigdy nie pomijam okazji, żeby sobie na nich popatrzeć. Potem obejrzę te twoje zakichane wiadomości i idę spać. — Pan Ordz usiadł wygodnie i podziwiał akrobatów, którzy kilkakrotnie bisowali.

Następnie znów ukazał się prezenter. Tym razem w wieczorowym żakiecie, i z papierosem.

— No, dziś przejdę od razu do wiadomości. Owszem, jestem troszeczkę zdenerwowany i nie mam powodu się tego wypierać. Nie wyobrażasz sobie chyba, że zajmowanie się tym przez cały tydzień należało do przyjemności. Chodzi mi tylko o to, żeby sobie wreszcie zdobyć cholernego patrona, i pryskam stąd. Toby było tyle na dzisiaj, a teraz masz swoją kronikę wypadków. Zresztą polubiłem cię bardziej, niż sobie wyobrażałem, więc załatwiłem z nimi, że będę ci dawał i trochę sportu. Dziś jest o wykolejeniu się w Nowym Meksyku wagonu wiozącego zawodników futbolowych; mimo wszystko to wiadomość sportowa.

Następnego dnia pan Ordz poszedł do lekarza skarżąc się na ból brzucha.

— To może być albo ból rzeczywisty, albo urojony — wyjaśnił.

— Czy mógłby go pan opisać? — poprosił doktor.

— Jest czerwony z szarymi brzegami i nie ustaje.

— Prawdopodobnie ustąpi — orzekł doktor. — Kiedy zrobi się niebieski, proszę mi dać znać, to go usuniemy.

— Czy pan sobie ze mnie żartuje? — zapytał pan Ordz.

— Jestem lekarzem — odparł doktor.

Pan Ordz został w mieście i poszedł wieczorem do kina na zagraniczny film o niespokojnej koziej fermie. Po filmie wyszedł do foyer. Znalazł się sam przed zapalonym telewizorem. Prezenter był ubrany jak uczestnik festynu z filmu „La Strada”.

— Spodziewałem się tego — powiedział. — Wywiad doniósł, że i tak będziesz patrzył. Gdyby doktor ci powiedział, że twoje życie od tego zależy, to nawet wtedy byś musiał chociaż zerknąć. Wiedziałem, że dziś będziesz się trzymał z daleka od swego telewizora, ale nie miałem jednocześnie wątpliwości, że w jakiś telewizor sobie

popatrzysz. Ci, co nie doceniają instytucji wywiadu, są głupi. Proszę cię, zapomnij o tym, co ci wczoraj mówiłem — że jestem zdenerwowany. Wiem jedno: albo zdobędę patrona, albo nic nie wskóram. Gdybym mógł stąd sięgnąć i rozpłatać ci brzuch, uczyniłbym to bez mrugnięcia okiem. Sytuacja jednak wymaga tego, żebym cię dręczył, aż sam się wykończysz. Nawiasem mówiąc, mogę ci zdradzić więcej: wywiad doniósł, że będziesz tu dziś wieczorem, więc się zakręciłem zręcznie i wpuścili mnie na wizję znacznie wcześniej, niemal w pierwszej kolejności. Możesz sobie złapać kronikę wypadków, jak wrócisz do domu, o drugiej. A oto twoja Akrobatorama! Aha, jeżeli ktoś wejdzie, jak my będziemy na wizji, to umawiamy się, że robimy nasz zwykły program z nagrodami.

Po trzecim bisie zespołu Alonza pan Ordz wsiadł w pociąg i pojechał do domu. Stojąc między wagonami wysunął w pewnym momencie nogę na zewnątrz, ale cofnął ją po chwili, tak że jednak był w domu na kronice wypadków o drugiej.

Nazajutrz, w piątek wieczorem, pani Ordz przysiadła się do niego na kanapce przed telewizorem i obsypała jego nos pieszczotliwymi ukąszeniami.

— Oj, bo nie wytrzymam — powiedziała, a jej obfite łono falowało w podnieceniu. — Ostrzegam cię, że nie wytrzymam, a pamiętaj, że nie mamy tu żaluzji.

— Opanuj się — powiedział pan Ordz. — Wielu rzeczy ci nie mówię, ale to jedno muszę. — I opowiedział jej historię o tajemniczym kanale i o groźbach prezentera. Ale jej oczy były zamknięte i pani Ordz wyszeptała:

— Mówisz do mnie jakieś słowa, ale ja słyszę tylko chrapliwe zwierzęce dźwięki. Pieść mnie, pieseczku, pieść mnie, bo nie wytrzymam.

— Nikt mnie nie może zrozumieć, bo jestem zbyt zdenerwowany tym, co chcę powiedzieć — rzekł pan Ordz. — Gdybym tylko osiągnął ten stopień wściekłości, gdybym go tylko osiągnął, każdy by mnie zrozumiał jasno i wyraźnie.

— Szalony — powiedziała pani Ordz przez zaciśnięte zęby. — Jesteś szalony jak wiatr.

— Opanuj się, bardzo cię proszę — błagał pan Ordz, ale jego żona nie dała się zbyć, aż w końcu zaniósł jej zwaliste cielsko na górę, skąd wrócił dopiero o 2.30. Piosenkarka o zaciętej twarzy powiedziała:

— Kazał cię zawiadomić, że jest zaziębiony, ale że przyjdzie jutro wieczorem, choćby nawet skonał. Ja też nie wiem, jak on się nazywa. Powiedział, że nie miał czasu załatwić zastępstwa i że masz iść spać, chyba że chciałbyś posłuchać, jak ja śpiewam.

— Nie — odparł pan Ordz. — Nic mnie nie obchodzą twoje produkcje. Nie mam zamiaru się z tym pogodzić. Chcę tylko zobaczyć,

jak daleko cała ta sprawa zajdzie.

— W porządku. To ty życzyłeś sobie akrobatów, tak? A czy ty myślisz, że ja bym występowała w tym nędznym programie, gdybym miała coś lepszego? Ale uważam, że lepiej się pokazać na wizji niż nie, bo można przy tym ponawiązywać kontakty. Ja jestem właściwie modelką, więc skoro nie chcesz, żebym ci coś zaśpiewała, to pójdę, bo jestem dziś umówiona na pozowanie. Pracuję tylko dla legalnych fotografów.

Rano pan Ordz wezwał swoją sekretarkę i powiedział:

— Wszystkiego razem w obligacjach, bonach oszczędnościowych i gotówce będzie jakieś sześć tysięcy dolarów. Chciałbym, żeby to dostała moja żona.

— To niech pan jej to da — odparła dziewczyna. — Nie wiem, o co panu chodzi.

— Chodzi mi o to, żebyś o tym wiedziała na wypadek, gdyby mi się coś stało.

— Czy pan się źle czuje? — zapytała. — Musi pan wobec tego napisać testament. Fakt, że pan to komuś powie, nie ma najmniejszego znaczenia.

— Nie będę sobie zawracał głowy żadnymi testamentami. Powiedziałem tobie, a więc o tym wiesz, i to wystarczy.

— Ale ja nie mam żadnych pełnomocnictw — broniła się sekretarka.

— Nie sprzeczaj się ze mną. Po prostu o tym wiedz.

Program zaczął się znacznie później i prezenter, który miał na sobie tym razem uniform lekarza stażysty, wycierał nos.

— Miałem grypkę. Przynajmniej raz w ciągu zimy mi się to zdarza, zresztą jeszcze mi nie przeszło. No, ale czasu zostało właściwie niewiele, nie chcę się z tobą droczyć i przyznam: przyszło mi do głowy, że twoje serce mogłoby nie nawalić i że zostałbym bez patrona. Wywiad doniósł mi o bólu brzucha i to mnie oczywiście znacznie uspokoiło. Już się wykańczasz. Dziś w nocy będę cię miał, Ordz. Posłuchaj: to będzie dla ciebie mniej więcej tyle, co wypalenie ostatniego papierosa. Ty masz dosyć mnie, ja mam dosyć ciebie. Jeżeli, powiedzmy, w tej chwili pójdziesz na górę i wypijesz butelkę jodyny, nie będziesz musiał oglądać całego cholernego programu. Warunki są chyba uczciwe, nie uważasz?

Pan Ordz upuścił serowe ciasteczko, które właśnie jadł, i powiedział:

— Na miłość boską, ja chyba oszaleję.

— A możesz mi wierzyć — rzekł prezenter — że dzisiejszy program nie będzie przyjemny. Ja mam całą serię ponurych parodii piosenek, i to naprawdę ponurych, w rodzaju „To ja, wampir”, a poza tym jest w planie godzinny reportaż filmowy z miejsca wypadku:

eksplozja i pożar autobusu dowożącego dzieci do szkoły. Idź lepiej na górę, weź swój pułkowy krawat czy nawet dwa…

— Zaczynam osiągać to stadium wściekłości, kiedy kpię sobie ze śmierci — powiedział pan Ordz wstając z kanapki.

— …zrób z nich pętlę, przywiąż powiedzmy do prysznica, wsadź tam zgrabnie głowę i — wszyscy pójdziemy sobie wcześniej do domu.

— Ja ci pokażę! — wrzasnął pan Ordz i z tymi słowy wyrżnął ręką w ekran telewizora niszcząc obraz. Poczuł coś lepkiego na przegubie ręki i krew buchnęła na wszystkie sześć tomów pamiętników wojennych Churchilla ochlapując „Nadchodzącą burzę" i zalewając kompletnie „Ich najpiękniejszą godzinę". Pan Ordz przyglądał się swojej ranie i dopóki nie zrobiło mu się słabo, grzebał w niej palcem, patrząc, jak za każdym razem krew tryska z nową siłą. W końcu podczołgał się na czworakach do swojej śpiącej żony i szarpnął ją za brzeg koszuli.

— Nie wytrzymam, nie wytrzymam — wymamrotała sennie, po czym otworzyła oczy. — Jezus Maria, czy szpital będzie teraz otwarty? — Włożyła szlafrok, ale pan Ordz zdążył już stracić przytomność. Krew przesiąkła przez koszulę pani Ordz, kiedy dźwigała męża w swoich pulchnych ramionach mówiąc: — Przebacz mi, Panie Boże, ale nawet to jest podniecające. — Wsadziła go do samochodu, z ulgą dostrzegając lekkie pulsowanie na szyi.

W szpitalu młody lekarz powiedział:

— Proszę go dać tutaj. Ja już miałem do czynienia z ukąszeniami przez pszczoły. Och, to on nie został ukąszony przez pszczołę?

— Ale wy, młodzi lekarze, jesteście bystrzy! — powiedziała pani Ordz.

W końcu doktor skrępował opaską elastyczną i bandażem rękę panu Ordzowi, który jakimś cudem odzyskał na moment przytomność.

— Są jeszcze tacy, z którymi muszę się policzyć — powiedział. Ale właśnie w tej chwili ostatnia fontanna krwi bluznęła na szpitalne linoleum. Pan Ordz zamknął oczy i nie odezwał się więcej.

Kiedy znów zaczął widzieć, jacyś ludzie smarowali mu twarz różnymi płynami.

— Widzę, że szykujecie mnie do drewnianej skrzynki — rzekł, ale nikt mu nie odpowiedział. Wklepano mu w twarz jeszcze więcej rozmaitych specyfików. Ubrano go w smoking i gdzieś wywleczono.

Kątem oka zobaczył, jak prezenter i dwóch trzymających go za łokieć eleganckich panów wyglądających na menedżerów wzbija się w górę z dachu budynku czy też pomieszczenia, w którym się znajdował. Wszystkim trzem wyrosły nagle skrzydła. Wtedy wyniesiono pana Ordza. Przysunięto mu do twarzy silne lampy i kamery zaczęły warczeć. Podsunięto mu przed oczy ogromną tablicę z wielkimi napisami i jeden z tych, co go nacierali, powiedział:

— Uśmiechaj się cały czas. Dobra, możesz czytać.

— Nie chcę — odparł pan Ordz — jestem już dostatecznie wściekły, żeby kpić sobie z was wszystkich w żywe oczy, nawet jeśli nie żyję. — Ale z jego ust nie dobył się żaden dźwięk. Lampy zrobiły się jeszcze gorętsze. A potem pan Ordz spojrzał na tablicę, poczuł, jak jego usta układają się w nieszczery uśmiech, i usłyszał swoje własne słowa skierowane do człowieka, który siedząc naprzeciwko niego w pokoju, przypominającym salon, zajadał pajdki proteinowego chleba:

— No cóż, Simons, mam dokładnie tydzień czasu na to, żeby cię zabić. I nie będę owijał w bawełnę: rzeczywiście chcę pozbawić cię życia, chcę, żebyś wyzionął ducha. To nie żadna sprawa osobista. Po prostu muszę załatwić sobie patrona. Ale zanim coś w tej sprawie zrobimy, rozerwij się trochę: Bliźnięta Tatzo na trapezie.

Przełożyła Zofia Uhrynowska

Clifford D. Simak
CHODZIĆ PO ULICACH MIASTA

To Walk a City's Street

Joe zatrzymał samochód.

— Wiesz, co masz robić — powiedział.

— Mam chodzić po ulicy — powiedział Ernie. — Nic nie robić. Mam chodzić tak długo, aż mi ktoś powie, że już wystarczy. Ci faceci też już tam są?

— Są.

— Dlaczego nie mogę pójść sam?

— Zwiałbyś — powiedział Joe. — Już raz tak było.

— Tym razem bym nie uciekał.

— Tylko tak gadasz!

— Nie podoba mi się ta praca — powiedział Ernie.

— To jest bardzo dobra praca. Nie musisz nic robić, po prostu chodzisz sobie po ulicy.

— Tak, ale ty mi te ulice wskazujesz. Nie mogę sobie wybierać.

— Co za różnica po jakiej ulicy chodzisz?

— Nie mogę robić tego, na co mam ochotę. To właśnie jest ta różnica. Nawet nie mogę chodzić tam, gdzie chcę.

— A gdzie chciałbyś chodzić?

— Nie wiem — powiedział Ernie. — Gdziekolwiek. Tam, gdzie byście mnie nie obserwowali. Kiedyś było inaczej. Robiłem, co chciałem.

— Teraz masz co jeść — powiedział Joe. — I co pić. Masz gdzie spać. Masz forsę w kieszeni. Pieniądze w banku.

— Coś tu nie gra — powiedział Emie.

— Słuchaj, stary, co ci właściwie jest? Nie chcesz pomagać ludziom?

— Nie powiem, żebym nie chciał. Ale skąd mogę wiedzieć, że im pomagam? Mam na to tylko twoje słowo. Twoje i tego faceta z Waszyngtonu.

— On ci to wyjaśniał.

— No tak, dużo gadał, ale nie wszystko zrozumiałem. Nie wiem, czy mam wierzyć w to, co mówił.

— A ty myślisz, że ja zrozumiałem — powiedział Joe. — Widziałem za to liczby.

— Nie znam się na liczbach.

— Ruszysz wreszcie, czy może mam cię popchnąć?

— No dobra, już idę. Kiedy mam się zatrzymać?

— Powiemy ci.

— I będziecie mnie obserwować?

— No jasne — powiedział Joe.

— To jest taka nędzna dzielnica. Dlaczego zawsze muszę chodzić po ulicach takich dzielnic?

— Powinieneś się tu czuć jak u siebie. W podobnej mieszkałeś, zanim cię odnaleźliśmy. W innej nie czułbyś się szczęśliwy.

— Ale tam, skąd mnie zabraliście, miałem przyjaciół. Susie, Jake, Pawiana i innych. Dlaczego nie mogę już do nich wrócić?

— Bo zacząłbyś gadać. Wypaplałbyś wszystko.

— Nie ufacie mi.

— A czy możemy ci ufać, Ernie?

— Chyba nie — powiedział Ernie. Wysiadł z samochodu. — Ale ja byłem szczęśliwy, kapujesz?

— Tak, tak — powiedział Joe. — Wiem.

Na stołku barowym siedział jakiś mężczyzna. Dwóch innych przy stoliku w głębi sali. Ten lokalik przypomniał mu tamten bar, gdzie razem z Susie, Pawianem, a czasem z Jake i Mary spędzali wieczory przy piwie. Usadowił się na stołku. Było mu wygodnie i czuł się prawie tak, jak za dawnych, dobrych czasów.

— Dla mnie jeden głębszy — powiedział do barmana.

— Masz forsę, przyjacielu?

— No pewnie, że mam forsę.

Ernie położył dolara na blacie. Barman wyjął butelkę i nalał. Ernie przełknął jednym haustem.

— Jeszcze raz to samo — powiedział. Barman nalał następnego.

— Ty chyba nie jesteś stąd — powiedział.

— Nigdy przedtem tu nie byłem.

Siedział teraz spokojnie, sącząc powoli trzeci kieliszek.

— Zgadnij, co ja robię? — spytał barmana.

— Nie mam pojęcia, co robisz. Pewnie to, co wszyscy. To znaczy nic…

— Leczę ludzi.

— Naprawdę?

— Chodzę sobie i leczę ludzi.

— Dobrze się składa — powiedział barman. — Mam właśnie katar. Wylecz mnie.

— Już jesteś wyleczony — powiedział Ernie.

— Czuję się tak samo, jak wtedy, kiedy tu wszedłeś.

— Poczekaj do jutra. Już jutro poczujesz się lepiej. Na to trzeba czasu.

— Ale ja ani myślę ci za to płacić!

— Wcale nie musisz płacić. Inni mi płacą.

— Jacy inni?

— Po prostu inni ludzie. Nie wiem, kim są.
— Pewnie są stuknięci.
— Nie chcą mnie puścić do domu — poskarżył się Ernie.
— No, to nic strasznego.
— Miałem przyjaciół. Susie, Pawiana…
— Każdy ma przyjaciół — powiedział barman.
— A ja emanuję. Właśnie tak im się wydaje.
— Co robisz?
— Emanuję. Tak to nazywają.
— Nigdy jeszcze nie słyszałem o czymś takim. Chcesz drinka?
— Dobra, nalej jednego. Potem będę musiał już iść. Charley stał na chodniku przed barem i spoglądał na niego. Ernie nie chciał, żeby Charley teraz wszedł i powiedział na przykład: „ruszaj do roboty". Czułby się głupio.

W oknie na górze dostrzegł szyld i wbiegł pędem po schodach. Jack stał po przeciwnej stronie ulicy, a Al tylko o jeden dom przed nim. Zobaczą go i przybiegną, ale może zdąży dostać się do biura, zanim go dopadną.

Na drzwiach tablica: Lawson & Cramer. Prawnicy.

Wpadł do środka.

— Muszę się widzieć z prawnikiem — powiedział sekretarce.
— Czy jest pan umówiony?
— Nie, nie jestem umówiony, ale potrzebny mi jest natychmiast jakiś prawnik. Mam pieniądze…

Wyciągnął garść pomiętoszonych banknotów.

— Pan Cramer jest zajęty.
— A ten drugi? Też jest zajęty?
— Nie ma żadnego drugiego. Kiedyś był…
— Niech pani posłucha, ja nie mam czasu na wygłupy.

Drzwi od gabinetu otworzyły się, stanął w nich jakiś mężczyzna.

— Co tu się dzieje?
— Ten pan…
— Nie jestem żaden pan — powiedział Ernie. — Potrzebny mi jest prawnik.
— Dobrze — powiedział mężczyzna. — Proszę wejść.
— To pan jest Cramer?
— Tak, to ja.
— Pomoże mi pan?
— Spróbuję.

Cramer zamknął drzwi i usiadł przy biurku.

— Proszę usiąść — powiedział. — Nazwisko pana?
— Ernie Foss.

Cramer zapisał to na kartce żółtego bloku.

— Ernie. To chyba od Ernesta?

— Zgadza się.

— Pański adres, panie Foss?

— Nie mam adresu. Podróżuję. Dawniej miałem adres. Miałem przyjaciół. Susie, Pawiana i…

— O co właściwie chodzi, panie Foss?

— Trzymają mnie.

— Kto trzyma?

— Rząd. Nie puszczają mnie do domu i przez cały czas mnie obserwują.

— Dlaczego sądzi pan, że pana obserwują? Co im pan zrobił?

— Nic nie zrobiłem. Widzi pan, ja mam w sobie to coś.

— Co ma pan w sobie?

— Leczę ludzi.

— Pan chyba nie jest doktorem.

— Doktorem nie jestem. Tylko leczę ludzi. Chodzę i leczę. Ja emanuję.

— Co pan robi?

— Emanuję.

— Nie rozumiem.

— We mnie jest coś. Coś, co ja rozprzestrzeniam. Ma pan może katar, albo coś w tym rodzaju?

— Nie, nie mam kataru.

— Gdyby pan miał, tobym pana wyleczył.

— Powiem coś panu, panie Foss. Niech pan wyjdzie do tamtego pokoju i usiądzie. Zaraz przyjdę.

Wychodząc Ernie zobaczył, jak mężczyzna sięga do telefonu. Nie czekał. Błyskawicznie wypadł do hallu. Jack i Al już tam byli.

— Głupio zrobiłeś — powiedział — Joe.

— On mi nie uwierzył — powiedział Ernie. — Chciał dzwonić. Ściągnąłby gliny.

— Może uwierzył. Baliśmy się, że mógłby uwierzyć. Dlatego tu jesteśmy.

— Zachowywał się tak, jakby myślał, że jestem nienormalny.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Przysługują mi pewne prawa — powiedział Ernie. — Prawa obywatela. Nie słyszeliście nigdy o czymś takim?

— No jasne, że słyszeliśmy. Przysługują ci prawa. Wszystko ci wyjaśniono. Jesteś zatrudniony na państwowej posadzie. Zgodziłeś się na pewne warunki. Płacą ci. Wszystko jest załatwione legalnie.

— Ale coś mi się tu nie podoba.

— Co ci się nie podoba? Zarobek masz niezły. Praca jest lekka. Po prostu trochę sobie spacerujesz. Niewielu jest takich, którym się płaci

za chodzenie.

— Jeżeli mi tak dobrze płacą, to dlaczego zatrzymujemy się w takich nędznych hotelach?

— Nie płacisz za pokój ani za jedzenie — powiedział Joe. — To wszystko idzie z kasy państwowej. Zajmujemy się tym za ciebie. A nie zatrzymujemy się w lepszych hotelach, bo nie jesteśmy odpowiednio ubrani. W hotelu lepszej kategorii wyglądalibyśmy śmiesznie. Zwracalibyśmy powszechną uwagę.

— Wy wszyscy ubieracie się tak jak ja — powiedział Ernie. — Dlaczego? I mówicie podobnie.

— Na tym między innymi polega nasza praca.

— Wiem. Nędzne dzielnice. Jeżeli o mnie chodzi, to wszystko w porządku. Całe życie spędziłem w takich dzielnicach. Ale z wami, chłopaki, to co innego. Jesteście przyzwyczajeni do białych koszul, krawatów i garniturów. Wyczyszczonych i odprasowanych. I założę się, że kiedy nie jesteście ze mną, nawet mówicie inaczej.

— Jack — powiedział Joe — idźcie z Alem coś przekąsić. Ja i Charley przyjdziemy później.

— A właśnie — powiedział Ernie. — Nigdy nie wchodzicie ani nie wychodzicie razem. Tak to wygląda, jakbyście się nie trzymali razem. Czy to dlatego, żeby nas nie zauważono?

— Och — westchnął Joe mając już tego powyżej uszu. — Co za różnica?

Jack, Al i Ernie wyszli.

— To zaczyna być trudne — powiedział Charley.

— No wiesz — powiedział Joe. — Jest tylko jeden taki jak on i to na dodatek kretyn. Lub przynajmniej coś w tym rodzaju.

— Nie słychać dotąd o nikim innym?

Joe potrząsnął głową — Nie. Na pewno nie do ostatniej mojej rozmowy z Waszyngtonem. To znaczy do wczoraj. Rzecz jasna, robią wszystko, co jest w ich mocy, ale jak się do czegoś takiego zabrać? Jedyne wyjście to statystyka. Znalezienie — jeśli to kiedykolwiek nastąpi — innych obszarów, na których nie występują choroby i tam wyłowienie tego, kto jest przyczyną takiej sytuacji.

— To znaczy drugiego takiego jak Ernie?

— Tak, drugiego takiego jak Ernie. Ale wiesz co? Chyba już takiego drugiego nie ma. To fenomen.

— Dlaczego nie miałby istnieć jeszcze jeden fenomen?

— Szanse są bardzo nikłe. A zresztą nawet gdyby był taki, to jakie są z kolei szansę na odnalezienie kogoś takiego? To był cholernie szczęśliwy traf, że do Erniego dotarliśmy.

— Złe się do tego zabieramy.

— Oczywiście że źle. Prawidłowe, naukowe podejście polega na zbadaniu, dlaczego on jest właśnie taki. Próbowali już, pamiętasz?

Prawie rok się z tym babrali. Dziesiątki testów, on się wściekał, chciał wracać do Susie i Pawiana.

— A jeżeli zaprzestali w chwili, kiedy byli już bliscy rozwiązania zagadki?

Joe potrząsnął głową. — Nie sądzę, Charley. Rozmawiałem z Rosenmeirem. Twierdzi, że to jest beznadziejna sprawa. A jeżeli Rosy przyznaje, że coś jest beznadziejne, to znaczy, że to musi być rzeczywiście twardy orzech do zgryzienia. Długo łamano sobie nad tym głowę, zanim zdecydowano, co trzeba zrobić. Nie można go było trzymać w Waszyngtonie i robić dalszych badań, w momencie gdy szansa na dowiedzenie się czegoś była tak niewielka. Mieli go w ręku. Wykorzystanie tego było więc następnym logicznym posunięciem.

— Ale nasz kraj Jest olbrzymi. Jest tak wiele miast… Tak wiele zapadłych mieścin. Tyle nędzy. Robimy z nim kilka mil ulic każdego dnia. Prowadzamy go obok szpitali i domów starców, i…

— I nie zapominaj, że z każdym jego krokiem powraca do zdrowia kilkunastu chorych, kilkunastu innych dzięki niemu w ogóle nie zachoruje, co w innej sytuacji byłoby nieuniknione.

— Nie rozumiem, jak on sobie może tego nie uświadamiać. Mówiliśmy mu o tym wiele razy. Powinien być zadowolony, że może pomóc ludziom.

— Mówiłem ci. Ten człowiek to kretyn. Samolubny kretyn — powiedział Joe.

— Wydaje mi się, że trzeba na to spojrzeć także z jego punktu widzenia — powiedział Charley. — Zabraliśmy go z domu.

— Nigdy nie miał domu. Sypiał na ulicy lub w tanich hotelikach. Żebrał. Czasami kradł, kiedy nadarzała się okazja. Czasami przesypiał się z Susie. Często jadał zupę z darmowej kuchni. Szperał w śmietnikach.

— Może to mu właśnie odpowiadało.

— Może. Zupełny brak odpowiedzialności. Życie z dnia na dzień. Jak zwierzę. Teraz jest odpowiedzialny — może nawet tak bardzo, jak nikt dotąd. Ma tak wielkie możliwości, jak nikt inny poza nim. Musi przyjąć na siebie odpowiedzialność.

— Może w świecie, w którym ty żyjesz. I w którym ja żyję. Może jednak nie w jego świecie.

— Niech mnie szlag trafi, jeżeli wiem, jak to z tym jest — powiedział Joe. — Jestem już przez niego zupełnie skołowany. To jest jedno wielkie udawanie. Ta jego gadka o domu to też bujda. Mieszkał tam tylko cztery lub pięć lat.

— A może gdyby go tak zostawić w jednym miejscu i pod różnymi pretekstami przyprowadzać do niego ludzi? Siedziałby sobie nie zauważony w fotelu, a ludzie by przechodzili koło niego. Można też zabierać go na wielkie zebrania i zjazdy. Niech trochę dojdzie do

siebie. Przyzwyczaiłby się.

— Sprawa nabrałaby rozgłosu — powiedział Joe. — Nie wolno, żeby nas zauważono. Na rozgłos nie możemy sobie pozwolić. Chryste Panie, czy wyobrażasz sobie, co by to było, gdyby, stało się to publiczną tajemnicą? On się oczywiście tym chwali. W tej spelunie, do której wpadł po południu, już im pewnie wszystko wygadał. Nie zwrócili na niego uwagi. Prawnik myślał, że jest wariatem. Ernie mógłby stanąć na dachu i z wysoka wykrzykiwać to całemu światu, i tak nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Ale niech by tylko jakaś informacja wyszła z Waszyngtonu…

— Wiem — powiedział Charley. — Wiem.

— Robimy to — powiedział Joe — w jedyny możliwy sposób. „Narażamy" ludzi na brak chorób w taki sposób, w jaki są na ogół na choroby narażeni. I robimy to tam, gdzie to jest najbardziej konieczne.

— Ogarnia mnie takie dziwne uczucie, Joe.

— Jakie uczucie?

— Może my jednak popełniamy jakiś błąd? Czasami wydaje mi się, że coś tu nie gra.

— Chodzi ci o to chodzenie na „ślepo. Robienie czegoś w chwili, kiedy się nie bardzo wie, na czym to polega. Bez zrozumienia.

— Chyba tak. Nie wiem. Czuję kompletny zamęt w głowie. Chyba jednak pomagamy ludziom.

— Sobie także. Jesteśmy w tak częstym kontakcie z tym facetem, że powinniśmy żyć wiecznie.

— No tak — powiedział Charley.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. W końcu Charley spytał: — Nie wiesz przypadkiem, Joe, kiedy się skończy ta cała eskapada? Ta ostatnia ciągnie się już miesiąc. Najdłużej ze wszystkich. Jeżeli szybko nie wrócę do domu, to mnie rodzone dzieciaki nie poznają.

— Wiem — powiedział Joe. — Takiemu człowiekowi, jak ty, ojcu rodziny, na pewno jest ciężko. A mnie wszystko jedno. Alowi chyba też. Nie wiem, jak jest z Jackiem. Za dobrze go nie znam. To jest człowiek, który nigdy nic nie mówi. W każdym razie nie o sobie.

— Gdzieś chyba ma rodzinę. Nie wiem nic poza tym, że gdzieś ona istnieje. Posłuchaj, Joe, nie napiłbyś się czegoś? W torbie mam butelkę. Mogę po nią skoczyć.

— Napić się… — powiedział Joe — to nie jest taki zły pomysł.

Zadzwonił telefon i Charley, który już ruszył do drzwi, zatrzymał się w pół drogi i odwrócił.

— To może być do mnie — powiedział. — Niedawno dzwoniłem do domu i nie zastałem Myrt. Poprosiłem więc małego Charleya, żeby zadzwoniła. Podałem oba numery, w razie gdybym był tutaj.

Joe podniósł słuchawkę. Po chwili potrząsnął głową. — To nie jest Myrt. To Rosy.

Charley ruszył do wyjścia.

— Chwileczkę, Charley — powiedział Joe, nie odkładając słuchawki. — Rosy — odezwał się wreszcie do swego rozmówcy — czy aby jesteś tego pewien?

Słuchał jeszcze przez chwilę. Potem powiedział: — Dzięki, Rosy. Naprawdę wielkie dzięki. Cholernie ryzykowałeś dzwoniąc tutaj.

Położył słuchawkę i usiadł wpatrując się w ścianę.

— Co się stało, Joe? Czego chciał Rosy?

— Zadzwonił, aby nas ostrzec. Gdzieś jest błąd. Nie wiem, jaki to błąd i skąd się wziął. Wszystko okazało się wielką pomyłką.

— Co takiego złego zrobiliśmy?

— To nie my. To Waszyngton.

— Chodzi ci o Erniego. O jego prawa, czy coś w tym rodzaju.

— Tu nie chodzi o jego prawa. Charley, on nie leczy ludzi. On ich zabija. Jest roznosicielem.

— Wiemy o tym przecież. Inni ludzie roznoszą choroby, a on…

— On też roznosi chorobę. Tylko nie wiadomo jaką.

— Ale tam, gdzie kiedyś mieszkał, wszyscy przestali chorować. Wszędzie, gdzie tylko się ruszył, uzdrawiał ludzi. Dzięki temu go odnaleziono. Wiadomo było, że musi to być coś lub ktoś. Polowali tak długo, aż…

— Charley, zamknij gębę, do cholery! Powiem ci. Tam, gdzie on kiedyś mieszkał, ludzie mrą teraz jak muchy. Zaczęło się to kilka dni temu, a ludzie ciągle jeszcze umierają. Zupełnie zdrowi ludzie. Nic im nie dolega, a jednak umierają. Wszyscy.

— O Boże, Joe, to nie może być. To jakaś pomyłka.

— Nie ma żadnej pomyłki. Umierają teraz ci sami ludzie, których przedtem uzdrowił.

— Ale to przecież nonsens.

— Rosy przypuszcza, że to może jakiś nowy rodzaj wirusa. Zabija wszystkie pozostałe wirusy i bakterie, które wywoływały u ludzi choroby. Brak konkurencji, kapujesz? To coś wyniszcza konkurencję, żeby móc samemu żerować na ciele. Potem się usadawia i zaczyna rozwijać. Przez ten czas ciało jest zupełnie w porządku, bo to nie szkodzi specjalnie samemu ciału, aż przychodzi taki moment…

— Rosy się tylko domyśla.

— No pewnie, że się tylko domyśla. Ale to, co on mówi, ma jakiś sens.

— Jeżeli to prawda — powiedział Charley — to pomyśl o ludziach, o tych milionach ludzi…

— Właśnie o tym myślę — powiedział Joe. — Rosy sporo ryzykował dzwoniąc do nas. Ukamienują go, jeżeli dowiedzą się o tym telefonie.

— Dowiedzą się. To zostało odnotowane.

— Może jednak nie dojdą, że to on. Dzwonił z budki telefonicznej gdzieś z Maryland. Rosy ma porządnego pietra. Ugrzązł w tym wszystkim po szyję, tak jak i my. Tyle samo czasu spędził z Erniem co i my. Wie tyle co my, a może i trochę więcej.

— Czy on uważa, że przebywając przez ten cały czas z Erniem, my też możemy być roznosicielami?

— Nie, chyba nie o to chodzi. Ale my sporo wiemy. Moglibyśmy zacząć gadać. A nikomu nie wolno o tym wiedzieć. Wyobrażasz sobie, co by się stało, jaka by była powszechna reakcja…

— Joe, jak długo, mówiłeś, Ernie tam mieszkał?

— Cztery albo pięć lat.

— A więc tak. To jest okres czasu, który nam pozostał. Mnie, tobie i całej reszcie. Może cztery lata, a może i mniej.

— Zgadza się. Ale jeżeli nas złapią, to spędzimy te lata w takim miejscu, gdzie nie dadzą nam żadnej szansy na pomówienie z kimkolwiek. Ktoś już tu pewnie po nas jedzie. Mają przecież plan naszej marszruty.

— No to trzeba podjąć jakąś szybką decyzję, Joe. Znam takie jedno miejsce na północy. Zabiorę rodzinę. Nikomu nie przyjdzie do głowy nas tam szukać.

— A jeżeli jesteś roznosicielem?

— Jeżeli jestem roznosicielem, to moja rodzina i tak jest już zarażona. A jeżeli nie jestem, to chcę spędzić te lata…

— A inni ludzie?

— Tam, dokąd się wybieram, nie ma wielu ludzi. Będziemy sami.

— Trzymaj — powiedział Joe. Wyjął z kieszeni klucze od samochodu i rzucił je Charley'owi przez pokój.

— A co będzie z tobą. Joe?

— Muszę ostrzec resztę. Aha, Charley…

— No?

— Do rana zrób coś z tym samochodem. Będą cię szukać. Kiedy cię tu nie znajdą, wezmą pod obserwację twój dom i rodzinę. Bądź ostrożny.

— Dobra. A ty, Joe?

— O mnie się nie martw. Muszę tylko zawiadomić resztę.

— A Ernie? Nie możemy mu pozwolić na…

— Erniem też się zajmę — powiedział Joe.

Przełożyła Izabella Wagner

Henry Slesar
PO…

After

LEKARZ. Doradca do spraw zatrudnienia zamiast profesjonalnego spokoju przejawiał zupełnie nieprofesjonalne rozdrażnienie.

— Przecież to niemożliwe, żeby nie było dla pana żadnego zajęcia, doktorze — powiedział — dla człowieka z pańskim wykształceniem… W końcu wojna nie ze wszystkich zrobiła dzikusów. Już co jak co, ale zapotrzebowanie na nauczycieli wzrosło tysiąckrotnie od dnia A.

Doktor Meigham rozsiadł się wygodnie i westchnął.

— Pan nie rozumie. Ja nie jestem nauczycielem w zwykłym tego słowa znaczeniu; na przedmiot stanowiący moją specjalność nie ma już zapotrzebowania. Owszem, jest pęd do nauki — ludzie muszą sobie jakoś radzić z tym zdewastowanym światem, który odziedziczyli. Chcą się uczyć murarki, chcą być inżynierami i konstruktorami. Chcą wiedzieć, jak się buduje miasta, co zrobić, żeby uruchomić zniszczone maszyny, jak goić oparzeliny popromienne, składać połamane kości. Uczą się wykonywać protezy dla ofiar bombardowań, przystosowywać ociemniałych do samodzielnego życia, prowadzić rehabilitację umysłowo chorych, przywracać oszpeconym normalny wygląd. Te rzeczy wszystkich teraz interesują. I pan wie o tym lepiej niż ja.

— A pańska specjalność, doktorze? Sądzi pan, że nie ma już na nią zapotrzebowania?

Doktor Meigham parsknął śmiechem.

— Ja nie sądzę, ja wiem. Sprawdzałem, ale nie chcą mnie słuchać. Przez dwadzieścia pięć lat prowadziłem studium doskonalenia pamięci. Wydałem sześć książek, z których przynajmniej dwie stały się podręcznikami uniwersyteckimi. W pierwszym roku po nastaniu pokoju zorganizowałem ośmiotygodniowy kurs i otrzymałem dokładnie jedno zgłoszenie. Ale to jest właśnie mój zawód, tym się zawsze zajmowałem. Jak mogę przestawić dorobek całego życia na potrzeby tego nowego świata grozy i śmierci?

Doradca do spraw zatrudnienia zagryzł wargi; fascynował go ten problem. Kiedy doktor Meigham od niego wychodził, nie miał jeszcze pojęcia, jak mu pomóc. Popatrzył na przygarbioną postać, która powłócząc nogami opuszczała jego pokój, i zrobiło mu się przykro z powodu własnej porażki. Tej nocy, obudziwszy się nagle ze swego zwykłego sennego koszmaru, leżał długo z otwartymi oczyma myśląc o doktorze Meighamie. Rano wiedział już, co robić.

Miesiąc później w prasie rządowej ukazało się ogłoszenie, które znalazło natychmiastowy oddźwięk.

Dr med. HUGO MEIGHAM
Przyspieszony ośmiotygodniowy kurs „JAK ZAPOMNIEĆ”
Zapisy do 9 września

ADWOKAT. — Będę z panem szczery — powiedział Durrell do swojego klienta. — Gdyby czasy były inne, gdyby nie było dnia A, mógłbym panu zapewnić przynajmniej to, że odpowiadałby pan jedynie za zabójstwo. Ale w obecnej sytuacji… — zmęczonym ruchem położył rękę na ramieniu młodego człowieka.

Gdyby McAllister był posągiem, jego reakcja zapewne nie byłaby inna.

— Więc czego się mogę spodziewać? — zapytał z goryczą. — Skarżą mnie? Tak?

— Niech pan postara się zrozumieć przysięgłych — rzekł adwokat. — Od czasów wojny liczba ludności zmalała o dziewięćdziesiąt procent. A co gorsze stosunek kobiet do mężczyzn jest jak osiemset do jednego i wcale się nie poprawia. — Uniósł brwi. — Nie ma w tej sprawie żadnych oficjalnych przepisów, ale mogę panu powiedzieć jedno: gdyby pan w tamtej bójce zabił kobietę, wyrok byłby bez porównania łagodniejszy. Takie jest życie, synu. Oto, do czego doszliśmy.

— To znaczy, że nie mam żadnych szans? Ze dostanę najwyższy wymiar kary?

— Oczywiście to zależy od przysięgłych, ale chcę, żebyś był przygotowany na najgorsze, kiedy wrócisz na salę.

Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich prosta twarz woźnego sądowego.

— Sąd już się zebrał. Panie McAllister, proszę na salę.

Prawnik bez słowa machnął ręką.

Werdykt brzmiał: winny morderstwa. Przewodniczący ogłosił wyrok natychmiast, aby można było niezwłocznie przystąpić do egzekucji. Następnego dnia McAllister, biały jak papier, zgrzytając zębami, wstępował w związek małżeński z osiemnastoma żonami swojej ofiary, co w sumie, razem z jego własnymi, stanowiło trzydzieści jeden.

KUPIEC. Swanson wszedł do pokoju, w którym zebrał się zarząd, zachowując nonszalancką pewność siebie członka dyrekcji, która budziła podziw nawet wśród jego wrogów. Dla nikogo nie było tajemnicą, że nadszedł dzień, kiedy Swanson będzie musiał odpowiedzieć za to, że jako prezes Zjednoczenia Kupców Galanterii

Męskiej nie stanął na wysokości zadania. Ale Swanson był swobodny i jeśli nawet jego adwersarze zdawali sobie sprawę, że to poza, czuli się wyraźnie zaniepokojeni.

Przewodniczący rozpoczął posiedzenie bez żadnych wstępów i od razu poprosił Dział Zbytu o sprawozdanie. Wszyscy znali jego treść; do każdego z członków zarządu dotarło już ono drogą nieoficjalną. Zamiast więc wsłuchiwać się w przerażającą listę strat, nie spuszczali oka z twarzy Swansona, pilnie badając jego reakcję na to publiczne oskarżenie.

Wreszcie przemówił Swanson.

— Panowie — rzekł głosem, w którym nie było tremy — jak właśnie usłyszeliśmy, sprzedaż konfekcji męskiej zmalała znacznie od czasów wojny. Wynikłe z tego straty nie są chyba dla nikogo z nas zaskoczeniem, ale nie stratami mamy się dziś zajmować. Chodzi o niepomyślne prognozy na przyszłość, o zapowiadający się dalszy spadek sprzedaży. Panowie, pozwolę sobie te prognozy zakwestionować: twierdzę, że zbyt będzie większy niż kiedykolwiek dotychczas!

Wśród członków zarządu rozległy się szepty; przy końcu długiego stołu ktoś wybuchnął śmiechem.

— Wiem, że moja przepowiednia brzmi nieprawdopodobnie — rzekł Swanson. — I dlatego, zanim dziś opuścimy tę salę, postaram się uzasadnić to, co powiedziałem. Ale najpierw chciałbym, żeby panowie wysłuchali pewnego szczególnego raportu specjalisty, profesora Ralfa Entwillera z Amerykańskiej Fundacji Eugenicznej.

Siedzący na honorowym miejscu obok prezesa blady mężczyzna wstał. Skłonił się zebranym i zaczął mówić tak cicho, że ledwie go było słychać.

— Pan Swanson prosił mnie, żebym dziś powiedział panom o przyszłości — zaczął z wahaniem. — Nie wiem nic o branży konfekcyjnej. Moja dziedzina to eugenika, a specjalizuję się w biologii radiacyjnej…

— Czy mógłby pan to bliżej sprecyzować? — poprosił Swanson.

— Oczywiście. Zajmuję się mutacjami, panowie, mutacjami, które wkrótce staną się normą. Już teraz procent rodzących się mutantów wynosi bez mała sześćdziesiąt pięć, a jesteśmy przekonani, że z czasem wzrośnie.

— Nic z tego nie rozumiem — burknął przewodniczący, — Co to wszystko ma z nami wspólnego? Swanson uśmiechnął się.

— Bardzo wiele. — Trzymając się za klapę marynarki potoczył wzrokiem po uniesionych ciekawie twarzach. — Choćby dlatego, że będziemy sprzedawali dwa razy więcej kapeluszy.

WÓDZ. Mboyna, wódz plemienia Aolori, nie okazał strachu na

widok zbliżającej się do jego wyspy łodzi. Ale nie tylko jego pozycja zobowiązywała go do zachowania spokojnej twarzy; on jeden z całego plemienia zetknął się już przedtem z białymi. Miało to miejsce pół wieku temu, kiedy był jeszcze dzieckiem.

Gdy łódź przybiła do brzegu, jeden z białych, mężczyzna o wyglądzie uczonego, z krótką siwą bródką, podszedł do niego z wyciągniętą przyjaznym gestem ręką. Mówiąc zająkiwał się, ale przemawiał w języku ojców Mboyny.

— Przychodzimy w pokoju — rzekł. — Przemierzyliśmy wielkie przestrzenie, żeby was odwiedzić. Ja się nazywam Morgan, a to są moi bracia Hendrics i Carew, jesteśmy ludźmi nauki.

— Mówcie więc! — warknął groźnie Mboyna nie chcąc, by jego plemię posądziło go o słabość.

— Była wielka wojna — powiedział Morgan, spoglądając niepewnie na wojowników, którzy skupili się wokół swego wodza. — Biali ludzie, hen za wielkimi morzami, ciskali w siebie błyskawice. Zatruli swoją bronią powietrze, wodę i własne ciała. Ale wierzyliśmy, że istnieją na świecie zakątki nie tknięte zabójczym palcem wojny. Wasza wyspa jest jednym z nich, wielki wodzu, więc przyszliśmy się tu osiedlić i żyć wśród was. Ale przedtem musimy dokonać jednej rzeczy i dlatego prosimy was o cierpliwość.

Spośród zgromadzonych w łodzi przedmiotów przybysze wyjęli metalowe skrzynki z maleńkimi okienkami. Nieśmiało zbliżyli się do wodza i jego ludzi wyciągając w ich stronę dziwne urządzenia. Niektórzy tubylcy zaczęli się cofać, inni ostrzegawczo unieśli włócznie.

— Nie bójcie się — rzekł Morgan. — To tylko zabawki stworzone przez naszą naukę. Spójrzcie, kiedy ich oczy patrzą na was, skrzynki nie wydają żadnego dźwięku. A teraz uważajcie. — Biali ludzie skierowali okienka w swoją stronę i dziwne przedmioty zaczęły szaleńczo trzaskać.

— Wielkie czary — szeptali tubylcy zdjęci podziwem.

— Wielkie czary — powtórzył Mboyna z szacunkiem, chyląc się kornie przed białymi bogami i dowodami ich bóstwa. Z uszanowaniem zaprowadzili gości do swojej wioski, gdzie po odprawieniu odpowiednich ceremonii ścięli ich, wypatroszyli i podali na kolację.

Przez trzy dni i trzy noce uroczyście czcili własną mądrość tańcząc i paląc wielkie ognie, bo teraz i oni byli bogami. Małe skrzynki zaczęły magicznie trzaskać i dla nich.

Przełożyła Zofia Uhrynowska

Janusz A. Zajdel
RAPORT Z PIWNICY

Wydaje mi się, że mam dość dużo czasu, który muszę czymkolwiek wypełnić. Teraz, kiedy przemyślałem wszystko dokładnie pozostaje tylko czekać. Może wreszcie uda mi się zmylić ich czujność i wymknąć się stąd, może znajdę jakiś sposób…

Pomyślałem, że dobrze byłoby zanotować wszystko po kolei. Nie dlatego, abym sądził, że nie zdołam już nikomu tego opowiedzieć. Po prostu, może w ten sposób sam lepiej sobie przypomnę różne szczegóły. Notes mam, długopis także, światło trochę za słabe, ale jakoś sobie poradzę.

Aby wszystko stało się jasne i zrozumiałe, muszę chyba rozpocząć od tego momentu, gdy mój niespodziewany gość — ubrany w mój szlafrok, ogolony i umyty — zasiadł do herbaty i kanapek, które dla niego przygotowałem, gdy on buszował w mojej łazience.

Wyglądał teraz o wiele lepiej niż tam, wtedy, na ulicy, kiedy podszedł do mnie dość niespodziewanie i zagadnął. Przyznam, że przeżyłem chwilę strachu. Ulica była pusta, źle oświetlona — a on wyglądał na rzezimieszka lub co najmniej na włóczęgę, z tą nie goloną od, paru dni gębą. Sprawiał wrażenie wyciągniętego ze śmietnika i tylko z lekka otrzepanego. Gdyby nie jego nienaganny i kulturalny sposób wyrażania się, pewnie oddaliłbym się co prędzej, pozostawiając go na skraju chodnika — z rozbieganymi oczami, błądzącymi gdzieś po rynsztoku i okienkach piwnic.

Mówił szybko, urywanymi zdaniami, a oczy jego ani na chwilę nie przestawały szukać czegoś tuż przy ziemi.

Nawet teraz, siedząc w wygodnym fotelu i pijąc herbatę, co pewien czas rzucał niespokojne spojrzenia poza krąg stojącej lampy. Jadł z apetytem, łapczywie nawet, lecz najwyraźniej starał się opanować swój głód. „Jestem panu gorąco wdzięczny, serdecznie za wszystko dziękuję i zapewniam, że nie zamierzałem sprawiać panu aż tyle kłopotu” — powiedział kończąc jedzenie. „Jak pan zapewne zdołał zauważyć, w roli ulicznego obdartusa wystąpiłem przypadkowo… Całe szczęście, że w kieszeni tego starego palta znalazłem starą legitymację. Bez niej na pewno nie miałbym szans znaleźć się tutaj, w pana mieszkaniu. Pan mi zaufał, dopomógł… Sądzę, że powinienem panu wyjaśnić parę spraw, wytłumaczyć się jakoś…”

Skinąłem głową zachęcająco i poczęstowałem go papierosem, lecz podziękował i nalał sobie do szklanki trochę wody sodowej. Wypił mały łyk, odstawił szklankę i rozpoczął: „Mieszkanie opuściłem w

pośpiechu i nie z własnej woli. Stąd ta stara kapota, którą zdołałem chwycić z wieszaka w przedpokoju. Od czterech dni koczuję po mieście, sypiam w windach, albo w ogóle nie sypiam… Nie mam ani grosza, nie znam tu nikogo, a władz porządkowych nie chciałbym w to wszystko wtajemniczać… Nie, nie… Tu nie chodzi o jakieś nieporozumienie rodzinne lub sąsiedzkie. Mieszkam sam, mam nawet ładny, spory domek w południowej dzielnicy, kupiłem go niedawno… Kosztował mnie cały majątek, ale musiałem… Od roku mieszkam w tym mieście, przeniosłem się tutaj, aby zakończyć pewną… pracę… Tak, pracuję nadal mimo emerytury. Przecież nikt za mnie tego nie dokończy. Myślę, że zdążę jeszcze, mimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat… Nie wyglądam na tyle, prawda? Cóż, eliksiru młodości nie wynalazłem, ale jestem biochemikiem i pomagam sobie trochę różnymi preparatami, które mi czasem przesyłają dawni znajomi z instytutu. Mam kilku przyjaciół, ale wszyscy są dość daleko stąd i w takiej chwili trudno liczyć na ich pomoc…

Tak sobie myślę, że — na szczęście — musiało się zachować w mojej twarzy jeszcze trochę podobieństwa do tej starej fotografii w legitymacji, nieważnej już od kilkunastu lat… Mniejsza o to, pan mi uwierzył, choć i nazwisko Borel też pewnie nic panu nie mówi — chyba; że interesował się pan kiedykolwiek pewnymi specjalistycznymi zagadnieniami biochemii i fizjologii…

Więc, jak powiedziałem, moja banicja nie wynika z napiętych stosunków sąsiedzkich. Nie jestem także poszukiwany przez władze śledcze, może to pan sprawdzić telefonicznie…

Chociaż, w pewnym sensie, przyczyną mojej tu obecności są jednak „uciążliwi współlokatorzy”… ale, aby wszystko stało się jasne i zrozumiałe dla pana, muszę chyba zacząć od tego momentu, kiedy zainteresowaniem się doświadczeniami moich kolegów, którzy zresztą powtarzali eksperyment — nie pamiętam już, czyj — opisany w „Biochemistry Journal” i dotyczący możliwości biochemicznego przejęcia informacji…

Ale może powiem, na czym polegał eksperyment. Otóż posłużono się w nim egzemplarzami gatunku wypławek biały, należącymi do typu płazińców. Robaki te posiadają bardzo prosty „układ nerwowy”, interesujący jednakże o tyle, że daje się w nim zauważyć pewien splot stanowiący zaczątek centralizacji. Moi koledzy poddali kilka wypławków elementarnej „tresurze”, polegającej na wyrobieniu kilku odruchów warunkowych na bodźce fizyczne. Resztę robaków pływających sobie w akwarium pozostawiono w stanie „nieoświeconym”. Następnie „uczone” robaki posiekano i nakarmiono nimi pozostałe. Po pewnym czasie można było stwierdzić, że spora część wypławków przejawia prawidłowe reakcje na bodźce, którymi „tresowano” ich zjedzonych towarzyszy. Wobec tak dobrych efektów,

koledzy spróbowali eksperyment ulepszyć: ze względu na ograniczone możliwości konsumpcyjne pojedynczego wypławka, w następnym etapie próbowano karmić je tylko wypreparowanymi „móżdżkami". Żartowałem wówczas z tych doświadczeń. Powiedziałem kiedyś na seminarium, że oto otwiera się nowy etap w życiu sfer naukowych: dotychczas mieliśmy do czynienia jedynie z „podgryzaniem" wyżej stojących w instytutowej hierarchii przez młodszych kolegów. Teraz zaś — będzie się ich pożerał, z podwójną korzyścią dla własnej kariery naukowej.

Po zmianie metodyki eksperymentu — wyniki pogorszyły się jednak, a moi koledzy zniechęcili się i zabrali się do innych tematów badań. Ja natomiast rozpocząłem to, czego w tej chwili nie mogę doprowadzić do końca przez tę głupią historię sprzed czterech dni…

Pomyślałem sobie wtedy, po doświadczeniach, z wypławkami, że popularne powiedzonka: „tyle wie, co zje" albo „zjadł wszystkie rozumy", stracą wkrótce, być może swój sens przenośny…

Możliwość przejęcia „wiedzy" przez spożycie tkanki mózgowej oznacza wszak, że owa „wiedza" jest czymś materialnym, być może po prostu zawarta jest w cząsteczkach specyficznych związków, występujących w mózgu…

Moje wnioski potwierdziły się wkrótce. Znalazłem publikację jakichś naukowców — rumuńskich czy jugosłowiańskich, nie pamiętam — którzy wykazali, że uczenie się, zapamiętywanie informacji jest równoczesne z syntezą pewnych struktur białkowych w centralnym układzie nerwowym…

Od tego czasu zająłem się poważnie — choć nieoficjalnie — próbami wyodrębnienia tych cząsteczek z mózgów różnych organizmów zwierzęcych…

…Niech pan pomyśli, jakie oszałamiające perspektywy otwierają się przed nauką w chwili, gdy można w ten sposób przekazywać ludzką wiedzę!

Pojęcie genialności i tępoty, zdolności i ich braku, sprowadza się do czysto biochemicznych i fizjologicznych predyspozycji danego osobnika! Człowiek, któremu trudność sprawia nauczenie się, przyswojenie pewnych wiadomości, po ich bezpośrednim „wszczepieniu" w mózg mógłby, być może, korzystać z nich bez przeszkód. Upośledzenie syntezy informin w organizmie, tych informacjonośnych struktur białkowych, zwanych dotąd „brakiem zdolności", może być wyrównane przez podanie gotowych preparatów, sporządzonych z materiału pobranego od osobników „zdolnych"! Można sobie wyobrazić np. „honorowych informinodawców" — specjalistów z różnych dziedzin wiedzy, którzy wciąż na nowo wchłaniając pewne informacje, przekształcaliby je na informiny dla innych, nie mogących syntetyzować ich we własnych

organizmach!

Upośledzenie syntezy insuliny przez trzustkę, powodujące cukrzycę, wyrównać można przez podanie insuliny w zastrzykach; niewydolność układu krwiotwórczego można niwelować przez transfuzję krwi od osoby zdrowej; czy nie byłoby prawdziwym dobrodziejstwem dla ludzkości podobne ratowanie zbyt mało „chłonnych" umysłów — szczególnie dziś, w dobie specjalizacji i przytłaczającego ogromu wiedzy, jaką musi wchłonąć pojedynczy człowiek?

A poza tym — wszak to rewolucja w metodyce nauczania! Biodydaktyka, wiedza w zastrzykach, w pigułkach nawet! Zamiast zamęczać dzieci ślęczeniem po kilka godzin dziennie w szkole i tyleż w domu, można by im po prostu dawać Cukierki nadziewane informinami i zwrócić większą uwagę na rozwój fizyczny i zdrowie, tak ważne w czasach dewastacji naturalnego środowiska biologicznego! Czy teraz rozumie pan, jak doniosłe znaczenie…

…Pomyślałem wtedy, że można to odnieść do różnych gatunków, nawet odległych ewolucyjnie…

Jeśli bowiem na przykład królik nie osiąga nigdy zdolności przyswajania informacji takich, jak pies, to znaczy, że po prostu nie jest w stanie syntetyzować pewnych typów informin. Co jednak nie oznacza, że — gdyby mu podać je w formie gotowej, nie mógłby z nich korzystać. Zaręczam słowem honoru — mój królik szczekał na widok kota! To był dla mnie dowód, że…

… po tych osiągnięciach, problem „wiedzy w pigułkach" stał się moją obsesją. Niestety! Próby wprowadzenia informin przez przewód pokarmowy nie dawały pożądanych rezultatów — kończyły się zawsze rozkładem białek przez enzymy układu trawiennego lub, w najlepszym razie, zmianami strukturalnymi, co oczywiście przekreślało pożądany rezultat. Pomyślałem wtedy, że widocznie zbyt wielka różnica dzieli ssaki od płazińców… Lecz kiedy wróciłem myślą do tych ostatnich i przejrzałem raz jeszcze protokoły pierwszych eksperymentów, zrozumiałem nagle…

…pojmuje pan? Te inhibitory, katalizatory ujemne, stanowią osłonę dla informin, wprowadzonych do obcego immunologicznie organizmu! Dopóki wypławki pożerały swych towarzyszy w całości, eksperyment udawał się znakomicie, a w przypadku wypreparowywania samej tkanki nerwowej…

…Wówczas informiny rozkładają się bardzo szybko! Nawet kilkuminutowy okres między pobraniem ich z żywego organizmu dawcy, a wchłonięciem przez biorcę, w praktyce wyklucza pozytywny wynik. Jednym słowem, materiał musi być świeży, zupełnie świeży — a poza tym podany łącznie z inhibitorem. Moim obiektom doświadczalnym podawałem tkankę mózgową wraz z niektórymi

innymi organami. Wyniki były dobre, ostatnio nawet bardzo dobre! Rozumie pan, co to oznacza! Stąd już tylko krok…

…Znane są ze swej nieprawdopodobnej inteligencji i zmyślności. Eksperyment przeobrażał je w sposób zdumiewający! Pan sobie zdaje sprawę, że mózg człowieka jest wykorzystywany zaledwie w niewielkim stopniu. To samo dotyczy innych kręgowców.

Używam, oczywiście, dzikich egzemplarzy, te są najlepsze. Co za sprytne bestie! Otrzaskane ze współczesną cywilizacją wielkomiejską, o wspaniale wyostrzonych zmysłach. Zgromadziłem ich — nie bez trudu — około trzystu. Znakomity, wdzięczny materiał do doświadczeń.

Lecz kiedy wszystko już było na najlepszej drodze odszedł mój laborant. Pracował u mnie od lat. Nie spodziewałem się tego po nim: po prostu zniknął pewnego dnia… Zalegałem z wypłatą jego pensji, to prawda… Ale przecież wiedział, jaka jest sytuacja. Mieszkał ze mną, znam wszystkie moje kłopoty… Od tej chwili musiałem wszystko robić sam, przez co tempo doświadczeń znacznie osłabło. Przez ostatni tydzień musiałem obsługiwać zwierzętarnię, sporządzać preparaty, robić codzienne obserwacje…

…i widocznie nie zamknąłem zbyt dokładnie, bo gdy następnego dnia rano zszedłem na dół, zostałem zaatakowany. Tak, ponad wszelką wątpliwość, to był atak. Stwierdziłem to, gdy po pierwszej ucieczce, ochłonąwszy nieco wróciłem i próbowałem wejść…

…ot, i wszystko”.

Borel milczał długo, zanim odezwał się znowu. „Nadużywam uprzejmości — powiedział pokornie. — Ale jeśliby mi pan nie odmówił, byłbym panu zobowiązany nade wszystko…”

Dobierał słowa przez kilka minut, zanim poprosił mnie wreszcie, abym z nim pojechał. Zgodziłem się.

„To tutaj, drzwi są zatrzaśnięte, ale klucz na szczęście miałem przy sobie, gdy wychodziłem” — powiedział, kiedy stanęliśmy pod niewielką willą przy bocznej, Prawie nie zbudowanej uliczce przedmieścia. „Chodźmy na dół, powinny być tam…”

Zeszliśmy po kilku schodkach. Borel ostrożnie uchylił jakieś drzwi, za którymi paliła się słaba żarówka. Zajrzał przez szparę. „Dziwne — powiedział. — Wygląda na to, że…” — zmieszał się wyraźnie. — „Czyżbym był aż tak przemęczony? Halucynacje?” Spojrzałem przez jego ramię do wnętrza piwnicznego pomieszczenia. „Wszystko pozamykane”… — mamrotał w osłupieniu.

„Widocznie to jednak… zmęczenie, profesorze” — powiedziałem łagodnie, prowadząc go na górę. Po chwili zasnął w fotelu, więc przeniosłem go na tapczan i zdjąłem mu buty.

…ten sen tak mnie wzburzył wewnętrznie, że zaraz, z samego rana zatelefonowałem pod numer, który podano mi w biurze

informacji. Telefon nie odpowiadał.

Poczułem wyrzuty sumienia. Borel nie wyglądał wczoraj na chorego, ale… chyba nie należało zostawiać go samego…

…drzwi były otwarte. Wszedłem do sieni, potem po schodach na górę. Nie było go tam, więc zszedłem do piwnicy. Drzwi zwierzętarni były uchylone…

…niektóre były otwarte. Wzdłuż ich szeregu chodził jeden, dorodny egzemplarz i wprawnymi ruchami przednich kończyn domykał zasuwki drzwiczek. Gdy stanąłem w otworze drzwi — teraz wiem, że zrobiłem to niepotrzebnie, a w każdym razie za wcześnie — spojrzał na nie, chwilę trwając w bezruchu, a potem wydał donośny pisk. Posypały się hurmem w moją stronę, część rzuciła się do zamkniętych klatek, by uwalniać towarzyszy. Odskakując do tyłu, dostrzegłem w kącie zwierzętarni stary but, jeden z tych które wczoraj tam, na górze, zdjąłem z nóg Borela…

…teraz wiem, że zrobiłem głupstwo, kryjąc się tutaj. Wprawdzie ściany i blaszane drzwi zapewniają mi bezpieczeństwo, lecz nie ma stąd wyjścia — przynajmniej na razie. Okna też nie ma. Pod nogami mam gołą ziemię, w rogu stoi kilka skrzynek — chyba pustych. Z sufitu zwiesza się żarówka, brudna i opleciona pajęczyną. Gdy tu wszedłem, od razu zauważyłem ten kopczyk ziemi pod ścianą, przysypujący coś, co jednak sterczy tu i ówdzie; bielejąc w mroku. Po prostu nie mogę zmusić się, by podejść i sprawdzić, potwierdzić swój domysł…

…myślałem nad tym, aż wreszcie w jednej chwili zrozumiałem wszystko! One musiały już wiedzieć, na czym to polega. Musiały zrozumieć istotę metody Borela… Ten laborant, który zniknął…

…lecz wciąż im tego za mało! Wiedzą, że oto otworzyły się przed ich gatunkiem wspaniałe perspektywy rozwoju! Będą zazdrośnie strzec tajemnicy, którą znam ja… no i ci, którzy być może odnajdą i przeczytają ten notatnik. Dlatego należy być przygotowanym na wszystko. Byle stąd wyjść. Wydostać się, działać, ostrzec…

…znów ten szmer. Chyba jednak w tych rurach kanalizacyjnych. Coraz głośniej, jakby skrobanie… Z czego są te rury, czy przypadkiem nie z tworzywa sztucznego, bo jeśli tak, to… Muszę to sprawdzić!

* * *

Redakcja przeprasza Czytelników za liczne luki w powyższym tekście, spowodowane uszkodzeniem rękopisu — prawdopodobnie przez szczury.

Laurence Yep
DZIECI SELCHEYA

The Selchey Kids

I

Błyski światła pełgają po wodzie. Złote wstęgi krzyżują się na pomarszczonych grzbietach fal. W bladych promieniach wschodzącego słońca rysuje się na niebie w kształcie litery V sylwetka ptaka przelatującego z głośnym krzykiem. Ocean pieni się wchłaniając wargami piaszczysty brzeg plaży. Piasek czepia się mych pleców, osypuje niczym miriady gwiazd wzdłuż kręgosłupa. Słońce wznosi się na palcach ku chmurom płonącym jego odblaskiem na niebie koloru czerwonego wina. Dla nas. Promienie muskają jej włosy i spływają po niej kaskadą ognistych dotknięć. W zielonych oczach ze złotą obwódką odbija się Wszechświat, błogi spokój legł w łagodnym łuku jej warg. Jestem szczęśliwy.

— Lubieżnik — rzuciła.

— Co? — spytałem zaciskając mocniej ramię wokół talii Pryn.

— Usłyszałeś doskonale — zmarszczyła brwi. — Twoja namiętność nawet słonia doprowadziłaby do rui.

Roześmiałem się, cóż bowiem możesz uczynić, gdy masz do czynienia z kimś obdarzonym zdolnościami telepatycznymi.

— Mogłaś mi powiedzieć, żebym zabrał rękę.

Pryn uśmiechnęła się i jeszcze mocniej przylgnęła ramieniem do mego boku.

— Lubię to, a nawet gdybym nie lubiła, jesteś zbyt silny, by się z tobą spierać. Lubię cię pomijając nawet fakt, iż jesteś anglistą.

Chrząknąłem i pocałowałem ją.

— Ty będziesz mózgiem, a ja mięśniami. — Wolną ręką namacałem złotą obrączkę i zastanawiałem się, w jaki sposób się oświadczyć. Tymczasem dziewczyna, która w wieku dwudziestu dwóch lat uzyskała doktorat z zakresu biologii morskiej, oparła głowę na moim ramieniu z cichym, błogim westchnieniem.

Jako absolwent anglistyki powinienem był chyba zdobyć się na jakąś ciętą ripostę. Ale gdy siedzisz na plaży w blasku słońca wspinającego się po nieboskłonie, z dziewczyną przepięknie wpasowaną w twoje ramiona, nie masz ochoty na słowa.

— Zamknij pyszczek — powiedziałem. Poczułem, że ramię Pryn obejmuje mnie jeszcze mocniej, przytuliliśmy się do siebie, obserwując jak płowogrzywe słońce wlecze po falach swój kolorowy płaszcz.

Gdy schodziliśmy po schodach do laboratorium, przysłuchując się wesołym igraszkom Dzieci pluskających się w swoim basenie, trzymałem ją za rękę. Nie przestałem nigdy odczuwać dreszczu wzruszenia z powodu tego kontaktu. Nie dlatego, żebym do tej pory nie trzymał się za ręce z innymi dziewczynami. Pryn potrzebny jest

kontakt fizyczny dla nawiązania ścisłej łączności, a tymczasem drzemiące w niej łagodne ciepło przenika powoli do twej duszy, dopóki jej słowa nie błysną jak płynny ogień wywołując drażniące mrowienie w plecach.

— Co będziemy dziś robić? — spytałem.

Przystanęła na chwilę.

— Teraz już wiem, dlaczego nadano ci imię Deukalion.

Ścisnąłem jej rękę.

— Mam na imię Duke. — I wybuchając gorączkowym staccato, które miało oznaczać śmiech, spytałem: — No dobrze, dlaczego?

— Ponieważ jesteś okropnie ciekawy, jak twój przodek Prometeusz. — Poklepała mnie po głowie. — Ale myślenie powinno się zostawić ludziom z doktoratem.

Porwałem ją wpół i uniosłem w górę fikającą na znak protestu nogami.

— Któregoś dnia zostaniesz panią Duke'ową Selchey i co wtedy zrobisz?

— Zajmę się twoim wychowaniem, ty drwalu!

Postawiłem ją na ziemi, a ona wsunęła rękę pod moje ramię.

— I dokonamy formalnej zmiany twego imienia.

Gdy weszliśmy do pomieszczenia, w którym krzątali się laboranci, oscyloskop mrugnął do nas zielonym okiem ekranu, a głośnik zachrypiał:

— Stado — miłość, samiec, samica, twierdzenie.

W taki sposób Dzieci zwykły mówić dzień dobry. Ollie i Ossie (bo takie właśnie nosiły imiona) dysponują prawie dziesięcioma słowami, które mogą wymówić, a kombinacje tych słów poszerzają ich słownictwo. „Stado — miłość" najlepiej oddaje ową istniejącą między nami nie sprecyzowaną więź wspólnego zagrożenia, zdobywania pokarmu, narodzin, śmierci i rozmnażania się. Jest to niezbyt jasne, ale nie wiedziałyby nawet tyle, gdyby nie Pryn i jej telepatia.

— Dzieci, chodźcie no tu — zawołał Noe z chodnika ciągnącego się wzdłuż basenu. Spojrzałem tam. Noe to wysoki mężczyzna, wiecznie toczący przegraną z góry walkę ze swym owłosieniem. Brzuszysko jak u brzemiennego gupika przelewa się ponad paskiem przytrzymującym szorty. Włoski na nogach rzadkie, zmarniałe na otłuszczonych tkankach. Grube okulary stale zjeżdżają mu z nosa jak dwunogi dokuczliwy owad. Jest on ojcem naszej małej rodziny i patriarchą wszystkich nowo przybyłych do Instytutu. Całkiem fajny facet, pod warunkiem, że nie bierze się go zbyt serio. Na przykład uparcie nazywa Pryn i mnie Dziećmi, podczas gdy reszta Instytutu zwraca się w ten sposób do Ollie i Ossiego. Ale ponieważ jest patriarchą Instytutu, ojcem per procura, akceptujemy jego *white man's burden*[2]. Zresztą my wszyscy instytutowcy jesteśmy właściwie dziećmi

Selcheya.

Noe zachowuje się typowo po ojcowsku. On i mój ojciec byli podobni fizycznie. Przynajmniej tak mówi Noe, a myślę, że ma rację. Moją pamięć o Johnie Gunnarze ubarwił czas i kilkaset stóp wody. Pozostało tylko wspomnienie serdecznego śmiechu, który huczał na niewidocznych wysokościach, i pary grubych szkieł błyszczących jak bliźniacze księżyce. Wydaje mi się, że Noe traktuje mnie tak, jak robiłby to mój ojciec — niezręcznie wyraża za pomocą naukowych terminów całkiem nienaukowe uczucie.

— Gdzie byliście, Dzieci?

— Pływaliśmy trochę, Wujku Noe — uśmiechnęła się Pryn.

— Dobra, chciałbym powiedzieć delfinom, że wybieramy się dziś w głębiny morskie — powiedział Noe. Pryn wyskoczyła z sandałków i zrzuciła swój roboczy kitel. W kostiumie kąpielowym wyglądała ślicznie i filigranowo. Uczyniłem to samo, tyle że ze znacznie większym dostojeństwem — Pryn utrzymuje, że to po prostu niezgulstwo.

Wytężałem wzrok wypatrując pod wodą Dzieci. Ktoś popchnął mnie mocno z tyłu, zatoczyłem się machając rękami jak niezdarny ptak, aby odzyskać równowagę. Pogroziłem pięścią samcowi Ossiemu, on zaś odpowiedział mi szczebiotliwym okrzykiem, który mógłby uchodzić za śmiech lub też wyraz ubolewania. Diabli wiedzą — ten wieczny uśmiech przyklejony do jego pyska utrudnia orientację.

Pryn podpłynęła do niego i położyła mu rękę na głowie, aby przekazać polecenie Noego. Patrzyłem na nią podziwiając smukłe linie jej ciała rysujące się w świetle, które padało przez szybę w przedniej ścianie basenu. Ollie trąciła mnie lekko w bok, więc odwzajemniłem się jej czułym klapsem. Od razu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zaczynasz mieć do Dzieci ojcowski stosunek.

Pryn skończyła przekazywanie, poklepała na ostatek Ossiego i skinęła na mnie głową. Podpłynąłem do niej natychmiast. Wynurzyliśmy się oboje tuż przed Noem.

— Wskakujcie w swoje kombinezony, Dzieci. Chcę wykorzystać jak najwięcej światła dziennego — powiedział.

W szatni zadrżałem lekko, gdy wilgotny kombinezon przylgnął do mej skóry jak rozpłatana raja. Ciarki mnie przechodzą na myśl o włażeniu do wody, w której nie widać dna pod stopami, a powrót do Miasta, praprzyczyny moich fobii, bynajmniej ich nie wyleczy.

Pamiętam ów dzień, który dokonał przełomu w moim życiu zawieszając je niemal na włosku. Miałem trzynaście lat, gdy Kalifornia odpadła z kontynentu, aby zasiedlić, się nową populacją — rybią. Pamiętam również ową wielką kampanię na temat, iż jesteśmy pierwsi wśród stworzenia — być może jakiś bóg płodności został spostponowany tym brakiem wiary. Doprawdy trudno mi orzec.

Wiadomo mi tylko, że gdy nastąpił Potop, wszystko zostało zmiecione z szelfu niczym chińska porcelana.

II

Byłem właśnie w szkole, która leżała u stóp jednego ze stromych wzgórz rozsianych jak pryszcze po Mieście. Ściślej mówiąc biegłem przez podwórko szkolne z poleceniem od nauczyciela. Ziemia zakołysała się pode mną, oczy niemal wylazły mi z orbit, jak gdybym to ja, a nie ona, uległ atakowi konwulsji. Przylgnąłem do niej całym ciałem, czując głuche pulsowanie jej serca, tuliłem się do tej, która postanowiła strząsnąć mnie ze swego grzbietu.

Pęknięcia jak czarne zielsko rozpościerały włoskowate korzenie na murach budynku szkolnego. Korzenie rozrosły się wszerz, część ściany runęła obnażając drgające wnętrzności szkoły. Zasłoniłem głowę i zwinąłem się w kłębuszek, żywiąc nadzieję, że niszczyciel — kimkolwiek byłby — nie dosięgnie mnie.

Szkło z brzękiem rozpryskiwało się o bruk. Dzwonek, w którym nastąpiło krótkie spięcie, róż jęczał się przeraźliwie. Beton pękał z łoskotem, ktoś krzyczał. Potem rozległy się przenikliwe zawodzenia dzieci, prawie natychmiast zagłuszone przez rumor walącego się budynku. W chwilę później na gruzach szkoły zapanował spokój, tylko dzwonek nie przerwał swego lamentu.

Rozkasłałem się w gęstym kurzu przyćmiewającym słońce. Zdumiała mnie panująca wokół cisza. Na miejscu, gdzie przedtem była szkoła, pozostało tylko drgające rumowisko. Tu i ówdzie powyginane stalowe pręty wystrzelały w niebo ostrzegawczym gestem. Podczołgałem się bliżej rozchlapując kałużę, która powoli wypływała z umywalni. Usiadłem na dużym betonowym bloku, opierając się jedną ręką o drzwi umywalni, wciąż jeszcze sterczące nad ruinami.

Byłem sam pod ołowianym, ciemnoszarym niebem, kurz z rozwalonych murów wciskał mi się do nosa, dym z płonących w sąsiedztwie domów gryzł w oczy.

Ludzie krzyczeli na ulicach, jedni o pomoc, inni wołając kogoś, a we wszystkich głosach dźwięczało błaganie zabłąkanego psa. Nagle, w ułamku sekundy zgilotynowanego czasu, wrzaski zbiegły się w jedno słowo — WODA! Dygot ziemi wzmógł się, Neptun rozpętał panikę.

Gdy ujrzałem szklistą ścianę wody wznoszącą się nade mną, przywarłem z całej siły do drzwi leżących na rumowisku. Kryształowozielonkawa powierzchnia wody poznaczona była liniami niby pień drzewa. A na tej powierzchni zastygłe krzesła, konary drzew i czyjaś ręka w pustym powitalnym geście.

Zacisnąłem mocno oczy i przylgnąłem twarzą do drzwi, gdy brzeg fali otarł się o mnie. Ciężar wieków przygniótł mnie do desek, zrozumiałem, co czuł Jezus, święty Krzysztof i inni ofiarni skazańcy. Wstrzymałem oddech, gdy ocean zamknął się nade mną, czując, jak

zużyte powietrze toruje sobie drogę z mych płuc do tchawicy. Widziałem małe bąbelki wylatujące z moich ust niby okrzyki. Byłem absolutnie sam w ciemnym, brudnym świecie, nie mogłem oddychać, dostrzegałem tylko paprocie wirujące w wodzie jak frygi i upiorne usta domów rozwarte w bezgłośnym krzyku.

Nagle wychynąłem na świeże powietrze, chwyciłem oddech, unosząc nieco głowę. Nadbiegły małe fale przelewając się, igrając łagodnie z moimi drzwiami. Przycisnąłem głowę do desek i trwałem tak, dopóki drzwi nie zderzyły się z twardym gruntem i nie osiadły na wypukłości wzgórza.

Ktoś usiłował oderwać mnie od desek, ale przywarłem do nich tak mocno, że wyciągnięto mnie razem z nimi. Wtedy dopiero pozwoliłem się zdjąć. Nie wiem dotychczas, kto mnie wciągnął na wzgórze. Położono mnie kaszlącego i szlochającego, a moje płuca usiłowały na nowo przystosować się do oddychania powietrzem. Znajdowałem się w niewielkim zielonym parku, leżałem na trawie, słońce nade mną żarzyło się jak tandetna żarówka.

Mokrzy, posępni ludzie stłoczyli się na szczycie wzgórza wokół dwóch ocalałych domów. Właściciel jednego z nich otworzył drzwi i wpuścił do środka tyle osób, ile mogło się tam pomieścić, ale gdy usiłował powstrzymać resztę, rozpętała się walka. Wybuchnął pożar, polała się krew. Gdy szał w końcu minął, oba domy płonęły, a ci, w których kołatało się jeszcze trochę życia, patrzyli na to ze smutkiem.

Trzymałem się z dala od tłumu. Odszedłem na przeciwległy skraj wzgórza, które zamieniło się w wyspę, usiadłem patrząc w kierunku, gdzie powinien znajdować się mój dom, teraz przywalony masą wód, i rozmyślałem, czemu sam jak palec zostałem na tym strasznym, bałamutnym świecie. Rodzinę, przyjaciół, a nawet tożsamość — wszystko to straciłem w ciągu niespełna pół godziny. Postanowiłem odtąd nie przywiązywać się do przyjaciół, do otoczenia, czy też innych normalnych rzeczy, które tak łatwo mogą ulec zniszczeniu.

Udałem się do mojej ciotki na Środkowy Zachód, gdzie nie ma wzgórz ani oceanu, tylko niewielkie jeziora wyglądające jak atrapy; gdzie nie ma ryczącego nocą przyboju, krzyku mew, syren ostrzegających statki podczas mgły, ani samej mgły wreszcie — tylko szara warstwa chmur. Nienawidziłem tego widoku z całej duszy.

Wzrastałem wśród pól kukurydzy i pszenicy jak nieugięty chwast. Ciotka Gila starała się jak mogła, ale doprawdy ani sobotnie kino, ani też placek z jabłkami nie mogą wypełnić życia. Gorąca strawa to dobra rzecz, człowiek jednak nie samym chlebem żyje.

Po śmierci ciotki Gili przez pewien czas zbijałem bąki, kończąc mimochodem anglistykę. Próbowałem pisać, ale po pierwszym tuzinie odmownych odpowiedzi odeszła mnie chęć, podobnie jak odeszło Miasto i moi rodzice.

Ostatecznie zdecydowałem się powrócić do domu, nad Ocean. Podróżowałem przygodnymi samochodami, a gdy nie udało mi się z kimś zabrać, podejmowałem dorywczą pracę, dopóki nie zarobiłem wystarczającej sumy na podróż. Zdarzało się, że po prostu szedłem piechotą; tak oto nie przebierając w środkach wędrowałem w kierunku mego domu, raz na wozie, raz pod wozem, aż dotarłem do New Milpitas, na skraj kontynentu.

Niewiele pozostało z całego stanu. Pasmo gór Sierra, jego zachodni fragment opadający urwistymi zboczami oraz łańcuch wysepek — to ocalałe resztki Miasta. Tylko kilka z nich jest zamieszkanych. New Milpitas, gdzie się zatrzymałem, zaopatruje we wszystko ową garstkę żyjących tam ludzi.

Właściciele zaledwie paru tamtejszych łodzi raczej nie kwapili się zapuszczać na „Głęboki Ocean", gdzie było Miasto. A łodzi nie wynajmują tutaj za okazaniem dyplomu uniwersyteckiego. Trzeba rozporządzać źródłem wszelkiego zła, to znaczy forsą, aby posmarować tryby obracające ten świat na jego zwichrowanej osi.

Całymi dniami wysiadywałem na rozłupanym nabrzeżu i zadawałem sobie pytanie: „Czym jestem?" Odpowiedź brzmiała: z natury jestem l) istotą, 2) żyjącą, 3) czującą, 4) obdarzoną rozumem, należę do gatunku ludzkiego. Tyle wiedziałem dzięki staremu Porfiriuszowi, ale czym jestem poza tym? Nawet nie liczbą binarną w magnetycznym bicie, ponieważ wszystkie komputery, w których zakodowana była moja dawna egzystencja, znajdują się na głębokości pięciu sążni. Kiedyś myślałem, że mógłbym zostać nauczycielem lub pisarzem, jednak myśli te były jak grudki lodu, które osuwały się po mojej mokrej, śliskiej nieprzeszłości. Nie posiadam tożsamości, jedynie dziedzictwo mego człowieczeństwa.

Pewnego dnia siedziałem na brzegu patrząc, jak słońce zmywa chłód z grzbietów fal, i pozwalając, aby słowa te krążyły w moim mózgu niczym taśma bez końca. Niedaleko płynęła dziewczyna żłobiąc w wodzie dwie bliźniacze bruzdy ciągnące się za nią niby ogon śnieżnego pawia. Jej głowa rozcinała złote łuski pokrywające brzuch oceanu, błyskały białe ramiona.

Żal podrażnił moje kanaliki łzowe, omal się nie rozpłakałem. Samobójstwo wydało mi się najlepszym wyjściem. Zwróciłem oczy na szczyt wznoszący się na przeciwległej wyspie. Spojrzałbym stamtąd w dół na kolorową taflę szkła z łodziami znaczącymi jej powierzchnię smugami śluzu na podobieństwo pierścienic i ślimaków. Z tych olimpijskich wyżyn, krzyżując ramiona, zadedykowałbym moją śmierć beznamiętnemu porządkowi świata oraz kruchości egzystencji, a potem skoczyłbym z gracją.

Rozważałem właśnie, co byłoby właściwsze dla symboliki tego gestu — brzask czy zmierzch, gdy poczułem czyjąś dłoń na ramieniu.

Ciepło przeniknęło do mej duszy napełniając ją czymś bardzo zbliżonym do zadowolenia. Nie zaakceptowałem jednak tego dotknięcia, przyjąłem tylko ciepło i nic więcej, zachowując resztkę własnego „ja".

— Wyczułam twoje emocje nawet z daleka — zarejestrował mój mózg.

Odwróciłem się i ujrzałem dziewczynę. Klęczała obok mnie, zielone oczy wpatrywały się badawczo w moją twarz, krople wody spływały po policzkach jak łzy.

— Co? — spytałem marszcząc czoło ze zdumienia.

— Śmierć jest marnotrawstwem, śmierć kładzie kres wszelkim zmianom, a przecież zmiany są celem człowieka. — Milczała przez chwilę, a potem dodała: — To sprzeczne z naturą.

— Wstąp do Armii Zbawienia — powiedziałem. Wbiła paznokcie w moje ramię, zostawiając na nim nabiegłe krwią półksiężyce. Targnęła mną wściekłość i zaraz potem zgasła,

— Przepraszam — usłyszałem. Puściła moje ramię i złożyła ręce na kolanach.

Ująłem jej rękę i odwróciłem przyglądając się dłoni i palcom. Próbowała ją uwolnić, ale trzymałem mocno w przegubie.

— Czemu tu przyszłaś? — spytałem ze złością. — Po co?

Patrzyliśmy na siebie, słuchając, jak fale pluszcza o betonowe podpory nabrzeża. Zatonąłem w jej zielonych oczach. Wzruszyła ramionami, ale nie cofnęła ręki.

— Byłeś taki smutny — odparła. — Musiałam przyjść.

— A wiesz dlaczego? — spytałem z nikłym uśmiechem.

Spojrzała na mnie i potaknęła. Zirytowało mnie to. Chyba ja powinienem najlepiej znać własne problemy.

— Powiedz zatem — nalegałem.

Potrząsnęła przecząco głową, krople wody miękko posypały się z jej włosów.

— Sam musisz to zrozumieć.

Patrzyłem w kierunku, gdzie powinno znajdować się Miasto, obserwując baryłkowatą łódź rybacką sunącą z pyrkotem po wodzie i wiedziałem…

…Słone fale oceanu rozbijają się o skały. Na tle kryształowej wody postać ojca — stoi w długich butach tak obcisłych, że wyglądają jak przyrośnięte do nóg, pogodny, z wędziskiem w ręku. I twarz matki obrócona ku słońcu, zielone okulary przeciwsłoneczne jak oczy owada, jej badawcze spojrzenie odbierające kontenans wielbicielom. I ja pośród mych zamków i fortów z piasku.

— Co to? — pytam wskazując na jasny kształt, z którego zwisają mokre mięsiste postronki. Zafascynowany obcym pięknem tej istoty i

strwożony jej śmiercią, zbliżyłem się ostrożnie.

— Kałamarnica, kochanie — wyjaśnia matka. A gdy cały drżący zaczynam zgarniać nogą piasek, aby zakryć to coś przed moim wzrokiem, śmiech niczym wiosenny wiatr wyrywa się z jej krtani — jasny, czysty i łagodny, taki, jakim powinno być wspomnienie.

— Pochodzisz z Miasta. Czy nie mógłbyś zostać z nami jakiś czas? — Jej ręka przywróciła mnie do rzeczywistości przesłaniając wspomnienia jak fala przypływu, jak stos grzebalny.

— Ty też jesteś z Miasta? — spytałem. Niewiele osób przeżyło ów czerwcowy ranek, a jeszcze mniej wspomina o nim. Takie zdarzenia jak Potop stają się żywsze niż samo życie… to fakt historyczny, który zdominował czyjeś istnienie na zawsze, nic go nie wymaże. Słowa umacniają tylko straszliwą władzę pamięci.

— Wujek Noe i ja pracowaliśmy w Instytucie Morskim. Potop zaskoczył nas w trakcie ekspedycji naukowej, którą odbywaliśmy statkiem wzdłuż wybrzeży.

— Czy znałaś doktora Gunnara i jego żonę?

— Oczywiście! — wykrzyknęła. — Doktor Gunnar to ten wysoki mężczyzna podobny do Wujka Noego. A pani Gunnar… zawsze uważałam ją za najpiękniejszą kobietę na świecie.

Radość poraziła mnie niby piorun kulisty, pogrążyła moją duszę w kojącej magmie. Zbiegi okoliczności bywają zabawne, dobrze jednak, że się zdarzają.

— To byli moi rodzice — powiedziałem.

— A więc ty jesteś Duke — rzekła z uśmiechem. — A czy pamiętasz Pryn?

Pamiętałem szczupłą siedemnastolatkę o nogach tak opalonych, jakby przed chwilą wyłoniła się z miedzianej monety. Mimo niechęci, jaką przed Potopem czułem do dziewcząt, musiałem podziwiać jej sztukę pływania.

— Tak — odpowiedziałem uśmiechając się po raz pierwszy.

Pociągnęła mnie za rękę zmuszając do wstania.

— Teraz już nie możesz odrzucić moich zaprosin. Jesteśmy twoją jedyną rodziną.

Popatrzyłem na świat przez pryzmat mej świeżo sfabrykowanej tożsamości.

— Chodźmy.

Tak oto Syn Marnotrawny wrócił na łono Instytutu Morskiego, gdzie spotkał Noego Selcheya, ucieleśnienie ojca, jedynego żyjącego dyrektora i zarazem dysponenta olbrzymich rezerw zdeponowanych we wschodnich bankach, wieczne utrapienie towarzystw ubezpieczeniowych.

Ochrzciliśmy naszą wyspę Parnasem, tak bowiem nazywała się

przed Potopem ulica na szczycie wzgórza. Gdy buldożery pogrzebały tabliczkę z nazwą ulicy, gdy wzniesiono już wieżę ze szkła i stali, uśmiechniętą jak igła chirurgiczna, zachowaliśmy tę nazwę na pamiątkę.

Wróciłem w pobliże mego domu, aby pracować i zapomnieć. Równocześnie ta bliskość nie pozwalała zapomnieć o moim dawnym szczęściu, o moich rodzicach. Krzyki moich ginących pod gruzami przyjaciół snuły się sennie jak wspomnienia w bezkresnym, cichym świecie oceanu. Ale choć pozostał ból pamiętania, to przecież otrzymałem od życia jakąś rekompensatę. Była nią Pryn.

III

Kiedy już wyturlaliśmy Dzieci przez falochron i powierzyliśmy laborantom, aby je opuścili w głąb oceanu opodal statku, zaprowadziłem Pryn na koniec mola. Usiadła i zaczęła od niechcenia kreślić jakieś esy floresy, maczając palec w pobliskiej kałuży. Ująłem jej rękę i poczułem, jak płynące z niej ciepło osnuwa mnie złotą nicią.

Zwilżyłem wargi językiem.

— Pryn, wiem, że jesteś o kilka lat starsza ode mnie…

— O cztery. — Ręka jej zesztywniała w mojej dłoni. — Zdaje się, że wiem, o co chcesz mnie zapytać. Moja odpowiedź brzmi: nie.

— Pomyśl przynajmniej o tym dziś wieczorem.

— Jesteś kochanym, słodkim chłopcem…

— Chłopcem! — wykrzyknąłem ze złością.

— Tak, pod wieloma względami jesteś jeszcze chłopcem i dlatego cię kocham. — Musnęła mój policzek delikatnymi palcami. — Kocham cię nawet bardziej niż Wujka Noego. Ale z kilku powodów — z biologicznymi włącznie — nigdy nie zostanę twoją żoną.

— Nie lubię być brutalny, ale…

— Wobec tego lepiej nie mów już nic i bądźmy dobrymi… przyjaciółmi. — Uśmiechnęła się i pocałowała mnie, po czym odeszła szybko w stronę statku, stukając sandałkami o molo i o mój mózg.

Gdy wdrapałem się na mostek naszego statku, Noe odwrócił się do mnie. Poprawił okulary, które jak zwykle zjechały mu z nosa.

— Żałuję, Duke, że nie mogłem cię wychowywać razem z Pryn.

Wzruszyłem ramionami i usiadłem na krześle.

— Skąd mogłeś wiedzieć, że ktoś jeszcze przeżył?

Dał znak jednemu z pracowników krzątającemu się przy cumie, aby uruchomił silnik. Statek drgnął, zadygotał w zimnej wodzie mrucząc sennie. Potem odhuczał śpiewnie „John Henry” i „Old Man River” i ruszył przez ocean rysując zadartym dziobem białe krechy wzdłuż swej czterdziestostopowej długości. Pryn wyglądała przez okno obserwując kłębiącą się wodę. Wyjąłem złotą obrączkę — ujrzałem jeszcze, jak błysnęła w słońcu, nim przyłączyła się do wielu innych wspomnień. Nienawidzę cię, oceanie, nędzny synonimie oceanu!

— To był błąd — wołał Noe przekrzykując ryk motoru — że nie przeprowadziliśmy pewnych badań. Widzisz, ty jesteś niezwykłym osobnikiem, Duke.

— Dobra, w każdym razie jestem tutaj.

— Tak, ale gdzie jest owo „tutaj”? — Noe zamrugał powiekami.

— W sensie metafizycznym czy geologicznym?

Roześmiał się.

— Nie, miałem na myśli, kim w istocie jesteś, Duke.

— Filozofia jest ostatnią rzeczą, której bym się po tobie spodziewał, Noe.

— To prawda i nigdy nie będzie inaczej — odparł. — Powinieneś wiedzieć, a nie przyjmować pierwszą narzucającą się interpretację rzeczywistości. To bardzo nędzna metoda naukowa.

— Zakładam, że pragniesz innej odpowiedzi niż ta, jakiej mogę ci udzielić.

— To, po co dziś się wybierasz, powinno dać ci odpowiedź. Ale pamiętaj — pogroził mi palcem — tę zasadę reinterpretacji stosuje się nawet w ważniejszych sprawach. Lavoisier powiedział kiedyś: „Rzeczy oczywiste są zawsze najmniej dostrzegalne".

— Z całą pewnością — odpowiedziałem — czekając, kiedy Noe zacytuje Newtona czy Fermiego… Musiał to jednak być dużej wagi eksperyment, skoro zrezygnował ze swych przyzwyczajeń.

— Chcę, abyś wydostał taśmę magnetofonową z dawnego gmachu Instytutu. Znajduje się ona w podziemiach, tam gdzie przechowywaliśmy nasze tajne materiały. Jako ewentualny schron podziemie zostało umocnione i wyposażone w komorę powietrzną. Pokazywałem Pryn to miejsce na starym planie.

— A ja mam być osłem jucznym? — spytałem.

— Nie, będziesz ochroną. Nie wiadomo, co pozostało z akwarium. — Noe zatrzymał silnik, statek płynął własnym rozpędem. — Taśma, którą stamtąd zabierzesz, powinna nauczyć cię dwóch rzeczy. — Umilkł, jak gdyby czekał, że je wymienię.

— Przychodzi mi na myśl tylko jedna — powiedziałem. — Zasada reinterpretacji.

Uśmiechnął się uszczęśliwiony.

— Będzie jeszcze z ciebie naukowiec, Duke. Tak, to bezpośrednie zastosowanie. Inne rzeczy odsłonię ci dopiero wtedy, gdy będę miał całkowitą pewność, że zniesiesz wstrząs. Dowiesz się, kim jesteś, Duke.

— To musi być nie byle jaka taśma — wyszczerzyłem zęby.

— Raport ustny wybitnego uczonego, Johna Gunnara.

— Chodźmy już w takim razie — odezwałem się do Pryn.

Kiwnęła głową i odeszła.

— Duke — zatrzymał mnie Noe. — Bądź ostrożny, chłopcze. — I uczynił rzecz zaskakującą: objął mnie niezgrabnie, z uśmiechem zażenowania i natychmiast szybko się odwrócił.

Pryn czekała na pokładzie statku. Poczułem jej rękę na ramieniu.

— Przepraszam cię, Duke. Nie chciałam ci sprawić przykrości.

— Obym cię był nigdy nie spotkał na tym brzegu — powiedziałem próbując strząsnąć jej rękę. — Tak czy owak chodźmy już. Ostatnio ponoszą mnie nerwy.

— Rozumiem — powiedziała.

Odwróciłem się, znużony jej zdolnością rozumienia rzeczy, których ja zrozumieć nie mogłem. Umocowałem na przegubie ręki latarkę, założyłem aparat tlenowy oraz wspaniały wytwór pracy Noego i laborantów — hełm z regeneratorem powietrza i miniaturowymi komunikatorami. Specjalne urządzenie dodatkowe pozwala tłumaczyć szczebiot Dzieci na język ludzki, a dzięki aparatowi, który uruchamia się przez naciśnięcie brodą, można mówić językiem delfinów. Niestety aparat nie przekazuje modulacji ani tonacji głosu, poszczególne głosy jednak dają się rozróżnić. Z tyłu aparatu umocowałem taśmą zatrute harpuny, wziąłem też kuszę.

Pryn trąciła mnie w ramię, uniosłem palec gestem okay.

Srebrzyste bąbelki wyskakiwały na powierzchnię. Pryn już zsunęła się w wodę, skoczyłem za nią z gracją słonia. Pod wodą było spokojnie, bez żadnych sensacji, po prostu sennie. Od czasu zmiany oceanograficznej nie tworzyły się już nawet niebezpieczne prądy.

Pryn położyła ręce na głowach Dzieci i poinstruowała je, jak trafić do Instytutu. Pomknęły naprzód rozkoszując się światem pozbawionym ścian, gdy my, dorośli, płynęliśmy w sposób nieco bardziej zrównoważony, trzymając się blisko powierzchni.

Nikt nie zatroszczył się o to, by wysadzić ruiny stanowiące niebezpieczeństwo dla żeglugi, toteż Noe musiał zatrzymać się nad obszarem podmiejskim, gdzie tego zagrożenia nie było. Gdyby popłynął dalej, w kierunku północno — wschodnim, statek nadziałby się jak na rożen na ostre szpice hoteli i biurowców. Zawaliły się bowiem tylko budynki w okolicy Uskoku; inne trzymały się nad podziw dobrze, wystarczająco długo, by ich mieszkańcy zdołali utonąć.

Na skraju dzielnicy handlowej Pryn dała mi znak.

— Mijamy jeszcze sześć bloków, potem skręcamy w prawo, a potem w dół.

Kiwnąłem głową na znak, że rozumiem. Przyłączyliśmy się do Dzieci, które nie chcąc przeszkadzać dorosłym w rozmowie, krążyły z wolna przed domami.

Domy stały ciche, spowite mrokiem, wysokie kamienne olbrzymy sterczące z mułu niby palce giganta. W milczących biurach, nad butwiejącymi dywanami, w górę i w dół pustych szybów wind pływały ryby. Po chodnikach i podłogach, o które stukały niegdyś obcasy ludzi, chodziły teraz kraby. I ja, który wróciłem.

Oceniwszy, że przebyliśmy około sześciuset jardów, zapaliłem latarkę umocowaną na przegubie ręki. Pryn zrobiła to samo i popłynęliśmy w głąb ku posępnemu, uciszonemu Miastu.

— Opadaliśmy niby anioły w ciemnej płynnej nocy, poruszając nogami, rozgarniając płetwami wodę, obserwując stłoczone kształty

Miasta wyciągającego do nas ramiona, głowę, szczerzącego zęby. Gdy wkraczaliśmy tam, czułem w skroniach walenie krwi, żyły mi po prostu rozsadzało.

Dwa pociski przemknęły obok nas — to Dzieci ścigały się, które z nich pierwsze dotrze do celu.

Nacisnąłem brodą przycisk translatora i przyhamowałem.

— Tutaj, twierdzenie.

Zaczekałem, póki dwa obłe kształty nie przyłączyły się do nas i ruszyliśmy ponownie w dół. Skierowałem światło latarki na jedno z bocznych okien i odczytałem złote, łuszczące się litery: Dr Roeke, chirurg stomatolog. Przyszło mi na myśl, że jego czaszka zapewne spoczywa gdzieś pod warstwą mułu. Czułem się obco w tym nowym wymiarze, świadomy, iż jestem eksperymentalną ludzką sondą. Zstępowałem niby aktor w senną zadumę Miasta.

Pamiętam park, do którego zabrali mnie kiedyś rodzice, pełen olbrzymich sekwoi drapujących na sobie lata niby mech. Czułem się osamotniony, straszliwie osamotniony. W świetle dziennym drzewa wyglądały jak pogrążone we śnie, ale w nocy, wśród chichotu przewrotnego księżyca, zaczynały się poruszać, tupać, szeptać, ile to owadów w tym roku i — wiedziałem to dobrze — mówiły o mnie. Teraz w moim mieście rodzinnym czai się tylko wyczekująca ciemność, tonąca w mule i błocie.

— Boisz się — odezwała się Pryn kładąc mi rękę na ramieniu.

Pokręciłem głową, ona jednak wiedziała, że to nieprawda. Wzruszyła ramionami. Popłynęliśmy dalej ponad parkiem z klombami kwiatów i ławeczkami, gdzie słońce zdawało się zawsze oczekiwać cię na murawie, tylko murawy już nie było, a drzewa umarły w słonej wodzie. Po chwili ujrzałem w dole budynki Instytutu w kształcie litery U.

Zatrzymaliśmy się nad placem centralnym z czerwonymi dachówkami, które przywalały teraz nanosy oceanu, nad fontanną z sylwetkami wielorybów, nieczynną oczywiście, zanurzoną w tym, czym niegdyś igrała.

Przycisnąłem brodą translator.

— Tutaj, pytanie — odezwał się Ossie rzutem ciała wskazując na Instytut.

— Tutaj, twierdzenie — odpowiedziałem.

Popłynęliśmy z Pryn w tym kierunku. Drzwi stawiały opór, nie chcąc nas wpuścić, strzeliłem więc przebijając je harpunem. Naładowaną ponownie kuszę trzymałem w lewej ręce, prawą zaś odłupywałem kawałki szkła powiększając otwór. Skaleczywszy się zakląłem ze złością. Pryn usiłowała zatamować krew barwiącą smugami wodę. W świetle mojej latarki, przypadkowo skierowanej w głębiny, zamajaczyła ciemna plama. Gwałtownie odepchnąłem Pryn

pod ścianę, osłaniając ją własnym ciałem. Olbrzymi kształt przebił się przez szkło, rozpryskując wokół odłamki. W strumieniu światła błysnęła zębata paszcza rekina, który już zawracał szykując się do nowego natarcia. Wystrzeliłem. Harpun zakreślił łuk nad jego grzbietem. Rekin zaatakował, a ja skręcając się i uchylając przed jego zębami wypuściłem z rąk kuszę.

— Niebezpieczeństwo, twierdzenie — krzyknąłem do Dzieci i wyrwałem zza pleców zapasowy harpun. Paszcza znalazła się przeraźliwie blisko mojej ręki, umknąłem z jej zasięgu i dźgnąłem harpunem, woda jednak pozbawiła siły mój cios. Śmierć pod wodą jest jak pantomima, walka staczana w sennym balecie…

Wtem szary pocisk nie z tego snu rąbnął z całej siły w bok rekina.

— Zabić, twierdzenie — zawołał Ossie.

Rekin zaszamotał się, potem trzepnął ogonem i odzyskał równowagę. Wówczas drugi szary pocisk wyrżnął go w bok, rekin znów się zwinął, daremnie kłapiąc zębami, by pochwycić prześladowców. Dzieci krążyły wokół niego powoli, niemal leniwie, i nagle Ossie jeszcze raz uderzył. Rekin próbował ucieczki, ale Dzieci zamknęły go w pierścień i zaganiały z powrotem w kierunku Instytutu. Poruszał się ostrożnie, starając się mieć oboje na oku. Pryn podpłynęła do mnie, trzymając moją upuszczoną kuszę. Wyciągnęła harpun zza moich pleców i celowała uważnie.

Dotknąłem jej ramienia.

— Nie zrobię krzywdy Dzieciom — zapewniła mnie, więc dałem spokój. Kapituluję wobec Pryn. Już dawno zostałem pokonany.

Z okrzykiem: „Zabić!” Ossie znów runął na rekina, wykorzystując chwilę jego nieuwagi. Rekin skręcił się i łapiąc równowagę zawisł na moment z odsłoniętym brzuchem. Pryn strzeliła. Ujrzałem, jak zatruty harpun wbija się w brzuch rekina, a ten miota się konwulsyjnie. Mógł to być krwotok wewnętrzny wywołany ciosami Dzieci — który w końcu poraził ośrodki mózgowe — lub też błyskawiczne działanie trucizny, w każdym razie rekin wykonał jeszcze kilka skrętów, potem zwiotczał i powoli opadł na plac centralny. Dzieci dalej zataczały wokół niego kręgi. W pewnej chwili Ossie zbliżył się i trącił go ostrożnie. —

Potem, zadowolone, przypłynęły do nas. Pryn pogłaskała oboje, zaszczebiotały radośnie.

Nacisnąłem translator i powiedziałem: „Stado — miłość”, pieszczotliwie smyrając je po bokach.

— Co się tam dzieje na dole? — zatrzeszczał głos Noego odarty z modulacji. — Słyszałem wasz strzał i delfiny krzyczące: „Zabić!” Czy nic się nie stało?

— Skaleczyłem się tylko w rękę.

— No, bądź ostrożny, to może ściągnąć jakąś drapieżną rybę.

Uśmiechnąłem się i wyjąłem kuszę z rąk Pryn. Użyłem jej w charakterze tarana, aby powiększyć dziurę, którą wybił rekin. Naładowałem kuszę i poleciłem Dzieciom nie ruszać się z miejsca. Sam zaś, przecisnąwszy się przez otwór w drzwiach, omiotłem strumieniem światła całe pomieszczenie.

— Noe, ile zębów ma rekin?

— To zależy od gatunku, a dlaczego pytasz?

— Zawodowa ciekawość — odrzekłem i skinąłem na Pryn, aby przyłączyła się do mnie.

Pryn również prześliznęła się przez otwór i popłynęliśmy razem przez hali, gdzie niegdyś znajdowało się herpetarium z aligatorami. Trzymałem kuszę w pogotowiu i świeciłem latarką po wszystkich kątach, ale czaiły się w nich tylko mrugające cienie.

IV

Bezskutecznie próbowałem odczytać napisy umieszczone nad basenami w korytarzach Balustrady stanowiące kiedyś zabezpieczenie, by dzieci nie podchodziły zbyt blisko, pokryte były czerwoną rdzą. Słona woda wyżarła napisy. Z prawej strony zamajaczył jakiś kształt — podniosłem kuszę, ale w smudze światła latarki ujrzałem tylko konika morskiego.

Pryn zatrzymała się przed drzwiami. Leżał tam szkielet — rozłażące się łachmany przylgnęły do białych żeber. Pchnąłem niezdecydowanie drzwi i zaświeciłem latarką w mrok. Przepłynąłem nad szkieletem i skierowałem się w dół schodów. Lekkie muśnięcia prądu mówiły mi, że Pryn płynie obok.

Znaleźliśmy się w dużym pokoju zabudowanym półkami wysokimi na dziesięć stóp. Strzępy książek i powiązane sterty papierów butwiały na półkach. Pryn oświetliła latarką drzwi w tylnej ścianie, podpłynęliśmy do nich.

Podałem jej kuszę, by mnie ubezpieczała, a sam mocowałem się z tarczą, próbując uruchomić zardzewiały mechanizm. Ostatni zgrzyt i zamek odskoczył. Drzwi rozwarły się ze szczękiem, ciśnienie wody wtłoczyło mnie do komory śluzowej. Odpychałem się rękami od ściany. Pryn, również wtłoczona naporem wody do małego pomieszczenia, zderzyła się ze mną. Czekałem, aż pomieszczenie całkiem się napełni, po czym nacisnąłem guzik znajdujący się tuż przede mną. Zewnętrzne drzwi powoli, z żelaznym zgrzytem, zamknęły się za nami. Naparłem na nie całym ciężarem… Ostatnie pchnięcie — i zatrzasnęły się. Niemal natychmiast zagdakała gdzieś pompa, poziom wody począł się obniżać. Gdy usłyszałem cichy syk wpompowywanego powietrza, zsunąłem do tyłu aparat tlenowy i odebrałem od Pryn kuszę.

Wszystka woda, z wyjątkiem cieniutkiej warstwy na dole, została szybko wypompowana i wtedy rozsunęły się drzwi wewnętrzne. W przejściu znajdowała się instalacja elektryczna, która ożywiła wszystkie światła w pokoju, gdy przekroczyłem próg.

— Musi tu gdzieś być mała prądnica — pociągnąłem nosem. — I regenerator powietrza. Noe nie żartował mówiąc, że są przygotowani na wszystko.

Pryn wzięła mnie za rękę.

— Prawie na wszystko.

— Któż spodziewał się Potopu? — powiedziałem. Puściła moją rękę.

Podniosła palec nakazując, bym zaczekał, zsunęła z nóg płetwy i weszła do małego pokoju, w którym pod ścianami stały kartoteki. Były

tam również dwa biurka, maszyny do pisania oraz mały magnetofon.

Podszedłem do jednej z kartotek i wyciągnąłem szufladę. Na podłodze utworzyła się niewielka kałuża wody spływającej z moich nóg. Ściągnąłem płetwy i przeniosłem stos skoroszytów na biurko.

Powoli odwracałem kartki czytając pobieżnie nagłówki, które z pewnością wyjaśniłaby mi Pryn, gdyby była w pobliżu. Jeden z nich przyciągnął nagle mój wzrok: „Eksperymentalna krzyżówka nr 57".

Mój ojciec był genetykiem, wiem od Noego, i to, oczywiście, jednym z najlepszych. Czytałem powoli, a litery wżerały się w mój mózg. Dygotałem w wilgotnym kombinezonie.

„Raport o komórkach delfina poddanych promieniowaniu… udane zapłodnienie… w probówce… rozwój przebiega pomyślnie… w sztucznej macicy… prawidłowo ukształtowany płód… wkrótce rozwiązanie… Czy to będzie debil?… normalny poród… czyżby sukces po tylu niepowodzeniach?… Niemowlę reaguje na bodźce… testy wykazują zadziwiającą w tym wieku inteligencję, lecz czy można stosować tu mierniki ludzkie?… Ponieważ pojemność czaszki delfina jest większa niż czaszki ludzkiej… Zewnętrznie ukształtowane jak Homo sapiens, ale czym jest Delphinus sapiens?… Ochrzczone…"

Wtem czyjaś ręka dotknęła lekko mego ramienia.

— Co robisz? — spytała Pryn.

Podałem jej skoroszyt.

— Czy wiesz, czym się trudniono w Instytucie przed Potopem? — Teraz już nie panowałem nad słowami, same wyrywały mi się z ust. — Produkowali probówkowe dzieci, krzyżując różne gatunki.

Pryn ujęła moją dłoń i popatrzyła na mnie spokojnie.

— Noe mówił mi o tym. Czy to ma aż tak wielkie znaczenie?

— Tak! — Chwyciłem ją i potrząsnąłem z całej siły. — Ze sprawozdania wynika, że ten obiekt rozwijał się, posiadał wysoką inteligencję i…

Słowa spływały z mego języka jak krople wody. Rozejrzałem się po pokoju, który nagle wydał mi się bardzo ciasny i bardzo groźny.

— Wyjdźmy stąd czym prędzej — powiedziałem, popychając Pryn w kierunku otwartej śluzy powietrznej. Zaprotestowała.

— Czy dlatego to stworzenie musi być potworem? — zapytała ściskając moją rękę.

— Jest inne. Jego przodkowie to delfiny.

— Tak jak Ollie i Ossie?

— One to co innego — odparłem czując, jak rozdrażnienie ściska niby obręcz moją klatkę piersiową na samą myśl, że jakiś dziwaczny stwór podsłuchuje za ścianą. — One nie udają ludzi. To coś… o ile wiadomo, chodzi jak człowiek, mówi jak człowiek… Wytworzono mu specyficzny garnitur genowy. Jest to sprzeczne z prawami natury.

— A gdyby zginęło w czasie Potopu?

— Świetnie. Nie żyje. — Zatrzymałem się i popatrzyłem na nią.

— A gdyby żyło? — Jej dłoń ścisnęła mnie jeszcze mocniej.

— Wówczas — odpowiedziałem spokojnie — musiałbym je zabić. Nie możemy pozwolić, aby żyło.

— My?! — wykrzyknęła Pryn i rzuciła się ku śluzie powietrznej. Patrzyłem za nią czując, jak mechanizm obłędnej logiki ściska mój ogarnięty paniką mózg zimnym stalowym uchwytem.

— Nie, nie, Pryn! — krzyknąłem przeraźliwie widząc, że drzwi się zasuwają. Skoczyłem do nich, nacisnąłem guzik, aby je otworzyć. I tak by się stało, gdyby już zdążyły zamknąć się za Pryn. Usiłowałem więc rozsunąć je rękami — ale na próżno. Woda powoli napełniała sąsiednie pomieszczenie. Waląc dziko pięściami w drzwi, krzyczałem:

— Wybacz mi, Pryn!

Pięści ześlizgiwały się po gładkiej powierzchni, wróciłem więc do biurka. Leżała na nim taśma, którą musiała zostawić Pryn. Usłyszałem jeszcze, jak się otwiera zewnętrzna śluza… Potem założyłem taśmę i włączyłem magnetofon. Usiadłem na krześle i mimo to, co się stało, uśmiechnąłem się na dźwięk głosu mego ojca.

„Raport Rady Dyrektorów o dokonaniu krzyżówki, Eksperyment nr 103. Niemowlę, któremu nadano imię Deukalion vel Duke, pomyślnie przeszło przez wszystkie testy. Istnieją nawet przesłanki, że eksperyment będzie równie udany jak nr 57. Niemowlę nie musi być unicestwione, jak w innych przypadkach”.

Słowa jak krople wody drążyły mi mózg, czułem lodowate zimno wzdłuż kręgosłupa, a taśma obracała się dalej, przekazując myśli nieżyjącego człowieka.

„Do zapłodnienia jaja samicy delfina, troskliwie wyhodowanego przy zastosowaniu promieniowania, użyto plemników Dyrektora Noego Selcheya, tak jak w eksperymencie nr 57, zapłodnione jajo zostało…”

Przestałem słuchać ojca mówiącego tak spokojnie o inteligencji swego zaadoptowanego syna. Być dzieckiem z nieprawego łoża, to można znieść, ale zostać poczętym mechanicznie w probówce, to całkiem inna sprawa. Nieobce mi są namiętności, czuję krew krążącą w żyłach… a teraz dowiaduję się, że te namiętności i ta krew powstały na zimnej marmurowej płycie w jaskrawym świetle lamp bezcieniowych.

Porwałem kuszę i wpadłem do śluzy, zakładając po drodze płetwy i niecierpliwie czekając, aż zapełni się wodą.

— Pryn! — krzyknąłem raz jeszcze, ale grube ściany schronu nie przepuściły jej imienia. Wydostałem się ze śluzy, lecz mały, wypełniony wspomnieniami pokój, kryjący mą tożsamość, ścigał mnie w mrocznych wodach. Popłynąłem w górę nad schodami i nad szkieletem u progu.

— Pryn! — zawołałem znów w ciemne głębie korytarzy, świecąc latarką. I nagle jakby cios młotem w głowę.

— Zabić, twierdzenie. — Emocje przelewały się nad oleistozielonym dnem jak olbrzymie fale Potopu. Strach. Gwałtowna zmiana uczuć. Dusza moja strzaskała się o dno. Kontakt ciało — ciało. Czerń.

— Zabić, pytanie? — nadbiegł słaby głos, chyba Ollie, zniekształcony przez zakłócenia.

— Zabić, twierdzenie — usłyszałem ponownie. Przekląłem ciemność i aparaturę odzierającą głosy z zabarwienia emocjonalnego.

Nacisnąłem brodą translator i krzyknąłem:

— Co się dzieje?! — Nie słysząc odpowiedzi, przekląłem z kolei to skomplikowane pytanie. Znów nacisnąłem translator:

— Niebezpieczeństwo, pytanie?

— Zabić, twierdzenie! — usłyszałem krzyk Ossiego.

— Stado — miłość (co oznaczało jedno z nas czworga), niebezpieczeństwo, pytanie? — krzyczałem.

— Zabić, twierdzenie — słyszałem wciąż jedyną odpowiedź Ollie.

Płynąłem korytarzami, ignorując wszelkie postacie, które mogły czaić się w ciemnych zakątkach. Minąłem hali i ujrzałem dziurę ziejącą w miejscu, gdzie były drzwi, oraz strzaskany mur, usypany na stopniach, niczym stos czaszek. Zajrzałem przez drzwi i w głębi zobaczyłem olbrzymi galaretowaty kleks, wysoki na piętnaście stóp. Był przezroczysty, z trzema kępami macek po obu bokach. W górnej części znajdowało się wielkie oko. W jednej kępie macek majaczył blady cień — była to Pryn.

— Zabić, twierdzenie! — wrzasnął Ossie i runął na potwora celując w jego bok. Olbrzymie cielsko zawirowało, ale Dzieci nie zdołały ruszyć go z miejsca. Ossie oddalił się i ją zataczać nad nim koła.

— Zabić, twierdzenie! — krzyknęła Ollie i znurkowała atakując potwora z drugiej strony. Zaczął się kręcić jak szalony, usiłując pochwycić któregoś z dręczycieli.

— Co się tam dzieje na dole, Duke?! — wołał niespokojnie Noe.

— Jakaś bestia porwała Pryn — rzuciłem w odpowiedzi i podniosłem kuszę, szykując się do strzału.

— Zabić, twierdzenie! — zawołały chórem dwa obłe kształty, wystrzelając z nocy oceanu, aby ugodzić w cielsko młócące na oślep mackami.

— Czy to przypomina ośmiornicę i czy ma po bokach trzy kępy ramion?

— Tak, i wydaje się tak wielkie jak wyspa Alcatraz. Czy skończyłeś już grać w dwadzieścia pytań, Noe? — Obserwowałem uważnie potwora, aby wskutek jego gwałtownych poruszeń nie trafić

przypadkiem Pryn. Dwa żywe pociski niby przedłużenie mego wzroku znów ugodziły w białe cielsko.

— Nie strzelaj! — zawołał gwałtownie Noe. — To twój brat!

— Nie widzę żadnego rodzinnego podobieństwa — odparłem i podpłynąłem bliżej, aby mieć pewność, że nie spudłuję.

— Zabić, twierdzenie! — zakrzyczały Dzieci i runęły w dół w smudze małych bąbelków. Potwór znów się zaszamotał, wzbijając ciemne kłęby mułu.

— Nie jesteś w stu procentach człowiekiem, Duke — powiedział Noe.

— Przesłuchałem taśmę — odrzekłem, z trudem powstrzymując szloch wydzierający mi się z piersi.

— Nie mam dzieci — ciągnął Noe — i… zresztą znasz już prawie wszystko. Dostarczyłem jednak napromieniowanych plemników dla kilku innych zapłodnień. To jest zapłodnione jajo ośmiornicy.

— Który numer eksperymentu? — zapytałem, gdy brudne chmury opadły.

— Pryn to nr 57. Ten sukces zachęcił nas. Ty jesteś nr 103. Nr 203 to twój brat — mówił Noe. — Od czasów Potopu znacznie urósł. Nie zabijaj go, Duke. Jesteście jednej krwi.

Roześmiałem się cierpko na te słowa.

— Zabić, twierdzenie! — rozległ się znów zgodny okrzyk Dzieci. I oto wśród nakazów Noego i wołań Dzieci — nagły zwrot… Już nie kaleka świadomość mego półdziedzictwa, lecz gwałtowna zmiana uczuć w stosunku do śliskiego dziwacznego stwora w zasięgu mych rąk, do obłych stworzeń, które wynurzyły się z nocy, aby zwalić się na mnie. Nienawiść do wszystkich śliskoskórych stworzeń. Zabić. Muł i błoto. Zakręciłem się w kółko, lecz wszystkie nieuchwytne istoty zniknęły. Zabić.

Podniosłem kuszę i wystrzeliłem. Widziałem jak harpun wbija się prosto w Oko spoglądające w zdumieniu. Jak Kain patrzyłem na krew tryskającą z rany, którą zadałem memu bratu. Krew rozpływała się pierzastymi smugami. *Ból*. Skuliłem ramiona chwytając się za głowę wolną ręką. *Ból. Czerwony ból. Moje życie. Przyjemna samotność. Obfitość małych gładkoskórych stworzeń stanowiących mój pokarm. Naruszenie samotności. Nienawiść do przybyszów. Moje rozkoszne samotne życie w ciemnościach opuszcza mnie. Ból.*

Cielsko stwora wydęło się, pomknął z prądem w głąb, w czarną otchłań Miasta. Nie wypuścił jednak Pryn.

Przygryzłem wargi, poczułem w ustach słony smak krwi.

— Rana, twierdzenie — powiedział Ossie, płynąc ku mnie.

— *Stado — miłość*, niebezpieczeństwo, twierdzenie — odpowiedziałem naciskając translator.

— Zabić, pytanie? — Był to głos Ollie.

— Zabić, twierdzenie — wymówiłem spokojnie, czując, jak resztki cudzych myśli opuszczają mnie niby wspomnienia.

— Nie wolno ci zabijać własnego brata! — prosił Noe.

— Czy okażesz wreszcie trochę uczuć, ty rybo?! — ryknąłem.

— Jestem tym bardzo zgnębiony — powiedział Noe, ale aparat tlenowy odarł jego głos z wszelkich emocjonalnych odcieni.

— Więc rób coś — powiedziałem i usadowiłem się na grzbiecie Ollie. Popłynęliśmy na ratunek Pryn.

— Nie mogę nic zrobić — odpowiedział Noe i zamilkł na chwilę. — Kocham was wszystkich.

— Zamknij się! — wrzasnąłem.

Przed nami, nieco wyżej, majaczyło w świetle latarki białe cielsko. Obwarowałem się wewnętrznie, by nie dopuścić do siebie tamtego bólu płynącego ku mnie wraz z krwią. Wtem, gdy byliśmy już blisko, stwór nadął się jak balon i śmignął nad parkiem w kierunku strzelistych konstrukcji z kamienia i stali. W słabym świetle widzieliśmy cienkie strumyczki krwi jak ciśnięte, spływające w dół wstążki.

Zatrzymał się na skraju dzielnicy handlowej, potem rzucił się naprzód, waląc jak taran w budynek. Na chwilę utknął w wybitym przez siebie otworze i z wolna osunął się po ścianie. Zobaczyłem biały policzek Pryn oswobodzonej z uchwytu macek. Gdy stwór rozpłaszczył się na chodniku, puściliśmy się w jego kierunku. Dzieci krążyły ostrożnie, ja zaś podpłynąłem do nieruchomej postaci Pryn. Uspokojony, że serce jej bije, odwróciłem się w stronę tamtego.

Powiewał ku mnie mackami niemrawo, bezskutecznie. W jego mózgu kłębiły się teraz wszystkie moje burzliwe myśli związane z pochodzeniem. *Zabić* — błysnęła myśl zabarwiona żalem. Załadowałem kuszę i podpłynąłem bliżej. *Cierpienie. Zabić. Koniec*.

Stwór otworzył usta znajdujące się poniżej oka. Ukazała się różowa jama oraz rząd drobnych, białych zębów.

— Zabić — nadbiegła prośba. Nacisnąłem spust patrząc, jak harpun wbija się w miękkie cielsko, które zwarło się wokół niego i wessało go w siebie. Potwór drgnął. *Ciało — ciało — pytanie?*

Wyciągnąłem z wahaniem rękę w jego kierunku. Moja dłoń zdawała się cofać ku ramieniu, wzdragając się przed tym kontaktem, mimo to jednak dotknąłem go.

„Stado — miłość, pytanie?" — nadpłynęła drżąca myśl otoczona czarną pustką. Krew powoli wypuszczała swe macki w ciemne głębiny morza.

— Potwierdzenie, bracie — wyrzekłem. Migotanie światła ustało. Stwór nie poruszał się.

— Niebezpieczeństwo, twierdzenie — odezwał się Ossie.

— Niebezpieczeństwo, przeczenie — odparłem i zdjąłem rękę z

pofałdowanego ciała mego brata.

— Co się stało? — zapytał Noe.

— Robię porządki po tobie — odpowiedziałem spokojnie. — Opuść hak.

— Po co?

— Abym mógł pochować mego brata — warknąłem. Uniosłem Pryn i wypłynąłem na powierzchnię, gdzie wciąż jeszcze igrały promienie słońca. Z pomocą Ollie i Ossiego wydobyłem mego brata, którego cielsko zawaliło cały pokład statku. Pochowam go na lądzie, gdzie korzystając z praw swego dziedzictwa, będzie mógł stać się pokarmem dla robaków.

V

Spojrzałem na słońce otoczone świetlistą aureolą, wzruszeniem ramion kwitując pytania i niezręczne usprawiedliwienia Noego. Wygląda na to, że Dzieci są moimi przyrodnim rodzeństwem, dzięki Bogu, ze strony matki. Roześmiałem się na tę ironię losu i wzdrygnąłem zarazem. Zapanowałem nad odruchem mych rąk pragnących szarpać pazurami ciało, wydrzeć zeń każdą cząsteczkę delfina. Zazdrościłem memu bratu, który przyjął śmierć tak spokojnie, gdy ból istnienia stał się nazbyt wielki.

— Duke? — poczułem na mej nodze dotknięcie Pryn. Przestałem myśleć o swojej nowej tożsamości, ująłem jej rękę i ukryłem w mych półludzkich dłoniach.

— Jestem tu. — Zadrżałem, od zatoki nadleciał chłodny podmuch wiatru. Wzrok mój padł na poszarpane oko, na nie domkniętą, przebitą harpunem powiekę. Mały czerwony strumyczek sączył się zeń jak łzy z moich oczu. Obym był tego nie widział!

— Co to było? — spytała Pryn.

— Nie co, a kto — poprawiłem. — Mój brat,

— Nie! — Ujrzałem zgrozę na jej twarzy, ręka odruchowo skurczyła się w mej dłoni. Zrozumiałem, co czuła Pryn, kiedy wypominano jej pochodzenie. Roześmiałem się zimno, cóż to bowiem znaczyło dla mnie, który nie mogłem być ani jednym, ani drugim.

— Jestem taki sam jak on. Nie mogę nawet pretendować do tak czystego dziedzictwa jak twoje. — Podniosłem twarz ku krwawej tarczy słońca i strząsnąłem łzy z powiek. — Czemu podeszłaś do mnie wtedy na brzegu?

— Co? — Ścisnęła konwulsyjnie moją dłoń, gdy zorientowała się, co zamierzam. — Nie! — krzyknęła, ale ja podniosłem już kuszę celując we własną głowę.

— Tym razem nie uda ci się mnie powstrzymać. Mam teraz ważniejsze powody — powiedziałem spokojnie i nacisnąłem spust. Szarpnęła mnie — za późno jednak. Uśmiechnąłem się triumfująco, gdy ból chował moją świadomość do ciemnego tajnego skoroszytu i rejestrował pod literą C jak Czerń. Chłopcy Selcheya połączyli się.

Moja świadomość przestaje istnieć na zawsze. Odczucia, ból, troski — znikają. Samotność głębsza niż ta, która była udziałem mego brata w zatopionym Instytucie, bierze mnie w posiadanie. Poczucie straty, żal. Otwieram oczy, widzę Pryn lśniącą jak słońce nade mną.

Złoty blask spływa na mnie. Ciemności ustępują, smutek topnieje, tworzy obrazy, które będą mi towarzyszyć w przyszłości. Czuję jej ramię otaczające mnie opiekuńczym uściskiem. Stopniowo bariery, broniące dostępu do mojej świadomości, ustępują przed nią. I nie ma

już samotności, lecz cały nowy świat, świat Pryn. Uspokajam się.

Dotknąłem bandaża na głowie.

— Więc nie umarłem? — spytałem idiotycznie.

Popukała mnie palcem w czoło.

— Za twarde — odpowiedziała śmiejąc się. Zrozumiałem, że jednak się nie spóźniła.

— W porządku — powiedziałem. Przebyłem dwa tysiące mil, aby znaleźć się w Mieście i oto zbuduję na nim coś nowego. Poszukiwania zaczęły się na otoczonym wodą szczycie wzgórza. Poszukujący został znaleziony w samym sercu Potopu. Symbole są tylko uciszone, ale nie martwe. Dwa bieguny cyklu, który rozpoczął się na brzegu w New Milpitas, zbliżyły się do siebie. *Bye, bye*, braciszku.

Człowiek żyje w kontekście natury. Stosuje się do reguł gry, ale w przeciwieństwie do innych stworzeń ma swobodę manewru, może zmieniać jej reguły. Każda zmiana zmusza go do przystosowania się do nowej gry i tak dalej, i tak dalej, *ad infinitum*. Przebaczyłem Noemu, gdyż zrozumiałem tego samotnego człowieka, który skrył się w nauce, podobnie jak mój brat w Instytucie.

Na razie nie zamierzamy wracać do Instytutu. Noe wypożyczył nam statek, na którym spędzimy miodowy miesiąc. Najpierw jednak udajemy się do New Milpitas, gdzie zalegalizujemy nasz związek. Wymusiła to na mnie… i oto jedziemy.

Noe nie będzie musiał prowadzić dalszych eksperymentów. Obiecałem mu, że jeśli mają powstawać jakieś nowe gatunki, to już my z Pryn się tym zajmiemy. Co się zaś tyczy płodności, to warto pamiętać, że dla mnie to nigdy nie był problem.

Przełożyła Elżbieta Zychowicz

Rick Norwood
OMNIA TRISTE

Omnia triste

Rudolf Kent zapalił cygaro i zaciągnął się nim głęboko, kiedy nagle dym, unoszący się z odrzuconej zapałki, przybrał formę geniusza. Geniusz był mątwowatym małym człowieczkiem odzianym jedynie w turban i przepaskę biodrową. Usiadł po turecku w popielniczce.

— A trzecie życzenie? — spytał.

Rudolf Kent, który widział geniusza po raz pierwszy w życiu, zagryzł cygaro i pochylił się, żeby go sobie lepiej obejrzeć.

— No dobrze, dam się nabrać. Dlaczego proponujesz mi trzecie życzenie, skoro nie wyraziłem jeszcze pierwszego?

— Owszem, wyraziłeś, ale oczywiście nie pamiętasz tego. Drugim życzeniem przekreśliłeś skutki pierwszego i wszystko wróciło do stanu, jaki istniał, zanim zaproponowałem ci spełnienie trzech życzeń!

— Innymi słowy mam tylko jedno życzenie. Węszę tu jakieś oszustwo.

— Powinieneś być wdzięczny i za to. Nie zjawiam się każdemu. I pośpiesz się. Straciłem już na ciebie dość czasu.

— Nie wierzę w to wszystko — powiedział Rudolf — ale kontynuujmy zabawę. Chcę, żeby szalały za mną kobiety.

Geniusz skinął głową i powstał.

— To zabawne — powiedział — twoje pierwsze życzenie było identyczne.

Przełożył Lech Jęczmyk

Arthur C. Clarke
STRZAŁA CZASU

The Time's Arrow

Rzeka była już martwa, a wody jeziora opadły, gdy potwór idąc wyschniętym korytem wydostał się na wymarłe bagnisko. Nie było właściwie miejsca, gdzie mógłby się bezpiecznie poruszać, a nawet tam, gdzie grunt był najtwardszy, ogromne słupy jego kończyn głęboko grzęzły pod ciężarem ciała. Chwilami przystawał i ptasimi, szybkimi ruchami głowy omiatał otaczające go pustkowie. Przystając zapadał się jeszcze bardziej w grząski grunt, tak że 50 milionów lat później ludzie mogli z pewną dokładnością obliczyć, ile trwał każdy jego postój.

Wody już nigdy bowiem nie powróciły, a palące słońce z czasem zmieniło błoto w skałę. Nieco później cały ten obszar pochłonęła pustynia chroniąc go szczelnie pod warstwami piasku. A później — dużo później — przyszedł Człowiek.

— Czy sądzisz — krzyczał Barton poprzez warkot świdra — że profesor Fowler dlatego został paleontologiem, że lubi bawić się pneumatycznym świdrem? A może polubił to później?

— Nic nie słyszę — odwrzasnął Davis opierając się ciężko na łopacie. Zerknął z nadzieją na zegarek.

— Czy mam mu powiedzieć, że to już pora na obiad? Kiedy wierci, nie nosi zegarka, więc pewnie stracił poczucie czasu.

— Wątpię, czy to coś da — odkrzyknął chrapliwie Barton. — Strasznie się teraz Stary wycwanił i stale dokłada nam po 10 minut. Ale jak chcesz, to chodźmy, zawsze to lepsze od tego piekielnego wiercenia.

Obaj geologowie z niekłamanym entuzjazmem odłożyli narzędzia i ruszyli w stronę szefa. Gdy się zbliżyli, wyłączył świder i zapadła względna cisza przerywana jedynie spazmatycznym sapaniem sprężarki.

— Czas wracać do obozu, profesorze — rzekł Davis trzymając niedbale za plecami rękę z zegarkiem. — Wie pan przecież, co powie kucharz, gdy się spóźnimy.

Profesor Fowler M.A., F.R.S., F.G.S., usiłował bez większego powodzenia zetrzeć z czoła brązowożółty pył. Z wyglądu można by go wziąć za zwykłego robotnika i nieliczni goście zwiedzający teren robót rzadko rozpoznawali w półnagim, na brąz spalonym robociarzu, nachylonym nad pneumatycznym świdrem, wiceprezydenta Towarzystwa Geologicznego.

Prawie miesiąc zabrało im zdjęcie warstwy piaskowca z powierzchni skamieniałego bagna. Odsłonięte kilkaset jardów kwadratowych terenu, który stanowił prawdziwą fotografię przeszłości, najlepszą, jaką paleontologia kiedykolwiek odkryła. Dziesiątki ptaków i gadów przyszły tu w poszukiwaniu ustępujących wód i zostawiły odciski kończyn jako pamiątkę, która przeżyła je o tysiąclecia. Większość odcisków została zidentyfikowana, ale jedne z nich — największe — stanowiły dla nauki zagadkę. Należały do bestii, która musiała ważyć 20 do 30 ton, i profesor Fowler śledził trop sprzed 50 milionów lat z pasją myśliwego tropiącego zwierzynę. Można było mieć nawet nadzieję, że ją dopędzi, ponieważ tam, gdzie potwór przechodził, grunt musiał być dosyć niepewny i kości zwierza leżały pewnie gdzieś blisko znacząc miejsce, gdzie wpadł w błotną pułapkę, jak wiele innych zwierząt z tamtych czasów.

Mimo zastosowania narzędzi mechanicznych, praca była żmudna. Tylko wierzchnią warstwę można było usunąć za pomocą świdra pneumatycznego, reszta prac musiała być wykonana ręcznie, z największą starannością. Profesor Fowler miał rację nalegając na to, żeby osobiście przeprowadzić wstępne wiercenia, gdyż najmniejszy błąd mógł spowodować nieobliczalne szkody.

Trzej mężczyźni trzęsąc się na wyboistej drodze w rozklekotanym ekspedycyjnym jeepie byli już w połowie drogi do obozu, gdy Davis zadał pytanie, które od początku prac dręczyło młodszych członków ekspedycji.

— Odnoszę wrażenie — powiedział — że nasi sąsiedzi z doliny nie lubią nas. Chociaż nie wiem dlaczego? Przecież im nie przeszkadzamy, a mogliby być przynajmniej na tyle uprzejmi, aby nas do siebie zaprosić.

— Chyba że jest to jakiś wojskowy instytut badawczy — dodał Barton.

— Nie sądzę — powiedział spokojnie profesor Fowler. — Tak się bowiem składa, że właśnie otrzymałem zaproszenie. Jutro do nich jadę.

Jeżeli to sensacyjne stwierdzenie nie wywołało oczekiwanego rezultatu, zawdzięczać to można jedynie znakomicie zorganizowanej siatce wywiadowczej personelu profesora. Przez chwilę Davis zastanawiał się, czy potwierdziły się jego podejrzenia. Potem odchrząknął lekko i powiedział:

— A więc nikogo innego nie zaprosili?

Profesor uśmiechnął się wyczuwając delikatny przytyk w głosie asystenta.

— Nie — powiedział — jest to ściśle prywatne zaproszenie. Wiem, że konacie z ciekawości, ale, szczerze mówiąc, wiem niewiele więcej niż wy. Jeśli jutro czegoś się dowiem, to wszystko wam

opowiem. Ale przynajmniej już wiemy, kto ten ośrodek prowadzi. Asystenci zastrzygli uszami.

— Co to jest? — spytał Barton. — Zgaduję, że to Centrum Badań Atomowych.

— Być może masz rację — odrzekł profesor. — W każdym razie na czele stoją Henderson i Barnes.

Tym razem sensacja była aż tak wielka, że Davis prawie zjechał jeepem na pobocze drogi. Zważywszy, jaka to była droga, nie miało to zresztą żadnego znaczenia.

— Henderson i Barnes w tej przeklętej dziurze?

— Tak jest — rzekł radośnie profesor. — Zaproszenie przysłał właśnie Barnes. Przeprasza za to, że się z nami wcześniej nie kontaktował i zapytuje mnie, czy bym nie zechciał wpaść na małą pogawędkę.

— Czy pisze, co oni tam robią?

— Nie. Ani słóweczka.

— Barnes i Henderson — powiedział Barton z namysłem. — Niewiele o nich wiem poza tym, że są fizykami. Na jakim punkcie mają fioła?

— Są ekspertami w dziedzinie niskich temperatur — odrzekł Davis. — Henderson był całe lata dyrektorem w Cayendish. Napisał niedawno sporo artykułów do *Nature*. Jeżeli dobrze pamiętam, wszystkie dotyczyły helu II.

Nie zrobiło to żadnego wrażenia na Bartonie, który nie lubił fizyków i podkreślał to przy każdej okazji.

— Nie wiem, co to jest hel II — powiedział z filisterskim uśmieszkiem. — Co więcej, nie zdaje mi się, żebym chciał coś o tym wiedzieć.

Strzał był wymierzony w Davisa, który kiedyś w chwili słabości, jak to zresztą później przyznał, zrobił dyplom z fizyki. „Chwila" ta trwała ładnych parę lat, zanim okrężnymi drogami dobrnął do geologii. Chętnie wracał do swej pierwszej „miłości".

— Jest to postać ciekłego helu, która istnieje tylko przy kilku stopniach powyżej absolutnego zera. Posiada szereg nadzwyczajnych właściwości, ale, o ile się orientuję, żadna z nich nie uzasadnia obecności dwu czołowych fizyków w tym zapadłym kącie.

Dojechali już do obozu i Davis zastopował jeepa na parkingu we właściwy sobie gwałtowny sposób. Pokręcił ze złością głową, gdyż rąbnął w zaparkowaną przed nim ciężarówkę z większym impetem, niż zazwyczaj.

— Te opony są do niczego. Czy przysłali już nowe?

— Dziś rano przyleciały helikopterem z rozpaczliwą notatką od Andrewsa. Ma nadzieję, że przejeździsz na nich chociaż dwa tygodnie.

— Świetnie! Wieczorem je założę. Profesor, który szedł przodem,

zwolnił nieco, aby się zrównać z asystentami.

— Nie było po co się śpieszyć, Jim — powiedział ponuro. — Znowu duszona wołowina.

Nieuczciwością byłoby twierdzić, że Barton i Davis pracowali mniej dlatego, że w pobliżu nie było profesora. Pracowali na pewno dużo więcej niż zwykle, gdyż pod nieobecność szefa miejscowi robotnicy wymagali dwukrotnie większego nadzoru. Niewątpliwie jednak udawało im się niekiedy wygospodarować sporo czasu na wymianę poglądów.

Od chwili, gdy obaj młodzi geologowie przyłączyli się do Fowlera, intrygowało ich to dziwne sąsiedztwo w dolinie odległej o 5 mil. Był to chyba jakiś ośrodek badawczy, Davis zidentyfikował wysokie kominy siłowni atomowej. Wprawdzie na ich podstawie nie można było określić charakteru prac, ale wskazywały niezbicie na ich duże znaczenie. Na świecie było najwyżej kilka tysięcy takich siłowni, a wszystkie zastrzeżone dla projektów największej wagi.

Mogło być wiele powodów, dla których dwóch wielkich fizyków ukryło się w tym odludnym miejscu większość ryzykownych badań atomowych przeprowadzana była z dala od skupisk ludzkich, a niektóre zostały nawet całkiem zaniechane do czasu utworzenia laboratoriów okołoziemskich. Mimo wszystko wydawało się dziwne, że prace te, jakiekolwiek by one były, prowadzono tak blisko wykopalisk geologicznych uznanych za najważniejsze na świecie. Mógł to oczywiście być tylko czysty przypadek; fizycy przecież nie przejawiali najmniejszego zainteresowania tak bliskim sąsiedztwem ziomków.

Davis dłubał ostrożnie dłutem wokół jednego z ogromnych śladów, a Barton lał płynny persplex na odkryte już odciski, aby zabezpieczyć je przezroczystym plastykiem. Pracowali z pewnym roztargnieniem, ponieważ obaj bezwiednie nasłuchiwali powrotu jeepa. Profesor Fowler obiecał zabrać ich wracając z wizyty, gdyż reszta pojazdów była gdzieś w terenie, a nie chcieli ryzykować dwumilowego spaceru do obozu pod tym palącym słońcem. Poza tym chcieli mieć wszelkie możliwe wiadomości z pierwszej ręki.

— Jak myślisz — powiedział nagle Barton — ilu oni tam mają ludzi? Davis się wyprostował.

— Sądząc z budynków nie więcej niż kilkunastu.

— A może to prywatny interes a nie projekt C.B.A?

— Możliwe, ale muszą mieć niezłe plecy. Inna rzecz, że Henderson i Barnes na samej reputacji mogą już masę wygrać.

— Oto gdzie fizycy nas leją — powiedział Barton. — Wystarczy, żeby powiadomili jakiś departament wojskowy, że są na tropie nowej broni, a już im sypią miliony.

Mówił z pewną goryczą, ponieważ, jak większość naukowców,

miał na ten temat bardzo sprecyzowane zdanie. Zapatrywania Bartona były nawet jeszcze bardziej skonkretyzowane, gdyż był on kwakrem i ostatni rok wojny spędził na wykłócaniu się z dość pobłażliwymi instancjami wojskowymi.

Rozmowę przerwał warkot i klekot jeepa i obaj mężczyźni pobiegli na spotkanie profesora.

— No i co? — krzyknęli równocześnie. Profesor Fowler popatrzył na nich z zadumą, a z wyrazu jego twarzy niczego nie można było wyczytać.

— No i jak wam przeleciał dzionek? — powiedział wreszcie.

— Ależ, szefie — zaprotestował Davis — niechże pan nam powie wreszcie, czego się pan dowiedział. Profesor wygramolił się z jeepa i otrzepał kurz z ubrania.

— Przykro mi, chłopcy — powiedział z pewnym zakłopotaniem — nic wam nie mogę powiedzieć.

Podniosły się równocześnie dwa jęki protestu, ale profesor machnął tylko ręką.

— Spędziłem bardzo ciekawy dzień, ale obiecałem, że nic nikomu nie powiem. Nawet teraz nie wiem, o co tam właściwie chodzi, ale to coś wręcz rewolucyjnego — prawie tak jak odkrycie energii atomowej. Dr Henderson wpadnie tu jutro po południu, postarajcie się coś z niego wydusić.

Przez chwilę Barton i Davis byli tak przejęci nieoczekiwanym obrotem sprawy, że żaden z nich słowem się nie odezwał. Pierwszy oprzytomniał Barton.

— Chyba istnieje jakiś powód, dla którego tak się nami nagle zainteresowali?

Profesor zamyślił się.

— Tak, to nie była całkiem prywatna wizyta — przyznał — sądzą, że mogę im pomóc. Ale teraz już dość pytań, jeżeli nie chcecie wracać na piechotę do obozu.

Dr Henderson zjawił się na terenie wykopalisk wczesnym popołudniem. Był to wysoki, starszy już mężczyzna, ubrany dość zaskakująco: miał na sobie jedynie lśniącobiały fartuch i nic więcej. Ta ekscentryczność stroju była jednak w tym klimacie zdecydowanie praktyczna.

Kiedy profesor Fowler przedstawił ich Hendersonowi, Davis i Barton sztywno się ukłonili. Ciągle mieli wrażenie, że ich wykiwano i chcieli, aby gość to odczuł. Ale Henderson był tak szczerze zainteresowany ich pracami, że wkrótce zmiękli i profesor pozostawił im gościa, aby go oprowadzili po wykopach, a sam poszedł doglądać tubylców.

Ogromne wrażenie zrobił na fizyku rozpościerający się przed nim

obraz zamierzchłej przeszłości Ziemi. Prawie godzinę, jard po jardzie, obaj geologowie prowadzili go wzdłuż placu robót opowiadając o stworze, który tędy przeszedł, i spekulując na temat przyszłych odkryć. Trop, który profesor Fowler teraz śledził, leżał w szerokim rowie na uboczu od głównych wykopów; profesor odłożył wszystkie inne prace, aby go lepiej zbadać. Przy końcu rowu trop przestawał być ciągły. Aby zyskać na czasie, profesor Fowler wiercił dziury wzdłuż linii śladów. Ostatnia próba na nic nie natrafiła, ale dalsze kopanie wykazało, że wielki gad nagle zmienił kierunek.

— To jest największa sensacja — powiedział Barton do opadającego już z sił fizyka. — Pamięta pan te poprzednie miejsca, gdzie jaszczur zatrzymał się na chwilę, aby się rozejrzeć? Tutaj pewnie coś zauważył i ruszył w innym kierunku, i to biegiem — sądząc z rozpiętości śladów.

— Nie przypuszczałem, że taki kolos może biec.

— Cóż, pewnie robił to niezdarnie, ale piętnastostopowymi susami można przebiec niezły kawałek drogi. Spróbujemy to prześledzić, na ile się da. Może nawet znajdziemy to, za czym tak gonił. Przypuszczam, że profesor ma nadzieję odkryć zdeptane pole walki z rozrzuconymi kośćmi ofiary. To by dopiero była bomba!

Henderson uśmiechnął się.

— Dzięki filmom Disneya mogę sobie tę scenę łatwo wyobrazić. Davis był bardziej sceptyczny.

— Pewnie to żona zawołała go wtedy na obiad — powiedział. — Co nas najbardziej drażni w tej pracy to fakt, że wszystko może zniknąć właśnie wtedy, kiedy coś się zaczyna dziać. Jakaś warstwa się spłucze albo przyjdzie trzęsienie ziemi, albo, co gorsza, jakiś dureń zniszczy dowód, bo nie rozumie jego wagi.

Henderson kiwnął głową z przekonaniem.

— Doskonale was rozumiem — powiedział — tu właśnie fizyk ma przewagę. Wie on, że kiedyś znajdzie odpowiedź, jeżeli takowa w ogóle istnieje.

Zawiesił głos z wahaniem jakby starannie ważąc słowa.

— Na pewno zaoszczędziłoby wam kłopotów, gdybyście naprawdę mogli zobaczyć, co się zdarzyło w przeszłości, zamiast się do tego żmudnie dokopywać. Całymi miesiącami śledzicie te tropy na stu jardach, a mogą one przecież prowadzić donikąd.

Zapadło długie milczenie. Potem Barton powiedział z namysłem:

— Oczywiście, doktorze, bardzo nas ciekawi pańska praca. Ponieważ profesor Fowler nic nam nie chciał powiedzieć, zaczęliśmy kombinować na własną rękę. Czy naprawdę myśli pan, że…

Fizyk przerwał mu spiesznie.

— Niech pan sobie tym nie zaprząta głowy — powiedział. — To tylko takie mrzonki. A co się tyczy naszej pracy, to jeszcze daleko nam

do końca, o wszystkim dowiecie się we właściwym czasie. Nie mamy sekretów, tylko — jak każdy, kto pracuje w jakiejś nowej dziedzinie — nie chcemy nic mówić, zanim nie staniemy na pewnym gruncie. Gdyby na przykład jakiś paleontolog chciał się tu zbliżyć, to założę się, że profesor Fowler przegnałby go kilofem!

— Tak by chyba nie było — uśmiechnął się Davis. — Raczej zapędziłby go do roboty. Ale rozumiem pański punkt widzenia. Miejmy nadzieję, że to już długo nie potrwa.

Tej nocy dużo oliwy spalono w obozowej lampce. Barton był wyraźnie sceptyczny, ale Davis obudował uwagi gościa dodatkową superkonstrukcją teorii.

— To by sporo wyjaśniało — powiedział. — Przede wszystkim fakt, że oni są akurat tutaj, inaczej nie miałoby to sensu. Znamy tu wszystkie warstwy gruntu z dokładnością do jednego cala na przestrzeni ostatnich stu milionów lat i możemy wyznaczyć każde zdarzenie z precyzją plus minus 1 %. Nie ma na całej kuli ziemskiej drugiego takiego miejsca, gdzie by przeszłość była tak szczegółowo sprawdzona — znakomite miejsce na tej miary eksperyment.

— Ale czy sądzisz, że można zbudować maszynę, która by patrzyła w przeszłość?

— Nie mam pojęcia, jak to można zrobić. Ale nie ośmielę się powiedzieć, że to niemożliwe — szczególnie dla takich głów jak Henderson i Barnes.

— Hm. Dosyć słaby argument. Czy jest jakaś szansa, aby to sprawdzić? A co z tymi artykułami do Naturę?

— Pisałem do College Library. Pewnie je przyślą pod koniec tygodnia. W pracy każdego uczonego istnieje ciągłość i mogą one nam dać jakąś wskazówkę.

Najpierw się rozczarowali. Artykuły Hendersona raczej zagmatwały obraz. Tak jak Davis pamiętał, większość z nich traktowała o szczególnych właściwościach helu II.

— To rzeczywiście fantastyczne — powiedział Davis. — Gdyby jakikolwiek płyn zachowywał się w ten sposób w normalnej temperaturze, wszyscy by powariowali. Przede wszystkim nie ma on żadnej lepkości. Sir George Darwin powiedział kiedyś, że gdyby istniał ocean helu II, okręty mogłyby po nim pływać bez napędu. Popchnęłoby się je tylko na początku podróży, a na jej końcu wpadłyby na hamujące zderzaki. Jest w tym jednak pewien drobny szkopuł; na długo przed końcem podróży płyn wpełzłby po burtach na okręt i wszystko by poszło na dno.

— Coś pięknego — powiedział Barton — ale co to ma, do diabła, wspólnego z naszą bezcenną teorią?

— Niewiele — przyznał Davis — ale to nie wszystko. Można

uformować dwa strumienie helu II płynące w tym samym przewodzie w dwu przeciwnych kierunkach — z tym, że jeden strumień przechodzi przez drugi.

— Nic z tego nie rozumiem. To równie zawiłe jak przedmiot, który się porusza naraz w dwóch kierunkach. Czy to ma coś wspólnego z teorią względności?

Davis był ostrożny.

— Wyjaśnienie — powiedział — jest bardzo zawiłe i nie twierdzę, że wszystko rozumiem. Polega to na tym, że płynny hel posiada w pewnych warunkach ujemną entropię.

— Ponieważ nie wiem, co to jest dodatnia entropia, to i teraz nie jestem mądrzejszy.

— Entropia jest zjawiskiem fizycznym polegającym na rozprowadzaniu ciepła we Wszechświecie. Na początku biegu czasu, kiedy cała energia skoncentrowana była w słońcach, entropia równa była zeru. Osiągnie ona maksimum, kiedy temperatura będzie wszędzie równa, a Wszechświat martwy. Ciepła będzie wtedy jeszcze sporo, ale stanie się ono bezużyteczne.

— Dlaczego?

— Wiesz przecież, że doskonale płaski ocean nie napędzi turbin siłowni wodnej. A małe górskie jezioro? Rozumiesz teraz? Tu chodzi o różnicę poziomów.

— Rozumiem. Teraz, gdy o tym myślę, przypominam sobie, że ktoś kiedyś nazwał entropię „strzałą czasu".

— Tak… zdaje się, że Eddington. Dowolny rodzaj zegara — na przykład wahadło — może równie dobrze chodzić w przód i w tył. Ale entropia jest ściśle jednokierunkowa — zawsze rośnie z upływem czasu. Stąd określenie „strzała czasu".

— Wobec tego ujemna entropia… o, jasny gwint!

Przez chwilę obaj patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Barton spytał przyciszonym głosem:

— Co o tym pisze Henderson?

— Cytuję z ostatniego artykułu: „Odkrycie ujemnej entropii wprowadza w nasz dzisiejszy świat fizyki nowe, rewolucyjne koncepcje. Niektóre z nich omówimy w dalszych artykułach". Koniec cytatu.

— No i co?

— No i nic. Nie ma „dalszych artykułów"! Z tego wynikają dwie możliwości. Pierwsza, że wydawca Naturę nie chciał artykułu opublikować. Ta chyba odpada. Druga, że koncepcje te są tak rewolucyjne, że Henderson nigdy nie napisał dalszego ciągu.

— Entropia ujemna, czas ujemny — mruczał Barton — to brzmi fantastycznie. W takim razie teoretycznie jest możliwe skonstruowanie urządzenia, którym można by patrzeć w przeszłość.

— Już wiem, co zrobimy — powiedział nagle Davis. — Podsuniemy tę koncepcję profesorowi i zbadamy jego reakcję. A teraz idę do łóżka, bo mi już łeb trzeszczy.

Tej nocy Davis spał źle. Śniło mu się, że idzie drogą, która jak okiem sięgnąć biegnie bez końca w dwu przeciwnych kierunkach. Przeszedł już wiele mil, aż doszedł do drogowskazu, a gdy pod nim stanął, zobaczył, że jest on złamany, a oba ramiona wirują na wietrze. Z trudem odczytał napisane na nich słowa. Na jednym: DO PRZYSZŁOŚCI, a na drugim: DO PRZESZŁOŚCI.

Nic się nie dowiedzieli od profesora Fowlera, co zresztą nie było niczym dziwnym; po dziekanie był on najlepszym pokerzystą w College. Spoglądał na swych nieco wzburzonych asystentów bez cienia emocji, podczas gdy Davis wyjąkiwał swą teorię.

Kiedy młody człowiek skończył, powiedział spokojnie:

— Idę tam jutro i powiem Hendersonowi o waszej detektywistycznej działalności. Może się nad wami zlituje i powie mi coś więcej. A teraz do roboty.

Davis i Barton stwierdzili, że coraz im ciężej skoncentrować się na własnej pracy, gdyż głowy mieli stale zaprzątnięte tak wielką i bliską zagadką. Pracowali jednak konsekwentnie, tyle że od czasu do czasu zatrzymywali się myśląc o tym, czy ta cała ich robota nie okaże się na nic. Gdyby tak być miało, radowaliby się pierwsi. Może wtedy mogliby patrzeć w przeszłość i obserwować rozwój historii od samego zarania czasów! Wszystkie tajemnice przeszłości odkryte; można by obserwować pojawienie się życia na Ziemi i całą ewolucję od ameby do Człowieka.

Nie, to było zbyt piękne, aby było prawdziwe. Doszedłszy do tego wniosku wracali do kopania i skrobania przez następne pół godziny, aż znów przychodziła do głowy myśl: a jeżeli to naprawdę możliwe? I cały ten cykl powtarzał się od nowa.

Gdy profesor Fowler wrócił ze swej drugiej wizyty, był wyraźnie przygaszony i roztrzęsiony. Jedyne, co asystenci z niego wydusili, było stwierdzenie, że Henderson wysłuchał ich teorii i pochwalił ich za bystrość dedukcji.

To było wszystko, ale dla Davisa sprawa była już jasna, chociaż Barton dalej przejawiał sceptycyzm. W ciągu następnych tygodni i on zaczął się wahać, aż wreszcie obaj byli przekonani, że ich teoria jest prawdziwa. Profesor Fowler spędzał teraz coraz więcej czasu z Hendersonem i Barnesem. Spędzał go już tam tak wiele, że czasem nie widywali go całymi dniami. Stracił prawie całe zainteresowanie do wykopalisk i przekazał kierownictwo Bartonowi, który mógł teraz używać do woli pneumatycznego świdra.

Odkrywali teraz po kilka jardów śladów dziennie, a ich rozpiętość

wskazywała na to, że potwór osiągnął maksymalną szybkość i sadził naprzód w ogromnych susach, jak gdyby zbliżając się do swej ofiary. Za parę dni rozwiążą pewnie zagadkę sprzed wielu milionów lat, cudem zachowaną, przeniesioną przez niezliczone wieki i udostępnioną ludzkiej obserwacji. Ale wszystko to zdawało się nie mieć teraz większego znaczenia. Z uwag rzucanych przez profesora i z jego stałego roztargnienia wynikało, że tajemnicze prace badawcze mają się ku końcowi. Powiedział im to zresztą, obiecując, że o ile wszystko pójdzie dobrze, za kilka dni nastąpi kres ich oczekiwań. Więcej nic nie chciał powiedzieć.

Raz czy dwa razy wpadł do nich Henderson i widać było po nim, że pracuje teraz w ogromnym napięciu. Najwyraźniej chciał im coś powiedzieć o wynikach prac, ale postanowił zaczekać do zakończenia ostatnich prób. Mogli podziwiać jedynie jego opanowanie. Davis odnosił wrażenie, że za tę tajemniczość odpowiedzialny jest nieuchwytny Barnes. Mówiono o nim, że nie ogłosił nigdy żadnej pracy, zanim jej kilkakrotnie nie sprawdził. Było to zrozumiałe, zważywszy prawdopodobne wielkie znaczenie tych doświadczeń, ale i drażniące zarazem.

Tego rana Henderson wpadł po profesora wcześniej niż zwykle i pech chciał, że wóz mu się zepsuł na wyboistej drodze. Był to pech głównie dla Davisa i Bartona, którzy musieli wracać piechotą do obozu na obiad, gdyż profesor Fowler zamierzał odwieźć Hendersona jeepem. Gotowi byli zresztą ponieść każdą ofiarę, jeżeli ich wyczekiwanie miało istotnie wkrótce się skończyć, o czym tamci więcej niż napomykali.

Przed odjazdem obu starszych uczonych cała grupa stała długo przy jeepie. Rozstanie odbywało się w atmosferze dużego napięcia, gdyż jedni wiedzieli doskonale, o czym myślą drudzy. Wreszcie Barton, jak zawsze najbardziej wygadany, zauważył:

— No, doktorku, jeżeli to ma być ten dzień przez duże D, to wszystko pewnie pójdzie jak z płatka. Proszę mi przywieźć na pamiątkę zdjęcie brontozaura.

Henderson był już tak przyzwyczajony do kpin, że wziął to za dobrą monetę. Uśmiechnął się blado i odparł:

— Niczego nie obiecuję. To może być największa klapa na świecie.

Davis z ponurą miną sprawdził kopnięciem opony. Były to całkiem nowe opony o dziwnym zygzakowatym wzorze, jakiego nigdy przedtem nie widział.

— Cokolwiek by się zdarzyło, myślę, że wszystko nam opowiecie. W przeciwnym razie włamiemy się do was którejś nocy i sami wszystko wywęszymy.

Henderson się zaśmiał.

— Jeśli coś wydedukujecie z bałaganu w naszym laboratorium, to jesteście geniuszami. Ale jeżeli wszystko pójdzie dobrze, pozwolimy sobie wieczorem na małą uroczystość.

— Kiedy spodziewa się pan wrócić, szefie?

— Gdzieś koło czwartej. Nie chciałbym, abyście wracali piechotą na herbatę.

— O. K., więc powodzenia.

Maszyna zniknęła w obłokach kurzu, pozostawiając na brzegu drogi dwóch zamyślonych geologów. Wreszcie Barton wzruszył ramionami.

— Im intensywniej będziemy pracować — powiedział — tym czas szybciej zleci. Chodźmy!

Koniec rowu, przy którym pracował Barton pneumatycznym świdrem, znajdował się już przeszło sto jardów od głównego wykopu. Davis dokonywał kosmetyki śladów, które odkrywali. Były one teraz bardzo głębokie i bardzo od siebie oddalone. Widać było wyraźnie, gdzie wielki gad zmienił kierunek i zaczął najpierw biec, a potem sadzić susami jak ogromny kangur. Barton zastanawiał się nad tym, jakie to musi być uczucie, gdy taki stwór pędzi na ciebie z szybkością pociągu pośpiesznego. Potem pomyślał, że o ile ich przypuszczenie jest trafne, wkrótce to pewnie zobaczą.

Późnym popołudniem odkryli rekordową długość śladów. Teren był teraz bardziej miękki i Barton posuwał się naprzód tak szybko, że prawie zapomniał, o czym przedtem rozmyślał. Odsądził się od Davisa o kilka jardów. Obaj byli tak bardzo zajęci, że dopiero głód przypomniał im o tym, że już pora kończyć. Davis pierwszy zauważył, że było później niż się spodziewali, i podszedł do Bartona.

— Już prawie wpół do piątej — powiedział, gdy warkot świdra ucichł. — Szef się spóźnia, wścieknę się, jeżeli sam pojechał już na herbatę.

— Daj mu jeszcze pół godziny — powiedział Barton. — Myślę, że wiem, co się mogło stać. Spalił im się jakiś bezpiecznik lub coś w tym stylu i to wywróciło im cały program.

Davis nie dał się uspokoić.

— Będę cholernie wściekły, jeżeli trzeba będzie znowu ganiać na piechotę do obozu. Na razie pójdę na wzgórze zobaczyć, czy ich gdzieś nie widać.

Zostawił Bartona, torującego sobie drogę poprzez miękką skałę, i wspiął się na niskie wzgórze od strony dawnego koryta rzecznego. Rozciągał się z niego widok daleko na dolinę, a bliźniacze kominy laboratorium Hendersona i Barnesa odcinały się ostro na tle ponurego krajobrazu. Ale nigdzie nie było widać ruchomego kłębu kurzu snującego się za jeepem. Profesor jeszcze nie wracał.

Davis mruknął pod nosem przekleństwo. Czekał ich dwumilowy spacer po szczególnie męczącym dniu, a na domiar złego spóźnią się na herbatę. Postanowił dłużej nie zwlekać i schodził już w dół, aby wezwać Bartona. Nagle coś zwróciło jego uwagę i stanął spoglądając na dolinę.

Wokół obu kominów, które były jedynym widocznym elementem laboratorium, utworzyło się dziwne zamglenie podobne do wibracji rozgrzanego powietrza. Wiedział, że kominy były gorące, ale przecież chyba nie aż tak. Spojrzał uważniej i ku swemu zdumieniu stwierdził, że zamglenie tworzyło półkulę o średnicy blisko ćwierć mili.

Nagle półkula eksplodowała. Nie było widać żadnego błysku, tylko lekka zmarszczka przebiegła po niebie i zniknęła. Zniknęło również zamglenie i oba kominy siłowni.

Czując dziwną miękkość w kolanach Davis osunął się na ziemię i patrzał z rozdziawionymi ustami na dolinę. Opanowało go poczucie katastrofalnej klęski. Czekał, jak we śnie, aż grzmot eksplozji dotrze do jego uszu.

Nie był to prawdziwy grzmot, tylko takie głuche, przeciągłe szszszsz, które szybko zamarło w cichym powietrzu. Połową świadomości Davis zauważył, że świder także zamilkł; eksplozja musiała być znacznie głośniejsza niż myślał i Barton też ją pewnie usłyszał.

Panowała kompletna cisza. W całym ponurym krajobrazie jak okiem sięgnąć nie było śladu życia. Odczekał chwilę, aż mu wrócą siły i na pół idąc, a na pół biegnąc, stoczył się chwiejnie ze wzgórza i zbliżył się do Bartona.

Barton siedział w kucki w rowie kryjąc twarz w rękach. Gdy Davis podszedł bliżej, podniósł głowę i chociaż twarz jego pokryta była grubą warstwą kurzu i piasku, wyraz jego oczu zaszokował Davisa.

— Więc ty też słyszałeś! — powiedział Davis. — Myślę, że całe laboratorium wyleciało w powietrze. Chodźże, na miłość boską!

— Co słyszałem? — spytał tępo Barton.

Davis spojrzał na niego ze zdumieniem. Potem uprzytomnił sobie nagle, że Barton pracował świdrem, nie mógł więc słyszeć żadnego dźwięku. Poczucie katastrofy nagle się po głębiło i czuł się jak bezsilny bohater greckiej tragedii stojący w obliczu nieuchronnej klęski.

Barton wstał. Muskuły jego twarzy drgały konwulsyjnie i Davis widział, że jest on na krawędzi załamania. Gdy się jednak odezwał, słowa jego brzmiały dziwnie spokojnie.

— Jacy byliśmy durnie! — powiedział. — Jak się z nas musiał Henderson śmiać, kiedy mówiliśmy mu, że usiłuje patrzeć w przeszłość.

Davis sztywnym krokiem zbliżył się do rowu i spojrzał na obnażoną skałę, która po raz pierwszy od 50 milionów lat ujrzała

znowu światło dzienne. Już bez większej emocji popatrzył znowu na zygzakowaty deseń, który zobaczył po raz pierwszy kilka godzin temu. Był płytko zagłębiony w błocie jak gdyby wtedy, kiedy powstawał, jeep pędził z maksymalną szybkością.

Tak pewnie było, gdyż w jednym miejscu ciężkie stopy potwora zadeptały całkowicie płytkie ślady opon.

Odciski były teraz bardzo głębokie, jak gdyby ogromny gad gotował się do ostatniego skoku na uciekającą rozpaczliwie zdobycz.

Przełożył Marek Wagner

Krzysztof W. Malinowski
SCHIZOCHRONIA

1

Burt zamarł na chwilę.

Wyciągnięta ręka w postrzępionej, zabłoconej rękawicy zawisła nad maleńkim otworem, wydrapanym w rozmiękłej, sinej ziemi. W norce coś poruszyło się wreszcie i w tym samym momencie dłoń — jak przyczajony drapieżnik — błyskawicznie opadła, wdzierając się do otworu…

Człowiek zacisnął rękę i z triumfalnym chichotem przewrócił się na plecy, wyciągając zaciśniętą pięść ku niebu. Podrygiwała w niej wychudła, już na wpół żywa mysz…

Nasycona wilgocią, gliniasta ziemia objęła Burta miękkim uściskiem. Posępne niebo, zaciągnięte nisko galopującymi chmurami, z pogardą przyglądało się leżącemu mężczyźnie. Ten zrozumiał widać CZAS 2017–435 spojrzenie nieba, bowiem opuścił pomału — jakby z wahaniem — rękę i przyjrzał się uważnie nieżywej już myszy. Miała sparszywiałe, zlepione gdzieniegdzie grudkami błota futerko. Była ciężka. Była niezwykle ciężka.

„Coraz więcej w nich ołowiu, coraz mniej mięsa” — mruknął. Potem uniósł się z trudem na kolana i zaciskając truchełko w dłoni, ruszył przed siebie

2

Mogą zrobić nie więcej niż dziesięć metrów CZAS 2017–452 bez odpoczynku. Od czasu do czasu unosił głowę i spoglądał przed siebie, by sprawdzić, czy nie zgubił drogi. Szukał na zaoranej, przenicowanej, zdawało się, ziemi małego kopulastego wybrzuszenia ze sterczącym na nim prętem anteny. Powinien na nim powiewać kawał błękitnej szmaty — jedyny ślad bunkra.

Uważnie przeszukiwał wzrokiem horyzont, mrużąc odwykłe od dziennego światła oczy. Hen nad gładkim, jakby odlanym z ołowiu widnokręgiem zapalała się fioletowa, wieczorna poświata. Anihireola.

Ruszył znów przed siebie, odliczając w pamięci przebyte metry. „Trzydzieści dwa…" Z trudem wyciągnął lewą rękę, bacząc zarazem, by druga nie zapadła się zbyt głęboko w błotnistą ziemię. „Trzydzieści trzy… Niech to szlag jasny… CZAS 2017–453… Ale frajda… Trzydzieści cztery… tamta dopiero miała ołowiu, Chryste! Fakt, że… Trzydzieści pięć… że tamta musiała być starsza… Tej też wystarczyłoby na dwa dni… gdyby… Trzydzieści sześć… gdyby nie ten sukinsyn."

Dostrzegł w końcu szmatę, powiewającą nad łagodnym wzgórkiem. Wystawał — chorobliwie jakoś jak opuchlizna — nad nieskończoną równiną. Burt podpełzł wreszcie do włazu i bezsilnie opadł na metalową klapę. Dyszał ciężko CZAS 2017–454 czas jakiś, a potem uniósł się nieco. Odpiął kieszeń w skafandrze i pieczołowicie schował w niej mysz. Potem zapiął kieszeń i przysadził się z całej siły do metalowej antaby na klapie. Mógł jej nie zamykać, ale chodziło mu o Ala… Bał się…

Uporał się wreszcie z wielką zardzewiałą sztabą i zabrał się z kolei do odkręcania potężnej, mocno nadżartej korozją obręczy. Klapa powoli zaczęła się unosić z głuchym pojękiwaniem. Po chwili szczelina zrobiła się na tyle szeroka, że mógł się w nią wcisnąć. Wszedł do wąskiego pionowego tunelu i opuścił się nieco w dół po stalowych klamrach, wmurowanych w jego ściankę. Z wyraźnym wysiłkiem uniósł ręce i zaczął na powrót opuszczać klapę. Jeszcze dwie CZAS 2017–455 antaby, i koniec.

Ciemny, niczym nie rozświetlony tunel prowadził w głąb ziemi. Potem była następna śluza, i jeszcze jedna… I drzwi — wielkie, stalowe, okute kilkucentymetrową warstwą ołowiu.

Był u siebie…

3

Małe betonowe pomieszczenie oświetlały tylko cztery słabe, błękitnawe światełka lamp awaryjnych umieszczonych w suficie. Trzeba było oszczędzać energię.

Mężczyzna podszedł do jednej z dwóch kabin stojących pod ścianą pomieszczenia i odsunął przeźroczyste luksorytowe drzwi.

Na wysokim prostym fotelu z podnóżkiem siedział mężczyzna. Jego ręce i nogi były przymocowane do fotela grubymi, obłymi obejmami z metalu. Głowa tkwiła w wielkim stacjonarnym hełmie połyskującym niklem i przytwierdzonym do wezgłowia fotela. Spod CZAS 2017–456 jego kopułki wyzierały teraz martwe, chorobliwie połyskujące oczy, zapadnięte w brodatej, wychudzonej twarzy ascety. Kościste palce podrygiwały na poręczach fotela w jakimś przedziwnym, nieuchwytnym dla oka rytmie..

„Kończysz się — przemknęło Burtowi przez głowę. — Kończysz się, dziadu, tak jak ja!" Uśmiechnął się jakoś dziwnie, spoglądając na twarz Ala. Miał go dość. I tamten z pewnością czuł to samo. Takie było prawo samotności.

Podszedł bliżej i przesunął wskazówkę zegara, umieszczonego na oparciu fotela, na zero. Al drgnął.

Powracające życie naruszyło szklaną martwotę oczu, które z wolna zaczęły się odwracać w stronę Burta. Jeszcze tylko niknąca siność ust CZAS 2017–457 i ledwie słyszalny szept:

— Dobrze, że już jesteś… Burt, nie dam już rady… nie mogę już… jak… jak Boga kocham, nie mogę…

— Daj spokój lamentom, daj spokój… — warknął Burt. — Wiesz przecież, o co chodzi. Żeby tylko przetrwać, wrócą po nas… Trzeba przeżyć, nie? To chyba jasne…

„Szmata!" zahuczało w głowie.

— …to tylko przejściowa sprawa, sam wiesz…

„Kłamiesz! — krzyczało w nim wszystko. — Łżesz! Parszywie łżesz!"

— …oprócz tego mam coś, patrz… — wyciągnął w stronę Ala otwartą dłoń. Leżała na niej mysz. — Przynajmniej się nażremy.

4

Kątem oka obserwował, jak Al łapczywie spogląda na futerko myszy, leżące na jednym z dwóch stołków, jakie posiadali. Nagle Al przeniósł wzrok na niego — tak szybko, że Burt nie zdążył już uciec spojrzeniem. Musiał coś powiedzieć.

— Zauważyłeś, że mają coraz więcej ołowiu?

Al skinął głową.

— Jak wszystko, co tu zmutowało — powiedział. — A my jakoś nie mutujemy. I to przy takim natężeniu promieniowania!.. Myślisz, że jesteśmy tu sami? W ogóle… jedyni?

Burt skrzywił się. Ten znów swoje. „Szmata. Jak Boga kocham, szmata!" Miał chwilami ochotę rzucić mu się do gardła. Za te idiotyczne pytania. Za te westchnienia. Jęki. Ogarniała go nieprzeparta chęć skończenia z tym zastrachanym szczurem, dzielącym swoje półżycie pomiędzy fotel retrospektora i chrapliwe westchnienia wysiłku podczas wychodzenia z bunkra… Czego tamten od niego oczekiwał? Otuchy?

Utkwił wzrok w przeraźliwie wychudłej, nie ogolonej grdyce Ala. „Indyk" — przemknęło mu przez głowę.

— …Nie, chyba nie — odpowiedział wreszcie, siląc się na spokój. — Przecież już pewnie w całym Układzie o tym wiadomo. Chyba skombinowali jakieś ekipy ratunkowe, albo ja wiem co… Nigdy się tak ludzi nie zostawiało… W każdym razie CZAS 2017–458 to tylko kwestia czasu.

Spojrzał raz jeszcze na tamtego. „Człowiek to jednak żywotne bydlę! — podjął wreszcie swoje rozważania. — Zebraliśmy już pewnie dawkę całego życia, a mimo to jeszcze się trzymamy… To pewnie zasługa nie tylko retrospektorów. Ale ten już chyba długo nie pociągnie."

Al zaczął się powoli zbierać. Odpoczywał chwilę na czworakach, z opuszczoną głową, głośno sapiąc. Burtowi nagle zrobiło się go żal.

— Poleż jeszcze chwilę. Ostatecznie nie pali się… — chciał coś jeszcze dodać, kiedy Al nieoczekiwanie uniósł twarz i spojrzał w jego stronę. Była wykrzywiona jakimś trudnym do opisania grymasem nienawiści i żalu.

— Zamknij się! — syknął. — Nie traktuj mnie jak nierozgarniętego gówniarza!

Burt obserwował w milczeniu, jak tamten naciągał na siebie strzępy skafandra. Pomyślał, że ten łachman, który teraz z takim pietyzmem wdziewa na siebie Al, był kiedyś paradnym uniformem Wojsk Ochrony Transplanetarnej. Zostały nawet strzępy lampasów na szwach zamków błyskawicznych przy łydkach.

Al uporał się wreszcie z łachmanem i zwrócił twarz w stronę Burta.

— Postaram się jak najszybciej… — bąknął.

— Okay, mnie to jeszcze bawi — mruknął Burt. Nie CZAS 2017–459 chciał, żeby to wypadło wymuszenie. „Kłamiesz, świnio, kłamiesz…" zakrzyczało w środku.

Al powoli zamknął za sobą drzwi.

Powieki znów zaczynały ciążyć. „Może robią się wreszcie ołowiane?" — pomyślał z przekąsem. Resztkami sił rozejrzał się po pomieszczeniu. Starał się odwlec tę chwilę — choć wiedział, że to była tylko kwestia minut. Dwa stołki. Kurek w ścianie. Obok wbudowana szafka. Wielkie pudło do niczego nieprzydatnej radiostacji. Cztery mdło świecące lampki. I dwie kabiny retrospektorów — jego i Ala. W tym zimnym betonowym schronie, pozbawionym wszystkiego prawie, co niezbędne do życia, te dwie życiodajne kabiny, połyskujące niklem i matowym światłem łuksorytu, wyglądały jak papugi w zardzewiałej klatce. Mimo to patrzył na nie z nieskrywaną — należną, zdawałoby się, tylko ludziom — nienawiścią.

Pamiętał, jak cztery lata temu wnosili je tu i instalowali technicy z Bazy Północ. Mieli CZAS 2017–460 w tym bunkrze pozostać z Alem przez rok — zgodnie więc z regulaminem przysługiwało im prawo zabrania własnych retrospektorów z kompletami kaset. Wprawdzie Graham nabijał się z nich wtedy, ale Burt miał go gdzieś. Ostatecznie nie byłaby to jego pierwsza służba w Strefie Zagrożenia i wiedział dobrze, jak cholernie się tu człowiekowi nudzi. Gdyby wtedy wiedział…

Czas nieubłaganie kapał. Zaczynały go opuszczać siły.

Podczołgał się do swojej kabiny i uważnie przyjrzał się metalowemu pojemnikowi z kasetami. Było ich siedem. Potem sięgnął drżącą, spoconą ręką po jedną z nich. Ręka zawisła nad kasetą — jakby wahając się jeszcze, odwlekając tę chwilę. Wreszcie palce zwarły się na przeźroczystym etui kasety. Na grzbiecie widniał odręczny napis: 16 czerwca 2314.

Oczy zaszły mu mgłą. Wpatrywał się w kasetę niewidzącymi oczyma. Koniuszki palców pobielały od silnego uścisku. Wreszcie — ostatkiem sił — wepchnął kasetę do podłużnego otworu w małym aparacie, stojącym na przystawce przy lewym oparciu fotela. Potem nastawił ruchomą wskazówkę zegara na czarny napis: FULL i z wysiłkiem wspiął się na CZAS 2017–461 siedzenie. Wsunął głowę do kopulastego hełmu i przycisnął mały guziczek po prawej stronie. Czuł, jak ręce i nogi obejmują znajome, obłe kleszcze. Wokół głowy zacisnął się ciepły metalowy krąg elektrod.

…Czas 1914–002 lekko biegnie Anna, widzi przed sobą jej (rozwiane kasztanowe włosy, widzi, jak miękko omija wysokie zielone

drzewa; ma równy krok sportsmenki: czekaj, woła na nią ze śmiechem, pragnie ją dogonić, złapać już; wreszcie i ona odwraca się ku niemu, biegnie tyłem, przywołując go ku sobie gestem dłoni; nie kuś, woła, nie wódź na pokuszenie; potyka się nagle; ma ją wreszcie, dopada jej, Anna stara się jeszcze uskoczyć, znów się potyka i pada; potem pada i on; leżą na plecach i wpatrują się w przedziwny kształt nieba wycięty koronami drzew; czasem trudno mi uwierzyć, odzywa się Anna, że i tam dojdą ludzie… tak dziwnie brzmią mi w uszach wasze ukochane słowa: kwazary, pulsary, czerwone karły… jest w nich coś niesamowitego, co budzi respekt; Burt się uśmiecha: przecież nie kto inny, jak ty właśnie powinnaś o tym wiedzieć najlepiej… to znaczy, że profesja nie zabiła jeszcze w tobie wyobraźni; …milczenie; lot ptaka; szelest wiatru i ucisk korzenia wystającego z ziemi… wreszcie Anna mówi: zadziwia mnie w człowieku ta koegzystencja wiary i wyobraźni ze świadomością i wiedzą o świecie… jedni latają robić porządek na innych światach, marzą o zdejmowaniu z nieba gwiazd, a inni, jak ty, gubią się na ziemi w paradoksach, nienawidzą, odbywają swoje patrole w gorących strefach; …strefach zagrożenia, poprawia ją Burt; wszystko mi jedno, odpowiada Anna, jak to nazywacie… o co wam tu chodzi, tu na Ziemi? za mało miejsca, za mało problemów w Kosmosie? po co wam to? więc zostawcie wasz Kosmos innym, rozumniejszym i zróbcie porządek na Ziemi! O co wam tu chodzi? Burt uśmiecha się zażenowany i głaszcze ją po głowie: to nie moja sprawa, mówi, nie znam się na ich porachunkach… ale twierdzą, że Ziemia robi się ciasna, za mało dla wszystkich miejsca; mówią, że ją przerośliśmy, dlatego trzeba ruszyć w Kosmos… Anna uśmiecha się ze smutkiem; tak, ona wie lepiej od Burta, czego szukają poza Ziemią; pragnie tylko, żeby Burt odpowiedział jej na pytanie, na które sam nie zna odpowiedzi: czego chcą tu, na Ziemi? Anna nie chce wojny, boi się jej, nie wierzy ani w jej nieuchronność, ani w różnice poglądów; nie chce wojny anihilacyjnej, nie chce przed nią uciekać z Ziemi; Burt wie to wszystko, ale przecież nie on, Burt, jest temu winien, nie on wymyślił wojny, dlaczegóż więc od niego oczekuje odpowiedzi?… obraca jej twarz ku sobie; …musisz zrozumieć, Aniu, mówi, musisz uwierzyć, że to jest tylko taktyka… ludzie są zbyt rozumni, zbyt wygodni, by ryzykować wojnę; ci, którzy o niej myślą, także ryzykują, ona zniszczyłaby nas wszystkich, to tylko taktyka, strategia groźby i szantażu; jeśli nie będziemy pierwsi my, to będą tamci, a ktoś przecież musi być pierwszy, to chyba jasne!.. Anna odwraca od niego twarz; milczy; potem cicho mówi: więc i ty?… pamiętasz, co wtedy powiedział mi w wywiadzie Hadler? „Proszę pani, wojna jest jak symfonia; odpowiedzialny jest wprawdzie dyrygent, ale grają muzycy; i tym lepiej wypadnie, im bardziej wierzą w kompozytora, dyrygenta i swoje instrumenty.” Stajesz się coraz

lepszym muzykiem, Burt… dlaczego uważasz, że ktoś musi być pierwszy? Zabraknie nam czegoś? gwiazd? planet? Kosmosu?… Nie, mówi Burt, nie… Zabraknie nam CZASU…

5

CZAS 1914–002

6

CZAS 1914–002

7

CZAS 2017–461 obraz przed oczami przyjmował znajome zarysy. Widział już przed sobą bliską twarz Ala. Zamęt w głowie ustawał. „Jak długo jeszcze?… Boże, jak długo jeszcze?!” — kołatało gdzieś w podświadomości pytanie. Był już prawie pewien, że to ostatni raz. Że kiedy obejrzy to raz jeszcze, to oszaleje. Znał już na pamięć każde słowo, każdy obraz, drgnięcie liścia i świst wiatru w koronie drzewa.

— Nie chcę już! — zawył nagle. — Al! Skończmy z tym raz, to już nie ma sensu!

Krzyczał coś, kiedy Al ściągał go z fotela CZAS 2017–462 i układał na podłodze. Potem nagle w głowie zapanowała cisza. Ocknął się wreszcie i rozejrzał po pomieszczeniu zasnutymi przez łzy oczami. Potem uniósł się na łokciach i podsunął do ściany, by się o nią oprzeć.

— Al… — mruknął. Tamten stał odwrócony do niego tyłem, majstrując coś przy kombinezonie.

— Uhm…

— Wydzierałem się?

— Uhm… Trochę… Normalna rzecz. — Al nadal stał odwrócony. Burt podniósł oczy do góry. „Na kogo tamten liczy? Co go jeszcze powstrzymuje?… Człowiek musi na coś liczyć, kiedy żyje… Życie jest czekaniem na coś, co ma się zdarzyć…” Burt więc czekał — i musiał żyć? Ale Al? Na co mogła czekać stłamszona, półżywa mysz? Nagle przestraszył się własnych myśli. Nie miał prawa wątpić w pragnienie życia tamtego. Może i on…

— Al, myślisz, że Anna ocalała?… Że ją spotkam… tam…?

Al odwrócił się. Twarz miał prawie zieloną. Popatrzył na Burta szklistym oczyma i powiedział cicho:

— Burt… proszę cię… nie mów nic do mnie… Nie mów…

8

Kiedy Al zamknął za sobą stalowe drzwi, CZAS 2020–071 Burt postanowił, że to stanie się dziś. Wiedział już, że to zrobi — nie miał już sił. Nie wierzył, że wrócą po nich. Zresztą, gdyby nawet wrócili, to szansę odnalezienia były minimalne. Kto dojrzy na pociemniałej Ziemi, skrytej za gęstymi chmurami i grubym płaszczem zjonizowanej atmosfery, kawał szmaty wywieszonej na pręcie anteny?

Tylko że Anna…

„Głupcze! Głupcze! Zrozum! Ona tego nie przeżyła, to byłby cud!" — perswadował sobie. To była ta jego szansa, to była ta przyszłość, dla której żył tu jeszcze zakuty w betonowy bunkier… Żył przeszłością. Ale pragnienie śmierci stawało się chwilami silniejsze od pragnienia życia…

Nagle Burt uśmiechnął się. „Chryste, przecież my już jesteśmy pomyleni!" — przemknęło mu przez głowę. Setki głowic anihilacyjnych zmiotły z powierzchni Ziemi wszystko, co żywe… Wszystko prawie, co stworzyła ludzka ręka. Gdzieś, rozrzucone po lądach i dnach oceanów, uchowały się nieliczne, skryte głęboko pod ziemią betonowo — ołowiane bunkry — ludzkie nory z przerażonymi szczuroludźmi, brudnymi, spodlałymi, balansującymi na skraju szaleństwa, wegetującymi tylko dzięki retrospektorom wstrzymującym zupełnie prawie akcję fizjologiczną. Dla przyszłości — w nadziei na ocalenie — żyli swymi najmilszymi, wybranymi ongiś wspomnieniami. Teraz nienawidzili ich, gardzili nimi. Ale to one dawały im życie. Kiedyś można było sobie nagrać w Centralnym Laboratorium PENTAC swoje wspomnienia CZAS 2020–072 na taśmie. Sprawa była wprawdzie droga — ale wspomnienia również.

Burt skrzywił się — przez dwanaście lat pracy w Służbie dorobił się domku, ogródka i siedmiu taśm… Było na nich kiedyś wszystko, co najdroższe… Teraz…

Wzdrygnął się.

Wojna, wbrew wszelkim przewidywaniom, nie zaczęła się od Strefy Zagrożenia. TAMCI byli również chytrzy jak CI. Załadowali się w rakiety ile tylko starczyło miejsca — a potem uruchomili wyrzutnie. Zapewne z ICH obliczeń wynikało, że nie ostanie się tu nawet mrówka… Burt dałby wiele za to, żeby zrozumieć, kto tu wygrał…

Nie, nikt tu po nich nie wróci. Rozproszyli się po Galaktyce, znów będą siać nienawiść, strach, terror. Zgodnie z chlubną historią ludzkości przetrwali najbezwzględniejsi, najokrutniejsi… A na Ziemi — jak po każdej wojnie — zostały jedynie szczury w bunkrach, podtrzymywane przy życiu retrospektorami… aż po sądny dzień, kiedy wyczerpie się paliwo termojądrowych stosów…

I dlatego Burt nie chce.

A jeśli Anna mimo wszystko?…

Starał się skierować myśl w inną stronę. Ale… O czym człowiek myśli przed samym końcem? To są ponoć ważne myśli — tak mu kiedyś o tym mówiono. Wszystko, o czym mógł myśleć, obracało się wokół nadziei — uciekało od śmierci, której pragnął. Rozpatrzył już wszystkie warianty ocalenia — jeden był bardziej nieprawdopodobny od drugiego. To coś, co tak często odzywało się w nim ostatnio, teraz na przemian zaśmiewało się z jego głupoty, to znów zanosiło się od płaczu, targając chudym ciałem i ociężałą głową. Kiedyś pożaliłby się Alowi… Kiedyś… Gdy nie wiedział, jaka to szmata…

Na myśl o Alu opadła go wściekłość. Męczyła go świadomość, że tamten tyle o nim wiedział, znał go tak dobrze. Przecież kiedy tu przybyli, byli jeszcze przyjaciółmi…

Spojrzał na kabiny. I tak miał większe szczęście. Al miał tylko trzy kasety.

CZAS 2020–073. Myśl przemknęła przez głowę błyskawicą.

„Nie! — aż się przestraszył — nie, nie, tak nie można…”

Mimo wszystko podpełzł na czworakach bliżej. Przecież to tylko na chwilę… Nawet taka chwila się liczy… „Ja też mógłbym jemu…” — Raptem, zdecydowany, przysunął ku sobie pojemnik z kasetami. Podniósł wieczko. Były tam nie trzy, lecz cztery kasety — czwarta leżała płasko na dnie. Nieważne. Wziął ją do ręki, potem z wysiłkiem wspiął się na fotel retrospektora Ala i wsunął głowę do hełmu. Nastawił zegar na 20 minut, ale potem przestraszył się jakby i cofnął wskazówkę na dziesiątkę. „Głupi! — pomyślał — i tak nie wróci wcześniej niż za cztery, pięć godzin!” Przycisnął guzik:

…CZAS 1916–704 patrzy przez okno, za którym migają drzewa i maleńkie klockowate domki jak z obrazków w książkach dla dzieci, potem zwraca twarz ku niemu i mówi: nie mogę, Al, brak mi odwagi, wiesz przecież, jaku to cios; dla ciebie to tez byłby cios; to już sześć lat, przez sześć lat człowiek się przywiązuje… nawet do psa się przy — wiązuje.. nie mogłabym, Al;.. nie, mówi Al, nie rozumiem, nie chcę rozumieć, nie masz prawa rezygnować za nas dwoje; dlaczego kiedy dwoje ludzi się kocha, oboje przystają na wspólne nienaruszalne prawa? a dlaczego, kiedy mowa o końcu miłości, pozbawiony praw pozostaje ten, kogo już pozbawiono szczęścia?! Wiem, że tak zawsze było, ale ktoś przecież to musi zrozumieć, przyznać, że to niesprawiedliwe; a zwłaszcza ty — ty nie masz prawa rezygnować za nas dwoje, jesteś mi potrzebna tak samo, jak ja tobie, tutaj nie ma miejsca na litość, i Burt z pewnością nie chce twojej litości; Anna znowu patrzy w okno; płacze po swojemu, bezgłośnie, łzy spływają po policzkach i kapią na ręce, na biały materiał bluzki, na ławkę… przeczysz sam sobie… twoje prawo do miłości jest wyrokiem dla

Burta, mówi; …spada cisza; wiesz, mówi wreszcie drżącym głosem, czy ty wiesz, ile kosztowało mnie to kłamstwo? pierwszy raz to zrobiłam, nigdy go nie okłamywałam, on uważał, że musi mieć kogoś, komu będzie bezgranicznie ufać… każdy człowiek musi mieć kogoś takiego… i dopiero teraz, żeby z tobą pojechać… ale tak nie może być dalej, Al, to będzie ostatni raz; …Al czuje, jak rozszalałe jeszcze przed chwilą myśli ustają nagle w swym biegu, nicestwieją… jest teraz tylko ból, straszliwy, sięgający każdego nerwu, paraliżujący ciało, rozrywający mózg… liczył się z tym, wiedział, że taki musi być koniec; ale kiedy nadszedł, nie może weń uwierzyć; patrzy na zapłakaną twarz Anny i do bólu dochodzi jeszcze żal, rozpacz, nienawiść; w głowie rodzi się jakaś dziwaczna myśl: „czy człowiek może naprawdę tyle wytrzymać? tyle zła? tyle bólu; i nagle zaczyna szybko mówić, jakby w obawie, że mogłaby mu przerwać: wiesz — mówi, za miesiąc wyjeżdżam na patrol w strefę zagrożenia; to będzie cały rok, Burt na pewno ci mówił, możesz mu wtedy napisać, to łatwiej, niż powiedzieć, przekażą mu przez radio… ale nie pisz, że to ja… dla mnie… napisz tylko, że postanowiłaś… że nie kochasz, nie możesz dalej, a ja mu wyperswaduję, będę z nim, nic sobie nie zrobi; zobaczysz, że tak będzie łatwiej, przypilnuję go i przez rok wróci do siebie… tak będzie dobrze, prawda? wierzysz mi, powiedz, wierzysz? no powiedz?! …patrzy z nadzieją na Annę… znów dociera do niego niemy film za oknem… potem Anna mówi: tak, Al, chyba tak… masz rację… nie umiałabym już bez ciebie… CZAS 1916–705.

Wspomnienie ustało nagle, jakby przerażone własnym widokiem. Burt czuł tylko lód — lód wszechobecny, w sercu, w nogach, w mózgu. Machinalnie wysunął głowę z hełmu, wyjął kasetę z przewiniętym kawałkiem taśmy i zbliżył ją do oczu. Chwilę wpatrywał się bezmyślnie w szpulki z czarną taśmą! Parę metrów bólu, cierpienia zdolnego wypalić w człowieku wszystko, co ludzkie. Gdzieś w jakimś nerwie narodziła się myśl, lecz zaraz, spłoszona jakby, zniknęła na powrót. Lecz oto pojawiła się druga, po niej trzecia…

Decyzja zapadła, jeszcze zanim o niej pomyślał; była w nim już wtedy, kiedy przeżywał kasetę Ala. Już wtedy zadecydował.

Otworzył wieczko kasety i cofnął palcem kawałek taśmy; potem zaniknął wieczko i wsunął kasetę do aparatu. Nastawił zegar na jedną minutę:

…CZAS 1919–706 cały rok, Burt na pewno ci mówił, możesz mu wtedy napisać, to łatwiej niż powiedzieć, przekażą mu przez radio… ale nie pisz, że to ja… dla mnie… napisz tylko, że postanowiłaś… że mnie kochasz, nie możesz CZAS 2020–075.

Zaledwie otwarł oczy, wyjął kasetę i ponownie cofnął taśmę — ‘jeszcze dalej niż poprzednio. Potem zamknął wieczko i na powrót wsunął kasetę do otworu. Nacisnął guzik.

…CZAS 1919–705 bezgranicznie ufać… każdy człowiek musi mieć kogoś takiego… i dopiero teraz żeby z tobą pojechać… ale tak nie może być dalej, Al, to będzie ostatni raz; …Al czuje, jak rozszalałe jeszcze przed chwilą ‘myśli ustają nagle w swym biegu, nicestwieją… jest teraz tylko ból, straszliwy, sięgający każdego nerwu, paraliżujący ciało, rozrywający mózg… liczył się z tym, wiedział, że taki musi być koniec; ale kiedy nadszedł, nie CZAS 2020–076.

W porządku. Burt wyjął znów kasetę i odkrył wieczko. Potem przegryzł zębami taśmę w miejscu, w którym się zatrzymała, i odwinął kilkanaście centymetrów z dopiero co obejrzanego odcinka. Koniec pozostałej taśmy nawinął na drugą szpulkę i zamknął wieczko. Włożył kasetę do pojemnika i zwlókł się z fotela, trzymając w zębach urwany wycinek taśmy. Podszedł do swojego retrospektora i z wysiłkiem wdrapał się na fotel. Wyjął jedną ze swoich kaset. Ruchy palców były zdecydowane, mechaniczne prawie. Wytrząsnął na dłoń pełną szpulę…

9

Jest. W betonowym mroku ścian pojawiła się nagle gruba czarna krecha otwieranych drzwi, a w nich CZAS 2020–112 sylwetka Ala. Al spojrzał na Burta siedzącego nieruchomo w fotelu retrospektora i zdziwiony zapytał:

— Oszalałeś? Wykończysz się, Burt!.. Dlaczego nie włączyłeś retrospektora? Tak nie…

— W porządku, Al — powiedział głos Burta. — Okay. Lepiej się dziś czuję.

— Tak ci się tylko wydaje! Nie wolno ci, sam mi tłumaczyłeś…

— Powiedziałem okay! — powtórzył z naciskiem głos. Mózg dziwił się spokojowi i sile ciała. — Masz coś?

Al pokręcił głową.

— Cholernie ciężko — powiedział cicho. Albo ja jestem do niczego, albo… Naprawdę robiłem, co się da… Może jutro?

Twarz uśmiechnęła się.

— To nie ma znaczenia — powiedział głos.

Al zmarszczył brwi.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał zaskoczony. — Burt, stało się coś?

— Nie, skądże… Tak mi się powiedziało. („Boi się! Boi się, skurwysyn!”)

Al popatrzył przez chwilę na towarzysza, a potem ciężko westchnął i podszedł do swojego retrospektora.

— Przepraszam cię, Burt, ale chyba tu wlezę. Opuszczają mnie resztki sił…

— Jasne — uciął głos Burta; ciało zaczęło się podnosić z fotela.

— Burt — odezwał się spod hełmu Al. — Ale ty przecież nie musisz jeszcze iść. Ostatecznie to moja wina… Posiedź jeszcze…

— W porządku.

Burt wywlókł się z kabiny. Nie odwracał się. Czekał, aż usłyszy charakterystyczny szczęk wciskanej kasety.

Już. CZAS 2020–077.

Odwrócił się. Tamten był w przeszłości. Burt podszedł wolno do kabiny Ala i odsunął drzwi. Przez chwilę wpatrywał się w tamtego.

— Ty kanalio! — zawył nagle. — Ty sukinsynu!

Oczy Ala patrzyły w przeszłość.

Bunt rozwarł dłoń, na której leżała spreparowana kaseta. Potem błyskawicznym ruchem wyłączył retrospektor Ala, wyrwał oglądaną przezeń taśmę w kasecie i wcisnął tę, którą trzymał w ręce. Nim tamten zdążył się opamiętać, Burt wcisnął na powrót guzik, uruchamiając ponownie retrospektor. Wskazówkę przesunął na czarny

napis FULL.

10

…CZAS 1916–705 bezgranicznie ufać… każdy człowiek musi mieć kogoś takiego… i dopiero teraz, żeby z tobą pojechać… ale tak nie może być dalej, Al, to będzie ostatni raz; …Al czuje jak rozszalałe jeszcze przed chwilą myśli ustają nagle w swym biegu, nicestwieją… jest teraz tylko ból, straszliwy, sięgający każdego nerwu, paraliżujący ciało, rozrywający mózg… liczył się… bezgranicznie ufać… każdy człowiek musi mieć kogoś takiego… i dopiero teraz, żeby z tobą pojechać… ale tak nie może być dalej, Al, to będzie ostatni raz; …Al czuje, jak rozszalałe jeszcze przed chwilą myśli ustają nagle w swym biegu, nicestwieją… jest teraz tylko ból, straszliwy, sięgający każdego nerwu, paraliżujący ciało, rozrywający mózg…

Burt wykręcił bezpieczniki czasowe, aby uniemożliwić samoczynne wyłączenie się retrospektora po dwóch dniach. Tyle ponoć był w stanie znieść zdrowy człowiek…

Patrzył, jak za szkłem przewija się w kółko pętla taśmy…

— Kanalio… — szepnął.

Potem na czworakach skierował się CZAS 2020–078 ku drzwiom. Wyczerpany organizm, nie podtrzymywany działaniem retrospektora, odmawiał już posłuszeństwa. Z wysiłkiem zamknął za sobą drzwi i powoli ruszył tunelem…

11

Resztkami sił zamknął klapę bunkra. Leżał na niej przez chwilę, ciężko dysząc. Potem uniósł się na kolana i zaczął wściekle, garściami narzucać na stalową pokrywę błotnistą ziemię. Kiedy wreszcie CZAS 2020–086 metal zniknął pod warstwą błota, Burt uniósł głowę i podczołgał się kilka metrów przed siebie — ku aluminiowemu prętowi anteny z powiewającą błękitną szmatą — sygnałem dla pomocy, która miała nadejść z nieba…

Uchwycił pręt masztu i kilkoma wściekłymi ruchami przygiął go do ziemi.

— Hej, Ziemianie — wrzasnął, bijąc się kułakami w pierś. Twarz wykrzywił mu grymas tępego uśmiechu. — Solarianie! Kosmici! Jestem gotów — wy szczurołapy! Gnijki! Czekam — ja pierwszy, który schwytał za ogon przeszłość! Macie ją — tu! — popukał w ziemię obok. — To była jego przeszłość! Moja przyszłość! Ale to ja złapałem za ogon czas! Ja! Warn będzie kapać dalej! Wyście mi go odmierzyli… Wy…

Tłumione łkanie wstrząsnęło ciałem. Burt, wyzuty z resztek sił, upadł na ziemię, rozrzucając ręce na boki. Pięści machinalnie zacisnęły się na sinym błocie. Potem — siłą woli raczej niźli mięśni — odwrócił się na plecy i spojrzał w niebo. Brudne łzy ściekały po twarzy, żłobiąc sobie rowki w skorupie zasychającego na niej błota.

— To wyście mi odmierzyli czas, dranie… Cholerne dranie… — wyszeptał.

Ołowiane niebo, jak co dzień, z ironią przyglądało się umierającemu Ziemianinowi.

Michaił Puchow
GALERIA OBRAZÓW

Galerieja

Niebo było puste. Lega nie przewędrowała jeszcze czwartej części swej dziennej marszruty i właściwe jej miejsce w zenicie zajmowało teraz nikłe pasemko Betona. Gdyby nie jego ostre kontury, wąski sierp naturalnego satelity Bety przypominałby raczej obłok. Ale prawdziwych obłoków na niebie nie było. Nad głowami zawisła pustka i cisza…

Pawłow przeniósł wzrok na szorstki granit Galerii Obrazów. Zrobił to w porę — reisfeder bowiem, przewisiawszy po wczorajszej kolacji prawie dobę pod skalnym nawisem, ocknął się wreszcie i zabrał do przygotowywania nowej pułapki.

Człowiek śledził przez chwilę, jak reisfeder, zgrabnie przestawiając włochate łapy, posuwa się ruchami tkackiego czółenka po skalnej płycie, zostawiając za sobą gdzieniegdzie plamy czarnej smoły, której zapach miał wabić na zgubę miejscowe ptactwo. Oczywiście, nieuzbrojonym okiem nie sposób było dojrzeć ani włochatych nóg, ani czarnych, błyszczących kropli. Ale wystarczała wyobraźnia. Oto za godzinę, kiedy czarne punkciki zleją się w linie, a linie w sylwetkę, można będzie uważnie obejrzeć nowe dzieło przez lornetkę, i — jeśli to będzie coś oryginalnego — zrobić zdjęcie. Teraz odgadywanie konturów przyszłego rysunku nie miało sensu.

Gładka, trójkątna ściana Galerii Obrazów strzelała w beztlenowe niebo Bety na dobrych sto metrów w górę. Była już prawie w całości pokryta starannie wykonanymi rysunkami. I tylko one odróżniały ją od innych, w bezładzie sterczących z cudacznego lasu skał. Reisfedery nie są szczególnie towarzyskie i nie zbliżają się do siebie zwykle na mniej niż kilometr. Ciekawe było tylko, jak samce odnajdują podczas godów swoje partnerki? Nikt nigdy nie zaobserwował, by jakiś reisfeder porzucił swoją skalą i udał się w niebezpieczną podróż przez mściwy las.

Ale teraz z lasu, przypominającego raczej skład drutu kolczastego, wyłonił się Sibirin. Zbliżył się w milczeniu i zatrzymał obok Pawiowa. W skafandrze podobny był do robota.

— No i jak? — zapytał Pawłow. Nie miał nic do zarzucenia swojemu towarzyszowi, ale drażnił go u tamtego zwyczaj milczenia wtedy, kiedy oczekiwało się odeń jakichś informacji.

— Nic nowego — odrzekł Sibirin. — Znów nie było łączności.

Pawłow nie odpowiedział. „Jastrząb” zaopatrywał planetarne

oddziały ekspedycji we wszystko, co tu nieodzowne do życia. Gdyby się pojawił z opóźnieniem na jednej z planet centralnych, gdzie ludzie chodzą w szortach i pijają wodę ze źródeł, nie stałoby się nic strasznego. Ale grupa na Becie znajduje się w trudniejszym położeniu.

— Rozmawiałem z Bazą — powiedział Sibirin i znów zamilkł.

— I co?

— I nic — odparł tamten. — Wierszynin wystartował z Alfy zgodnie z rozkładem. Lot też upływał normalnie. A potem nagle nie zgłosił się do łączności.

— I to wszystko?

— Rakietobus zaginął gdzieś w naszym rejonie — powiedział Sibirin. — Radary z Bazy obmacały całą przyległą przestrzeń, ale bez rezultatu. Zresztą, co oni mogli na taką odległość dojrzeć?

— Więc oni tam myślą, że „Jastrząb”… — zaczął Pawłow.

— Nie — przerwał mu Sibirin. — Możliwe, że mieli awarię silnika.

— A dlaczego w takim razie nie ma łączności?

— To statek fotonowy — wyjaśnił Sibirin. — Antena i zwierciadło są połączone.

— To fakt… — zgodził się tamten. — Chociaż… Czekaj. Jeżeli „Jastrząb” znajduje się w naszym rejonie i jeśli mieli po prostu awarię silnika, to mogli się przecież do nas dostać na „czółnie”.

— Rozumie się — przytaknął Sibirin. — Tylko że Wierszynin zostawił „czółno” na Alfie. Ich orbilot jest teraz na profilaktyce.

— Dobre sobie… — mruknął Pawłow. Milczał chwilę. — Co jeszcze mówili?

— Poradzili nam żyć ekonomiczniej — odparł tamten. — Wysłali bezpilotową ciężarówkę, najszybszą, jaką mają. Będzie tu za dwa tygodnie.

— A nie moglibyśmy im wyjść na spotkanie? Każda grupa planetarna miała do swojej dyspozycji niewielki, czteromiejscowy orbilot, przeznaczony do badania górnych warstw atmosfery. Czasem orbilot był wykorzystywany do spotykania się z rakietobusem „Jastrząb” na jakiejś niskiej orbicie. Miało to zwykle miejsce przy zmianie składu grupy lub w wypadkach, kiedy „czółno” ładownicze „Jastrzębia” z jakichś tam powodów nie funkcjonowało. Na przykład kiedy Wierszynin sprytnie pozostawiał je na Alfie.

— Czym? Naszym „cichochodem”? — zapytał kwaśno Sibirin. — A cóż my nim zwojujemy? W najlepszym wypadku dolecimy do Betona…

— Złe jest… — odezwał się Pawłow. — Nie pociągniemy dwa tygodnie.

— Nie ma o czym gadać — powiedział Sibirin. — Co ma wisieć nie utonie. Przynajmniej wejdziemy w ten sposób do historii. Choć

najgorszym wejściem.

Zamilkli. „Nie jest to miłe, kiedy człowiek sobie uświadamia, że za tydzień go nie będzie — pomyślał Pawłow — ….wszystko już zostało powiedziane, wszystko jest jasne. Tylko nie sposób się z tym pogodzić. Człowiek to wielki logik, ale w podobnych sytuacjach logika ustępuje na drugi plan, zwalniając miejsce nadziei. Zresztą, może to i lepiej?… Pójdziemy teraz przygotować materiały dla tych, którzy przyjdą tu po nas, wykończymy zbieranie próbek i danych, spiszemy na papierze ostatnie myśli, napiszemy pożegnalne listy i w ogóle zrobimy wszystko, co w takich wypadkach czynić należy. Ale nie uwierzymy w to… Nie uwierzymy dopóty, dopóki nie skończy się tlen…”

— …Coś mi się zdaje, że jeden z nas już do niej trafił — podjął przerwaną rozmowę Sibirin.

Pawłow odwrócił się nieco. Tamten stał z podniesioną w górę twarzą i obserwował przez lornetkę wierzchołek Galerii. Reisfeder, zawieszony pod skalną półką, wykonał już prawie trzecią część swego kolejnego arcydzieła. Jednak dojrzenie czegoś z tej odległości było zupełnie niemożliwe.

— Spójrz sam… — Sibirin wyciągnął w kierunku kolegi lornetkę.

Na skale, jak na fotografii, przedstawiony był zwał kamieni. Wszystkie były nieforemne z wyjątkiem jednego. Kamień ten był regularnie zaokrąglony i przedstawiał w rzeczywistości górną część głowy człowieka w skafandrze. Spod osłony hełmu błyszczały czyjeś oczy. Na nos nie przyszła jeszcze kolej. Od czasu do czasu w pole widzenia dostawały się włochate, pajęcze nogi reisfedera lub jego jedyne grzbietowe oko, podobne do obiektywu kamery fotograficznej. Reisfeder wszedł w rytm roboczy.

— W takim razie to ja — powiedział Pawłow. — On rozpoczął rysunek, kiedy cię jeszcze nie było.

— Czy to ważne, kiedy zaczął?

— Mechanizmy percepcji są różne — wyjaśnił Pawłow. — Dla człowieka rzeczywistość to film — kolorowy, ruchliwy, przestrzenny. Dla reisfedera, to raczej szereg wolno zmieniających się fotografii. Podczas pracy zapis nie może się ani zmienić, arii wytrzeć z jego pamięci.

Sibirin skinął głową.

— Jasne…

— Zadziwia mnie jednak co innego — mówił dalej Pawłow. — Przedtem nigdy nie przedstawiał ludzi. Czemu przyszło mu to nagle do głowy?

— Nigdy nie jest za późno. I nie należy przypisywać zwierzętom ludzkich kategorii zachowania. Ostatecznie „coś” może przyjść do głowy tylko człowiekowi.

— Uprzejmie dziękuję za wyjaśnienie — Pawłow uśmiechnął się. — Chodźmy lepiej stąd. Trzeba wszystko doprowadzić do porządku, nie ma na co czekać. Chciałem tu jeszcze później zrobić zdjęcia.

Przez jakiś czas szli w milczeniu lasem, bacząc, by kolące gałęzie roślin nie uszkodziły tkaniny skafandrów. Potem Sibirin nagle się roześmiał nerwowo.

— Co z tobą? — zapytał Pawłow.

— Przypomniałem sobie teorię Pratta, tę o rysunkach reisfedera.

Po grzbiecie Pawłowa przebiegły dreszcze.

— Będziesz miał szczęście, jeśli jest fałszywa — dodał Sibirin.

Kiedy ludzie Pratta, wysadzeni sto lat temu w układzie Wegi, ujrzeli naskalne freski Bety, stracili niemało czasu i sił na poszukiwanie rozumnych mieszkańców, zanim udało im się wreszcie wyjaśnić, że autorem malowideł jest — jeśli to rozpatrywać w ziemskich kategoriach — zwykły owad; i że same rysunki są po prostu pułapkami, zastawionymi na innych przedstawicieli fauny. Na skałach przedstawiane zwykle było drobne ptactwo — i to dało Prattowi podstawy do założenia, że reisfeder rysuje zawsze dokładnie to zwierzę, które pragnie zwabić w swoje sidła. Naznaczona ofiara, widząc z dala swój wizerunek, przyjmuje go za inną istotę swego gatunku, pragnie się z nią bliżej zaznajomić i kończy w ten sposób życie w żołądku drapieżnika.

— „Fałszywa" to złe słowo — powiedział Pawłow, chociaż zrobiło mu się nieprzyjemnie. — Zdarza się i tak, z pewnością. Ale Pratt uważał, że rysunki reisfedera wywierają na mieszkańców Bety hipnotyczny wpływ, że dysponują one jakąś magiczną, przyciągającą ku nim siłą. Przecież to zupełnie bezsensowne.

— O ile mi wiadomo, to nikt nie udowodnił, że tak nie jest — spokojnie zareplikował Sibirin.

„Zwykły mistycyzm — pomyślał Pawłow. — Człowiek jest dziwnie zbudowany. Nawet kiedy stoi u progu nieuchronnej śmierci, obawia się wszystkiego, co irracjonalne. Wszyscy są przesądni… Głupota…"

— Nawet przy maksimum dobrych chęci nie dałbym rady wdrapać się na Galerię Obrazów — powiedział. — Więc to wszystko mrzonki.

— Świat jest pełen tajemnic, chłopcze — zreasumował Sibirin. — A my nie umiemy ich racjonalnie wykorzystywać. Na przykład reisfeder. Wykryliśmy już skład chemiczny jego smoły i zrobiliśmy z niej najlepszy klej na świecie. Czyż nie lepiej było zastosować samego reisfedera w charakterze jedynego w swoim rodzaju aparatu fotograficznego? Przecież jego rysunki są niezwykle dokładne.

— Racja. Tylko spróbuj mu nakazać rysowanie tego, co będziesz chciał — powiedział Pawłow. — A przecież on czasem maluje rzeczy,

które w ogóle nie istnieją. Okazuje się, że posiada niejaką skłonność do abstrakcji.

— O niczym takim nie czytałem.

— Bo nie mogłeś — odezwał się Pawłow. — Pokażę ci kilka fotografii.

— Ty rzeczywiście wyraźnie zamierzasz wejść do historii — powiedział Sibirin.

Zbliżyli się już do budynku stacji, stojącego na niewielkim kamienistym placyku pośród lasu. Stacja była standardowa, przeznaczona dla dwóch ludzi, chociaż w razie konieczności można się tam było zmieścić i w dziesiątkę.

Odczekali chwilę w komorze przejściowej, dopóki nie wyrównały się ciśnienia. Potem, kiedy drzwi się wreszcie otwarły, zdjęli z siebie skafandry i weszli do wnętrza.

— Pokaż, co tam wielkiego odkryłeś… — przypomniał Sibirin.

— Zaraz.

Kopuła, kryjąca stację, była zupełnie przezroczysta. Jedynie jej wschodnia część była na stałe zakryta filtrem ochronnym, osłaniającym nie zakryte szkłem skafandra oczy przed oślepiającym blaskiem Legi. Nad głową zawisł wąski sierp odległego Betona.

Pawłow wydostał z szuflady stołu gruby album fotograficzny i otworzył go na właściwej stronicy.

— Masz, podelektuj się.

Z doskonałej, czarno — białej fotografii patrzyła na nich jakaś poczwarna istota. Bezkształtna, amorficzna, pozbawiona zapewne kręgosłupa, o wyciągniętych niezgrabnie mackach wspinała się po dziwnie gładkich, krystalicznych skałach, połyskujących lustrzanymi graniami.

— Spotkałeś coś podobnego na Becie?

— Nie… Chociaż… Jedna z poprzednich grup zajmowała się tu mikrobiologią. Oni mają w swoich archiwach podobne fotografie. — Sibirin zaśmiał się. — Ale reisfeder nie ma mikroskopu. Tak że ty chyba rzeczywiście dokonałeś odkrycia.

Pawłow powoli zamknął album i położył go na miejscu. Potem wstał.

— Te rysunki już opisałem — powiedział. — Nie mam nic więcej do roboty. Pójdę chyba porobić zdjęcia. Trzeba je będzie też potem opisać.

Sibirin popatrzył na niego uważnie.

— Wiesz co — powiedział. — Oczywiście obaj sobie świetnie zdajemy sprawę z tego, że to bzdura. Że nie jesteś w stanie wspiąć się na Galerię Obrazów, i że rysunki reisfedera nie mają żadnego hipnotycznego działania na ludzki organizm… Ale będę spokojniejszy, jeśli tu posiedzisz. Sam zrobię zdjęcia.

— Ależ ja tu po prostu nie mam nic do roboty!

— Zajmij się czymkolwiek — powiedział Sibirin. — Popracuj na razie przy radiostacji.

Wszedł do śluzy. Pawłow obserwował na monitorze, jak tamten wychodził. Potem odwrócił się do radiostacji i wcisną] klawisz z napisem ŁĄCZNOŚĆ LOKALNA.

— Tu stacja BETA — powiedział. — BETA woła JASTRZĘBIA!

Powtórzył to zdanie kilkakrotnie, przestawiając słowa, potem odczekał przepisowe pięć minut, znów powtórzył serię wywołań, i znów odczekał. Potem na wszelki wypadek wywołał jeszcze raz; wreszcie nacisnął klawisz z napisem CENTRUM.

Z Bazą, która znajdowała się w odległości około miliarda kilometrów od Bety, dwustronnej łączności w ścisłym tego słowa znaczeniu być nie mogło, bowiem opóźnienie fal radiowych było rzędu godziny. Dlatego łączność utrzymywano na zasadzie „dialogu głuchych" — Baza nieprzerwanie nadawała całe bloki emisyjne, przeznaczone dla odległych grup planetarnych, i miało to charakter normalnego przekazywania najnowszych wiadomości. Jeśli operatorzy z Bazy mieli odpowiedzieć na jakieś pytanie czy doniesienie, włączali odpowiedź do kolejnego bloku z komunikatami. W innych przypadkach treść programu nie ulegała zmianie.

Pawłow po włączeniu odbiornika znalazł się oczywiście gdzieś w środku bloku informacyjnego. Cierpliwie dosłuchał go więc do końca, a potem jeszcze do tego miejsca, w którym rozpoczął nasłuch. Niczego nowego w porównaniu z tym, co powiedział mu Sibirin, nie dowiedział się. Wyłączył więc radiostację w chwili, kiedy otwarły się drzwi śluzy.

— Możesz mi pogratulować — powiedział Sibirin, zdejmując skafander. — Mnie też odmalował. Popatrz…

Pawłow wziął fotografię. Rysunek był wykonany starannie, ze wszystkimi szczegółami. Na kamienistej płaszczyźnie, pośród wielkich głazów stał człowiek w skafandrze. Obok niego siedział drugi. Obaj spoglądali w górę — zdawało się, że oczekiwali, aż z obiektywu niewidocznego dla nich aparatu wyleci ptaszek…

— Dziwne… — powiedział Pawłow.

— Masz na myśli perspektywę? — zapytał Sibirin. — Przecież on w ten właśnie sposób nas widział. Mnie osobiście bardziej cieszy, że teraz i ja jakbym już trafił do historii.

— Dziwne — powtórzył Pawłow, spoglądając na fotografię. — Jakoś nie mogę sobie przypomnieć, żebyś tam siedział.

— Bo nie siedziałem — odezwał się Sibirin. — Nie mam takiego zwyczaju. To ty siedzisz. Ja jestem tym, który stoi.

— Ja?! — wykrzyknął Pawłow. — Ja też nie mam takiego zwyczaju. A oprócz tego zauważ, że to nie moja twarz!

— Wiesz… Za szkłami skafandrów źle widać — po chwili wahania powiedział Sibirin. — W każdym razie na moją gębę tym bardziej mi to nie wygląda.

— To fakt… — z roztargnieniem przyznał Pawłow.

Patrzył uważnie na fotografię. Nie, ten, który stał, to nie był on. A siedzący — to też nie był Sibirin. Żaden z nich nie zwykł siadać na kamiennym osypisku przed Galerią Obrazów. To byli inni ludzie.

Reisfeder odtwarza rzeczywistość — jeśli to tylko jest rzeczywistość — absolutnie wiernie. Nigdy się nie myli.

Ale innych ludzi nie było na planecie od czterech tygodni. Ani na samej Becie, ani w okolicy.

— Słuchaj — odezwał się nagle Pawłow. — Masz zdjęcie Wierszynina?

— Gdzieś mam. A po co…

— Dawaj — przerwał mu tamten.

Spojrzał raz jeszcze na reprodukcję skalnego fresku. „Jakże my mało wiemy o zwierzętach — pomyślał. — Nawet o tych, z którymi się na co dzień spotykamy. Co wiemy o ich zmysłach? Sibirin powiedział, że reisfeder nie ma mikroskopu. A jeśli mu mikroskop niepotrzebny? Jeśli może mikroorganizmy widzieć równie wyraźnie, jak my widzimy samych siebie?…”

— Masz tu Wierszynina — powiedział Sibirin. — A to jego nawigator. Sfotografowałem go kiedyś, przy okazji.

Pawłow przyjrzał się fotografiom. Słyszał za sobą przyspieszony oddech Sibirina, który spoglądał mu przez ramię. Tak, nie mogło być omyłki.

— Ta — ak… — odezwał się wreszcie po dłuższej chwili Sibirin. — Takie właśnie praktyczne wykorzystanie reisfederów miałem na myśli. Tylko… Rozumiem, że z góry on ma lepszy widok, że mógł ich stamtąd dojrzeć, podczas gdy dla nas byli niedostrzegalni, jeśli przycupnęli gdzieś za skałami. Ale dlaczego nie słyszeliśmy, jak lądowali?!

Pawłow nie odpowiedział od razu. „Tak już jesteśmy zbudowani — pomyślał. — Mimowolnie przypisujemy zwierzętom ludzkie motywy działania, nasze myśli, odczucia. I nie jest nas w stanie niczego nauczyć ani to, że węże reagują na zmiany temperatury o tysięczne ułamki stopnia, ani to, że ptaki orientują się według ziemskiego pola magnetycznego… Wszystko z pozycji antropomorfizmu. I jakże się często mylimy…”

— Idź przygotować orbilot — powiedział wreszcie. — A ja nadam radiogram do Bazy. Lecimy na Betona.

Spojrzał w górę. Na poszarzałym, przejrzystym niebie jaśniał ostry sierp satelity. Dla ludzkich oczu ta ogromna skalna pustynia była teraz tylko maleńkim, ostro rysującym się na niebie obłokiem.

Błyszczący jeszcze od świeżej smoły rysunek podobny był do czarno — białej fotografii, wykonanej w niezwykłej — jakby z lotu ptaka — perspektywie. Widać było na nim czterech ludzi. Stali tak, nieruchomi, na kamiennym usypisku, obok okaleczonego kosmolotu, i zadarłszy w górę głowy spoglądali w zenit.

…Reisfeder zostawił za sobą ostatni lepki punkt i odpełzł powoli do swojej kryjówki, pod najwyższy skalny nawis Galerii Obrazów. Teraz mógł już tylko czekać, cierpliwie czekać, aż dziwne latające zwierzęta, które tak starannie wyrysował, przybędą w gościnę do swych wizerunków…

Przełożył Krzysztof W. Malinowski

Isaac Asimov
OSTATNIE PYTANIE

The Last Question

Po raz pierwszy ostatnie pytanie padło — rzucone pół—żartem — dwudziestego pierwszego maja 2061 roku. Były to czasy, kiedy ludzkość zawładnęła już światłem. Pytanie owo narodziło się jako rezultat półdolarowego zakładu, zawartego nad butelką whisky. A stało się to tak…

Dwaj członkowie wiernej świty Multivaca — Alexander Adell i Bertram Lupov — wiedzieli najlepiej, jak tylko człowiek mógł wiedzieć, co kryje się za zimną, błyszczącą płytą gigantycznego komputera. A w każdym razie mieli jakieś mgliste pojęcie o ogólnym schemacie obwodów i przekaźników, które narosły w maszynie od owych zamierzchłych czasów, kiedy to pojedynczy człowiek mógł mieć zupełnie jasne pojęcie o całości…

Multivac był maszyną samoadaptacyjną i samokorygującą. Musiał być taki — bowiem żaden człowiek nie byłby w stanie nic w nim naprawić lub zmienić równie szybko i równie trafnie jak on sam. Tak więc Adell i Lupov służyli molochowi jedynie powierzchownie i z pozoru — choć najlepiej, jak tylko było na to stać człowieka. Karmili go danymi, adaptowali pytania, jakie mu stawiano i tłumaczyli odpowiedzi, jakich udzielał. Bez wątpienia więc zasługiwali oni — podobnie jak inni ze świty Multivaca — na swój udział w glorii komputera.

Na przestrzeni dziesiątków lat Multiyac pomagał w projektowaniu statków kosmicznych i obliczaniu trajektorii lotów, które umożliwiły ludziom osiągnięcie Księżyca, Marsa i Wenus. Później jednak ziemskie zapasy okazały się zbyt ubogie, by sprostać wymaganiom takich wypraw. Zbyt dużo trzeba było energii do tak długich lotów. Ziemianie eksploatowali wprawdzie swoje złoża węgla i uranu ze stale wzrastającą wydajnością, ale ani tego, ani tego nie było zbyt wiele.

Powoli jednak Multivac nauczył się dostatecznie dużo, by móc odpowiadać na coraz bardziej wnikliwe i sięgające istoty rzeczy pytania. I oto czternastego maja 2061 roku to, co było dotąd teorią, stało się faktem…

Ziemianie zawładnęli energią Słońca. Mogła ona być teraz magazynowana, przetwarzana i utylizowana wprost na skalę całej planety. Ziemia skończyła raz na zawsze ze spalaniem węgla, rozszczepianiem uranu i podłączyła się do małej stacji kosmicznej o średnicy jednej mili, obiegającej Ziemię w połowie odległości od

Księżyca. Cały glob pracował teraz dzięki niewidzialnym promieniom energii solarnej.

Nawet tydzień okazał się okresem czasu zbyt krótkim, aby przyćmić glorię tego przedsięwzięcia. Toteż Adell i Lupov postanowili ostatecznie uciec od swych oficjalnych obowiązków i spotkać się w ciszy i spokoju tam, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy ich szukać: w bezludnych podziemnych halach, kryjących płyty potężnego, wpuszczonego w ziemię cielska Multivaca. Opuszczony przez wszystkich i bezczynny teraz komputer sortował dane z leniwym, pełnym zadowolenia klekotem. On również zasłużył sobie na odpoczynek i obaj ludzie zdawali sobie z tego sprawę. Zresztą w gruncie rzeczy nie było żadnego powodu, by go niepokoić.

Mieli ze sobą flaszkę whisky i ich jedynym pragnieniem w owej chwili był odpoczynek w swoim własnym towarzystwie.

— A jednak to zadziwiające, jak się nad tym lepiej zastanowić — odezwał się Adell. Jego szeroką twarz przecięły teraz bruzdy znużenia. Wolno mieszał swojego drinka szklanym pręcikiem, przyglądając się leniwie wirującym sześcianikom lodu. — Cała energia, jakiej kiedykolwiek by nam było potrzeba — za darmo! Energia wystarczająca do stopienia całej Ziemi w jedną wielką kroplę zanieczyszczonego ciekłego żelaza. I nadal by nam tej energii nie zabrakło. Wszelka energia, jakiej kiedykolwiek Ziemianom będzie trzeba — na zawsze… Na zawsze…

Lupov odchylił głowę i spojrzał przekornie na Adella. Robił tak zawsze, kiedy miał ochotę sprzeciwić się. I teraz również miał zamiar się sprzeciwić — po części zresztą dlatego, że to on musiał wcześniej przynieść kostki lodu i szklanki.

— Nie na zawsze — powiedział.

— O Chryste, no to prawie na zawsze! Dopóki nie skończy się Słońce…

— To nie jest zawsze!

— No więc dobra, nie na zawsze. Biliony, biliony lat. Może dwadzieścia bilionów? Satysfakcjonuje cię to?

Lupov przesunął palcami po przerzedzonych włosach — był to jakby gest uspokojenia i utwierdzania się w przekonaniu, że nadal coś tu jest nie tak. Potem dystyngowanie małymi łykami popijając swojego drinka powiedział:

— Dwadzieścia bilionów lat to nie jest zawsze.

— W porządku, ale dla naszych czasów wystarczy…

— Tak samo uważano w przypadku węgla czy uranu…

— No dobra, ale teraz możemy przecież podłączyć statek do stacji energosolarnej, po czym ten statek może gnać do Plutona i z powrotem milion razy bez kłopotania się kiedykolwiek o paliwo. Nie mógłbyś czegoś takiego dokonać za pomocą węgla czy uranu. Zapytaj

Multivaca, jeśli mi nie wierzysz.

— Nie muszę pytać Multivaca — sam dobrze o tym wiem.

— Więc przestań podważać znaczenie tego, co dla nas zrobił — powiedział Adell czerwieniejąc. — Bo dobrze zrobił!

— A kto tu mówi, że nie? Powiedziałem tylko, że Słońce nie będzie pracować zawsze! To wszystko, co powiedziałem. Jesteśmy zabezpieczeni na dwadzieścia bilionów lat. A co potem? — Lupov wyciągnął w kierunku kolegi lekko drżący palec. — Tylko nie mów mi, że podłączymy się do następnej gwiazdy! — dodał.

Na chwilę zapadła cisza. Adell od czasu do czasu tylko przykładał do ust szklankę. Oczy Lupova powoli się zamknęły. Odpoczywali.

Nagle Lupov otworzył oczy i wykrzyknął:

— Wydaje ci się, że jak Słońce się skończy, to podłączymy się do następnej gwiazdy, no nie?

— Nie, wcale nie.

— Jasne, że tak ci się wydaje. Jesteś słaby w logice — w tym problem. Jesteś jak ten facet z dykteryjki o deszczu. Kiedy złapał go przelotny deszcz, popędził ku kępie drzew i wpakował się pod jedno z nich. Nie martwił się o nic, bo wykombinował sobie, że jak jedno drzewo przemoknie, to on pójdzie pod następne…

— W porządku, rozumiem — odparł Adell. — Nie drzyj się. Rozumiem. Kiedy Słońce się skończy, inne gwiazdy też nam podziękują.

— Niech mnie cholera, jeżeli nie podziękują — wymamrotał Lupov. — Wszystko wzięło swój początek od pierwszej eksplozji kosmicznej — czymkolwiek ona była — i wszystko się skończy z chwilą, kiedy pogasną ostatnie gwiazdy. Jedne szybciej, inne wolniej — ale, do cholery, pogasną! Olbrzymy wytrzymają 100 milionów lat. Słońce — 20 bilionów… Karły wytrzymają może 100 bilionów — w najlepszym razie… Ale poczekaj trylion lat i wszystko będzie czarne. Entropia musi wzrastać do maksimum — koniec, kropka!

— Ja wiem wszystko o entropii — odezwał się Adell, podnosząc się w całej swej okazałości.

— Gówno wiesz!

— Wiem tyle samo co ty.

— Więc wiesz również, że któregoś dnia wszystko się skończy!

— Zgoda, kto tu mówi, że nie?

— Ty, biedny mądralo! Ty! To ty twierdzisz, że mamy już całą energię, jakiej kiedykolwiek byłoby nam potrzeba! To ty powiedziałeś „na zawsze”!

Teraz Adell postanowił się sprzeciwić.

— A może któregoś dnia będziemy w stanie odtworzyć to wszystko? Odbudować? — powiedział.

— Nigdy.

— Zapytaj Multivaca.

— To ty go zapytaj. No, spróbuj! Stawiam pięć dolarów, że powie, iż to jest niemożliwe do zrobienia.

Adell był wystarczająco pijany, żeby spróbować — i zarazem dostatecznie trzeźwy, by móc poprawnie złożyć sekwencje koniecznych symboli i rozkazów w pytanie, które wyrażone słowami brzmiałoby mniej więcej tak: czy ludzkość będzie kiedykolwiek zdolna do odtworzenia Słońca — bez zużycia energii — w stadium jego wczesnej młodości? I to nawet po tym, gdy umrze ono ze starości?

Pytanie to można było sformułować prościej, np. tak: czy możliwe jest, aby całkowita entropia Wszechświata zaczęła maleć?

Multivac pozostał martwy i milczący. Urwały się leniwe błyski świateł, ustały odległe odgłosy klekotu przekaźników.

I nagle, kiedy obaj przestraszeni technicy poczuli, że nie są już w stanie dłużej wstrzymywać oddechu, w ciszę wdarł się raptownie grzechot dalekopisu, podłączonego do najbliższej im jednostki Multivaca. Na taśmie widniało tylko sześć słów: BRAK DANYCH WYSTARCZAJĄCYCH DO UDZIELENIA ODPOWIEDZI.

— Nie było zakładu — szepnął Lupov, po czym obaj w pośpiechu się wynieśli.

Następnego ranka, trapieni bólem głowy i pragnieniem, zapomnieli o incydencie.

Jerrodd, Jerrodine, Jerrodette I i Jerrodette II obserwowali gwiaździsty obraz nieba na wideoplanie. W miarę podróży przez hiperprzestrzeń obraz ten zmieniał się wraz z upływem ponadczasu.

Raptem jednostajny pył gwiazd ustąpił miejsca pojedynczej, jasnomarmurowej tarczy pośrodku ekranu.

— To X–23 — powiedział stanowczym tonem Jerrodd. Ręce trzymał założone do tyłu: szczupłe dłonie były mocno zaciśnięte, aż pobielały nadgarstki.

Obie dziewczynki — Jerrodette I i II — były niezwykle podniecone pierwszą w ich życiu podróżą w hiperprzestrzeni. Półprzytomne wprost z nadmiaru wrażeń, z tłumionym chichotem biegały jak szalone, krzycząc:

— Jesteśmy na X–23! Jesteśmy na X–23! Jes…

— Cicho, dzieci! — powiedziała Jerrodine. — Jesteś pewien, Jerrodd?

— Dlaczego miałbym nie być pewien — odparł Jerrodd, wpatrując się w metalowe wybrzuszenie na suficie. Biegło wzdłuż całego pomieszczenia, znikając w ścianie na drugim końcu. Było tak długie, jak statek.

Jerrodd nie wiedział dokładnie, co to za urządzenie ten gruby wał. Wiedział tylko, że nazywano je MICROVACem i że można mu

było zadawać pytania, kiedy się zechce. Wiedział również, że jeśli nic się nie robi, to MICROVAC nadal wypełnia swoje zadanie doprowadzenia statku do miejsca przeznaczenia. Słyszał jeszcze o czerpaniu przezeń energii z rozlicznych Subgalaktycznych Stacji Energetycznych oraz o rozwiązywaniu równań dla uskoków hiperprzestrzennych.

Jerroddowi i jego rodzinie pozostawało tylko czekać i zabijać czas w komfortowych kwaterach statku.

Ktoś kiedyś powiedział Jerroddowi, że litery „AC" na końcu słowa „MULTIVAC" są skrótem dwóch staroangielskich słów „analogue computer". Jerrodd już jednak prawie o tym zapomniał…

Oczy Jerrodine, utkwione w wideoplanie, stały się wilgotne.

— Dziwnie się czuję opuszczając Ziemię… Nic na to nie poradzę.

— Dlaczego, na litość boską? — spytał Jerrodd. — Nic tam po nas. Na X–23 będziemy mieli wszystko. Nie będziesz samotna, nie będziesz przecież pionierem. Na tej planecie żyje już ponad milion ludzi. Mój Boże! I pomyśleć, że nasze prawnuki będą musiały szukać nowych światów, bo X–23 będzie już przeludnione…

Potem, po chwili zastanowienia, dodał: — Wiesz, mamy szczęście, iż komputery potrafiły do tego stopnia zaplanować drogę, jaką podąży rodzaj ludzki…

— Wiem, wiem… — powiedziała z przygnębieniem Jerrodine. Jerrodette I natychmiast dorzuciła: — Nasz MICROVAC to najlepszy MICROVAC na świecie.

— Ja też tak myślę — przytaknął Jerrodd, mierzwiąc włosy dziewczynki.

Tak — to było miłe uczucie — mieć MICROVACa na własność. Jerrodd był szczęśliwy, że był członkiem tej właśnie generacji, a nie żadnej innej. Za czasów młodości jego ojca komputery były gigantycznymi machinami, rozciągającymi się na setki kilometrów kwadratowych powierzchni. W owych czasach na jedną planetę przypadała tylko jedna taka maszyna. Nazywano ją Planetarnym AC. Na przestrzeni tysiąca lat ich rozmiary stale rosły. I naraz — wszystkie równocześnie — zostały udoskonalone. Miejsce tranzystorów zajęły zawory molekularne. W ten sposób nawet największy Planetarny AC można było teraz zmieścić w objętości nie większej niż pół statku kosmicznego.

Jerrodd poczuł, jak serce rośnie mu z dumy. Zawsze to odczuwał, kiedy uświadamiał sobie, że jego własny, osobisty komputer jest nieporównanie bardziej złożony niż starożytny prymitywny MULTIVAC, który ongiś — jako pierwszy — poskromił Słońce. Ze jest nawet bardziej skomplikowany niż największy ze wszystkich, Ziemski Planetarny AC — ten, który jako pierwszy uporał się z problemem podróży hiperprzestrzennych i umożliwił ludziom wyprawy do

gwiazd.

— Tyle gwiazd, tyle planet… — szepnęła Jerrodine, pogrążona w swoich myślach. — Ciekawe, czy inne rodziny już zawsze będą wyruszać, tak jak my, ku nowym planetom…

— Nie, nie zawsze — powiedział z uśmiechem Jerrodd. — Któregoś dnia to wszystko się skończy. Nie wcześniej jednak niż za biliony lat. Wiele bilionów. Rozumiesz? Wtedy, gdy skończą się gwiazdy. Entropia musi wzrastać…

— Co to jest entropia, papo? — pisnęła Jerrodette II.

— Entropia, skarbie, to takie słowo, które oznacza liczbę końców, liczbę śmierci we Wszechświecie. Wszystko się wyczerpuje, widzisz, tak jak twój mały robot „walkie — talkie". Pamiętasz?

— I nie można po prostu założyć nowej baterii, tak jak do mojego robota?

— Gwiazdy już same z siebie są źródłami energii, kochanie. Kiedy one się skończą, nie będzie już żadnych innych źródeł.

Jerrodette I jęknęła: — Och, nie pozwól im tatusiu! Nie pozwól, żeby gwiazdy się skończyły!

— Widzisz, do czego doprowadziłeś! — szepnęła Jerrodine zirytowana.

— Skąd mogłem wiedzieć, że tak się przestraszy? — odszepnął jej Jerrodd.

— Tato, niech tata zapyta MICROVACa! — lamentowała Jerrodette I. — Niech tata zapyta, jak to zrobić, żeby gwiazdy z powrotem świeciły?!

— No, zapytajże! — powiedziała Jerrodine. — Będzie przynajmniej spokój. (Jerrodette II zaczynała już płakać). Jerrodd wzruszył ramionami.

— No już, dobrze, dzieci. Zapytam MICROVACa. Nie martwcie się, zaraz nam powie, v Rzucił MICROVACowi pytanie, pośpiesznie dodając: „Odpowiedź drukuj".

Potem rozwinął cienką, cellurową wstęgę wydruku i odezwał się do dziewczynek pełnym otuchy głosem:

— No widzicie? MICROVAC powiedział, że kiedy nadejdzie czas, będzie na wszystko uważać. Więc już się nie martwcie.

— A teraz, dziewczynki, czas spać — dorzuciła Jerrodine. — Niebawem będziemy w naszym nowym domu.

Zanim zniszczył cellurową taśmę, Jerrodd raz jeszcze przeczytał wydrukowane na niej słowa:

BRAK DOSTATECZNYCH DANYCH DO UDZIELENIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI.

Wzruszył ramionami i spojrzał na wideoplan. X–23 była tuż, tuż…

VJ–23X z Lamethy wpatrywał się przez chwilę w czeluść

trójwymiarowej mapy Galaktyki, sporządzonej w mikroskali, a potem powiedział:

— Ciekawe, czy my nie jesteśmy śmieszni z tym naszym zainteresowaniem materią?

MO–17J z Nicrona potrząsnął głową.

— Myślę, że nie. Wiesz przecież, że przy obecnym tempie ekspansji, Galaktyka zapełni się w ciągu pięciu lat…

Obaj wyglądali najwyżej na jakieś dwadzieścia lat. Byli wysocy i idealnie zbudowani.

— Mimo to — odezwał się VJ–23X — waham się jeszcze, czy przedstawić tak pesymistyczny raport Radzie Galaktycznej.

— Nawet bym się nie zastanawiał nad tonem raportu. Wstrząśnij nimi trochę. To im dobrze zrobi.

VJ–23X westchnął.

— Ale Kosmos jest nieskończony! Czeka na nas sto bilionów galaktyk. Więcej nawet!

— Sto bilionów to nie jest nieskończoność. I ta liczba wciąż maleje. Pomyśl: dwadzieścia tysięcy lat temu rodzaj ludzki po raz pierwszy uporał się z problemem wykorzystywania energii gwiazd. A w niewiele stuleci później stały się praktycznie możliwe podróże międzygwiezdne. Ludziom trzeba było miliona lat na zapełnienie jednego małego świata, a potem wystarczyło im tylko piętnaście tysięcy lat na wypełnienie reszty Galaktyki. Teraz ludność podwaja się co dziesięć lat!

VJ–23X przerwał mu:

— To dzięki nieśmiertelności.

— Zgoda. Nieśmiertelność jest faktem i musimy się z nią liczyć. To prawda, że nieśmiertelność ma i drugie oblicze. Galaktyczny AC rozwiązał wiele naszych problemów, ale trzeba przyznać, że przy rozwiązywaniu problemu nieśmiertelności zapomniał o swoich poprzednich rozwiązaniach…

— Ale mimo to, jak sądzę, nie miałbyś ochoty pożegnać się z życiem?

— No, wiesz! — żachnął się MQ–17J, natychmiast łagodniejąc. — Jasne, że nie. Stanowczo nie osiągnąłem jeszcze odpowiedniego wieku. Ile masz lat?

— Dwieście dwadzieścia trzy. A ty?

— Ja nie mam jeszcze dwóch setek. Ale wracając do rzeczy — populacja podwaja się regularnie co dziesięć lat. Nasza Galaktyka jest już przepełniona, następną będziemy mieli zapełnioną w ciągu następnych dziesięciu lat. Jeszcze dziesięć lat i jeszcze dwie galaktyki więcej. Następna dekada — i cztery dalsze. W ciągu tysiąca lat mamy milion zaludnionych galaktyk, a w ciągu dziesięciu tysięcy lat — całą Metagalaktykę. I co wtedy?

— Jeśli już przy tym jesteśmy, to istnieje tu jeszcze problem transportu. Ciekaw jestem, jak wiele energii trzeba zużyć na przeniesienie istot z jednej galaktyki na drugą?

— Bardzo słuszna uwaga! Już obecnie ludzkość zużywa dwie jednostki słoneczne na rok.

— Większość z tego jest tracona. Poza tym nasza Galaktyka zupełnie bezużytecznie wyrzuca w Kosmos tysiąc jednostek słonecznych rocznie. A my zużywamy tylko dwie z nich.

— W porządku, ale nawet przy stuprocentowej wydajności bylibyśmy w stanie tylko odroczyć nasz koniec. Nasze wymagania energetyczne rosną w postępie geometrycznym — nawet szybciej niż zaludnienie. Energii zabrakłoby nam szybciej niż miejsca w Galaktyce. To była słuszna uwaga. Bardzo słuszna…

— Wobec tego będziemy musieli budować nowe gwiazdy z gazu międzygwiezdnego…

— Może jeszcze z rozproszonego ciepła? — rzucił ironicznie MQ–17J.

— A jeśli rzeczywiście istnieje jakiś sposób na zawrócenie entropii? Powinniśmy o to zapytać Galaktycznego AC.

VJ–23X nie powiedział tego zupełnie poważnie, ale MQ–17J dobył już z kieszeni swój łącznik AC i położył go przed sobą na stole.

— Ja też mam na to ochotę — powiedział. — Ostatecznie to jest problem, przed którym tak czy inaczej stanie kiedyś ludzkość…

Przez chwilę przyglądał się małej, sześciennej kasetce. Nie było w niej nic szczególnego poza tym, że przez hiperprzestrzeń połączona została z wielkim Galaktycznym AC, będącym na usługach całej ludzkości. Jak uważano, nawet sama hiperprzestrzeń stanowiła integralną część Galaktycznego AC.

MQ–17 zastanawiał się chwilę, czy w jego nieśmiertelnym życiu uda mu się kiedykolwiek ujrzeć Galaktycznego AC. Znajdował się pono na swojej własnej planecie spowitej pajęczyną wiązek pola siłowego, utrzymujących w swym wnętrzu materię. Stamtąd brały swój początek fale submezonowe, które zastąpiły teraz prymitywne zawory molekularne. I mimo tak subeterycznej pracy Galaktyczny AC — jak mówiono — mierzył sobie pełnych tysiąc stóp średnicy.

MQ–17J, nagle zdecydowany, rzucił w mikrofon kasety pytanie:

— Czy można będzie kiedykolwiek zawrócić bieg entropii?

VJ–23X spojrzał na niego zaskoczony i powiedział:

— Nie sądziłem, że naprawdę o to zapytasz.

— Dlaczego nie?

— Obaj wiemy, że entropia nie może maleć. Nie sposób zamienić dymu i popiołu na powrót w drzewo.

— Masz na swoim świecie drzewa? — odparł MQ–17J.

Przerwał im Galaktyczny AC. Z małej kasety na biurku dobył się

piękny, delikatny głos:

BRAK DANYCH WYSTARCZAJĄCYCH DO UDZIELENIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI.

— Widzisz? — powiedział VJ–23X.

Po czym obaj mężczyźni powrócili do swego raportu, który mieli przygotować dla Rady Galaktycznej.

Umysł Zee Pierwszego kontemplował nową galaktykę bez szczególnego zainteresowania dla niezliczonych gwiezdnych spiral, które ją stworzyły. Nigdy przedtem jej nie widział. Zresztą, czy kiedykolwiek mógłby je wszystkie obejrzeć? Tyle ich przecież, każda z własnym brzemieniem ludzkości — i to brzemieniem, które zawsze było zbędnym balastem. Coraz częściej prawdziwą esencję człowieczeństwa można było znaleźć tu, w przestrzeni międzygwiezdnej.

I to umysły! Nie ciała! Nieśmiertelne ciała pozostawały hen, na planetach, zawieszone ponad wiekami. Czasem zrywały się jeszcze do jakiejś materialnej działalności, ale zdarzało się to coraz rzadziej. Wprawdzie kilka nowych istot podjęło materialną egzystencję, przyłączając się w ten sposób do tego nieprawdopodobnego tłumu, ale jakież to mogło mieć teraz znaczenie? Tak czy inaczej, we Wszechświecie brakowało już miejsca dla nowych istot…

Z zadumy wytrąciło Zee Pierwszego zgłoszenie innego umysłu, które nadeszło po wiotkich niciach nerwowych.

— Jestem Zee Pierwszy — przedstawił się. — A ty?

— Dee Sub Wun. A jak się nazywa twoja galaktyka?

— Nazywamy ją tylko Galaktyką. A wy?

— My też tak nazywamy swoją. Wszyscy ludzie nazywają swoje galaktyki Galaktykami. I nic więcej. A jak można inaczej?

— Racja. Wszystkie galaktyki są takie same.

— O nie, nie wszystkie. Na jednej, jakiejś szczególnej Galaktyce musiał wziąć swój początek rodzaj ludzki. I to ją musi wyróżniać.

— Na której? — zaciekawił się Zee Pierwszy.

— Nie potrafię powiedzieć. Ale będzie to pewnie wiedział Metagalaktyczny AC.

— Zapytajmy go. Jakoś mnie to zainteresowało.

Zee Pierwszy był w stanie wszystko to ogarniać do czasu, dopóki galaktyki nie skurczyły się, by potem rozsypać się ponownie gwiezdnym pyłem na nieporównanie większej przestrzeni. Było ich teraz tyle bilionów, tyle setek bilionów! I wszystkie z ich nieśmiertelnymi istotami, wszystkie z brzemieniem inteligencji i umysłami, swobodnie dryfującymi w przestrzeni kosmicznej. A przecież jedna z tych galaktyk była unikalna — była pierwsza… Ona to właśnie w nieprzejrzanej, zamierzchłej przeszłości była jedyną

Galaktyką, jaką zamieszkiwał Człowiek.

Zee Pierwszego trawiła ciekawość. Zapragnął ujrzeć tę Galaktykę. Zawołał:

— Metagalaktyczny AC! Na której galaktyce wziął swój początek rodzaj ludzki?

Maszyna słyszała wszystko — poprzez przestrzeń — na każdym globie. Jej receptory znajdowały się wszędzie i każdy z nich prowadził, poprzez hiperprzestrzeń, do owego nieznanego punktu, w którym znajdował się Metagalaktyczny AC.

Zee Pierwszy wiedział tylko o jednym człowieku, którego myślom udało się przeniknąć na rozsądną odległość od Metagalaktycznego AC. Tamten opowiadał potem o trudnym do dostrzeżenia, jaśniejącym globie o średnicy jakichś dwóch stóp…

— Jak może się tam pomieścić cały Metagalaktyczny AC? — zapytał wtedy Zee pierwszy.

— Większa jego część — brzmiała odpowiedź — znajduje się w hiperprzestrzeni. Trudno mi sobie jednak wyobrazić, jak to wygląda…

Nikt nie mógłby sobie tego wyobrazić. Zee Pierwszy bowiem dobrze wiedział, iż nikt nie pamięta już dnia, kiedy to jakikolwiek człowiek miał jakikolwiek wkład w budowę Metagalaktycznego AC. Każdy Metagalaktyczny AC wybierał i konstruował swego następcę. Każdy — podczas swego milionoletniego lub nawet dłuższego istnienia — gromadził dane, konieczne do zbudowania jeszcze lepszego, bardziej skomplikowanego i uniwersalniejszego następcy. Takiego, dla którego zbiór danych i możliwości poprzednika były kroplą w morzu…

Metagalaktyczny AC powstrzymał rozbiegane myśli Zee Pierwszego. Nie był to głos, lecz po prostu informacja. Umysł Zee Pierwszego powędrował poprzez mętne morza galaktyk i nagle jedna z nich rozsypała się przed nim w gwiazdy.

Teraz nadbiegła myśl — nieskończenie odległa, a zarazem nieskończenie klarowna: OTO PIERWOTNA GALAKTYKA CZŁOWIEKA.

Ależ ona była przecież taka sama, taka sama jak każda inna! Zee Pierwszy stłumił swoje rozczarowanie.

Dee Sub Wun, którego umysł cały czas towarzyszył tamtemu, powiedział nagle:

— A czy jedna z tych gwiazd jest pierwotną gwiazdą Człowieka?

Metagalaktyczny AC odparł: PIERWOTNA GWIAZDA CZŁOWIEKA STAŁA SIĘ NOWĄ. TERAZ TO JEST BIAŁY KARZEŁ.

— A więc ludzie z tego układu wyginęli? — zapytał bez zastanowienia, zaskoczony Zee Pierwszy.

DLA ICH FIZYCZNYCH CIAŁ ZOSTAŁ W ODPOWIEDNIM CZASIE ZBUDOWANY, JAK TO SIĘ W TAKICH PRZYPADKACH ROBI, NOWY

ŚWIAT — brzmiała odpowiedź.

— Tak, oczywiście — przytaknął Zee Pierwszy. Ale uczucie zagubienia przygnębiło go jeszcze bardziej. Nieoczekiwanie jego umysł uświadomił sobie jeszcze dobitniej swoją więź z Pierwotną Galaktyką Człowieka. Nie, niechaj się zagubi z powrotem pośród tego mętnego pyłu galaktyk… Nie chciał jej nigdy więcej widzieć.

— Stało się coś? — zapytał Dee Sub Wun.

— Tak. Gwiazdy umierają. Nasza pierwotna gwiazda jest już martwa.

— Wszystkie muszą umrzeć. Nie może być inaczej.

— Ale kiedy wyczerpie się cała energia, nasze ciała również ostatecznie umrą, a wraz z nimi ty i ja.

— Na to trzeba będzie jeszcze poczekać biliony lat.

— Nie chcę, żeby tak się stało nawet za biliony lat. Metagalaktyczny AC! Jak można powstrzymać gwiazdy przed umieraniem?

— Pytasz, jak można zawrócić wzrost entropii… — powiedział z rozbawieniem Dee Sub Wun.

BRAK JEST JESZCZE DANYCH WYSTARCZAJĄCYCH DO UDZIELENIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI — brzmiała odpowiedź Metagalaktycznego AC.

Myśli Zee Pierwszego pobiegły na powrót ku jego własnej Galaktyce. Nie przesłał więcej żadnej myśli Dee Sub Wunowi, którego ciało mogło oczekiwać nań gdzieś w Galaktyce odległej o trylion lat świetlnych, lub może tuż obok, na jednej z gwiazd, sąsiadujących z własną gwiazdą Zee Pierwszego. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia.

Zmartwiony Zee Pierwszy zabrał się do zbierania międzygwiezdnego wodoru, z jakiego zbudowana była jego mała gwiazda. Jeśli gwiazdy muszą kiedyś umrzeć, to przynajmniej kilka z nich można będzie jeszcze odbudować…

Człowiek rozmyślał. Dyskutował sam ze sobą — bowiem pod względem umysłowym istniał już tylko jeden Człowiek. Składał się z trylionów, trylionów ciał — ciał nie posiadających wieku, umieszczonych na swoich miejscach, odpoczywających w spokoju i nie podlegających rozkładowi. Każde z nich strzeżone było przez niezawodne, idealne automaty, podczas gdy umysły wszystkich tych ciał swobodnie się ze sobą zlewały, niedostrzegalnie przyłączając się jeden do drugiego.

— Wszechświat umiera — powiedział Człowiek.

Potem rozejrzał się po mglistym morzu galaktyk. Gwiazdy — olbrzymy, marnotrawcy, wyczerpały się już dawno, w najzamierzchlejszej z zamierzchłych przeszłości Kosmosu. Teraz już

prawie wszystkie gwiazdy były białymi karłami, gasnącymi z dnia na dzień w oczekiwaniu śmierci.

Nowe gwiazdy powstawały teraz z pyłu międzygwiezdnego — niektóre wskutek procesów naturalnych, inne zaś budowane przez Człowieka. Możliwe było jeszcze doprowadzenie do zderzenia ze sobą białych karłów i budowanie — dzięki potwornym siłom, jakie się przy tym wyzwalały — nowych gwiazd. Ale w taki sposób można było stworzyć tylko jedną nową gwiazdę z każdego tysiąca zniszczonych białych karłów — a i tę oczekiwała śmierć.

— Przy ostrożnym gospodarowaniu — powiedział Człowiek — i trzymaniu się wskazówek Kosmicznego AC, nawet ta energia, jaka została jeszcze we Wszechświecie, może wystarczyć na biliony lat.

— Ale nawet i wtedy — rozważał dalej Człowiek — ostatecznie wszystko dobiegnie końca. Nie pomoże gospodarowanie, ani oszczędzanie, energia raz rozproszona jest stracona i nie sposób jej odzyskać. Entropia musi wzrastać do maksimum.

— Ale czy bieg entropii nie może być zawrócony? — zastanowił się Człowiek. — Warto zapytać o to Kosmicznego AC.

Kosmiczny AC był wszędzie wokół nich — choć nie w Kosmosie. Ani jeden jego fragment nie znajdował się już w Kosmosie. Zrobiony z czegoś, co nie było ani materią, ani energią, czuwał skryty w Hiperprzestrzeni. Zagadnienie jego rozmiarów i natury nie miało już znaczenia w żadnym z aspektów możliwych do pojęcia przez Człowieka.

— Kosmiczny AC — odezwał się Człowiek — w jaki sposób można zawrócić bieg entropii?

BRAK JEST JESZCZE DANYCH, WYSTARCZAJĄCYCH DO UDZIELENIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI — odparł Kosmiczny AC.

— Zbierz więc dodatkowe dane — powiedział Człowiek. BĘDĘ TAK ROBIĆ. ROBIĘ TO OD STU BILIONÓW LAT. MNIE I MOICH POPRZEDNIKÓW PYTANO O TO WIELE RAZY. ALE WSZYSTKIE DANE, JAKIE POSIADAM, SĄ JAK DOTĄD NIEWYSTARCZAJĄCE.

— Czy mogą kiedyś być dostateczne, żeby udzielić odpowiedzi na to pytanie? Czy też jest to problem nierozwiązywalny bez względu na okoliczności?

NIE MA PROBLEMU NIEROZWIĄZYWALNEGO BEZ WZGLĘDU NA OKOLICZNOŚCI — brzmiała odpowiedź.

— Kiedy więc będziesz miał dość danych, aby odpowiedzieć na to pytanie?

BRAK JEST NA RAZIE DANYCH DO UDZIELENIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI — odparł Kosmiczny AC.

— Czy będziesz dalej nad tym pracować? — zapytał Człowiek.

BĘDĘ — odpowiedział Kosmiczny AC.

— Poczekamy więc — rzekł Człowiek.

Gasły umierające gwiazdy i galaktyki — a wraz z nimi po dziesięciu trylionach lat agonii zapadała się w czerń przestrzeń kosmiczna.

Człowiek — jeden po drugim — jednoczył się z AC. Fizyczne ciała raz po raz traciły swe umysłowe indywidualności — była to jednakże strata, która przynosiła zysk.

Ostatni z umysłów Człowieka wstrzymał się jeszcze na chwilę przed zjednoczeniem z AC i spojrzał w przestrzeń, nie zawierającą już teraz nic poza resztkami jedynej, ostatniej ciemnej gwiazdy i poza nieprawdopodobnie rozrzedzoną materią, przypadkowo miotaną ostatkami ciepła, asymptotycznie zanikającego do poziomu równowagi w pobliżu zera bezwzględnego.

Człowiek zapytał:

— AC! Czy to już koniec? Czy tego chaosu nie da się już z powrotem obrócić we Wszechświat? Czy nie dałoby się tego dokonać?

BRAK JEST JESZCZE DANYCH DOSTATECZNYCH DO UDZIELENIA JEDNOZNACZNEJ ODPOWIEDZI — odpowiedział AC.

Ostatni umysł Człowieka zjednoczył się z maszyną i istniał już teraz tylko AC — a i on w hiperprzestrzeni.

Materia i energia skończyły się — a wraz z nimi skończyła się przestrzeń i czas. Nawet AC istniał jeszcze tylko dla ostatniego pytania — tego, na które nie umiał był znaleźć odpowiedzi od czasu, kiedy to dwóch na wpół pijanych techników komputerowych dziesięć trylionów lat wcześniej zadało to pytanie maszynie, która z AC miała jeszcze mniej wspólnego, niż człowiek z Człowiekiem…

Na wszystkie inne pytania odpowiedziano już. Dopóki jednak nie została udzielona odpowiedź na ostatnie pytanie, AC nie mógł unicestwić swojej świadomości.

Zbieranie danych dobiegło końca. Nie pozostało już nic do zbierania. Ale wszystkie te dane trzeba było jeszcze opracować i zbadać wszelkie możliwe powiązania, jakie mogły między nimi zaistnieć.

Zabrało to AC cały interwał ponadczasowy.

I wreszcie AC dowiedział się, jak można zawrócić bieg entropii.

Nie było już jednak człowieka, któremu AC mógłby odpowiedzieć na ostatnie pytanie. Ale to było nieważne. Odpowiedź można zastąpić praktyczną demonstracją.

W ciągu następnego interwału ponadczasowego AC rozważał, jak można tego najlepiej dokonać. Starannie, pieczołowicie przygotował program.

Świadomość AC ogarniała już teraz wszystko, co kiedykolwiek wydarzyło się we Wszechświecie i analizowała to, co było teraz

Chaosem. Krok po kroku wszystko zostanie zrobione…

I wreszcie AC rzekł: NIECH SIĘ STANIE ŚWIATŁO!

I stało się światło…

Przełożył Krzysztof W. Malinowski

Philip Jose Farmer
TYLKO WE WTOREK

The Sliced — Crosswise Only — on — Tuesday World

Przeniesienie się do środy było praktycznie niemożliwe. Tom Pym nieraz zastanawiał się, jak wygląda życie w inne dni tygodnia. Zastanawiał się nad tym prawie każdy, kto miał choć odrobinę wyobraźni. Były nawet specjalne programy telewizyjne poświęcone temu problemowi. Tom sam brał udział w dwóch takich programach. Ale tak naprawdę to nie miał ochoty wynosić się ze swego świata. Aż pewnego dnia spłonął jego dom.

Stało się to ostatniego, ósmego, dnia wiosny. Obudził się i zobaczył przez drzwi popioły i strażaków. Mężczyzna w azbestowym kombinezonie dał mu znak ręką, żeby nie wychodził. Po upływie piętnastu minut inny mężczyzna w kombinezonie dał mu znak, że niebezpieczeństwo minęło. Tom nacisnął guzik i drzwi stanęły otworem. Zapadł się po kostki w popiele, ciepłym jeszcze pod grubą na cal warstwą zalanych wodą zgliszcz.

Nie było potrzeby pytać, co się stało, a mimo to zapytał.

— Jakieś zwarcie chyba. Ale tak na pewno to nie wiemy. Pożar wybuchł zaraz po północy, po zakończeniu służby przez ekipę poniedziałkową, a przed rozpoczęciem przez nas.

Tom Pym pomyślał, że to chyba dziwnie być strażakiem czy policjantem. Mieli różne godziny służby, chociaż północ stanowiła nieprzekraczalną granicę zarówno dla jednych, jak i dla drugich.

Tymczasem inni zaczęli wychodzić ze swoich somnambulatorów czy też „trumien", jak je nazywano, tak że tylko sześćdziesiąt pozostało zajętych.

Do pracy szli na ósmą. Sprawienie sobie nowego ubrania i znalezienie mieszkania należało odłożyć na później, bo studio Toma było jeszcze w lesie z wielkim programem specjalnym, który miał być gotów za sto czterdzieści cztery dni.

Zjedli śniadanie w pomieszczeniu zastępczym. Tom zapytał jednego z operatorów, czy nie wie o jakimś mieszkaniu. I tak by dostał z przydziału, ale nie wiadomo, jakie by ono było.

Operator powiedział mu o pewnym domu oddalonym o jakieś sześć przecznic od jego dawnego mieszkania. Umarł charakteryzator i o ile mu wiadomo, miejsce po nim jest jeszcze wolne. Tom, który akurat w tej chwili nie był potrzebny w studio, zadzwonił natychmiast, ale sekretarka powiedziała mu, że biuro jest otwarte dopiero od dziesiątej. Była to bardzo ładna dziewczyna o czerwonych

włosach, turmalinowych oczach i niezwykle kuszącym głosie. Zrobiłaby na Tomie znacznie większe wrażenie, gdyby jej nie znał. Grała epizodyczne rólki w dwóch jego programach i Tom wiedział, że ten namiętny głos nie należał do niej. Podobnie zresztą jak kolor oczu.

W południe zatelefonował ponownie; po dziesięciu minutach czekania otrzymał połączenie i poprosił panią Bellefield, żeby w jego imieniu wystąpiła o przydział. Pani Bellefield zbeształa go, że nie zadzwonił wcześniej; nie wiadomo, czy uda jej się jeszcze dzisiaj coś załatwić. Usiłował wytłumaczyć jej, w jakiej się znalazł sytuacji, ale po chwili dał za wygraną. Ach, ci biurokraci! Na noc poszedł do publicznego pomieszczenia zastępczego i z pomocą pól indukcyjnych, które przyspieszały jego sen, odespał niezbędne cztery godziny, po czym obudził się i wszedł do pionowego cylindra z eternium. Stał z dziesięć sekund patrząc przez przezroczyste drzwi na inne cylindry z nieruchomymi postaciami wewnątrz, a następnie nacisnął guzik. Mniej więcej w piętnaście sekund później stracił przytomność.

Jeszcze trzy noce musiał spędzić w publicznym somnambulatorium. Trzy dni jesieni minęły, pozostało już tylko pięć. W Kalifornii nie miało to zresztą większego znaczenia. W Chicago, gdzie kiedyś mieszkał, zima przypominała białą kołdrę trzepaną przez wariatkę. Wiosna była eksplozją zieleni. Lato — lawiną blasku i gorącym tchnieniem. Jesień melonikiem błazna odzianego w pstrokaty kostium.

Czwartego dnia dostał zawiadomienie, że może się wprowadzić do domu, który sobie wybrał. Zdziwiło go to i ucieszyło. Niejeden musiał w tej sytuacji spędzić cały rok — czterdzieści osiem dni — w publicznym pomieszczeniu zastępczym. Przeniósł się na piąty dzień, mając przed sobą jeszcze trzy dni wiosny. Dwa dni wolne od pracy będzie musiał wykorzystać na sprawienie sobie ubrań, zrobienie zakupów żywnościowych i poznanie swoich współmieszkańców. Czasami żałował, że się urodził z talentem aktorskim. W Telewizji pracowało się pięć, czasem sześć dni pod rząd, podczas kiedy taki hydraulik na przykład na siedem dni pracował tylko trzy.

Nowy dom był równie duży jak poprzedni, a mały spacer do pracy dobrze mu zrobi. Mieściło się tam dziennie, łącznie z nim, osiem osób. Wprowadził się wieczorem i przedstawił wszystkim lokatorom. Mabel Curta, sekretarka reżysera, miała go zapoznać z codziennymi domowymi zwyczajami. Tom upewniwszy się, że jego somnambulator został wstawiony do tutejszego somnambulatorium, odprężył się nieco.

Zaprowadziła go tam Mabel, która przyjęła na siebie rolę jego przewodniczki. Była to mała, może nazbyt okrągła kobietka lat trzydziestu pięciu (czasu wtorkowego). Trzykrotnie rozwiedziona, miała chłodny stosunek do małżeństwa — no, chyba że zjawiłby się

Pan Odpowiedni. Tom, sam również rozwiedziony, był akurat wolny, ale na wszelki wypadek jej o tym nie powiedział.

— Chodź, obejrzymy twoją sypialnię — zaproponowała Mabel. — Jest mała, ale dzięki Bogu dźwiękoszczelna.

Tom ruszył za nią, ale nagle się zatrzymał. Odwróciła się w drzwiach i spytała:

— Co się stało?

— Ta dziewczyna…

Tom gapił się przez przezroczyste drzwi na dziewczynę stojącą w najbliższym spośród sześćdziesięciu trzech wysokich szarych cylindrów z eternium.

— Rzeczywiście ładna!

Jeśli Mabel odczuwała zazdrość, zdołała ją ukryć.

— Prawda?!

Dziewczyna miała długie, czarne, lekko wijące się włosy, twarz, która urzekała od pierwszego wejrzenia, figurę w miarę pełną, nogi bez końca. Otwarte oczy w przyćmionym świetle robiły wrażenie fioletowobłękitnych. Była ubrana w cienką srebrzystą sukienkę.

Na tabliczce nad drzwiami widniały jej dane personalne. Jennie Marlowe. Urodzona w roku 2031 w San Marino, Kalifornia. Dwadzieścia cztery lata. Aktorka. Niezamężna. Środa.

— Co z tobą, Tom? — spytała Mabel.

— Nic.

Jak mógł jej powiedzieć, że zrobiło mu się słabo od pragnienia, które nigdy nie może zostać zaspokojone? Że zrobiło mu się słabo od jej piękności?

Bo naszą wolą rządzi los.
Czyż może być miłość prawdziwa nie od pierwszego wejrzenia?

— Co się stało? — powtórzyła Mabel, a następnie roześmiała się i dodała: — Chyba żartujesz?

Nie była zła. Wiedziała, że Jennie Marlowe nie jest dla niej groźniejszą rywalką, niż gdyby była nieżywa. I miała rację. Powinien się zająć kimś ze swego świata. A Mabel była całkiem, całkiem. Przylepna, nie można powiedzieć, i po paru drinkach nawet interesująca.

Później, po szóstej, zeszli do świetlicy. Zastali tam prawie wszystkich. Niektórzy siedzieli z wetkniętymi w uszy słuchawkami, inni patrzyli na ekran rozmawiając. Oczywiście program szedł. Wszyscy komentowali wydarzenia z ubiegłego i z tego wtorku. Przewodniczący Izby w związku z upływem kadencji właśnie ustępował. Już się wyraźnie nie nadawał, a kiepski ostatnio stan jego zdrowia nie rokował najmniejszej poprawy. Pokazano cmentarz

rodzinny w Missisipi i zarezerwowany dla niego cokół. Kiedyś, kiedy zostaną opracowane metody odmładzania, wyprowadzi się go ze stanu somnambulacji.

— To dopiero będzie! — powiedziała Mabel.

— Dojdą i do tego, jestem pewien — odparł. — Są na dobrej drodze. Już w tej chwili potrafią zahamować proces starzenia się królików.

— Ja nie to miałam na myśli. Z pewnością prędzej czy później metoda odmładzania ludzi zostanie opracowana. Ale co wtedy? Czy sądzisz, że wszyscy wrócą do życia? Przecież oznaczałoby to podwojenie czy może nawet potrojenie liczby ludności. Myślisz, że nie zostawią ich, żeby sobie tam spokojnie stali? — Zachichotała i dodała: — A co zrobią bez nich biedne gołębie?

Objął ją wpół. Jednocześnie przed oczyma stanęła mu tamta dziewczyna — wyobraził sobie, że to tamtą obejmuje. Jej talia jest z pewnością też miękka, ale bez odrobiny tłuszczu.

Zapomnij o niej. Myśl o tym, co teraz. Patrz na dziennik.

Niejaka pani Wilder przebiła najpierw męża, a potem siebie nożem kuchennym. Oboje, zaraz po przybyciu policji, zostali poddani somnambulacji i odwiezieni do szpitala. Zbadano sprawę zwolnienia tempa pracy w urzędach okręgowych. Zarzuca się ludziom poniedziałkowym, że nie programują komputerów na wtorek. Sprawa została przedstawiona władzom obu dni. Z bazy na Ganimedzie donoszą, że Wielka Czerwona Plama na Jowiszu emituje słabe, ale wyraźne impulsy, które robią wrażenie nieprzypadkowych.

Ostatnie pięć minut programu poświęcone było krótkiemu przeglądowi najważniejszych wydarzeń z innych dni. Pani Cuthmar, gospodyni, zmieniła kanał; szła akurat komedia sytuacyjna, co nie spotkało się z niczyimi protestami.

Tom powiedział Mabel, że pójdzie wcześnie spać — sam — i wyszedł ze świetlicy. Czekał go ciężki dzień.

Na palcach przemknął przez hali, zszedł po schodach i zakradł się do somnambulatorium. Przyćmione światła rzucały cienie, panowała cisza. Sześćdziesiąt trzy stojące tam cylindry przypominały granitowe kolumny wielkiej sali starożytnego miasta. Pięćdziesiąt pięć widocznych przez przezroczysty metal twarzy robiło wrażenie białych, rozmazanych plam. Niektórzy mieli oczy otwarte, większość jednak zamykała je w oczekiwaniu na pojawienie się pola wytwarzanego przez specjalną aparaturę umieszczoną w podłodze. Spojrzał na drzwi Jennie Marlowe. Znów zrobiło mu się słabo. Była poza jego zasięgiem, nie dla niego — nigdy. A przecież od środy dzieli go zaledwie jeden dzień. Dzień?! — niecałe cztery i pół godziny.

Dotknął drzwi. Były gładkie i chłodne. Patrzyła na niego. Na zgiętej ręce miała zawieszoną torbę. Kiedy drzwi się otworzą, będzie

gotowa do wyjścia. Niektórzy ludzie brali prysznic i robili toaletę zaraz po przebudzeniu i szli prosto do somnambulatora. W minutę po tym, jak o piątej rano automatycznie włączało się pole, wychodzili.

I on rad by o tej samej godzinie opuścić swoją „trumnę" — cóż, kiedy środa stanowiła barierę nie do przebycia.

Odwrócił się. Zachowywał się jak szesnastolatek. A szesnaście lat to on miał sto sześć lat temu, co zresztą było bez większego znaczenia. W sensie biologicznym miał lat trzydzieści.

Zaczął wchodzić na drugie piętro, ale o mały włos nie zawrócił, żeby jeszcze raz na nią spojrzeć. Wziął się jednak w garść i poszedł do swego pokoju. Postanowił zaraz położyć się spać. Może mu się przyśni ta dziewczyna. Jeżeli sny oznaczają spełnienie marzeń, to go do niej zawiodą. Nie „udowodniono" jeszcze, że sny zawsze odzwierciedlają życzenia, ale udowodniono, że człowiek pozbawiony snów traci zmysły. Stąd somnia, wytwarzające specjalne pola, które w ciągu czterech godzin dostarczały człowiekowi niezbędne kwantum snu i marzeń sennych. Po przebudzeniu przechodzi się do somnambulatora, gdzie innego rodzaju pole wstrzymuje wszelkie procesy atomowe. W tym stanie człowiek pozostałby na zawsze, gdyby nie włączyło się pole aktywujące.

Ale Jennie Marlowe nie przyszła do niego we śnie. A jeśli nawet, to nie pamiętał. Obudził się, umył twarz i szybko poszedł do somnambulatorium, gdzie zastał już wszystkich: kończyli ostatniego papierosa, rozmawiali, śmiali się. Za chwilę każdy wejdzie do swego cylindra i zalegnie grobowa cisza.

Zastanawiał się często, co by było, gdyby tak nie wszedł do somnambulatora. Jak by się czuł? Czy by go ogarnęła panika? Przez całe życie nie znał nic innego poza wtorkiem. Czy środowa rzeczywistość runęłaby na niego z rykiem i zalała jak fala przypływu? Porwała go i rzuciła o rafy obcego czasu?

A gdyby pod jakimś pretekstem poszedł z powrotem na górę i wrócił dopiero po włączeniu się pola? Wtedy już nie mógłby wejść. Drzwi do jego cylindra otworzyłyby się dopiero we właściwym czasie. No cóż — mógłby schronić się wtedy do publicznego somnambulatorium mieszczącego się trzy przecznice dalej. A gdyby tak został w swoim pokoju i tam poczekał na środę?

Takie rzeczy się zdarzały. Ale ten, kto dopuścił się podobnego wykroczenia bez dostatecznie ważkich powodów, stawał przed sądem. „Łamanie bariery czasu" było przestępstwem równym niemal morderstwu i winnych tej zbrodni poddawano somnambulacji. Jednakowy los spotykał wszystkich zbrodniarzy — zarówno zdrowych, jak i chorych na umyśle. Niektórzy nazywali to konserwowaniem. Zakonserwowany kryminalista czekał w bezruchu i nieświadomości, nieprzytomny, ale w stanie nienaruszonym, dopóki

nie opracują naukowej metody leczenia chorób umysłowych, nerwic, przestępczości, wszelkich innych schorzeń. Konserwacja.

— Jak wygląda życie we środę? — Tom zapytał mężczyznę, który z powodu wypadku musiał zostać dłużej.

— Skąd ja mogę wiedzieć? Byłem przytomny wszystkiego z piętnaście minut. Znajdowałem się w tym samym mieście i oczywiście nawet nie widziałem twarzy ludzi z pogotowia, ale i tutaj ich nigdy nie widziałem. Poddali mnie somnambulacji i zostawili w szpitalu, żeby się mną zajęła wtorkowa zmiana.

Musi być ze mną niedobrze — doszedł do wniosku. Niedobrze. Sama myśl o czymś podobnym to czyste szaleństwo.

Przeniesienie się do środy jest prawie niemożliwe. Prawie. Ale przecież niewykluczone. Wymagałoby to oczywiście czasu i cierpliwości, ale sprawa jest do załatwienia.

Przez chwilę stał przed swoim somnambulatorem. Słyszał, jak inni mówią: „Do zobaczenia!", „Cześć!", „Do wtorku!". Mabel zawołała:

— Dobranoc, kochanie!

— Dobranoc — mruknął.

— Co powiedziałeś?

— Dobranoc.

Spojrzał na śliczną buzię za drzwiami. Uśmiechnął się. Bał się, że usłyszała, jak mówi dobranoc kobiecie, która zwracała się do niego per „kochanie".

Zostało mu jeszcze dziesięć minut czasu. Dokoła rozlegało się przez radiotelefon krzykliwe: „Koniec!", „Zaczynamy sześciodniową podróż!", „Proszę się pośpieszyć", „Przypominamy o karach!"

Tom pamiętał doskonale, ale chciał zostawić wiadomość. Magnetofon stał na stole. Włączył go i powiedział:

— „Droga panno Marlowe. Nazywam się Tom Pym, a nasze somnambulatory stoją obok siebie. Ja też jestem aktorem i właściwie pracujemy w tym samym studio. Wiem, że to bezczelność z mojej strony, ale muszę wyznać, że nigdy jeszcze nie widziałem nikogo tak pięknego jak pani. Czy pani talent dorównuje jej urodzie? Chciałbym bardzo obejrzeć parę sekwencji z pani filmów. Czy mogłaby mi pani zostawić jakieś kawałki taśmy w pokoju nr 5? Mam nadzieję, że środowy lokator nie będzie miał nic przeciwko temu. Szczerze oddany Tom Pym".

Przesłuchał nagranie. Tekst brzmiał dość sucho, ale o to mu właśnie chodziło. Gdyby był zbyt kwiecisty albo zbyt natarczywy, mógłby wzbudzić jej podejrzliwość. Dwukrotnie podkreślił jej urodę, ale bez egzaltacji. Zagrał też na jej ambicjach zawodowych, wobec czego nie mogła pozostać obojętna. Nikt nie wiedział o tym tak dobrze jak Tom.

Po drodze do somnambulatora pogwizdywał. Znalazłszy się w

środku nacisnął guzik i spojrzał na zegarek. Za pięć dwunasta. Światło na wielkim ekranie nad komputerem posterunku policji nie będzie na niego mrugało. Za dziesięć minut środowi funkcjonariusze opuszczą swoje somnambulatory w budynku dzielnicowej komendy i obejmą posterunki.

Pomiędzy zakończeniem służby przez policję jednego dnia a objęciem jej przez policję następnego było dziesięć minut przerwy. W ciągu tych kilku minut mogło się zdarzyć Bóg wie co i często się zdarzało. Ale ostatecznie trzeba było zapłacić jakąś cenę za utrzymanie nienaruszalności granic czasu.

Tom otworzył oczy. Kolana ugięły się pod nim lekko, głowa mu opadła. Pobudzenie nastąpiło milion mikrosekund wcześniej — z eternium prawie natychmiast przeniosło się na ciało i krew, tak że serce nawet nie odczuło, że jego praca została zatrzymana na tak długi czas. Ale mimo to mięśnie zareagowały z pewnym opóźnieniem.

Nacisnął guzik, otworzył drzwi i miał uczucie, jakby to naciśnięcie guzika zbudziło dzień. Mabel zrobiła wieczorem makijaż i wyglądała świeżo jak poranek. Powiedział jej komplement, co uszczęśliwiona skwitowała uśmiechem. Zawołał do niej, że spotkają się na śniadaniu. W połowie schodów wiodących na górę zatrzymał się i poczekał, aż zniknęła, po czym chyłkiem zawrócił do somnambulatorium. Włączył magnetofon.

Głos, nieco zachrypnięty, ale melodyjny, powiedział:

— „Drogi panie Pym, otrzymałam kilka listów z innych dni. Pan mi wybaczy lekką przesadę, jeśli powiem, że rozmowa poprzez dzielącą dwa światy przepaść sprawiła mi nawet przyjemność. Ale kiedy nam to spowszednieje, naprawdę straci wszelki sens. Zainteresowanie kimś z innego świata jest przyczyną wielkiej frustracji. Bo ten ktoś może być dla nas jedynie głosem z taśmy albo woskową twarzą w metalowej trumnie. Ale robię się liryczna. Proszę mi wybaczyć. A jeśli ten ktoś nie wzbudza zainteresowania, to po co z nim korespondować? Tak czy tak nie ma to najmniejszego sensu. Może i jestem piękna — w każdym razie dziękuję panu za komplement — ale jestem przy tym również rozsądna.

Nie powinnam w ogóle zawracać sobie głowy odpowiadaniem, ale nie chcę być nieuprzejma; nie chcę ranić pańskich uczuć. Dlatego proszę się do mnie już więcej nie odzywać”.

Zaległa cisza, ale Tom czekał — może tylko zawiesiła głos dla uzyskania lepszego efektu. Zaraz z pewnością rozlegnie się chichot albo niski, zmysłowy śmiech i Jennie powie: „No cóż, nie chciałabym sprawiać zawodu moim wielbicielom. Taśmy są u pana w pokoju”.

Ale cisza się przedłużała. Wyłączył magnetofon i poszedł do jadalni na śniadanie.

Przerwa na sjestę w godzinach pracy przypadała między 14 a 14.45. Leżąc na kanapce nacisnął guzik. W przeciągu minuty zapadł w sen. Tym razem Jennie mu się przyśniła. Była białą, migotliwą postacią, która wyłoniła się z ciemności i zbliżała ku niemu. Wydała mu się jeszcze piękniejsza niż w somnambulatorze.

Zajęcia przedłużyły się tego dnia do późnych godzin popołudniowych, tak że w domu był dopiero na kolację. Nawet studio nie śmiało zatrzymywać nikogo dłużej, zwłaszcza że mogło wydawać posiłki tylko w południe.

Miał jeszcze chwilę czasu, żeby popatrzeć na Jennie, zanim w radiotelefonie zaskrzeczał głos pani Cuthmar. Idąc przez hali myślał: tracę dla niej głowę. To śmieszne. Przecież jestem dorosłym człowiekiem. Może… może powinienem iść do psychika.

Właśnie — złożyć zamówienie i czekać, aż cię psychik raczy przyjąć. Jak będziesz miał szczęście, to może już za trzysta dni znajdzie dla ciebie czas. A jeśli ten psychik ci nie pomoże, to składaj następne zamówienie do innego i czekaj sześćset dni.

Zamówienie. Tom zwolnił kroku. Zamówienie. A gdyby tak zamiast tego złożył wniosek nie o wizytę u psychika, tylko o przeniesienie? Dlaczego niby nie? Co ma do stracenia? Prawdopodobnie załatwią go odmownie, ale może przynajmniej spróbować.

Samo uzyskanie formularza na taki wniosek nie było sprawą prostą. Dwa dni wolne od pracy spędził stojąc w kolejce w Centralnym Biurze Miejskim, zanim uzyskał właściwe druki. Za pierwszym razem dano mu zły blankiet i musiał wszystko zaczynać od nowa. Nie istniała osobna kolejka dla tych, co ubiegali się o zmianę dnia. Było ich za mało. Musiał więc stać w kolejce do Sekcji Spraw Różnych Wydziału Ruchu Ludności w Departamencie Zmian Zasadniczych Biura Przesunięć i Przesiedleń. A żadna z tych instytucji nie miała nic wspólnego z emigracją do innych dni.

Kiedy wreszcie po raz drugi dostał blankiet, nie ruszył się od okienka, dopóki nie sprawdził jego numeru i nie poprosił urzędniczki, by zrobiła to jeszcze dwukrotnie. Puścił mimo uszu krzyki i wyrzekania za swoimi plecami. Potem ustawił się w kolejce do dziurkarek w końcu obszernej sali. Po dwugodzinnym czekaniu zasiadł przy niewielkim urządzeniu przypominającym sekretarzyk z zamknięciem żaluzjowym, nad którym znajdował się duży ekran. Wrzucił blankiet do otworu, spojrzał na jego obraz na ekranie i zaczął naciskać guziki odmierzając odpowiednie odległości na wprost właściwych pytań. Po wykonaniu tej czynności nie pozostawało mu nic innego, jak tylko mieć nadzieję, że jego formularz nie zaginie. Albo że nie będzie musiał powtórzyć całej operacji, gdyby się okazało, że wydziurkował go niewłaściwie.

Tego wieczora przytknął głowę do twardego metalu i wyszeptał do widocznej za drzwiami zastygłej w bezruchu twarzy.

— Muszę cię naprawdę kochać, skoro przeszedłem przez to wszystko. A ty nawet o tym nie wiesz. Albo jeszcze gorzej: wiesz i masz to w nosie.

Żeby przekonać samego siebie, że ma szare komórki w porządku, poszedł wieczorem z Mabel na przyjęcie do reżysera Sola Voremwolfa. Voremwolf zdał właśnie egzamin państwowy zyskując kategorię A–13. Oznaczało to, że w odpowiednim czasie przy odrobinie szczęścia zostanie wiceprezesem studia.

Przyjęcie było nadzwyczaj udane. Tom i Mabel wrócili na pół godziny przed rozpoczęciem somnambulacji. Tom był powściągliwy w piciu i zażywaniu narkotyków, więc nie dał się skusić Mabel. Ale i tak wiedział, że ze stanu somnambulacji zbudzi się na pół zamroczony i musi zażyć jakieś środki. W pracy będzie się czuł i wyglądał koszmarnie, bo stracił niezbędne godziny snu.

Pod jakimś pretekstem pożegnał Mabel i poszedł do somnambulatorium przed wszystkimi. I tak by nie mógł poddać się wcześniej somnambulacji, nawet gdyby chciał, bo „trumny" działały w ściśle oznaczonych granicach czasu.

Oparł się o somnambulator Jennie i zastukał w drzwi.

— Cały wieczór starałem się nie myśleć o tobie. Chciałem być uczciwy wobec Mabel; to nieuczciwie iść z nią, a myśleć o tobie.

W miłości wszystko jest uczciwe…

Nagrał do niej następny list, ale go skasował. Nic mu z tego nie przyjdzie. Poza tym zdawał sobie sprawę, że trochę mu się język plącze, a chciał się jej przedstawić z jak najlepszej strony.

Tylko że po co? Co jej na nim zależy?

Zależało jemu, wobec czego żadne prawa logiki nie miały tu zastosowania. Kochał tę zakazaną, nietykalną tak — odległą—a — tak — bliską kobietę.

Nadeszła bezszelestnie Mabel.

— Ty jesteś chory — powiedziała.

Tom skoczył jak oparzony. Ale właściwie dlaczego? Przecież nie zrobił nic takiego, czego musiałby się wstydzić. A skoro tak, to dlaczego jest taki na nią zły? Można zrozumieć jego zmieszanie, ale nie gniew.

Mabel zaczęła się z niego śmiać, z czego Tom był zadowolony. Teraz mógł ją ofuknąć. Zrobił to i Mabel odwróciła się na pięcie i wyszła. Ale za chwilę wróciła razem ze wszystkimi. Zbliżała się północ.

Tylko że wtedy Tom był już w swoim cylindrze. W kilka sekund

później wyszedł, popchnął do tyłu somnambulator Jennie i przytoczył swój, tak że stały teraz jeden naprzeciwko drugiego. Wrócił do siebie i nacisnął guzik. Podwójne drzwi tylko nieznacznie zniekształcały obraz. Ale Jennie wydawała się jeszcze bardziej odległa w przestrzeni i w czasie, jeszcze bardziej nieosiągalna.

Trzy dni później, w środku zimy, Tom otrzymał list. Kiedy wychodził frontowymi drzwiami, umieszczona przy nich skrzynka pocztowa zahuczała. Cofnął się i poczekał, aż list zostanie wydrukowany i wyleci przez otwór. Była to odpowiedź na jego prośbę o przeniesienie do środy.

Odmowa. Powód: brak powodu.

Była to prawda. Ale przecież nie mógł podać prawdziwej przyczyny. Uznano by ją za jeszcze mniej przekonywającą niż ta, którą podał. Przedziurkował okienko naprzeciwko numeru 12. POWÓD: DOSTAĆ SIĘ DO ŚRODOWISKA, GDZIE MOJE TALENTY ZNAJDĄ WŁAŚCIWE WARUNKI ROZWOJU.

Przeklinał i złościł się. Ma przecież jako człowiek i obywatel prawo wybrać sobie dzień, jaki mu się podoba. A przynajmniej powinien mieć. Cóż z tego, że to kłopotliwe. Cóż z tego, że wymagałoby przeniesienia jego karty tożsamości i wszystkich dokumentów od chwili jego urodzenia? Cóż z tego, że…

Może się wściekać do woli, i tak nic nie zmieni. Jest skazany na świat wtorkowy.

Spokojnie, mruknął. Spokojnie. Na szczęście w moim dniu mogę występować o przeniesienie nieograniczoną ilość razy. Wystąpię ponownie. Wydaje im się, że mnie zmęczą. Ale to ja ich zmęczę. Człowiek przeciwko maszynie. Człowiek przeciwko systemowi. Człowiek przeciwko biurokracji, bezdusznym prawom.

Dwadzieścia dni zimy minęło jak z bicza trzasnął. Osiem dni wiosny przeleciało nie wiadomo kiedy. Znów nastało lato. Drugiego z dwunastu dni lata otrzymał odpowiedź na swoją ponowną prośbę.

Nie była to ani odmowa, ani zgoda. Zawierała zalecenie, że jeżeli według diagnozy astrologa Tom ma się we środy czuć lepiej psychicznie, to powinien tę diagnozę zaopiniować u psychika. Tom Pym podskoczył z radości i strzelił obcasami swoich sandałów. Dzięki Bogu, że żyje w wieku, w którym astrologów nie uważa się za szarlatanów. Ludzie — to znaczy masy — domagali się uznania astrologii, zalegalizowania jej i nadania jej odpowiedniej rangi. W związku z tym zostały wydane odpowiednie ustawy, dzięki którym Tom miał dziś szansę.

Zszedł do somnambulatorium, ucałował drzwi cylindra Jennie i zakomunikował jej dobrą nowinę. Nie odpowiedziała mu, chociaż wydało mu się, że jej oczy jakby z lekka zajaśniały. Było to oczywiście tylko złudzenie, ale Tom lubił te swoje złudzenia.

Dostanie się do psychika i odbycie trzech konsultacji trwało kolejny rok, następne czterdzieści osiem dni. Okolicznością pomyślną dla Toma był fakt, że doktor Sigmund Traurig był przyjacielem doktora Stelheli, astrologa.

— Przestudiowałem pilnie opinię doktora Stelheli i dokładnie zanalizowałem pańską obsesyjną namiętność do tej kobiety — powiedział. — Zgadzam się z moim kolegą, że będzie pan zawsze nieszczęśliwy we wtorku, choć niezupełnie podzielam jego pogląd, że środa ma być dla pana lepsza. Ale skoro tak sobie pan wbił do głowy tę pannę Marlowe, uważam, że powinien się pan przenieść. Pod warunkiem jednak, że pan wyrazi na piśmie zgodę, że się pan podda przedłużonej kuracji u psychika.

Dopiero później Tom zorientował się, że doktor Traurig chciał go spławić, bo miał zbyt wielu pacjentów. Ale może się mylił.

Musiał czekać, aż jego papiery zostaną przesłane do władz środowych. Wygrał swoją batalię dopiero do połowy. Jeszcze tamci mogą go odrzucić. A jeżeli nawet osiągnie swój cel — co wtedy? Najgorsze, że ona go może odrzucić nie dając mu już więcej żadnej szansy. Trudno to było sobie wyobrazić, ale przecież mogła. Pieszczotliwym ruchem pogładził drzwi, a potem przywarł do nich ustami.

— Pigmalion mógł przynajmniej dotknąć Galatei — szepnął. — Wierzę, że bogowie — wielcy bezduszni biurokraci — ulitują się nade mną, który nawet dotknąć cię nie mogę. Wierzę.

Psychik stwierdził, że jest niezdolny do trwałego związku z kobietą, podobnie zresztą jak wielu mężczyzn w tym świecie, w którym łatwo się te związki zawiera i jeszcze łatwiej zrywa. W Jennie Marlowe zakochał się z wielu względów. Mogła mu przypominać kogoś, kogo kochał, kiedy był bardzo młody. Może matkę? Nie? Zresztą wszystko jedno. Dojdzie do tego we środzie. Najgłębsza i najistotniejsza prawda polegała na tym, że kochał pannę Marlowe, ponieważ nigdy nie mogła go odrzucić, odtrącić, znużyć, narzekać, płakać, krzyczeć na niego, wymyślać mu i tym podobne. Kochał ją, ponieważ była nieosiągalna i milcząca.

— Kocham ją, jak Achilles musiał pokochać Helenę, kiedy zobaczył ją na murach Troi — powiedział.

— Pierwsze słyszę, żeby Achilles kiedykolwiek kochał się w Helenie — rzekł sucho doktor Traurig.

— Homer o tym nie mówi, ale ja wiem! Czy ktokolwiek, kto ją zobaczył, mógł się jej oprzeć?

— Skąd mam niby wiedzieć, nigdy jej nie widziałem! Gdybym wiedział, że te urojenia się nasilą…

— Ja jestem poetą! — rzekł Tom.

— Raczej ma pan nadmiernie pobudzoną wyobraźnię. Hmmm.

Swoją drogą musi to być niezła sztuka. Właściwie nie mam dziś wieczorem nic specjalnego do roboty. Wie pan co… rozpalił pan moją ciekawość… Wybiorę się tam do pana i obejrzę sobie tę piękność, tę pańską Helenę trojańską.

Doktor Traurig zjawił się zaraz po kolacji i Tom poprowadził go przez hali do somnambulatorium mieszczącego się na tyłach dużego domu, jakby był przewodnikiem prowadzącym słynnego krytyka do świeżo odkrytego Rembrandta. Przez dłuższy czas doktor stał przed cylindrem. Kilka razy cmoknął i kilka razy przeczytał tabliczkę z jej personaliami. Następnie odwrócił się i powiedział:

— Rozumiem pana, panie Pym. W porządku. Może pan liczyć na moje poparcie.

— No, niech pan sam powie, czy ona nie jest nadzwyczajna?! Jest nie z tej ziemi — zarówno w sensie przenośnym, jak i dosłownym oczywiście.

— Owszem, jest bardzo piękna. Boję się jednak, że czeka pana wielkie rozczarowanie, zawód sercowy, a może nawet szaleństwo, chociaż bardzo nie lubię tego nienaukowego określenia.

— Zaryzykuję — rzekł Tom. — Wiem, że zachowuję się jak wariat, ale co wart byłby świat bez wariatów? Weźmy na przykład wynalazcę koła, Kolumba, Jamesa Watta, braci Wright czy Pasteura.

— Trudno porównywać tych pionierów nauki i ich pasję poznania prawdy z pańskim pragnieniem poślubienia tej kobiety. Jakkolwiek przyznaję, że jest uderzająco piękna. Ale tym bardziej byłbym ostrożny. Dlaczego dotąd nie wyszła za mąż? Czyżby coś z nią było nie w porządku?

— O ile wiem, mogła to zrobić już sto razy! — odparł Tom. — Może przeżyła zawód i ślubowała, że zaczeka, dopóki nie pozna odpowiedniego mężczyzny. Może…

— Nie ma tu żadnego „może”; pan ma nerwicę — powiedział Traurig. — Ale wydaje mi się, że w pańskim obecnym stanie bardziej szkodliwe byłoby dla pana pozostanie we wtorku niż przeniesienie się do środy.

— To znaczy, że wyraża pan zgodę! — wykrzyknął Tom łapiąc doktora za rękę i potrząsając nią.

— Powiedzmy. Ale mam pewne wątpliwości.

Spojrzenie doktora uciekło gdzieś w dal. Tom roześmiał się, puścił jego dłoń i poklepał go po ramieniu.

— Niech pan się przyzna — zrobiła na panu wrażenie. Musiałby pan chyba być z kamienia.

— Dziewczyna jest świetna, przyznaję. Ale musi pan tę sprawę przemyśleć. Jeśli pan się przeniesie i ona pana odrzuci, może pan postradać zmysły — chociaż nie cierpię takich poetyckich określeń.

— Nie, nie postradam. Moja sytuacja nie będzie ani trochę gorsza

niż jest. Przeciwnie, lepsza. Będę ją przynajmniej widział: dziewczynę z krwi i kości.

Wiosna i lato przeleciały jak błyskawica. I nagle — ranek, który na zawsze pozostanie mu w pamięci: zgoda! A wraz z nią instrukcja, co należy zrobić, żeby się przenieść do środy. Była ona zresztą bardzo prosta. Przede wszystkim dopilnować, żeby mechanicy przyszli w ciągu dnia i przestroili mechanizm zegarowy w podłodze. Nie mógł zrozumieć, dlaczego na przykład nie miałby po prostu doczekać się środy poza somnambulatorem, ale już dawno przestał zgłębiać logikę biurokratycznego systemu.

Postanowił nie mówić o tym nikomu ze swoich współlokatorów, głównie ze względu na Mabel. Ale Mabel i tak dowiedziała się od kogoś ze studia. Zobaczywszy go przy kolacji popłakała się i uciekła do siebie na górę. Było mu przykro, ale nie poszedł jej pocieszać.

Wieczorem wchodził do somnambulatora z bijącym sercem. Wszyscy już wiedzieli; nie potrafił utrzymać tajemnicy. Teraz był właściwie zadowolony, że im powiedział. Byli mu życzliwi — przynieśli różne trunki, spełnili razem niejeden toast. W końcu przyszła i Mabel, która ocierając łzy też mu życzyła wszystkiego najlepszego. Wiedziała, że tak naprawdę Tom jej nie kochał. Przykro jej było, że jej nikt nie pokochał przez samo zaglądanie do somnambulatora.

Kiedy się dowiedziała, że był u doktora Trauriga, powiedziała:

— To bardzo wpływowy człowiek. Jest opiniodawcą Sola Voremwolfa. Podobno ma nawet stosunki w innych dniach. Jest redaktorem „Prądów Psychicznych", jednego z niewielu periodyków czytywanych przez innych ludzi.

Innych oznaczało oczywiście tych, którzy żyli od środy do poniedziałku.

Tom wyznał, że jest zadowolony, że się dostał do Trauriga. Być może to właśnie na skutek jego interwencji władze środowe tak szybko załatwiły jego prośbę. Rzadko przekraczano granice pomiędzy światami, ale było publiczną tajemnicą, że ludzie ustosunkowani robili to, kiedy chcieli.

Teraz, drżący. Tom stał znów naprzeciwko cylindra Jennie. Po raz ostatni, pomyślał, widzę ją w stanie somnambulacji. Następnym razem kiedy ją zobaczę, będzie ciepła, w kolorach — będzie dziewczyną z krwi i kości.

— *Ave atque vale*! — rzekł głośno. Obecni żegnali go owacyjnie. Mabel powiedziała:

— Jakie to banalne!

Wyobrażali sobie, że on się do nich zwraca.

Wszedł do somnambulatora, zamknął drzwi i nacisnął guzik. Będzie miał oczy otwarte, żeby…

Dzisiaj była środa. Chociaż widok w niczym się nie zmienił, miał wrażenie, jakby się znalazł na Marsie.

Otworzył drzwi i wyszedł. Twarze siedmiu napotkanych osób już widział, ich nazwiska czytał na tabliczkach, ale nie znał tych ludzi.

Miał im właśnie powiedzieć dzień dobry, ale zawahał się.

Somnambulator Jennie Marlowe znikł.

Złapał za ramię najbliższego mężczyznę.

— Gdzie jest Jennie Marlowe?

— Puść mnie pan. To boli. Przeniosła się. Do wtorku.

— Wtorku? Wtorku?

— No jasne. Już od dawna usiłowała się stąd wydostać. Ten dzień jakoś nie był dla niej szczęśliwy. Źle się tu czuła, nie ulegało wątpliwości. Dwa dni temu powiedziała, że jej wniosek został ostatecznie załatwiony pozytywnie. Najwyraźniej musiał jej pomóc jakiś ustosunkowany wtorkowy psychik. Był tutaj, zobaczył ją w somnambulatorze i tak się skończyło, bracie.

Ściany, ludzie i somnambulatory wydały mu się nagle zniekształcone. Czas giął się to w tę stronę, to w tamtą. Nie była to ani środa, ani wtorek. Nie był to żaden dzień. Tom tkwił zamknięty w sobie w jakimś dziwnym czasie, który nie powinien był w ogóle istnieć.

— Ona nie może tego zrobić!

— Naturalnie, że nie! Ona to już zrobiła!

— Ale… przecież nie można się przenosić więcej niż jeden raz.

— I na tym polega jej problem.

Owszem, jego problem też na tym polegał.

— Nie powinienem był mu jej pokazywać! — powiedział Tom. — Świnia! Nieetycznie postępująca świnia!

Tom Pym stał dłuższy czas osłupiały, zanim poszedł do kuchni. Jeśli nie brać pod uwagę ludzi, otoczenie było to samo. Później poszedł do studio i grał w komedii sytuacyjnej, która niczym nie różniła się od tych, w których występował we wtorki. Wieczorem oglądał dziennik. Prezydent Stanów Zjednoczonych miał inną twarz i inaczej się nazywał, ale to, co mówił, mógł równie dobrze mówić prezydent wtorkowy. Tom został przedstawiony sekretarce reżysera. Nie miała na imię Mabel, ale z powodzeniem mogłaby mieć.

Jedyna różnica polegała na tym, że nie było Jennie, a była to różnica zasadnicza.

Przełożyła Zofia Uhrynowska

Andrzej Czechowski
REKONSTRUKCJA

Wyszliśmy na dużą przerwę po lekcji historii, ja i Rino. Lekcja była na temat: „Pierwsza rekonstrukcja i problemy moralne”. Dyskutowaliśmy już podczas lekcji i wyglądało na to, że całą przerwę też przegadamy.

Stanęliśmy przy ogrodzeniu, pod wielkim kasztanem. Drzwi szkoły otworzyły się znowu i parami wymaszerowali pierwszoklasiści. Rozbiegli się po boisku i zaczęła się zabawa w Ostatniego Człowieka. Zasady były nieskomplikowane, chodziło się w koło i śpiewało piosenkę:

Nie wiadomo, skąd się wziął,
nie wiadomo po co.

Wróciliśmy do naszej rozmowy. W podręczniku było tak napisane: „Już wtedy korzyści z rekonstrukcji musiały być oczywiste. Niemniej jednak humaniści byli gotowi» wrócić na czworakach do lasu«, jeżeli okazałoby się to niezbędne do uratowania ich koncepcji człowieka”. Rino twierdził, że to nieprawda: jego zdaniem konserwatyści nie mogli być aż tak niemądrzy. Przekonywałem go, że byli.

— Weź takiego Don Kichota — mówiłem. — Przecież w jego czasach wiatraki już były znane. A on uważał, że to nieprzyjaciel. Albo weź takiego Arystotelesa.

Ale Rino uważał, że to zupełnie inna sprawa.

— Musieli mieć jakiś powód — powiedział w zamyśleniu. — Ja myślę, że chodziło im o serte Czytałeś ich książki? Wszyscy pisali o uczuciach i o sercach.

— Co serce miało wspólnego z uczuciami? — zapytałem.

— Bo ja wiem? — powiedział Rino. — Biło raz tak, raz tak.

Zaczęliśmy się zastanawiać, ale nic z tego nie wychodziło. Rino usiadł pod drzewem, żeby poprawie swój dotleniacz. Pierwszoklasiści bawili się w najlepsze. Chodzili i śpiewali:

Jak to żyje, czego chce?
Głowa mu się chwiała,
Ręce dwie i nogi dwie,
I był cały z CIAŁA.

Rino nie odzywał się, a więc otworzyłem podręcznik i zacząłem

oglądać kolorowe tablice anatomiczne. Na jednej z nich był człowiek sprzed rekonstrukcji — wszystkie niepotrzebne organy były pomalowane na niebiesko. Druga przedstawiała jego typowe defekty i lepiej było na nią w ogóle nie patrzeć. Na następnej stronie był człowiek współczesny w trzech rzutach i w przekroju i projekty następnych rekonstrukcji. Pokazałem je Rinowi.

— Najbardziej mi się podoba ostatni projekt Forda — powiedział.

Pomyślałem, że nigdy naprawdę nie zrozumiem tych dawnych czasów. Oczywiście to nie moja wina: po prostu wtedy jeszcze nikt nie potrafił myśleć logicznie. Przypomniałem sobie, że właśnie ci, którzy najbardziej narzekali, nie chcieli się zmienić, kiedy przyszło do rekonstrukcji. Pomyślałem, że rekonstrukcja mogła im się nie podobać właśnie dlatego, że była koniecznie potrzebna, ale następne rekonstrukcje będą już dla przyjemności. Wreszcie zacząłem myśleć o ostatnim człowieku, ale zaraz przestałem. To był temat wątpliwy moralnie. Pierwszoklasiści śpiewali ostatnią zwrotkę:

Wędrowały długo tak,
Lecz coś się zdarzyło:
Znalazł sobie sznur i hak.

— wszyscy parsknęli śmiechem —

WIĘCEJ ICH NIE BYŁO.

Terry Dixon
OPOWIEŚĆ BARDA

…Tak jak ją dawnymi czasy opowiedział Voth, syn Darmuu, legendarny bard z Zorayne, jedynej planety podwójnej gwiazdy

Thomium I i II.

The Bard's Talk

Jestem stary, mam prawie trzy lata i życia pozostało mi już niewiele. Mnóstwo historii opowiedziałem i wiele pieśni odśpiewałem — przy ogniskach, na dworach możnych i w chatach biedaków. Wkrótce, dnia pewnego, opowiem swoją ostatnią historię. Być może t a właśnie okaże się ostatnią — kto wie? Zmęczony już bowiem jestem, pamięć moja jest jak migocząca iskierka, a kości znękane starością. Prawie trzy razy od chwili mych narodzin nasz świat okrążył po swej olbrzymiej orbicie dwa błękitne słońca, i w ciągu tego bardzo długiego okresu przewędrowałem ziemie od bieguna do bieguna, czasem pieszo, czasem na grzbiecie zargi, snując swe opowieści dla wszystkich, którzy chcieli słuchać, a gdy nie było nikogo do słuchania (często bowiem przemierzałem milczące pustynie i płynąłem na tratwach w dół rzek pełnych rozigranych ryb) opowiadałem swoje historyjki czystemu, koralowemu niebu, falimorowym drzewom, świergoczącym, puszystym ptaszkom thrixx i chłodnej, bezksiężycowej nocy.

Jest jedna historia, którą rzadko opowiadałem, bo nawet trudno ją nazwać historią: nie ma w niej bitew ani ryczących bestii, ani też uroczych dziewcząt w przezroczystych jak mgiełka sukniach. I nie wiem nawet, co oznacza. Nie dostanę za nią jałmużny ani chleba, nie wyczaruje mi moja opowieść słów podzięki z ust księcia czy chłopa. Niegdyś, za młodu, opowiadałem ją, lecz wywoływała tylko łzy, więc już nigdy do niej nie powracałem.

Dla powodu, którego sam nie pojmuję, pragnę opowiedzieć ją właśnie teraz.

Nie wiem, kim był ten, od którego usłyszałem ją po raz pierwszy, kto mi ją opowiedział, czy też śpiewnie wyrecytował — bo mogła być ona recytowana na jakąś starą nutę — ale czy to pieśń czy historia, wiem jedno, że byłem naówczas bardzo małym dzieckiem, w ustach miałem smak mleka, a w nosie czułem aromatyczną, pikantną woń

pieczeni. Było mi ciepło, przytulnie i trochę sennie, a ktoś opowiadał, odśpiewywał, a może monotonnie recytował tę historię — opowieść o dzieciach tak małych jak i ja w owym czasie.

Nie wiedziałem nigdy, gdzie na Zorayne to się mogło wydarzyć: — w barbarzyńskim Kahs, w cywilizowanym Troin? Ani też kiedy… Za Pierwszej Dynastii? W Wieku Volthikkiańskim? Czy za panowania Boga Robaka? Nie wiedziałem, jak nazywały się dzieci, ale bawiły się chyba w królów — pogoda, jak mi się wydaje, była ciepła, słońce jasne, a dzieci były opalonymi, bosonogimi małymi urwisami, nie większymi od robaka sooma.

Chociaż byli bardzo mali, kiedy wyprostowali się, jak tylko potrafili najbardziej, i zaczęli przemawiać wyniośle i hardo swymi piskliwymi głosikami, zaiste wydawać się mogli prawdziwie królewscy, bardziej królewscy niż sami królowie. Dużo więcej w nich było dostojeństwa, pychy i dumnej pogardy. A każdy wie, że prawdziwi królowie są często smutni i przestraszeni, wątpią we własne siły i tak są przytłoczeni żałością i zmartwieniami, że nie mogą stać wyprostowani przez cały czas.

— Uklęknij! — rozkazał jeden z miniaturowych władców.

— Na ścięcie! — zarządził inny.

— Płać podatki! — krzyknął jeden z nich nie mając pojęcia, co to są podatki, ale często słysząc to słowo przy stole.

— Dziel swój chleb z biednymi! — powiedział najmniejszy chłopiec.

— Co to za dziwny rozkaz? — spytał jeden z jego towarzyszy zabaw.

— Królowie nie mówią czegoś takiego! — zaprotestował inny.

— Nie mówią? — zdziwił się mały.

— Nie! — odrzekł ten większy. — Królowie mówią tak: „Wrzućcie go do najgłębszego, najciemniejszego lochu!” Lub: „Zrównać ten zamek z powierzchnią ziemi!”

— Wychłostać tego chłopa!

— Spalić miasto!

— Przynieście mi więcej wina!

— Więcej mięsa!

— Więcej złota!

— Więcej kobiet!

— Nie ociągaj się, bo cię ukamienuję! A nie — „Dziel swój chleb z biednymi!” Tego królowie nie mówią! — zaśmiał się drwiąco chłopak.

— Dlaczego? — zapytał najmniejszy. — Właśnie to bym powiedział, gdybym był królem.

— Jesteś jeszcze dzieckiem!

— Nie masz pojęcia o królach!

— O niczym nie masz pojęcia!

— Nie możesz się z nami bawić!

— Wracaj do mamy, dzidziusiu!

Chłopczyk odszedł kilka kroków i w milczeniu przyglądał się zabawie. Nie czuł do nich urazy. Był najmłodszy i najmniejszy, a najmłodsi i najmniejsi zawsze pozostają na uboczu różnych spraw. Tak to już bywa na tym świecie, prawda?

W miarę jak kontynuowano grę, dzieci poczuły, że brak im czegoś konkretnego, co nadałoby nowy charakter zabawie.

Patyki posłużyły więc za berła, połamane pudełka stały się tronami, a stary, podarty worek przekazywano sobie nawzajem jako szatę królewską.

— Ale nie mamy najważniejszej rzeczy — zauważył jeden z nich.

— Racja! Nie mamy korony!

Rozpoczęto poszukiwanie korony. Jeden z chłopców znalazł stary garnek z dziurami, przeżarty rdzą, jednym słowem wspaniałą koronę. Ale garnek był za duży, zakrywał całkiem ich małe główki, zasłaniał oczy tak, że nic nie widzieli. Wyrzucili go.

Wtedy odezwał się stojący na uboczu najmniejszy chłopczyk. — Ja wiem, z czego możecie ją zrobić.

— Jeszcze nie poszedłeś do domu, maluchu? Po chwili jednak niechętnie spytali: — No to powiedz, z czego?

— Z kwiatów — powiedział. — Z czerwonych kwiatów, które rosną na tym krzaku. Możecie z nich upleść koronę.

W pierwszym odruchu chcieli go wykpić, ale w następnej chwili uświadomiwszy sobie, że rada jego jest cenna, rzucili się na krzak, odarli go z kwiatów i wkrótce stąpali dumnie w jaskrawoczerwonych wieńcach. Wszyscy oprócz najmniejszego. Zanim dotarł do krzaka, gałązki były już ogołocone.

Chłopcy odbiegli pozostawiając go samego. Matka, która przyglądała się wszystkiemu z okna domu, zawołała go na kolację. Pogłaskała po głowie i cicho spytała: — Czy ci chłopcy zerwali wszystkie kwiaty, synku?

Wydaje mi się, że mały się uśmiechnął i z dumą pokazał jej twardy, kolczasty wianek. — To nic, mamo, dla mnie pozostały jeszcze ciernie — powiedział.

I wtedy matka zaczęła płakać.

Ale ja już nie opowiadam tej historii, bo nie wiem, co ona znaczy, czy jest prawdziwa czy nieprawdziwa, a bard byłby niemądry, gdyby opowiadał historie, których nie rozumie.

…Tak oto kończy się opowieść Votha, syna Darmuu.

Przełożyła Izabella Wagner

FAKTY, HIPOTEZY, ZAGADKI

Andrzej Trepka
CZŁOWIEK NIE JEST SAMOTNY WE WSZECHŚWIECIE

Człowiek jest istotą towarzyską. Nawet kiedy szuka samotności dobrze wie, że ma bliskich i przyjaciół, na których może liczyć, wie, że stanowi wartościową i potrzebną cząstkę wielkiej rodziny, jaką jest naród, oraz jeszcze większej, multimiliardowej ludzkości — przeszłej, teraźniejszej i przyszłej. To pokrzepia.

Myślicieli, artystów, uczonych gnębił od prawieków problem obrony przed samotnością — również samotnością w najrozleglejszym, bo kosmicznym wymiarze. Zapytywali siebie i przyrodę, czy to doprawdy możliwe, aby mieszkaniec planety Ziemia był w nieogarnionym Wszechświecie jedynym twórcą kultury, sztuki, wiedzy. Przyroda milczała niewzruszenie, a wykorzystywali to religijni dogmatycy, twierdząc, że skoro niczego nie wiemy o innym życiu rozumnym równorzędnym ludzkiemu, to znaczy, że go na pewno nie ma; że istnieje dopiero w kategoriach nadprzyrodzonych, jest niepoznawalne. Dyskutowano więc o wyjątkowości człowieka „stworzonego na obraz i podobieństwo boże", głosząc wyjątkowość Ziemi, a w czasach pokopernikańskich wyjątkowość Układu Słonecznego (np. popularna przed półwieczem hipoteza Jeansa o powstaniu planet jako wyniku niezwykłego przypadku, może jedynego w Galaktyce).

W naszych czasach dzięki ogromnym osiągnięciom techniki możemy konsekwentnie poszukiwać kosmicznych braci człowieka. Awangardę tych dociekań stanowią radioastronomowie, usiłujący z morza szumów i trzasków, docierających z Wszechświata, wyłowić jakąś logiczną regularność, która nie wynikałaby z fizycznych procesów ślepych sił przyrody.

To, że nie odkryto dotąd psychozoów „gdzieś w niebie", świadczy jedynie o trudnościach poszukiwań. Dla filozofii, astronomii, biologii, a przede wszystkim dla ludzi zdrowego rozsądku — byłoby niepojęte, aby spośród niezliczonych planet wyłącznie Ziemia zrodziła swoich rozumnych gospodarzy.

Różne cywilizacje we Wszechświecie muszą rozwijać się według jakichś ogólnych praw kierujących tym procesem — podobnie jak całościowa ewolucja życia na jednej planecie. Tych praw nie znamy z braku kryteriów porównawczych. Wszystkie spostrzeżenia o myślących indywiduach oraz ich zbiorowościach dotyczą Homo sapiens — nas samych.

Na Ziemi tylko jeden gatunek istot rozumnych wyodrębnił się ze świata zwierzęcego. Dlaczego właśnie człowiek? Czemu żadna inna gałąź rodowodu życia nie zaowocowała rozumem? Przecież nawet nasze własne drzewo genealogiczne obfitowało na różnych piętrach w odroślą skądinąd i zdrowe, i silne. Niektóre należały już do rodzaju Homo (np. człowiek neandertalski).

Droga wiodąca do samowiedzy myślącej materii nie jest ani prosta, ani łatwa: wymaga przypadkowego skojarzenia mnóstwa czynników. Bardzo prawdopodobne, że gdyby nie epoka lodowcowa, znajdowalibyśmy się teraz na praludzkim szczeblu skromnych użytkowników naturalnego ognia — od pioruna lub wybuchu wulkanu. Może osiągnęlibyśmy obecny poziom za milion lat, a może nigdy. Wiemy na pewno, że do rangi włodarzy kuli ziemskiej kandydowały delfiny. Trudno orzec, jaki splot okoliczności nam zapewnił, a im udaremnił zwycięstwo w maratonie przyrody. Wydaje się, że ta główna wygrana pada tylko raz w dziejach planety. A może nie paść w ogóle.

Dlaczego kilka odrębnych gatunków istot rozumnych nie rozwinie się „na wspólnym gospodarstwie”?

W najwcześniejszych stadiach rozwoju kultury materialnej społeczność inteligentniejsza weźmie górę nad pozostałymi; będzie je spychała, ograniczała, aż je pośrednio lub bezpośrednio wytępi. Jest to naturalne prawo lepiej przystosowanego. Np. wprowadzony ongiś przez pierwotne plemiona do Australii pies dingo, później zdziczały, na terenach, gdzie się rozgościł, wyrugował istniejące tam drapieżniki workowate, jako grupę ewolucyjnie niższą od ssaków łożyskowych.

Tej sytuacji nie niweczy przekroczenie bariery między światem instynktu a światem rozumu. Musimy przyznać z rumieńcem wstydu (jako obywatele planety), że na szczeblu tak entuzjastycznie zachwalanej przez nas cywilizacji — brutalne ekscesy rasizmu w obrębie przecież tego samego gatunku nie są czymś odosobnionym.

Za panowania moralnie okrzepłego ogólnoplanetarnego społeczeństwa, wytworzenie się odrębnego inteligentnego szczepu życia jest nadal nieosiągalne, choć z przyczyn zgoła odmiennych. Kardynalną cechę cywilizacji stanowi niszczenie dzikiej przyrody. Przekreśla to szansę powolnego przekształcenia się u jakichś zwierząt instynktownego reagowania na bodźce zewnętrzne w proces logicznego myślenia. Aby im to umożliwić, musielibyśmy działalności takiego obiecującego gatunku poświęcić ścisły rezerwat obejmujący przynajmniej kontynent (lub ocean) na przeciąg milionów lat.

Jest to nierealne, zważywszy, że istotom rozumnym, progresywnie budującym coraz śmielszą cywilizację, w pewnym sensie nie starcza powierzchnia macierzystej planety. Wznoszą wieżowce wysokie jak góry, tworzą pływające miasta, zasiedlają głębiny mórz i

kute w skałach supernowoczesne konstrukcje. Albo odwrotnie: ze swego przyrodzonego środowiska podwodnego, podziemnego lub napowietrznego wkraczają na ląd, w warunki dla siebie obce. Wreszcie wydostają się poza glob, montują w przestrzeni hermetyczne wielopoziomowe wyspy — miasta, a równocześnie podejmują dalekie wyprawy eksploracyjne w poszukiwaniu nowych terenów osiedleńczych na odkrywanych ciałach kosmicznych.

Planety mogące zrodzić życie różnią się klimatem w szerokim zakresie, którego granic nie znamy. Dlatego każda biosfera, startując z odmiennych stanów wyjściowych, od samego początku realizuje swój własny, niepowtarzalny model. Chyba nie może być sztywną regułą powstawanie pierwocin życia w wodzie, przy obecności beztlenowej atmosfery, i wprowadzanie do niej tlenu — jak to się ongiś działo na Ziemi. Niektóre nasze zwierzęta wtórnie wybrały wodny żywioł: od lądowych przodków wywodzą się delfiny, wieloryby i w ogóle wszystkie ssaki obecnie zadomowione w morzach bądź wielkich rzekach. Równie dobrze mogą gdzieś powstać pierwsze organizmy na lądzie w atmosferze tlenowej i przekształcać ją w beztlenową dla ewolucyjnie wyższych form życia — np. oddychających azotem, a wydychających cyjan i amoniak (taki model mógłby urzeczywistnić się na Jowiszu).

Życie wylęgłe z najrozmaitszych prawzorców musi odznaczać się pod każdym względem niesamowitą różnorodnością. Istoty rozumne nie są wyłączone z tego bogactwa kreacyjnych pomysłowości Natury. Dlatego mogą być wzajemnie do siebie niepodobne pod każdym względem — zarówno budowy, jak i fizjologii, czy psychiki.

Zbyt wcześnie na poważne dyskutowanie wyglądu kosmicznych braci człowieka, którzy radują się życiem gdzieś w sąsiedztwie niektórych mrugających do nas gwiazd i pogodną nocą patrząc w nikłą gwiazdkę przez ludzi nazwaną Słońcem — podobnie jak my zasmuceni swoją kosmiczną samotnością, marzą o nie odkrytych twórcach innych kultur.

Przeczuwając ogrom możliwości, jakimi rozporządza przyroda Wszechświata w nieobjętych otchłaniach czasu i przestrzeni, powinniśmy ufać, że owo panopticum kosmicznych stworów zrodzone pod piórem, pędzlem czy dłutem artystów w mnóstwie fantastycznych wizji — gdzieś rzeczywiście istnieje, ale jest tylko okruchem oszałamiającego muzeum kipiących kształtów i treści, jakich nikt z nas nie podejrzewa.

Zmysły, którymi my się posługujemy, nie mogą być jedynymi wytworzonymi przez Naturę narzędziami poznania świata. Nawet w przyrodzie Ziemi zachodzą pod tym względem znaczne oscylacje. Pszczoły widzą również w bliskim nadfiolecie; nietoperze słyszą ultradźwięki i bezbłędnie posługują się nimi jak my radarem;

grzechotnik odczuwa zmiany temperatury rzędu jednej tysięcznej stopnia.

My, ludzie, jesteśmy wzrokowcami. Widzimy znacznie lepiej niż większość zwierząt. Nie ma jednak reguły bez wyjątków: sokół potrafi wyśledzić polną mysz, słabo odcinającą się od tła, z wysokości kilkuset metrów. A gdzież nam konkurować z węchem wyżła, który z różnorodności zapachów łanu koniczyny wychwyci woń kuropatw!

Nie wiemy, co znaczy odbierać obraz świata w nadfiolecie, w podczerwieni, w falach radiowych — i może jeszcze w kręgu mnóstwa innych zjawisk fizycznych, których użyteczności w tej dziedzinie nie przeczuwamy; względnie — których istnienia dotąd nie odkryliśmy. Nie ma sensu pytać, jaki pejzaż jest ciekawszy: nasz czy ICH; oraz doznania czyich zmysłów są bogatsze i przyjemniejsze: naszych czy też ICH? Natomiast można i trzeba porównywać „przedłużenia zmysłów" w postaci aparatur i metod badawczych służących wnikliwemu opisaniu oraz zrozumieniu materialnej rzeczywistości. Za ich pomocą będą wymieniali wiedzę i doświadczenie przedstawiciele odrębnych rodzajów psychozoów, jako że ich „potoczne rozmowy" nie wyrażałyby partnerom niczego — ani emocjonalnie, ani intelektualnie; byłyby tym, czym jest szum w radioodbiorniku.

Znamy przeszłość, epos powstania i biologicznego rozwoju naszego gatunku, a także kulturalne i naukowe osiągnięcia już dojrzałego Homo sapiens. Nasza wiedza urywa się na kartce kalendarza wskazującej dzisiejszy dzień.

Z pozycji Wszechświata cywilizacja Ziemian zapewne nie stanowi fenomenu: w tłumie innych społeczeństw rozumnych podlega jakimś prawidłowościom kierującym rozwojem psychozoów w ogóle. Nie znamy tych prawidłowości. A przecież chcemy mieć pojęcie, co może albo musi czekać ludzkość w nadchodzących tysiącleciach, a nie zależy od nas (w takim stopniu jak śmiertelność człowieka nie podlega jego woli). Na to trzeba poznać kilka społeczeństw bardziej zaawansowanych.

Już od dawien dawna zastanawiamy się, jak długo zdolna jest trwać cywilizacja naukowo — techniczna. Zgodnie ze współczesnymi teoriami kosmogonicznymi, Słońce będzie świeciło bez istotnych zmian blasku od jednego do trzech miliardów lat. Potem rozgrzeje się (przed końcowym ostyganiem) i spopieli powierzchnię Ziemi. Dość podobnie przedstawia się ewolucja innych gwiazd tego typu. Prawie każdy gatunek psychozoów ma więc perspektywę stabilizacji klimatu przez czas mierzony nie epokami historycznymi, ale przemianami er geologicznych.

Tu pada wstrząsające pytanie: czy tak długo przetrwa cywilizacja? Większość specjalistów mówi o tysiącach, najwyżej setkach tysięcy lat. Ten pogląd rozważa i nie przeciwstawia mu się radziecki astrofizyk

J.S. Szkłowski w znakomitej książce „Wszechświat, życie, myśl” (wydanie polskie: PWN, 1956 r.). Jaskrawiej forsują takie stanowisko Dyson, von Horner i inni. Zwalcza je nasz wybitny pisarz Stanisław Lem.

Z rozważań statystycznych wynika, że w naszej Galaktyce (będącej skupiskiem około 150 miliardów gwiazd) może istnieć, ostrożnie szacując, miliard planet zdolnych wytworzyć rozumne formy życia. Gdyby te cywilizacje rozwijały się przez cały czas istnienia tam dogodnych warunków klimatycznych — odległość między sąsiednimi społeczeństwami powinna wynosić tylko kilkanaście lat świetlnych.

Z Kosmosu wróćmy na Ziemię dla wprowadzenia pewnej dygresji. Zakładając skromnie, że ziemska energetyka będzie wzrastała tylko o 0,3 % rocznie, a więc znacznie wolniej niż obecnie — za 2500 lat globalna produkcja energii przekroczy dzisiejszy poziom 10 miliardów razy (dla otrzeźwienia warto wtrącić, iż jest to stokrotna wartość energii, jaką Ziemia odbiera od Słońca). W takiej sytuacji wszystkie złoża węgla i ropy naftowej starczyłyby na podtrzymanie głodu energetycznego ludzkości w ciągu… kilkudziesięciu sekund! Gdybyśmy opracowali metodę kontrolowanych reakcji termojądrowych przy użyciu zwykłego wodoru (a nie deuteru) — przerobienie w ten sposób 10 % wód oceanicznych odsunęłoby kryzys dostępnej energii zaledwie o paręset lat. Co dalej?

Właśnie stoimy przed dramatycznym problemem spinającym wielką klamrą sprawy Ziemi z takim samym dylematem innych społeczeństw rozumnych. Cywilizacja naukowo — techniczna musi w jakiś sposób (niekoniecznie przez pochłanianie coraz większych zasobów energii) rozwiązać ten węzeł gordyjski, by nie hamować postępu. Cokolwiek futurolodzy mówią na ten temat w odniesieniu do naszej przyszłości, dotyczy to również kłopotów wszelkich psychozoów na tym etapie lawinowego przekształcania przyrody, w który obecnie wkroczyliśmy. Jak my nazwaliśmy wiek dziewiętnasty wiekiem pary i elektryczności, jak naszym czasom chyba użyczą imienia cybernetyka i astronautyka, a bliskiej przyszłości biotechnika — być może któreś z nadciągających stuleci okryje się splendorem ery gwiezdnej inżynierii, w zupełnie nowy sposób określając rangę dyktatu człowieka nad przyrodą. Byłby to wyniosły pułap dziejów, nad progiem piekielnie trudnym do przekroczenia, ale otwierającym takie możliwości techniczne, w porównaniu z którymi zdobycie Księżyca wygląda jak lot papierowego latawca w zestawieniu z samolotem.

Piszę o tym w trybie przypuszczającym, ponieważ takie rozwiązanie nie wydaje mi się ani jedyne, ani absolutnie konieczne. Chcę jednak podkreślić, że większość specjalistów od tych zagadnień broni poglądu, iż ludzkość nie zahamuje wzrostu zapotrzebowania

energii — wobec czego gros tych zasobów przyjdzie czerpać spoza Ziemi. Mało tego, już w stosunkowo niedalekiej przyszłości przemysłowa działalność człowieka (potęgowana w obecnym tempie) dosięgnie groźnej bariery bezpieczeństwa. Jest nią bariera cieplna, za którą można uznać podwyższenie średniej rocznej temperatury globu o 7 °C, co spowodowałoby stopienie lodowców na biegunach i katastrofalne zalanie wielkich połaci kontynentów, a nadto nieobliczalne zmiany klimatyczne. Wystarczy, by produkowano energię równą 10 % tej, jaką nasza planeta pobiera od Słońca. Chcąc nie chcąc, znacznie wcześniej przyjdzie pomyśleć o przeniesieniu wielu procesów przetwórczych gdzie indziej, np. na Księżyc.

Obstając więc przy wykładniczym wzroście zużycia energii, astronautyka nie tylko zwiększa zasięg naszej penetracji, rozszerza horyzonty myśli, wiedzy i rozumienia świata — ale jest warunkiem „być albo nie być" każdej odpowiednio zaawansowanej cywilizacji. Zgodnie z tymi poglądami, zadowolenie się bogactwami rodzimej planety musi (wobec dynamiki sił wytwórczych i wzrostu populacji) sprowadzić nagłe, tym samym rujnujące zahamowanie postępu, spowodowane wyczerpaniem surowców. Wtedy społeczność udusi się w swoim przetechnicyzowanym i wyeksploatowanym świecie jak ryby w wysychającym stawie.

Pierwszym, który realnie pomyślał o gospodarczym wyzyskaniu innych ciał kosmicznych, był Konstanty Ciołkowski. W wydanych w 1895 r. „Marzeniach o Ziemi i niebie" konsekwentnie rozwinął przekonanie, że „wcześniej czy później ludzkość zawładnie całym ciepłem i światłem Słońca". Ten prekursor astronautyki, syn Polaka i Rosjanki, wyobrażał sobie budowanie okrążających Słońce zamkniętych, wielopoziomowych „eterycznych miast" najpierw z materii roz — kruszonych planetoid, potem Marsa, Wenus i Księżyca, na koniec z planet — olbrzymów. Ciołkowski uzasadniał: „Ziemia jest kolebką ludzkości, ale czyż można całe życie spędzić w kolebce?"

W mnóstwie rozmaitych wariantów przewodnia myśl Ciołkowskiego znalazła odbicie u późniejszych autorów, którzy najczęściej nie wiedzieli o jego pomyśle. Przytoczę znaną propozycję amerykańskiego fizyka Freemana Dysona: rozdrobnić Jowisza (318 mas ziemskich) i z tego budulca sporządzić wydrążoną kulę okrążającą Słońce w tej odległości, w jakiej okrąża je Ziemia. Wklęsła ścianka tej kuli, grubości pół metra, zajęłaby powierzchnię miliard razy większą od powierzchni Ziemi. Pozwoliłoby to rozlokować tam tyleż razy liczniejszą ludzkość, która mogłaby wykorzystać całą energię promienistą Słońca.

Zastanówmy się, jak może wyglądać taka konstrukcja z astronomicznych odległości. Słońce nie świeci na zewnątrz jako normalna gwiazda (dostrzegalna optycznie), a tylko jest źródłem

nadzwyczaj intensywnego promieniowania podczerwonego (cieplnego) o długości fali rzędu 10 mikronów. Chcąc uniknąć zabójczego przegrzania mieszkalnej strefy ludzkości, trzeba by na bieżąco odprowadzać w przestrzeń kosmiczną całą energię słoneczną, wyzyskiwaną dla potrzeb przemysłowych przez miliardy przetwórni — z których każda miałaby moc większą od wszystkich współczesnych urządzeń energetycznych razem wziętych. Stąd wniosek, że całkowita moc promieniowania kuli w podczerwieni równałaby się dzisiejszej mocy promieniowania Słońca w świetle widzialnym.

Czułość przyrządów astrofizycznych pozwoliłaby zarejestrować to zjawisko z odległości dziesięciu lat świetlnych. Niebawem ten zasięg zwiększy się znacznie w związku z instalowaniem dużych satelitów astronomicznych.

Wyobraźmy sobie, że odkrywamy takie intrygujące zjawisko. Na pierwszy rzut oka ktoś mógłby podejrzewać, że to czarny karzeł — gwiazda wystygła na powierzchni do 20 °C (jej temperaturę mierzymy na podstawie długości fali dobiegającego stamtąd promieniowania podczerwonego). Astronom wszakże wyjaśni bez namysłu błędność takiej interpretacji, byle tylko udało się określić — nawet z małą dokładnością — oddalenie tego obiektu. Wtedy otrzymamy średnicę obserwowanego ciała, a w przybliżeniu także jego masę: co najmniej setki tysięcy razy większą niż w wypadku Słońca! Tymczasem dowiedziono, że około stu mas słonecznych jest wartością krytyczną dla jakiejkolwiek gwiazdy: inaczej eksplodowałaby.natychmiast wskutek przewagi ciśnienia promieniowania nad siłą własnej grawitacji — tym samym nie mogłaby „przeżyć" jako ciało samoświecące i ostygnąć do chłodnej bryły czarnego karła. A więc mamy przed sobą owoc astroinżynieryjnych działań istot rozumnych!

Muszę wyjaśnić, że sama koncepcja „kuli Dysona" nie jest warta głębszych rozważań poza sferą fantazji. Wiele prostych argumentów zaprzecza sensowności projektu, a dyskwalifikuje go najistotniejszy, który wytoczył radziecki astronom W. D. Dawydow. Otóż wykazał on, że taka cienkościenna powłoka uległaby natychmiastowemu pogruchotaniu nawet przez drobne zakłócające oddziaływania grawitacyjne ciał kosmicznych. Omówiłem pomysł dlatego, że ukazanie dróg odkrywania podobnej konstrukcji (gdyby mogła istnieć) dobrze ilustruje, czym są usilnie poszukiwane przez astronomów tzw. „cuda". Dobitniej: cuda gwiezdnej inżynierii. Otóż wspomniany radziecki astrofizyk Szkłowski, a za nim inni autorzy (z polskich — Stanisław Lem) postanowili nazywać „cudami" takie — dotąd nie odkryte — szokujące zjawiska na niebie, których nie sposób wytłumaczyć jako naturalne.

Nie chodzi tu o sygnalizację rozmyślną, tylko dostrzegalny z olbrzymich odległości efekt procesów przemysłowych, który informuje

o działalności psychozoów tak, jak łuna nad widnokręgiem zdradza istnienie huty. Trzeba jednak zwrócić uwagę, że to się zazębia z problemem celowej sygnalizacji — wywoławczej bądź niosącej konkretne treści informacyjne. Do tego można używać potężnych agregatów służących najpierw wyłącznie własnym potrzebom energetycznym.

Pewne już zaobserwowane zjawiska (pulsacje gwiazd, wybuchy Supernowych, zagadkowa obecność technetu w nielicznych gwiazdach o typie widmowym S) mogą mieć takie właśnie pochodzenie. Niektórzy podejrzewają uprawianie gwiezdnej inżynierii w skali zawrotnej — aż całych galaktyk. Na takich przesłankach oparł się radziecki astrofizyk N. S. Kardaszew próbując interpretować widma szczególnych, bardzo odległych obiektów, jako nadające supercywilizacje.

Warto wtrącić, że intensywne promieniowanie Ziemi w paśmie metrowych fal radiowych (telewizja) odczytano by z Kosmosu jako skromne, ale jednoznaczne działanie w klasie wspomnianych cudów: dorównuje ono promieniowaniu Słońca w tym zakresie podczas minimum plam słonecznych, a w żadnym razie nie może być wysyłane przez ostygłą planetę. Niestety, nasi obserwatorzy zidentyfikowaliby taki fenomen tylko w obrębie Układu Słonecznego. W wypadku obcych systemów planetarnych — wskutek zbyt słabej rozdzielczości radioteleskopów — zarejestrowalibyśmy tę emisję łącznie z promieniowaniem radiowym gwiazdy (słońca danego układu), traktując ją jako manifestowanie się znanych nam ślepych sił przyrody.

„Spór o psychozoa" nabiera znaczenia z każdym rokiem. Nic w tym dziwnego. Rozwój nauk przyrodniczych i technik obserwacyjnych, praktyczne sukcesy oraz obiecujące perspektywy astronautyki stwarzają zarówno realne podstawy jak też korzystny klimat dla ściślejszych rozważań nad miejscem człowieka w Galaktyce i w całym Kosmosie. Chcemy wreszcie móc określić pozycję nas samych w zestawieniu z innymi formami czującej i myślącej materii.

Mamy pełne prawo przypuszczać, że należymy do wszechświatowej wspólnoty Rozumnych — obojętne, jak wielkie przestrzenie nas dzielą od sąsiednich oaz cywilizacyjnych, obojętne, które z naszych cech (psychicznych i fizycznych) są rzadsze, a które pospolitsze, obojętne, czy i jakie dobra mają charakter bardziej (lub mniej) powszechnie uznawanych mierników wartości, wreszcie obojętne, jak często powtarzają się pewne tendencje w dziedzinie kultury, nauki, techniki, w kształtach oczywiście nie identycznych, ale na tyle podobnych, aby przy maksymalnym skupieniu uwagi były dla partnerów, wymieniających informacje, nie tylko zrozumiałe co do obiektywnych treści, ale uznawane przez nich za sensowne dla

rozwoju innych cywilizacji.

Przy rozważaniu problemu istnienia naszych kosmicznych braci (częstotliwości ich występowania, charakteru tworzonej kultury, kierunkowości nauk i technik) oraz szukaniu metod wykrywania ich siedlisk — winniśmy unikać pułapek, które czyhają np. na obcego egzobiologa, kiedy poznawszy jedno jedyne ziemskie zwierzę, np. królika, na tej podstawie usiłuje sobie stworzyć naukowo uzasadniony obraz fauny Ziemi (od pierwotniaka do człowieka) — o czym oczywiście nie ma pojęcia. A więc będzie wnioskował występowanie gatunków blisko spokrewnionych z królikiem — tzn. ssaków. Łatwo wydedukuje, że planetę królików muszą zamieszkiwać także inne gromady zwierząt, zwłaszcza o niższej organizacji. Gdyby mu jednak pokazano motyla i ośmiornicę — bez wnikliwych badań zgoła by nie podejrzewał, iż pochodzą z tej samej wylęgarni życia co królik.

Obierając za przedmiot dociekań psychozoa, obarczamy się zadaniem jeszcze trudniejszym. Wygląd zewnętrzny tych istot, który zaszokuje ludzi, jest najmniej ważny. Gdybyśmy tak uważali, upodobnilibyśmy się do kogoś, kto chcąc poznać „Iliadę" przywiązuje główną wagę do szaty graficznej eposu.

Oczywiście budowa organizmu, jego funkcjonalność, rzutują i na kulturę i na technikę tworzoną przez dany gatunek. Gdyby człowiek był stworem skrzydlatym, mógłby mieszkać w domach bez wind i klatek schodowych, z otworami w ścianie służącymi za drzwi i ‘okna. Społeczność podwodna musi inaczej niż my uporać się z wieloma technologiami (np. sprawa ognia).

Nas wszakże najbardziej obchodzą skutki — jaki rodzaj cywilizacji wytworzył dany gatunek. Już na samym wstępie ma to pierwszorzędne znaczenie: jakie widome rezultaty zastosowanych technik spodziewamy się tam znaleźć i w związku z tym, jakie obierzemy metody obserwacyjne?

Znów powracamy do cudów gwiezdnej inżynierii. Zastanówmy się, dlaczego właśnie ich poszukujemy na niebie? Bo to jest wizja naszej własnej przyszłości. Wizja dziś modna, którą może za lat kilkadziesiąt odrzucimy i ośmieszymy… Wolno sądzić (to jedna z alternatyw postępu ziemskiej cywilizacji), że skoro nie urzeczywistnimy „kuli Dysona" i jeszcze paru projektów bądź niecelowych, bądź niewykonalnych — to pociągnie nas realizacja innych koncepcji, Spośród tych bardziej znanych można dla przykładu wymienić wielopoziomowe konstrukcje krążące po Układzie Słonecznym, w których zdaniem J. Bernala zamieszka kiedyś większa część ludzkości (wyraźna kontynuacja „eterycznych miast" Ciołkowskiego), albo milionowe osiedla pod kloszami wzniesione na Srebrnym Globie, które według A. Clarke'a nie będą tworami bardziej sztucznymi niż ziemskie metropolie.

Wszystkie te przedsięwzięcia wymagają kolosalnych ilości energii. Zapotrzebowanie na nią wzrośnie jeszcze przy realizowaniu statków fotonowych do wypraw międzygwiezdnych. Obranie tak energetycznie chłonnych dróg rozwoju cywilizacji zmusza do korzystania z zasobów spoza planety.

Trudno przewidzieć, w jakim stopniu będziemy wykorzystywali kopaliny Księżyca oraz innych ciał kosmicznych (m. in. komet) w miarę wyczerpywania się ziemskich złóż. Na razie mało wiemy o rozmieszczeniu bogactw mineralnych w Układzie Słonecznym. Już zarysowują się wszakże pewne perspektywy. Rozpatrzmy przykładowo sprawę helu.

Ten gaz szlachetny, tak rzadki w przyrodzie Ziemi, że wyodrębniono go dopiero u progu stulecia (a 27 lat wcześniej odkryto w widmie Słońca) — niebawem może stać się pierwiastkiem nie tylko potrzebnym w wielkich ilościach, ale też warunkującym dynamiczny rozwój cywilizacji. Dzięki niemu np. można wykorzystać nadprzewodnictwo niektórych metali (chodzi o całkowite zanikanie w nich oporu elektrycznego) w bardzo niskich temperaturach — zaledwie paru stopni powyżej zera absolutnego. To osobliwe zjawisko wykorzystano do budowy kriotronów — maleńkich urządzeń zastępujących tranzystory. Te ostatnie — choć znacznie mniejsze od lamp elektronowych — zajmują jeszcze o wiele za dużo miejsca i dlatego potężne elektroniczne maszyny cyfrowe oparte na tranzystorach mają objętość wieżowców. Zwiększenie rozmachu w tej dziedzinie, w związku z rosnącymi potrzebami, doprowadziłoby do budowy ośrodków obliczeniowych o powierzchni całych krajów. Kriotronowe urządzenia z niobu i tantalu pozwalają zminiaturyzować je o tysiące, a w przyszłości nawet o miliony razy. To rozwiązanie uzależnione jest od kłopotliwego warunku: kriotrony muszą być stale zanurzone w ciekłym helu (temperatura nie przekraczająca 4,2°K), który nieustannie paruje, a jego straty trzeba kompensować nowymi partiami tego kosztownego i rzadkiego pierwiastka.

Hel, który stanowi milionową część naszego powietrza, a skorupa ziemska zawiera go jeszcze mniej — jest jednym z głównych składników atmosfer czterech planet olbrzymów. Bardzo prawdopodobne, że przyjdzie sięgnąć do tych praktycznie niewyczerpalnych zasobów. Łatwo sobie wyobrazić przekształcenie najbliższego księżyca Jowisza w komputer gigant i zbiornik pamięci gromadzący plon wszystkich osiągnięć myśli ludzkiej — tak uporządkowanych, abyśmy mogli korzystać z tego skarbca na każde doraźne życzenie. Sprawa to wyjątkowo istotna: już dziś np. w Stanach Zjednoczonych przyjmuje się, iż nie warto poszukiwać dokumentacji wynalazku, jeśli powtórne dokonanie tego wynalazku kosztuje mniej niż ćwierć miliona dolarów.

Najbliższy księżyc Jowisza odgrywałby rolę superbiblioteki, superarchiwum i centralnego mózgu ludzkiej cywilizacji w zagospodarowanym Układzie Słonecznym. Powierzchnię tego satelity, nieco większą od Danii, pokryłyby kriotronowe maszyny cyfrowe zanurzone w ciekłym helu czerpanym w dowolnych ilościach z atmosfery Jowisza odległego tylko o 120 tysięcy km. Gdyby w dalekiej przyszłości ta przestrzeń okazała się zbyt ciasna dla komputerowych urządzeń — cóż prostszego, jak sięgnąć po następny księżyc Jowisza (Io), tylko trzykrotnie dalszy, a tak duży jak Srebrny Glob?

To przedsięwzięcie nie byłoby dostrzegalne spoza Układu Słonecznego. Niemniej cywilizacja idąca po linii wykorzystywania wciąż większych mocy, powinna z czasem osiągnąć taki poziom działań, który pozwoliłby jej ujawnić innym systemom planetarnym owoce swoich prac astroinżynieryjnych.

Wśród przyszłych ewentualnych programów tego typu wymienia się spożytkowanie materii wielkich planet (np. Saturna) za pomocą kontrolowanych reakcji termojądrowych przerabiających wodór, który stanowi jeden z głównych składników tych globów. Jest to tworzenie „sztucznych słońc" z zapewnieniem sobie łatwego dostępu do produkowanej energii i bezprzewodowego przesyłania jej według potrzeb.

Analogiczne doświadczenia możemy również zapoczątkować nie na własnym podwórku, ale w obcych systemach planetarnych. W tych, gdzie nie spotkamy rozumnych gospodarzy — będziemy sami decydowali co ochraniać, co zmieniać, co eksploatować. Z czasem będzie trzeba stworzyć konwencję określającą, jakie eksperymenty wolno dokonywać na Ziemi, jakie na określonych planetach rodziny Słońca, wreszcie, jakie poza naszym układem. Np. projektanci kosmicznych siłowni zapragną oderwać od Słońca część jego masy (powiedzmy, wielkości Ziemi), by wykorzystać ten surowiec zgodnie z ustalonym programem. Wielu zaprotestuje: a nuż taka operacja zachwieje wewnętrzną równowagę naszej dziennej gwiazdy i spowoduje wybuch zamieniający Ziemię w obłok gazowy? Bezpieczniej wypróbować metodę na innej gwieździe tego typu, nie przedstawiającej dla ludzi istotnej wartości.

Te same zastrzeżenia powinny dotyczyć ryzykownych doświadczeń fizyki nuklearnej. Któż zaręczy, że w toku zaawansowanych doświadczeń wyzwalania energii jądrowej z coraz to nowych pierwiastków i za pomocą wciąż ulepszanych technik (np. w temperaturze miliardów stopni) nie nastąpi jakaś złowroga reakcja łańcuchowa, która zniszczy kontynent albo całą planetę? Niektórzy astronomowie podejrzewają, że eksplozje Supernowych (w układzie Drogi Mlecznej przeciętnie raz na 400 lat, podobnie w innych galaktykach) są zamierzonym lub niezamierzonym skutkiem

eksperymentowań nieznanych fizyków.

Niezależnie od tego, czy w nadchodzących stuleciach ludzkość będzie eksploatowała coraz potężniejsze źródła energii, czy też wspomniane projekty wzbudzą pobłażliwy uśmiech naszych praprawnuków — zdajmy sobie jasno sprawę z jednego: mówiąc o cudach gwiezdnej inżynierii, i w ogóle poszukując kosmicznych pobratymców — szukamy nie wszelkich, jakichkolwiek cywilizacji, jeno podobnych do ziemskiej. Ten antropomorfizm wynika nie z pychy gatunku i nie ze złej woli: po prostu wysoko rozwinięte społeczeństwo psychozoów przedstawiamy sobie jako spełnienie własnych wyobrażeń o przyszłości naszej cywilizacji naukowo — technicznej.

Jak rysować uzasadnioną panoramę Jutra inaczej, niż podnosząc do potęgi rangę osiągnięć, które już znamy? W najprostszych wypadkach stosujemy zwiększenie lub zmniejszenie przedmiotów, np. pojazd kosmiczny przyjmuje objętość stupiętrowego wieżowca, zaś radio drobniejsze jest od ziarnka maku. Gdyby Magellan zabawił się w futurologa, nie mógłby przewidzieć ani parowców, ani okrętów o napędzie nuklearnym, ani nawet łódeczki z laminatu. Floty ziemskiej przyszłości (bądź pozaziemskiej cywilizacji) jawiłyby mu się jako wspaniałe gigantyczne karawele, o żaglach szorujących wyniosłe chmury. Przerzuciwszy swą wizję na ląd, śniłby pałace ze szczerego złota wysadzane brylantami — lecz oświetlone łuczywem. Przy bujniejszej fantazji może snułby marzenia o rydwanach zaprzężonych w oswojone lwy — ale nie o najprostszym motocyklu. Nawet genialny Leonardo twierdząc uparcie, że ludzie będą latać, nie wyobraził sobie samolotu.

Prognozowanie oblicza naszej cywilizacji za sto lub tysiąc lat jest zadaniem niewykonalnym dlatego, że musielibyśmy sami dokonać podstawowych odkryć i wynalazków, które za tysiąc lat będą urzeczywistnione. Dlatego fantastyka nie jest — wbrew częstym fałszywym opiniom o niej — nowoczesną formą wróżbiarstwa, a do oceny wartości utworów Science Fiction nie wolno przykładać miary „sprawdzania się ich realności" z upływem czasu (przykład: znakomita trylogia Jerzego Żuławskiego „Na Srebrnym Globie"). Także futurologia nie stawia sobie za cel ścisłego przewidywania przyszłości. Z jednej strony, na krótkie okresy, jest formą planowania z uwzględnieniem narastających potrzeb (np. rozbudowy sieci komunikacyjnej w warunkach rozwoju przemysłu, urbanizacji, przyrostu naturalnego); z drugiej zaś, na dłuższe okresy czasu, futurolodzy opracowują pewne modele na zasadzie „co by było gdyby" — np. za ile lat Bałtyk stałby się morzem bezrybnym, gdyby progresywny wzrost zanieczyszczania utrzymywał się na obecnym poziomie.

Przed stu laty nikt nie mógł prorokować stosu atomowego, bo nie wiedziano nie tylko, czym jest atom, ale nawet czy materia ma budowę nieciągłą, tj. składa się z elementarnych cząstek, jak to dziś określamy. Tym samym nie wiedziano o przemianach termojądrowych we wnętrzu gwiazd. W sytuacji, kiedy znane były tylko procesy chemicznego spalania, można było snuć wizje przepotężnych hut żelaza — ale nie rozjarzania sztucznych słońc i innych poczynań astroinżynieryjnych.

Zdając sobie sprawę, że nie potrafimy i nie będziemy potrafili sensownie przewidywać nawet technicznego rozwoju ludzkiej społeczności w czasach niezbyt odległych — byłoby szaleństwem sądzić, że jesteśmy w stanie zrozumieć obcą cywilizację, której w ogóle nie znamy. Aby nie rozpraszać się w tym temacie — nie mniej szerokim jak prowokującym do niezliczonych refleksji — chcę tylko stwierdzić, że różnorodność gatunków psychozoów i odmienność rezultatów ich rozumnej działalności jest zapewne tak wielka, iż niekiedy może nam sprawić istotną trudność samo stwierdzenie, że to jest cywilizacja; albo nawet — że mamy przed sobą jakąś formę życia. Czasami zrodzą się wątpliwości: czy konstruktorem tej wysokiej samoregulacji organizmów jest Natura czy też komputerowa technika istot myślących?

Jeśli astroinżynieria stanowi nawet swoisty etap w rozwoju pewnej liczby kosmicznych cywilizacji, nie wydaje się jednak ogniwem koniecznym, a już w żadnym wypadku najwyższym i ostatnim. Jest ona bowiem ścisłą konsekwencją wzrostu „fizycznych apetytów" danej społeczności. A z prostego rachunku wynika, że wykładniczy wzrost czegokolwiek nie może trwać długo. Np. utrzymanie na dzisiejszym poziomie przyrostu populacji doprowadziłoby za kilkaset tysięcy lat do tego, że ludzie (tylko jedna cywilizacja!) zasiedliliby i Galaktykę, i miliardy innych galaktyk: cały obserwowalny Wszechświat. To samo dotyczy wykładniczego wzrostu zapotrzebowania energii. Dlatego wydaje się, że stadium gwiezdnej inżynierii może być wyłącznie krótkim etapem przejściowym. Po nim powinien przyjść spokojny, doskonale wyważony okres charakteryzujący się nie — najwyższą energią, ale — najdoskonalszą regulacją. Takie społeczeństwo może nie podejmować żadnych prac, które byłyby wykrywalne z astronomicznych odległości. Może ono zwrócić się głównie ku wartościom humanistycznym, z maksymalnym ograniczeniem tych rodzajów produkcji, które wymagają zużycia wielkich mocy. To społeczeństwo nie powinno jednak zaniedbywać wypraw międzygwiezdnych, aby zawczasu upatrzyć sobie planety przyszłego zasiedlenia na okres, gdy ich słońce zacznie się katastrofalnie rozgrzewać przed końcową fazą wystygania. Dla tej totalnej emigracji, mającej uratować istnienia społeczności na dalsze

miliardy lat (jeśli ewolucja biologiczna w ogóle dopuszcza taką długowieczność wysoko rozwiniętego gatunku) trzeba by zabezpieczyć rezerwę gigantycznych zapasów energii.

Skoro poznamy cywilizację na tyle „podobną" do naszej, że da się je obie przyrównywać — nie wkraczając w sferę nonsensu — przy jakichkolwiek konfrontacjach nie wolno zapominać, że mamy przed sobą w gruncie rzeczy dwie różne jakości, w kluczowych sprawach na tyle nieporównywalne, iż sprowadzenie ich do wspólnego mianownika jest pozbawione racjonalnych podstaw.

Nie umiemy przewidzieć, w jakim stopniu wymiana wiedzy i doświadczeń przyda się obu stronom. Kolosalny zysk w postaci nowych pól badań niekoniecznie musi zrewolucjonizować dalszy rozwój partnerów — to znaczy mogą te badania nie być przydatne do rozwoju innych cywilizacji. Gdybyśmy np. poznali „od wewnątrz" życie psychiczne jakiegoś zwierzęcia, przypuśćmy słonia (czyli zdołali podłączyć się do wszystkich receptorów wrażeń odbieranych przez jego mózg) — nie wiadomo, czy pewne wnioski wypływające z tego osiągnięcia powodowałyby rewizję jakichś naszych pojęć albo poczynań.

Jedno wydaje się pewne: skoro tylko poznamy inną cywilizacje — w mnóstwie dziedzin, rozważań, dowodzeń zaczniemy dodawać zastrzeżenia w rodzaju: „z punktu widzenia ludzi", „w rozumieniu ludzi" itp. Najbardziej konieczne okaże się to w kwestii pojęć etycznych. Np. w sporze na temat, czy dobro ma charakter bezwzględny — zwolennicy afirmacji tej tezy wprawdzie utrzymają ją w mocy, ale nie mogą jej ekstrapolować na odrębny, pozaludzki krąg kulturowy, a tym bardziej muszą przyznać, iż sąd o wartości i sąd o słuszności wypada z naszej kompetencji, skoro tylko dotyczy rozumnych podmiotów innych niż ludzie. Ferowanie moralnych ocen dla gatunku zrodzonego przez biosferę obcej planety byłoby takim samym nieporozumieniem, jak próba pomawiania pszczół o okrucieństwo dlatego, że zabijają swoją królową.

Kontakty kosmiczne wymagają tolerancji dla cudzych przekonań, nie ograniczonej żadnymi barierami — choćbyśmy takie bariery uznawali i stosowali wobec siebie. Jedyną granicą naszej tolerancji będzie fizyczne zagrożenie nas samych ze strony pozaziemskiej społeczności.

Krzysztof W. Malinowski
CZEKAJĄC NA KOSMITÓW

Kontrowersyjna książka Ericha von Dänikena „Wspomnienia z przyszłości", a następnie i film pod tym samym tytułem, zrealizowany przez dr. Haralda Reinla, wywołały nadspodziewanie wielkie zainteresowanie — i to nawet ludzi na co dzień dość obojętnie odnoszących się do ziemskich przedsięwzięć kosmicznych w ogóle, a do przesławnego problemu „kontaktu" z cywilizacjami kosmicznymi w szczególności. A przecież nawiązywanie łączności z reprezentantami, obcych, pozaziemskich (a najprawdopodobniej i spoza Układu Słonecznego) cywilizacji kosmicznych już od stu lat prawie zapładnia wyobraźnię pisarzy fantastów, stanowiąc zarazem jeden z najbardziej wyeksploatowanych tematów fantastyki naukowej.

Nie czas jeszcze zapewne na poważne dyskusje nad poglądami von Dänikena — w każdym zaś razie na dyskusje naukowe. Zbyt wiele bowiem w jego poglądach pozostaje jeszcze w sferze czystej presumpcji. Z drugiej strony zaś zbyt mało jeszcze argumentów może współczesna archeologia i historia sztuki przytoczyć na korzyść starożytnych budowniczych i wynalazców. Tak więc wszelkie polemiki, dotyczące koncepcji von Dänikena, noszą w najlepszym wypadku znamię dyskusji czysto akademickich, a jedynym konkretnym argumentem, jaki można by wysunąć przeciwko Dänikenowi, może być tylko stara naukowa zasada Williama Ockhama: nie mnóżmy bytów ponad potrzebę…

Jednakże wraz z hipoteza o wizycie kosmitów na Ziemi odżył i inny problem — właśnie sprawa nawiązania łączności z wysoko zorganizowanymi cywilizacjami kosmicznymi. Problem ten, jak się wydaje, stanowi wdzięczniejszy, niż Dänikenowskie hipotezy, obiekt do przeprowadzania naukowej analizy. Tym samym więc staje się on również trudniejszy do zbycia kilkoma słowami krytyki.

Nie ulega wątpliwości, iż w ostatnich latach oblicze zagadnienia „kontaktu" istotnie się zmieniło. Z przedmiotu fantastycznych popisów literackich i nieprawdopodobnych hipotez stał się on jednym z obiektów intensywnych badań naukowych, zmierzających do znalezienia optymalnego sposobu nawiązania łączności z braćmi po rozumie. A przecież próby nawiązania takiej łączności czyni się od dawna — już bowiem dwanaście lat temu amerykański astronom i astrofizyk F. Drake rozpoczął emisję w Kosmos specjalnie kodowanych sygnałów elektromagnetycznych. Sygnały te przeznaczone są dla inteligentnych istot, zamieszkujących (być może) najbliższe okolice Układu Słonecznego.

Od tego czasu program takiej łączności jest konsekwentnie realizowany w ZSRR i w Stanach Zjednoczonych. Główny udział ma tu oczywiście nasłuch radioastronomiczny — dziesiątki obserwatoriów na całym świecie „wsłuchują się" w pomrukiwanie Wszechświata w nadziei zidentyfikowania jakichś nienormalnych, sztucznie wytworzonych sygnałów, przeznaczonych dla Ziemian lub przedstawicieli innej, wysoko rozwiniętej cywilizacji kosmicznej.

Ale Kosmos, jak dotąd, milczy.

I to właśnie uporczywe „silentium universi" zmusza nas do nieustannego rewidowania naszych poglądów na sprawę „kontaktu". Jedno jest już pewne — optymizm wielkich fantastów sprzed pół wieku był mocno przesadzony; milczenie nieba skłania do refleksji, których rezultaty nie są — w każdym razie na pierwszy rzut oka — najweselsze. Rodzą się coraz nowe pytania i wątpliwości, na które nie jesteśmy Jeszcze dziś w stanie odpowiedzieć. Ale już sam fakt, że takie pytania powstają i że rodzą się wątpliwości, z których jeszcze dziesięć czy dwadzieścia lat temu nie zdawaliśmy sobie sprawy, zdaje się świadczyć o tym, że — tak czy inaczej — znajdujemy się na razie na etapie dojrzewania do „kontaktu"; że Ziemianie przeżywają obecnie dopiero stadium kreacji na cywilizację kosmiczną i nie pozostają w tyle, lecz wręcz przeciwnie — raczej przedwcześnie usiłują rozbić skorupkę…

Czy więc dorośliśmy już do nawiązania takiej łączności? Czy aby wiemy na pewno, jak się do tego w ogóle zabrać? A może Kosmos wcale nie milczy, a tylko my — ludzie — nie potrafimy się z jego sygnałami uporać? Może wysoko zorganizowane cywilizacje kosmiczne przekazują nam swoje komunikaty metodami, które są nam jeszcze zupełnie nie znane?

To mniemanie zyskuje sobie ostatnimi czasy coraz więcej zwolenników. Amerykański astronom Carl Sagan podał tu znamienny przykład: przecież i dziś, na Ziemi, fale elektromagnetyczne emitowane przez stacje radiowe i telewizyjne, niosąc nieprzebrane bogactwo informacji, przenikają poprzez ciała niczego nieświadomych australijskich Papuasów… Czyż oznacza to, że oni tych wiadomości nie pragną? Oni po prostu nie znają takiego sposobu przekazywania informacji. Faktem jest także, że utyskiwania radioastronomów na wysoki poziom kosmicznych szumów (naturalnych zakłóceń) skłania do przypuszczeń, iż każda rozumna cywilizacja kosmiczna, świadoma istnienia takiego właśnie kłopotu, winna dążyć do przekazywania swoich kosmicznych komunikatów przy pomocy metod, zapewniających wysoką jakość i niezawodność przesłania informacji. Troska o maksymalną „odróżnialność" nadawanych sygnałów od innych składników kosmicznego pomruku, winna więc zaważyć na wyborze jakiegoś niekonwencjonalnego nośnika informacji (np. fal

grawitacyjnych, których my, Ziemianie, nie wykryliśmy jeszcze ostatecznie).

Istnieją oczywiście i inne — jeszcze radykalniejsze — poglądy w tym względzie. Uważa się na przykład, że większość zaawansowanych w rozwoju cywilizacji kosmicznych może po prostu… milczeć i co najwyżej przysłuchiwać się — podobnie jak my — odgłosom Kosmosu.

Dlaczego?

Powodów po temu mogłoby być wiele: fatalne doświadczenia przeszłości, nieudany, czy też katastrofalny w skutkach poprzedni kontakt (mit o tym, jakoby wysoko rozwinięta, superinteligentna cywilizacja musiała się cechować tym, co my zwykliśmy nazywać humanitaryzmem, należy odłożyć do lamusa), czy też wreszcie niechęć do nawiązywania łączności z innymi rozumnymi istotami z powodów, których my, ludzie, jako cywilizacja młoda jeszcze i zapewne niezupełnie dojrzała, po prostu nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Być może w oczach dojrzalszych kosmitów jesteśmy jeszcze kosmicznymi oseskami, niezdolnymi do odgrywania we Wszechświecie roli świadomej swych obowiązków cywilizacji galaktycznej. Świetny obraz takiej właśnie sytuacji — „zmowy milczenia", jaka mogłaby nas otaczać — dał Stanisław Lem w swojej „Nowej kosmogonii".

Oczywiście wszystkie wymienione przeze mnie racje pozostają na razie tylko w sferze hipotez; i jedynym na to lekarstwem jest czas. Ale czy i dziś, na poziomie współczesnej ziemskiej wiedzy, nie jesteśmy w stanie niczego wywnioskować? Czy w trakcie naszych dywagacji, prób „rozbicia skorupki", nie popełniamy jakichś omyłek?

Ostatnio jednym z najbardziej krytykowanych stanowisk wobec sprawy „kontaktu" stał się niczym nie uzasadniony — a najczęściej wręcz nieświadomy — antropomorfizm. Faktem jest niestety, że wiele propozycji nawiązania łączności, oraz sposobów przekazywania kosmitom naszych informacji, grzeszy takim właśnie, antropomorficznym podejściem.

Czymże bowiem jest ROZUM, którego tak uporczywie we Wszechświecie szukamy? Dlaczego zwykliśmy tak często zakładać, iż legendarny „kontakt" dotyczy jakichś — innych wprawdzie i bardziej lub mniej udziwnionych — ale zawsze białkowych, organicznych istot innoplanetarnych? Musimy się przecież liczyć przede wszystkim z jakimiś —diametralnie różnymi od naszego — centrami inteligencji, czymś w rodzaju galaretowatego oceanu Solaris Lema, krystalicznego rozumu z opowiadania bułgarskiego pisarza Sławczewa czy też „czarnego obłoku" plazmatycznej materii, zrodzonego w wyobraźni amerykańskiego astrofizyka i pisarza s — f Freda Hoyle'a. Trzeba sobie uświadomić, że nasza „inność" jako cywilizacji kosmicznej nie sprowadza się tylko do specyfiki kształtów. Wielki zbieg okoliczności,

jakim było powstanie życia na Ziemi, tysiącletnie procesy ewolucyjne — wszystko to czyni nas obiektami pod każdym względem ewenementalnymi we Wszechświecie. W takim samym — co kształty — stopniu specyficzna jest nasza budowa chemiczna, mentalność i zrodzona przez nią nauka; logika rozumowania i wyobraźnia kształtowały się w oparciu o specyfikę ziemskich warunków, a co za tym idzie, dopasowywały się do nich również nasze kategorie myślenia i sposób pojmowania zjawisk…

Pogląd ten świetnie ilustruje wypowiedź jednego ze znawców tematu, prof. E. Kolmana:

„Naiwne byłoby przypuszczenie, jakoby u wszystkich wysoko zorganizowanych istot zasady ich funkcjonowania i percepcji były na tyle podobne do naszych, że moglibyśmy je modelować za pomocą konstrukcji cybernetycznych… Przypisywanie hipotetycznym, z pewnością do nas niepodobnym istotom jakiegoś podobieństwa do naszej psychiki (myślenie, emocje, doznania estetyczne) jest równie bezpodstawne jak przekonanie, że dwa różnoimienne ładunki elektryczne przyciągając się przeżywają miłość…”

Musimy jednak — właśnie dlatego, iż rościmy sobie prawa do miana cywilizacji kosmicznej — dopuszczać możliwości istnienia również innych, zupełnie różnych realizacji ROZUMU. Być może za wcześnie jeszcze, aby nasza ziemska wyobraźnia mogła nam wszystkie takie możliwości uświadomić. Ale z tego właśnie powinniśmy sobie zdawać sprawę i tym ostrzej kontrolować nasze wyobrażenia o adresatach emitowanych przez Ziemię sygnałów. Musimy się również pogodzić z faktem, iż na każdym etapie ewolucji — bez względu na to, jak wysoki poziom rozwoju by oznaczał — istnieć muszą takie kanony logiki i zasady rozumnego działania, które niemożliwe będą do zrozumienia przez inne, słabiej rozwinięte czy młodsze cywilizacje. I dlatego właśnie sposoby nawiązania kontaktu, jakich poszukujemy, winny być jak najbardziej uniwersalne i zawierać jak największy margines rozumienia przy jak najmniejszym prawdopodobieństwie nieporozumienia.

Cywilizacje, których szukamy, powstały zapewne w sposób równie ewenementalny, jak my — na drodze jakiegoś niepowtarzalnego przypadku, inicjującego proces ewolucji. Mogły ewoluować w temperaturach tak niskich, lub tak wysokich, iż dla nas byłyby one absolutnie zabójcze. Do pomyślenia są przecież istoty plazmowe — żyjące w temperaturach rzędu milionów stopni; tak więc niewykluczone jest, że ich siedliskiem mogłyby być nieco chłodniejsze gwiazdy… Już sam ten fakt dowodzi błędności naszych codziennych przekonań, iż życia należy szukać tylko na planetach. Mogło się ono również narodzić na tzw. zimnych gwiazdach — a co za tym idzie gwiazdach ciemnych. W tych ciałach niebieskich jedynym źródłem

energii jest promieniowanie cieplne ich wnętrza.

Podobnie błędnym przekonaniem jest pogląd, jakoby życia należało — szukać przede wszystkim na planetach, które cechuje jakieś szczególne podobieństwo do naszej Ziemi. Zbieżność taka nie może świadczyć o niczym więcej jak tylko o tym, że natrafiliśmy na obiekt niebieski, zdolny spełnić jeden z tysięcy warunków, jakie złożyły się na narodziny życia w formie podobnej do życia na Ziemi.

Nie są to jednak jedyne trudności w wyszukiwaniu cywilizacji kosmicznych i nawiązywaniu z nimi kontaktu. Warto bowiem przyjrzeć się bliżej środkom, za pomocą których pragnęlibyśmy tego dokonać. I rzecz tu nie tylko w samym nośniku informacji — tu bowiem nasze możliwości i tak są ograniczone do minimum: dysponujemy przecież praktycznie tylko falami elektromagnetycznymi; równie istotne są tu sposoby zakodowania informacji, które pragnęlibyśmy przekazać kosmitom.

Propozycji było tu wiele. Holenderski matematyk H. Freudenthal zbudował specjalny język LINCOS (skr. od łac. lingua cosmica — język kosmiczny), przeznaczony, jak sam uważał, do kodowania informacji przesyłanych innym cywilizacjom. Jak to jednak wykazano, język ten — acz bez wątpienia przydatny w wielu dziedzinach wiedzy ziemskiej — w odniesieniu do emisji kosmicznych komunikatów jest raczej nieprzydatny. LINCOS bowiem — to praktycznie sztuczny, sformalizowany język ziemski, zbliżony w swej strukturze do tzw. metajęzyków, stosowanych w informatyce i lingwistyce matematycznej. Głównym „grzechem" LINCOSu jest dość szeroki margines dowolności interpretacyjnej słów, zapisanych w tym języku; nie jest to wada zasadnicza, kiedy słowa te odczytujemy my — Ziemianie, wyposażeni w ziemską wyobraźnię, aparat kojarzenia i możliwości konsultacji. Ale dla kosmitów zbyt dużo byłoby tu odgadywania i zbyt dużo możliwości błędnej interpretacji…

Tak więc pozostajemy tu nadal przy starych koncepcjach przekazywania sygnałów najprostszych — jak liczba pi, symbole i zasady arytmetyki, informacje o naszym.usytuowaniu w Kosmosie… Wszystko to jednak grzeszy pewną dozą antropomorfizmu — bowiem i te pojęcia stanowią w pewnym sensie jedynie wytwór ziemskich warunków i obarczone są subiektywizmem interpretacyjnym. Nikt bowiem nie powiedział, że nasze (jak nam się wydaje — uniwersalne i słuszne dla całego Wszechświata) informacje, zostaną tak samo odebrane przez adresatów. I tu właśnie docieramy do zasadniczego problemu współczesnych nauk przyrodniczych, a w szczególności dwudziestowiecznej kosmologii: Czy istnieje tylko jedna matematyka, fizyka czy astronomia? Czy też jest ich wiele? Nieskończenie wiele?

Są to zarazem problemy, na które nie widać odpowiedzi. I nic nie

wskazuje na to, że uporamy się z nimi sami — tu, na Ziemi, potęgą naszych umysłów. Wszystkie stałe fizyczne, na jakich bazuje współczesna fizyka i astrofizyka, uważane są przez nas za stałe uniwersalne — prawdziwe dla wszystkich zakątków Kosmosu. Jest to jednak tylko postulat — i nie od dziś odzywają się głosy, żądające rewizji naszych poglądów w tym względzie. Do tego jednak potrzebne są jakieś nowe dane eksperymentalne. A tych, jak dotąd, brak…

Zresztą nie tylko w mnogości fizyk i matematyk tkwi kłopot. Jeden z najwybitniejszych współczesnych fizyków, Rosjanin W. I. Ginzburg, w takich oto słowach odpowiedział na pytanie, czy może istnieć fizyka różna od ziemskiej:

„Fizyka nakłada wiele ograniczeń ale i pozostawia dla życia wiele możliwości. Choćby zjawisko nadprzewodnictwa. Jak wykazują ostatnie badania, zachodzenie tego zjawiska byłoby podobno możliwe i w temperaturach pokojowych, a więc ewolucja mogłaby sobie z nim w zasadzie poradzić. Jednym słowem fizyka to nie kaftan bezpieczeństwa. Fizyk może być wiele, ale i przy jednej fizyce może jeszcze istnieć wiele biologii (podkr. K. M.)”.

Tak czy inaczej wszystko wskazuje na to, że w tym właśnie względzie nawiązanie kontaktu z kosmitami mogłoby przynieść ziemskiej nauce nieocenione korzyści. Gdyby ICH logika, ICH wiedza fizyczna, astronomiczna czy biologiczna bazowała na takich samych jak nasze przesłankach, mielibyśmy wszelkie podstawy do przypuszczeń, że nasza cywilizacja w istocie dysponuje wiedzą w pewnym sensie uniwersalną. Że nasze poglądy na strukturę Kosmosu są właściwe i obiektywne.

W przeciwnym zaś wypadku… No cóż, przyszłoby nam zapewne gruntownie zrewidować ziemską naukę i dostosować ją do wymogów, stawianych przez matkę Naturę. Jedyną satysfakcję mieliby wtedy tylko filozofowie — ich spór o obiektywizm czy subiektywizm ludzkiego poznania doczekałby się zapewne wreszcie rozstrzygnięcia…

Jedno tylko nie ulega chyba wątpliwości: sposób przekazania informacji kosmitom odgrywa w całym problemie „kontaktu” rolę pierwszoplanową i on właśnie, jak się wydaje, zaważy na ewentualnym nawiązaniu lub nienawiązaniu łączności. Musimy pamiętać, że odczytywanie nieznanych informacji zawsze zawiera pewien pierwiastek „czytania z kontekstu” — jest to nieuniknione i należy się jedynie starać, aby czytanie to odbywało się zgodnie z naszymi intencjami. A tych intencji nasi adresaci mogą przecież się w ogóle nie domyślać. Toteż nasz komunikat musi mieć zarówno informację, jak i klucz do jej odczytania. Ten klucz — to przede wszystkim składnia języka, w jakim będzie zapisana informacja. I nie

ma tu znaczenia, co pod pojęciem „język” będziemy tu rozumieć — czy jakiś wysublimowany twór w rodzaju LINCOSu, czy też najprostszy, obrazkowy zapis. Niestety — sama składnia niczego jeszcze adresatom nie da. Trudność tkwi bowiem w drugim, nieodłącznym składniku języka — semantyce. Semantyka — to po prostu treść, znaczenie słów w danym języku, obrazy przypisane symbolom (choćby słowom) każdego języka. Człowiek poznaje semantykę języka na wiele różnych sposobów — dzięki pokazywanym mu obrazom (w encyklopedii: Napoleon — hasło + zdjęcie), opisów (słoń to duże zwierzę z trąbą) itd.

Jak jednak wszystkie te treści przekazać kosmitom? Jest to, jak dotąd, kłopot nie do przezwyciężenia…

A mimo wszystko, by nie tracić czasu, ludzie już zdecydowali się na taki właśnie, najprostszy sposób przekazania swego listu przedstawicielom obcych cywilizacji. 3 marca 1972 roku wystartowała w kierunku Jowisza amerykańska sonda kosmiczna „Pionier 10”. Po dwudziesto jednomiesięcznej podróży „Pionier 10” przeszedł w sąsiedztwie Jowisza, dokonując szeregu pomiarów i zdjęć planety, a następnie opuścił Układ Słoneczny. Być może więc kiedyś trafi on w ręce jakiejś innej cywilizacji kosmicznej? Z myślą o takim właśnie przypadku, konstruktorzy „Pioniera 10” umieścili na jego pokładzie swoisty list do ewentualnych znalazców sondy. Jest to metalowa płytka, przedstawiająca najważniejsze informacje o nadawcach listu (rys. 1). Po prawej stronie płytki umieszczone są wizerunki kobiety i mężczyzny na tle zarysów „Pioniera 10”. Ten sam statek pokazano poniżej na tle schematu Układu Słonecznego. Na schemacie tym zaznaczono Ziemię jako miejsce startu „Pioniera” w Układzie Naszkicowana trajektoria lotu statku pozwoli więc nieznanym adresatom listu wydedukować cel naszego przedsięwzięcia, jak również stopień naszej znajomości astronomii, mechaniki nieba i matematyki. Po lewej stronie rysunku przedstawione zostały współrzędne Układu Słonecznego względem czternastu znanych nam dotąd pulsarów — specyficznych obiektów niebieskich, emitujących silne, periodyczne sygnały elektromagnetyczne. Na każdym „promieniu” tego szkicu zaznaczona została, w kodzie dwójkowym, częstotliwość pulsacji pulsara. Wszystkie odległości zaznaczone zostały w latach świetlnych, przy czym za jednostkę długości na rysunku przyjęto odcinek długości 21 cm, równy długości fali promieniowania molekuły wodoru — bowiem właśnie z cząsteczką wodoru (najbardziej w przestrzeni kosmicznej rozpowszechnionego pierwiastka) wiąże się ostatni z symboli, przedstawionych na płytce (z lewej u góry). Rysunek ten przedstawia dwa atomy wodoru związane w cząsteczkę.

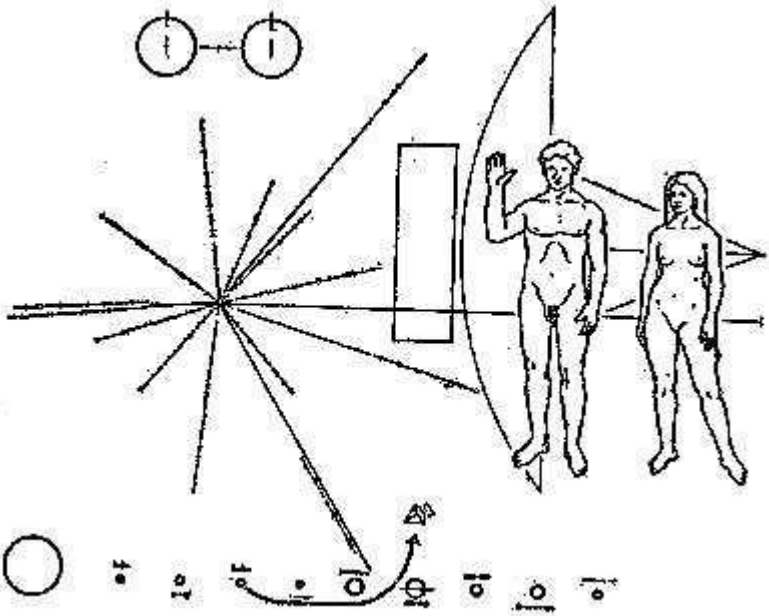

Warto zwrócić uwagę, jak wiele informacji o ziemskiej nauce zawiera ten — bardzo prosty właściwie — rysunek. Tylko czy kosmici będą chcieli i mogli posługiwać się ziemskimi metodami dedukcji?…

Oczywiście płytka „Pioniera 10” to raczej okazjonalny środek przekazywania informacji. A nam potrzebne są stałe — zdolne do nieprzerwanej pracy — środki techniczne; toteż w dalszym ciągu trwają poszukiwania nowych nadajników informacji.

Było już wiele propozycji. Co więksi zapaleńcy proponowali — w celu wysyłania prostych i krótkich komunikatów — jednoczesne włączanie i wyłączanie wszystkich ziemskich stacji radiowych i telewizyjnych. Takie periodyczne sterowanie siecią ziemskich stacji mogłoby grać rolę gigantycznego nadajnika, zdolnego emitować w Kosmos w określony sposób modelowane promieniowanie elektromagnetyczne. Niektórzy nadmieniali nawet o możliwości wysyłania w Kosmos obrazów (przy zastosowaniu sieci stacji telewizyjnych). Niestety koncepcja taka z wielu względów jest niemożliwa do zrealizowania (np. praktycznie niemożliwe jest jednoczesne włączanie i wyłączanie wielu tysięcy stacji, rozrzuconych na całym globie). Także z punktu widzenia samej łączności z kosmitami, sposób ten byłby bardzo niepraktyczny. Jak się zresztą wydaje, zasadniczy kłopot tkwi tu nie w samej mocy zastosowanego nadajnika, lecz w znalezieniu optymalnego źródła, zdolnego te sygnały emitować. Być może przecież, fale elektromagnetyczne są w ogóle najgorszym (choć w naszym pojęciu — jedynym) nośnikiem informacji…

Jak więc wreszcie można w ogóle zidentyfikować cywilizacje kosmiczne?

Nad problemem tym zastanawiano się między innymi na wielkiej międzynarodowej konferencji, poświęconej łączności z cywilizacjami kosmicznymi, która odbyła się w Biurakanie k. Erewania (Armeńska SSR) i zgromadziła wielu wybitnych uczonych z całego świata. Byli tam zarówno przedstawiciele nauk przyrodniczych, jak i humanistycznych. Na tej właśnie konferencji radzono między innymi nad sposobami najefektywniejszych sposobów identyfikacji kosmitów. Astronomowie, prowadzący nieustanny nasłuch, doszli do przekonania, że radioteleskopy winno się przede wszystkim kierować w te obszary nieba, które charakteryzują się anormalnie wysokim natężeniem promieniowania podczerwonego. Świadczyć to bowiem powinno o intensywnym wydzielaniu ciepła — a więc pracy potężnych, zapewne wytworzonych sztucznie, urządzeń zużywających energię (podobnie, jak to ma miejsce w przypadku Ziemi). Inni zwracali uwagę na fakt, że Ziemia posiada zapewne bardzo wysokie „tło" telewizyjne, związane z pracą dużej liczby nadajników TV. Być może więc, że podobne anomalia widma elektromagnetycznego mogłyby świadczyć o pracy podobnych urządzeń, skonstruowanych przez przedstawicieli innych cywilizacji?

Wiele miejsca w dyskusji zajął problem identyfikacji kosmitów na podstawie ich przedsięwzięć astroinżynieryjnych. Zdaniem wielu naukowców, wysoko zorganizowana cywilizacja kosmiczna wcześniej czy później musi wyjść ze swymi konstrukcyjnymi przedsięwzięciami w Kosmos. Przecież pierwsze kroki na tym polu stawiamy już i my — ze swymi satelitami, sondami penetracyjnymi i statkami księżycowymi. To właśnie u nas powstała już koncepcja sfery Dysona — projekt wykorzystania Jowisza i innych planet Układu Słonecznego w charakterze materiału do budowy wielkiej, kulistej błony wokół Słońca. Wewnętrzna strona takiej sfery, zasilana energią promieniowania słonecznego, zdolna byłaby zapewnić warunki witalne około pięciu trylionom ludzi. Należy się więc spodziewać, iż cywilizacje starsze od naszej — a co za tym idzie i bardziej zaawansowane w swym rozwoju technologicznym — powinien cechować jeszcze większy rozmach w programach kosmicznych. Tym samym ich kosmiczne przedsięwzięcia powinny być dla nas — wcześniej czy później — zauważalne. Wspominano nawet o niektórych znanych nam już obecnie, acz trudnych do wytłumaczenia zjawiskach kosmicznych. Mowa była choćby o słynnym „kolapsie grawitacyjnym" — zapadaniu się gwiazd pod wpływem ich własnych, potężnych pól grawitacyjnych. Gwiazdy takie, w rezultacie kolapsu… znikają z nieba, tworząc w Kosmosie tzw. „czarne dziury", miejsca, w których

sferycznie zakrzywiona przestrzeń utworzyła jakby kosmiczny „bąbel”…

Faktem jest, że opanowanie techniki sterowania kolapsem grawitacyjnym byłoby — przynajmniej w naszych oczach — jednym z najdonioślejszych i najbardziej szokujących osiągnięć techniki astroinżynieryjnej. Umiejętność taka otwierałaby przed każdą cywilizacją niewyobrażalne wręcz możliwości.

Tak czy inaczej, większość uczestników konferencji w Biurakanie była zdania, że identyfikacja kosmitów na podstawie ich działalności astroinżynieryjnej stanowi jeden z najpewniejszych obecnie sposobów poszukiwania „kontaktu”. Zwrócono również uwagę na celowość prowadzenia nasłuchu w otoczeniu gwiazd starszych od naszego Słońca. Podyktowane jest to podejrzeniem, że cywilizacje — o ile tylko się rozwinęły — są tam starsze od naszej i co za tym idzie winny dysponować lepszymi i niezawodniejszymi, niż nasze, środkami łączności.

Bezsprzecznie w naszym współczesnym spojrzeniu na sposoby i możliwości nawiązania kontaktu z kosmitami jest jeszcze bardzo wiele naiwności i antropomorfizmu. I z pewnością niespodziewane nawiązanie takiego kontaktu byłoby dziś w większej mierze dziełem litościwego przypadku ni—źli zasługą naszych — ostatecznie niemałych — wysiłków. Prawdą jednak pozostaje, że wszelkie te usiłowania są znamienne dla naszych czasów — ery astronautyki i pierwszych kroków na drodze do podboju przestrzeni pozasłonecznej. Nie czas jeszcze, zapewne, na opracowywanie szczegółowych planów poszukiwania kosmitów — ta dziedzina ludzkich badań znajduje się dziś jeszcze w zupełnie naturalnym stadium chaosu i sporadycznych (nierzadko indywidualnych) przedsięwzięć. Warto tu jednak przytoczyć zdanie jednego z radzieckich specjalistów w zakresie łączności z cywilizacjami kosmicznymi, B. N. Panowkina:

„Uważniejsze badania wykazują, że sukces takiego przedsięwzięcia związany jest w pierwszej kolejności z poprawnością naszych wyobrażeń o wielu całkowicie» ziemskich «rzeczach. Najbardziej niebezpieczne dla takich twórczych wysiłków okazują się częstokroć przekonania, wypowiadane z pozycji» oczywistości «czy» zdrowego rozumu«. Teoretyczna istota zagadnienia (danych doświadczalnych przecież nie posiadamy) sprowadza się wyraźnie do analizowania pojęć «oczywistych «w celu znalezienia w nich czegoś uniwersalnego, co mogłoby być ekstrapolowane na inne, hipotetyczne” wysoko zorganizowane układy we Wszechświecie.”

Aleksander Gorbowski
WIEDZA ZNIKĄD

Fragmenty książki Aleksandra Gorbowskiego Zagadki najdawniejszej historii (księga hipotez), Moskwa 1971

Zagadki driewniejszej istorii

W spuściźnie po wielu najdawniejszych znanych nam cywilizacjach żywych dotąd lub zaginionych pozostały nam z różnych dziedzin pewne zdumiewające informacje, które nie znajdują wytłumaczenia w ówczesnym stanie wiedzy ludzkiej.

Astronomia i kosmogonia

Majowie nie używali koła, nie wynaleźli koła garncarskiego, nie znali żelaza, z zadziwiającą jednak dokładnością określali okresy obiegu ciał niebieskich.

Czas obiegu Ziemi dokoła Słońca wynosi według kalendarza gregoriańskiego 365,242500 doby. Majowie uważali, że długość roku równa się 365,242129 doby. Obecnie przy użyciu najbardziej precyzyjnych narzędzi astronomicznych okres ten ustalono na 365,242198 doby.

Tak więc do ostatnich czasów liczba Majów, którzy nie znali ani teleskopów, ani innych urządzeń i aparatów, była najdokładniejsza!

Długość miesiąca księżycowego określili Majowie z dokładnością do 0,0004 dnia.

Tak samo nieoczekiwanie głęboką wiedzą astronomiczną dysponowali również Sumerowie.

Czas obiegu Księżyca znano w Sumerze z dokładnością do 0,4 sekundy. Długość roku wynosiła 365 dni 6 godzin i 11 minut, co różni się od długości roku, określanej dziś na podstawie najdokładniejszych danych naukowych, zaledwie o 3 minuty. (Nie wiadomo przy tym, czy rzeczywiście jest to pomyłka, czy taka była długość roku ongiś, kiedy dokonywano obliczeń).

Któż jednak i kiedy mógł dokonać tych obliczeń?

Nie wiemy.

Nie wiemy też, skąd grecki astronom Hipparch, który żył przed dwoma tysiącami lat, czerpał wiadomości o orbicie Księżyca określonej przez niego z dużą dokładnością.

Początki tych ważnych wiadomości powinny były, oczywiście, sięgać w nader odległą przeszłość. Istotnie, na jednej z glinianych tabliczek sumeryjskich prócz Księżyca wyobrażone były dwie gwiazdy — alfa i beta konstelacji Bliźniąt. Jak wynika z ich położenia, tabliczka odtwarzała sytuację sprzed 6000 lat.

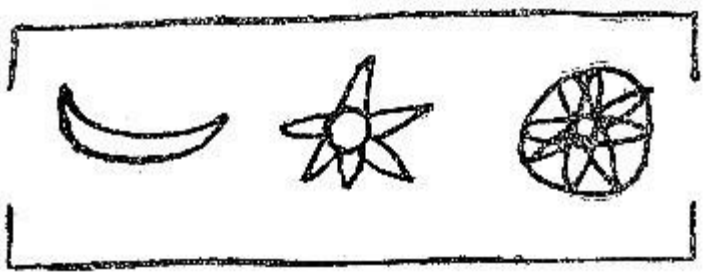

Według Diogenesa Laertiosa Egipcjanie dysponowali zapiskami o 373 zaćmieniach Słońca i 832 zaćmieniach Księżyca. Obliczenia wykazują, że w celu zarejestrowania tej liczby zaćmień obserwacje należało prowadzić przez co najmniej 10 000 lat. Niektórzy z historyków astronomii odsuwają rozpoczęcie obserwacji jeszcze dalej — do 15 000 lat p.n.e. Pewne dane świadczyłyby o jeszcze wcześniejszej dacie wyjściowej.

W naszych czasach Słońce w okresie równonocy wiosennej znajduje się w gwiazdozbiorze Ryb. Przed dwoma tysiącami lat było w tym okresie w konstelacji Barana, a jeszcze wcześniej, w czasach starożytnego Sumeru — w konstelacji Bliźniąt. Całkowity pozorny obrót sklepienia niebieskiego trwa 25 920 lat.

Liczbę tę możemy wykryć w wielu tekstach sumeryjskich.

Wśród faktów astronomicznych niezbadanym sposobem znanych ludziom przed ich późniejszym odkryciem można wymienić następujący:

W XVIII wieku żył człowiek, znany nam raczej jako pisarz, autor „Podróży Guliwera” — Swift. Interesował się żywo dawnymi naukami, starymi książkami i rękopisami. Czy aby z nich nie zaczerpnął wiadomości o dwóch satelitach Marsa na długo przedtem, zanim się pojawiły wystarczająco silne teleskopy, przez które w ogóle można było dostrzec satelity Układu Słonecznego?

Dopiero w 156 lat po wzmiance Swifta astronomowie odkryli te satelity, przy czym dane o charakterze i czasie ich obiegu opisane przez Swifta były bardzo bliskie rzeczywistym.

W XVI i XVII wieku nauka europejska po długim rozwoju doszła do ważnych wniosków kosmologicznych. Prawda naukowa z trudem torowała sobie drogę. To tu, to ówdzie płonęły stosy inkwizycji. 17

lutego 1600 roku po ośmioletnim więzieniu spalono Giordana Bruna. Stracono go za wypowiedzenie myśli o nieskończoności Wszechświata i wielości zamieszkanych światów, podobnych do naszej Ziemi.

Jednakże na tysiące lat przed nim tę samą myśl (i to nie jako przypuszczenie, ale niezbitą prawdę) wypowiadały teksty piramid, święte księgi starożytnych Indii i Tybetu. Jeden z najstarszych tekstów piramid głosi ideę nieskończoności Wszechświata. Stara zaś księga sanskrycka „Wisznu — purana" mówi wręcz, że nasza Ziemia jest tylko jednym z miliardów zamieszkanych światów Kosmosu. Według tekstów tybetańskich „we Wszechświecie tak wiele jest światów, że nawet sam Budda nie mógłby ich policzyć". Zgodnie z tradycją buddyjską „każdy z tych światów otacza powłoka błękitnego powietrza albo eteru".

Archeolog J. A. Masson twierdzi, iż wyobrażenie, że na odległych gwiazdach żyją istoty podobne do ludzi, występowało również w starożytnym Peru. Jego zdaniem tradycja ta wywodzi się z okresu przed panowaniem Inków.

Oczywiste jest, że starożytne ludy informacji tych nie mogły zaczerpnąć z codziennej praktyki i wiadomości odpowiadających poziomowi rozwoju społecznego. Najprawdopodobniej źródło ich znajduje się poza obrębem znanych nam cywilizacji.

Inna grupa faktów świadczy o bardzo wczesnym i również nie wyjaśnionym pojawieniu się wyobrażeń o kształcie Ziemi.

W roku 1633 święta inkwizycja oskarżyła starego Galileusza w związku z jego twierdzeniem, że Ziemia jest kulą, która krąży wokół Słońca.

Kiedyś podobny zarzut ciążył na Kolumbie, który powinien był być wdzięczny losowi, że uszedł żywy z rąk trybunału złożonego z luminarzy uniwersytetu w Salamance. Jednym z zadań owego trybunału było ściganie wszystkich, co ośmieliliby się nawet pośrednio twierdzić, że Ziemia ma kształt kuli.

I znowu przekonujemy się ze zdumieniem, że prawdy astronomiczne, do których się myśl naukowa przybliżała kosztem ofiar i pokonywania takich trudności, już u zarania dziejów zapisane były w świętych tekstach Indii, Egiptu i Ameryki.

Zdaniem wielu badaczy Egipcjanie wiedzieli na przykład, że Ziemia to kula krążąca w przestrzeni. Bogini słońca mówi: „Patrz, ziemia dla mnie jak puzderko. To znaczy ziemia boga dla mnie jak okrągła piłka" (Lejdejski papirus demotyczny). Egipcjanie wiedzieli, że w ruchu swoim Ziemia podlega tym samym prawom, co inne planety — Saturn, Jowisz, Mars, Wenus i Merkury. Słońce zaś, które późniejsza nauka europejska uznała za nieruchome, starożytne teksty egipskie uważały za poruszające się w przestrzeni (rys. 3) i nazywały „kulą pływającą w łonie bogini Nu" (w niebie), jakkolwiek Egipcjanie

nie mieli ani narzędzi astronomicznych, ani wiadomości, które mogłyby stanowić podstawę takiego wniosku.

Ślady tak realistycznych wyobrażeń astronomicznych napotykamy również w najwcześniejszych tekstach biblijnych, gdzie mowa jest zwłaszcza o Ziemi wiszącej w próżni „na niczym" (Księga Hioba XVI, 7).

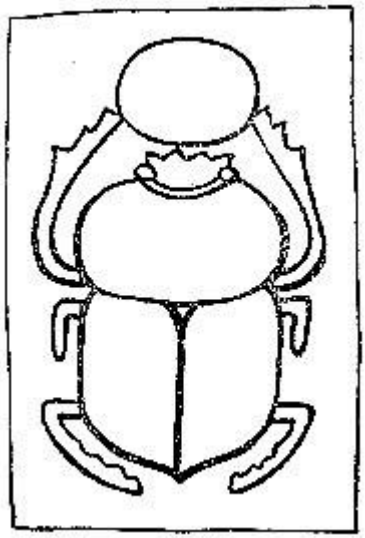

Kabała zaś („Księga Zohar") mówi: „Cała zamieszkana Ziemia obraca się na podobieństwo kręgu. Jedni jej mieszkańcy znajdują się w dole, inni — w górze. Jeśli w jednych okolicach Ziemi jest noc, to w innych dzień, a kiedy w pewnych miejscach ludzie oglądają świt, w innych zapada zmierzch". Kabała powołuje się przy tym na jakieś starożytne księgi.

Czy aby nie z tych samych źródeł zaczerpnął informacje i Platon mówiąc o Ziemi jako o ciele kulistym, którego obrót stanowi przyczynę zmian dnia i nocy?

Również Aztekowie wyraźnie zdawali sobie sprawę z ruchu planet i ich kulistości. Przedstawiali planety w postaci okrągłych przedmiotów czy piłek, którymi bawią się bogowie.

Nic dziwnego, że wielu późniejszych odkryć astronomii europejskiej dokonano nie na niebie, lecz… w starożytnych rękopisach. Na przykład Kopernik, którego uważa się za autora koncepcji ruchu Ziemi wokół Słońca, w dedykowanej papieżowi przedmowie do swego dzieła pisał, że ideę ruchu Ziemi zaczerpnął ze starożytnych autorów.

Możliwe, że były to nie zachowane do naszych czasów dzieła, które czytał sławny uczony ormiański z VIII w., A. Szirakaci. Pisał on

o kulistości Ziemi, porównywał ją z jajkiem, w którym żółtkiem jest sama Ziemia, białkiem zaś — otaczająca ją atmosfera.

Prawdę o kulistości Ziemi i ciał niebieskich, odziedziczoną przez starożytnych z jakiejś odległej przeszłości, zagubiono potem i zapomniano. Straty takie były oczywiście nieuniknione, tak wysoka wiedza przekraczała bowiem zanadto ogólny poziom wyobrażeń ludzkich.

Ilustracją może być następujący przykład: dopiero w naszych czasach naukowcy udowodnili wieczność i niezniszczalność materii. Trzeba było niezliczonych eksperymentów, uogólnień teoretycznych i filozoficznych oraz wielu pokoleń badaczy, zanim nauka zdołała uchwycić tę myśl, która — jak się okazuje — znana była na długo przed naszą erą. „Chaldejczycy utrzymują — czytamy u Diodora Sycylijczyka — że materia świata jest wieczna i jak nigdy nie powstała, tak nigdy nie ulegnie unicestwieniu".

Równie niewyjaśnione, nieoczekiwane i powszechne są także niektóre inne kosmologiczne wyobrażenia starożytnych, na przykład o pierwotnym stanie naszej planety przed powstaniem życia.

Pogańscy Słowianie uważali, że początkowo było tylko morze, z którego się z czasem wyłoniła ziemia. Podobne wyobrażenie o pierwotnych wodach wypełniających kiedyś świat spotykamy również u narodów Syberii.

„Rygweda" (Indie) także głosi, że świat powstał z wody, „z wielkiej wody, która wypełniała Wszechświat".

W starych rękopisach chińskich znajdujemy wzmianki, że na samym początku cała Ziemia oblana była wodą.

We wszystkich tekstach egipskich też mówi się o pierwotnym oceanie, który pokrywał świat i z którego powstało życie.

Takież wyobrażenia mieli również przedkolumbowi mieszkańcy obydwu Ameryk. W świętej księdze „Popul Vuh" czytamy: „Nie było ani człowieka, ani zwierzęcia, ani ptaków, ryb, krabów, drzew, kamieni, jaskiń, wąwozów, traw, nie było lasów; istniało tylko niebo. Powierzchnia ziemi wówczas jeszcze się nie pojawiała. Było tylko chłodne morze i wielki przestwór niebios".

Analogiczne wyobrażenie o pierwotnym stanie Ziemi mieli również Sumerowie, Asyryjczycy, Polinezyjczycy, Hetyci i starożytni Peruwiańczycy. Jest nader mało prawdopodobne, aby tak jednolita koncepcja kosmologiczna mogła powstać sama przez się w różnych zakątkach Ziemi. Podobnie jak w odniesieniu do innych wiadomości, bardziej prawdopodobne wydaje się przypuszczenie, że istniało wspólne źródło tych wyobrażeń.

Oprócz wymienionych wyżej faktów na rzecz takiego przypuszczenia przemawiają też wiele znaczące i dziwne zbieżności kalendarzowe.

Na Bliskim Wschodzie, w starożytnym Egipcie i Indiach rok dzielił się na 12 miesięcy. Dlaczego jednak podobny podział roku występował nawet po drugiej stronie Atlantyku, w Ameryce Południowej?

Bardziej szczegółowa analiza wykazuje jeszcze dalej idące analogie.

U Majów rok składał się z 360 dni, oprócz których było jeszcze 5 dni feralnych, bezimiennych. W ciągu owych pięciu dni nie obowiązywały prawa, można było nie oddać długu, oszukać itp. Identyczne zwyczaje panowały w starożytnym Egipcie, Babilonii i w Indiach.

Ponadto i w Europie, i w starożytnym Peru rok zaczynał się w tej samej porze — we wrześniu.

Święte podania i mity po obydwu stronach Atlantyku głosiły, że okres istnienia ludzkości dzieli się na cztery epoki, z których obecnie rozpoczęła się ostatnia, czwarta. Każdą z owych epok oznaczano kolorem. Oto jak sobie to wyobrażały różne narody:

Epoka:			
I	II	III	IV
Naród:			
Grecy	Celtowie	Hindusi	Majowie
Żółty	Biały	Biały	Biały
Biały	Czerwony	Żółty	Żółty
Czerwony	Żółty	Czerwony	Czerwony
Czarny	Czarny	Czarny	Czarny

Z przykrością trzeba skonstatować smutną jednomyślność co do obecnej epoki.

Wiele zbieżności wykazują także różne mity.

Oto, co mówi tekst biblijny o powstaniu różnych języków:

„A Ziemia była jednego języka i tejże mowy. I gdy szli od wschodu słońca, naleźli pole na ziemi Sennaar, i mieszkali na nim… I rzekli: Pójdźcie, zbudujmy sobie miasto i wieżę, której by wierzch dosięgał nieba… I rzekł (Bóg): Oto jeden jest lud i jeden język wszystkich; a poczęli to czynić i nie przestaną od myśli swych aż je skutkiem wypełnią. Przeto pójdźcie, zstąpmy, a pomieszajmy tam język ich, aby nie słyszał żaden głosu bliźniego swego… I przetoż nazwano imię jego (miasta) Babel, iż tam pomieszany jest język wszystkiej Ziemi; i stamtąd rozproszył je Pan po wszystkich krainach”.

Wcześniejsze jeszcze źródło (zapiski babilońskiego kapłana i historyka Berossosa) tak relacjonuje to wydarzenie: „Opowiadają, że pierwsi ludzie, wbiwszy się w dumę ze swojej siły, zaczęli gardzić

bogami i uważać się za wyższych od nich. Zbudowali wysoką wieżę na tym miejscu, gdzie się teraz znajduje Babilon. Wieża owa już niemal sięgała niebios, gdy nagle wiatry przyszły na pomoc bogom i zwaliły gmach na budujących go. Rumowisko nazwano «Babel». Do tego czasu ludzie mówili jednym językiem, bogowie jednak sprawili, że odtąd używali różnej mowy".

To samo zdarzenie opisuje jedna z tolteckich legend z Meksyku: „Kiedy po potopie ocalało niewiele ludzi i kiedy zdążyli się oni rozmnożyć, zbudowali wysoką wieżę… Ale języki ich nagle się pomieszały, nie mogli się już wzajemnie zrozumieć i wyruszyli, by żyć w różnych okolicach Ziemi".

Podobne mity występują również u wielu innych narodów Ameryki. Charakterystyczna jest tożsamość nazw wieży. U Judejczyków nosiła ona nazwę Ba Bel (stąd Babel), to znaczy „Brama Boga". W niektórych podaniach zanotowanych w Ameryce wieża nazywa się identycznie: „Brama Boga".

Twierdzenie, że kiedyś wszyscy ludzie mówili jednym językiem, zawierają nie tylko święte teksty Ameryki i Bliskiego Wschodu. Myśl tę spotykamy także w tekstach sta — roindyjskich, buddyjskich i staroegipskich.

W tym wypadku ważny jest nie stopień prawdziwości informacji, która nie może być sprawdzona przy dzisiejszym poziomie wiedzy (jakkolwiek jedność prą języka ludzkości głosi znana teoria Marra), lecz jej powszechność.

„Wydaje mi się jasne — pisał znany niemiecki badacz Aleksander Humboldt — że zabytki, metody rachuby czasu, systemy kosmogoniczne i liczne mity Ameryki, zaskakująco podobne do koncepcji spotykanych w Azji Wschodniej, wskazują na dawne związki, a nie są po prostu wynikiem ogólnych warunków, w jakich znajdują się wszystkie narody w zaraniu cywilizacji".

Istnienie jakichś powiązań między bardzo od siebie oddalonymi okolicami świata, nawet w najdawniejszych czasach, rzeczywiście staje się coraz bardziej oczywiste. Kontakty te ciągną się od Azji Południowo — Wschodniej przez Ocean Spokojny do wybrzeży amerykańskich, od brzegów Europy do Jukatanu, od Italii do Ameryki Północnej i Południowej. Właśnie tymi wczesnymi powiązaniami można tłumaczyć zadziwiającą analogię co do owych ważkich wiadomości i pojęć, które spotykamy u narodów oddalonych od siebie o dziesiątki tysięcy kilometrów. Jednakże same kontakty świadczące jedynie o migracji wyobrażeń i koncepcji nie wskazują na pierwotne źródła tych idei i wyobrażeń.

W miarę jak nauka gromadzi coraz więcej informacji i faktów dotyczących przeszłości, hipoteza istnienia jakiejś pracywilizacji zyskuje coraz to nowe potwierdzenia.

„Archeologia i etnografia ostatniego półwiecza — stwierdza jeden ze współczesnych badaczy — wyjaśniły, że starożytne cywilizacje Starego Świata, Egipt, Mezopotamia, Kreta i Grecja, Indie i Chiny, mają początek w jednej podstawie i że ta jedność pochodzenia wyjaśnia jednolitość form ich struktury mitologicznej i rytualnej".

Geografia

Konstatując dużą dokładność niektórych średniowiecznych map morskich i ich wzajemne podobieństwo, wielu badaczy wysuwa myśl, że wszystkie są tylko kopiami jakiegoś starożytnego oryginału, który nie dotrwał do naszych czasów. Na niektórych z tych map widnieją dość dokładne zarysy ziem i lądów, które zostały odkryte dopiero kilka wieków później. Autorzy owych map sami zaznaczali, że nakreślili je kopiując jakieś dawne mapy przechowywane w Bibliotece Aleksandryjskiej albo pochodzące z czasów Aleksandra Macedońskiego.

Na przykład turecka mapa Hadżi Ahmeda z roku 1559 przedstawia kontury i linię brzegową Ameryki Północnej i Południowej wyprzedzając o całe dwa stulecia podróżników i badaczy, którzy odwiedzili owe okolice (rys. 4).

Zdaniem orientalistów radzieckich L. Gumilewa i B. Ku — zniecowa wiadomość o Ameryce można znaleźć w tekstach tybetańskich pochodzących z drugiego tysiąclecia przed naszą erą.

Istnieje mapa Antarktydy Orontia Finausa sporządzona w roku 1532. Co najmniej dwie okoliczności nie mieszczą się w kanonach ogólnie przyjętych wyjaśnień.

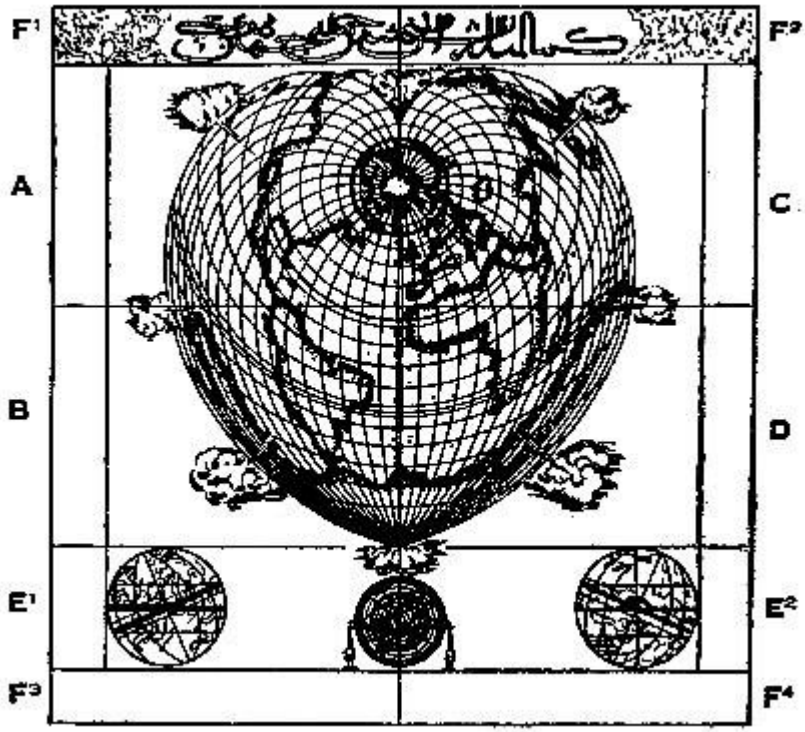

Po pierwsze, zarys kontynentu na mapie Orontia Finausa względnie dokładnie odpowiadają konturom znanym z map współczesnych. Nie da się tego wyjaśnić, wiadomo bowiem, że rejsy do brzegów Antarktydy i naniesienie na mapy jej linii brzegowej nastąpiło znacznie później, dopiero w XIX wieku.

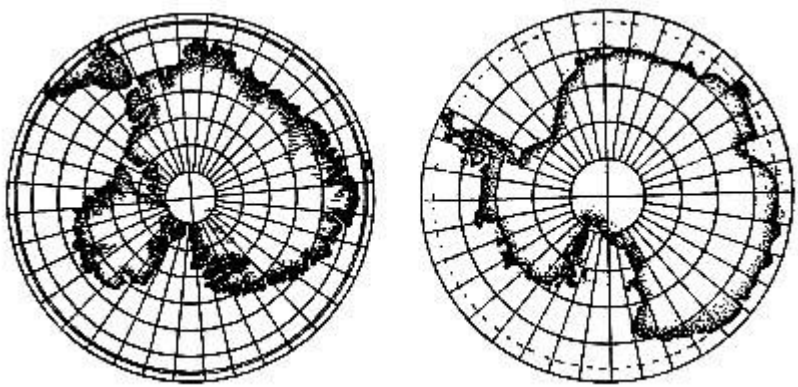

Po drugie, w odróżnieniu od map współczesnych widnieją na owej mapie wyobrażenia rzek i głębokich fiordów, do których te rzeki

uchodzą. Ani rzek, ani fiordów na Antarktydzie dziś nie ma. Natomiast właśnie w miejscach oznaczonych na szesnastowiecznej mapie jako rzeki znajdują się dziś lodowce powoli spływające do oceanu. Fakt ten od razu odsuwa przypuszczalną datę sporządzenia mapy w odległą przeszłość, do czasów, kiedy na miejscu lodowców płynęły rzeki. Kiedy to mogło być? W każdym razie nie później niż 4000 lat przed naszą erą, zanim lodowa tarcza Antarktydy całkowicie pokryła ten kontynent.

Inne świadectwa. Znana jest mapa Ptolemeusza, na której Europę Północną pokrywają jakieś białe strefy. Zgodnie z dzisiejszą rekonstrukcją przebiegu ostatniego zlodowacenia, zarysy tych stref pokrywają się z obszarami resztek zlodowacenia. Jeżeli tak jest, obraz przedstawiony na mapie Ptolemeusza odnosi się do okresu nie późniejszego niż 8 tysiąclecie p.n.e.

Matematyka

Do wiadomości pochodzących z nader odległej przeszłości należy oczywiście również niezrozumiale wysoki poziom wiedzy matematycznej starożytnych, także nie stanowiący wyniku ich działalności praktycznej, którą byśmy znali. Pojęcie miliona europejska matematyka przyswoiła sobie dopiero w XIX wieku. Jednakże znali je już starożytni Egipcjanie, którzy mieli nawet odrębny znak do jego oznaczenia.

Liczba „n” znana jest w historii matematyki jako „ludolfina”, od Ludolfa van Ceulen, szesnastowiecznego uczonego holenderskiego, który obliczył stosunek długości okręgu do jego średnicy z dokładnością do 32 miejsc dziesiętnych po przecinku. W Moskwie jednak, w Muzeum Sztuk Plastycznych im. Puszkina znajduje się papirus egipski, z którego wynika, że Egipcjanie dawno znali liczbę „pi”.

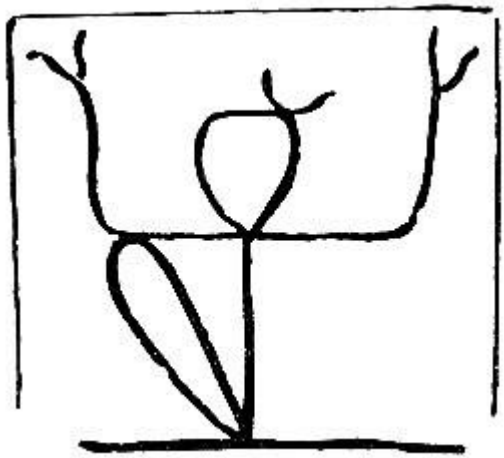

Okazuje się atoli, że jeszcze przed Egipcjanami liczbę „K” znali Sumerowie. W Sumerze znane było twierdzenie, które w tysiąc lat później odkrył Pitagoras. Uczeni, kapłani i strażnicy wiedzy starożytnego Sumeru rozwiązywali skomplikowane zadania algebraiczne, równania drugiego stopnia z kilkoma niewiadomymi, trudne zadania na procent składany, a nawet zadania wykraczające poza granice algebry. Oddawali się tym zadaniom wśród dzikości i barbarzyństwa owej epoki. Pisali pałeczkami drewnianymi na wilgotnej glinie, a to, co robili, znacznie przekraczało zarówno praktyczne potrzeby życia codziennego, jak i ogólny poziom wiedzy owej epoki. Znowu napotykamy wybitne wiadomości, które pojawiają się jakby niespodziewanie i odpowiadają poziomowi osiągniętemu przez ludzkość dopiero o tysiąc lat później. Wystarczy stwierdzić, że sumeryjskie teksty klinowe podają szereg matematyczny, którego suma wyraża się liczbą 195 955 200 000 000. Była to liczba, jaką zdaniem specjalistów nauka europejska nie umiała operować nawet w czasach Kartezjusza i Leibniza.

Metalurgia

Wspomina się czasem o jakichś krzewicielach oświaty, którzy nieśli wiedzę w najodleglejsze zakątki świata. Czy nie to właśnie wyjaśnia dziwne cechy epoki brązu w Europie? Jak wiemy, brąz jest stopem miedzi i cyny. Rozumie się samo przez się, że oddzielne stosowanie miedzi i cyny powinno było poprzedzać sporządzenie ich stopu. Przed odkryciem, że przez dodanie do miedzi 1/10 części cyny można uzyskać stop zadziwiającej trwałości, ludzie powinni byli w

ciągu tysiącleci posługiwać się wyrobami z miedzi.

W Europie jednak okresu miedzi de facto nie było, a wyroby miedziane są nader rzadkie, natomiast wyroby z brązu pojawiają się znienacka i rozpowszechniają wszędzie.

Nie można wyjaśnić i tego, że pierwsze już wyroby brązowe świadczą o wysokim kunszcie wytwórców, tzn. nie ma danych, że ludzie opanowywali tę sztukę stopniowo. Wykazuje ona od razu wysoki poziom bez żadnych etapów wstępnych.

Wybitny znawca kultury narodów Ameryki Paul Riviere stwierdza, że coś podobnego zaobserwować można także na terytorium Meksyku. Produkcja brązu pojawiła się tam od razu w rozwiniętej formie i dysponowała wielu skomplikowanymi sposobami technicznymi.

Równie jaskrawy przykład może stanowić wytop żelaza. Między pierwszymi próbami jego stosowania a umiejętnością odlewania w formach upływa cała epoka, okres 2–2,5 tysiąca lat. W południowo — wschodniej Azji natomiast sztuka odlewnicza pojawia się nagle, niespodziewanie, jakby przyniesiona z zewnątrz.

Czy informacje te nie są świadectwem, że nie wszyscy ludzie uczyli się sztuki wytapiania i obróbki metali, lecz niekiedy otrzymywali ją gotową? Inne fakty także potwierdzają to przypuszczenie.

Jednym z nich jest uderzające podobieństwo różnych przedmiotów i narzędzi z brązu, znajdowanych przez archeologów w całej Europie. Wyroby te w takim stopniu stanowią swe wzajemne kopie, iż zdaniem niektórych badaczy można by przypuszczać, że wszystkie pochodzą z jednego warsztatu.

Na dowód, że sztuka wytapiania brązu została — być może — przyniesiona z zewnątrz, a nie powstała w wyniku codziennej praktyki i przypadkowych odkryć, można przytoczyć i to, że najbardziej rozwinięte cywilizacje — egipska i mezopotamska, będące pionierami stosowania brązu, same pozbawione były niezbędnego surowca. Wysyłano stamtąd ekspedycje w dalekie kraje: po cynę wyruszano na Kaukaz i Półwysep Pirenejski, gdzie znajdowały się najbliższe jej złoża. Jeszcze dalej na północ leżały obfitujące w cynę Wyspy Brytyjskie, które Fenicjanie nazywali nawet „Wyspami Cynowymi”.

Wiadomości o brązie mogły stanowić część wiedzy, którą przez długi czas monopolizowały zamknięte grupy wtajemniczonych. Nie jest przypadkiem, że w Europie i w innych częściach świata produkcję i obróbkę metali przez długi czas uważano za dziedzinę wiedzy tajemnej — magii. Na przykład w wyobrażeniach starosłowiańskich kowal występuje zwykle jako czarownik, człowiek dysponujący jakąś wiedzą tajemną.

Znany archeolog J. Masson powołując się na dokładną analizę

znaleziska stwierdza, że na Wyżynie Peruwiańskiej odkrył starożytne ozdoby odlane z platyny. Platyna jednak ma temperaturę topnienia 1730°, a do jej wytopu potrzebna jest technologia zbliżona do współczesnej.

Do ostatnich czasów za początek epoki elektryczności uznawano powszechnie rok 1786, kiedy to Luigi Galvani wykonał swe słynne doświadczenia. Ale pewne odkrycia archeologiczne zdają się podważać to przekonanie. Podczas wykopalisk nad Tygrysem archeologowie odkryli w ruinach starożytnego miasta Seleucji nieduże polewane naczynia gliniane o wysokości około 10 centymetrów. Znajdowały się w nich żelazne rdzenie i lutowane walce miedziane rozdzielone — jak się wydaje — kwasem. Było to pierwsze znalezisko tego typu i nasunęło się przypuszczenie, że owe tajemnicze naczynia są swojego rodzaju ogniwami galwanicznymi.

Kiedy po starannym zbadaniu spróbowano odtworzyć te ogniwa w stanie pierwotnym, uzyskano prąd elektryczny!

Czy nie kryje się w tym wyjaśnienie kunsztu jubilerów sumeryjskich, którzy umieli pokrywać srebrne wyroby cieniutką warstewką złota? Wobec tego trzeba przyjąć, że już wówczas, u zarania kultury ludzkiej, znana była galwanostegia. W każdym razie w inny sposób nie da się wytłumaczyć wysokich umiejętności starożytnych Sumerów. Jakkolwiek nieprawdopodobne mogłoby się wydawać owo domniemanie jeszcze wczoraj, to jednak dziś uzyskało, jak widzimy, potwierdzenie archeologiczne.

Możemy teraz napomknąć o innym jeszcze fakcie, którego do ostatnich czasów też nie umiano wytłumaczyć. W Chinach znajduje się grobowiec wybitnego wodza Czou — Czu (265–316 r. n. e.). Wyniki analizy widmowej pewnej części ornamentów znalezionych w grobowcu były tak nieoczekiwane, że analizę powtarzano kilkakrotnie. Ornament sporządzony był ze stopu zawierającego 10 % miedzi, 5 % magnezu i 85 % glinu. Obecność aluminium była w najwyższym stopniu niewiarygodna.

Jak wiemy, po raz pierwszy otrzymano aluminium dopiero w roku 1808 stosując w tym celu elektrolizę. Po dziś dzień elektroliza stanowi główny sposób wytwarzania aluminium. Stajemy więc przed alternatywną: albo przed 1600 laty znano inny sposób produkcji, o którym nauka współczesna nic nie wie, na próżno starając się go wykryć, albo już w owych czasach jakaś zamknięta grupa ludzi wiedziała o zjawisku elektrolizy. Możliwość takiego przypuszczenia potwierdza wspomniane poprzednio odkrycie sumeryjskich ogniw galwanicznych.

Medycyna

Wielu wiadomości medycznych zachowanych w dawnych tekstach alchemicznych i magicznych oraz w przekazie ustnym tzw. ludów prymitywnych medycyna współczesna jeszcze nie wyjaśniła.

Krótka notatka pt. „Wielki instynkt" zamieszczona w gazecie „Wieczernaja Moskwa" z dnia 17 lipca 1963 opowiada, że w pewnym domu żyły bardzo ze sobą zaprzyjaźnione suczka i kotka. Kotka urodziła młode, lecz po kilku dniach zginęła. Małymi zaopiekowała się wówczas suczka. Pielęgnowała je troskliwie, a po paru dniach jej sutki zaczęły wydzielać mleko potrzebne do wykarmienia kociąt. Wypadek z punktu widzenia fizjologii — bez precedensu. Jego mechanizm nie jest znany nauce współczesnej.

Niemniej znany jest od dawna. Etnografowie informują o dziwnych sprawach. Wśród Irokezów, Eskimosów i Maorysów nowozelandzkich rozpowszechniony jest następujący obyczaj: kiedy się rodzą dzieci, matki — młode, zdolne do pracy kobiety — nie karmią ich same, lecz z reguły od razu przekazują babkom. Szaman, pełniący rolę plemiennego lekarza, warzy jakieś zioła, po których w piersiach owych starych kobiet pojawia się mleko.

Innym przykładem może być „napój zapomnienia". Niekiedy po silnym wstrząsie nerwowym lub w wyniku choroby człowiek może całkowicie postradać pamięć. Osobnik taki nie pamięta ani swego imienia, ani przeszłości, nie poznaje krewnych. Nauka współczesna dopiero bada to zjawisko. Jak jednak świadczy wiele źródeł, zjawisko to znano w przeszłości. Chodzi mianowicie o znany alchemikom „napój zapomnienia", który sprowadzał całkowitą utratę pamięci. Receptę zagubiono dopiero w średniowieczu.

Budownictwo

Możemy wymienić wiele niepowtarzalnych budowli starożytności, których wzniesienie wymagało głębokiej wiedzy inżynierskiej.

Tiahuanaco w Andach zbudowano z olbrzymich kamiennych bloków, których ciężar sięga 200 ton. Najbliższe zaś złoża kamienia, z którego je wyciosano, znajdują się w odległości nie mniejszej niż 5 kilometrów.

W jaki sposób ludzie nie znający koła transportowali takie bloki na znaczne odległości?

W roku 1961 „Prawda" donosiła:

„Wczoraj przybył do Moskwy niezwykły pociąg… na specjalnej 16–osiowej platformie dostarczono ogromny monolit na pomnik, który ma być wzniesiony ku czci K. Marksa na placu Swierdłowa. Transport bloku kamiennego, którego ciężar sięga 200 ton, stanowił zadanie skomplikowane…"

Skomplikowane dla współczesnej techniki!

Tiahuanaco nie jest na kuli ziemskiej jedynym miejscem, gdzie znajdują się takie budowle. Wśród ruin Baalbeku (w dzisiejszej Syrii) znajduje się budowla, której poszczególne monolityczne fragmenty ważą do 1200 ton. W Indiach po dziś dzień oglądać możemy „Czarną pagodę", 75—metrowej wysokości świątynię. Ciężar jej dachu ze starannie obrobionej płyty kamiennej przekracza 2000 ton! Zdaniem specjalistów współczesna technika budowlana nie uporałaby się nie tylko z pionowym, ale nawet z poziomym przenoszeniem takich ciężarów. Ciężar tego dachu dziesięciokrotnie przewyższa możliwości najpotężniejszych istniejących dźwigów.

Jednym z siedmiu cudów świata starożytnego była aleksandryjska latarnia morska na wyspie Faros. Zbudowano ją na rozkaz Ptolemeusza Filadelfa (III w. p. n. e.). Olbrzymia budowla z białego marmuru wznosiła się na przeszło 100 metrów nad błękitnymi falami morza. Potężne ruchome zwierciadło umieszczone na wieży przez Rzymian w połowie I wieku naszej ery odbijało blask ognia, toteż światło latarni widać było z odległości dziesiątków kilometrów.

Wiele legend krążyło o tej latarni. Arabowie, którzy podbili Egipt w VII w. n. e. opowiadali, jakoby sferyczne zwierciadło dawało się ustawić pod takim kątem, że skupiało promienie słoneczne i mogło zapalać okręty znajdujące się na morzu.

Nigdy byśmy się nie dowiedzieli, jakie imię nosił budowniczy tego zdumiewającego dzieła, gdyby nie jego spryt i zuchwalstwo. Kiedy budowa latarni dobiegała końca, faraon kazał na jednej z marmurowych płyt wykuć napis:

KRÓL PTOLEMEUSZ — BOGOM — WYBAWCOM
DLA DOBRA ŻEGLARZY

Polecenie to wykonano. Faraon obejrzał latarnię, napis, i był pewien, że jego, Ptolemeusza, wspominać będą ludzie przez setki lat.

Minęły jednak lata, płyta popękała i odpadła, architekt bowiem, jak się okazało, wykonał ją nie w marmurze, lecz w zaprawie wapiennej pokrytej marmurowym pyłem. I wtedy spod dawnego napisu ukazały się dumne i zuchwałe słowa głęboko wykute w marmurze:

SOSTRATOS Z KNIDOS
SYN DEKSYPLIANA — BOGOM — WYBAWCOM
DLA DOBRA ŻEGLARZY

Trzeba jeszcze opowiedzieć, jak doszło do zniszczenia olbrzymiej budowli. Port aleksandryjski był najgroźniejszym konkurentem Konstantynopola. Szczególną przewagę dawała Aleksandrii jej latarnia

morska. Wypróbowawszy wszystkie metody walki chrześcijański cesarz Konstantynopola uciekł się do iście bizantyjskiego wybiegu. Wspomnieliśmy już, że w owym czasie Egipt i Aleksandrię zajęli Arabowie. Imperator wysłał na dwór kalifa Ali — Walida swojego posła, który przed wyjazdem otrzymał ściśle tajne instrukcje ustne od samego cesarza.

Wkrótce po przybyciu na dwór kalifa poseł przez podstawione osoby zaczął szerzyć pogłoski, że faraonowie w podwalinach latarni ukryli nieprzebrane skarby. Pogłoski te docierały to do jednego, to do drugiego wysokiego urzędnika, a każdy z nich śpieszył szepnąć o tym kalifowi. Kalif długo się powstrzymywał, wreszcie jednak kazał rozebrać latarnię.

Przystąpiono do roboty. Latarnię rozebrano niemal do połowy, zanim kalif zaczął się domyślać podstępu. Spostrzegłszy się polecił odbudować wieżę, lecz to się okazało niemożliwe. Nie udało się znaleźć ludzi wystarczająco biegłych w obliczeniach. Na domiar złego upuszczono ogromne zwierciadło, rozbijając je na okruchy. Nic już teraz nie wskazywało okrętom drogi do portu.

W takim na wpół rozebranym stanie przetrwała latarnia do XIV w., kiedy uległa ostatecznemu zniszczeniu wskutek trzęsienia ziemi. Nikt nie zdołał jej odbudować, gdyż nie dysponowano już wiedzą, z której korzystali starożytni. Według niektórych informacji latarnia na Faros miała wysokość sześćdziesięciopiętrowego domu! Dopiero w naszym stuleciu ludzkość zgromadziła dostateczną wiedzę inżynierską, aby wznosić takie budowle. Ale drapacze chmur buduje się na stalowym szkielecie, którego nie stosowali budowniczowie aleksandryjskiej latarni.

Liczne legendy różnych narodów opowiadają o bogach i bohaterach, którzy żyli w zamierzchłej przeszłości i umieli poruszać się w powietrzu na skrzydlatych rydwanach. Interesujące są zwłaszcza podania staroindyjskie, staroceltyckie i teksty biblijne. Zawierają one dość szczegółowe i realistyczne opisy nie tylko wyglądu zewnętrznego, ale i konstrukcji aparatów latających.

Lotom towarzyszył głośny łoskot. „Kiedy nastał ranek — czytamy w staroindyjskim eposie» Ramajana«— Rama wsiadł do rydwanu niebieskiego, który Pusz — paka przysłał mu z Wiwpiszandy i przygotował się do lotu. Rydwan ten poruszał się sam przez się. Był wielki i barwnie malowany. Miał dwa piętra z licznymi komnatami i oknami… Kiedy rydwan poruszał się w powietrzu, wydawał monotonny dźwięk”. W chwili startu jednak odgłos był inny: „Na rozkaz Ramy ten wspaniały rydwan z głośnym łoskotem uniósł się w powietrze”. Gdzie indziej czytamy, że gdy latający rydwan startował, „łoskot napełniał wszystkie cztery strony widnokręgu”. Pewien stary

tekst sanskrycki mówi, że w chwili startu rydwan „ryczy jak lew".

Niektóre miejsca w Biblii także można rozumieć jako wzmianki o latającym aparacie. Przy lądowaniu aparat ten wydawał ogłuszający łoskot, „dźwięk trąb".

Podczas lotu widać było ogień. W staroindyjskim eposie jest mowa, że niebieski rydwan błyszczał „jak ogień w letnią noc" był „jak kometa na niebie", „jaśniał jak czerwony ogień" („Ramajana"), „wprawiała go w ruch skrzydlata błyskawica" i „całe niebo było rozświetlone, kiedy przelatywał" („Mahabharata").

Latające aparaty, o których, jak się zdaje, wspomina Biblia, także wyrzucały ogień — „ogień trawiący".

Jeszcze bardziej zaskakujące są zawarte w indyjskich i celtyckich legendach opisy wewnętrznej budowy latających aparatów. Sanskryckie źródło poetyckie poświęca aż 230 strof opisowi konstrukcji latających aparatów i ich zastosowaniu. Przede wszystkim jednak czyni się istotne zastrzeżenie: „O tym, jak sporządzać części latającego rydwanu, nie mówimy nie dlatego, że nic nam o tym nie wiadomo, lecz po to, by zachować to w tajemnicy. Szczegółów konstrukcji się nie podaje, gdyby się bowiem te wiadomości upowszechniły, urządzenia te stosowano by w złych celach".

Oto, co się mówi dalej o ogólnej budowie latającego aparatu: „Silne i wytrzymałe powinno być jego ciało sporządzone z lekkiego materiału na podobieństwo wielkiego latającego ptaka. Wewnątrz należy umieścić aparat z rtęcią i żelaznym urządzeniem podgrzewającym pod nim. Za pomocą siły, która się kryje w rtęci i wzbudza nośny wicher, człowiek znajdujący się w tym rydwanie może na znaczne odległości przelatywać po niebie w najbardziej zdumiewający sposób. Cztery mocne naczynia na rtęć powinny być umieszczone wewnątrz. Kiedy się je podgrzeje kierowanym ogniem z żelaznych przyrządów, rydwan rozwija siłę gromu dzięki rtęci. I nagle się przemienia w perłę na niebie".

Tybetańskie księgi święte także opowiadają o latających aparatach porównując je z „perłami na niebie".

A tak opisuje latający aparat inne źródło sanskryckie „Ghatotraczabadma": „Był to olbrzymi i straszliwy rydwan powietrzny zrobiony z czarnego żelaza… Był wyposażony w urządzenia rozmieszczone w odpowiedni sposób. Nie ciągnęły go ni konie, ni słonie. Poruszały go urządzenia wielkie jak słonie". Inne jeszcze źródło mówi, że do budowy takiego aparatu używa się miedzi, żelaza i ołowiu („Samarangana Sutradhara").

W Wedach występuje nawet specjalny termin oznaczający te aparaty: „wimana" albo „agnihotra". „Agnihotra to statek, który się unosi w niebo" („Satopatha brahmana").

Stare legendy celtyckie także opowiadają o latających aparatach

zaopatrzonych w jakieś wewnętrzne mechanizmy. Poruszały je „magiczne konie", które jednak wcale nie były podobne do koni. „Pokrywała je żelazna skóra", nie potrzebowały paszy, nie miały kości ni szkieletu.

Inną wzmiankę o budowie tych latających aparatów znajdujemy w opisie powietrznego pojedynku bohatera legend celtyckich, Cuchulaina, z jego wrogiem. Podczas starcia Cuchulainowi udało się wyrzucić z rydwanu przeciwnika dwa białe przedmioty „ogromne jak kamienie młyńskie". Pozbawiony tych przedmiotów rydwan powietrzny „runął na ziemię z grzechotem padającej zbroi".

I w podaniach celtyckich i staroindyjskich mówi się o latających aparatach wyposażonych w odpowiednie urządzenia unoszące je w powietrze.

Starożytni Grecy opowiadają o Hiperborejeżykach, jakimś narodzie żyjącym na północy, gdzie słońce wschodzi tylko raz w roku. Hiperborejczycy również jakoby umieli latać.

Nawiasem mówiąc, wśród Ariów, którzy przynieśli do Indii wiadomości o latających aparatach, także zachowały się wspomnienia o owych odległych czasach, kiedy słońce wschodziło nad nimi tylko raz w roku.

Przed kilku laty na płaskowyżu w Andach odkryto tak zwane „drogi Inków". Zdjęcia lotnicze wykazały, że są to nie tyle drogi, ile system olbrzymich, regularnie ukształtowanych figur geometrycznych, widzialnych tylko z określonej wysokości. Boki trójkątów i linie równoległe nienagannej precyzji ciągną się na 10–15 kilometrów! Niektóre figury powtarzają się w ściśle określonej kolejności. Wielu uczonych jest zdania, że w Andach znajduje się największy kalendarz astronomiczny świata, gdzie kierunek i długość linii wyrażają różne prawa astronomiczne i drogi ruchu gwiazd.

Czy mamy prawo przypuszczać, że owe gigantyczne, widzialne tylko z wysokości figury mogły mieć jakiś związek z latającymi aparatami? Jak się okazuje, również w Ameryce możemy się spotkać z zastanawiającymi zjawiskami.

Święta księga Indian Kicze „Popul Vuh" opowiada o czterech praojcach tego narodu, którzy zobaczywszy na niebie „coś", zaczęli się spiesznie, żegnać z rodzinami i weszli na szczyt góry. Ludzie ci, jak głosi tekst, „bezpośrednio potem znikli tam, na szczycie góry Jacawiz. Żony i dzieci ich nie pochowały, gdyż nie było wiadomo, gdzie znikli".

W Ameryce Środkowej zachowało się podanie o jakiejś potężnej władczyni, zwanej „Latającą tygrysicą", która przyniosła ludziom wiedzę. A po pewnym czasie kazała się zanieść na szczyt góry, gdzie „znikła wśród gromów i błyskawic".

Wśród tak zwanych „niejasnych miejsc" tekstów biblijnych także są wzmianki o jakichś — być może — latających aparatach, również

jakoby lądujących na szczytach gór. „I już był przyszedł trzeci dzień a zaranie zaświtało: alić oto poczęły być słyszane gromy, i łyskać się błyskawice, a obłok bardzo gęsty okrywać górę, a brzmienie trąby im dalej, tym więcej się rozlegało… A wszystka góra Synaj kurzyła się: przeto iż był Pan zstąpił na nią w ogniu, i występował dym z niej jako z pieca… A głos trąby z lekka się bardziej rozlegał…" Dopiero po tym, jak istota, zwana „Bogiem", przybyła na górę i obłok (dym) się rozwiał, Mojżesz z kilku towarzyszami weszli na szczyt góry.

Może później, korzystając z „zakazanych" wiadomości, wtajemniczeni wyżsi kapłani sami czynili próby zbudowania aparatów latających i innych. W każdym razie tylko tak można wyjaśnić kilka dziwnych wieści, jakie do nas dotarły—

W pewnym rękopisie egipskim, napisanym na 15 wieków p. n. e. i zawierającym oficjalną kronikę panowania Totmesa III, mówi się, że ku przerażeniu wszystkich „w 22 roku, w trzecim miesiącu zimy, o szóstej godzinie dnia pojawił się na niebie ogromny przedmiot regularnych kształtów, który się powoli poruszał na południe".

Mniej więcej na ten sam okres przypada irańska wzmianka o jakimś człowieku, co zbudował skomplikowany aparat latający i latał na nim w powietrzu.

Inny wypadek zdarzył się w roku 1290. W łacińskim rękopisie jednego z klasztorów angielskich czytamy, że kiedyś nad głowami wystraszonych pastuchów pędzących drogą klasztorne stado „pojawiło się olbrzymie, owalne srebrzyste ciało, podobne do dysku, które powoli przeleciało nad nimi powodując wielkie przerażenie".

Czyż nie o podobnych aparatach pisał uczony i filozof Roger Bacon (1214–1294), wtrącony do więzienia za hołdowanie „naukom tajemnym"? „Nauka umożliwia zbudowanie aparatów mogących rozwijać ogromne prędkości, bez masztów i nie potrzebujące więcej niż jednego człowieka do kierowania". Bacon podkreślał, że takie urządzenia poruszają się bez pomocy zwierząt. „Można także stworzyć aparat — pisał — zdolny poruszać się w powietrzu z człowiekiem wewnątrz".

W tekstach staroindyjskich, które wspominają o latających aparatach, jest także mowa o wysokości lotu. Aby pokazać, jak wysoko wzniósł się bohater na swoim powietrznym rydwanie, nie znany nam autor mówi, że wzleciał on „ponad królestwo wiatrów".

Czy możemy sobie pozwolić na myśl, że przedstawiciele jakiejś dawnej cywilizacji ziemskiej dysponowali wystarczającą wiedzą, aby próbować dotrzeć do innych planet? Trudno w to uwierzyć. A jednak…

„Za pomocą tych aparatów (urządzeń, konstrukcji) — czytamy w sanskryckim rękopisie — mieszkańcy Ziemi mogą się unosić w powietrze, a mieszkańcy nieba — opuszczać na Ziemię". W innym

miejscu tegoż rękopisu jest mowa o tym, że rydwany powietrzne mogą latać zarówno w „okolicach słońca", jak i w „przestworzach gwiezdnych".

Jak głoszą legendy, rydwany powietrzne starożytnych Celtów także mogą się unosić w niebo, tam, gdzie się znajdują dziwne kraje, „pałace bogów".

W „Mahabharacie", starożytnym eposie indyjskim, którego tekst pochodzi sprzed 3000 lat, mówi się o jakiejś straszliwej broni.

„Wypuszczony został błyszczący pocisk, jaśniejący ogniem bez dymu. Gęsta mgła okryła nagle wojsko. Wszystkie strony świata zasnuł mrok. Zerwały się złowieszcze wichury. Chmury z rykiem wzniosły się w niebieskie wysokości… Nawet słońce jakby zawirowało. Zdawało się, że świat osmalony żarem tej broni ogarnęła gorączka. Słonie oparzone płomieniem oręża uciekały zdjęte przerażeniem". Dalej mowa jest o tysiącach rydwanów, o spalonych ludziach i słoniach, spopielonych na miejscu straszliwym wybuchem. „Nigdy nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy nic, co dorównałoby tej broni".

Broń ta „podobna była do ogromnej, żelaznej strzały, która wyglądała jak olbrzymi wysłaniec śmierci". Aby unieszkodliwić taką „żelazną strzałę", której nie użyto, bohater kazał ją rozdrobnić i zemleć na proch. Lecz nawet to nie wystarczyło do całkowitego usunięcia niebezpieczeństwa. Rozdrobnione resztki kazał zatopić w morzu.

Czynności tego rodzaju trudno wytłumaczyć, jeśli się przyjmie, że chodzi jedynie o gigantyczną rakietę prochową. Nie sposób również wyjaśnić postępowania wojowników, którzy ocaleli po wybuchu tego pocisku. Bitwa jeszcze trwa, lecz wszyscy, co znaleźli się w sferze wybuchu, biegną spiesznie do pobliskiej rzeki, aby opłukać swą odzież i broń.

W Indiach oręż ten zwał się „orężem Brahmy" albo „płomieniem Indry", w Ameryce Południowej — „maszmak", w mitologii celtyckiej „sztuką gromu". Podobnie jak moc broni współczesnej, „sztukę gromu" mierzono w jednostkach „sto", „pięćset" lub „tysiąc", co oznaczało przybliżoną liczbę ludzi, których unicestwiał wybuch. Te same podania mówią o jakiejś broni, zwanej „okiem Balora". Był to aparat tak skomplikowany, że uruchomienie go wymagało współpracy aż czterech ludzi.

„Mahabharata" tak mówi o działaniu tej broni: „Kukra zaczął rzucać na miasto błyskawice ze wszystkich stron". To jednak było mało, toteż „wypuszczono pocisk, który krył w sobie siłę całego wszechświata", i gród stanął w ogniu… „Błysk był jasny jak 10 000 słońc w zenicie". W naszych czasach ludzie, którzy widzieli błysk wybuchu jądrowego, także porównują go z blaskiem słońca. Książka

Younga nosi nawet tytuł „Jaśniej niż tysiąc słońc".

W innych źródłach broń ta nosi nazwę „błyskawic" lub porównywana jest z błyskawicami. Możliwe, że to nie tylko przenośnia oddająca jedynie wrażenie wzrokowe. Ostatnie badania świadczą o realności takiej broni. Czasopismo angielskie „Discovery" informuje, że obecnie wiele laboratoriów wojskowych prowadzi gorączkowe badania właśnie w tym kierunku. Sztuczne pioruny kuliste, które w okamgnieniu będą godzić w 'cel, zamierza się stosować zarówno w roli broni zaczepnej jak i odpornej, a także do niszczenia rakiet w locie.

Można przypuszczać, że wszystkie wspomniane świadectwa starożytnych kryją jakieś ziarno prawdy.

Niektóre znaleziska archeologiczne mogą być interpretowane jako potwierdzenie treści przedstawionych wyżej podań. Mury twierdz Dundalk i Ekoss w Irlandii noszą ślady oddziaływania temperatury tak wysokiej, że stopieniu uległy granitowe głazy. Temperatura topnienia granitu przekracza tysiąc stopni. Uprawnia nas to do wysunięcia przypuszczenia, że właśnie tam zastosowano straszliwą broń celtyckich legend.

Inny ślad możliwego zastosowania tej broni odkryto niedawno w Azji Mniejszej podczas odkopywania ruin Hattuszas — stolicy starożytnych Hetytów. Miasto uległo ongiś zniszczeniu wskutek wysokiej temperatury niewiadomego pochodzenia. Zdaniem archeologa Bittela, choćby w mieście przechowywano dowolnie wiele materiałów palnych, zwykłe pożary nigdy by nie zdołały wytworzyć takiej temperatury. Ceglane mury domów uległy stopieniu w twardą czerwoną masę. W mieście nie ma żadnego domu, świątyni czy ściany, które uniknęłyby straszliwego żaru. Powołując się na wyniki wykopalisk archeologicznych C. Ceram pisze: „Aby doszło do takiego stanu, miasto musiałoby płonąć przez wiele dni, a może i tygodni".

W innej okolicy Bliskiego Wschodu, na terenie dawnego Babilonu, zachowały się ruiny wieży, wznoszące się dziś jeszcze na 46 m. Jest to wieża króla Nimruda, którego Józef Flawiusz nazywał budowniczym wieży Babel. Na tej podstawie niektórzy badacze uważają owe ruiny za pozostałości legendarnej budowli.

Jak głosi legenda, właśnie tu Bóg, „zstąpiwszy", poraził budowniczych wieży rozpraszając ich później po całej ziemi. Jednakże nie tylko możliwy związek z podaniem biblijnym zainteresował archeologów. Znaleźli oni tam te same ślady wysokiej temperatury, co w Dundalk i Hattuszas. „Niepodobna znaleźć wyjaśnienia — pisze jeden z badaczy — skąd się wziął taki żar, który nie tylko rozpalił, ale i roztopił setki palonych cegieł, osmalił cały korpus wieży i wszystkie jej gliniane ściany".

Brak jakiegokolwiek racjonalnego wytłumaczenia podobnych

znalezisk zmusza zwykle badaczy do samego tylko stwierdzenia i opisu odkrytych faktów.

Wzmiankę o jeszcze jednym miejscu, gdzie — być może — zastosowano ową hipotetyczną broń, znajdujemy u Strabona, który pisze w swojej „Geografii", że w rejonie Morza Martwego znajdują się skały obtopione nieznanym ogniem. Znane są również inne, równorzędne może z opisanymi fakty, które badacza zapędzają w ślepą uliczkę. Wystarczy wspomnieć o znalezieniu w Indiach szkieletu ludzkiego o radioaktywności 50–krotnie przekraczającej normalną. Aby związki wykryte w szkielecie miały tak wysoką promieniotwórczość, człowiek ten, zmarły przed 4 tysiącami lat, musiał przez długi czas spożywać pokarmy, których radioaktywność setki razy przekraczała normalną.

Wyliczanie niepospolitych faktów i dowodów wiedzy, jaką dysponowali starożytni, można by kontynuować.

Niewytłumaczalność większości z nich skłania do przypuszczenia, że były to ułamki wiedzy nagromadzonej przez ludzi jeszcze przed katastrofą, którą tradycja egipska nazywała „unicestwieniem ludzkości".

Gdzież poszukiwać kolebki owej domniemanej pracywilizacji? Czas i żywioły uczyniły wszystko, byśmy dziś nie mogli znaleźć na to odpowiedzi. Musimy się jednak zdumiewać, jeśli zdarzenia o wiele bliższej nam rzeczywistości historycznej okazują się zapomniane, a wiedza o nich zagubiona. Po całych narodach i państwach nie pozostaje czasem nic prócz nazwy przypadkowo wspomnianej w którymś ze starożytnych tekstów.

To, co pozostało po drugiej stronie linii wyznaczonej przez domniemaną katastrofę, jest zasłonięte przed naszym wzrokiem. Jedynie pośrednie informacje, co prawda dość doniosłe, pozwalają nam przypuszczać, że istniało tam coś więcej niż odziany w skóry łowca mamutów.

Poszukiwanie kolebki tej hipotetycznej cywilizacji komplikuje się tym bardziej, że w ciągu tysiącleci dzielących nas od przypuszczalnego jej istnienia wiele fragmentów lądu pogrążyło się w morzu. Takie zatopione lądy, obejmujące zapewne znaczne terytoria, istniały jeszcze za pamięci ludzkiej np. na Atlantyku. O jakimś lądzie na Oceanie Atlantyckim pisze Platon. Zgodnie z jego relacją owa olbrzymia wyspa „skutkiem trzęsień ziemi się zapadła i zrobiło się z niej błoto nie do przebycia dla tych, którzy stąd wypływają na tamto morze — drogi już nie ma tamtędy"[3]. Platon powołuje się przy tym na greckiego filozofa Solona, który odbył podróż do Egiptu i wiadomości te uzyskał od kapłanów egipskich.

Grecki filozof Krantor z Soloi (IV–III w. p. n. e.) widział w czasie

swego pobytu w Egipcie kolumny, na których zapisana była historia ogromnej wyspy zatopionej na Oceanie Atlantyckim.

Wielu współczesnych badaczy łączy zatopienie lądu w Atlantyku z pewnym kataklizmem związanym być może z tymi katastrofalnymi wydarzeniami, o których tu mowa. Bez wątpienia już w czasach historycznych w rejonie Atlantyku następowały kolejne zatopienia jakichś resztek lądu. Potwierdzeniem takiego przypuszczenia byłoby i to, że wielu starożytnych historyków i geografów wspomina nie o jednej wyspie, lecz leżących na zachód od Słupów Herkulesa wielkich wyspach Kronos, Posejdonos i in., które się także stopniowo pogrążyły w oceanie.

Wiadomości o jakichś ziemiach, które stanowią teraz dno morza, spotykamy i wśród mieszkańców wysp Oceanu Spokojnego. Na przykład podania mieszkańców wysp leżących na południowy zachód od Nowej Zelandii mówią, że w dawnych czasach ocean pochłonął ziemię Ka — houpo — o — Kane (Ciało boga Kane). W mitach polinezyjskich często pojawia się jakaś „Wielka Ziemia". Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej opowiadają o zatopionych w oceanie ziemiach Motu — Mario — Hiwa.

Świadectwom tym odpowiadają znaleziska archeologiczne. W sąsiedztwie wyspy Ponape (Karoliny) odkryto np. ruiny sporego miasta, na wpół zanurzone w morzu. Podobnie jak na Atlantyku, pogrążanie się lądu w Pacyfiku trwało oczywiście dłuższy czas.

Mamy również wiadomości o jakichś zaginionych lądach na Oceanie Indyjskim. U starożytnych autorów znajdujemy wzmianki o jakimś przesmyku łączącym ongiś Indie z Afryką. O jakiejś wielkiej wyspie na Oceanie Indyjskim na południe od równika pisał Pliniusz. O resztkach lądu na Oceanie Indyjskim wspominali jeszcze średniowieczni historycy arabscy.

I te świadectwa znajdują potwierdzenie w odkryciach ostatnich lat. Na przykład wielu językoznawców doszukuje się podobieństw między drawidyjskimi językami południowych Indii a językami wschodniej Afryki. Flora i fauna tych okolic również przemawia za tym, że w tych okolicach istniały ongiś rozległe obszary lądowe. Na Madagaskarze występuje dziesięć gatunków lemurów, które poza tym spotyka się tylko w Indiach. Jak jednak wiemy, lemury nie umieją pływać i nie mogły przebyć oceanu. Dwadzieścia sześć gatunków roślin, które można znaleźć na Madagaskarze, rośnie ponadto w jednej jeszcze okolicy — w południowej Azji, brak ich natomiast w najbliżej Madagaskaru położonej Afryce. A dziewięć innych roślin Madagaskaru odkryto aż w odległej o tysiące kilometrów Polinezji.

Niewyraźne wspomnienia o lądzie pośród Oceanu Indyjskiego, o legendarnym kontynencie Lemurii można odnaleźć także w historycznych tradycjach ludów Azji Południowej. „Tamilaham, czyli

ojczyzna Tamilów — stwierdza pewien historyk indyjski — w zamierzchłej przeszłości znajdowała się na południu wielkiej wyspy Nawalam, która była jedną z pierwszych ziem, jakie się pojawiły w pobliżu równika. Tam też znajdowała się Lemuria, zaginiony kontynent, kolebka cywilizacji ludzkiej".

Nie mamy wystarczających danych, aby twierdzić, że najbardziej prawdopodobnym terenem cywilizacji wyjściowej był właśnie ten rejon, a nie np. Atlantyk czy Pacyfik z jego zatopionym lądem, nie odczytanym piśmiennictwem, dziwnymi posągami i nie mniej dziwnymi mitami.

Jakkolwiek nieprawdopodobne zdawać się mogą powyższe wiadomości, to jednak skłaniają one do poszukiwania śladów zarówno hipotetycznej katastrofy, jak i pracywilizacji, z której dorobku czerpały starożytne kultury naszego globu.

Przełożył Bolesław Baranowski

notes

1

Stowarzyszenie Łosi — założona w St. Zjednoczonych w r. 1868 organizacja o charakterze dobroczynnym i patriotycznym.

white man's burden — tu żartobliwie: posłannictwo białego człowieka.

3

Platon, *Timaios*, Warszawa 1960, s 177